



*hybridae  
aequor*

*D o m y* **K** **CAITLÍN R.  
KIERNAN**  
Domy na dnie morza.  
*na dnie morza*

**DOMY  
NA DNIE MORZA**

**Caitlín R. Kiernan**

**Przełożyła  
Anna Reszka**

**Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2023**

# Spis treści

[Lovecraft i ja](#)  
[Valentia \(1994\)](#)  
[Tak ucieka świat](#)  
[Szafka 34, szuflada 6](#)

[17:46](#)  
[13:30](#)  
[13:49](#)  
[10:40](#)  
[15:15](#)  
[15:25](#)  
[10:23](#)  
[15:47](#)

[Geolog, który utonął \(1898\)](#)  
[Martwy i szalony](#)  
[Domy pod morzem](#)

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)  
[6](#)  
[7](#)  
[8](#)

[Inna modelka Pickmana \(1929\)](#)

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)  
[6](#)  
[7 \(24 października 1929\)](#)

[Tysiąc trzecia baśń Szeherezady](#)  
[Modlitwa kości](#)

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)  
[6](#)

[Niebezpieczeństwo uwolnionych obiektów albo uwiedzenie voyeura](#)  
[U Bramy Głębszego Snu](#)

[05](#)  
[03](#)  
[04](#)  
[01](#)  
[02](#)  
[00](#)

[Rybia panna młoda \(1970\)](#)  
[Córka alchemika \(Fragment\)](#)  
[Żona ogara](#)

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)

[Siły pływowe](#)  
[John Four](#)  
[Na rafie](#)  
[Przemiana Elizabeth Haskings](#)  
[Góra](#)

[25 maja](#)  
[27 maja](#)  
[28 maja](#)  
[29 maja](#)  
[30 maja](#)  
[31 maja](#)  
[1 czerwca](#)  
[2 czerwca](#)  
[4 czerwca](#)  
[5 czerwca](#)  
[6 czerwca](#)  
[7 czerwca](#)  
[9 czerwca](#)  
[10 czerwca](#)  
[11 czerwca](#)  
[15 czerwca](#)

[Miłość jest zakazana, my kraczymy i wyjemy](#)  
[Odpychanie nieba \(Śmierć bluźniercy\)](#)  
[Czarne statki widziane na południe od nieba](#)  
[Madonna Pickmana](#)  
[Opowieść domokrążczyni albo zemsta Isobel](#)  
[Koty z River Street \(1925\)](#)

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)

M jak Mars

1. Propozycja
2. Dochodzenie
3. Ocalały
4. Ucieczka
5. Na zewnątrz (Koniec)

Cykl Dandridge

Rekompensata za Andromedę (2001)

Ani demony na dnie morza (1957)

Studium „Domu czarownic” (2013)

Andromeda wśród kamieni

Październik 1914

Listopad 1914

Maj 1914

Styczeń 1915

Luty 1915

Sierpień 1889

Lipiec 1914

Marzec 1914

Historia publikacji

Podziękowania

O autorce

Przypisy

Tytuł oryginału: *Houses Under the Sea: Mythos Tales*

Copyright © 2018 by Caitlín R. Kiernan

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Przekład: Anna Reszka

Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija

Korekta: Alicja Laskowska, Bartosz Szpojda

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Wydawca: Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wydanie II

ISBN 978-83-67353-76-2

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Wydaje się, że poruszamy się po cienkiej skorupie, która w każdej chwili może być podmyta przez drżące pod nią podziemne siły.

Sir James Frazer, *Złota gałąź* (1890)



## **Lovecraft i ja**

### **Przemowa inauguracyjna na piętnastym Dorocznym Festiwalu Filmowym HPL w Portland, Oregon, 2 października 2010**

Od czego zacząć?

Po pierwsze, sędzę, że kiedy jest się gościem honorowym, oznacza to, że zostało się uhonorowanym. Ale prawdę mówiąc, to ja czuję się uhonorowana propozycją wystąpienia jako gość honorowy na Festiwalu Filmowym Lovecrafta. Czuję się również uhonorowana tym, że Festiwal zadał sobie spory trud i nie szczędził wydatków, żeby mnie tutaj sprowadzić. Z pewnością nie udałoby mi się to w inny sposób. Nie pomaga fakt, że jestem raczej odludkiem i nie przepadam za podróżami. Samo wyciągnięcie mnie z domu może być trudnym zadaniem. Przemierzenie całego kraju tam i z powrotem jest czymś, czego nie robiłam od ponad dekady. Ale kiedy dostałam zaproszenie, nie mogłam odmówić. Dzieła Lovecrafta miały zbyt duży wpływ na moje pisarstwo, żebym mogła powiedzieć nie, a poza tym, jak już wspomniałam, jest to dla mnie zaszczyt i honor.

Kiedy więc poproszono mnie, żebym przemówiła na ceremonii otwarcia, zgodziłam się. Przecież to kolejny zaszczyt, więc nie mogłam odmówić. Mimo to nie miałam pojęcia, od czego zacząć ani na czym skończyć. Naprawdę nie jestem dobra w tego rodzaju rzeczach. Ale odbiegam od tematu. Tracę wątek. Zastanawiałam się jednak



i zastanawiałam, aż wreszcie w ostatniej chwili – czyli w środę po południu – wymyśliłam.

Zacznę od dnia, kiedy pierwszy raz zetknęłam się z H.P. Lovecraftem. Dziwne, ale znalazłam go w Trussville w Alabamie, w żółtym szkolnym autobusie. Miałam siedemnaście lat. Był deszczowy wiosenny poranek w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, a Lovecraft leżał samotnie na pustym siedzeniu. Wsiadając, ktoś niechcący zostawił książkę z Biblioteki Publicznej w Birmingham. Było to oryginalne wydanie *Dagon and Other Macabre Tales* Arkham House z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego. Czarno-biała okładka Lee Browna Coye'a (1907–1981) przedstawia starca o wyłupiastych oczach, ubranego w łachmany. Mężczyzna trzyma harpun, którym, niczym postarzały kapitan Ahab, przebija białego kaszalota. Okazuje się, że Coye miał obsesję na punkcie *Moby Dicka*, a wieloryby są powracającym motywem w jego pracach. Ale człowiek z okładki był gigantem w porównaniu z wielorybem, co, jak się wkrótce przekonałam, wybrzmiewa we fragmencie *Dagona*. Lovecraft pisze:

„Najbardziej porażające wrażenie wywarły na mnie jednak reliefy obrazkowe – z racji olbrzymich rozmiarów widoczne przez wodny przestwór jak na dłoni. Były to płaskorzeźby o tematyce, której nie powstydziliby się sam Doré. Wyobrażały, jak mi się zdaje, ludzi – a przynajmniej pewien rodzaj ludzi; byli oni wszakże przedstawieni w trakcie rybich figli w morskiej grocie lub składania hołdów w skalnej świątyni najwyraźniej również znajdującej się pod wodą. Ich twarze i cielesnych kształtów nie śmiem opisać w szczegółach – na samo ich wspomnienie robi mi się słabo. Groteskowe ponad wszystko, co zrodziła wyobraźnia Poego czy Bulwer-Lyttona, w ogólnym pokroju zdradzały wstrętne podobieństwo do ludzi – przeczyły mu jednak płetwiaste dłonie i stopy, rażąco szerokie i obwisłe wargi, szkliste, wyłupiaste oczy tudzież inne, jeszcze mniej przyjemne cechy. Co ciekawe, miałem wrażenie, że wyrzeźbiono je z pogwałceniem wszelkich proporcji względem otoczenia: jedno ze stworzeń zostało przedstawione w trakcie zabijania wieloryba, było jednak odeń zaledwie odrobinę mniejsze. Uwagę moją przykuły, jak powiadam, groteskowość kształtów i dziwne rozmiary tych istot; po chwili wszakże uznałem, że są to tylko wizerunki bogów zrodzonych w wyobraźni jakiegoś prymitywnego rybackiego lub żeglarskiego plemienia, którego ostatni potomek szczeł na długo, nim narodził się pierwszy neandertalczyk

lub człowiek z Piltown. Byłem zdumiony i wstrząśnięty, że tak zniechęcające dane jest mi wejść w przeszłość, o której nie śniło się nawet najśmielszym antropologom; zamyśliłem się wtedy, światło zaś księżycy odbijało się dziwnymi poblaskami w cichym kanale u mych stóp” [1].

Oczywiście postacie na reliefach nie są wymyślone, a proporcje zapewne nie aż tak przesadzone.

W każdym razie tak zaczął się mój romans z Lovecraftem, od czarno-białej okładki z czerwonym imieniem Dagon. Przyznaję, że jako nastolatka miałam dość naganny zwyczaj osądzania książki po okładce. Jeszcze gorsza byłam pod tym względem jako dziecko. Na szczęście w okładce Coye’a zakochałam się od razu. A książka leżała sobie na siedzeniu szkolnego autobusu i nikt się do niej nie przyznawał. Rozejrzałam się, czy ktoś patrzy. Nikt nie patrzył. Poczulałam dreszcz, zabierając ją i pośpiesznie oddalając się z nią w ramionach. Chyba powinnam była oddać ją kierowcy albo zanieść do biura rzeczy znalezionych... albo coś w tym rodzaju. Ale czułam się zbyt zaintrygowana. Musiałam się dowiedzieć, co jest w środku. Tak więc spędziłam kilka dni i nocy, pochłaniając *Dagona*. Siedziałam do późna, choć powinnam spać. Na lekcji ukrywałam ją w podręczniku do algebry. To wszystko brzmi strasznie banalnie, wiem, ale tak było naprawdę. Czytając, zakochałam się w autorze tych opowiadań, tak jak zakochałam się w ilustracjach Lee Browna Coye’a.

Po przeczytaniu zbioru zrozumiałam, jak udanie okładka oddawała nastrój tych opowiadań, ich atmosferę i grozę. Każdy wielbiciel Lovecrafta wie, że dla niego sukces albo porażka dowolnej opowieści niesamowitej zależał przede wszystkim od tego, czy autor zdołał stworzyć nastrój. Żadna liczba podupadających portów Nowej Anglii, tajemnych tekstów czy śliskich macek nie zdoła zastąpić dobrze wykreowanej atmosfery. Tak więc w tym sensie okładka Coye’a jest strzałem w dziesiątkę. Właśnie ona mnie przyciągnęła, a ja odkryłam nie tylko opowiadanie tytułowe, ale również takie mroczne perełki jak *Ogar*, *Dziwny, wysoki dom wśród mgieł*, *Przyczajona groza*, *Zagłada Sarnathu* i być może najważniejszą z nich: esej *Nadnaturalny horror w literaturze*. Przeczytałam *Dagona* i inne opowiadania makabryczne od deski do deski, a niektóre opowiadania więcej niż jeden raz. Potem niechętnie oddałam książkę do oddziału biblioteki w Trussville. Często żałowałam, że jej nie zatrzymałam. To nie ja zostawiłam ją bez troski w szkolnym autobusie. To nie ja miałabym kłopoty z powodu jej

zgubienia. Jednak jej nie zatrzymałam, postanowiłam ją oddać. Zwróciłam ją światu.

Tak więc była to moja inicjacja, moje wprowadzenie do Lovecrafta. Zgubiona książka z biblioteki z dziwną, groteskową, przyciągającą wzrok okładką, stworzoną przez człowieka, który przypadkiem umarł w tym samym roku.

Nie miałam wtedy pojęcia, że to nie były najlepsze opowiadania Lovecrafta, i miało minąć kilka lat, zanim się tego dowiedziałam, zanim odkryłam *W górach szaleństwa*, *Kolor z innego wszechświata* i *Widmo nad Innsmouth*. Byłam zachłanną czytelniczką, jednak w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku niełatwo było znaleźć Lovecrafta w Alabamie, a poza tym czas zajmowała mi szkoła średnia, potem college i wielu innych autorów. Absorbowało mnie studiowanie paleontologii, geologii i biologii, tak że nie znalazłam drogi powrotnej do Lovecrafta aż do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego. Lektura wysublimowanej powieści T.E.D. Kleina *Ceremonies*, a potem jego zbioru *Dark Gods* przypomniała mi o tamtym deszczowym dniu w szkolnym autobusie i o tym, co w nim znalazłam. Na Uniwersytecie Kolorado w Boulder odnalazłam w uczelnianej bibliotece inne książki wydane przez Arkham House i pochłonęłam je natychmiast.

Zapewne nie jest zbiegiem okoliczności, że mój sentyment do Lovecrafta utrwalił się w tamtym okresie. Pracowałam jako paleontolog i kontynuowałam studia w tej dziedzinie. Wyobrażanie sobie bezmiaru czasu i przestrzeni stanowiło dla mnie część codziennego życia, choć byłam świadoma, że większość ludzi nie poświęca tym kwestiom żadnej uwagi. Oto jesteśmy, nieskończenie mała kropka w niepoznawalnym i całkowicie obojętnym wszechświecie. Oto jesteśmy, jedynie chwilowe wcielenia materii i energii. Wieczność i nieskończoność rozciągają się wszędzie wokół nas. Widzimy je w gwiazdach, w mechanice kwantowej, w skałach, które już były stare przed ewolucją wielokomórkowego życia, widzimy w obfitości roślin i zwierząt, które zamieszkiwały ten świat przed nami i przetrwały jako skamieliny. Widzimy w powstaniu naszego gatunku i we wszystkich wiekach ludzkiej historii. Dla mnie świadomość tego, co geolodzy nazywają „czasem geologicznym”, była zarówno prozaiczna, jak i cudowna. Nie przywykłam jednak do tego, że znajduję go w literaturze. U Lovecrafta znalazłam, i to bardzo dużo.

Niewielu innych pisarzy fantastycznych, a z pewnością bardzo niewielu przed Lovecraftem, tak dokładnie zrozumiało głębię „czasu geologicznego” i jego konsekwencje dla ludzkości. Lovecraft nie tylko ją pojął, ale spędził życie na pisaniu opowiadań, które między innymi starały się przekazać prawdę o naszym miejscu w kosmosie. Oczywiście potwory, rozpadające się rodowe zamki i zmutowani rybioludzie robili wrażenie. Ale dla mnie liczyło się jego docenianie czasu i umiejętność pokazania kosmicznej perspektywy w beletrystyce. On instynktownie znał potęgę tych odkryć. Czas i przestrzeń – czasoprzestrzeń – to przerażająca rzecz. Gdyby taka nie była, Galileusz nie zostałby zmuszony do odwołania swoich poglądów, a my nie mielibyśmy kreacjonistów jazgoczących o biblijnych mitach półtora stulecia po tym, jak Darwin opublikował swoje wielkie dzieło. Lovecraft nie tylko pisał straszne historie. On na swój sposób obalił religijny dogmat, mówiąc: „Posłuchajcie, jesteśmy malutcy i nie będzie nas, zanim się obejrzymy. I nikogo ani niczego to nie obchodzi. To jest przerażające, ale jednocześnie wspaniałe”.

Pora na podsumowanie. Już wspomniałam, że mam kłopoty z zakończeniami. Ale jestem tutaj dwadzieścia dziewięć lat i kilka żywotów po tamtym dniu w autobusie szkolnym. Teraz mieszkam w Providence w Rhode Island, w mieście Lovecrafta, mieście, które, jak sam twierdził, uosabiał. Z pewnością nigdy nie planowałam, że sprawy tak się ułożą, ale los to dziwna, cudowna i niepokojąca rzecz. Regularnie chodzę tymi samymi ceglanyymi chodnikami, którymi on chodził, obok domów, w których mieszkał, odwiedzam biblioteki i muzea, które on odwiedzał. Regularnie mijam obserwatorium, w którym młody Lovecraft obserwował gwiazdy. A czasami zostawiam dowody wdzięczności na jego skromnym nagrobku na cmentarzu Swan Point.

Od czasu mojej drugiej powieści *Threshold* wydanej w dwa tysiące pierwszym roku porównuje się moje pisarstwo do jego. Nigdy nie wiedziałam, co myśleć o takich porównaniach, oprócz tego, że mi pochlebiają. Kiedy je czytam, naprawdę czuję się uhonorowana. I odczuwam pokorę.

Dziękuję.

## Valentia (1994)

Cała noc turbulencji i skrętów w czasie lotu z JFK na Shannon, nieprzerwany warkot silników odrzutowych i cała jesienna noc żeglowania przez lodowate chmury wysoko nad wzburzonym Atlantykiem. Wreszcie za oknem poszarpane zachodnie wybrzeże Irlandii niczym szarzielony klejnot, niewypolerowany, nieoszlifowany, a potem lądowanie. Rutynowo podejrzliwe spojrzenie agenta celnego na paszport – krótkie włosy, na zdjęciu nadal blond, teraz rude, kasztanowe. Anne była wdzięczna, kiedy dostrzegła jedną z magistrantek Morrisa, czekającą na nią z tabliczką ze starannie wydrukowanym nazwiskiem dr Campbell, niebieskim na brązowym kartonie. W czasie długiej jazdy do Kerry przysypiała, podczas gdy studentka mówiła, a na zewnątrz przesuwiał się nierówny patchwork wiosek i farm.

– To takie straszne – mówi studentka.

Powtórzyła to więcej niż jeden raz, przeprosiła więcej niż jeden raz, jakby cokolwiek z tego mogło być jej winą. Máire, blada, czarnowłosa dziewczyna z Dublina, o oczach jak z katalogu turystycznego, zielonych oczach, które nie odrywają się od drogi, nie patrzy na Anne, kiedy samochód toczy się na południe i zachód, podczas gdy wody Dingle Bay koloru łupka ciągną się na północ aż do morza. Za Killorglin wysoki drogowskaz, czarne litery na pobielonym drewnie, i biała strzałka, do Cahirciveen nadal czterdzieści kilometrów, więc Anne znowu zamyka oczy.

– Wiadomo, jak to się stało? – pyta.

– O Chryste, tak mi przykro, doktor Campbell. – Dziewczyna mówi takim głosem, jakby była bliska łez, więc Anne nie ponawia pytania.

\* \* \*

Dwie godziny później niebiesko-biały prom samochodowy z Renard Point odbija od nabrzeża i sunie przez port w stronę dużej wyspy Valentia. To zaledwie pięciominutowa przeprawa, ale woda jest na tyle niespokojna, że Anne chciałaby mieć buteleczkę dramaminy w swoim wojskowym plecaku z demobilu, leżącym w bagażniku wypożyczonego auta. Stoi przy relingu, bo uprzejmiej jest wymiotować przez burtę niż na pokład. Po lewej ma zielonooką Máire, jej szmaragdowe oczy i niespokojne dłonie.

*Nic z tego nie wydaje się realne, myśli Anne. Nic z tego nie wydaje się ani trochę realne.*

Dziewczyna wyjmuje coś błyszczącego z kieszeni swetra, różaniec: srebrny krzyżyk i czarne koraliki. Anne odwraca głowę i patrzy na horyzont, niewyraźne połączenie szarej wyspy i jeszcze bardziej szarego morza. Powietrze pachnie słoną wodą, rybami i nadciągającym deszczem. Ona skupia się na pytaniach, które przywiozła ze sobą z Nowego Jorku, na nieprzyjemnych myślach, żeby stłumić odwieczny strach przed chorobą morską. Pytaniach, które zrodziły się dwa dni wcześniej wraz z wieścią o śmierci Morrisa Whitneya, wraz z telefonem Randalla w niedzielne popołudnie.

– Możesz przyjechać wieczorem, Anne? – Randall wydawał się zmęczony, niewyspany, jakby nagle dopadło go całe jego sześćdziesiąt lat. – Chodzi o Morrisa. Coś się stało.

Ona nie chciała wysłuchać reszty i mu to powiedziała, zmusiła go, żeby na tym poprzestał do czasu, aż ona dojedzie metrem ze swojego mieszkania w Tribeca do muzeum. Aż usiądzie w maleńkim gabinecie na piątym piętrze. Wtedy Arthur Randall przekazał jej wszystko, co wiedział, skąpe i brzydkie szczegóły, które z początku nie składały się w żadną sensowną całość – telefon z policji w Cahirciveen, ciało Morrisa wyciągnięte z morza przez łódź rybacką z Knightstown, zniszczone wykopalisko. Anne słuchała w milczeniu drżącego głosu starszego mężczyzny, a jej oczy bezpiecznie spoczywały na archiwalnym numerze „Journal of Vertebrate Paleontology” leżącym na biurku – lśniąca pomarańczowo-biała okładka, czarny druk, precyzyjny rysunek eoceńskiego okonkowca – same bezpieczne i sensowne rzeczy, żeby nie musieć patrzeć na twarz Arthura.

– Masz pojęcie, co on tam robił po zmroku? – pyta Anne niemal szeptem.

Máire lekko odwraca głowę, nadal patrząc na różaniec, który trzyma w rękach.

– Nie – odpowiada. – Nikt z nas tego nie wie.

Anne patrzy na ląd, coraz mniejszy, w miarę jak mały prom pracowicie posuwa się naprzód, i już wie, że nie powinna była przyjeżdżać, że Arthur miał rację i że prawdopodobnie ona nie znajdzie tutaj więcej odpowiedzi niż na Manhattanie. Jeśli ta płochliwa dziewczyna stojąca obok niej może być jakąś wskazówką. Poza tym jest coś jeszcze, cichy niepokój pod ołowianym ciężarem straty, pod dezorientacją. Niejasny lęk, w miarę jak zbliżają się brzegi Valentii. *On by po ciebie przyjechał*, myśli. A potem Máire znowu się odzywa:

– Doktor Whitney kazał nam wrócić do Knightstown. Mnie i Billy’emu. Powiedział, że martwi się, czy grant zostanie ponownie przyznany. Mówił, że potrzebuje samotności, żeby w nocy popracować nad raportem dla ludzi z „National Geographic”, ale my wiedzieliśmy, że dręczą go koszmary.

– Więc w piątek w nocy nie było cię na stanowisku?

Máire kręci głową.

– W zeszłym tygodniu codziennie rano jeździliśmy tam rowerami i wracaliśmy wieczorem. To tylko pół godziny drogi...

I wtedy wyje syrena promu, przenikliwe, ochryple buczenie zagłusza następne słowa Máire. Dziewczyna chowa różaniec z powrotem do kieszeni swetra.

\* \* \*

Wyspa Valentia, jedenaście na pięć kilometrów, skalisty banita dawno temu odcięty od irlandzkiego lądu stałego przez niespokojny Atlantyk i cienki, zagięty palec kanału Portmagee. Owce i bydło. Wiek wcześniej silni mężczyźni wydobywali łupkę z ogromnego kamieniołomu na północnym krańcu wyspy, kamień na płytki dachowe w Londynie i na nawierzchnie kolejowe w Nottingham i Leicester. Mała, ale solidna biała latarnia morska w miejscu, gdzie port Valentia łączy się z oceanem, niegdyś forteca żołnierzy Cromwella, zautomatyzowana przed laty. Dalej na zachód teren wznosi się raptownie w stronę Reenadrolaun na wysokość ponad trzydziestu metrów nad poziomem morza, skalistego cypla wyciosanego przed duże fale. Stamtąd skraj wyspy z czystego antracytu i popiołu ciągnie



się od Fogher Cliffs do Beennakryraka Head. Na tych półkach Morris Whitney znalazł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku wydeptaną ścieżkę; dwa miesiące spędzone w Irlandii na granie NSF poświęconym badaniu kolekcji dewońskich mięśniopłetwych, pancernych ryb w Cork Geology Museum, ale na Valentię zwabiły go uporczywe pogłoski o śladach stóp w kamieniu. Najpierw opowieści miejscowego farmera o „tropach dinozaurów”, potem list do kuratora muzeum od klubu ornitologów amatorów, więc w końcu Morris wziął dzień wolny i wyruszył z Cork. Nie wierzył własnym oczom, kiedy starzec zaprowadził go przez pastwisko na półki. Szczerbaty, dumny uśmiech farmera na widok zdumionej miny paleontologa, kiedy ten zobaczył idealny pojedynczy szlak wijący się przez łupki w stronę morza, wszystkie ślady wyeksponowane na jednej płaszczyźnie uwarstwienia.

– A nie mówiłem? – triumfował starzec. – I co, może to nie dinozaury?

Whitney mógł jedynie pokręcić głową, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech równie szeroki jak u farmera. Potem Morris ruszył w dół, żeby lepiej się przyjrzeć znalezisku, podczas gdy fale głośno rozbijały się o skały.

– Nie, panie O’Shea, to zdecydowanie nie są ślady dinozaurów. Cokolwiek je zostawiło, żyło... – I umilkł, robiąc obliczenia w pamięci, oceniając wiek skał i długość okresów geologicznych. – Cokolwiek je zostawiło, chodziło tu sto czterdzieści milionów lat przed pierwszymi dinozaurami. To coś dużo, dużo lepszego niż ślady dinozaurów.

Farmer usiadł na trawie i zwiesił nogi z niewielkiego urwiska. Oczy zrobiły mu się wielkie i pełne wątpliwości.

– Aha – mruknął. – No to jest cholerny cud, nie uważasz pan?

Morris ukląkł, wyjął z plecaka tani plastikowy aparat Instamatic i spojrział na skamieniałości przez wizjer.

– Tak – powiedział. – Z pewnością tak. – I wypstrykał całą rolkę filmu, po czym ruszył za starcem przez pole.

\* \* \*

Dwie godziny po świcie Anne Campbell, zmęczona po długim locie i drżąca na październikowym wicherze, stoi obok śladów. Płaszczyzna uwarstwienia jest wyeksponowana wzdłuż półki o długości dziewięciu

metrów, wąski, niemal poziomy pas nagiego kamienia w miejscu, gdzie wyspa jest powoli odzyskiwana przez Atlantyk. W górze mewy i rissy krążą i krzyczą jak zagubione, głodne dzieci. Za nią Máire nadal rozmawia z policjantem o czerwonych policzkach i wydatnym brzuszysku, który eskortował je z Knightstown; ściszą głośnie, jakby mówili rzeczy, których Anne nie powinna usłyszeć.

Mimo fal i słonej mgiełki wodnej, mimo tego, co zabójcy zrobili z tym miejscem, zachowały się znaki narysowane kredą przez Morrisa. Białe linie odmierzające długość kroków, słabo widoczne liczby potrzebne do zdjęć; jeszcze dzień albo dwa i morze oczyści półkę. Łzy w oczach, lecz Anne nie jest pewna, czy to z powodu Morrisa, zniszczonych skarbów czy lodowatych palców wiatru.

Na początku było sto śladów, według notatek Morrisa, sto już wyeksponowanych, kiedy pierwszy raz zobaczył półkę, i kolejnych pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt odkrytych później, kiedy on, Máire i Billy podążyli za odciskami w stronę krańca klifu, z saniami i łomami do usuwania ciężkich bloków łupku. Teraz zostało zaledwie pięć czy sześć nieuszkodzonych albo niezniszczonych całkowicie. *Zbezczeszczonych*, myśli Anne. *To miejsce zostało zbezczeszczone*. Jak spalony kościół albo splądrowana świątynia. Siada obok jednego z niewielu śladów, które nie zostały odłupane, zeszkrobane albo kompletnie roztrzaskane. Łagodnie pofałdowana powierzchnia skały połyskuje lekko, lśniąco-matowa gra kryształków miki i słońca. Anne delikatnie kładzie palce na płytkim wgłębieniu, dotyka wyraźnego odcisku zostawionego przez istotę, która przeszła tędy trzysta osiemdziesiąt pięć milionów lat temu. Podnosi wzrok na półkę, na zakwity o niezdrowej barwie infekcji, na małe nagromadzenia brązowego piasku, jasnego na tle łupku, na kilka cuchnących sadzawek wody pozostałych w niższych miejscach, czekających na przyptyw.

– Wszystko jest na kliszy – odzywa się za nią Máire, siląc się na spokój i pewność siebie. – I mamy odlewy. Doktor Whitney część wysłał do Cork w zeszłym tygodniu, a inne do Dublina.

– Chcę zobaczyć te zdjęcia, Máire. Wszystko, co zostało wywołane. Jak najszybciej, okay?

– Dobrze – odpowiada dziewczyna. – Wszystkie są z powrotem w mieście. Uznaliśmy, że nie jest bezpiecznie zostawiać je na stanowisku.

– Nie jest – mówi Anne, bardziej do siebie. – Pewnie nie.

Potem Máire znowu rozmawia z policjantem, a Anne patrzy na rozległy, zimny ocean.

\* \* \*

Pokój w Knightstown, brudna tapeta na ścianach i wyblakłe obrazki katolickich świętych, słaby, oleisty zapach ryb, ale przynajmniej jest ciepło i sucho, bo godzinę po zachodzie słońca zaczął padać deszcz. Zimne krople na szybie. Anne siedziała przez jakiś czas przy oknie, czekając, aż doktor Randall do niej oddzwoni, patrzyła na mokre, wąskie ulice, na pub naprzeciwko hotelu i jego okna jaśniejące wśród ulewy łagodnym, żółtopomarańczowym, przyjaznym blaskiem, i żałowała, że nie poprosiła Máire, żeby z nią została. Wymyśliłaby jakiś pretekst, gdyby się postarała: pomoc przy zapiskach Morrisa, pytania o próbki wysłane do Dublina do analizy radiometrycznej, cokolwiek, co uratowałoby ją przed odgłosami burzy i samotnością. Ale przy tej dziewczynie czuła się nieswojo, choć nie umiała określić przyczyny. W drodze powrotnej ze stanowiska Máire nachyliła się do niej i zapytała, czy to prawda, że ona i Morris byli kochankami, szeptem, żeby posterunkowy Bryce nie usłyszał. Anne zarumieniła się zmieszana i odparła:

– To było dawno temu. – Nic więcej, choć jej zaskoczenie szybko zmieniło się w gniew i niezadane pytania, co ta dziewczyna może o niej wiedzieć, co może się jej wydawać, że wie.

Tak więc ulga, kiedy zadzwonił telefon, głos po drugiej stronie dochodzący z daleka, przefiltrowany przez kabel i odległość, ale i tak przynoszący ulgę. Przynajmniej na kilka minut przepędzającą tęsknotę za domem. Arthur Randall zapytał, czy wszystko w porządku, czy Anne jakoś się trzyma.

– Tak – odpowiedziała. – Jasne. – Nieprzekonujące kłamstwo.

Randall westchnął głośno. Anne usłyszała, jak on zapala papierosa, wydmuchuje dym, a potem pyta o ślady. Czy w ogóle zostało coś, co da się uratować.

– Tylko jeśli zachowało się pod nadkładem. W życiu byś nie uwierzył, Arthurze. Nigdy nie widziałam miejsca tak kompletnie... – Słowa z klifu znowu do niej wróciły: *tak kompletnie zbezczeszczonego*, ale nie chciała

mówić tego na głos, więc powiedziała: – Zniszczyli wszystko. – I dodała: – To po prostu nie ma sensu.

– Więc nie uważasz, że komuś chodziło o te ślady?

– Nie. Jeśli ktoś próbował ukraść skamieniałości, byłaby to najbardziej spaprana próba, jaką można sobie wyobrazić. Zresztą nic nie wskazuje na to, żeby zamierzali coś zabrać. Zupełnie nic. Ktokolwiek to był, chciał zniszczyć odciski, Arthurze, a nie je ukraść.

Teraz siedzi na łóżku, słucha deszczu bębniącego o dach i okno, przed sobą ma rozłożone wszystkie fotografie Morrisa, lśniąca dokumentację 8 x 10 z miesiąca spędzonego na Valentii, każdy centymetr śladów pieczołowicie utrwalony, zdjęcia jako dodatek do map i wykresów Máire, starannie wykonanych rysunków ukazujących wielkość odcisków stóp i ich wzajemne położenie. Więc przynajmniej dane zostały uratowane. Same skamieniałości przepadły, ale nie informacje. Wystarczy ich, żeby mogła skończyć to, co zaczęła: opis najstarszych znanych skamieniałości śladowych czworonogów, najwcześniejszych przodków wszystkich ziemskich kręgowców, odcisków pozostawionych przez istotę o długości nie większej niż metr, nie dłuższej od ryby, ale nadal odległej od stworzeń lądowych. Do tej pory znany był tylko jeden zestaw tak starych śladów, z rzeki Genoa w Australii, opisanych w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku.

Anne odkłada zdjęcie i bierze następne. Na tym ujęciu nie ma żadnych odcisków, tylko skamieniałe riplemarki łożyska prastarego strumienia. Przez chwilę myśli, że to wszystko. Muł i piasek ukształtowane przez prądy ciepłych paleozoicznych wód, ich wzór utrwalony przez czterysta tysięcy milleniów. Już ma odłożyć zdjęcie, kiedy zauważa coś w lewym dolnym rogu. Coś zatopionego w łupku, błyszczącego w słońcu jak metal. Podnosi fotografię do lampy przy łóżku, żeby lepiej się przyjrzeć.

Jej pierwsze wrażenie jest takie, że Morris położył monetę dla pokazania skali, może irlandzką siedmiokątną pięćdziesięciopensówkę. Nachyla się bardziej, mruży oczy, nosem niemal dotyka papieru i widzi, że powierzchnia tej rzeczy jest gładka, że to nie jest moneta, i nie ma wątpliwości, że jest zatopiona w kamieniu, a nie tylko na nim leży. Anne przygryza dolną wargę, odwraca zdjęcie do góry nogami i pod tym kątem widzi, że jednak powierzchnia nie jest idealnie gładka, ale są leciuteńkie wypukłości, fałdy i wgłębienia niemal wyrównane przez lata ekspozycji na działanie wiatru i morza. Pojedyncza płytką liliowca oderwana od kielicha

albo jakiś inny skamieniały szkarłupień, siedmiokątny kawałek krzemionki, a do tego gra światła i cienia, tak że wygląda metalicznie.

*Nie, to nie jest liliowiec. Ani liliowiec, ani szkarłupień, ani płytką pierwotnego jeżowca, bo te warstwy leżały w świeżej wodzie.* Może to kawałek pancerza plakodermy. Czy nie widziała w papierach Morrisa jakiejś wzmianki albo czy Máire nie wspomniała przelotnie, że w pobliskich warstwach znaleźli szczątki *Bothriolepis*? Ale w słabym świetle lampy ta rzecz zdecydowanie wygląda metalicznie, a pierwsze wrażenie, że to moneta, uparcie nie chce jej opuścić. Anne pociera zmęczone oczy.

– Jezu – szepcze, nadal wyczerpana po locie, a potem długim dniem na stanowisku, więc nic dziwnego, że nie potrafi myśleć jasno.

Realność śmierci Morrisa jeszcze do niej nie dotarła. Zbiera zdjęcia i chowa je z powrotem do dużej koperty. Tajemnicza fotografia leży na wierzchu. Rano zapyta Máire o dziwną skamieniałość, albo Billy’ego, jeśli będzie na śniadaniu. Ale do tego czasu sprawa może poczekać. Zegar na stoliku nocnym pokazuje dziesiątą dwadzieścia pięć. Anne wyłącza lampkę i siedzi przez chwilę w ciemności, myśląc o domu, podczas gdy wiatr grzechocze szybą.

\* \* \*

We śnie jest z powrotem na Manhattanie, stoi na marmurowych schodach Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej, przez pięćdziesiąt lat wygładzonych przez stopy odwiedzających. Na brązowym spatynowanym posągu Teddy’ego Roosevelta bez szacunku siadły gołębie, a Wielki Biały Człowiek dumnie dosiadający konia, ze szlachetnymi zaśniedziałymi dzikusami po lewej i prawej stronie, prowadzi ich ku cywilizacji i zagładzie. Ale tam, gdzie powinna być ulica, jest płytki potok obrzeżony chodnikami z piaskowca, a jego niespokojne wody iskrzą się w nowojorskim słońcu. Anne przenosi wzrok za potok, spodziewając się jesiennego pożaru parku, niezliczonych znajomych odcieni pomarańczowego, złota i czerwonych brązów, ale zamiast nich widzi zielenią gęstą i pierwotną, nienaruszoną zielenią pierwszych lasów świata, Eden po Upadłym Świecie. Kiedy schodzi po stopniach, bosymi stopami cicho stąpając po kamieniu i wyrzuconych opakowaniach po hot dogach,

nie potrafi oderwać oczu od dziwnych roślin wyrastających z popękanego cementu po drugiej stronie potoku, od szalonej bujności listowia. Wysoki baldachim obcych „drzew” – *Wattieza*, *Archaeopteris*, *Lepidosigillaria*, *Pseudoporochnus* – i słońce padające katedralnymi snopami spomiędzy niemożliwych gałęzi na łuskowatą korę i nieprzenikniony gąszcz skrzypów i paproci. Zaledwie kilkanaście metrów w głąb las jest tak gęsty, że zieleń zmienia się w czerń.

*Wszystko może tutaj żyć, myśli, dosłownie wszystko.*

Staje na brzegu za Rooseveltem, Indianami i człowiekiem sprzedającym soki i gorące precle: beton i piasek, żadnego brutalnego ryku klaksonów, nieustannego gwaru ludzkich głosów; letni wiatr między drzewami, chłodne szemranie wody między prostymi brzegami, bzyczenie ważek wielkości kruków. Ziemia wróciła do czasów sprzed epoki lodowcowej, do czasów straszliwych jaszczurek i skrzeczących pterodaktyli o skrzydłach jak latawce; do kontynentów rozdzielonych w tych minionych dniach, zanim cały świat został ściśnięty w superkontynent Pangei.

To nie jest nowy sen. Całe dorosłe życie spędziła na ściganiu duchów, jej podświadomość zawsze wskrzeszała i udoskonalała pierwotną dzikość. Ale tamte sny nigdy nie były nawet w połowie tak realne jak ten, dźwięki i zapachy tak ostre, światło słoneczne tak jaskrawe. Ona klęczy nad strumieniem i patrzy na kłody stłoczone tuż pod powierzchnią, na wodne rośliny, których nazw nie zna. Małe rybki śmigają w podwodnej płątanie rozłupanych pni i konarów. Woda nie jest tutaj głęboka, na mulistym dnie są ślady, odciski zostawione przez płetwy, które kiedyś będą palcami stóp, palcami, które jeszcze nie zapomniały o płetwach. Jej oczy podążają za tymi śladami do miejsca, gdzie coś dużego zsuwa się z płycizny na głębszą wodę. Głowa szeroka jak u ropuchy przecina powierzchnię, czujne czarne oczy obserwują ją przez chwilę, a potem znikają: jedno machnięcie ogona i węzowe stworzenie znika w chmurze mułu.

Anne Campbell wie, gdzie jest tym razem, a nie tylko kiedy. Ta puszcza będzie pewnego dnia skalistym irlandzkim wybrzeżem. Znowu spogląda na las. Las ciemniejszy i gęściejszy niż wszystkie pomieszane sny ludzkości. Zamyka oczy, słyszy zimny deszcz padający na dach hotelu odległego o eony.

– Jeszcze nie, Anne – mówi za nią ktoś o głosie Morrisa.

Ona otwiera oczy, ale nikogo tam nie ma oprócz sprzedawcy precli, a on chyba nawet jej nie zauważył. Anne wstaje i otrzepuje piasek z džinsów.

I wtedy dostrzega srebrną rzecz błyszczącą na brzegu potoku, siedmiokątny dysk, który nie jest monetą. Ona teraz to wie, i wie, że nie jest to również część żyjącej kiedyś istoty. Coś zrobionego z metalu, zaprojektowanego. Schyla się i podnosi to coś: jest lodowate w dotyku, dostatecznie zimne, żeby sparzyć wnętrze jej dłoni. Ale ona musi zobaczyć znaki wyryte w tej rzeczy, symbole, których nie rozpoznaje i nie potrafi odczytać, runy albo nieznanne pismo klinowe wokół obrazu pośrodku dysku: twarzy otoczonej mackami, z dziobem papugi i skrzydłami smoka. Nagle ogłuszający trzask pioruna z jasnego nieba i Anne upuszcza tę rzecz, a ona wpada do wody z cichym, ale wyraźnym pluskiem i zanurza się między martwe gałęzie, gdzie zniknęły małe rybki. Chce po nią sięgnąć, ale myśli o ostrych jak brzytwa szczękach zawiasowców, o ząbkowanych pazurach wielkoraków (truchających na odnóżach jak u skorpiona), i spogląda w nieskończone błękitne sklepienie.

– Co miałam zobaczyć? – pyta we śnie bezchmurnego nieba, z którego jednak uderzył piorun, tak jak wcześniej słyszała bezcielesny głos Morrisa Whitneya.

Po raz pierwszy zaczyna się bać, chce się obudzić, bo coś porusza się w paprociach po drugiej stronie potoku, coś ogromnego, i znowu ten grzmot, który nie jest prawdziwym grzmotem, brzmi jak rozdarcie w niebie. Pada, ale to nie woda leci z góry. Anne mocno zaciska powieki. Nie ma magicznych czerwonych pantofelków, więc powtarza imię Morrisa, raz po raz, podczas gdy piekące brudne krople siekają jej twarz, a sadzawka u jej stóp robi się czerwona i paruje.

\* \* \*

Teraz jest ranek, burza ustała, przewiana na południe do Bantry i Skibbereen, nad Morze Celtyckie. Niebo jest idealnie błękitne, kiedy Anne jedzie sama na klify. Zardzewiały fioletowy rower pożyczony od hotelowego kucharza, kręta droga na północ przez las Glanleam, obok latarni morskiej, a potem węższym szlakiem na zachód, bardziej ścieżką dla owiec, obok stromego wzniesienia Reenadrolaun i dalej do Culloo. Morskie powietrze chłodzi jej twarz, dłonie, nogi ją bolą, zanim dociera na miejsce.

Widzi stojącą przy klifach dziewczynę na długo przed tym, jak zbliża się na tyle, by rozpoznać Máire, jej zmierzwiłone czarne włosy i gruby



welniany kardigan. Studentka patrzy na spienione grzywacze, w prawej ręce trzyma coś ciemnego. Anne zatrzymuje się, stawia rower na nóżkach i przechodzi ostatnich dziesięć czy dwadzieścia metrów. Ale jeśli Máire ją słyszy, nie daje tego po sobie poznać. Stoi zupełnie bez ruchu i obserwuje niespokojne, burzowe morze.

– Máire?! – woła Anne. – Cześć! Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

Dziewczyna odwraca się powoli, sztywno, jak ktoś na wpół śpiący, a Anne myśli, że może płakała, oczy ma zaczerwienione, mokre zielone oczy i ciemne sińce pod nimi, jakby od dawna nie spała.

– Chcę zadać ci pytanie o jedno ze zdjęć. Mam je...

I nagle Anne dostrzega, co dziewczyna naprawdę trzyma w ręce: mały czarny pistolet. Máire uśmiecha się do niej.

– Dzień dobry, doktor Campbell.

Mija chwila, zanim Anne odpowiada, dwa uderzenia serca przed tym, jak udaje się jej oderwać wzrok od pistoletu. Słońce odbija się od krótkiej chromowanej lufy.

– Dzień dobry, Máire – mówi w końcu. W ustach ma sucho, słowa wydobywają się z nich ciche i bezdźwięczne.

– Dobrze pani spała? – pyta ona, a Anne kiwa głową. Máire odwraca się z powrotem w stronę morza. – Bałam się, że będzie pani miała złe sny. Wie pani, po obejrzeniu tych wszystkich fotografii.

– Co to za dysk na zdjęciu, Máire? Wiesz, co to jest, prawda? – Anne robi krok w jej stronę, krok bliżej do miejsca, gdzie kończy się miękka ziemia, a zaczyna szary kamień.

– Nie zabiłam go – mówi dziewczyna. – Chcę, żeby pani to wiedziała. Nie zrobiłam tego. I Bill też nie. – Jej drżący palec zaciska się wokół spustu, kiedy Anne jest zaledwie metr od niej, kiedy dzielą je jeszcze dwa albo trzy kroki. – To, co zrobiliśmy, jest wystarczająco złe. Ale to nie było morderstwo.

– Będziesz musiała mi wyjaśnić, o czym mówisz. – Anne boi się poruszyć, boi się również stać bez ruchu.

Máire znowu się do niej odwraca.

– Nie miała pani zobaczyć tych zdjęć, doktor Campbell. Zamierzałam je spalić. Po tym, co zrobiliśmy ze śladami, mieliśmy spalić wszystko.

Z jasnych zielonych oczu płyną świeże łzy, a Anne widzi, że pogryziona dolna warga jest czerwona, na brodzie świeża krew. Anne robi następny krok.

– Dlaczego mieliście spalić zdjęcia? Czy Morris kazał ci je spalić, Máire?

Pusty, zdziwiony wyraz twarzy i krzywy uśmiech, a potem Máire kręci głową i pociera lufą pistoletu o sztruksowe spodnie.

Mówi coś, czego Anne nie rozumie, a co brzmi jak: *Theena dow'an*.

– Nie znam irlandzkiego. – Anne błaga, chce zrozumieć.

Widzi urazę i gniew w oczach Máire, bezdenne poczucie winy rosnące jak rak. Dziewczyna unosi pistolet i przykłada lufę do swojej prawej skroni.

– O Boże, nie, Máire.

Dziewczyna znowu szepcze te dwa słowa:

– *Theena dow'an*.

Potem odwraca się do morza i w tej samej chwili naciska spust. Huk wystrzału brzmi jak grzmot z koszmaru Anne Campbell i jest to dźwięk rozdzieranego nieba, odgłos fal rozbijających się o poszarpany skalisty brzeg.

Na zachodzie nadal istnieją przekazy o Fomorianach, którzy zamieszkiwali Irlandię przed przybyciem Celtów. Są oni być może najstraszniejszymi ze wszystkich wodnych istot, znanymi również jako Daoine Domhain, Głębokowodni, choć rzadko mówi się o nich głośno.

Lady Wilde, *Stare legendy Irlandii* (1888)

## Tak ucieka świat

– Gwiazdka z nieba za twoje myśli – mówi ona.

A Gable, dziewczyna o srebrnych oczach i zębach jak ostatni dzień zimy, wskazuje na nocne niebo rozciągające się wysoko nad Providence. Tajemnicze nocne niebo nad Nową Anglią i szeroką rzeką Seekonk. Kilka kilometrów dalej na północ trzeba nazywać ją Pawtucket, ale tutaj, gdzie pełna ryb omywa Swan Point i strome zbocza cementarza, nadal jest Seekonk. Dalej widać pomarańczowe industrialne światła Filadelfii. Martwa Dziewczyna mruga raz czy dwa, żeby pozbyć się smaku z ust, a potem podąża wzrokiem za brudnym palcem Gable. Na wschodzie przemyka przez niebo smuga białego światła.

– Bardzo ładne, ale one nie są naprawdę, wiesz – mówi ona.

Gable się krzywi, by pokazać, że nie rozumie. Jej blada twarz jest pomarszczona jak u bardzo starej kobiety, twarz jak wyschnięte jabłko.

– Nie są naprawdę czym? – pyta.

– Gwiazdami – odpowiada Martwa Dziewczyna. – To tylko meteoryty. Kawałki skały i metalu mknące przez kosmos i spalające się, gdy za bardzo się zbliżą. Ale to nie są gwiazdy. Nie, jeśli spadają w taki sposób.

– Albo anioły – szepcze Bobby i zaraz wraca do jedzenia jeżyn, które zerwał z krzaków rosnących wzdłuż brzegu.

– Nigdy nie mówiłam nic o aniołach – warczy Gable, a chłopiec rzuca w nią jeżyną. – Jest dużo różnych słów na anioły.

– I na spadające gwiazdy – stwierdza Martwa Dziewczyna z kamienną stanowczością, by wiedzieli, że ona jedynie o tym chce słyszeć: o meteorytach, które przestają być meteorami, o Seekonk zmieniającej się w Pawtucket, bo przecież chodzi jedynie o odległość między jednym punktem a drugim. Równie arbitralną jak każda zmiana, więc znowu przyciska usta do lewego nadgarstka biegającej damy. Został w nim duch

pulsu nie grubszy od prześcieradła, stygnące mięso w jej zębach, ciało, które równie dobrze mogłoby być gliną, gdyby nie to, że nadal zostało w nim kilka czerwonych kęsów. Odgłos jej pracowitych warg nie różni się tak bardzo od dźwięku fal bijących o brzeg.

– Znam siedem słów na szary – mówi Bobby z ustami pełnymi nasionek, pulpy i ciemnego soku ściekającego po fioletowej brodzie. – Wziąłem je ze słownika.

– Jesteś małym pedałem – warczy na niego Gable o rtęciowych oczach. Jej dolna warga jest napuchnięta, jakby znowu ktoś ją pobił.

Martwa Dziewczyna wie, że nie powinna kłócić się z Gable o spadające gwiazdy i anioły. *Następnym razem będę o tym pamiętała, myśli. Następnym razem uśmiechnę się i powiem to, co ona chce usłyszeć.* Kiedy wreszcie kończy z biegającą panią, cicho jak mysz pierwsza sunie w swoich jedwabnych pantoflach przez błoto i kamyki, a rzeka jest tak zimna jak spadające gwiazdy w sierpniową noc.

\* \* \*

Godzina i cztery minuty po północy w dużym domu przy Benefit Street, a duchy nadal dłubią w ciałach w piwnicy. Martwa Dziewczyna siedzi z Bobbym na schodach, które prowadzą do muzyki i rozmów na górze, do elektrycznych świateł i ostro-słodkich chmur dymu opiumowego; tutaj na dole są tylko świece, a powietrze pachnie nagimi ziemnymi ścianami i pleśnią, zabalsamowanym mięsem rozłożonym na długim rzeźnickim stole. Kiedy ghule pracują w taki sposób, stoją na krzywych tylnych nogach i przysuwają do siebie psie pyski. Bardzo chudy o imieniu Barnaby (jego nerwowe uszy są wyczulone na każdy odgłos kroków na piętrze, na każde skrzypnięcie drzwi, jakby kogoś Na Górze w ogóle obchodziło, co oni robią Na Dole) bierze zardzewiały nóż do oddzielania kości i unosi nim pasek suchego ciała koloru starej gumy do żucia.

– To *gastrocnemius* – mówi, a żółto-pomarańczowa tęczęwka jego lewego oka niespokojnie wędruje w stronę innych, zwłaszcza pani Terpsychory.

Ona kręci głową i śmieje się w sposób, który sprawia, że wszystkie ghule też wybuchają śmiechem. *Tak śmiałyby się głodne psy, gdyby się*

odważyły, myśli Martwa Dziewczyna i zaczyna żałować, że ona i Bobby jednak nie poszli do Warwick z Gable i Dozorcą.

– Nie, to jest *soleus*, kochaniutki – mówi pani Terpsychora i rzuca Barnaby’emu szyderczy uśmiech, wypraktykowane skrzywienie czarnych warg, pożółkłe zęby jak zaostrome klawisze pianina, szybki ruch długiego różowego języka po pysku. – *Gastrocnemius* jest tam. Nie uważałeś.

Barnaby marszczy brwi i drapie się po głowie.

– Gdybyśmy kiedyś dostali coś świeżego, może bym je odróżniał – tłumaczy się burkliwie.

Martwa Dziewczyna wie, że sekcja zaczyna nudzić Bobby’ego. Chłopak zerka przez ramię na drzwi piwnicy i na sączący się spod nich ciepły blask.

– A teraz proszę pokazać mięsień strzałkowy długi – rzuca profesorskim tonem pani Terpsychora.

Słysząc niecierpliwe szczęknięcie, kiedy Barnaby grzebie w swojej torbie, szukając nożyc do drobiu, widelca do ostryg, jednego albo drugiego, albo czegoś całkiem innego.

– Chcesz na chwilę wrócić na górę? – pyta Martwa Dziewczyna, a chłopak wzrusza ramionami, ale nie odrywa oczu od drzwi piwnicy, nie odwraca się, żeby obserwować ghule.

– Więc chodźmy. – Wstaje i bierze go za rękę, a pani Terpsychora w końcu ich zauważa.

– Nie rób tego, proszę, kochaniutka – mówi. – Zawsze lepiej jest z publicznością, a jeśli pan Barnaby kiedyś znajdzie właściwe narzędzie, może jeszcze zobaczymy skórowanie i pozyskiwanie tłuszczu.

Inne ghule parskają śmiechem.

– Chyba ich nie lubię – szepcze Bobby, a Martwa Dziewczyna tylko kiwa głową i prowadzi go do schodów wiodących na przyjęcie.

\* \* \*

Bobby mówi, że chce coś do picia, więc idą najpierw do kuchni, gdzie z hałaśliwej antycznej lodówki on bierze colę, a ona dla siebie heinekę. Odkręca kapsel z chłodnej zielonej butelki i sączy gorzkie holenderskie piwo; nigdy nie lubiła tego smaku, ale czasami wydaje się, że jest strasznie dużo rzeczy, których wcześniej nie lubiła. Piwo jest bardzo, bardzo zimne i splukuje resztki piwnicznego powietrza, pylisty posmak grzybów, suchego

klepiska i miliona mikroskopijnych zarodników szukających miejsca do rozwoju.

– Chyba w ogóle ich nie lubię – wyznaje Bobby, nadal szepcząc, chociaż teraz są na górze.

Martwa Dziewczyna chce mu powiedzieć, że już nie musi szeptać, ale wtedy przypomina sobie Barnaby'ego, jego czujne psie uszy, i już nic nie mówi.

Prawie wszyscy siedzą razem we frontowym salonie, przestronnym pokoju pełnym książek. Witrażowa lampa rozsiewa słodkie i gorzkie landrynkowe kolory, cukierkowe światło, które razi ją w oczy. Kiedy pierwszy raz wpuszczono ją do żółtego domu przy Benefit Street, Gable pokazała jej wszystkie lampy, wszystkie książki, wszystkie pokoje, jakby należały do niej. Jakby tu było jej miejsce, a nie na mulistym dnie rzeki Seekonk, kolejna ładna, zniszczona istota w domu pełnym rzeczy, które są ładne albo zniszczone, albo jedno i drugie. Część z tych antyków oddycha, inne nie. Niektóre, jak panna Josephine, zapomniały, jak i po co oddychać, nie licząc mówienia.

Siedzą wokół niej w czarnych pogrzebowych ubraniach, na krzesłach zrobionych w roku tysiąc siedemset pięćdziesiątym czwartym albo trzecim. Nierówny krąg mężczyzn i kobiet, których widok zawsze nasuwa Martwej Dziewczynie myśl o krukach zgromadzonych nad padliną, wronach wokół ciała szopa pracza, bijących się o najlepsze kąski; ostre dzioby wymierzone w jej jasne szafirowe oczy, porcelanowe czubki palców albo ciche, niebijące serce. *Cesarzowa jest jak zwierzę rozjechane przez samochód*, myśli Martwa Dziewczyna, ale nie śmieje się na głos, choć ma ochotę wyśmiać te sztywne przeżytki, tragiczne figury woskowe sączące absynt i wsłuchujące się w każde słowo panny Josephine jak w ewangelię, jak w zbawienie. Lepiej wymknąć się niepostrzeżenie i znaleźć dla siebie i Bobby'ego jakieś miejsce, gdzie nie będą przeszkadzać.

– Widział pan wielki pożar, signor Garzarek? – pyta panna Josephine i patrzy na książkę, którą trzyma otwartą na kolanach, zieloną jak butelka piwa Martwej Dziewczyny.

– Nie, nigdy – odpowiada jedna z figur woskowych, wysoki mężczyzna o przylizanych włosach i za dużych w stosunku do głowy, ostro zakończonych uszach. – Nie lubię takich rzeczy.

– Ale to było piękne – zapewnia go panna Josephine i milknie, nie odrywając wzroku od zielonej książki. Po tym, jak jej oczy poruszają się po



stronicach, widać, że czyta to, co jest na nich wydrukowane. – Nie, to nie jest właściwe słowo. To w ogóle nie jest właściwe słowo.

– Byłam w Dreźnie – odzywa się jedna z kobiet.

Panna Josephine podnosi głowę i patrzy na nią, jakby nie pamiętała, jak się nazywa ta figura woskowa.

– Nie, nie, Addie, to nie tak. O, jestem pewna, że Drezno też było wspaniałe, owszem. Ale to nie było coś, co zrobił człowiek. Tylko coś, co zrobiono ludziom. I właśnie dzięki temu jest to rzecz prawdziwie transcendentna, prawdziwie... – Panna Josephine wraca wzrokiem do książki, jakby gdzieś w niej było słowo, którego jej zabrakło.

– Więc niech nam pani przeczyta – prosi signor Garzarek i wskazuje dłonią w rękawicze na zieloną książkę.

Panna Josephine spogląda na niego błyszczącymi niebieskimi oczami. Oczami, które wydają się jednocześnie wdzięczne i złośliwe.

– Jesteście pewni? – pyta. – Nie chciałam was zanudzić.

– Proszę – odzywa się mężczyzna, który nie zdjął melonika i chyba ma na imię Nathaniel. – Zawsze lubimy słuchać, jak pani czyta.

– Cóż, skoro jesteście pewni – mówi panna Josephine, prostuje się na sofie, chrząka, poprawia fałdy czarnej satynowej sukni, która wygląda na równie starą jak krzesła.

– „Właśnie to przyszło następne... ogień”. – Teraz jest to lektorski głos. Martwa Dziewczyna zamyka oczy i słucha. – „Wybuchł wszędzie. Ognista fala zniszczenia przyniosła ze sobą płonąca pochodnię... Agonię, śmierć i płonąca pochodnię. Było tak, jakby demon biegał z tą pochodnią od miejsca do miejsca. Płomienie strzelały z na wpół zawalonych budynków wzdłuż całej Market Street. Usiadłam na chodniku i wyjęłam rozbite szkło z podeszew moich stóp, włożyłam ubranie. Wszystkie słupy elektryczne runęły!”.

I tak przez następnych dwadzieścia minut, przyjazny półmrok i panna Josephine czytająca z zielonej książki, podczas gdy Bobby siorbie colę, a woskowe kruki nie wydają żadnego dźwięku. Martwa Dziewczyna kocha rytm głosu panny Josephine, niczym kadencja deszczu w upalny dzień albo lody, to właśnie taki rodzaj głosu. Ale byłoby lepiej, gdyby czytała coś innego. Może *Rymy o sędziwym marynarzu* albo Keatsa czy Tennysona. Ale to lepsze niż nic, więc Martwa Dziewczyna słucha całkiem zadowolona, i mniejsza o trzęsienia ziemi czy pożary, dym i krzyki umierających ludzi i koni. Liczy się brzmienie głosu, a nie słowa czy coś innego. I jeśli ona tak

to czuje, podobnie jest z milczącymi figurami woskowymi siedzącymi na sztywnych kolonialnych krzesłach.

Kiedy panna Josephine kończy, zamyka książkę i uśmiecha się, kłując ich widokiem ostrych białych zębów.

– Znakomite – mówi Nathaniel.

– O tak, znakomite – włącza się Addie Goodwine.

– Naprawdę jest pani przewrotną istotą, Josephine – stwierdza signor Garzarek, zapala grube cygaro i wydmuchuje skłębioną dymną zjawę. – Rozkoszna perwersja owinięta w tak zwyczajne opakowanie.

– A zatem pisałam jak James Russell Williams – oznajmia z dumą panna Josephine. – I nawet mi zapłacili.

Martwa Dziewczyna otwiera oczy, Bobby skończył colę i teraz turla pustą butelkę tam i z powrotem po dywanie, jakby wałkował ciasto.

– Podobało ci się? – pyta go Martwa Dziewczyna, a on wzrusza ramionami. – Ani trochę?

– Nie było takie złe jak ghule – odpowiada chłopak, ale na nią nie patrzy. Ostatnio nie patrzy bezpośrednio na nikogo.

Mija kilka minut, po czym panna Josephine nagle przypomina sobie o czymś, co znajduje się w innym pokoju, a co chciałaby pokazać figurom woskowym, co muszą zobaczyć: urnę albo mosiężny zegar słoneczny, najnowszy skarb ukryty we wnętrznościach wielkiego zagraconego domu. Wychodzą za nią z salonu do holu, gawędząc i zostawiając za sobą dym cygarowy i papierosowy. I nawet jeśli ktoś zauważył Bobby’ego i Martwą Dziewczynę siedzących na podłodze, udaje, że ich nie widzi. Co Martwej Dziewczynie odpowiada; nie lubi ich wszystkich, ich niezdrowego zapachu, skrywanej desperacji w oczach.

Panna Josephine zostawiła książkę na żurawinowej sofie, więc kiedy ostatni wampir znika, Martwa Dziewczyna wstaje, podchodzi do kręgu krzeseł i patrzy na zieloną okładkę.

– Co tam jest napisane? – pyta Bobby, więc ona odczytuje mu tytuł. – *Horror trzęsienia ziemi, pożaru i głodu w San Francisco*.

Potem bierze książkę i pokazuje mu okładkę, wyblakłe złote litery tłoczone na zielonym płótnie. Pod spodem kobieta w ciemnych szatach, ze stopami w ogniu i wodzie, z chaosem oplecionym wokół kostek, kłania się rzędomi roztrzaskanych marmurowych kolumn i kamieniowi narożnemu z wyrytymi na nim słowami: „Ku pamięci kalifornijskich zmarłych – 18 kwietnia 1906”.

– To dawno temu, prawda? – pyta Bobby.

Martwa Dziewczyna odkłada książkę.

– Nie, jeśli się jest panną Josephine. – *Jeśli się jest panną Josephine, to wydarzyło się zaledwie wczoraj, przedwczoraj. Jeśli się nią jest...* Ale takich myśli lepiej nie kończyć, lepiej w ogóle takich rzeczy nie myśleć.

– Nie musimy wracać do piwnicy, prawda? – dopytuje się Bobby.

Martwa Dziewczyna kręci głową.

– Nie, jeśli nie chcesz.

Podchodzi do okna i patrzy na Benefit Street, na przejeżdżające nią samochody, na żywych ludzi z ich błahymi powodami, żeby nienawidzić czasu. Po chwili zbliża się Bobby i staje obok niej. Bierze ją za rękę.

\* \* \*

Martwa Dziewczyna gromadzi swoje sekrety w starym pudełku po cygarach – tych kilka, których nie może po prostu zachować w głowie – a stare pudełko trzyma na półce w mauzoleum na Swan Point. Pod wypielegnowanym wzgórzem, które wznosi się ostro od brzegu rzeki, stromym wzgórzem przystrojonym zmarłymi, w chłodnej ciemności pod zieloną trawą i szumiącymi na wietrze gałęziami drzew. Tylko Bobby wie o pudełku, a ona sądzi, że chłopak zachowa to dla siebie. On rzadko z kimś rozmawia, zwłaszcza z Gable. Martwa Dziewczyna wie, co zrobiłaby Gable, gdyby dowiedziała się o pudełku, wydaje się jej, że wie, i to wystarczy, żeby ukrywała je w mauzoleum.

Dozorcy zamurowali front krypty lata temu, ale zostawili małą kratkę z kutego żelaza tuż pod marmurowym zwornikiem i spatynowaną tabliczką z nazwiskiem Stanton, choć Martwa Dziewczyna nie ma pojęcia, dlaczego tak zrobili. Może po to, żeby robale mogły przez nią wchodzić i wychodzić albo żeby ci wszyscy martwi Stantonowie mogli czasami zaczerpnąć świeżego powietrza, choć kratka nie jest na tyle duża, żeby precyzyjnie się przez nią nietoperze, jerzyki czy szczury. Nadal jednak zostaje dużo miejsca między prętami, żeby Martwa Dziewczyna i Bobby zdołali wśliznąć się do środka, kiedy ona chce spojrzeć na rzeczy, które trzyma w starym pudełku po cygarach.

W noce takie jak ta, po długich przyjęciach, po tym jak panna Josephine w końcu traci zainteresowanie swoimi woskowymi krukami i przepędza je

wszystkie (oczywiście z wyjątkiem ghuli, które do woli chodzą sobie tunelami w piwnicy). Została jeszcze ciemnoszara godzina do znienawidzonego świtu, ale Martwa Dziewczyna wie, że Gable już pewnie czeka na nich w rzece, może jednak poczekać kilka minut dłużej.

– Może przyjąć nas szukać – mówi Bobby, kiedy są w środku mauzoleum, a on staje na palcach, żeby wyrzeć na zewnątrz, lecz kratka jest trzydzieści centymetrów nad jego głową.

– Nie przyjdzie – zapewnia go Martwa Dziewczyna i wmawia sobie, że to prawda, że Gable zbyt się cieszy, że jest z powrotem na dole w ciemności, żeby zawracać sobie nimi głowę. – Pewnie już śpi.

– Może. – Bobby nie brzmi ani trochę na przekonanego. Siada na marmurowej posadzce i obserwuje Martwą Dziewczynę rtęciowymi oczami, lustrzanymi oczami tak pełnymi światła, że będą widziały nawet wtedy, gdy ostatnia gwiazda w całym przeklętym wszechświecie wypali się i zmieni w wirujący żużel.

– Pozwól, że ja będę się martwić o Gable – mówi Martwa Dziewczyna i otwiera pudełko.

Widzi, że wszystkie skarby nadal są w środku, tak jak je zostawiła. Gazetowe wycinki, garść monet, cynowy medalik ze św. Krzysztofem i prawa ręka plastikowej lalki. Trzy klucze i kawałek aksamitu w kolorze indygo, poplamiony na kasztanowo wzdłuż brzegów. Rzeczy, które nic nie znaczą dla nikogo oprócz Martwej Dziewczyny; jej puzzle. Nikt inny nie wie, jak te kawałki do siebie pasują. Albo nawet czy w ogóle pasują. Czasami nawet ona nie pamięta, ale i tak czuje się lepiej, kiedy je widzi, kiedy ich dotyka, kiedy bierze je do ręki.

Bobby niecierpliwie bębni palcami w podłogę, a kiedy ona na niego patrzy, chłopak marszczy brwi i spogląda w sufit.

– Przeczytaj mi to o Mercy – prosi on, a Martwa Dziewczyna opuszcza wzrok na pudełko po cygarach Hav-a-Tampa.

– Robi się późno, Bobby. Ktoś może mnie usłyszeć.

Chłopak nie ponawia prośby, tylko gapi się w sufit i bębni palcami po podłodze.

– To nawet nie jest bajka – mówi Martwa Dziewczyna i wyjmuje z pudełka jeden z wycinków. Orzechowego koloru papier zrobił się niemal tak kruchy, jak ona czuje się w środku, słowa na nim wydrukowane mają ponad wiek.

– To prawie jak bajka, kiedy ty czytasz – odpowiada Bobby.

Przez chwilę Martwa Dziewczyna stoi zupełnie bez ruchu i słucha ostatnich cichnących powoli nocnych dźwięków i tych bardziej obcych, które pojawiają się tuż przed świtem; ptaków, ślepego przekopywania się dżdżownic przez ziemię, owadów i syreny okrętowej w porcie Providence, palców Bobby'ego bębniących po marmurze. Myśli o panie Josephine i jej kojącym głósie, lodowym głósie w każdej pustej chwili wieczności. I zaczyna czytać.

**List do  
„Pawtuxet Valley Gleaner”,  
marzec 1892**

Exeter Hill

Panie Wydawco,

Jako że po ekshumacji trzech ciał na cmentarzu Exeter dnia siedemnastego bieżącego miesiąca powstał spory rozgłos, podam główne fakty, które zdobyłem dla Pańskich czytelników. Na początek powiemy, że nasz sąsiad, dobry i szanowany obywatel George T. Brown, stracił z powodu suchot żonę i dwie dorosłe córki. Żonę i matkę osiem lat temu, starszą córkę Olive dwa lata później, zaś drugą Mercy Lenę dwa miesiące temu po trwającej prawie rok tej samej strasznej chorobie. Dwa lata temu jedyny syn pana Browna, Edwin A., młody, żonaty mężczyzna dobrych obyczajów, zaczął mieć kłopoty z płucami. Gdy te się nasiliły, w nadziei na wyleczenie udał się do słynnego Colorado Springs, dokąd później podążyła za nim jego żona, i choć przez jakiś czas wydawało się, że nastąpiła poprawa, wkrótce stało się jasne, że nie ma żadnych prawdziwych korzyści z kuracji. W związku z silnym pragnieniem zarówno męża, jak i żony, by zobaczyć przyjaciół z Rhode Island, postanowili oni wrócić na wschód po trwającej osiemnaście miesięcy nieobecności i zamieszkać z rodzicami pani Brown w Willet Himes. Z przykrością musimy poinformować, że zdrowie Edwina nie jest najlepsze. I teraz pora na najdziwniejszą część. Odrodzone pogaństwo czy inne przesady głoszą, że martwi pożywiają się żyjącymi krewnymi, kiedy przyczyną ich śmierci były suchoty, i teraz doprowadzają tę osobę do takiego samego stanu, a żeby tego uniknąć, według tego samego autorytetu, rzeczony „wampir”, który podobno zamieszkuje serce zmarłego suchotnika, póki w tym organie pozostaje resztką krwi, musi być

skremowany, a popioły zebrane i w jakiejś formie podane chorej ofierze, gdy (nie)rozsądnie oczekuje się szybkiego leku. Powiem tutaj, że mąż i ojciec zmarłych od początku wypierał się wiary w teorię o wampirach, ale zmuszony okolicznościami przyjął inną, jeśli nie mądrzejszą radę i siedemnastego bieżącego miesiąca, jak już wcześniej wspomniano, trzy ciała zostały ekshumowane, a następnie zbadane przez doktora Metcalta z Wickford (który jako niewierzący zrobił to niechętnie). Dwa ciała najdłużej pochowane znajdowały się w stanie rozkładu i były pozbawione krwi, natomiast ostatnie, pogrzebane od zaledwie dwóch miesięcy, miało w sercu, rzecz naturalna, trochę krwi, tak jak się spodziewał lekarz, więc serce i płuca ostatniej zmarłej (M. Leny) zostały od razu spopielone, ale nie wiadomo, co zrobiono z popiołami. Niewiele osób było przy tym obecnych, a wśród nieobecnych znajdował się pan Brown. Choć nie potępiamy tych działań, jako że ich celem było bez wątpienia uspokojenie żyjących, wydaje się niewiarygodne, że ktoś może przykładać choćby najmniejszą wagę do tej sprawy, tak całkowicie sprzecznej z rozumem i kłócącej się z Pismem, które mówi o „wytłumaczeniu się z nadziei waszej”, albo szukać wyjaśnień, których oczywiście nie da się doszukać w przytoczonej historii.

\* \* \*

Z mułem i rybimi odchodami osiadającymi łagodnie na jej powiekach, z płucami wypełnionymi zimną wodą rzeki śpi Martwa Dziewczyna, z czarnym jak sadza szlamem jako kocem, kokonem, z Bobbym wtulonym bezpiecznie w jej ramiona. Gable też tam jest, leży gdzieś w pobliżu, zwinięta jak węgorz w korzeniach zatopionej wierzby.

W snach Martwa Dziewczyna liczy łodzie, które przepływają nad jej głową, dziobami rozdzierającienne niebo, za sobą zostawiając wiry burzowych chmur. Kraby i małe ślimaki gnieźdzą się w jej włosach, jej mokre myśli suną gładko i kapryśnie jak Seekonk, jedna chwila albo wspomnienie przechodzi płynnie w następne. A tą chwilą, tą tutaj, jest ostatnia noc, kiedy jeszcze była żywą dziewczyną. Ostatnia mroźna noc przed Halloween, ona najarana zakrada się na cmentarz Swan Point z chłopcem o imieniu Adrian, którego poznała zaledwie kilka godzin wcześniej na głośnym i pełnym dymu chaosie koncertu Throwing Muses,

Adrian Mobley i jego długie żółte włosy jak promienie słońca albo najczystsza złota przędza.

Adrian nie chce albo nie może przestać chichotać z powodu żartu albo tego całego zioła, które wypalili, a ona prowadzi go prosto Holly Avenue, długą brukowaną drogą do Old Road i serca rozległego labiryntu cmentarnych łupków i granitów. Nagrobki i bardziej ambitne pomniki stoją w równych rzędach albo są rozrzucone bezładnie między drzewami, w sadzawkach odbija się wysoki biały księżyc, więc ona nie ma trudności ze znalezieniem drogi w mroku.

– Zamknij się. – Wężowe dźwięki wydobywają się z jej spierzchniętych warg przez szczękające zęby. – Ktoś nas, kurwa, usłyszy.

Widzi swój oddech, duszę uciekającą przez parujące usta.

Potem Adrian otacza ją ramionami, wełniany sweter i ciepłe ciało, i szepcze jej do ucha coś, co powinna na zawsze zapamiętać, ale nie pamięta. Tak jak zapomniała woń późnych letnich popołudni i słońca na piasku. On ją całuje.

I za ten pocałunek ona pokazuje mu miejsce, gdzie jest pochowany Lovecraft, ciche miejsce, do którego przychodzi, kiedy chce być sama, bez innego towarzystwa oprócz własnych myśli i taktownych śpiących ciał wokół. Obelisk rodziny Phillips, a potem jego mały nagrobek. Ona wyjmuje plastikową zapalniczkę z przedniej kieszeni dżinsów i przysuwa płomień do ziemi, żeby Adrian mógł odczytać napis: 20 sierpnia 1890 – 15 marca 1937, „I am Providence”. Pokazuje mu dary, które zostawiają dziwni pielgrzymi. Garść ołówków, zardzewiały śrubokręt, dwie pięciocentówki, mała gumowa ośmiornica, odręczny list starannie złożony i przyciśnięty kamieniem, żeby nie porwał go wiatr. List zaczyna się od słów „Drogi Howardzie”, ale ona dalej nie czyta, bo nic z tego nie jest napisane do niej. Potem Adrian znowu próbuje ją pocałować.

– Nie, zaczekaj, jeszcze nie widziałeś drzewa – mówi ona.

Uwalnia się z chudych ramion Adriana Mobleya i odciąga go od obelisku. Dwa kroki, trzy i oboje zostają pochłonięci przez cień ogromnej starej brzozy. To drzewo musiało być stare, kiedy jej pradziadek był chłopcem. Jego rozłożyste gałęzie są kudłate od jesiennych liści, korzeniami niczym kostropate palce jakiegoś giganta sięgającego nieba chwytają się ziemi ze strachu, że upadnie i będzie się wiecznie toczyć w stronę gwiazd.

– Tak, więc to jest drzewo – mamrocze Adrian, nie rozumiejąc, nawet nie próbując zrozumieć, a ona już wie, że przyrowadzenie go tutaj było błędem.

– Ludzie wyrzeźbili te rzeczy – mówi i zapala zapalniczkę.

Trzyma migoczący niebiesko-pomarańczowy płomyk tak, żeby Adrian mógł zobaczyć wszystkie graffiti zrobione szczyrykiem na gładkiej jasnej korze drzewa. Niewymawialne imiona mrocznych, zmyślonych bogów i całe fragmenty z Lovecrafta, brzytwa i atrament, żeby wytatuować te okultystyczne rany i samotne wiadomości dla martwego człowieka. Ona przesuwa palcem wskazującym po bliźnie w kształcie ryby z mackami wokół głowy, parodii chrześcijańskiego ichtysa.

– Czyż to nie jest piękne? – szepcze.

I wtedy Martwa Dziewczyna widzi oczy obserwujące ich z najniższych gałęzi drzewa, błyszczące, srebrne, złe oczy niczym monety wiszące pośród nocy, niczym dziwne owoce.

– To gówno wcale nie wydarzyło się w ten sposób – mówi Gable. – To nawet nie są twoje wspomnienia, tylko wspomnienia ukradzione jakiejś dziwce, którą zabiliśmy.

– O, myślę, że ona to wie – śmieje się Dozorca i to jest gorsze niż ghule szydzące z pani Terpsychory.

– Ja tylko chciałam, żeby on zobaczył to drzewo – mówi Martwa Dziewczyna. – Chciałam pokazać mu coś, co jest wyryte na drzewie Lovecrafta.

– Kłamczucha – rzuca szyderczo Gable.

Dozorca znowu parska śmiechem. Kuca na kurzu i opadłych liściach i zaczyna wyjmować spomiędzy zębów coś włóknistego.

Uciekłyby, ale rzeka prawie zmyła świat, tak że nie zostało nic oprócz drzewa, księżycy i istoty, która schodzi po pniu na pajęczych nogach i rękach koloru pyłu kredowego.

*Czy to jest Śmierć? Są ich dwie?*

– Wiemy, że byś nas zapomniała, gdybyśmy cię wypuścili – mówi Gable. – Udawałabyś, że jesteś niewinną ofiarą.

Jej suchy język na nadgarstku Martwej Dziewczyny jest szorstki jak papier ścierny, język martwego kota. Nad nimi północne konstelacje wirują w szalonym kalejdoskopowym tańcu wokół księżycy, drzewo jęczy i unosi kołyszące się ramiona do nieba, modląc się o dzień, o światło i uwolnienie od wszystkiego, co widziało i co jeszcze zobaczy.



### *Czy Śmierć jest towarzyszem tej kobiety?*

Na błotnistym dnie Seekonk w cieniu Henderson Bridge powieki śpiącej trzepoczą, kiedy Martwa Dziewczyna porusza się niespokojnie, płosząc ryby, walcząc z marzeniami sennymi. Ale noc nadal jest odległa o godziny, czeka na drugim brzegu palącego dnia, więc ona mocniej przytula Bobby'ego. Chłopiec wydaje z siebie małe, zagubione westchnienie, a rzeka je porywa i wlecze w stronę Narragansett Bay.

\* \* \*

Martwa Dziewczyna siedzi sama na podłodze salonu domu przy Benefit Street, sama, bo Bobby tej nocy jest z Gable. Ona pije heinekę i obserwuje żółte i oberżynowe kręgi, kreślone przez głosy figur woskowych w stojącym, zadymionym powietrzu, i próbuje sobie przypomnieć, jak to było, zanim poznała kolory dźwięków.

Panna Josephine podnosi karafkę i ostrożnie nalewa wodę z kranu na kostkę cukru leżącą na łyżce durszlakowej. Kiedy woda i rozpuszczony cukier opadają na dno kieliszka, likier zaczyna mętnieć, czysta, przezroczysta szmaragdowa mieszanina alkoholu i ziół szybko zmienia się w mleczną, nieprzejrzystą zieleń.

– Oczywiście – mówi panna Josephine do uważnego kręgu kruków. –

Pamiętam Mercy Brown i Nellie Vaughn, i tamtego mężczyznę z Connecticut. Jak on się nazywał?

– William Rose – podsuwa signor Garzarek, ale panna Josephine marszczy brwi i kręci głową.

– Nie, nie. Nie Rose. On był tym dziwnym gościem z Peace Dale, pamięta pan? Nie, ten człowiek z Connecticut nazywał się inaczej.

– To byli szaleńcy, oni wszyscy – odzywa się Addie Goodwine nerwowo i sączy absynt. – Wycinali serca i wątroby z trupów, palili je, zjadali popioły. To niedorzeczne. Nawet gorsze od tego, co robią tamte. – Kieruje znacząco wzrok na podłogę, w stronę piwnicy i ghuli.

– Oczywiście, że tak, moja droga – mówi panna Josephine.

– Ale ta mała Vaughn, Nellie, rozumiem, że nadal jest czymś w rodzaju sensacji wśród paczki z miejscowego liceum. – Signor Garzarek uśmiecha się i wyciera wilgotne czerwone wargi koronkową chusteczką. – Oni

kochają te swoje historie o duchach, wiecie. Epitafium na jej nagrobku musi być dla nich niewyczerpanym źródłem rozkoszy.

– A jak ono brzmi? – pyta Addie, a kiedy panna Josephine odwraca się i patrzy na nią, ona wzdyga się i omal nie upuszcza kieliszka.

– Naprawdę powinnaś częściej wychodzić, kochana – stwierdza panna Josephine.

– Tak – bąka Addie. – Tak, wiem. Powinnam.

Woskowa figura o imieniu Nathaniel miętosi brzeg czarnego melonika.

– Pamiętam – mówi. – „Obserwuję i czekam na ciebie”. Tak to idzie, prawda?

– Rozkoszne, mówię wam. – Signor Garzarek chichocze, osusza kieliszek i sięga po butelkę absyntu stojącą na srebrnej tacy.

\* \* \*

– Co tam widzisz?

Chłopiec, którego Martwa Dziewczyna nazywa Bobby, stoi w oknie salonu panny Josephine, otwartym oknie, tak że do środka wpada śnieg, małe zasy leżą u jego stóp. Bobby odwraca się, kiedy słyszy jej pytanie.

– Na ulicy był niedźwiedź.

Chłopiec wkłada jej w ręce przycisk do papieru, szklaną kulę wypełnioną wodą. Kiedy ona nią potrząsa, w środku wirują białe płatki. Miniaturowa zamieć uwięziona w jej dłoni, plastikowy śnieg osiada wolno na zamarzniętym polu, na stodole, ciemnej linii nagich drzew w oddali.

– Nie widziałeś niedźwiedzia – mówi Martwa Dziewczyna, ale sama nie patrzy na ulicę, nie odrywa srebrnych oczu od przycisku do papieru. Niemal zapomniała o stodole, o tamtym dniu i o burzy w styczniu, lutym albo marcu, więcej lat temu, niż potrafiłaby zliczyć, o wietrze wyjącym jak stado głodnych wilków.

– Widziałem – z oburzeniem upiera się Bobby. – Widziałem dużego czarnego niedźwiedzia tańczącego na ulicy. Potrafię rozpoznać niedźwiedzia.

Martwa Dziewczyna zamyka oczy i wypuszcza kulę z palców, pozwala jej stoczyć się z ręki. Wie, że kiedy przycisk uderzy w podłogę, roztrzaska się na tysiąc kawałków. Świat się roztrzaska, wodne sklepienie się

roztrzaska i zaleje krwią niebo na podłodze, więc ona nie ma dużo czasu, jeśli zamierza dobiec do stodoły.

– Myślę, że on znał nasze imiona – mówi chłopiec i w jego głosie brzmi strach, ale kiedy Martwa Dziewczyna odwraca się, nie widzi Bobby’ego.

Za nią nie ma nic oprócz niewysokiego kamiennego murku dzielącego to pole od sąsiedniego, oprócz łupkowych i granitowych głazów na wpół zasypanych przez burzę. Wiatr chłoscze jej skórę lodowatymi zębami jak igielki. Śnieg pada spiralami z ciężkich chmur, wiatr wprawia kurtyny kryształków w wirujący taniec derwiszów.

– Zapominamy z jakiegoś powodu, dziecko – mówi Dozorca rdzawo-karmazynowym głosem utkanym ciasno między powietrzem a każdym z osobna płatkiem śniegu. – Czas jest zbyt ciężki, żeby unieść go dużo, owiniętego wokół naszych szyj.

– Nie słyszę cię – kłamie Martwa Dziewczyna.

To, co on mówi, i tak nie ma znaczenia, bo ona już jest przy drzwiach stodoły; obie ich części stoją otworem, jej ojciec będzie zły, będzie wściekły, jeśli to zobaczy. Konie mogłyby się przeziębic, powie jej. Krowy, powie, krowy już dają kwaśne mleko.

*Zamknij drzwi i nie zaglądaj do środka. Zamknij drzwi stodoły i uciekaj do domu.*

– To spadło z nieba – powiedział ojciec dzień wcześniej. – Spadło, krzycząc, z jasnego nieba. Nikt tego nie szukał. Nie sądzę, żeby szukali.

– To był tylko ptak – odezwała się matka.

– Nie – rzekł ojciec. – To nie był ptak.

*Zamknij drzwi i uciekaj.*

Ale ona tego również nie robi, bo nie tak to się wydarzyło, nie tak się dzieje. Naga istota kuca na słomie, krew patrzy na nią ładną twarzą Gable. Odrywa usta od rozszarpanej szyi klaczy, krew wycieka spomiędzy jej zaciśniętych zębów i skapuje po brodzie.

– Niedźwiedź śpiewał nasze imiona – upiera się Bobby.

I wtedy przycisk do papieru uderza w podłogę i wybucha nagłą, litościwą mgiełką szkła i wody, która rozrywa zimowy dzień.

– Obudź się – mówi panna Josephine, niecierpliwie wypluwając słowa, które pachną anyżkiem i kurzem, i znowu potrząsa Martwą Dziewczyną.

– Sądzę, że pani Terpsychora już kończy na dole. A Dozorca wkrótce wróci. Nie możesz tu spać.

Martwa Dziewczyna mruga i zerka za pannę Josephine na kolorowe lampy w cukierkowych odcieniach. Letnia noc za oknem salonu, noc, która niesie jej zgniłą duszę pod językiem, patrzy na nią oczami tak czarnymi i tajemniczymi jak dno rzeki.

\* \* \*

W piwnicy pani Terpsychora, pani haków żebrowych i noży do krojenia mięsa, oddała się jednym z wilgotnych ceglanych tuneli wraz ze swoją sapiącą świtą. Ich brzuchy są pełne, ich wewnętrzne osobliwości nasycone na kolejną noc, i tylko Barnaby zostaje, żeby posprzątać; to jego umiarkowana kara za zbyt głębokie nacięcie twardówki i zniszczenie fioletowego oka przeznaczonego dla jakiegoś cmentarnego potentata, cenne ciało szkliste i ciecz wodnista przelana jego ręką. Na lewym uchu Barnaby ma świeże rozcięcie w miejscu, gdzie pani Terpsychora uderzyła go za to, że zniszczył taki delikates. Martwa Dziewczyna siedzi na starej skrzynce i patrzy, podczas gdy on zeskrobuje żółć ze stołu ze stali nierdzewnej.

– Nie jestem dobry w snach, obawiam się – wyznaje, marszcząc mokry czarny nos.

– Ani w oczach – dodaje Martwa Dziewczyna.

Barnaby kiwa głową.

– Ani w oczach – zgadza się.

– Ja tylko pomyślałam, że mógłbyś mnie wysłuchać, to wszystko. To nie jest rzecz, którą mogłabym opowiedzieć Gable albo Bobby’emu...

– On jest słodkim dzieciakiem – przerywa jej Barnaby, ściąga brwi i mocniej trze upartą plamę koloru spalonych orzechów.

– Ale ja nie mogę tego opowiedzieć nikomu innemu. – Martwa Dziewczyna wzdycha.

Barnaby zanurza szczotkę ze świńskiej szczeciny w wiadrze z mydlinami i wraca do szorowania plamy.

– Pewnie bardzo nie zaszkodzę, jeśli tylko posłucham. – Ghul uśmiecha się do niej krzywo i dotyka pazurem krwawiącego miejsca na prawym uchu, które pani Terpsychora drasnęła ostrymi nożycami.

– Dziękuję, Barnaby – mówi Martwa Dziewczyna i zdartym czubkiem buta bezmyślnie rysuje półokrąg na brudnej podłodze. – To zajmie tylko minutę. Sen nie jest bardzo długi.

To, co mu opowiada, nie jest snem o Adrianie Mobleju, drzewie Lovecrafta ani o stodole i zamieci, o białej istocie czekającej na nią w stodole. To inny sen, bezksiężycowa noc na Swan Point, ktoś rozniecił wielkie, huczące ognisko na brzegu rzeki. Martwa Dziewczyna patrzy na płomienie odbijające się w wodzie. Powietrze jest ciężkie od dymu drzewnego, wypełnia je głodny dźwięk ognia. Bobby i Gable leżą na kamienistej plaży, ułożeni jak przez grabarza, z rękami po bokach, z miedziakami na powiekach. Oboje są rozcięci od obojczyków po krocze, od dziobu po rufę, poszarpanym nacięciem w kształcie litery Y, ich wnętrzości lśnią mokro w blasku ogniska.

– Nie, nie sądzę, że to ja zrobiłam – mówi Martwa Dziewczyna, choć to nie jest prawda. Kreśli następny półkrąg na podłodze, żeby dotrzymał towarzystwa pierwszemu.

Barnaby przestał szorować stół i patrzy na nią niespokojnie nieufnymi oczami padlinożercy.

– Ich serca leżą razem na głazie. – Martwa Dziewczyna mówi teraz bardzo cicho, niemal szepcze, jakby się bała, że ktoś na górze może słuchać.

Barnaby nastawia uszu i pochyla się ku niej. Serca leżą na głazie, wątroby też, ona pali je w mosiężnej misie, aż nie zostaje z nich nic oprócz tłustych popiołów.

– Myślę, że je jem – mówi Martwa Dziewczyna. – Ale potem przylatują kosy, całe stado kosów, a ja słyszę tylko ich skrzydła. Ich skrzydła siniaczą niebo.

Barnaby kręci głową, wydaje niespokojny, gardłowy dźwięk i znowu zaczyna szorować stół.

– Powiniennem nauczyć się wychodzić w porę – prycha. – Powiniennem nauczyć się, co nie jest moją cholerną sprawą.

– Dlaczego, Barnaby? Co to znaczy?

Z początku ghul nie odpowiada, tylko mamrocze do siebie, szczotka śmiga tam i z powrotem po stole chirurgicznym, choć nie zostały na nim już żadne plamy, nic oprócz mydlin, a blask świec odbija się od porysowanej i wyszczerbionej srebrnej powierzchni.

– Dozorca wsadziłby mojej jaja do butelki z solanką, gdybym ci powiedział. Odejdź. Wracaj na górę, gdzie twoje miejsce, i zostaw mnie w spokoju. Jestem zajęty.

– Ale ty wiesz, prawda? Słyszałam historię, Barnaby, o innej martwej dziewczynie, Mercy Brown. Spalili jej serce...

Ghul szeroko otwiera pysk, ryczy jak lew w klatce i rzuca w nią szczotką, ale ta przelatuje nad jej głową i uderza w półkę ze słojami tuż za nią. Rozbite szkło, odór octu i peklowanych nerek. Martwa Dziewczyna biegnie do schodów.

– Idź dręczyć kogoś innego, trupie – warczy za nią Barnaby. – Opowiadaj swoje bluźniercze sny tamtym niemrawym zwłokom na górze. Poproś jednego z tych nadętych pierdzieli, żeby wkurzył Dozorcę.

I rzuca coś jeszcze, coś lśniącego i ostrego, co przelatuje ze świstem obok jej twarzy i wbija się w ścianę. Martwa Dziewczyna pędzi po dwa schody naraz, zatrzaskuje za sobą drzwi piwnicy i przekręca klucz w zamku. I jeśli ktoś słyszy, jeśli panna Josephine, signor Garzarek albo ktoś inny widzi ją, jak wypada przez frontowe drzwi i zbiega po schodach żółtego domu przy Benefit Street, ma więcej rozumu niż Barnaby i zachowuje to dla siebie.

\* \* \*

Na wschodzie widać cieniutki pas świtu znaczący horyzont, światło, jakie wydzielalaby perła. Bobby podaje Martwej Dziewczynie inny kamień.

– To powinno wystarczyć – mówi ona, więc chłopiec siada na trawie na skraju wąskiej plaży, żeby patrzeć, jak ona wpycha ten ostatni kawałek skały do dziury, w której kiedyś znajdowało się serce Gable.

Dwanaście dużych kamieni, granitowe wnętrzości, które ściągają ciało wampira prosto na dno Seekonk i tym razem ono tam już zostanie. Grubą rolką szarej taśmy klejącej Martwa Dziewczyna pieczętuje ranę.

– Przyjdą po nas? – pyta Bobby.

Pytanie ją zaskakuje. Nie jest to rzecz, której by się po nim spodziewała. Przestaje zaklejać tułów Gable taśmą i przez chwilę patrzy na niego w milczeniu, ale on nie odwzajemnia spojrzenia, tylko wpatruje się w odległy, nierówny pas światła dziennego.

– Mogą – odpowiada Martwa Dziewczyna. – Nie wiem tego na pewno. Boisz się, Bobby?

– Będę tęsknił za panną Josephine – mówi on. – Będę tęsknił za tym, jak czytała nam bajki.

Martwa Dziewczyna kiwa głową.

– Tak. Ja też. Ale zawsze będę ci czytać bajki. – I uśmiecha się, kiedy to mówi.

Kiedy Martwa Dziewczyna wreszcie kończy, wrzucają ciało Gable do wody i podążają za nim na samo dno, zaklinowują je mocno między korzeniami zatopionej wierzby pod mostem Henderson. Potem Bobby sadowi się blisko Martwej Dziewczyny i po chwili zasypia, pogrąża się we własnych snach, a ona zamyka oczy i czeka, aż świat znowu się obróci.

**Szafka 34, szuflada 6**



## 17:46

Stare kino przy Asylum Street cuchnie zastarzałym popcornem i rozlanymi napojami, które skwaśniały na lepiących się podłogach. Kobieta siedząca w ostatnim rzędzie z kartonowym otwartym pudełkiem na kolanach zamyka oczy. Kilka cennych sekund wolnych od niedorzeczności dziejących się na ekranie, tylko kinowy smród i dźwięki filmu – krzyk, plusk, wystrzał – potem mężczyzna znowu kaszle. Chudy mężczyzna w granatowej fedorze i wyświechtanej gabardynowej marynarce, mężczyzna o nazwisku, które brzmi jak smak lodów, a kiedy ona otwiera oczy, on nadal siedzi w rzędzie przed nią, patrzy na nią wyczekująco nad oparciem fotela. Ekran stanowi wielkie prostokątne halo wokół jego głowy, sto tysięcy odcieni szarości.

– No więc tak to wygląda – mówi on.

– Już nie wiem, co widzę – wyznaje kobieta.

Mężczyzna kiwa głową bardzo powoli, z góry na dół, z góry na dół, jak mała, jasna boja na morzu, a ona znowu patrzy na ekran, na człowieka w gumowym kostiumie potwora widocznego w migoczącym świetle, słucha cichego, owadziego trzepotu projektora w kabinie nad jej głową.

– To tylko stary film – mówi doktor Solomon Monalisa, nie zadając sobie trudu, żeby szeptać, bo w kinie nie ma nikogo oprócz ich dwojga, jego i jej, chudego, starego mężczyzny i mola książkowego z kartonowym pudełkiem na kolanach. – Stary, głupi film do straszenia dzieci na sobotnim popołudniowym seansie, do straszenia nastolatków.

– Tak? Taka jest prawda?

– Prawda – mówi on ze zmęczonym uśmiechem i znowu kaszle.

Mężczyzna o lodowym nazwisku wyjmuje chusteczkę z kieszeni na piersi i wyciera usta, a potem patrzy przez chwilę na swoją flegmę na płótnie, jakby to były fusy herbaty, a on mógł odczytać z nich przyszłość.

– Tak, chyba tak można to nazwać – odpowiada Monalisa, chowając brudną chusteczkę do kieszeni. – Można tak to nazwać, póki nie pojawi się lepsze określenie.

Na ekranie pieczara pod czarnym amazońskim jeziorem, glicerynowa mgła i dym ze strzelby, skrzele stworzenia unoszą się i opadają, walcząc o oddech; wyłupiaste ślepią są puste jak szklane oczy wypchanej ryby.

– Już prawie koniec – mówi doktor Solomon Monalisa. – Zostaje pani do końca?

– Mogłabym porozmawiać – szepcze kobieta, choć są sami.

Stwór ryczy, kiedy jego łuskowate ciało jest rozrywane przez kule, noże i włócznie. Strużki ciemnej krwi płyną z lateksowej skóry. Stary mężczyzna znowu kiwa głową. Ona nie odpowiedziała na jego pytanie.

– Mogłaby pani. Nie byłaby pani pierwsza.

– Czy ktoś próbowałby mnie powstrzymać?

– Ktoś już próbował, panno Morrow.

Teraz z kolei ona kiwa głową i odrywa wzrok od ekranu kinowego, od wielkiej sceny śmierci człowieka w lateksowym kostiumie, od bezwładnego, pozbawionego życia ciała istoty opadającej na dno samotnej laguny pełnej wodorostów. Lacey Morrow patrzy na pudełko leżące na jej kolanach.

*Gdybym nigdy nie znalazła tej przeklętej rzeczy, myśli. Gdyby ktoś inny ją znalazł zamiast mnie. Oddałaby za to wszystko, lata wspomnień, życie, gdyby mogła umrzeć, nie wiedząc tych rzeczy, które wie teraz.*

– Cóż, tak to wygląda – powtarza doktor Solomon Monalisa, kiedy migają ostatnie klatki filmu, ekran robi się biały, opada czerwona aksamitna kurtyna i zapalają się światła. – Niezupełnie tak głupi, jak pamiętam. Niezły sposób na spędzenie popołudnia.

– Będą mieli coś przeciwko temu, że trochę tutaj posiedzę? – pyta ona, a mężczyzna wzrusza chudymi ramionami, wstaje i wygładza klapy marynarki, poprawia kołnierzyk koszuli.

– Nie. Nie sądzę, żeby mieli coś przeciwko temu.

Ona nie patrzy, jak Monalisa wychodzi, wpatruje się w pudełko. Jego buty wydają ciche, nierówne dźwięki na klejącej się podłodze.

## 13:30

Budzenie się z niespokojnego snu o dzieciństwie, brzegu morza, siostrach i o czymś wiszącym na rozległym, mięsożernym niebie, o czymś strasznym, na co nigdy by nie spojrzała, choćby nie wiadomo co jej obiecywali. Lacey mruga i zerka przez pokryte smugami okno pociągu na przesuające się za nim wiejskie okolice Connecticut, z pewnością już teraz Connecticut, pewnie gdzieś daleko za Springfield w drodze do Hartford. Zwariowana kołdra pól i pastwisk zeszytych ze sobą paździenikowymi liśćmi, ognistymi gałęziami brzoź, buków i orzeszników porastających czerwony jurajski piaskowiec. Potem dostrzega na zachodzie krętą srebrnoszarą wstęgę rzeki, połyskującą w porannym słońcu. Trze oczy, mruga w słonecznym blasku i żałuje, że się zdrzemnęła. Ale pociągi niemal zawsze kołyszą ją do snu, wcześniej czy później, stały rytm kół na torach jak bicie serca, stalowa kołysanka i do tego przypadkowe turkoty i stukanie sprzęgów dla podkreślenia rytmu.

Sprawdza, czy kartonowe pudełko nadal spoczywa na pustym siedzeniu obok niej, czy worek bezpiecznie leży przy jej nogach. Są na miejscu. Uspokojona Lacey szybko rozgląda się po wagonie, lekko zakłopotana tym, że zasnęła. Obcy obserwowali jej sen, a ona mogła chrapać, ślinić się albo mamrotać coś głupiego, lecz wagon i tak jest w większości pusty – nastolatka czytająca książkę w miękkiej okładce, ksiądz z gazetą – i z powrotem wygląda przez okno, senny koszmar blaknie w ciepłe dnia. Pociąg jest teraz bliżej rzeki, a ona widzi małą łódź – może rybacką – zostawiającą za sobą na wodzie ślad w kształcie litery V.

– Miała pani miłą drzemkę?

Lacey odwraca się zaskoczona, trąca łokciem róg pudełka i omal nie zrzuca go na podłogę. Kobieta z miejsca tuż za nią, której nie zauważyła chwilę wcześniej, boleśnie chuda, o splątanych włosach koloru ostrygi, ani bardzo stara, ani bardzo młoda, patrzy na Lacey wodnistymi niebieskimi oczami, które wydają się lekko wyłupiaste. Jej skóra jest sucha i blada, policzki mają chorobliwie żółte zabarwienie. Na sobie ma spłowieły czarny płaszcz przeciwdeszczowy, pod spodem gruby wełniany sweter koloru błyskawicznych płatków owsianych, paznokcie pomalowane na nie pasujący róż.

– Nie chciałam pani wystraszyć – przeprasza kobieta spokojnym, zgrzytliwym głosem.

Lacey kręci głową.

– W porządku. Chyba jeszcze nie całkiem się obudziłam, to wszystko.

– Już zaczynałam myśleć, że sama będę musiała panią obudzić – mówi niecierpliwie nieznajoma, nadal się w nią wpatrując. – Jadę tylko do Hartford. Nie mam czasu jechać dalej.

Lacey zaczyna wyczuwać słaby rybi zapach, rybi albo błotnistych nizin w czasie odpływu, solanki, mułu i wyrzuconych na brzeg, duszących się morskich stworzeń, morskich stworzeń. Woń zdaje się pochodzić od białowłosej kobiety, z jej oddechu albo ubrania. Lacey udaje, że nic nie poczuła.

– Siedzi pani i myśli sobie: „Kim jest ta wariatka? Kim jest ta stuknięta kobieta i jak mam sprawić, żeby zamknęła się do diabła i zostawiła mnie w spokoju?”.

– Nie, ja tylko...

– O, tak – przerywa jej kobieta i celuje w nią polakierowanym na różowo palcem wskazującym. Jej kostki są jak brudne korzenie starego drzewa. – Ale w porządku. Nie zna mnie pani. Nie może mnie pani znać, panno Morrow.

Lacey zerka na innych pasażerów, na dziewczynę i księdza. Żadne z nich nie patrzy w jej stronę, nadal zajęci są lekturą, i jeśli nawet zauważyli białowłosą kobietę, udają, że nie. To nie ich problem. Lacey odmawia w duchu agnostyczną modlitwę, żeby do Hartford było już niedaleko; uśmiecha się, a nieznajoma krzywi się, jakby została obrażona.

– To nie mnie musi się pani bać, panienko. Coś sobie wyjaśnijmy. Nadstawiam karku, rozmawiając z panią.

– Bardzo mi przykro. – Lacey sili się na przepraszający ton, a nie na nerwowy czy zirytowany. – Ale naprawdę nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Ja jestem tylko posłańcem, kurierem – odpowiada kobieta, ścisząc głos niemal do szeptu i łypiąc podejrzliwie w stronę pozostałej dwójki pasażerów. – Oczywiście to niewielka różnica, jeśli mnie pani rozumie.

– Nie mam pojęcia, o co pani chodzi.

– Cóż, ma pani ten pakunek – mówi kobieta i nad oparciem fotela Lacey wskazuje na kartonowe pudełko ze skamieniałością z Innsmouth. – To czyni również z pani kuriera. Do diabła, to czyni panią cholernym świętym

prorokiem w Dniu Sądu Ostatecznego. Ale pewnie nawet nie pomyślała pani o tym w ten sposób, prawda?

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy porozmawiały później – szepcze Lacey, włączając się do gry. Ta kobieta prawdopodobnie jest całkiem nieszkodliwa, ale ona i tak obronnym gestem kładzie rękę na pudełku.

– Oni mogą słuchać – mówi kobieta i wskazuje głową na nastolatkę i księdza. – Mogą usłyszeć coś, czego nie chcemy, żeby usłyszeli.

Wydaje gniewny, syczący dźwięk spomiędzy żółtych zębów i szybko przesuwa długimi palcami lewej dłoni przez splecione siwe włosy, wyrywa przy okazji kilka kosmyków, a one kładą się jak perłowe nici na ramionach jej czarnego płaszcza przeciwdeszczowego.

– Myśli pani, że wszystko odgadła, prawda? – warczy. – Postawić kilka wymyślnych liter przed nazwiskiem i nie trzeba słuchać nikogo ani niczego, zgadza się? Nikt nie może pani przekonać, bo pani widziała już wszystko, od A do Z, od bieguna do bieguna.

– Proszę się uspokoić – rzuca Lacey, znowu zerkając na pozostałych pasażerów. Chciałaby, żeby któreś z nich podniosło wzrok, bo wtedy mogłaby przyciągnąć ich uwagę. – Jeśli nie, wezwę konduktora. Proszę mnie do tego nie zmuszać.

– Cholerna nadęta lesba – warczy kobieta, pluje na podłogę, odwraca głowę i patrzy z wściekłością za okno wylupiastymi niebieskimi oczami. – Myśli pani, że jestem szalona. Jezu, zaczekaj, aż wyjdiesz po drugiej stronie, a wtedy zobaczymy, jak według ciebie wygląda ktoś normalny.

– Nie chciałam pani zdenerwować – mówi Lacey, wstając i sięgając po teczkę z laptopem. – Może po prostu powinnam się przesiąść.

– Niech pani to zrobi, panno Morrow. To nie moja sprawa. Ale lepiej niech pani weźmie to ze sobą. – Lewa dłoń kobiety znika w płaszczu i pojawia się z powrotem z dużą, lekko pogniecioną manilową kopertą. Nieznajoma podaje ją Lacey. – Mówili, że pani zrozumie, więc niech mi pani nie zadaje więcej pytań. Ja już i tak powiedziałam o wiele za dużo.

Lacey stawia teczkę obok kartonowego pudełka i przez chwilę patrzy na kopertę, żółto-brązowy papier z tłustą plamą w jednym rogu.

– No dalej – rzuca szyderczo siwowłosa kobieta, nie odwracając oczu od okna, za którym przemykają farmy i domy. – To nie ma zębów. Nie ugryzie pani. Może jeśli pani to weźmie, straszna baba zostawi panią w spokoju.

Lacey chwyta kopertę, pośpiesznie zabiera swoje rzeczy, teczkę i pudełko, i rusza przejściem na przód wagonu. Ksiądz i dziewczyna nawet nie podnoszą wzroku, kiedy ich mija. *Może w ogóle mnie nie widzą*, myśli. *Może nic nie słyszeli*. Naciska czarny prostokątny panel, żeby otworzyć drzwi następnego wagonu, ale one nie ustępują. Naciska znowu i znowu, ale bez powodzenia. Pociąg szarpie, przechyła się nagle na jedną stronę, a ona niemal upuszcza pudełko, wyobraża sobie, że skamieniałość w środku roztrzaskuje się na sto kawałków.

*Głupia dziewczyna. Głupia, głupia dziewczyna.*

Zmusza się do zachowania spokoju, przyciska czoło do chłodnych aluminiowych drzwi. Bierze głęboki haust powietrza, które nie pachnie zdechłą rybą, tylko wyziewami diesla i środkiem dezynfekującym. Całkiem zwyczajne pociągowe wonie, kojąca swojskość i kadencja torów, najbardziej kojący dźwięk na świecie.

„No dalej. To nie ma zębów. Nie ugryzie pani”, powiedziała siwowłosa kobieta, zwyczajna wariatka, nad którą ktoś powinien czuwać, a nie pozwalać jej jeździć pociągami i nękać ludzi. Lacey patrzy na poplamioną kopertę, którą trzyma ostrożnie między prawym kciukiem a palcem wskazującym.

– Pomóc pani? – To tylko ksiądz, zerkając na nią znad gazety. Wydaje głośne westchnienie irytacji, po czym wskazuje na wyjście. – Chce pani, żebym otworzył te drzwi?

– Tak. Dziękuję, ojcze. Naprawdę jestem wdzięczna. Mam zajęte ręce.

Lacey patrzy niespokojnie na tył wagonu. Nigdzie nie ma śladu siwowłosej kobiety, ale drzwi w drugim końcu są otwarte.

– Proszę – mówi ksiądz.

Ona uśmiecha się i dziękuje mu ponownie, wchodząc do wąskiego korytarza łącznikowego.

– Nie ma za co – odpowiada ksiądz i mówi dalej cichym, konspiracyjnym głosem: – Ale proszę nie zwlekać długo z zajrzeniem do koperty, którą ona pani dała. Może nie zostało dużo czasu.

Potem drzwi się zamykają, a Lacey odwraca się i biegnie do zatłoczonego wnętrza następnego wagonu.

\* \* \*

Jej dwudzieste piąte urodziny, burzowy dzień na początku czerwca, kiedy Lacey Morrow znalazła skamieniałość z Innsmouth, pracując do późna i samotnie w piwnicy Muzeum Pratta. Prawie wszyscy poszli już do domu, ale nie było w tym nic niezwykłego. Lacey ślęcząca nad zawartością szafki 34, dewońskimi rybami zebranymi w Blossburgu w Pensylwanii i w Chaleur Bay w Quebecu, kawałkami łupku i piaskowca koloru antracytu, koloru cynamonu, rybami dwudysznymi, ostatnimi ostrakodermami, bezszczękowcami i mięśniopłetwymi *Eusthenopteron*, nad pudełkowatymi pancerzami antiarchi *Bothriolepis*. Reliktami, które pojawiły się i wyginęły setki milionów lat przed dinozaurami, w czasach, kiedy pierwotne lasy porastały brzegi jezior, rzeki roiły się od dziwnych, monstrualnych ryb, a kręgowce zaczynały stawiać pierwsze, niezdarne kroki na suchym lądzie. I ta przemiana była jedyną, pochłaniającą ją obsesją od czasów studiów licencjackich, ta alchemia ciała i kości – płetw na stopy, skrzeli na płuca – zagadki, które wypełniały jej dni i noce, które wypełniały jej sny. Ostatnia dziewczyna zostawiła ją, bo w końcu miała dość całonocnych sekcji przeprowadzanych przez Lacey w kuchni, pracowicie okaleczanych strzępieli i dorszy, węgorzy, małych rekinów krojonych i zostawianych, aż ona znajdzie czas, żeby dokończyć notatki i rysunki. Martwe istoty w plastikowych torbach wciśnięte do zamrażarki, kostki lodu smakujące jak niedobre sushi, mieszkanie przy Hitchcock Road cuchnące formaliną i sklepem rybnym.

– Jeśli wyrosną mi cholerne łuski, może kiedyś do ciebie zadzwonię – powiedziała Julie, taszcząc pudła z ubraniami i CD z frontowego ganku do swojego poobijanego małego samochodu. – Jeśli kiedyś spotkam cholerną syrenę, na pewno dam jej twój numer.

Lacey patrzyła, jak Julie odjeżdża, i czuła mniej, niż powinna czuć, żałowała, że nie płacze, bo każda normalna osoba by płakała, a przynajmniej byłaby zła na siebie albo na Julie. Ale łzy się nie pojawiły, ani gniew, więc uznała, że lepiej zostawić sobie romantyczne związki na późniejszy etap życia, na odległy dzień, kiedy będzie mogła poświęcić iskrę pasji na coś innego oprócz swoich studiów. Trzymała jednak zdjęcie Julie w ramce obok łóżka, żeby nadal móc udawać, kiedy czasem czuła się samotna, kiedy budziła się w środku nocy i nie było nic oprócz bębnienia deszczu o dach i wiatru wiejącego po ulicach Amherst.

Ale tamtego sierpniowego popołudnia nie była samotna, nie z wysokimi rzędami stalowoszarych szafek i kamiennymi skarbami rozłożonymi

starannie wokół niej, z całym towarzystwem, jakiego potrzebowała, i żadnych myśli oprócz liczb z cyfrowych suwmiarek: wysokości i szerokości obręczy miedniczej i barkowej, względnych długości płetw piersiowych i promieni płetw. Właśnie kończyła badać doskonale zachowaną porolepiformę, która, jak podejrzewała, mogła być nowym gatunkiem, kiedy zauważyła pudełko wsunięte na sam koniec szuflady, na wpół ukryte pod kartonową tacą z łupkami i fragmentami kości. Coś przeoczonego, choć wydawało się jej, że zna zawartość tych szafek jak własną rękę, a dalsze niespodzianki mogły dotyczyć jedynie szczegółów.

– Cześć – powiedziała do pudełka, ostrożnie wyjmując je z kryjówki pod tacą. – Jak mogłam cię przegapić?

To nie było małe pudełko, głębokie zaledwie na kilkanaście centymetrów, ale o powierzchni co najmniej czterdziestu pięciu centymetrów kwadratowych, pośrodku trochę zapadnięte od podtrzymywania ciężaru tacy przez kto wie ile lat. W jednym rogu wieka znajdował się wyblakły atramentowy napis z zawijasami, brązowy jak suche liście: „Z bagrowania przeprowadzonego przez USS Cormoran (kwiecień 1928). 42° 40' N, 70° 43' W, NE, stary port Innsmouth, Essex Co, Massachusetts. (Dewońskie?)”. Nie było innych informacji, żadnego katalogu czy numeru pola, żadnej identyfikacji. Lacey otworzyła pudełko i zdumiała się na widok rzeczy znajdującej się w środku.

– Jezu – wyszeptała i przełknęła metaliczny smak jakby folii albo świeżej plomby w zębie, adrenaliny posmak.

Jej pierwsze wrażenie było takie, że to ręka, przegubowy szkielet ludzkiej ręki leżący wnętrzem dłoni do góry, o lekko zgiętych palcach chwytających sufit albo jasne fluorescencyjne lampy. Odstawiła pudełko na jedną z większych kamiennych płyt z Chaleur Bay i patrzyła kolejno na czubki własnych drżących palców i na skamieniałe kości spoczywające na warstwie wełny drzewnej. Skamieniałość była ciemna, woskowo czarna jak gorzka czekolada i lśniąca od grubej warstwy lakieru albo werniksu.

Nie, nie ludzka, ale z pewnością przednia kończyna czegoś dużego, co najmniej o jedną trzecią większa od jej ręki.

– Jezu – wyszeptała znowu.

Wyjęła skamieniałość z wełny drzewnej, delikatnie, bo trudno było stwierdzić, w jakim jest stanie, ile dekad minęło, odkąd ktoś otwierał pudełko. Policzyła elementy części dystalnej – nadgarstka, śródrećcza, paliczki – i dolnej części przedramienia: mocna kość promieniowa



i łokciowa, kończące się raptownie poszarpanym złamaniem, lekki połysk płatków gipsu albo kwarcu widocznych w odsłoniętym wnętrzu skamieniałości. Między palcami zachowała się błona pławna albo kolce, trzy były kompletne i kończyły się krótkimi, ostrymi pazurami. Tuż poniżej piątej kości śródreżca znajdował się mały fragment czegoś, co wyglądało jak łuski albo płytki wapienne, owalne dyski z głębokimi środkami, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek widziała. Tu i ówdzie małe kawałki zielonkawoszarego wapienia nadal przywierały do kości, ale większość twardej skały macierzystej była zdrapana.

Lacey usiadła na drewnianym stołku obok szafki 34. W jej głowie wirowało za dużo pytań, serce łomotało z przyprawiającego o zawrót głowy podniecenia odkryciem, ponownym odkryciem. Zmusiła się, żeby na chwilę zamknąć oczy. Zbierając strzępy spokoju z ciemności pod powiekami, policzyła od trzydziestu w dół, aż jej puls zaczął wracać do normy. Otworzyła oczy i odwróciła skamieniałość, żeby zbadać ją z drugiej strony. Powierzchnia kości zwietrzała, jakby ta strona była przez jakiś czas wystawiona na działanie erozji, gładka, korowa warstwa była popękana, miejscami całkowicie zniszczona. Po tej stronie zachowało się dużo więcej zielonkawego wapienia i skorupa małego ślimaka blisko podstawy środkowego palca.

– Czym jesteś? – zapytała Lacey, jakby to coś mogło jej tak po prostu odpowiedzieć.

Zapomniała o wszystkim, o pięknych latimeriach i rhipidistiach, na rzecz najnowszego cudu. Obróciła go i uważniej przyjrzała się wnętrzu, budowie kości nadgarstka, szybko zidentyfikowała kość łokciową, która musiała być formą przejściową, a kiedy w końcu spojrzała na zegarek, była prawie szósta trzydzieści. Minęła co najmniej godzina, odkąd otworzyła pudełko; musiała się pośpieszyć, żeby zdążyć na wykład o siódmej. Odłożyła rękę na warstwę wełny, zatrzymała się na chwilę, żeby po raz ostatni popatrzeć na tę rzecz, nim zamknęła wieczko. W górze wysoko nad salami wystawienniczymi i łupkowym dachem Muzeum Pratta zagrzemiał piorun i poniósł się echem po dolinie. Lacey próbowała sobie przypomnieć, czy zostawiła parasolkę w mieszkaniu.

## 13:49

Siedzi obok kobiety, która pachnie miętówkami i kulkami na mole, słucha równomiernego stukotu kół o szyny. Od prawie pięciu minut wpatruje się w zdjęcie z manilowej koperty. Fotos, myśli, błyszczące czarno-białe zdjęcie, pogniecione i z jednym zagiętym rogiem, przedstawia starego mężczyznę z siwymi wąsami, stojącego z dwoma Indianami obok skalnego występu. W jakimś ciepłym miejscu, tropikalnym, bo na brzegu fotografii widać liście palmiczki. W pociągu nie jest gorąco, ale Lacey i tak się poci, jej dłonie robią się śliskie i klejące, małe kropelki jak nektar występują na czole i nad górną wargą. Starzec na fotografii trzyma coś w obu dłoniach jak świętą relikwię, Graal, nagrodę na koniec długich poszukiwań.

„...bo widziałś już wszystko, od A do Z, od bieguna do bieguna...”

Mężczyzna na zdjęciu trzyma skamieniałość z Insmouth. Albo replikę tak doskonałą, że musiała zostać odlana z oryginału, co tak naprawdę nie robi dużej różnicy. Lacey odwraca zdjęcie. Z tyłu jest naklejka: Copyright © 1954 Universal-International z pierwszą literą n wydrukowaną niżej.

W kopercie jest również list. Wyblakła fotokopia listu, niestaranne, rozwlekłe pismo, które ona odczytuje z trudem.

*Pan Zacharias R. Gilman, Esq.  
7 High Street  
Ipswich, Mass.*

*15 stycznia 1952  
Pan William Alland  
Universal Studios  
Los Angeles, Kal.*

*Drogi Panie Alland,*

*Widziałem Pański znakomity horror „Przybysze z przestrzeni kosmicznej” sześć razy do tej pory i muszę powiedzieć, że jestem pod wielkim wrażeniem Pańskiego dzieła. Ma Pan oko prawdziwego artysty do rzeczy niesamowitych i zasługuje Pan na to, by być dumnym ze swoich dokonań. Dołączam wycinki gazetowe, które mogą choć trochę zainteresować taki umysł jak Pański, jeśli chodzi o pewne*

*dziwne rzeczy, które przez lata wydarzyły się w okolicy. Starzy ludzie mówią tutaj o „pladze” z 1846, ale powiedzą panu, że to nie z powodu zarazy stare Innsmouth znalazło się na drodze do upadku, jeśli raczy Pan ich wysłuchać. Opowiedzą Panu wiele rzeczy, panie Alland, a ja będę w nocy leżał bezsennie i myślał o tym, co może nadal dziać się na rafie. Ale proszę samemu przeczytać te wycinki i zrobić z nimi, co Pan sobie życzy. Sądzę, że mógłby Pan stworzyć przerażający film na podstawie tych incydentów. W maju będę pod tym adresem, gdyby raczył Pan odpowiedzieć.*

*Z poważaniem, Pański zagorzały wielbiciel,*

*Zacharias Gilman*

– Lubi pani stare filmy o potworach? – pyta kobieta pachnąca miętówkami i kulkami na mole.

Lacey kręci głową.

– Bo na tym zdjęciu jest scena z...

– Nie oglądam telewizji – ucina Lacey.

– O, nie. Nie miałam na myśli filmów telewizyjnych. Miałam na myśli prawdziwe filmy, jakie ogląda się w kinach.

– Do kina też nie chodzę.

– Aha – bąka kobieta, wyraźnie rozczarowana.

Po chwili odwraca się do okna i patrzy na przemykający za nim jesienny poranek.

## 10:40

– Podoba mi się to – mówi w końcu doktor Morgan. – Wygląda dobrze na papierze. – Z roztargnieniem ssie cybuch taniej fajki i wydmuchuje chmurę szarego gryzącego dymu, który pachnie pieczonymi jabłkami. –

I nazewnictwo binominalne powinno wyglądać dobrze. Powinno brzmieć dobrze, spływać z języka. Powinna w nim być odrobina poezji.

Lacey nie przypomina, że powody, dla których Morgan wybrał rok wcześniej nazwę dla nowego mozazaura – *Selmasaurus kiernanae* – były ściśle praktyczne.

Minęły ponad trzy miesiące, odkąd Lacey znalazła skamieniałość z Innsmouth schowaną w szafce 34. Teraz siedzi z doktorem Jasperem Morganem w jego małym gabinecie na trzecim piętrze: wszystko znajome, zatechłe wygody klitki o wysokim suficie, ozdobnych ścianach pokrytych spleśniałą tapetą, ukrytą za solidnymi dębowymi regałami pełnymi zakurzonych książek, skamieniałości, wszelkich rupieci z życia akademika. Ogromna geologiczna mapa Massachusetts oprawiona w ramki wisi lekko przekrzywiona. Wilgotne syczenie i brzęczenie grzejnika pod oknem. Gdyby szyba nie była zaparowana, Lacey mogłaby zobaczyć dachy Amherst, a na południu jesienne wzgórza za miastem, zwietrzałe magmowe zbocza Holyoke Range wznoszące się niebieską szarością w mglistej oddali.

Ostatnie trzy miesiące minęły jak trzy tygodnie, dni i noce, sny i jawa stały się ciągiem pytań i braku odpowiedzi, skamieniałość pozostała jej sekretem, dzielonym jedynie z doktorem Morganem oraz z doktor Hanisak z wydziału zoologii. Jej własnym do czasu, kiedy zdołała przynajmniej rozeznaczyć się w sytuacji i naszkicować wstępny raport. Kiedy była gotowa i jej artykuł został zrecenzowany i przyjęty przez „Nature”, doktor Morgan zorganizował konferencję prasową na Yale, na której miała siedzieć w cieniu Rudolpha Zallingera od *Wieków gadów* i dinozaurów Othniela Marsha i pokazać skamieniałość z Innsmouth całemu światu.

– Musiałam jakoś ją nazwać – odpowiada Lacey. – Szkoda byłoby nie mieć przy tym trochę zabawy. Mam wrażenie, że nigdy już czegoś takiego nie znajdę.

– Właśnie. – Jasper Morgan odchyła się na oparcie trzeszczącego krzesła, wyjmując fajkę z ust i wpatruje się intensywnie w dymiącą główkę. Stary mężczyzna z jarzącymi się popiołami jak Cyganka z kryształową kulą. – Słowa – mówi tonem zarezerwowanym dla cytowania tych, których darzy większą estymą niż siebie – same w sobie należą do najbardziej interesujących obiektów badań, a nazwy zwierząt i roślin są warte większego namysłu, niż biologowie są skłoni przyznać. Niestety dzisiaj nikt raczej nie przykłada dużej wagi do estetyki, nikt oprócz takich zardzewiałych starych przyków jak ja.

Przesuwa manuskrypt po biurku z powrotem w stronę Lacey, siedemnaście stron z podwójnymi odstępami, spiętych zielonym plastikowym spinaczem do papieru. Ona kiwa głową i przebiega wzrokiem tekst. Jej oczy wędrują po drobnych uwagach zrobionych czerwonym ołówkiem: brak przecinka tutaj, pisownia lub data, które powinna sprawdzić.

– To nieprawda – mówi.

– Co jest nieprawdą?

– Że nikomu nie zależy oprócz pana.

– Nie? Cóż, może nie. Ale proszę mi pozwolić na to zrozumiałstwo.

– Doktor Hanisak twierdzi, że nazwa jest zbyt wymyślna. Uważa, że powinnam znaleźć bardziej opisową. Zaproponowała *Eocarpus*.

– Oczywiście, że tak. Hanisak ma wyobraźnię ekstremisty. – Paleontolog wsuwa fajkę z powrotem między zęby koloru kości słoniowej.

– *Grendelonysx innsmouthensis* – szepcze Lacey. Sylaby rozplływają się na jej języku gładko jak dobra brandy.

– Widzi pani? Właśnie tak. „Łapa Grendela z Innsmouth” – mruczy Jasper Morgan przez zęby zaciśnięte na ustniku.

Po drugiej stronie kampusu dzwony na wieży zaczynają wydzwaniać godzinę – dziewięć, dziesięć, dziesięć i trzy kwadransy – jest później, niż Lacey się wydawało. Marszczy brwi i patrzy na zegarek, jeszcze niegotowa, żeby opuścić sanktuarium gabinetu i towarzystwo Morgana.

– Cholera! Spóźnię się na pociąg, jeśli się nie pośpieszę.

– Szkoda, że nie mogę jechać z panią. Szkoda, że nie będę mógł zobaczyć ich twarzy.

– Wiem, ale poradzę sobie. Zadzwoń, jak tylko dotrę do New Haven.

Lacey wkłada manuskrypt z powrotem do skoroszytu i chowa go do zniszczonej czarnej skórzanej teczki, w której znajduje się również jej

iBook i CD ze slajdami do prezentacji, zdjęcia i kladogramy, jej drobiazgowo rysunki. Doktor Morgan uśmiecha się i ściska jej dłoń, jakby poznali się dopiero dziś rano, a nie przed laty, i odprowadza ją do drzwi. Lacey niesie teczkę w jednej ręce, w drugiej solidne kartonowe pudło. Zeszłej nocy przeniosła do niego skamieniałość z oryginalnego pudełka, zastąpiła wełnę drzewną bawełną i gąbką piankową. Teraz spoczywa w nim jej przyszłość, w tej skrzyni skarbów.

– Rzuć ich na kolana, dzieciaku – mówi Morgan i ściska ją mocno, otacza kojącymi zapachami tytoniu i płynu po goleniu. Lacey odwzajemnia uścisk dwa razy mocniej. – I nie waż się zgubić tej przeklętej rzeczy. Ona przyniesie ci sławę. – Wskazuje na karton.

– Proszę się nie martwić. Nie spuszczę go z oka nawet na minutę.

Jeszcze kilka słów otuchy i pośpiesznych ostatnich myśli, a potem Lacey idzie sama długim korytarzem obok sal wykładowych i wysokich gablot wystawienniczych, mijając drzwi do innych gabinetów. I nie ogląda się za siebie.

\* \* \*

– Nie mogłam znaleźć tego na mapie – powiedziała, patrząc, jak pokryte odciskami i plamami od oleju dłonie mężczyzny odliczają resztę, pięć dolarów i dwie pięciocentówki, z dwudziestki, którą zapłaciła za napełnienie zbiornika paliwa jeepa i nowe pióro wycieraczki.

– Nie ma go na mapach – wyjaśnił stary mężczyzna. – Już nie. Nie ma go na mapach od lat trzydziestych. Niewiele zostało, kiedy federalni skończyli z tym miejscem.

– Federalni? – powtórzyła Lacey. – Co oni mają wspólnego z Innsmouth?

Pracownik stacji odsunął się od samochodu i zmierzył ją czujniejszym wzrokiem niż wcześniej. Był wysoki, o przygarbionych plecach, agrestowo-szarych oczach i nosie, który wyglądał jak złamany niejednym razem. Mężczyzna wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Nie wiem. Słyszysz się różne rzeczy, to wszystko. Słyszysz się dużo różnych rzeczy. Większość gówna znaczy.

Lacey spojrzała na cyfrowy zegar na desce rozdzielczej, a potem na niskie fioletowo-czarne chmury sunące po niebie, zapowiedź kolejnego

deszczu i nieodległego zmroku. Większość dnia stracona na jeździe z Amherst, późny wyjazd w ulewie, potem przebita opona na Route 2, zapasowe koło też kapeć. Kiedy dotarła do Cape Ann, była prawie czwarta.

– A tak w ogóle jaką sprawę ma pani w Innsmouth? – pyta podejrzliwie mężczyzna.

– Jestem naukowcem. Szukam skamieniałości.

– Naprawdę? Proszę pani, nigdy nie słyszałem, żeby ktoś znalazł tu jakieś skamieniałości.

– To dlatego, że te skały są nieodpowiednie. Wszystkie na Cape są magmowe i...

– Co to znaczy „magma”? – przerwał jej mężczyzna, wymawiając to słowo, jakby mogło go ugryźć, jeśli nie będzie ostrożny.

– To znaczy, że powstały, kiedy płynna skała, magma albo lava, ostygła i skrzepła. Tutaj większość skał magmowych jest plutonicznych, to znaczy, że zastygły głęboko pod ziemią.

– Nigdy nie słyszałem o żadnych wulkanach w okolicy.

– Tutaj nie ma żadnych wulkanów – przyznała Lacey. – Nie teraz. Ale były bardzo dawno temu.

Mężczyzna przez chwilę obserwował ją w milczeniu, masując szczeniastą brodę, jakby próbował się zdecydować, czy jej wierzyć, czy nie.

– Wszystkie tutejsze głązy granitowe to skały magmowe. Dla skamieniałości zwykle potrzeba skał osadowych jak piaskowiec albo wapień.

– Jeśli tak, to dlaczego pani ich tutaj szuka?

– To długa historia – odpowiada ona, zmęczona tych nieufnym człowiekiem i ostrym smrodem benzyny. Niecierpliwi się, żeby już wrócić na szosę, skoro on nie potrafi albo nie chce powiedzieć jej niczego użytecznego. – Chciałam zobaczyć port Innsmouth, to wszystko.

– Niewiele jest do oglądania. Kiedy byłem dzieciakiem, w latach pięćdziesiątych, stała tu jeszcze rafineria, na nabrzeżu zachowało się kilka budynków. Mój stary opowiadał mi historie o duchach, żeby mnie odstraszyć. Ale ktoś zburzył to dziadostwo lata temu. Pojedzie pani na Ipswich i Plum Island, potem skręci na wschód. To znaczy jeśli naprawdę chce pani to zobaczyć.

– Dziękuję – powiedziała Lacey i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

– Do usług – odparł mężczyzna. – Jak pani znajdzie coś ciekawego, niech mnie pani powiadomi.

Gdy wyjeżdżała ze stacji benzynowej, błyskawica przecięła północne niebo, gdzieś nad Plum Island i zimnym Oceanem Atlantyckim.



## 15:15

Pociąg sunie przez cień rzucany przez wiadukt I-84, przez wstęgę mroku, krótkie betonowo-stalowe zaćmienie, potem znowu jasne światło dnia i chwilę później Vermonter zatrzymuje się na stacji Hartford. Starając się zrobić to dyskretnie, Lacey ogląda się przez ramię, by zobaczyć, czy oni nadal stoją w głębi wagonu i ją obserwują – ksiądz i wariatka o ostrygowych włosach, która dała jej kopertę ze zdjęciem i listem. Są, po obu stronach przejścia jak niedopasowane gargulce. Minęło jakieś dziesięć minut, odkąd pierwszy raz ich zauważyła. Ksiądz z gazetą złożoną pod pachą i ostrygowłosa wpatrująca się w podłogę i mamrocząca coś cicho do siebie. Ksiądz nawiązuje kontakt wzrokowy z Lacey, a ona odwraca się szybko i patrzy na przód pociągu. Kilkoro innych pasażerów już zdejmuje torby i teczki z półek, są gotowi, żeby znaleźć się gdzieś indziej, kobieta siedząca obok Lacey pyta, czy to jej przystanek.

– Nie. Jadę do New Haven.

– A, ma pani tam rodzinę? – pyta pasażerka. – Jest pani studentką? Mój ojciec poszedł na Yale, ale to było...

– Popilnuje pani mojego miejsca? – przerywa jej Lacey. Kobieta marszczy brwi, ale potakująco kiwa głową. – Dziękuję. Obiecuję, że to nie potrwa długo. Po prostu muszę zadzwonić.

Lacey wstaje, a ostrygowłosa przestaje mamrotać i robi pełen wahania krok do przodu. Ksiądz kładzie jej dłoń na ramieniu, a ona się zatrzymuje, ale łypie na Lacey wyłupiastymi oczami i unosi rękę jak osoba przeprowadzająca dzieci przez ulicę.

– Zaraz wracam – rzuca Lacey.

– To też może pani zostawić, jeśli pani chce – mówi kobieta, która pachnie miętówkami i kulkami na mole.

Lacey uświadamia sobie, że nadal trzyma pudełko ze skamieniałością z Innsmouth.

– Nie, zaraz wracam – mówi i mocniej ściska pudełko.

Zanim pasażerka zdąży coś dodać, zanim ksiądz ma okazję zmienić zdanie i pozwolić wariatce ruszyć za nią, Lacey odwraca się i przepycha w stronę wyjścia.

– Przepraszam – powtarza te słowa jak modlitwę, pośpieszną mantrę, kiedy przeciska się obok niecierpliwych, nieskorych do pomocy współpasażerów.

Przypadkiem nadeptuje komuś na stopę, a ten każe jej, kurwa, zwolnić, poczekać na swoją kolej, co z nią jest, do cholery. Ona mija ostatnich wysiadających, szybko schodzi po stopniach i staje bezpiecznie na szerokim, zatłoczonym peronie. Ogląda się na przyciemniane okna i nie widzi księdza ani szalonej kobiety, która dała jej kopertę. Pyta tragarza pchającego pusty wózek na bagaże, gdzie znajdzie automat telefoniczny, a on pokazuje jej halę dworcową.

– Tam – mówi – po lewej, obok toalet.

Lacey mu dziękuje i idzie szybko przez peron w stronę wejścia. Szerokie drzwi rozsuwają się i zamykają, wypływając ludzi na zewnątrz i pochłaniając innych w całości.

– Panno Morrow! – krzyczy ksiądz. Jego głos ginie w ogólnym gwarze.  
– Proszę zaczekać! Nie rozumie pani!

Ale Lacey nie czeka, tylko robi jeszcze kilka kroków do drzwi dworca, mniejsza o cholerne automaty telefoniczne. Zawsze może zadzwonić do Jaspera Morgana, kiedy już znajdzie pracownika ochrony albo policjanta.

– Proszę! – krzyczy ksiądz, a szerokie drzwi znowu się rozsuwają.

*To nie mnie musi się pani bać, panienko.*

– Będzie pani musiała pójść teraz z nami – mówi wysoki mężczyzna w czarnym garniturze i czarnych okularach przeciwsłonecznych, wychodząc na peron. Słońce odbija się jak roztrzaskane diamenty od lufy pistoletu, który trzyma w lewej dłoni. W prawej ma odznakę. Lacey rzuca się do ucieczki, ale ktoś już tam jest, żeby ją zatrzymać, czarna kobieta prawie tak wysoka jak mężczyzna z pistoletem.

– Tylko pogorszy pani sprawę – odzywa się z silnym karaibskim akcentem, a Lacey ogląda się w stronę pociągu, desperacko szukając w tłumie księdza. Lecz nigdzie nie ma po nim śladu.

\* \* \*

Po stacji benzynowej Lacey ruszyła H1 na południe do Kent Cotton, a stamtąd Haverhill Street do 1A, stopniowo kierując się na południe i wschód, w stronę Ipswich i morza. Niebo było posiniaczone na czarno

i granatowo przez burze, dzień powoli przechodził w przedwczesną noc północnego wybrzeża, podczas gdy palce błyskawic zachłannie sięgały po ląd. W Ipswich znowu spytała o kierunek, tym razem dziewczynę pracującą za ladą niewielkiego sklepu z podstawowymi artykułami. Dziewczyna słyszała o Innsmouth, ale sama go nie widziała, a jedynie pamiętała kilka opowieści ze szkoły i od rodziców: głównie miejskie legendy, szalone historie o czarownicach, morskich potworach i dziwnych światłach unoszących się nad wydymami. Sprzedała Lacey dietetyczną colę i torebkę Fritos i poradziła jej, żeby wyjechała z miasteczka Argille Road i trzymała się tej drogi aż do rzeki.

– Niech pani będzie ostrożna – powiedziała z troską, a Lacey się uśmiechnęła i zapewniła ją, że będzie.

– Proszę się nie martwić. Jedynie chcę się rozejrzeć.

Dwadzieścia minut później dotarła do końca Argille Road, do zamkniętej bramy i płotu zwieńczonego drutem kolczastym, ciągnącego się na zachód i wschód jak okiem sięgnąć. Na bramie wisiały dwie zardzewiałe tabliczki Korpusu Inżynierów: „Wejście zabronione. Naruszający zakaz zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Obszar patrolowany przez uzbrojonych strażników. Nie wchodzić”. Zaparkowała jeepa na piaszczystym miejscu przy ogrodzeniu i przez kilka minut patrzyła na tabliczki, zastanawiając się, od ilu lat tu wiszą, ile dekad minęło, odkąd umieszczono je na bramie, i po co. Potem wyłączyła silnik i wysiadła.

Wiatr pachniał deszczem, ozonem i słabszą mulistą wonią słonych bagien zmieszana z zapachami życia, seksu i śmierci. Lacey usiadła na stygnącej masce samochodu z rozłożoną mapą i dokończyła torebkę chipsów. Teren szybko się obniżał w stronę karłowatych drzew, wzburzonych fal nawłoci i ostnic. Tu i ówdzie z piasku sterczało kilka granitowych wychodni. Rzeka Manuxet wiła się dnem doliny, między kępami sitowia i pięciornika, tworzyła kilka niskich wodospadów w drodze do ujścia rzeki Ipswich.

Nie było jednak żadnego śladu, że kiedyś istniało tu miasteczko, z pewnością żadnych dowodów, że ten bezludny kawałek wybrzeża kiedyś był kwitnącym portem morskim Innsmouth z młynami i fabrykami, rafinerią złota i ruchliwym nabrzeżem, a jego historia sięgała połowy siedemnastego wieku. Więc może jednak trafiła w niewłaściwe miejsce. Może ruiny Innsmouth znajdowały się gdzieś dalej na wschód albo z powrotem w stronę Plum Island. Lacey obserwowała, jak dwie mewy

walczą z wiatrem, hałaśliwe szaro-białe smugi dryfujące po niskim niebie w kolorze indygo. Spojrzała na mapę topograficzną, a potem na północny zachód do punktu zaznaczonego jako „Castle Hill”, ale teraz nie było tam żadnego zamku, jeśli w ogóle kiedykolwiek był; żadnych budynków, tylko teren, który wznosił się po raz ostatni, żeby skończyć się na zwietrzałym pasmie stromych granitowych klifów.

Na brzegu mapy Lacey narysowała małe czerwone kółko w miejscu wskazanym przez koordynaty z wieka starego pudełka z szafki 34: 42°40' N, 70°43' W. Przeszukała wzrokiem horyzont, żałując, że zapomniała lornetki, która teraz wisiała bezużyteczna w szafie w jej sypialni. Ale coś tam było, cienka, ciemna linia jakieś półtora kilometra za falochronem, ledwo widoczna nad wzburzonym morzem. Może to tylko wyobraźnia – coś, co potrzebowała zobaczyć – albo gra gasnącego światła. Albo jedno i drugie. Lacey spojrzała z powrotem na mapę. Niedaleko od czerwonego kółka konturowe linie pokazywały wysoki, wąski grzbiet ukryty pod wodą, opisany po prostu jako „Rafa Allena”. Jeśli trwał odpływ, a ocean był spokojny, może dało się zobaczyć coś więcej, może aplitowy albo pegmatytowy wał przebijający się przez rodzimy granit, starą rzekę zastygłej magmy, skryształizowanej, wygładzonej przez fale.

– Jak myślisz, co tam znajdziesz? – zapytał ją przedwczoraj Jasper Morgan. Przyszedł do jej gabinetu z wynikami analizy próbki osadów, które zdrapała ze skamieniałości z Innsmouth. – Z całą pewnością na Cape Ann nie ma żadnych skał dewońskich.

– Po prostu chcę to zobaczyć – odpowiedziała Lacey, czytając napisany na maszynie na harwardzkiej papeterii list z wynikami analizy.

– I co piszą? – spytał Morgan

Lacey przeczytała całą stronę do końca, zanim odpowiedziała.

– Skała to aleuryt, ale to już wiedzieliśmy. Małżoraczki wskazują na dewon wczesny, prawdopodobnie lochkow. A ten ślimak to zdecydowanie *Loxonema*. No i proszę. Dewońskie skały na Cape Ann.

– Cholera – wyszeptał Morgan, uśmiechając się szeroko i drapiąc po głowie.

Przez następne pół godziny rozmawiali o tej rzeczy z szafki 34, rzeczy ponad sto milionów lat starszej, niż coś z takim przedramieniem miało prawo istnieć. Nie wspominając o fakcie, że znalezisko wyglądało bardziej jak ręka, jak narząd zbudowany do chwytania, coś więcej niż kończyzna przednia.

- Może powinniśmy po prostu odłożyć to do szuflady – powiedział Jasper Morgan, kręcąc głową. – Masz pojęcie, jaką burzę ta rzecz wywoła?
- Chyba zaczynam mieć pojęcie.
- Równie dobrze mogłabyś znaleźć telefon komórkowy w egipskiej piramidzie.

Gdzieś w pobliżu zagrzmiało, od strony Rowley, i spadło kilka kropel zimnego deszczu. Lacey spojrzała na mapę, a potem po raz ostatni na odległą czarną linię Rify Allena. Taka długa jazda, żeby znaleźć tak niewiele, zmarnowane cały dzień, noc i czas potrzebny na powrót do Amherst. Wydane na benzynę pieniądze, które mogły pójść na czynsz i na jedzenie. Zsunęła się z maski jeepa i już składała mapę, kiedy coś poruszyło się na rafie. Lacey dostrzegła ruch kątem oka, wrażenie czegoś dużego i ciemnego, biegnącego po skałach, zanim wsunęło się z powrotem do wody. Rozległ się następny grzmot, a po nim błysnęło, jakby Bóg robił zdjęcie, ale ona się nie ruszyła, tylko patrzyła na rafę, na rozbijające się o nią gniewne morze.

– To tylko wyobrażenia – wyszeptała. A może to był ptak albo wyjątkowo wysoka fala przetaczająca się przez skały, coś znajomego i jedynie zniekształconego przez odległość i cień.

Teraz, kiedy grzmot przebrzmiał, jedynym dźwiękiem był wiatr wiejący przez wysokie trawy i wodospad bulgoczący w pobliżu ujścia rzeki Manuxet. W jednej chwili deszcz zmienił się w ulewę, ubranie i mapa całkiem przemokły, zanim Lacey zdążyła wsiąść do jeepa.

## 15:25

Kajdanki i opaska na oczy zawiązana zbyt ciasno na twarzy, zanim mężczyzna i kobieta, którzy najwyraźniej nie byli agentami FBI, wepchnęli ją na tył rdzawo-zielonego forda vana. Teraz Lacey leży drżąca na mokrej wykładzinie, kiedy pędzą ulicami, których nie może zobaczyć. Powietrze wokół niej jest zimne jak w grudniową noc i gęste od kwaśno-słodkiego odoru czegoś martwego, co powinno być pogrzebane dawno, dawno temu.

– Już mówiłem dlaczego – warczy gniewnie mężczyzna w czarnym garniturze i okularach przeciwsłonecznych, a Lacey myśli, że w jego głosie może jest również strach. – Ona tego nie miała, jasne? A nie mogliśmy ryzykować wsiadania do pociągu. Ludzie Monalisy pierwsi do niej dotarli. Już to, kurwa, mówiłem.

Cokolwiek znajduje się razem z nią na tyle vana, odpowiada urywanym głosem, takim jak jej babci umierającej na zapalenie płuc, kiedy Lacey miała siedem lat. Prawie są w tym słowa, poszatkowane fragmenty słów, odłamki samogłosek i szrapnele spółgłosek. Kobieta z karaibskim akcentem klnie i mamrocze coś do siebie po kreolsku.

– Proszę – błaga Lacey. – Nie wiem, czego chcecie. Powiedzcie mi, czego, do cholery, chcecie, a ja wam to dam.

– Tak myślisz? – rzuca kobieta. – Myślisz, że teraz to będzie łatwe? Po całym tym gównie ty po prostu to oddasz, a my to weźmiemy i zostawimy cię w spokoju?

– *Merde...*

Van z piskiem opon pokonuje zakręt, nawet nie zwalniając. Lacey wpada bokiem na coś, co wydaje się stertą mokrych szmat. Próbuje się od tego odtoczyć, ale chwytają ją silne ręce, lodowate palce przesuwają się powoli po jej szyi, brodzie, ustach. Skóra jak papier ścierny, palce równie dobrze mogłyby być soplami lodu. Ona próbuje je ugryźć, ale zęby natrafiają na pustkę, usta ma pełne zimnego powietrza, które smakuje jak surowa ryba i zepsute warzywa.

– Mamy pierdolone ściśle instrukcje, żeby unikać konfrontacji – odzywa się mężczyzna.

Samochód pokonuje następny zakręt, uwalniając Lacey od stosu szmat.

– Po prostu się zamknij i prowadź tego cholernego grata – rzuca kobieta.  
– Zabijesz nas wszystkich. Ściągniesz na nas gliny.

– Więc lepiej powiedz temu oślizłemu, pierdolonemu mieszańcowi, żeby się zamknął w cholere i przestał mi grozić – warczy mężczyzna. – Zaraz powiem jemu i tobie: „pieprzcie się”. Wsadź mu jebaną czapkę na łeb i niech za mnie spróbuje swoich szans z Obrządkiem.

Szmat gulgocze, a potem wydaje głuchy odgłos przetykania. Lacey myśli, że ta istota się śmieje, a przynajmniej próbuje. I zastanawia się, ile czasu minie, zanim obcy znowu jej dotknie, zastanawia się, czy najpierw ją zabije i co byłoby gorsze. Przyciska twarz do mokrej wykładziny, oczy ma otwarte, ale nic nie widzi, tylko szorstką tkaninę przy policzku. Usiłuje wytrzeć dotyk tego czegoś ze skóry. Nigdy jednak tego nie zmyje i wie, że to coś zbrukało jej duszę.

– Czy to skamieniałość? – pyta. – Chodzi o skamieniałość?

– Nareszcie zaczynasz używać tego swojego wielkiego mózgu, panienko – stwierdza kobieta. – Powiedz nam, gdzie jest ukryta, kto ci ją dał, a może jeszcze trochę pożyczysz.

– Ona gównu ci powie – rzuca szyderczo mężczyzna.

Stos szmat wydaje trzepotliwy, niespokojny dźwięk, a Lacey próbuje usiąść, lecz van skręca i na czymś podskakuje, na wyboju albo na progu zwalniającym, na pieprzonej staruszce przechodzącej przez ulicę, także ona znowu pada na twarz.

– Jest w pudełku – mówi, przetaczając się na plecy. Kopie lewą stopą i uderza oczywiście w metalowy bok samochodu. Stos szmat gulgocze i pluje wściekle, więc Lacey znowu wymierza kopniaka, mocniejszego niż poprzednio. – Nawet nie otworzyliście tego cholernego pudełka?

– Suko, w tym pudełku nie ma tego, co chcemy – mówi kobieta. – Już oddałaś to Monalisie, prawda?

– Oczywiście, że mu to oddała, kurwa. Co, do kurwy nędzy, innego z tym zrobiła, jak myślisz?

– Mówiłam ci, żebyś się zamknął i prowadził.

– Pierdol się.

Klakson wyje i wszystko rozplywa się w pisku hamulców, oponach palących się do nagich, stalowych obręczy, chwilę później następuje uderzenie, Lacey znowu wpada na gulgoczącą kupę szmat. *Przynajmniej coś miękkiego*, myśli i zastanawia się, czy już nie żyje, ale jeszcze tego nie wie, a mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych wrzeszczy jak kobieta.

Jest światło, potop czystego, ciepłego światła słonecznego na jej twarzy, a potem wystrzały, trzy, bam, bam, bam. Stos szmat nagle przestaje gulgotać, ktoś chwyta ją za ramię i wyciąga z vana, z piekła z powrotem na świat.

– Nic nie widzę – mówi ona.

Opaska spada, a Lacey mruży oczy, mruga, patrzy na surowe ceglane ściany zaułka, na krzywe schody pożarowe. Czuje silny odór śmietnika, ale nawet on pachnie dobrze po wnętrzu vana.

– Rany! – mówi starzec, uśmiechnięty strach na wróble w niebieskiej fedorze, błyszczącym gabardynowym garniturze i niebieskiej muszce pasującej do kapelusza. – Raz widziałem coś takiego na filmie. Nie sądziłem, że to naprawdę działa.

W kościstej prawej ręce ściska wielki rewolwer, na palcach lewej ręki dynda opaska, fioletowo-szare oczy iskrzą się jak ametysty i źródłana woda.

– Profesor Solomon Monalisa do usług – mówi starzec, upuszczając opaskę na ziemię, wyciąga do Lacey dłoń chudą jak gałązka. – Wszystkich nas pani zmartwiła, panno Morrow. Nie powinna była pani tak uciekać.

Lacey gapi się na wyciągniętą dłoń. Słyszczy zbliżające się syreny.

– O, przepraszam. Zapomniałem o kajdankach. Obawiam się jednak, że będziemy musieli zająć się nimi gdzieś indziej. Nie sądzę, żebyśmy mogli tu zostać, kiedy zjawi się policja i zacznie zadawać pytania, a pani?

– Nie – mówi ona.

Starzec znowu bierze ją za ramię i zaczyna odciągać od rozbitego vana.

– Chwileczkę, pudełko – mówi Lacey i próbuje się odwrócić, ale on powstrzymuje ją i kładzie dłoń na jej oczach.

– Tego, co tam jest, panno Morrow, nie chce pani zobaczyć.

– Oni mają pudełko. Skamieniałość z Innsmouth...

– Ja mam skamieniałość – mówi profesor. – I jest całkiem bezpieczna, zapewniam panią. Chodźmy, panno Morrow. Nie mamy dużo czasu.

Prowadzi ją z dala od vana długim, wąskim zaułkiem. Tylne, wysokie drewniane drzwi z obłazącą czerwoną farbą. On otwiera je srebrnym kluczem.

### **Fragmenty** ***Nowych amerykańskich potworów:***



## **Coś więcej niż mit? Geralda Durrella (Hill and Wang, Nowy Jork 1959)**

...co z pewnością wystarczy, żebyśmy się zatrzymali i zastanowili nad możliwością, że istnieje związek między co najmniej kilkoma z tych obserwacji a celuloidowymi fantazjami masowo produkowanymi przez filmowców z Hollywood. Jeśli upieramy się przy obiektywizmie i jesteśmy gotowi przyjąć koncepcję nieznanymi zwierząt, musimy również, jak się wydaje, być tak samo gotowi rozważyć możliwość, że kilka z tych bestii istnieje zarówno w królestwie psychologów, jak i biologów. Nie potrafię wymyślić lepszego przykładu niż dziwne i przerażające doniesienia z Massachusetts, które pojawiły się przed pięciu laty po wypuszczeniu na ekrany *Potwora z Czarnej Laguny*.

Jak odnotowano w „Ipswich Chronicle” z 20 marca 1954, od Gloucester na północy po Newburyport wielokrotnie widziano jedno albo więcej ziemnowodnych stworzeń podobnych do człowieka, potwornych istot zagrażających rybakom i obwinianych o śmierć co najmniej jednego pływaka. Gdy wieczorem 19 marca pani Cordelia Eliot z Rowley spacerowała wzdłuż brzegu w pobliżu latarni morskiej Annisquam, zobaczyła coś, co później opisała jako „straszliwego człowieka rybę” brodzącego tuż przy brzegu. Twierdzi ona, że obserwowała go przez pół godziny, aż zaszło słońce, kiedy to straciła z oczu tę istotę. Cztery dni później dwaj rybacy ujrzeli przy ujściu rzeki Annisquam „człowieka żabę o wyłupiastych czerwonych oczach i łuskowatej zielonkawo-czarnej skórze” brnącego przez płyciznę. Kiedy jeden z mężczyzn strzelił do niego z dubeltówki (jeszcze nie ustaliłem, czy ludzie rutynowo zabierają ze sobą broń na wyprawy wędkarskie), ten zsunął się spokojnie na głębszą wodę.

Ale lwia część obserwacji z tamtej wiosny pochodziła z okolic wymarłego miasta Innsmouth przy ujściu rzeki Castle Neck (poprzednio znanej ze swojej indiańskiej nazwy Manuxet, która przetrwała wśród miejscowych staruszków). Większość z tych spotkań to jedynie przelotny widok łuskowatych istot podobnych do człowieka, zwykle z dużej odległości, czy to pływających w pobliżu ujścia rzeki, czy to spacerujących po jej błotnistych brzegach przy odpływie. Ale jedno z najbardziej godnych uwagi i niepokojących doniesień odnotowanych przez liczne miejscowe gazety mówiło o śmierci dziewięcioletniego chłopca Lestera Sargenta,

który utonął, kiedy pływał z przyjaciółmi pod małym wodospadem w dolnym biegu rzeki Castle Neck. Jego koledzy opowiadali, że chłopiec zaczął krzyczeć, a na wodzie od razu pojawiło się dużo krwi. Próbowali do niego dotrzeć, ale niedoszłych ratowników odstraszył „potwór o czerwonych oczach i ostrych zębach”. Chłopiec zniknął pod wodą; jego okaleczone ciało w stanie daleko posuniętego rozkładu znaleziono tydzień później na plaży Crane, w znacznej odległości od wodospadu, gdzie chłopiec zniknął. Koroner hrabstwa Essex za przyczynę śmierci uznał atak rekina.

– Widziałem mnóstwo rekinów – powiedział reporterom jeden z pływaków Harold Mowry. – To nie był rekin, przysięgam. Miał ręce z wielkimi, długimi pazurami i wciągnął Lestera pod wodę i go utopił.

Do kolejnego niezwykłego wydarzenia doszło 2 kwietnia przy starej Argille Road w pobliżu Ipswich. Wielebny Henry Waite i jego żona Elizabeth, oboje zapaleni ornitolodzy amatorzy, twierdzili, że zauważyli „potwora”, który przez ponad godzinę spacerował wzdłuż wschodniego brzegu Castle Neck, zanim wskoczył do rzeki i zniknął pośród wiru baniek powietrza. Pani Waite opisała go jako „wysokiego i ciemnego. Chodził lekko przygarbiony. Przez lornetki całkiem wyraźnie widzieliśmy jego twarz. Oczy miał wyłupiaste jak u ryby i skrzela. W pewnym momencie odwrócił się i wydawało się, że nas obserwuje. Przyznaję, że się bałam, i zapytałam Henry’ego, czy nie powinniśmy wezwać policji. Widzieliście kiedyś *Potwora z Czarnej Laguny*? No więc, właśnie on tak wyglądał”.

Ostatnich podobnych obserwacji dokonano na początku maja i od tamtej pory nie ma więcej żadnych doniesień o ziemnowodnym stworze z okolic Cape Ann albo Ipswich. Jedno zgłoszenie z 27 kwietnia dotyczyło grupki szkolnych dzieci, które znalazły martwego potwora, ale później okazało się, że to jedynie rekin w stanie rozkładu. Trudno jest, jak sądzę, nie doszukać się związku z wypuszczeniem na ekran horroru Universal-International, które miało miejsce 5 marca. Stary postrach „masowej hysterii” po raz kolejny podnosi kudłatą głowę.

## 10:23

Jest spóźniona na spotkanie z Jasperem przed jazdą na dworzec. Pędzi po schodach, jest już w połowie drogi do centralnej rotundy sali wystawienniczej Muzeum Pratta, kiedy Mary Hanisak woła jej imię. Lacey zatrzymuje się i staje w szkieletowym cieniu mamuta, mastodonta i wypchanego słonia indyjskiego, a doktor Hanisak idzie szybko w jej stronę, niosąc kartonowe pudełko ze skamieniałością z Innsmouth w środku.

– Możesz uwierzyć, że omal tego nie zapomniałaś? – pyta. – To byłoby dość krępujące, nie sądzisz?

Lacey śmieje się trochę zbyt głośno. Jej głos odbija się echem w muzeum.

– Tak – mówi. – Byłoby.

Bierze pudełko od doktor Hanisak, małej i okrągłutkiej jak gnom z bajki. Jej specjalnością jest ewolucja zębów u gryzoni. Pudełko jest ciasno owinięte taśmą klejącą, więc nie ma niebezpieczeństwa, że otworzy się w pociągu.

– Więc jesteś gotowa?

– Bardziej nie będę.

– I jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Chodzi mi o to, że to będzie strasznie głośna sprawa. Pewnie znajdziesz się w gazetach na całym świecie, kiedy reporterzy zobaczą, co jest w pudełku. Może nawet powiedzą o tobie w CNN. Nie boisz się?

Lacey przez chwilę patrzy za zakurzone kości tygrysa szablozębnego leżące przy nogach mamuta.

– No pewnie! Jestem przerażona. Ale może chociaż muzeum zdobędzie nowe fundusze. Z pewnością by się nam przydały.

– Może – odpowiada niepewnie doktor Hanisak, składa ręce i patrzy na pudełko. – Trudno powiedzieć, jak to wszystko się skończy.

– Właśnie. – Lacey zerka na zegarek i znowu dziękuje koleżance. – Naprawdę muszę już iść.

Zostawia Mary Hanisak stojącą samotnie przy szkieletach.

**Fragmenty książki**  
***Słynne potwory filmowe i ludzie,***  
***którzy je tworzyli Bena Browninga***  
**(The Citadel Press, Secaucus, NJ 1972)**

Oczywiście krąży po Hollywood kilka interesujących historii o inspiracjach producenta Williama Allanda. Jedna z najczęściej powtarzanych, jak się wydaje, mówi, że podczas kolacji w domu Orsona Wellesa Alland usłyszał o „prastarej rasie” ludzi-ryb zwanych dagonami, zamieszkujących odległe okolice Amazonki. Miejscowi wierzyli, że te istoty wychodzą z głębin raz w roku po powodziach i porywają dziewczice. Naturalnie osoba opowiadająca tę historię zapewniała o jej prawdziwości. Kolejnym, mniej prawdopodobnym, źródłem inspiracji może być ustny przekaz z niektórych regionów Massachusetts wokół Gloucester o humanoidalnych morskich potworach, które podobno nawiedzały szczególnie zdrażliwy fragment wybrzeża w pobliżu Ipswich Bay, zwany całkiem stosownie Diabelską Rafą. Plotka głosi, że Alland wiedział o tych legendach, ale postanowił zmienić miejsce akcji z nadmorskiej Nowej Anglii na Amazonkę, ponieważ wolał bardziej egzotyczną i pierwotną scenerię. W każdym razie ta czy inna z „rybich opowieści” mogła zapaść mu w pamięć i stać się załącznikiem projektu, który Alland w końcu zrealizował i sprzedał Universalowi.

## 15:47

Wchodzi przez obłazące z farby czerwone drzwi i idzie za starcem długimi korytarzami skąpo oświetlonymi przez nagie żarówki, w górę i w dół, do kolejnych drzwi, które jej przewodnik otwiera innym srebrnym kluczem. Stalowe drzwi przeciwpożarowe pomalowane na niezliczone odcienie zaschniętej posoki i jatki otwierają się wolno na skrzypiących zawiasach, a na nich wionie zimne powietrze o ciężkim zapachu formaldehydu. W środku jest jasno, karmazynowe światło pasuje do koloru drzwi. Lacey patrzy na doktora Solomona Monalise, a on posyła jej powątpiewający, tajemniczy uśmiech.

– Co mam tutaj zobaczyć?

– To kwestia opinii – odpowiada Monalisa i wyciąga przed siebie jedno kościste ramię jak bileter prowadzący na wolne miejsce.

– Zadałam panu proste pytanie. Chciałam jedynie prostej odpowiedzi.

– Tak, ale nie ma prostych odpowiedzi, prawda?

– Co mnie tam czeka?

– Wszystkie rzeczy są tylko lustrami, panno Morrow. Odbijają nasze najgłębsze przekonania, najbardziej pielęgnowane uprzedzenia.

– Mniejsza, kurwa, o to – rzuca Lacey i szybko przekracza próg pokoju zimnego jak tył forda.

Pomieszczenie jest prawie puste, o wysokich betonowych ścianach i wysokim betonowym suficie, z którego na łańcuchach wiszą czerwone lampy jak w ciemni, pośrodku stoi samotnie wielki zbiornik.

– Jest pani szczęściarą – mówi doktor Monalisa, a stalowe drzwi zamykają się za nimi ze szcęknięciem. – Wie pani, moja droga, jak niewielu naukowców miało ten przywilej? Cóż, mógłbym policzyć ich na palcach jednej ręki.

Zbiornik ma co najmniej dwa metry wysokości, grube szkło akwariowe wzmacniają pasy zardzewiałego żelaza, wewnątrz wypełnia mętny środek konserwujący, krwawy w świetle lamp. Lacey gapi się na istotę dryfującą bez życia za szkłem.

– Co pani widzi, panno Morrow?

– Mój Boże – szepcze ona i robi następny krok w stronę zbiornika.

– Teraz to jest ciekawa odpowiedź.

Ani człowiek, ani ryba, ani stworzenie ziemnowodne, długie nogi i jeszcze dłuższe ramiona, łyśsa, zniekształcona czaszka zwrócona do góry, jakby te wyłupiaste, ślepe oczy z tęsknotą spoglądały ku niebu. Solomon Monalisa grzechocze kluczami i zdejmuje kajdanki z jej obolałych nadgarstków.

– *Grendelonyx innsmouthensis...* to pani zobaczyła, panno Morrow. Łapę Grendela.

– Ale to niemożliwe – szepcze Lacey.

– Całkowicie – zgadza się doktor Solomon Monalisa. – To całkowicie, bezsprzecznie niemożliwe.

– Czy on jest prawdziwy?

– Tak, oczywiście, że jest prawdziwy. Inaczej po co miałbym go pani pokazywać?

Lacey kiwa głową, przecina pokój, staje obok zbiornika i kładzie rękę płasko na szkle. Jest zaskoczona, że nie jest zimne w dotyku. Istota w środku wygląda blado i miękko, ale ona wie, że to tylko działanie czasu i żrących chemikaliów.

– Zaplątał się w sieć rybacką i został wyciągnięty na światło dnia – mówi Monalisa. Jego kroki są bardzo głośne w betonowym pokoju. –

W listopadzie tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego, niedługo po tym, jak marynarka skończyła z Innsmouth. Podejrzewam, że został trafiony przez torpedy. – Wskazuje na głęboką ranę w pobliżu pachwiny stworzenia. – Przez jakiś czas trzymali go w piwnicy uniwersytetu w Arkham, a potem przewieźli do Waszyngtonu, do Smithsonian. Tutaj przetransportowali go tuż po wojnie.

Lacey omal nie pyta, po której wojnie, ale wątpi, czy Monalisa by jej powiedział, w każdym razie nie prawdę. Nie może oderwać wzroku od pięknego, straszego, niemożliwego stworzenia spoczywającego w zbiorniku: od jego rozłożonych rąk, od błony pławnej między palcami, od zakrzywionych, ostrych pazurów.

– Dlaczego pan mi go pokazuje? – pyta w końcu.

– Szkoda byłoby nie pokazać – odpowiada Monalisa i jego uśmiech znika. On też dotyka akwarium. – Jest tak niewiele osób, które są w stanie naprawdę zrozumieć... – milknie i marszczy brwi – cud, tak, właśnie to mam na myśli: najprawdziwszy cud.

– Mówił pan, że ma skamieniałość.

– O, tak. Mamy. Ja mam. Doktor Hanisak była taka miła, że wczoraj w nocy zamieniła pudełka, kiedy pani kończyła pracę w muzeum.

– Doktor Hanisak...

– Ciii. – Monalisa przykłada do ust pomarszczony palcem wskazujący. – Nie zadawajmy zbyt wielu pytań, moja droga. Zapewniam panią, że skamieniałość jest bezpieczna i cała. Oddam ją pani niebawem. Aha, i mamy pani wszystkie rzeczy z pociągu. Sądzę, że je również będzie pani chciała odzyskać, zanim zobaczy pani film.

– Jaki film? – pyta Lacey i przypomina sobie fotos z manilowej koperty. List, wścibską kobietę pytającą ją, czy lubi stare filmy o potworach.

– Jakie dziwne dzieciństwo pani miała, panno Morrow? Nie pozwalano pani oglądać telewizji? Naprawdę pani nigdy go nie widziała.

– Moja matka nie lubiła, jak oglądaliśmy telewizję – wyznaje Lacey. – Nawet nie mieliśmy telewizora. Kupowała nam książki. Nigdy nie interesowały mnie filmy. Nie wiem, o czym pan mówi.

– Więc to może być najbardziej godna uwagi część całej tej historii. Niewykluczone, że jest pani jedyną dorosłą osobą w Ameryce, która nie widziała *Potwora z Czarnej Laguny*. – I śmieje się cicho do siebie.

– Słyszałam o nim.

– Mam taką nadzieję.

W końcu Lacey odwraca się od martwej istoty pływającej w zbiorniku i patrzy na Solomona Monalisę roziskrzonym wzrokiem.

– Nie zamierza pan mnie zabić?

– Dlaczego miałbym sobie zadawać tyle trudu, by panią uratować przed tamtymi zbirami, gdybym chciał panią zabić? Z pewnością oni by to zrobili za mnie, gdyby się dowiedzieli, że nie ma pani skamieniałości.

– Nic nie rozumiem – mówi Lacey i uświadamia sobie, że zaczyna płakać.

– Nie. Ale nie miała pani zrozumieć. Nikt nie miał. To tajemnica.

– A co z moją pracą?

– Pani artykuł został wycofany z „Nature”. A doktor Hanisak była taka dobra, że odwołała konferencję prasową w Muzeum Peabody’ego.

– I teraz mam udawać, że nigdy tego wszystkiego nie widziałam?

– Nie, oczywiście, że nie. Ma pani zachować to dla siebie.

– To nie ma sensu. Dlaczego po prostu nie zniszczycie skamieniałości? Dlaczego nie zniszczycie tego? – Mocno uderza dłonią w szkło. – Jeśli to

jest cholerna tajemnica, jeśli nikt nie powinien o niej wiedzieć, dlaczego po prostu się tego nie pozbędziecie? Nie zlikwidujecie wszystkiego?

– Potrafiłaby pani zniszczyć coś takiego? – pyta Monalisa. – Nie, nie sądzę. Czy nie złożyła pani pewnego rodzaju przysięgi, że będzie szukać odpowiedzi, nawet jeśli te odpowiedzi są niewygodne, nawet jeśli są niemożliwe? Cóż, moja droga, ja też to zrobiłem.

– Ona po prostu leżała sobie w szufladzie. Każdy mógł ją znaleźć. Każdy.

– Istotnie. Skamieniałość zaginęła na dekady. Nie mamy pojęcia, jak trafiła do Amherst. Ale teraz pani o nią zadba, prawda?

Ona nie odpowiada, bo nie chce wymówić tych słów na głos. Zamiast tego patrzy przez łyżę na istotę w zbiorniku.

– Tak myślałem. Ma pani niezwykłą siłę. Chodźmy, panno Morrow. Powinniśmy już iść. – Monalisa bierze ją za rękę. – Film wkrótce się zacznie.

*Davidowi J. Schowowi,  
strażnikowi Czarnej Laguny.*



## **Geolog, który utonął (1898)**

**10 maja 1898**

Mój drogi doktorze Watson,

Na usilne naleganie wspólnego znajomego, doktora Ogilvy, ostatnio z British Museum, piszę do pana w związku z bardzo osobliwym zdarzeniem, które przytrafiło mi się w czasie niedawnej długiej wyprawy na szkockie niziny i na południe wzdłuż wschodniego wybrzeża Anglii przez North Yorkshire. Celem mojej podróży było zdobycie lokalnych próbek geologicznych i danych stratygraficznych dla Muzeum Amerykańskiego na Manhattanie, w którym pracuję przez ostatnie cztery lata. Jako jeden człowiek nauki piszący otwarcie do drugiego, ufam, że odbierze pan te słowa zgodnie z ich intencją, jedyną, z jaką umiem je sformułować: jako prawdziwą i obiektywną relację doświadczonego obserwatora, badacza i świadka serii przedziwnych wydarzeń, których nawet teraz, wiele miesięcy później, nie umiem wyjaśnić. Obawiam się, że zapewne zakwestionuje Pan wiarygodność mojej historii i bez wątpienia również moją poczytalność, jeśli jest Pan choć w połowie takim medykiem i naukowcem, jak wskazuje Pańska reputacja. Jeśli chodzi o Ogilvy'ego, który poradził mi, żebym przedstawił te fakty właśnie Panu, jego powody wkrótce staną się jasne. Co więcej, jeśli mój głos wydaje się czasami niepewny i pełen napięcia, jeśli moja narracja się zacina, proszę zrozumieć, że choć minęła większa część roku od tamtych dziwnych dni nad morzem, tylko dzięki największej sile woli jestem w stanie wreszcie przelać tę relację na papier.

Moje podróże po kraju, o których już wspomniałem, zaczęły się w zeszłym czerwcu wraz z przybyciem do Aberdeen po dość nieciekawym

i niestety nieproduktywnym miesiącu spędzonym na badaniach w Niemczech. Jadąc powozem i pociągiem, samotnie i korzystając zawsze z najdogodniejszych i niedrogich środków transportu w moich często nieortodoksyjnych celach, podążałem przez cały czerwiec i lipiec krętym kursem na południe, przez poszarpane pasy paleozoicznych i mezozoicznych warstw, zwykle wyeksponowane najlepiej, takie już moje szczęście, wzdłuż najbardziej niedostępnych nadbrzeżnych klifów i cypli. Tak więc w połowie sierpnia, rankiem dwunastego, ściśle mówiąc, dotarłem do Whitby i zameldowałem się w małym hotelu wychodzącym na port.

Po długich tygodniach spędzonych w drodze, często na piechotę po trudnym, nierównym terenie, nawet to skromne lokum wydawało się mi naprawdę luksusowe, zapewniam Pana. Mieć przyszykowaną gorącą kąpiel, gotowane posiłki i dach nad głową chroniący przed deszczem, takie drobiazgi stają się ekstrawagancją już po niedługim czasie obywania się bez nich. Rozgościłem się w swoim pojedynczym pokoju przy Drawbridge Road, podniecony perspektywą zbadania na wybrzeżu starych łupków ze skamieniałościami Sauria, ale również czując ulgę, że przez jakiś czas mam schronienie przed paskudną pogodą. Dwa tygodnie wcześniej wysłałem telegram do sir Elijah Purdy'ego, kolegi z Londyńskiej Towarzystwa Geologicznego i człowieka o wielkim doświadczeniu, jeśli chodzi o liasowe warstwy w Whitby oraz znajdujące tam skamieniałe kości i mięczaki, tak że miał się spotkać ze mną nie później niż po południu czternastego, kiedy to mieliśmy zacząć nasze planowane tygodniowe badania skał. Tymczasem planowałem zbadać próbki w małym Muzeum Whitby przy Quayside, przejrzeć, jakiego rodzaju okazy amonitów i gadów znajdują się w tamtejszych zbiorach.

Postaram się nie zanudzić Pana dziennikiem podróży, bo wiem od Ogilvy'ego, że zna Pan wioskę Whitby z uroczymi czerwonymi dachami i pobielonymi ścianami, ruinami opactwa na Wschodnim Klifie itd. Muszę wyznać, że w tamtym czasie miałem już dość morskiej scenerii i niewiele zainteresowania czy cierpliwości do czegoś innego niż sfosylizowane muszle i kości, warstwy zawierające skamieliny, dla których pokonałem wiele tysięcy mil.

Gdy po nocy dobrze przespanej mimo straszliwej burzy przed świtem ubrałem się i zszedłem na śniadanie, zauważyłem duże poruszenie wśród gości i gospodarzy oglądających rosyjski szkuner „Demeter”, który zaledwie kilka dni wcześniej osiadł na mieliźnie przy Tare Hill Pier. Jak

wspomniałem, w tamtym momencie niewiele obchodziły mnie statki i morze, nie przysłuchiwałem się ożywionym rozmowom, choć przypominam sobie, że okoliczności, w jakich statek wpadł na mieliznę, były dość tajemnicze i wydawały się źródłem sporego niepokoju. Tak czy inaczej, mój umysł prawie całkowicie pochłaniała praca, więc skończyłem jajka i kielbaski, wypilem dzbanek silnej czarnej kawy i wyruszyłem do muzeum. Poranne powietrze nie było szczególnie ciepłe ani zimne, w czasie łatwego spaceru prawie nie zwracałem uwagi na otoczenie, pogrążony we własnych myślach o kwestiach paleontologicznych.

Dotarłem do Quayside tuż przez godziną jedenastą i, tak jak było zaplanowane, spotkałem się z wielbnym Henrym Swalesem, który od lat zajmował stanowisko kuratora i dbał o rosnące zbiory muzeum. Choć muzeum założono pierwotnie jako magazyn skamieniałości, w ciągu ostatnich kilku dekad jego misja znacznie się poszerzyła i objęła całą historię naturalną regionu, tak że znalazły się w nim duże kolekcje chrząszczy, materiałów botanicznych, Lepidoptera i ryb. Wielbny Swales, wysoki, dobroduszny człowiek z gęstymi siwymi wąsami i takimi samymi brwiami, ochoczo skierował swojego jankeskiego gościa do bezpretensjonalnej galerii, w której wystawiono dla publiczności Sauria i inne skamienieliny. Słuchałem go uważnie, kiedy opowiadał historię każdego okazu, tak jak można opowiadać biografię człowieka, mówił o okolicznościach ich odkrycia i konserwacji. Niemal od razu wrażenie zrobił na mnie pewien duży plezjozaur, w którym zachował się kompletny szkielet mniejszego plezjozaura, tak że większość popołudnia minęła na studiowaniu tego wyjątkowego artefaktu, robieniu rysunków i pogrążaniu się jeszcze bardziej w fantazjach o przedpotopowym świecie monstrualnych morskich potworów.

W końcu wielbny Swales wrócił i przypomniał mi, że muzeum zostanie zamknięte o czwartej, ale mogę zostać dłużej, jeśli chcę. Oczywiście chciałem, jako że dopiero zacząłem zdrapywać powierzchnię tej cudownej kolekcji, ale nie mogłem nadużywać gościnności wielbnego. Ostatecznie miałem jeszcze wiele dni, żeby posłuchać nad tymi eksponatami, a oczy zaczynały mnie piec po wielu godzinach badania plezjozaurów i ichtiozaurów.

– Dziękuję, ale to nie będzie konieczne – powiedziałem. – Wrócę jutro wcześniej rano.

Kustosz przypomniał mi, że muzeum jest otwierane dopiero o ósmej, a ja zapewniłem go, że to mi odpowiada. Uporządkowałem notatki i zostawiłem wielebnego Swalesa, żeby zamknął muzeum.

Zostawiwszy za sobą Quayside, postanowiłem odbyć leniwy spacer nad morze, jako że było jeszcze wcześniej, a ja nie miałem czym zająć czasu oprócz książek i notatek. Trasa wiodła na północ wzdłuż Pier Road, z ciemnobrązowymi wodami wąskiej rzeki Esk płynącej wartko po mojej prawej stronie. Wysoko nad rzeką wznosił się Wschodni Klif i szacowne ruiny starego opactwa.

Choć wcześniej nie interesowało mnie ono w najmniejszym stopniu, przyłapałem się na tym, że patrzę z fascynacją na te odległe, rozpadające się mury i ostre łuki, może trochę bardziej skłonny docenić „miejscowy koloryt” teraz, kiedy moje pragnienie, żeby zbadać słynne Sauria z Whitby, zostało częściowo zaspokojone po całym dniu pracy. Niewiele wiedziałem o historii tego miejsca, jedynie to, że opactwo wzniesiono na klifie w roku sześćset pięćdziesiątym siódmym, a dwa wieki później zniszczyli je wikińscy najeźdźcy, i że ruiny obecnej budowli są pozostałościami normańskiego klasztoru zbudowanego w tym samym miejscu jakiś czas później. Pomyślałem, że z opactwem zapewne jest związany taki czy inny święty, że gdzieś o tym czytałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć szczegółów. Szedłem jednak dalej Pier Road, a górujące nad okolicą ruiny zaczynały budzić we mnie dziwny lęk, którego zupełnie nie potrafiłem wyjaśnić ani wtedy, ani teraz. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie zająć się innymi, mniej niepokojącymi widokami. Tak więc szybko dotarłem do Zachodniego Klifu nad plażą, gdzie stara brukowana Pier Road ostro skręcała na południe z powrotem ku miasteczku, tworząc coś w rodzaju zakrzywionej główki pasterskiego kija.

Muszę przeprosić, jeśli wdałem się w nużące szczegóły, czego wcześniej obiecałem unikać, ale ważne jest w tym momencie mojej relacji, żeby Pan zdał sobie sprawę ze stanu mojego umysłu, z dziwnego, niepokojącego wrażenia, jakie wywarło na mnie opactwo. Nie jestem osobą przyzwyczajoną do takich emocji i na ogół uważam siebie za człowieka w najmniejszym stopniu nie ulegającego przesądom. Powiedziałem sobie, że cokolwiek czuję, jest jedynie skumulowanym produktem światła i cienia, spotęgowanym przez zmęczenie po długim dniu, i że większość racjonalnych ludzi mogła czuć się podobnie, patrząc na te ruiny.

Na Zachodnim Klifie od planowanego celu, czyli samych łupków z dolnej jury, odwiódł mnie nadzwyczajny widok szkunera spoczywającego na mieliźnie po wschodniej stronie kei, za rzeką Esk. Szybko uświadomiłem sobie, że to szkuner „Demeter”, o którym z takim podnieceniem (i złymi przeczuciami) rozmawiano przy śniadaniu. Zapewniam Pana, doktorze Watson, że rozbity rosyjski statek stanowił dziwny, samotny widok na kamienistym Tate Hill Pier u stóp Wschodniego Klifu i starego cmentarza. Jego żalösne, strzaskane maszty i bukszpryt nasunęły mi skojarzenie z kolcami jakiegoś przedadamowego stwora, co oczywiście nie było dziwnym skojarzeniem, zważywszy na moją profesję. Splątane olinowanie i rozdarte płótno wisały luźno jak pozbawiona życia skóra i ścięga, powiewające na morskiej bryzie.

I znowu ogarnął mnie ten osobliwy lęk, jeszcze silniejszy niż wcześniej, i wyznam, że rozważałem zawrócenie w stronę wygod gospody. Jednakże, jak już wspomniałem, uważam swoją wolność od przesądów i uprzedzeń za szczególnie powód do dumy, a wiedząc, że nie ma się czego bać, i zdecydowany spojrzeć na warstwy alunowe i nie pozwolić się od tego odwieść z powodu dziecinnych myśli i emocji, zacząłem szukać jakiegoś łatwego zejścia na plażę, żeby lepiej przyjrzeć się skałom.

W ciągu zaledwie kilku minut znalazłem spiralne drewniane schody przymocowane do urwiska w pobliżu muru nabrzeża. Jednakże czas i działanie morza poczyniły takie zniszczenia, że cała struktura chwiała się bardzo niepokojąco, kiedy ostrożnie schodziłem po śliskich stopniach na piasek. Gdy w końcu dotarłem na dół, odpocząłem krótko i spojrzałem w górę na rozchwiane schody, szczerze mając nadzieję, że znajdę inny sposób, żeby wrócić na górę. Trwał odpływ, odsłonięty był szeroki pas czystego piasku i zwykle szczątki wyrzucone na brzeg, więc słusznie przypuszczałem, że nadal została mi co najmniej godzina, żeby rozejrzeć się u stóp Zachodniego Klifu, nim znalezienie alternatywnej drogi stanie się pilną kwestią.

Niemal natychmiast trafiłem na doskonale zachowaną dość dużą skorupę szkarłupnia albo jeża morskiego, zwiertzałą, ale całkowicie uwolnioną z łupku alunowego, w którym była uwięziona przez tyle epok. Oczyszcziłem ją z piasku i przyjrzałem się jej uważniej w świetle słońca, ale nie potrafiłem określić ani rodzaju, ani gatunku, i podejrzewałem, że może to być forma do tej pory nieznaną paleontologom. Schowałem swoje znalezisko do prawej kieszeni marynarki i nadal przeszukiwałem wzrokiem

stromie skały, żeby wypatrzeć inne doskonałe skamieniałości. Ale zbliżał się wieczór, więc nie zobaczyłem niczego równie interesującego, a trafiłem głównie na połamane kawałki muszli amonitów i mięczaków zatopione w twardych wapiennych konkrecjach, kilka rybich kości i coś, co mogło okazać się małym fragmentem jednej z charakterystycznych klepsydrowych kości płetwowych ichtiozaura albo plezjozaura. Spojrzałem na morze, a potem z powrotem na ciemnoszare skały, próbując sobie wyobrazić, jak to często robiłem, niepojęty ogrom czasu, który minął, odkąd kamienie przede mną były jeszcze mułem i szlamem na dnie wcześniejszego i nieskończone bardziej obcego morza.

– Jest pan geologiem? – zapytał jakiś męski głos.

Gdy drgnąłem zaskoczony i się odwróciłem, zobaczyłem bardzo wysokiego, chudego osobnika o wąskim, orlim nosie, patrzącego na mnie z odległości zaledwie metra. Uśmiechał się lekko, w sposób, który wtedy uznałem za dziwnie znaczący. Przypuszczałem, że mógł tam stać od godziny, jako że mam w zwyczaju tak się skupiać na zbieraniu okazów, że często przez długi czas zapominam rozejrzeć się wokół siebie.

– Tak, proszę pana – odparłem. – Paleontologiem, ściśle mówiąc.

– Aha. Oczywiście, że tak. Sam bym to zauważył, ale obawiam się, że rozproszył mnie wrak. – Wskazał w stronę nabrzeża, Esk i osiadłej na mieliźnie „Demeter”. – Jest pan Amerykaninem, nowojorczykiem, jeśli się nie mylę.

– Jestem – potwierdziłem, choć wyznam, że w tym momencie obcy zaczynał mnie trochę irytować swoimi pytaniami. – Doktor Tobias Logan z Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej. – Wyciągnąłem rękę, a on tylko popatrzył na nią z zaciekawieniem i uśmiechnął się do mnie znowu tym znaczącym uśmiechem.

– Poluje pan na morskie potwory w Whitby, jak mniemam, bez wielkiego powodzenia – zauważył.

– Cóż. – Wyjąłem z kieszeni jeża morskiego i mu go podałem. – Przyznaję, że miewałem lepsze dni.

– Nadzwyczajne – rzekł nieznajomy, uważnie oglądając skamieniałość, obracając ją w dłoni.

– Owszem. – Trochę się odprężyłem, jako że nie jestem przyzwyczajony do tłumaczenia się ciekawskim nieznajomym. – Mimo to niezupełnie o taką zdobycz mi chodziło.

– Lepiej mieć szczęście Chapmana, co? – rzucił tamten, mrugając okiem.

Od razu zrozumiałem, że ma na myśli Williama Chapmana i odkrycie przez niego w tysiąc siedemset pięćdziesiątym ósmym morskiego krokodyla na wybrzeżu Yorkshire, niedaleko od miejsca, w którym się znajdowaliśmy.

– Zaskakuje mnie pan – stwierdziłem. – Jest pan kolekcjonerem?

– O, nie – zapewnił, oddając mi jeżowca. – Nic podobnego. Ale dużo czytam i sądzę, że niewiele tematów umknęło mojej uwadze.

– Nie ma pan akcentu z Yorkshire – zauważyłem, a on pokręcił głową.

– Nie, doktorze Logan.

Potem znowu do mnie mrugnął. Odwrócił się i popatrzył na morze, a ja w tym momencie zobaczyłem, że zaczyna się przyływ i plaża jest zdecydowanie węższa niż ostatnim razem, kiedy sprawdzałem.

– Obawiam się, że zamoczą się nam nogi, jeśli się stąd nie ruszymy – powiedziałem, ale on tylko kiwnął głową i nadal wpatrywał się w niespokojny szary przestwór morza.

– Powinniśmy kiedyś dłużej porozmawiać – stwierdził. – Jest pewna sprawa związana z bardzo starym obiektem niejasnego pochodzenia, na temat którego bardzo chciałbym usłyszeć pańską opinię.

– Skamieniałość? – spytałem.

– Nie, kamienna tabliczka. Pokryta hieroglifami przypominającymi starożytne egipskie.

– Przykro mi, proszę pana, ale z pewnością lepiej będzie, jak pokaże pan ją jakiemuś archeologowi. Nie byłbym w stanie wiele panu powiedzieć.

– Naprawdę? – Mężczyzna uniósł jedną brew i spojrzał na mnie w zamyśleniu. – Znalazłem ją w tej samej warstwie, którą badał pan przez ostatnią godzinę. To naprawdę zdumiewająca rzecz, doktorze Logan.

Chyba musiałem gapić się na niego przez jakiś czas bez słowa, bo byłem zbyt zdumiony i sceptyczny, żeby znaleźć odpowiednie słowa. Nieznajomy wzruszył ramionami, podniósł z ziemi kamyk i rzucił go w przybliżające się morze.

– Proszę wybaczyć – powiedziałem. Lub coś w tym rodzaju. – Albo mnie pan nabiera, albo sam stał się ofiarą czyjś żartu. Najwyraźniej jest pan wykształconym człowiekiem, więc...

– Więc – przerwał mi – wiem, że te osady są o wiele milionów lat za stare, żeby zawierać artefakt, o którym panu wspomniałem. Oczywiście.

– Więc pan żartuje?

– Nie, dobry człowieku. – Schylił się po następny kamyk i rzucił go w fale. – Wręcz przeciwnie, zapewniam pana. Byłem równie sceptyczny jak pan, kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę rzecz, ale teraz jestem całkiem przekonany o jej autentyczności.

– Androny – skwitowałem, choć w tym momencie przychodziły mi do głowy dużo wulgarniejsze wyrażenia. – To, co pan proponuje, jest tak absurdalne...

– Że nie gwarantuje choćby najbardziej zdawkowej uwagi wykształconych ludzi – przerwał mi po raz drugi.

– No, tak – przyznałem trochę niecierpliwie, obawiam się, a potem schowałem jeża z powrotem do kieszeni. – Cały pomysł jest kompletnie absurdalny, człowieku, już na pierwszy rzut oka. Przeczy wszystkiemu, co odkryliśmy w ciągu ostatnich stu lat na temat ewolucji, rozwoju życia i powstania ludzkości.

– Z początku podejrzewałem – rzekł nieznajomy, jakbym w ogóle się nie odezwał – że ktoś mógł umieścić ten artefakt jako żart wymierzony w kogoś innego, a ja natknąłem się na niego przypadkiem. Kogoś, kto w przeciwieństwie do mnie ma zwyczaj zbierać muszle, kamienie i stare kości na brzegu morza. Ale ja byłem w stanie zidentyfikować... Och, jak to mówią pańscy koledzy geolodzy? Pozytywne i negatywne odciski... tak, właśnie tak. Pozytywne i negatywne odciski tabliczki były bardzo wyraźne, nie do pomylenia, w warstwach łupku bezpośrednio nad nią i pod nią. Je również udało mi się odzyskać.

– Z pewnością – rzuciłem z powątpiewaniem.

– Ale co ciekawsze, to nie jest pierwszy tego rodzaju niewłaściwy artefakt, doktorze Logan. Dwa lata temu bardzo podobny kamień znalazł górnik na wybrzeżu w Staithes, gdzie, jak pan z pewnością wie, te same łupki są wydobywane ze względu na ałun. Widziałem ją osobiście w prywatnej gablocie w Glasgow. I był jeszcze trzeci, odkryty w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym albo szóstym we Frylingdales. Zdaje się jednak, że on niestety przypadł i został tylko rysunek.

Mężczyzna na chwilę przestał mówić i spojrzał w stronę nabrzeża. Z miejsca, gdzie staliśmy, można było dostrzec roztrzaskany fokmaszt nieszczęsnej „Demeter”. Nieznajomy wskazał na statek.

– Tutaj w Whitby są mroczne istoty, doktorze Logan. Mroczniejsze niż te, którym jestem przyzwyczajony stawiać czoło, a zapewniam pana, że nie



jestem tchórzem, jeśli sam mogę tak o sobie powiedzieć.

– Przyływ, proszę pana – zwróciłem mu uwagę, bo fale przybliżyły się prawie do miejsca, gdzie staliśmy.

– Istotnie, przyływ – potwierdził mężczyzna roztargnionym, zirytowanym tonem i pokiwał głową. – Ale możemy porozmawiać o tym kiedy indziej, zanim pan opuści Whitby. Z przyjemnością pokażę panu tabliczkę. Ja sam będę tutaj jeszcze przez tydzień. Wolałbym jednak, żeby ta sprawa pozostała między nami.

– Oczywiście – zapewniłem go. – Nie mam szczególnej chęci, żeby wzięto mnie za szaleńca.

– Tym bardziej.

Po tym enigmatycznym stwierdzeniu zaczęło się niebezpieczne wejście po rozchwianych schodach na Pier Road. Zostałem na dole chwilę dłużej i patrzyłem, jak mężczyzna wchodzi na górę. Spodziewałem się, że te śliskie, niesolidne deski w każdej sekundzie się załamią, a on runie na skały i piasek u moich stóp. Jednak wytrzymały, a ja, mając jedynie wysoką i niedostępną ścianę nabrzeża na wschodzie, zebrałem odwagę i ruszyłem za nim. Przy dużej dozie szczęścia ja również przeżyłem wspinaczkę, choć konstrukcja kołysała się i trzeszczała, tak że każdy mój krok mógł być ostatnim.

Teraz już nie mam wątpliwości, doktorze Watson, że Pan rozumie, dlaczego Ogilvy nakłonił mnie, żebym do Pana napisał. Przeczytałem w prasie kilka relacji o niezwykłej śmierci pana Holmesa w Szwajcarii i mam nadzieję, że niezwykła możliwość, której tutaj nie wyjawię wprost, a jedynie poddam ją pod Pańską rozagę, nie sprawi Panu więcej bólu. Uświadomiono mi, jak wielka przyjaźń łączyła Pana i pana Sherlocka Holmesa, i gdyby mój umysł nie był tak udęczony wątpliwościami i zdenerwowany z powodu dziwacznych wydarzeń w Whitby w minionym sierpniu, wolałbym zachować tamto spotkanie dla siebie na zawsze. Nigdy nie pozwoliłbym sobie na te przydługie refleksje co do tożsamości mężczyzny z plaży, mężczyzny, którego wygląd i sposób bycia mógłby Pan, jak sądzę, rozpoznać.

Ale teraz powinienem kontynuować swoją opowieść i nadal mieć nadzieję, że dostrzeże Pan w niej coś więcej niż majaczenia przeciążonego umysłu i nazbyt bujnej wyobraźni.

Gdy wreszcie dokończyłem wspinaczkę i stanąłem bezpiecznie na kruszejącym szczycie Zachodniego Klifu, chmury burzowe nasuwały się

szybko od południowego zachodu, a szemrzące wody Esk pociemniały, tworząc groźne tło dla ruin opactwa. Obawiając się, że zgubię się na nieznanymi ulicach, gdy będę próbował znaleźć krótszą drogę do hotelu, pośpieszyłem Pier Road, żeby wrócić po swoich śladach do gospody przy Drawbridge Road. Jednak niewiele uszedłem, kiedy zerwał się wiatr i zaczęły bić pioruny, a niedługo potem spadła zimna ulewa. Nie wziąłem ze sobą parasola, sądząc, że dzień pozostanie przyjemny i pogodny, i nie planując wcześniej zejścia na plażę. W rezultacie przemokłem doszczętnie. Musiałem zaiste przedstawiać sobą straszny i żalony widok, gdy tak mozolnie szedłem wąskimi uliczkami zalany deszczem.

Gdy w końcu dotarłem do hotelu, zaproponowano mi filiżankę gorącej herbaty i miejsce przy kominku. Choć to ostatnie było kuszące, powiedziałem właścicielowi, że wolę udać się do swojego pokoju, przebrać w suche ubranie i odpocząć do kolacji. Kiedy ruszyłem w górę po schodach, gospodarz mnie zawołał, bo zapomniał przekazać wiadomość, którą dla mnie zostawiono po południu. List napisano na małym świstku zwyczajnego papieru.

*Toby, zadzwonię z samego rana. Proszę, czekaj na moje przybycie. Dotarłem do Whitby wcześniej, niż się spodziewałem. Mam dużo do opowiedzenia na temat niezwykłych skamieniałości znalezionych w dewońskim liasie, a teraz znajdujących się pod moją pieczęcią. Znasz fenickiego (?) boga Dagona albo irlandzkie Daoine Domhain? Do jutra.*

*Twój E.P.*

Choć słusznie zaintrygowany i podniecony perspektywą zobaczenia nowych dewońskich skamieniałości, o których wspomniał Purdy, byłem kompletnie zaskoczony jego pytaniem o fenickich bogów i tymi dwoma niewymawialnymi celtyckimi słowami. Uznawszy, że wszelkie tajemnice bez trudu wyjaśnią się rano, udałem się do swojego pokoju i od razu zmieniłem ubranie, a następnie do kolacji zająłem się sporządzaniem krótkich notatek na temat jeża morskiego i drugiego okazu z Zachodniego Klifu.

Tamtej nocy spałem niespokojnie, podczas gdy burza szarpała okiennicami. Nie mam skłonności do koszmarów, ale pamiętam dziwne urywki snu, w którym stałem na brzegu przy Zachodnim Klifie, patrząc, jak „Demeter” wpływa majestatycznie do portu. Gdzieś blisko za mną stał

wysoki mężczyzna – choć nie sędzę, żebym widział jego twarz – i mówił o mojej żonie i dziecku. Obudził mnie krótko po świcie zapach kawy i śniadania niosący się z dołu i kojący dźwięku deszczu kapiącego z dachu. Burza minęła, a ja pamiętam, że mimo raczej kiepskiego snu czułem się wypoczęty i gotowy na długi dzień badania morskich wychodni z Purdym. Ubrałem się szybko i uzbrojony w laskę z jesionu, plecak, młotek i dłuta zszedłem na dół, żeby poczekać na przybycie mojego kolegi.

Jednakowoż o jedenastej nadal czekałem, popijając drugi dzbanek kawy. Zaczynałem odczuwać pierwsze lekkie ukłucia irytacji, że tyle dnia się marnuje w sytuacji, kiedy mój pobyt w Whitby miał być taki krótki. Jestem niemal purytaninem, jeśli chodzi o pracę, i nienawidzę marnotrawić dobrego światła dziennego. Poza tym nie mogłem sobie wyobrazić, co mogło tak długo zatrzymać Purdy'ego.

Straszne rzeczy, które wkrótce nastąpiły, muszę Panu powiedzieć, wydarzyły się bez najmniejszej zapowiedzi czy znaku, które zwykle przypisuje się makabrze i niesamowitościom w tanich gotyckich powieściach. Nie było nawet niejasnego przeczucia z poprzedniego dnia. Te rzeczy po prostu się wydarzyły i właśnie to w jakiś sposób uczyniło je jeszcze gorszymi. Minęły długie tygodnie, nim z tymi wydarzeniami zaczął się łączyć dziwny lęk, w istocie szczere przerażenie, które stopniowo zaczęło pochłaniać moje myśli.

Czytałem, po raz drugi, długi artykuł w edynburskiej gazecie (jej nazwa mi umknęła, podobnie jak temat artykułu), kiedy wszedł mały chłopiec, może ośmioletni, i oznajmił, że go po mnie przysłano. Pewien mężczyzna zapłacił mu sześć pensów za sprowadzenie mnie na Zachodni Klif, gdzie w nocy doszło do utonięcia.

– Przykro mi, ale nie jestem doktorem medycyny – wyjaśniłem, sądząc, że to zwykła pomyłka, ale nie, chłopiec zapewnił mnie od razu, że polecono mu z jak największym pośpiechem przyprowadzić doktora Tobiasa Logana na plażę przy Zachodnim Klifie.

Kiedy tak siedziałem, drapiąc się po głowie, chłopiec zaczął się niecierpliwić i powtarzać, że musimy się pośpieszyć. Zanim opuściłem hotel przy Drawbridge Road, napisałem krótki liścik do Purdy'ego i zostawiłem go u właściciela na wypadek, gdyby kolega zjawił się pod moją nieobecność. Potem szybko zebrałem swoje rzeczy i ruszyłem za podekscytowanym chłopcem – który powiedział mi, że ma na imię Edward

i że jego ojciec jest szewcem – wąskimi, krętymi uliczkami Whitby znowu w stronę w Zachodniego Klifu.

Ciało topielca leżało na piasku, a mewy i kraby najwyraźniej się nim zajęły, zanim go znaleziono. Mimo szkód wyrządzonych przez ostre dzioby ptaków nie miałem kłopotów z rozpoznaniem twarzy Elijah Purdy’ego. Wokół zebrało się kilku ludzi, łącznie z konstabłem i kapitanem portu, z których żaden, jak się szybko domyśliłem, nie zapłacił chłopcu sześciu pensów za sprowadzenie mnie na Zachodni Klif.

– Najpierw ten przekłety rosyjski statek widmo – rzucił gderliwie policjant i zapalił fajkę. – Teraz to.

– Paskudny tydzień, to pewne – odmruknął kapitan portu.

Przedstawiłem się, a potem ukląknłem przy sponiewieranych doczesnych szczątkach człowieka, którego znałem i którego tak lubiłem. Konstabl zakaszlał i wydmuchał wielką szarą chmurę dymu fajkowego.

– Znał pan tego biedaka? – zapytał.

– Tak. Bardzo dobrze. Miałem się z nim spotkać dziś rano. Czekałem na niego, kiedy ten chłopiec przyszedł po mnie do gospody przy Drawbridge Road.

– Doprawdy? Co to za chłopiec?

Podniosłem wzrok, ale po chłopcu, który przyprowadził mnie w to ponure miejsce, nie było nawet śladu.

– Syn szewca – wyjaśniłem i spojrzałem z powrotem na okaleczoną twarz Purdy’ego. – Mówił, że mu zapłacono, żeby mnie tu sprowadził. Założyłem, że po mnie posłaliście, choć wcale nie jestem pewien, skąd mielibyście wiedzieć, że znałem zmarłego.

W tym momencie kapitan portu i konstabl wymienili skonsternowane spojrzenia, po czym ten drugi wrócił do palenia fajki.

– Więc ten człowiek był pańskim kolegą? – spytał kapitan.

– Istotnie – potwierdziłem. – To sir Elijah Purdy, geolog z Londynu. Przyjechał do Whitby wczoraj. Sądzę, że mógł wziąć pokój w Morrow House przy Hudson Street.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na mnie, a następnie konstabl wyszeptał coś do swojego towarzysza i obaj jednocześnie pokiwali głowami.

– Jest pan Amerykaninem – zauważył policjant, unosząc brew i ssąc ustnik fajki.

– Tak. Jestem Amerykaninem.

– Cóż, panie Logan, może pan być pewien, że dotrzemy do prawdy – zapewnił mnie.

– Dziękuję. – I w tym momencie zauważyłem jakiś dziwny, opalizujący przedmiot wielkości srebrnej dolarówki, który topielec ścisnął w ręce.

– Sprawy morderstwa są w Whitby zawsze rozwiązywane.

– Dlaczego pan uważa, że go zamordowano? – spytałem, wyjmując opalizujący przedmiot z ręki Elijah Purdy’ego.

– Cóż, kieszenie tego mężczyzny napełniono kamieniami, żeby obciążyć ciało. Niech pan sam zobaczy.

Rzeczywiście kieszenie wełnianego płaszcza były wypchane łupkami, ale po bliższym przyjrzeniu się zobaczyłem, że wszystkie zawierają skamieniałości, i wyjaśniłem obecnym, że według wszelkiego prawdopodobieństwa to sam Elijah Purdy zebrał te kamienie. Znajdowały się one również w jednej z kieszeni jego kamizelki.

– Aha – mruknął w zamyśleniu konstabl, gładząc wąsy. – Cóż, nieważne. Znajdziemy gościa, który to zrobił, obiecuję panu.

Nie byłem w tamtej chwili skłonny do dyskusji, więc odpowiedziałem na jeszcze kilka pytań, poinformowałem konstabla, że będę dostępny w czasie dochodzenia, i ruszyłem w górę po rozchwierutanych schodach na Pier Road. Stałem tam przez krótki czas, przyglądając się scenie w dole, ludziom otaczającym kręgiem ciało topielca, ciemnemu morzu niestrudzenie rozbijającemu się o brzeg, bezkresnemu niebu nad Morzem Północnym. Nagle przypomniałem sobie o przedmiocie, który wziąłem z ręki Purdy’ego. Wyjąłem go z kieszeni i uniosłem do oczu, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Nie było jednak wątpliwości, co to jest: mały amonit z rodzaju *Dactylioceras*, dość powszechny w warstwach angielskiego liasu. Nic nadzwyczajnego, z wyjątkiem tego, że ten okaz głowonoga, choć martwy, nie był skamieniały. Jego kalmarowa głowa patrzyła na mnie srebrnymi oczami, dziesięć macek opadało bezwładnie na moje palce.

Obawiam się, że niewiele więcej jest do opowiedzenia, doktorze Watson, a patrząc wstecz na tych kilka stron, widzę, że w tym, co napisałem, nie ma tyle sensu, na ile liczyłem. Wróciłem do hotelu, gdzie miałem spędzić następne trzy dni. Złożyłem jeszcze jedną wizytę w muzeum wielebnego Swalesa, tylko po to, by odkryć, że mój entuzjazm do pracy wygasł. Po dochodzeniu, w czasie którego ustalono, że utonięcie sir Elijah Purdy’ego było przypadkowe i wydarzyło się podczas zbierania przez niego skamieniałości na plaży, zatem nie doszło do żadnego

przestępstwa, ponieważ on po prostu źle ocenił porę przyływu, spakowałem swoje rzeczy i wróciłem na Manhattan. Niedawno dostarczyłem zdechłego *Dactylocerasa*, zakonserwowanego w alkoholu, kuratorowi od skamieniałych bezkręgowców, a on przyjął znalezisko z wielką pompą i obiecał nazwać zadziwiający nowy gatunek na cześć człowieka, z którego ręki go wyjąłem. I jeszcze ostatni szczegół, który Pana zainteresuje i który stanowi główny powód mojej pisaniny: list, który otrzymałem kilka tygodni po powrocie do Stanów.

Nadany w Whitby dwunastego września, miesiąc po moim przyjeździe tamże, nie miał adresu zwrotnego i został napisany na maszynie. Poniżej jego kopia dla Pana:

*Drogi panie Logan,*

*Ufam, że podróż do domu minęła bez przygód. Piszę, żeby Pana szczerze przeprosić za to, że nie zajęłem się sprawą przedwczesnej śmierci Pańskiego przyjaciela, i za to, że nie miałem czasu kontynuować naszej wcześniejszej rozmowy. Muszę jednak prosić, żeby zapomniał Pan o dziwnej sprawie, o której mówiłem, o trzech tabliczkach w Whitby, Staithes i Frylingdales. Wszystkie zaginęły, obawiam się, a ja zrozumiałem, że z pewnością dobrze się stało. Mogą tutaj działać mroczne, prastare siły, kaprys nieludzkich istot niewyobrażalnie starych i złych, a ja podejrzewam, że mogły one odegrać bezpośrednią rolę w śmierci sir Elijah. Proszę wziąć sobie moje słowa do serca i zapomnieć o tych sprawach. Zajmowanie się nimi nie przyniesie Panu żadnych korzyści. Może pewnego dnia znowu się spotkamy w bardziej sprzyjających okolicznościach.*

*S.H.*

Czy autorem listu był pański współpracownik Sherlock Holmes i czy to był ten sam człowiek, z którym rozmawiałem na Zachodnim Klifie, nie potrafię powiedzieć. Nie umiem również wyjaśnić obecności w wodach przy Whitby mięczaka, który, jak sądzono, zniknął z powierzchni Ziemi wiele milionów lat temu, ani śmierci Elijah Purdy'ego, z tego co wiem, doskonałego pływaka. Nigdy nie widziałem tabliczek na własne oczy, więc nie mogę wydać o nich wiarygodnej opinii i lepiej nie będę tego próbował. Nigdy nie byłem nerwowym człowiekiem, ale zacząłem słyszeć w nocy dziwne dźwięki i głosy, tak że zaczyna na tym cierpieć mój sen i, obawiam

się, również spokój mojego umysłu. Śnię o... nie, nie będę mówił o swoich snach.

Zanim skończę, powinienem dodać, że w ostatni piątek dokonano włamania do muzeum, a policja jeszcze nie rozwiązała tej sprawy. Ukradziono jedynie amonit z Whitby i wszystkie notatki na jego temat, choć znaczne szkody wyrządzono w gabinetach paleontologii i geologii oraz w zamkniętej na klucz gablocie, w której przechowywano okaz.

Dziękuję za pański czas, doktorze Watson, i jeśli kiedyś odwiedzi Pan Nowy Jork, liczę na to, że będę miał przyjemność Pana poznać.

Dr Tobias H. Logan  
Dział Paleontologii Kręgowców  
Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej  
Nowy Jork

(Niewysłany list znaleziono wśród ruchomości doktora Tobiasa Logana po jego samobójstwie przez powieszenie 11 maja 1898).

## Martwy i szalony

Pod Providence, pod starym żółtym domem przy Benefit Street, gdzie srebrnookie wampiry przesypiają dni i spędzają wieczory wśród zakurzonych figur woskowych z hiszpańskim absyntem i stęchłymi wspomnieniami, pod domem, który należał kiedyś do czarownic, dawno temu, pod domem z wieloma duchami, sekretami i przekleństwami, takimi jak pająki i rybiki, pod żółtym domem w pół do dwunastej w zimną lutową noc panie Terpsychora i Mnemozyna kończą wykład pokazem. Na lekcji dla młodych ghuli i dla dzieci Cockoo – wykradzionych jako niemowlęta i wychowanych w podziemnych labiryntach – przez godzinę dwa stare ogary przynudzały o najbardziej skutecznych metodach czyszczeniu ciała z płynu do balsamowania i innych środków konserwujących, zanim można bezpiecznie przygotować je w kuchni. Chuda dziewczyna o mysich włosach Starling Jane dwa razy się zdrzemnęła w czasie wykładu, czym zasłużyła sobie na warknięcie pani Mnemozyny i złe spojrzenie płonących żółtych oczu pani Terpsychory.

– To wszystko na dzisiaj – burczy pani Terpsychora i zamyka skórzaną teczkę, w której trzyma skalpele, strzykawki, igły i noże. – Ale lepiej, żebyście do jutra znali wszystkie środki przeczyszczające i odtruwające. A ty, młoda damo – ghulka wskazuje długim, zakrzywionym palcem na Starling Jane, hebanowym pazurem celując prosto w jej serce – ty musisz się nauczyć, że to dzień, a nie lekcja jest właściwą porą na spanie.

– Tak, proszę pani – szepcze Starling Jane i wpatruje się w brudną podłogę piwnicy, w swoje gołe stopy i żółtawy kawałek kości wystający z ziemi. – To się więcej nie powtórzy.

Rozlega się stłumiony chichot i gardłowe poszczekiwanie reszty klasy, a Jane udaje, że jest tylko żukiem albo małym czerwonym robakiem, czymś nieważnym, co może czmychnąć albo szybko odpełznąć, co może się ukryć



w niewidocznej szczelinie czy zakamarku, i już nigdy nie będzie musiała odsiedzieć kolejnego wykładu o sekcjach ani nie zostanie znowu skarcona za drzemanie. Pani Mnemozyna ucisza klasę spojrzeniem, ale Jane nadal czuje na sobie ich oczy.

– Przepraszam – mówi.

– No, myślę – warczy pani Terpsychora. – Jesteś dostatecznie duża, żeby mieć więcej rozumu w głowie, dziecko. – Potem zwraca się do innych uczniów siedzących ze skrzyżowanymi nogami na podłodze piwnicy. – Trzecia konfirmacja panny Jane jest wyznaczona na pełnię Głodnego Księżyca za cztery noce. Ale może ona nie jest gotowa, hmm? Może zęby jak brzytwa zacisną się mocno na jej rękach? Może wkrótce będziemy mieli jej mięso na tym stole?

– I to bez żadnych paskudnych płynów balsamujących, z którymi trzeba się nabiedzić – dodaje pani Mnemozyna.

– Ach, byłaby słodka – zgadza się z nią pani Terpsychora.

– Przepraszam – powtarza Jane. – Będę gotowa w czasie pełni.

Pani Terpsychora rozdyma szerokie czarne nozdrza, wącha zatęchłe piwniczne powietrze, a jej oczy błyszczą w blasku świec.

– Postaraj się, dziecko – mówi. – Szkoda byłoby stracić następny młody pęd tak niedługo po niefortunnym odrzuceniu młodego pana Lockhearta.

Następnie odprawia uczniów i Jane wychodzi za wszystkimi z piwnicy do tuneli wijących się pod miastem jak puste żyły.

\* \* \*

Później, po podstawowej taumaturgii, średnio zaawansowanej nekromancji i rozwlekłej, nieplanowanej przemowie na temat historii górnych nocnych krain wygłoszonej przez pana Tantalusa, który przyjechał do Providence z labiryntów Bostonu, po kolacji i wolnej godzinie przed świtem, po długim leżeniu bezsennie na wąskiej pryczy, kiedy chciała zasnąć, ale bała się zamknąć oczy, Jane w końcu odpływa wśród znajomych zapachów mokrych cegieł dormitorium, pleśni i stonóg, wśród chrapania, pochrząkiwania i cichych oddechów tych, którzy nie boją się swoich snów. Trzydzieści metrów pod skąpanymi w świetle dnia chodnikami Angell Street Jane z łatwością lawiruje między aksamitnymi fałdami świadomości i nieświadomości. Niezliczone fragmenty bezsensownych, nielogicznych

wspomnień i fantazji – prostych snów – mylą ją i prowadzą krok po kroku, chwila po chwili, do koszmarnego miejsca, które ona odwiedza prawie każdego ranka albo popołudnia od dwóch miesięcy.

Do tamtego miejsca, gdzie jest rozległe błękitne niebo, a niewyobrażalnie jasne słońce wisi bezpośrednio nad głową. Gdzie jest trawa i zapach kwiatów, a ona stoi na szczycie wzgórza i patrzy na migoczące morze.

– Powinnaś zostać ze mną – odzywa się jej matka gdzieś blisko za nią, ale Jane się nie odwraca, bo nie chce zobaczyć. – Gdybyś ze mną została, kochałabym cię, a ty wyrosłabyś na piękną kobietę.

Ciepły słony wiatr od morza faluje wysokie trawy i szepcze do uszu Jane.

– Zostałabym, gdyby mi pozwolili – odpowiada jak zawsze. – Zostałabym, gdybym miała wybór.

– Wiedziałaś, że cię stracę – mówi matka. – Jeszcze zanim się urodziłaś. Wiedziałaś, że przyjdą potwory i cię ukradną. Wiedziałaś, że ukryją cię przede mną i sprawią, że zapomnisz moją twarz.

– Jak mogłaś to wiedzieć? – pyta Jane.

Na plaży dzieci bawią się z dużym żółtobrazowym psem. Rzucają kawałki drewna, a on biegnie po nie i czasami przynosi je z powrotem.

– Och, wiedziałaś i już – powtarza matka. – Uwierz mi, wiedziałaś, co się stanie. Słyszałam je w nocy pod oknem sypialni, drapały w szybę, chciały wejść.

– Muszę zdać jeszcze jeden test, mamó. Po prostu muszę zdać jeszcze jeden test, a wtedy one pozwolą mi żyć.

– Byłabyś taką piękną dziewczyną. Tylko spójrz, co z ciebie zrobili.

Na plaży dzieci gonią żółtobrazowego psa po pianie morskiej, śmiejąc się i chlapiąc tak głośno, że Jane słyszy je ze szczytu wzgórza.

– Z ciebie też zrobią potwora – stwierdza matka.

– Chciałabym – mruczy Jane do siebie, bo wie, że nie ma znaczenia, czy matka usłyszy jej słowa. – Chciałabym na wszystkich mrocznych bogów stać się taka jak one. Ale tak nie będzie. Nigdy tak nie będzie.

– Mogłabyś przyjść do domu. Co noc siedzę i czekam, aż wrócisz, aż one przyprowadzą cię do mnie.

– Nie powinnaś tego robić – szepcze Jane, a wzgórze pod nią cicho dudni.

Na plaży dzieci przestają się bawić i odwracają się w jej stronę. Ona do nich macha, ale nie wydaje się, żeby one ją widziały.

*Albo się mnie boją*, myśli ona.

– Jeśli oblejesz test, może mi ciebie oddadzą – mówi matka z nadzieją.

– Jeśli obleję, zabiją mnie – odpowiada Jane. – Zabiją mnie i zjedzą. Nikt nigdy nie wraca, kiedy zostanie wybrany przez Cockoo. Nigdy.

– Ale ty byłabyś taką piękną dziewczyną – powtarza matka. – Dałabym ci wszystko.

– To ostatni test – szepcze Jane.

Pod nią wzgórze znowu dudni, morze zmienia się w krew, z nieba spadają wijące się białe rzeczy. Dzieci i żółtobrązowy pies zniknęły z plaży.

– Będę czekała – zapowiada matka.

Jane otwiera oczy, bez tchu wraca do ciała i kości, leży rozbudzona aż do zachodu słońca, słuchając swojego serca, dźwięków wydawanych przez śpiących i odległego szumu ruchu ulicznego na Angell Street.

\* \* \*

– Boisz się – mówi ghul o imieniu Smutek, nie pytając, tylko stwierdzając, a potem drapie się energicznie po lewym uchu.

– Nie boję się – zapewnia Jane i kręci głową, ale wie, że to kłamstwo, i co gorsza, wie, że on też to wie.

– Jasne, tak jak Lockheart.

– Lockheart nie był gotowy. Wszyscy wiedzieli, że on nie jest gotowy.

Siedzą na stołkach blisko jednego z dużych kuchennych pieców, szorują cynowe talerze drucianymi szczotkami, po łokcie w mydlinach, z kałużami wody na kamieniach pod ich stopami. Balia między nimi pachnie mydłem i tłuszczem.

– Zjadłbyś mnie? – pyta Jane.

Smutek chrząka i upuszcza talerz do balii, potem w zamyśleniu szarpie kępkę szorstkich włosów koloru słomy rosnącą pod jego pyskiem.

– To nieuczciwe pytanie. Wiesz, że słudzy nigdy nie dostają takich delicji. Ani skrawka. Służyłabyś panu Danausowi i...

– Mówię hipotetycznie – przerywa mu Jane i kładzie talerz na suszarce ustawionej przed ogniem. – Gdyby zrobili wyjątek i miałbyś okazję, zjadłbyś mnie?

Smutek gapi się na nią przez dłuższą chwilę, niepewnie marszczy czoło i mruga żółtymi oczami.

– A chciałabyś, żebym to zrobił? – pyta w końcu.

– Nie przeszkadzałoby ci, że jesz najlepszą przyjaciółkę?

Smutek wyjmuje następny talerz z balii i ściąga brwi, patrząc na wodę zamiast na Jane. Niestarannie zeskrobuje kawałki mięsa i ziemniaków z sosem, które przywarły do wyszczerbionego cynowego naczynia, po czym wrzuca je w powrotem do mydlin.

– Nie był czysty i dobrze o tym wiesz.

– To po prostu nie jest uczciwe pytanie, Jane. Oczywiście, że bym cię zjadł, to znaczy mówiąc hipotetycznie i w ogóle. Nie twierdzę, że bym nie tęsknił, ale...

– I tak byś mnie zjadł.

– To byłoby okropne. Pewnie płakałbym przez cały czas.

– Na pewno. – Jane wzdycha i wyjmuje z wody talerz, którego Smutek nie domył. Do cyny przykleiła się spalona skórka ziemniaka wielkości jej kciuka. – Mam nadzieję, że nabawiłbyś się niestrawności. Miałbyś za swoje.

– Naprawdę jesteś wystraszona. – Smutek patrzy spode łba i spluwa do balii.

– Jesteś odrażającą świnia, wiesz?

– Kwiii – kwiczy Smutek i marszczy nos.

– Wcale nie jestem wystraszona – upiera się Jane, bo potrzebuje usłyszeć te słowa. – Nie ma powodu, żebym się bała. Udało mi się w czasie Księżyca Żniwiarzy i w czasie pełni Mroźnego Księżyca. Nauczyłam się lekcji...

– Książki nie pomogą ci zdać. Wiesz o tym, Jane. Nikt nie został potwierdzony tylko dlatego, że dostał dobre stopnie.

– One nie zaszkodzą.

– Ale i nie pomogą.

– Ale nie zaszkodzą – warczy Jane i rzuca drucianą szczotką w jego głowę.

Smutek się uchyła, szczotka uderza w ścianę za nim i spada na podłogę.

– Jesteś szalona – mówi Smutek i zeskakuje ze stołka, przewracając go przy okazji. – Może jestem świnia, ale ty jesteś wariatką.

– Chcesz, żebym oblała. Chcesz, żeby oblała, żebyś mógł przejrzeć moje rzeczy i zabrać, co chcesz.

– Nie masz nic, co bym chciał – odwarkuje Smutek i robi szybki krok do tyłu, odsuwając się od niej.

– Mam. Ta czaszka sowy, którą Dozorca przywiózł mi z Salem. Chcesz jej. Mówiłeś nieraz, że on powinien dać ją tobie, a nie mnie.

– Mówiłem tylko, że mi się podoba, to wszystko.

– A grot strzały Indian Narragansett, który znalazłam w tunelach zeszłego lata? Też go chcesz, prawda?

– Jane, przestań i posłuchaj siebie – prosi Smutek i robi kolejny krok od pieca. – Nie chcę, żebyś oblała konfirmację i umarła, żebym mógł zabrać twoje rzeczy. To szalone. Jesteś moją przyjaciółką. A ja nie mam wielu przyjaciół.

– Przyjaciele siebie nie zjadają!

– Ktoś cię usłyszy – syczy Smutek i unosi długi palec do cienkich czarnych warg. – Jeśli stara Melpomena odkryje, że robisz taki hałas, oboje będziemy szorować garnki i naczynia aż do Sądnego Dnia. – I zerka nerwowo przez ramię w cieniu czające się tuż poza blaskiem ognia.

– Więc może mnie to już nie obchodzi?! – wrzeszczy na niego Jane, a potem sięga do balii i łapie szczególnie brudny talerz. – Wolę spędzić resztę życia, zmywając naczynia dla tego starego nietoperza, niż skończyć w jej gulaszu albo upieczona na rożnie z rzepą w zębach.

– Nie oblejesz – zapewnia ją Smutek i znowu ogląda się przez lewe ramię. – Nie oblejesz i nikt cię nie zje.

– Nie wiesz tego.

– Jasne, że wiem.

– Odejdz, zostaw mnie w spokoju. – Jane wypuszcza brudny talerz z rąk. Mydlana letnia woda pryska na jej patchworkowy fartuch. – Tylko tego chcę, Smutku. Chcę być sama. Chyba będę płakać, a nie chcę, żeby ktoś to widział. Zwłaszcza nie chcę, żebyś ty widział.

– Jesteś pewna? – pyta Smutek. – Może powinienem zostać? – Siada na podłodze, jakby ona się z nim zgodziła. – Nie przeszkadza mi, że będziesz płakać.

– Lockheart nie był gotowy – szepcze Jane. – To różnica. On nie był gotowy, a ja jestem.

– Jasne. Nigdy nie widziałem nikogo tak gotowego w całym swoim życiu.

– Kłamca. – Jane piorunuje go wzrokiem. Polano w kominku pęka, przesuwa się i przez chwilę ogień robi się tak jasny, że Smutek mruży oczy.

– Nie zjadłbym cię – zapewnia ją. – Nawet gdyby udusili obie twoje nerki z jabłkami, marchewką i pasternakiem i podali mi je z galaretką miętową, nie zjadłbym cię, przysięgam.

– Dziękuję – mówi Jane i próbuje się uśmiechnąć, ale wychodzi jej raczej grymas niż uśmiech. – Ja też bym cię nie zjadła.

– Zamierzasz jeszcze czymś we mnie rzucić?

– Nie. Nie zamierzam rzucić w ciebie niczym więcej. Nigdy. – Jane wstaje i podnosi z podłogi szczotkę leżącą za stołkiem Smutka.

\* \* \*

W życiu przepełnionym tajemnicami – życiu, w którym rzeczy sekretne, nieprzeniknione, zagadkowe i magiczne są regułą, a nie wyjątkiem – gdyby ktoś miał zapytać Jane o jedną najbardziej tajemniczą rzecz, prawdopodobnie odpowiedziałaby, że jest nią Dozorca. Jeśli ten bardzo duży, dobroduszny mężczyzna z lśniąca, łysą głową, siwą brodą, palcami jak kiełbaski i zardzewiałym żelaznym kółkiem z kluczami, zawsze pobrękującymi u szerokiego pasa, ona nigdy go nie słyszała. Ani wampir, ani ghul, ani żadna inna nocna istota, tylko człowiek, a Jane słyszała plotki, że jest synem Cockoo, wykradzionym, ale jednocześnie czymś więcej niż zamienione dziecko. Są też inne plotki – że jest wypędzonym demonem albo czarownikiem, który zapomniał większość swojej magii, albo prastarą, nieśmiertelną istotą, na którą jeszcze nikt nie wymyślił nazwy – ale dla Jane jest po prostu Dozorcą. Łącznikiem między żółtym domem przy Benefit Street a innymi mrocznymi domami w innych miastach, kurierem przynoszącym najcenniejsze paczki i pilne wiadomości, których nie można powierzyć nikomu innemu.

Ostatniej nocy przed końcowym rytuałem konfirmacji, ceremonii w noc pełni Głodnego Księżyca, Dozorca wraca z podróży do Nowego Orleanu, a po załatwieniu spraw z martwymi ludźmi na górze i spraw z ogarami na dole zabiera kolację do długiej, oświetlonej przez świece jadalni, w której jedzą wykradzione dzieci i młode ghule.

– Wszystko będzie dobrze – uspokaja teraz Jane, ogryzając ostatni kawałek mięsa z kości palca. – Wszyscy dostają trzęsionki przed swoim trzecim księżycem. To naturalne jak pleśń i trzonowce i niech nikt nie wmawia ci, że jest inaczej.

Smutek przestaje grzebać w zębach pazurem kciuka.

– Słyszałeś o Lockhearcie? – pyta Dozorcę.

– Wszyscy słyszeli o Lockhearcie – odzywa się młoda ghulka o imieniu Melancholia i przewraca żółtymi oczami. – Oczywiście, że słyszał o Lockhearcie, ty psubracie.

Smutek prychnie i obnaża zęby, patrząc na Melancholię.

– Co to, do licha, jest psubrat?

– Gdybyś nim nie był, wiedziałbyś – odparowuje ona.

Smutek warczy i ją atakuje. Chwilę później toczą się oboje po podłodze między stołami, kłębowisko futer, zniewag i kurzu. Ktoś zaczyna krzyczeć.

– Bójka! Bójka!

I wszyscy zbiegają się, żeby popatrzeć.

Jane zostaje na miejscu i obojętnie skubie zielono-białą górkę gotowanej kapusty, którą ma na talerzu. Pyta Dozorcę:

– Słyszałeś o Lockhearcie?

– Tak się składa, z całym szacunkiem dla wielosylabowej panny Melancholii – Dozorca zerka na kotłownicę na podłodze jadalni – że nie, moja droga, nie słyszałem.

– Aha. – Jane dźga kapustę widelcem. – Oblał drugi test.

– Rozumiem. No cóż, powiedziałbym, że to wielka szkoda, tak czy inaczej.

– Był przestraszony. Zamarł na samym początku, nie przeszedł nawet pierwszego mostu mieczowego. Musieli go znieść w jutowym worku.

Dozorca beka, uprzejmie prosi o wybaczenie i pyta:

– Chłopak był twoim przyjacielem?

– Nie – odpowiada Jane. – Zawsze uważałam, że to odrażający mały ropuch.

– Ale teraz myślisz, że jego niepowodzenie ma coś wspólnego z tobą, tak? Może zły omen.

– Może – przyznaje Jane. – A może po prostu się boję, co tylko pogarsza sprawę.

Na podłodze Melancholia wbija palec w lewe oko Smutka, a on wrzeszczy i uderza ją pięścią w brzuch.

– Czasami to wydaje się niesprawiedliwe, co? – pyta Dozorca i sięga po kęs jej kapusty.

– Co wydaje się niesprawiedliwe?

– Wszystkie te próby dla tych, którzy nigdy nie prosili, żeby zabierać ich od prawdziwych mam i sprowadzać tutaj w mrok, wszystkie te udręki, podczas gdy inni, nie wymieniając imion – ale Jane wie po sposobie, w jaki Dozorca podnosi głos, kiedy mówi „inni”, że ma na myśli Smutka i Melancholię i ogólnie wszystkie młode ghule – muszą jedynie się urodzić, a potem uważać na maniery, czyścić pyski i żadnych brzydkich uczynków na widoku.

– Pani Terpsychora mówi, że nic nie jest sprawiedliwe i że to jest tylko proszenie się o nieszczęście: oczekiwanie, że wszystko się ułoży.

– Teraz?

– Przez cały czas.

– Cóż, słuchaj swoich nauczycieli, dziecko, ale z drugiej strony pani Terpsychora nigdy nie musiała stawić czoła temu, co czeka cię na dole w czasie pełni Głodnego Księżyca, prawda?

– Nie – przyznaje Jane i przesuwając swój talerz w stronę Dozorcy. – Oczywiście, że nie.

– Widzisz, właśnie to jest różnica między tobą a nią, panienko Jane. Nie dużo słów napisanych w jakiejś starej księdze przez bogów, których nikt nawet nie pamięta oprócz ogarów, nie kolor twoich oczu ani to, jak ostre masz zęby. Liczy się to... – Milknie, żeby skończyć jej kapustę, a potem bierze się za kawałek placka z rabarbarem i wątróbką.

Jane podsuwa mu również talerz Smutka.

– Dziękuję – mówi Dozorca z pełnymi ustami. – Nienawidzę patrzeć, jak marnuje się dobre jedzenie. A więc jak mówiłem, tym, co się liczy, panienko Jane, co musisz zrozumieć, co zdarzy się jutro w nocy... – I znowu milknie, żeby przełknąć.

– Nie powinieś mówić z pełnymi ustami – stwierdza Jane. – Zakrztusisz się.

Dozorca pije ze swojego kubka i kiwa łysą głową. Na jego wąsach zostało kilka kropel czerwonego wina.

– Moje maniery nie są już takie jak kiedyś – przyznaje.

– Mówiłeś, że muszę zrozumieć... – ponagla go Jane.

Dozorca przestaje jeść, odkłada widelec i patrzy na nią, a jego oczy zielone jak mech są niczym wypolerowane kamienie na dnie głębokiego strumienia.

– Jesteś dzielną dziewczyną – mówi i się uśmiecha. – Niedługo będziesz ładną, dzielną kobietą. To różnica i właśnie to musisz zrozumieć. Pani



Terpsychora nigdy nie będzie musiała sprawdzić się w taki sposób jak ty. Tym, co czyni nas odważnymi, nie jest brak zdrowego rozsądku, żeby się bać, ale spojrzenie wstecz na to, co przeżyliśmy, by zobaczyć, czy dobrze sobie poradziliśmy. Ghule są twoimi panami, ale nie zapominaj, że one nigdy nie będą miały twojej odwagi, bo nikt nie zmusi ich do przejścia po desce, że się tak wyrażę.

Potem sięga do kieszeni swojego workowatego płaszcza i wyjmuję z niej małą złotą monetę z kwadratową dziurką pośrodku. Metal połyskuje słabo w blasku świateł, kiedy Dozorca pokazuje ją Jane.

– Chcę, żebyś to wzięła. Ale nie żeby ją zatrzymać. Nie. Kiedy jutro w nocy wsuniesz ręce do paszczy starego Nidhogga, chcę, żebyś zostawiła to na jego języku. Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale to ważne. Myślisz, że możesz to dla mnie zrobić?

Jane kiwa głową i bierze od niego monetę.

– Jest bardzo ładna – mówi.

– Tylko nie przestrasz się i nie zapomnij. Chcę, żeby położyła ją na języku tego starego węża.

– Nie zapomnę. Obiecuję. Położę ją na jego języku.

Dozorca uśmiecha się i wraca do jedzenia, a Jane mocno ścisną monetę i patrzy, jak Smutek i Melancholia kotłują się po podłodze i gryzą po uszach, aż pani Melpomena wchodzi, żeby przerwać bójkę.

\* \* \*

We śnie Jane widzi na plaży dzieci z psem i karmazynowe burzowe chmury gromadzące się coraz wyżej nad ciemniejącym morzem. Matka przestała mówić i ponieważ to nigdy wcześniej nie była część snu, Jane odwraca się, żeby zobaczyć dlaczego. Ale teraz za nią nikt nie stoi, jest tylko wysoka trawa, wiatr szepczący w niej ukradkiem i wiecznie toczący się świat.

\* \* \*

Nie została już żadna noc między Jane a Głodnym Księżycem, żadnych więcej niespokojnych dni, godzin ani minut, bo wszystkie pełnie są nieuniknione i żaden strach czy pragnienia nie mogą zapobiec ich

nadejściu. To jest rok jej trzeciej konfirmacji, czas na Próbę Węża, bo przeżyła dwa pierwsze rytuały, Próbę Ognia i Próbę Ostrzy. W tym dniu nie ma żadnych prac dla Jane i innych wykradzonych dzieci, a przed wyznaczoną godziną mieszkańcy labiryntów udają się do amfiteatru wykutego w litej skale czterdzieści pięć metrów od Federal Hill.

Jane ma na sobie srebrną szatę przejścia i czeka sama ze ślepym, zgrzybiałym panem Solace w małej, oddzielonej zasłoną niszy przy północnej krawędzi jamy. Powietrze cuchnie mokrym kamieniem, zgnilizną i mirrą, która pali się w mosiężnym naczyniu stojącym na podłodze. Jej twarz jest maską z sadzy i zasychającej krwi, czerwonych i czarnych runów narysowanych na skórze przez panią Hippodameję, żeby próba odbyła się z błogosławieństwem Starych Bogów. Z niszy Jane słyszy pomruk tłumu i wie, że Smutek gdzieś tam jest, kuca nerwowo na jednej z kamiennych ław. Ona chciałaby siedzieć obok niego i żeby ktoś inny stanął przed smokiem.

– Już prawie czas, dziecko – warczy pan Solace i mruga do niej bladymi oczami koloru masła, zasnutymi kataraktą. – Jeśli jesteś gotowa, nie ma się czego bać.

*Jeśli jestem gotowa*, myśli ona i mocno zaciska powieki.

Potem rozlega się głos rogu, dzwonu okrętowego i równomierne dudnienie bębnow: dum, dum, dum.

– Idź w prawdzie – mówi pan Solace i znowu do niej mruga.

Jane otwiera oczy. Postrzępiona kurtyna została rozsunięta, tak że ona może teraz zobaczyć blask pochodni, cienie wypełniające amfiteatr i jamę.

– Idź tą ścieżką bez żadnych wątpliwości w sercu – mówi pan Solace, a potem wypycha Jane z niszy na wąską drewnianą platformę wystającą nad otchłań.

Nad nią i wokół niej szepty wznoszą się do podnieconego, wyczekującego crescendo, ghule bębnią tak głośno, że Jane się dziwi, iż pieczara nie zawaliła się od tego hałasu i nie pogrzebała ich wszystkich żywcem. *Tak bym wolała*, myśli. *Tak byłoby łatwiej niż umierać samotnie*.

Bębnienie ustaje równie nagle, jak się zaczęło, w ślad za nim cichną szepty i przez chwilę w wielkiej jaskini nie ma żadnego dźwięku oprócz bicia serca Jane i pana Solace wysysającego resztki spomiędzy pieńków zębów. Potem rozbrzmiewa jedno uderzenie dzwonu okrętowego i pani Terpsychora krzyczy do zebranych przez megafon:

– Wszyscy wstać! Przyszliśmy dzisiaj do tego świętego miejsca prawdy i wyboru, żeby być świadkami zasłużonej confirmacji albo wyrzucenia panny Startling Jane z kolonii Providence. To już osiem lat, odkąd została nam dostarczona z łaski Cockoo, a tej nocy pełni Głodnego Księżyca wszyscy się dowiemy, raz na zawsze, czy będzie nam służyć do końca swoich dni.

– Uważaj na kroki, dziewczyno – szepcze pan Solace. – W dół jest długa droga.

Jane słyszy, jak kurtyna znowu się zaszuwa, i wie, że on zostawił ją samą na drewnianej platformie.

– Idź na dół, Startling Jane – mówi warkliwie pani Terpsychora. – Idź w ciemność i znajdź głodną paszczę Nidhogga, smoka, który podgryza korzenie Drzewa Świata, przybliżając go coraz bardziej do ostatnich dni. Znajdź go i zapytaj, czy jesteś warta.

Potem ghulka kłania się i ciągnie mahoniową dźwignię, którą ma po swojej prawej stronie. Znajdująca się gdzieś wysoko tajna maszyna zaczyna zgrzytać, żelazne koła obracają się z wahaniem, przeplatają się zęby prastarych, zardzewiałych przekładni, na powierzchni otwiera się zapadnia i do tego pustego miejsca we wnętrzu ziemi wlewa się blask księżyca.

– Idź w prawdzie, Jane – kończy pani Terpsychora, oddaje megafon słudze i siada.

Pojedynczy jasny słup światła księżycowego sięga od sklepienia amfiteatru do samego dna czarnej dziury, srebrne promienie skupione dzięki jakiemuś sprytnemu trikowi fotomancji, której, Jane wie, prawdopodobnie nigdy się nie nauczy, nawet jeśli smok nie zabierze jej rąk. Tłum nie wydaje żadnego dźwięku, kiedy ona odwraca się w prawo i zaczyna schodzić stromym, chwiejnym pomostem przymocowanym do ścian jamy. Dobosze znowu zaczynają wybijać rytm pałkami z kości słoniowej, podkreślając każdy jej krok.

Jane trzyma się prawej strony kładki, bo boi się, że spadnie, boi się, że może spojrzeć w dół i stracić równowagę. Stawia jedną stopę za drugą, robi następny krok i kolejny. Idzie tak powoli, jak się odważy, spiralnie okrąża jamę, coraz dalej w dół, każdy krąg coraz mniejszy, aż odległość do słupa księżycowego blasku tak się skraca, że mogłaby wyciągnąć rękę i musnąć go palcami. Stare deski uginają się i trzeszczą pod jej nagimi stopami,

a Jane stara się nie wyobrażać sobie, ile dekad, ile stuleci minęło, odkąd zakotwiczone je w skalnym zboczu.

Potem nareszcie staje na dnie, została jej ostatnia chwila na przeniesienie się z ciemności do oślepiającego białego słupa. Jane waha się przez sekundę, pół sekundy, bierze głęboki oddech, wypuszcza powietrze z płuc i wkracza w światło Głodnego Księżyca w pełni.

*Ukradł mi oczy, myśli. Ukradł mi oczy i zostawił ślepią jak pan Solace.* To czyste, idealne światło, skoncentrowane i przedestylowane, skupia się na brudnym zwierciadle jej duszy. Wylewa się na nią, skapuje ze srebrnej szaty, wypala wszystko, co mniej nieskazitelne niż ono samo. Jane uświadamia sobie, że płacze, płacze z powodu jego prostego piękna. Kiedy wyciera policzki, blask tańczy wściekłymi okruciami po wierzchu jej dłoni, a ona widzi, że jednak nie oślepiła. Klęka na kamieniu, a smok burczy pod nią jak pusty brzuch czekający na napełnienie.

W górze cichną bębny.

– Jest dobrze – szepcze Jane. – Wszystko jest w porządku.

Śmierć nie jest taką straszną rzeczą teraz, kiedy zobaczyła to światło, poczuła, jak ono w nią wnika, jak omywa ją do czysta. W ziemi przed nią są dwa otwory, każdy nie większy niż kilka cali średnicy, otoczony pieczęciami z młotkowanego złota i platyny.

*Po prawej złoto, po lewej platyna.*

Jane przypomina sobie monetę Dozorcy, złoto za złoto, i sięga do głębokiej kieszeni szaty, gdzie ją schowała, zanim pani Hippodameja zaprowadziła ją z panem Solace'em do niszy pachnącej mirrą. Złoto za złoto. Dziurka pośrodku monety nie różni się tak bardzo od bliźniaczych ust smoka.

– Miej to już za sobą – mówi, pochyla się do przodu i zanurza oba ramiona w otworach, w prawej dłoni mocno ściskając monetę Dozorcy.

W środku otwory są ciepłe, kamień stał się ciałem, śluzem i zębami jak szable, które ochoczo pieszczą jej palce i szczypią nadgarstki. Z dwóch otworów unosi się trujący oddech Nidhogga – siarka, popiół, opary kwasu. Jane otwiera dłoń i przyciska monetę do kolczastego języka smoka. Ziemia gwałtownie dudni, a ona czeka, aż szczęki zamkną się z trzaskiem.

Ale potem jama wzdycha, wydaje dźwięk, jakby świat przekreślił się we śnie, i już tylko zimny, twardy kamień otacza jej ramiona. Jane bierze oddech, szybko wyjmując ręce z otworów i patrzy z niedowierzaniem na

swoje palce, wszystkie dziesięć, tylko kilka zadrapań i parę kropel ciemnej krwi na dowód, że w ogóle groziło jej jakieś niebezpieczeństwo.

Wysoko w górze amfiteatr wybucha grzmiącym zgiełkiem, radosnym, pełnym ulgi pandemonium szczeknięć, okrzyków, klaskania, wycia, śmiechu. Ktoś raz po raz bije w dzwon okrętowy.

Jane siada na piętach i patrzy na słup światła księżycowego, pozwala, żeby ono po niej spłynęło, pije jego niemożliwą jasność, chłonie je źrenicami odmienia mały jak łebki szpilek, każdym porem ciała, pozwala, żeby napełniło ją na wszystkie przyszłe niekończące się noce, na wszystkie niezliczone ciemności, które ją czekają. Kiedy już nie może pomieścić ani jednej kropli więcej, wstaje, kłania się raz i tylko raz Nidhoggowi Korzeniożercy, dokładnie tak, jak kazała jej pani Terpsychora, a potem rusza chodnikiem w długą drogę powrotną do niszy. Wydaje się, że pośród aplauzu padającego wokół niej jak deszcz, z blaskiem księżycowym w oczach, powrót trwa jedno mgnienie.

## **Domy pod morzem**

# 1

Kiedy zamykam oczy, widzę Jacovę Angevine.

Zamykam oczy i ona tam jest, stoi samotnie na końcu falochronu, stoi z rogiem mgłowym, kiedy lekko wzburzone morze rozbija się na pianę o bezładny stos szarych głazów. Październikowy wiatr wyczynia dzikie harce z jej włosami, a ona jest zwrócona plecami do mnie. Nadpływają łodzie.

Zamykam oczy, a ona stoi w spienionej fali w Moss Landing, patrzy na zatokę, spogląda w stronę miejsca, gdzie szelf kontynentalny zwęża się do wąskiego pasa i opada do czarnej otchłani rowu Monterey. W górze krążą mewy, jej włosy są związane w kucyk.

Zamykam oczy, idziemy razem Cannery Row, kierując się na południe w stronę akwarium. Ona ma na sobie kraciatą sukienkę z bawełny i zniszczone martensy, w których chodzi chyba od piętnastu lat. Mówię coś nieistotnego, ale ona mnie nie słyszy, zbyt zajęta łypaniem spode łba na turystów, na sterylne, wesołe absurdy Bubba Gump Shrimp Company i Mackerel Jack's Trading Post.

– Kiedyś to był burdel – mówi ona, wskazując głową w kierunku Mackerel Jack. – Lone Star Cafe, ale Steinbeck nazywał ją Flagą Niedźwiedzia. Wszystko spłonęło. Nic tutaj nie jest takie jak kiedyś.

Mówi to tak, jakby pamiętała, a ja zamykam oczy.

I ona znowu jest w telewizji, na starym moło w Moss Point, w dniu, kiedy zwodowali zdalnie sterowany pojazd podwodny „Tiburón II”.

Ona w magazynie przy Pierce Street w Monterey, mężczyźni i kobiety w białych szatach słuchają każdego jej słowa. Chłoną każdą jej sylabę, każdy oddech, ich oczy są jak wyłupiaste ślepia głębinowej ryby po raz pierwszy stykającej się ze światłem słonecznym. Oszołomione, przerażone, oczarowane, zagubione.

Wszyscy są zagubieni.

Zamykam oczy, a ona prowadzi ich nad zatokę.

*Te istoty przeskoczyły przez zapory.*

*I ruszyły do morza.*

Wszystkie te wspólne chwile, niepowiązane albo powiązane ze sobą na wiele różnych sposobów, tak że nigdy nie byłabym w stanie ich rozdzielić,

żeby znaleźć spójną narrację. To szaleństwo i zarozumiałość myśleć, że potrafię stworzyć zwyczajną opowieść o tym, co się wydarzyło. Nawet gdybym potrafiła, nikt nie chciałby tego czytać, nie chciałby kupić. CNN, „Newsweek” i „The New York Times”, „Rolling Stone” i „Harper’s”, wszyscy już wiedzą, co sądzić o Jacovie Angevine. Wszyscy już wiedzą tak dużo, jak dużo chcą wiedzieć. Albo tak mało. W ich umysłach ona już znalazła miejsce w galerii zmarłych sław, wciśnięta między Jima Morrisona i Heaven’s Gate.

Zamykam oczy, a ona mówi „ogień z nieba” i się uśmiecha. Wiem, że tym razem ma na myśli pożar z czternastego września tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku, kiedy piorun trafił w wielkie zbiorniki należące do Associated Oil Company i do morza popłynęła płonąca rzeka. Skłębione czarne chmury zasłaniają słońce, pożoga brzmi jak huragan, kiedy mknie na statki przetwórnice, jak głos demonów, a Jacova przystaje, żeby zawiązać buty.

Siedzę w ciemnym pokoju motelowym, gapię się w ekran laptopa, w czyste, ciekłokrystaliczne światło, wstukuję słowa bez związku, żeby budować meandrujące zdania, czekając, czekając, czekając. I nie wiem, na co czekam. Albo tylko boję się przyznać, że dokładnie wiem, na co czekam. Ona stała się moim duchem, moim prywatnym dręczycielem, a nawiedzane istoty wiecznie czekają.

– W rezydencjach Posejdona ona przygotowuje komnaty z koralu, szkła i kości wielorybów – mówi Jacova, a tłum w magazynie oddycha jak jeden zdumiony organizm, ich ciała są mniejsze niż chwilowa całość, którą stworzyli. – Tam na dole nie będziecie znali niczego oprócz spokoju w jej rezydencjach, w nieskończonej nocy jej zwojów.

– *Tiburón* to po hiszpańsku rekin – mówi ona, a ja odpowiadam, że nie wiedziałam. Że miałam w szkole średniej dwa lata hiszpańskiego, ale to było tysiąc lat temu i wszystko, co teraz pamiętam, to *sí i por favor*.

*Co to za hałas? Co ten wiatr wyczynia?*

Znowu zamykam oczy.

*Morze ma wiele głosów.*

*Wielu bogów i wiele głosów.*

– Piąty listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku – mówi ona i to jest pierwsza noc, kiedy uprawiamy seks, długa noc, którą spędziłyśmy razem w obskurnym hotelu w Moss Point, z rodzaju tych, do których rybacy zabierają dziwki, w tym samym miejscu, w którym ona



mieszkała przed śmiercią. – Del Mar Canning Company spłonęła doszczętnie. Nikt nawet nie próbował obwiniać za to pioruna.

Przez zasłony syczy się blask księżyca, a ja przez chwilę wyobrażam sobie, że jej skóra opalizuje jak macica perłowa, połyskuje od plam oleju. Wyciągam rękę i dotykam jej nagiego uda, a ona zapala papierosa. Dym wisi w powietrzu jak mgła albo zapomnienie.

Czubki moich palców na jej ciele. Ona wstaje i podchodzi do okna.

– Widzisz tam coś? – pytam, a Jacova bardzo powoli kręci głową. Zamykam oczy.

W blasku księżyca potrafię odróżnić pomarszczone, okrągłe blizny na jej obu łopatkach, biegnące w dół do połowy pleców. Dwa tuziny albo więcej, nigdy dokładnie ich nie policzyłam. Niektóre są nie większe niż dziesięciocentówka, ale kilka ma co najmniej pięć centymetrów średnicy.

– Kiedy wyjadę, kiedy tutaj skończę – mówi ona – będą ci zadawać pytania na mój temat. Co im powiesz?

– To zależy, o co będą pytać – odpowiadam i śmieję się, nadal myśląc, że to jeden z jej dziwnych żartów. Kładę się i patrzę na cienie na suficie.

– Będę cię pytać o wszystko – szepcze ona. – Spodziewam się, że wcześniej czy później zapytają o wszystko.

I tak zrobili.

Zamykam oczy i widzę ją, Jacovę Angevine, szaloną prorokinię z Salinas, perły, które były jej oczami, sercówki, omułki, żywe, żywe. Ona klęczy na piasku, za nią wstaje słońce, a ja słyszę ludzi idących przez wydmy.

– Powiem im, że dobrze się pieprzyłaś – mówię, a ona zaciąga się papierosem i nadal wpatruje się w noc za motelowym oknem.

– Tak. Spodziewam się, że tak powiesz.

## 2

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Jacovę Angevine – to znaczy pierwszy raz, kiedy zobaczyłam ją osobiście – właśnie wróciłam z Pakistanu i przyleciałam do Monterey, by oczyścić umysł. Znajomy fotograf miał tam mieszkanie, a że dostał pracę w Tokio, wymyśliłam, że mogę zatrzymać się u niego na kilka tygodni, może na cały miesiąc, upijać się i dekompresować. Moje ubrania, bagaż, skóra, wszystko we mnie nadal pachniało Islamabadem. Spędziłam ponad sześć miesięcy za oceanem, myszkowałam i wyobrażałam sobie powiązania między muzułmańskimi ekstremistami, europejskimi pośrednikami i pakistańskim dziurawym programem nuklearnym, próbując ocenić szkody wyrządzone przez rzutkiego Abdula Kadera Khana, łajdackiego ojca pakistańskiej bomby, próbując ocenić, co dokładnie sprzedał i komu. Wszyscy już wiedzieli – albo przynajmniej sądzili, że wiedzą – o Korei Północnej, Libii i Iranie, a amerykańscy oficjele podejrzewali, że na jego liście klientów znajdowała się również Al-Kaida i inne ugrupowania terrorystyczne mimo zaprzeczeń generała majora Shaukata Sultana. Wróciłam z głową pełną apokalipsy, urdu, poezji i antyhinduskiej propagandy i byłam zdecydowana opróżnić umysł ze wszystkiego oprócz szkockiej i zapachu morza.

Było pogodne środowe popołudnie, ciepły dzień jak na listopad w hrabstwie Monterey, więc postanowiłam wyjść na powietrze. Wzięłam prysznic po raz pierwszy od tygodnia, zjadłam lunch w Sardine Factory przy Wave Street – sałatkę z krabów z remoladą, świeże ostrygi z rzodkiewką, grillowaną płastugę w sosie cytrynowym, w którym było trochę za dużo tymianku – a potem postanowiłam odwiedzić akwarium, żeby to wszystko wychodzić. Kiedy byłam dzieckiem na Brooklynie, spędzałam dużo czasu w akwarium na Coney Island, i trzy dekady później niewiele było rzeczy, które człowiek mógł zrobić na trzeźwo, żeby się zrelaksować szybko i kompletnie. Zapłaciłam kartą i ruszyłam Wave Street na południe i wschód do Prescott, a potem zawróciłam Cannery Row, z połyskującą zatoką po prawej stronie, jasnoniebieskim jesiennym niebem ciągnącym się w górze jak olej na płótnie.

Zamykam oczy i tamto popołudnie nie jest czymś, co wydarzyło się trzy lata temu i z czego teraz robię cholerny dziennik podróży. Zamykam oczy

i to się dzieje teraz, po raz pierwszy. Ona siedzi samotnie na długiej ławce przed lasem wodorostów, głowę ma uniesioną w stronę wysokiej, falującej kopuły za szkłem, kolorowych ryb i cieni listownic przesuwających się tam i z powrotem po jej szczupłej twarzy. Rozpoznaję ją i to mnie zaskakuje, bo widziałam ją tylko w telewizji, na zdjęciach w czasopiśmie i na zakurzonej okładce książki, którą napisała, zanim straciła pracę w Berkeley. Ona odwraca głowę i uśmiecha się do mnie w sposób, w jaki człowiek uśmiecha się do przyjaciela, do kogoś, kogo zna całe życie.

– Ma pani szczęście – odzywa się Jacova Angevine. – Już prawie czas na karmienie ryb.

I klepie ławkę obok siebie, pokazując mi, żebym usiadła.

– Czytałam pani książkę – mówię, siadając, bo nadal jestem zbyt zaskoczona, żeby zrobić coś innego.

– Czytała pani? Naprawdę? – Teraz patrzy, jakby mi nie wierzyła, jakbym tylko z uprzejmości mówiła, że czytałam jej książkę, a na jej twarzy widać zdziwienie, że ktoś w ogóle zadał sobie trud, by jej pochlebić.

– Tak, naprawdę. – Staram się brzmieć szczerze. – Właściwie przeczytałam ją dwa razy.

– A dlaczego miałyby pani coś takiego robić?

– Szczerze?

– Tak, szczerze.

Jej oczy są takiego samego koloru jak woda uwięziona za grubymi taflami akwariowego szkła, koloru listopadowego słońca przefiltrowanego przez słoną wodę i algi. W kącikach ust i pod oczami ma drobne zmarszczki, co sprawia, że wygląda na kilka lat starszą niż jest.

– Zeszłego lata leciałam z Nowego Jorku do Londynu, a na Shannon miałam trzy godziny przerwy. Pani książka była wszystkim, co wzięłam ze sobą do czytania.

– To straszne – mówi ona, nadal się uśmiechając, i odwraca twarz do wielkiego zbiornika. – Chce pani zwrotu pieniędzy?

– To był prezent – odpowiadam, co nie jest prawdą, a ja nie mam pojęcia, dlaczego kłamię. – Była dziewczyna dała mi ją na urodziny.

– To dlatego pani ją zostawiła?

– Nie. Zostawiłam ją, bo uważała, że za dużo piję, a ja uważałam, że ona pije za mało.

– Jest pani alkoholiczką? – pyta Jacova Angevine lekkim tonem, jakby pytała mnie, czy lubię mleko do kawy, czy wolę czarną.

– Cóż, niektórzy ludzie mówią, że zmierzam w tym kierunku – przyznaję. – Ale książka mi się podobała, szczerze. Trudno uwierzyć, że zwolnili panią za jej napisanie. To znaczy, że ludzie są zwalniani za pisanie książek. – Ale wiem, że to też jest kłamstwo. Nie jestem nawet w połowie tak naiwna, a nietrudno zrozumieć, jak albo dlaczego *Budzenie Lewiatana* zakończyło akademicką karierę Jacovy Angevine. Recenzent „Nature” nazwał ją „najbardziej od sprawy Welikowskiego pogmatwanym i niedorzecznym przykładem złej historii pożenionej ze złą nauką”.

– Nie zwolnili mnie za jej napisanie – wyjaśnia ona. – Uprzejmie poprosili, żebym zrezygnowała, bo uznałam za stosowne ją opublikować.

– Dlaczego pani z nimi nie walczyła?

Jej uśmiech trochę blednie, zmarszczki wokół ust wydają się odrobinę wyraźniejsze.

– Nie przychodzę tutaj, żeby rozmawiać o książce albo o mojej niefortunnej historii zatrudnienia.

Przepraszam, a ona mówi, żebym się nie przejmowała.

Do zbiornika wchodzi nurek, matowoczarny neopren ciągnący za sobą srebrne bańki powietrza. Większość ryb pod pływa wyczekująco na spotkanie jego albo jej, okoniowate, smukłe rekiny leopardzie, wargacze, skorpeny i gatunki, których nie rozpoznaję. Jacova nie odzywa się więcej, zbyt zajęta obserwowaniem karmienia, a ja siedzę obok niej na dnie sztucznego oceanu.

Otwieram oczy. Na ekranie przede mną są tylko słowa.

Nie widziałam jej przez większą część roku. W tym czasie, kiedy służbowo wróciłam do Pakistanu, a następnie poleciałam do Niemiec i Izraela, ponownie przeczytałam jej książkę. Przeczytałam również parę artykułów i recenzji oraz krótki wywiad online, którego udzieliła stronie „Nieznany kraj” Whitleya Striebera. Potem wysłodziłam artykuł na temat archeologii inuickiej, który napisała dla „Fate”, i zastanawiałam się, w którym momencie Jacova Angevine uznała, że nie ma odwrotu, że nie zostało nic do stracenia, więc może sobie pozwolić na to, by stać się częścią tego natarczywego świata skrajnych poglądów, ludzi wierzących w UFO, teorie spiskowe, zjawiska paranormalne, który tak skwapliwie przyjął ją do swojego grona.

I zastanawiałam się również, czy może ona od początku była jedną z nich.

### 3

Obudziłam się tego ranka po długim śnie o burzach i tonięciu i leżałam w łóżku zupełnie bez ruchu, oceniając kaca i wpatrując się w nierówny, poplamiony sufit pokoju motelowego. W końcu przyznałam, że to nie będzie to, do napisania czego zatrudniła mnie gazeta. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedykolwiek próbowała dla nich pracować. Oni oczywiście chcą brudu, a ja nigdy nie czułam niechęci do tego, by się do nich dokopywać. Ostatnich dwadzieścia lat spędziłam jako łopata do wynajęcia. Nie sądzę, by miało znaczenie, że może ją kochałam albo że duża część tych brudów jest moja. Nie mogę udawać, że działałam ze szlachetnych pobudek, lojalności albo nawet z jakiejś egoistycznej, spóźnionej troski o swoją własną zszarganą reputację. Napisałabym dokładnie to, czego chcę, gdybym mogła. Gdybym wiedziała jak. Potrzebuję pieniędzy. Nie pracowałam przez kilka ostatnich miesięcy, a moje oszczędności prawie się skończyły.

Ale jeśli nie pracuję dla nich, jeśli porzuciłam wszelką nadzieję na czek, dlaczego, do diabła, nadal tu siedzę i piszę? Czynię wyznanie? Pobłogosław mnie, Ojczy, bo nie mogę zapomnieć? Czy wierzę, że to coś, co mogę wyrzygać jak whisky na kacu, że spisanie wszystkiego sprawi, że nocne koszmary ustaną albo będzie mi łatwiej przetrwać dni? Szczerze mam nadzieję, że nie jestem aż tak głupia. Jakakolwiek jestem, lubię myśleć, że nie jestem idiotką.

Nie wiem, dlaczego to piszę, czym się to okaże. Może tylko bardzo rozwlekłym listem samobójcy.

Zeszłej nocy znowu oglądałam taśmę.

Mam ze sobą wszystkie trzy wersje: skrót, który nadal można znaleźć w Internecie; tę, która kończy się tuż po tym, jak ROV został trafiony, zanim z powrotem włączyły się światła; i nagranie, które MBARI wypuścił dla prasy i społeczności naukowej w odpowiedzi na wersję krążącą online. Ja mam surowy materiał, kopię, którą kupiłam od robotyka twierdzącego, że był na pokładzie „R/V Western Flyer” w dniu, kiedy zdarzył się wypadek. Zapłaciłam mu za nią dwa tysiące dolarów, a chłopak przysięgał, że film jest kompletny i autentyczny. Wiedziłam, że nie mnie pierwszej sprzedał taśmę. Usłyszałam o niej od pewnego kontaktu z wydziału chemii

na UC Irvine. Nigdy nie byłam całkiem pewna, jak ta osoba się o niej zwiadziała, ale przypuszczałam, że technik ma pokaźny dochód ze sprzedawania swojego towaru wszystkim chętnym, żeby wysupłać gotówkę.

Spotkaliśmy się w Motelu 6 w El Cajon, a ja odtworzyłam całe nagranie, zanim wręczyłam mu pieniądze. On siedział plecami do telewizora, kiedy ja oglądałam taśmę, przewijałam ją i zaczynałam od początku.

– Co robisz, do diabła? – spytał, dosłownie wykręcając ręce i z niepokojem łypiąc na ciężkie zasłony. Zaciągnęłam je po podłączeniu wypożyczonego magnetowidu, który ze sobą przywiozłam, ale wpadał przez nie jasny pas popołudniowego słońca i dzielił jego twarz pośrodku. – Jezu, myślisz, że to nie będzie ta sama rzecz za każdym razem? Myślisz, że jeśli wciąż będziesz ją odtwarzać, wyjdzie jakaś różnica?

Obejrzałam taśmę więcej razy, niż potrafię zliczyć, co najmniej kilkaset, i nadal uważam, że to jest cholernie dobre pytanie.

– Więc dlaczego MBARI jej nie wypuściło? – zapytałam dzieciaka, a on się roześmiał i pokręcił głową.

– A jak, kurwa, myślisz?

Wziął moje pieniądze, przypomniał mi znowu, że nigdy się nie spotkaliśmy i że wszystkiemu zaprzeczy, jeśli spróbuję wskazać go palcem jako moje źródło. Potem wsiadł do swojego starego, rżęzącego volkswagena i odjechał, zostawiając mnie na półtorej godziny z nieopublikowanym kolorowym wideo zarejestrowanym gdzieś na dnie rowu Monterey. Wszystko, co widziała prawa kamera „Tiburóna II” (lewe zdalnie sterowane urządzenie tamtego dnia źle działało), trzydzieści kilometrów od brzegu i trzy kilometry w głąb, a ja od razu od początku rozumiałam, że już bardziej nie zbliżę się do odpowiedzi, także na inne, dużo straszniejsze pytanie.

Zeszłej nocy upiłam się bardziej niż zwykle, dużo bardziej niż zwykle, i oglądałam nagranie po raz pierwszy od prawie miesiąca. Ale wyłączyłam dźwięk w telewizorze i zostawiłam zapalone światło.

Nawet pijana nadal jestem tchórzem.

Dno oceanu ostro oświetlone przez czterystuosiemdziesięciowatowe lampy HM1, aksamitny dywan szarobrazowego osadu wypłukanego z Elkhorn Slough i wszystkich innych bagien i rzek wpadających do zatoki. Nawet na tej głębokości są oznaki życia: węzowidła i kraby przywierają do

skął w kolorze gówna, gąbki i strzykwy, faliste, gładkie ciała wielkookich buławików. Tu i tam ciemne wychodnie sterczą z mułu jak kości gnijącego ciała trędowatego.

Mój dupek wydawca roześmiałby się na to ostatnie porównanie, prawdopodobnie spojrzalby na nie, roześmiał się i powiedział coś takiego:

– Gdybym chciał pieprzonego fioletu, kupiłbym pieprzoną donicę fiołków.

Ale mój dupek wydawca nie widział taśmy, którą kupiłam od technika.

ROV dociera do skalistego miejsca, gdzie dno nagle opada. Pojazd waha się, reagując na komendy wydawane z „R/V Western Flyer”. Chwilę później stały opad morskiego śniegu robi się tak gęsty, że trudno jest coś zobaczyć w świetle odbijającym się od białawych cząsteczek tonącego detrytus. Siedząc na podłodze między nogami łózka a telewizorem, omal nie wyciągam ręki, żeby dotknąć ekranu.

Niemal.

– To jest po trochu wszystkiego – słyszę głos Jacovy, chociaż ona nigdy czegoś takiego do mnie nie powiedziała. – Muł, fitoplankton i zooplankton, sadza, śluz, okrzemki, fekalia, kurz, ziarenka piasku, glina, odpady radioaktywne, pyłki kwiatowe, ścieki. Część to nawet cząsteczki pyłu międzyplanetarnego. Część spadła z gwiazd.

„Tiburón II” przemieszcza się z pół metra do przodu, po czym zsuwa się ostrożnie z krawędzi przepaści i zaczyna powolne zejście w dół do nowej, nieoczekiwanej otchłani.

– Byliśmy na tym odcinku co najmniej dwanaście razy – powiedziała korespondentowi CNN Natalie Billigton, pilot zdalnie sterowanego pojazdu, po tym, jak pierwsza wersja nagrania trafiła do wiadomości. – Ale tego spadku nie było na żadnych mapach. Zawsze jakoś go przeoczyliśmy. Wiem, że to nie jest zbyt satysfakcjonująca odpowiedź, ale to miejsce na dole jest bardzo duże. Rów ma ponad trzysta kilometrów długości. Nie zauważa się różnych rzeczy.

Przez jakiś czas – dokładnie piętnaście minut i trzydzieści cztery sekundy – jest tylko ciemność, morski śnieg i trochę zaciekawionych albo przestraszonych ryb. Według MBARI pionowa szybkość pojazdu w tej części zanurzenia to około trzydzieści pięć metrów na minutę, więc zanim dotarł na sam dół, głębokość zwiększyła się o jakieś sto sześćdziesiąt metrów. Znowu pojawia się dno i nie ma na nim za dużo luźnych osadów, a jedynie bezładny stos pokruszonych głazów, i to zdumiewające, jak są

czyste, niemal całkowicie wolne od zwykłych inkrustacji i szlamu. Nie ma żadnych gąbek ani węzowisk, żadnych rozgwiazd, i nawet wszechobecny morski śnieg ustał, tak że widać tylko kilka zbłąkanych, dryfujących płatków. I wtedy w polu widzenia pojawia się szeroka, płaska skała, o której zwykle mówi się „kamień Delta”. I nie jest ona jak twarz na Marsie czy starożytni astronauta von Dänikena na rysunkach Majów. Litery wyrytej na głazie nie można z niczym pomylić. Brzegi są tak ostre, tak wyraźne, jakby napis został zrobiony wczoraj.

„Tiburón” zawisa nad kamieniem Delta, zalewa światłem miejsce pozbawione światła, a ja wiem, co będzie dalej, więc siedzę zupełnie nieruchomo i odliczam w głowie sekundy. Kiedy dotarłam do trzydziestu ośmiu, widok z kamer ROV gwałtownie przesuwa się w prawo, sygnalizując uderzenie z prawej burty, i chwilę później jest tylko statyczny biały szum, dwudziestosekundowa przerwa na taśmie, kiedy kamera nadal pracuje, ale nic więcej nie nagrywa.

Policzyłam do jedenastu, zanim wyłączyłam telewizor, a potem siedziałam, słuchając wiatru i fal rozbijających się na plaży, czekając, aż serce przestanie mi galopować, pot na twarzy i dłoniach wyschnie. Kiedy byłam pewna, że nie robi mi się niedobrze, wcisnęłam przycisk i magnetowid wypluł taśmę. Schowałam ją z powrotem do granatowego plastikowego pudełka i siedziałam, paląc, pijąc i nie mogąc myśleć o niczym innym oprócz Jacovy.



## 4

Jacova Angevine urodziła się i wychowała w dużym wiktoriańskim domu swojego ojca w Salinas, zaledwie kilka przecznic od miejsca narodzin Johna Steinbecka. Gdy skończyła osiem lat, umarła jej matka. Jacova nie miała rodzeństwa, a jej najbliżsi krewni ze strony obojga rodziców mieszkali w New Jersey, Pensylwanii i Marylandzie. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, zaledwie kilka miesięcy po ślubie, państwo Angevine przenieśli się do Kalifornii i ojciec zaczął uczyć angielskiego w szkole średniej w Castroville. Po sześciu miesiącach porzucił tę posesję i przyjął inną w miasteczku Soledad, z jedynie trochę lepszą pensją. Choć Theo Angevine zrobił doktorat z literatury porównawczej na Columbii, wydawało się, że nie ma szczególnych ambicji akademickich. Napisał kilka powieści jeszcze w college'u, choć dla żadnej z nich nie znalazł wydawcy. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym, kiedy jego żona była w piątym miesiącu ciąży, zrezygnował z nauczania w szkole w Soledad i przeniósł się na północ do Salinas, gdzie kupił stary dom przy Howard Street za pożyczkę bankową i zaliczkę za swoją pierwszą książkę, powieść kryminalną pod tytułem *Człowiek, który śmiał się na pogrzebach* (Random House, Nowy Jork).

Do dzisiaj żadna z trzech opublikowanych książek o Jacovie ani liczne utonięcia przy plaży Moss Landing nie sprawiły, że powieści Theo Angevine'a zyskały coś więcej niż przelotne wzmianki. Na przykład Eleonore Ellis-Lincoln w *Zamykanie drzwi: anatomia hysterii* (Simon and Schuster, Nowy Jork) poświęca im tylko jeden paragraf, podczas gdy dzieciństwu Jacovy cały rozdział. „Dziełom pana Angevine'a poświęcono niewiele krytycznej uwagi, takiej czy innej, a jego dochód z nich był skromny. Z siedemnastu powieści, które opublikował on między rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym a tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym, tylko dwie – *Człowiek, który śmiał się na pogrzebach* [sic] i *Siódma o zachodzie słońca* – nadal są drukowane. Jest godne uwagi, że ogólny ton tych powieści robi się wyraźniej mroczniejszy po śmierci żony, ale same książki, jak się wydaje, nigdy nie stały się dla autora czymś więcej niż hobby. Po jego śmierci wykonawcą jego testamentu literackiego została córka”.

Podobnie w *Kulcie leminga* (The Overlook Press; Nowy Jork) William L. West pisze: „Stała produkcja chałtur spod znaku tajemnicy i suspense przez ojca z pewnością musiała w dzieciństwie intrygować Jacovę, ale ona sama nigdy nie wspomniała o niej w swoich pracach, łącznie z pięcioma prywatnymi dziennikami znalezionymi w kartonowym pudle w szafie jej sypialni. Same książki niczym się nie wyróżniały, na ile byłem w stanie się przekonać. Nawet w katalogu biblioteki publicznej w Salinas można znaleźć tylko po jednym egzemplarzu *Człowieka, który śmiał się na pogrzebach*, *Pretorii* i *Siódmej o zachodzie słońca*.

W czasie dwóch lat, kiedy ją znałam, Jacova wspomniała o dziełach swojego ojca tylko jeden raz, i to przelotnie, ale miała egzemplarze wszystkich jego powieści, którego to faktu nie znalazłam w żadnej publikacji. Nie wydaje się istotne, czy ktoś zadał sobie trud przeczytania książek Angevine'a. Od śmierci Jacovy przeczytałam je wszystkie. Niecały miesiąc zajęło mi znalezienie egzemplarzy wszystkich siedemnastu, głównie dzięki księgarniom internetowym, i jeszcze mniej czasu ich pochłonięcie. Choć William West był oczywiście usprawiedliwiony, kiedy nazywał te powieści nijakimi – jeśli rozważyć je tylko jako beletrystykę – nawet pobieżna lektura ujawnia kilka znaczących podobieństw między fikcją ojca a rzeczywistością córki.

\* \* \*

Spędziłam całe popołudnie, większą część ostatnich pięciu godzin, nad poprzednimi czterema rozdziałami, próbując oszukać siebie, że potrafię pisać o niej jak dziennikarka. Że potrafię zdobyć się na pewien dystans czy obiektywizm. Oczywiście marnuję czas. Po obejrzeniu taśmy ponownie, po tym, jak niemal pozwoliłam sobie znowu obejrzeć ją całą, myślę, że jestem zdesperowana, żeby rozdzielić siebie i wspomnienie o niej. Powinnam zadzwonić do Nowego Jorku i powiedzieć, że nie mogę tego zrobić, że powinni znaleźć kogoś innego, ale po tym bałaganie z historią o Muszarrafie agencja prawdopodobnie nigdy więcej nie dałaby mi żadnego zlecenia. Na razie to nadal się liczy. Może nie za dzień albo dwa, ale teraz tak.

Jej ojciec pisał książki, które nigdy nie były bardzo popularne, i choć nieszczerze skomplikowane czy przyjemne, mogą zawierać klucz do

motywów Jacovv i jej losu. A może nie. To takie proste i zarazem sprzeczne. Jak wszystko, co otacza *Kult leminga* – jak Otwarte Drzwi Nocy nazwali ludzie, którym łatwiej uporać się z tragedią i horrorem, jeśli znajdą w nich odrobinę absurdu – jak wszystko, co dotyczy Jacovy, rzecz, która jest znacząca w jednej chwili, w następnej staje się nieistotna. A może tylko mnie się tak wydaje. Może za dużo oczekuję od poszlak.

**Wyjątki z Pretorii,  
str. 164–165; Ballantine Books, 1979**

Edward Horton uśmiechnął się i strzepnął popiół z cygara do dużej szklanej popielniczki stojącej na stole.

– Nie lubię morza – powiedział i skinął głową w stronę okna. – Szczerze mówiąc, nie mogę nawet znieść jego szumu. Przez nie mam koszmary.

Słuchałem huku grzywaczy, nie odrywając wzroku od tłustego mężczyzny i gęstych szarych zakrętasów dymu snujących się wokół jego twarzy. Szum fal zawsze miał przyjemny, kojący wpływ na moje nerwy, więc zastanawiałem się, który z niezliczonych sekretów Hortona jest odpowiedzialny za jego nienawiść do morza. Wiedziałem, że służył w marynarce w czasie wojny koreańskiej, ale byłem również całkiem pewien, że nigdy nie widział żadnej bitwy.

– Jak spałeś ostatniej nocy? – zapytałem.

On pokręcił głową.

– Gównianie – odparł i zaciągnął się cygarem.

– Więc może powinieneś pomyśleć o znalezieniu sobie pokoju w głębi lądu.

Horton zakaszlał i wskazał pulchnym palcem w stronę okna bungalowu.

– Nie myśl, że bym tego nie zrobił, gdyby wybór należał do mnie. Ale ona chce mnie tutaj. Chce, żeby tutaj siedział, czekał na nią dzień i noc. Wie, że nienawidzę oceanu.

– Co mi tam. – Sięgnąłem po kapelusz, zmęczony jego towarzystwem i odorem dymiącego macanudo. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jeśli zmienisz zdanie. Nie pozwól, żeby złe sny cię przygnębiały. To tylko złe sny.

– A to nie wystarczy? – spytał, a ja zobaczyłem po jego minie, że chciałby, żebym został jeszcze trochę, ale wiedziałem, że on nigdy się do tego nie przyzna. – Zeszłej nocy jacyś cholerni ludzie weszli do morza, maszerując po piasku jak szeregi pieprzonej piechoty. Musiało być ich z milion. Jak myślisz, co znaczy taki sen?

– Horton, taki sen może znaczyć gówno – odparłem. – Może jedynie to, że powinieneś zrezygnować z ostrego jedzenia przed pójściem spać.

– Zawsze będziesz dupkiem – skwitował, a ja musiałem się z nim zgodzić.

Horton wydmuchał dym, a ja opuściłem bungalow i wyszedłem na słoń noc w Santa Barbara.

**Fragment *Co przywlókł kot*,  
str. 231; Ballantine Books, 1980**

Vicky nigdy nikomu nie opowiedziała o snach, tak jak nigdy nie opowiedziała o panu Barkerze i żółtym chevrolecie corvette. Sny były jej tajemnicą, czy ich chciała, czy nie. Czasami wydawały się niemal złe, wstydlive, grzeszne, jak coś, co zrobiła wbrew Bogu albo przynajmniej wbrew prawu. Omal nie opowiedziała ich kiedyś panu Barkerowi, jakiś rok po tym, jak opuściła Los Angeles. Posunęła się do tego, że poruszyła temat syren, a wtedy on parsknął śmiechem, więc się rozmyśliła.

– Masz dziwne pomysły w tej swojej głowie – stwierdził pan Barker. – Pewnego dnia będziesz musiała wyrosnąć z tych głupot, jeśli chcesz, żeby ludzie tutaj zaczęli traktować cię poważnie.

Więc zachowała to wszystko dla siebie. Cokolwiek znaczyły lub nie znaczyły te sny, nie były czymś, co potrafiłaby wyjaśnić albo wyznać. Czasami w noc, kiedy nie mogła spać, leżała w łóżku, wpatrując się w sufit, myśląc o zrujnowanych zamkach pod falami i pięknych, utopionych dziewczynach z wodorostami wplątanymi we włosy.

**Fragment *Ostatniego lichwiarza*  
z *Bodega Bay*, str. 57–59;  
Bantam Books, 1982**

– To było dawno temu w latach pięćdziesiątych – powiedział Foster i zapalił kolejnego papierosa. Ręce mu się trzęsły i wciąż oglądał się przez ramię. – W pięćdziesiątym ósmym, prawda, a może na początku pięćdziesiątego dziewiątego. Wiem, że Eisenhower nadal był prezydentem. Ale ja nadal tkwiłem w Honolulu, prawda, nadal obwoziłem na „Saint Chris” parszywych turystów po wyspach, żeby mogli łowić ryby, trzaskać zdjęcia cholernej Kilauei i czego tam jeszcze. Łódź się rozpadała, ale nadal

mogła dowieźć człowieka tam, dokąd chciał, jeśli się wiedziało, jak ją popędzić.

– Co to ma wspólnego z Winkiem Andersonem i dziewczyną? – spytałem, nie starając się ukryć zniecierpliwienia.

– Jezus, Frank, właśnie do tego zmierzam. Chcesz usłyszeć czy nie? Przysięgam, przychodzisz tutaj i zadajesz mi wielkie pytania, oczekujesz, że ci powiem co i jak, więc możesz przynajmniej trzymać jadaczkę zamkniętą i słuchać.

– Nie mam całej nocy, to wszystko.

– No jasne, a kto ma? Po co mi to mówisz? W każdym razie, jak już powiedziałem, w pięćdziesiątym dziewiątym byliśmy gdzieś na północnym wybrzeżu Moluków. Stary Coop łowił na tysiącu sążniach, a Jerry... Pamiętasz Jerry'ego O'Neila, co?

– Nie. – Zerknąłem na zegar nad barem.

– Mniejsza o to. Jerry O'Neil nawijał o sześciusetkilogramowym marlinie, którego jakiś meksykański biznesmen z Tijuany złowił kilka tygodni wcześniej. Ryba nawet znalazła się w gazetach, tak. W każdym razie Jerry powiedział, że Meksykanin to kłopot i że powinniśmy mieć na niego oko. Powiedział, że to prawdziwy Jonasz.

– Ale mówiłeś, że złapał sześciusetkilowego marlina.

– Tak, jasne. Może i wyciągnął rybę ten sukinsyn, ale bawił się w jakieś hiszpańskie wudu i wyrzucał za burtę złote monety co pięć albo dziesięć minut. Jak w cholernym zegarku, sprawdzał godzinę i wyrzucał monetę. Złote dublony albo coś takiego, nie wiem co. Meksykanin doprowadzał Coopa do szału, bo nie dość, że robił to z monetami, to jeszcze cały czas coś mamrotał. Coop powtarzał mu, żeby, do diabła, się zamknął, ale ten gość po prostu mamrotał, rzucał monety i ciągnął rybę. W końcu spojrzałem na te dublony i one miały wybite coś, co wyglądało jak cholerna ośmiornica, a na drugiej stronie gwiazdę jak pentagram. No wiesz, te rzeczy, których używają czarownicy i czarownice.

– Foster, to wariactwo i kompletny kit. Muszę być rano o wpół do ósmej w San Francisco. – Machnąłem na barmana i położyłem przed sobą dwie zmięte piątki i jednego dolara.

– Słyszałeś kiedyś o Mamie Hydrze, Frank? Właśnie do niej modlił się ten Meksykanin.

– Zadzwoń do mnie, kiedy skończą ci się te bzdury – powiedziałem. – I nie muszę ci mówić, że detektyw Burke nie będzie nawet w połowie tak

wyrozumiały jak ja.

– Jezu, Frank. Zaczekaj, kurwa, sekundę. Właśnie tak opowiadam historie, co nie? Zaczynam od początku. Niczego nie pomijam.

\* \* \*

To tylko kilka przykładów tego, co można znaleźć, jeśli ma się czas szukać. I jest tego o wiele więcej, zapewniam. Strony moich egzemplarzy powieści Angevine'a są całe poznaczone żółtym markerem.

A na koniec zostaje więcej pytań niż odpowiedzi.

Można o tym sądzić, co się chce. Albo nie. Przypuszczam, że freudyści mieliby używanie z tym materiałem. To, co wiedziałam o Freudzie, zapomniałam, zanim skończyłam college. Byłoby pocieszające, gdybym potrafiła uznać los Jacovy za rezultat jakiegoś przytłaczającego kompleksu Edypa, z oceanem w roli matki zbawicielki, która w końcu się otwiera, żeby przynieść ulgę i wybaczenie w chwili śmierci i rozpadu.

## 5

Zaczynam iść jakąś konkretną, może obiecującą drogą, a potem w nieunikniony sposób odwracam się i uciekam z podkulonym ogonem. Moje wspomnienia. Wideo z MBARI. Jacova i kryminały jej ojca. Zadrapiuję powierzchnię, a potem cofam rękę, by się upewnić, że nie straciłam pieprzonego palca. Mieszam metafory w taki sposób, w jaki mieszam tequilę i szkocką.

Jeśli, jak napisał William Burroughs: „Język to wirus z kosmosu”, czym ty, do jasnej cholery, miałaś być, Jacovo?

Epidemią zbiorowej nieświadomości. Czarną zarazą wiary. Szczepionką przeciw kulturowej amnezji, mogłaby powiedzieć Jacova. I w ten sposób wracamy do Welikowskiego, który napisał: „Istoty ludzkie, odradzające się z jakiejś katastrofy, pozbawione wspomnień o tym, co się wydarzyło, uważające siebie za istoty stworzone z ziemskiego prochu. Cała wiedza o przodkach, kim byli, w jakiej przestrzeni międzygwiazdnej żyli, została wymazana z pamięci niewielu ocalałych”.

Jestem pijana i nic z tego nie rozumiem. Albo za mało, żeby to miało znaczenie. W każdym razie zwróćcie uwagę na tę część. To coś w rodzaju historii o duchach w historii o duchach w historii o duchach, twarda bryłka w nieosiągalnym sercu serca mojej bez końca zmniejszającej się babuszki, matrioszki, matrioski, matreski, baabuszki. To może być nawet ostatnia słówka, pod którą załamuje się wielbłąd mojego umysłu.

Pamiętajcie, jestem nawalona, więc ten ostatni niewybaczalny ustęp może mi być wybaczone. A może nie.

„Kiedy staję się śmiercią, śmierć jest ziarnem, z którego wyrastam”, powiedział Burroughs. Jacovo, ty będziesz sadem. Będziesz kołyszącym się lasem wodorostów. W dziurze na dnie morza jest dziennik z twoim imieniem.

Wczoraj po południu, wymiotując już na widok tych czterech brudnych pieprzonych ścian, pojechałam do Monterey, do magazynu przy Pierce Street. Ostatnim razem, kiedy tam byłam, gliniarze jeszcze nie zabrali żółtej taśmy z napisem: „Miejsce przestępstwa, nie wchodzić”. Teraz jest tylko duża tablica „Na sprzedaż” i jeszcze większe ostrzeżenie przed wchodzeniem. Zapisałam nazwę i numer telefonu biura nieruchomości na

pudełku zapalek. Chcę ich zapytać, co będą mówić potencjalnym nabywcom na temat historii budynku. Chodzą słuchy, że cała przecznica ma być w przyszłym roku odnowiona, więc wkrótce te puste budynki zostaną zamienione na lofty i apartamentowce. Gentryfikacja nienawidzi pustki.

Zaparkowałam na pustym parkingu kawałek od magazynu, mając nadzieję, że nikt przypadkiem mnie nie zauważy. Ruszyłam szybko, ale nie biegnąc, bo bieganie jest podejrzane i w nieunikniony sposób przyciąga uwagę tych, którzy wypatrują podejrzanych rzeczy. Nie byłam taka pijana, jak mogłabym być, nawet nie tak pijana, jak powinnam być, i starałam się zająć umysł zwracaniem uwagi na mniej znaczące detale ulicy, na niebo, na pogodę. Śmieci, zaplątane chwasty i żwir – niedopałki, plastikowe butelki po napojach (pamiętam pepsi, colę, Mountain Dew), papierowe torby i kubki z fast foodów (McDonalda, Del Taco, KFC), rozbite szkło, nierozpoznawalne kawałki metalu, zardzewiała tablica rejestracyjna z Oregonu. Niebo było boleśnie błękitne, niebieskie do mdłości, z sunącymi wysoko cirrusami, które trochę psuły te duszące pastelowe przestworza. Wzdłuż ulicy nie parkowały żadne samochody i nie zauważyłam ani jednej żywej istoty. Było kilka śmietników, znak stopu, wielki stos kartonowych pudełek rozmoczonych przez deszcz tyle razy, że trudno było stwierdzić, gdzie kończył się jeden, a zaczynał drugi. Walał się kołpak.

Kiedy wreszcie dotarłam do magazynu – ten stał się świątynią na wpół zapomnianych bogów, potem sceną zbrodni i teraz zmierzał ku temu, żeby stać się czymś innym – weszłam w wąski zaułek, który oddziela go od opuszczonego budynku Monterey Peninsula Shipping and Storage (założonej w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym). Z tej strony znajdowały się drzwi z niesolidnym zamkiem. Jeśli miałam szczęście, nikt tego nie zauważył albo jeśli zauważył, nie zawracał sobie głowy naprawianiem. Moje serce galopowało, kręciło mi się w głowie (bardzo się starałam zrzucić winę na przyprawiający o mdłości kolor nieba), w ustach miałam metaliczny posmak, jak po świeżym wypełnieniu.

W zaułku było chłodniej niż na Pierce, słońce już dostatecznie nisko opadło na zachód, żeby uliczka znajdowała się od jakiegoś czasu w cieniu. Może ona zawsze jest w cieniu i nigdy nie jest tam naprawdę gorąco. Znalazłam boczne drzwi w dokładnie w takim stanie, w jakim chciałam je znaleźć, tak że trzy albo cztery minuty majstrowania przy rozklekotanej mosiężnej gałce wystarczyły, by je otworzyć. W środku magazyn był ciemny i jeszcze chłodniejszy niż zaułek, powietrze cuchnęło pleśnią



i kurzem, złymi wspomnieniami i opuszczeniem. Przez chwilę stałam w drzwiach, myśląc o głodnych szczurach, pijanych menelach, delirycznych narkomanach wymachujących ołowianymi rurami, pajęczynach jadowitych pajaków. Potem wzięłam głęboki oddech i przekroczyłam próg, wchodząc z cienia w bardziej zdecydowaną czerń, bardziej zdecydowany chłód, a wszystkie ziemskie zagrożenia zniknęły. W moim umyśle została tylko Jacova Angevine i jej wyznawcy (jeśli tak można ich nazwać), odziani cali na białą, i rzecz, którą widziałam na ołtarzu ten jedyny raz, kiedy tutaj trafiłam i kiedy to była świątynia Otwartych Dni Nocy.

Spytałam ją o tę rzecz kilka tygodni przed końcem, ostatniej nocy, którą spędziłyśmy razem. Zapytałam, skąd się wzięła, kto ją wymyślił, a Jacova leżała przez jakiś czas zupełnie nieruchomo, słuchając fal albo próbując się zdecydować, jaka odpowiedź mnie zadowoli. W blasku księżyca sączącym się przez hotelowe okno pomyślałam, że ona się uśmiecha, ale nie byłam pewna.

– Jest bardzo stara – powiedziała w końcu. Do tej pory prawie zdążyłam zasnąć, więc musiałam się najpierw rozbudzić. – Nikt żywy nie pamięta, kto ją stworzył. Ale nie sądzę, żeby to miało znaczenie. Ważne, że ona istnieje.

– To jest, kurwa, straszliwe – wymamrotałam sennie. – Wiesz o tym, prawda?

– Tak, ale podobnie jest z krucyfiksem. I z krwawiącymi posągami Dziewicy Maryi albo wizerunkami Kali. Tacy sami są egipscy bogowie z głowami zwierząt.

– No tak, przed nim też się nie kłaniam – odpowiedziałam coś w tym rodzaju.

– Boskie zawsze jest straszliwe – wyszeptała Jacova i odwróciła się do mnie plecami.

Chwilę wcześniej byłam w magazynie przy Pierce Street, prawda? A teraz leżę w łóżku z prorokinią z Salinas. Ale nie będę rozpaczać, bo nie muszę być skupiona, trzymać się jakiejś restrykcyjnej iluzji linearnej narracji. To nadchodzi. Zbliżało się przez cały czas. Jak powiedział Job Foster w rozdziale czwartym *Ostatniego lichwiarza z Bodega Bay*: „Tak się opowiada historie, jasne? Wiesz o tym. Zaczynam od początku. Niczego nie pomijam”.

To oczywiście brednie. Podejrzewam, że pechowy Job Foster wiedział, że to bzdury, i podejrzewam, że ja też wiem, że to brednie. Nie jest zadaniem pisarza „opowiedzenie wszystkiego” ani nawet decydowanie, co zostawić, tylko co pominąć. Cokolwiek zostaje, skromny rezultat bezczeszczącego podziału, jest bastardem, chimerą, którą nazywamy „opowieścią”. Ja nie buduję, tylko wycinam. Wszystkie historie, czy to reklamowane jako prawda, czy otwarcie fałszywe, są fikcją, uformowaną z obiektywnych faktów w wyżej wspomnianym procesie wycinania. Okrawkami mięsa. Stosem trocin. Wyrzuconymi kawałkami marmuru kararyjskiego. Tym, co zostało.

Przeklątym człowiekiem w pustym magazynie.

Zostawiłam drzwi otwarte, bo nie miałam odwagi zamknąć się sama w tym miejscu, i zrobiłam kilka kroków do środka. Moje buty chrzęściły głośno na odłamkach szkła z rozbitego okna, miażdżyły pył, kiedy przypominałam sobie o latarce schowanej w kurtce. Jednak blask latarki nie sprawił, że ciemność stała się mniej dusząca, zupełnie nie przypominał oślepiającego białego słupa światła, który padał z „Tiburóna II” na muliste dno rowu. *Teraz, pomyślałam, przynajmniej coś mogę zobaczyć, jeśli tu jest cokolwiek do zobaczenia.* I natychmiast jakiś inny, mniej znajomy głos-myśl zapytał, czego, do diabła, chcę. Drzwi otwierały się na wąski korytarz o miętowo-zielonych betonowych ścianach i niskim betonowym suficie. Ruszyłam nim – nie więcej niż dziewięć metrów, góra dziewięć metrów – obok pustych pokojów, które kiedyś mogły być biurami, do niezamkniętych stalowych drzwi oznaczonych wyblakłym pomarańczowym napisem: TYLKO DLA PERSONELU.

– To pusty magazyn – wyszeptałam. – To tylko pusty magazyn.

Wiedziałam, że to nieprawda, już nie, w żadnym razie, ale pomyślałam, że może kłamstwo będzie bardziej kojące niż smętne światło latarki. Joseph Campbell napisał: „Narysuj krąg wokół kamienia, a kamień stanie się wcieleniem tajemnicy”. Coś w tym rodzaju. A może powiedział to ktoś inny, a ja źle zapamiętałam. Chodzi o to, że Jacova narysowała krąg wokół tego miejsca, tak jak narysowała krąg wokół siebie, jak jej ojciec narysował krąg wokół niej...

Tak jak ja narysowałam krąg wokół siebie.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Za nimi znajdowały się rozległe, opuszczone wnętrza budynku, płaska równina cementu odgraniczona stalowymi belkami. Trochę blasku słonecznego wpadało przez wiele

małych okien na wschodniej i zachodniej ścianie, choć nie tyle, ile się spodziewałam. Światło wydawało się rozcieńczone, osłabione przez stęchłe powietrze. Przesunęłam latarką tam i z powrotem po podłodze u moich stóp i zobaczyłam, że ktoś zamalował wszystkie wymyślne, kolorowe wzory zostawione przez Otwarte Drzwi Nocy. Gęsta szara lateksowa farba pokryła misterne przeplatające się ze sobą linie, które, jak wierzyła Jacova, miały utworzyć most, łącznik, to było słowo, którego użyła. Wszyscy widzieli zdjęcia tej posadzki, choć żadne z nich nie pokazywało jej jak należy. *Yantra*. Labirynt. Wijąca się, splątana masa morskich stworzeń dążących do dalekiego czarnego słońca. Symbole z alfabetu hindi, Majów i Czinuków. Dokładna mapa topograficzna rowu Monterey. Każda z tych rzeczy i one wszystkie jednocześnie. Słyszałam, że w Berkeley jest antropolożka, która pisze książkę o tej podłodze. Może ona opublikuje fotografie, którym uda się przekazać jej okropną wspaniałość. A może lepiej, żeby tego nie robiła.

Może ktoś powinien wpakować jej kulkę w głowę.

Ludzie mówili to samo o Jacovie Angevine. Ale zabójstwo zawsze jest nie do pomyślenia dla moralnych, myślących ludzi, aż zdarzy się Holocaust.

Również te drzwi zostawiłam otwarte i ruszyłam powoli w stronę środka pustego magazynu, w stronę miejsca, gdzie kiedyś znajdował się ołtarz, miejsca, gdzie boska obrzydliwość Jacovy spoczywała na fałdach aksamitu koloru masakry. Ścisnęłam latarkę tak mocno, że zaczęły mi drętwieć palce prawej ręki.

Za mną rozległo się szuranie, zgrzytliwy odgłos, który mógł być krokami. Obróciłam się tak gwałtownie, że zaplątałam się we własne stopy i omal nie upadłam na tyłek, omal nie upuściłam latarki. Trzy albo cztery metry ode mnie stało dziecko, a drzwi wychodzące na zaułek zostały zamknięte. Dziewczynka nie mogła mieć więcej niż dziewięć albo dziesięć lat, była ubrana w podarte dżinsy i T-shirt umazany błotem albo czymś, co wyglądało jak błoto w półmroku magazynu. Jej krótkie włosy mogły być blond albo jasnobrązowe, trudno powiedzieć. Większość twarzy kryła się w cieniu.

– Spóźniłaś się. – Głos miała znużony. Albo zagubiony. Albo jedno i drugie.

– Jezu Chryste, dzieciaku, omal nie posrałam się przez ciebie.

– Spóźniłaś się – powtórzyła dziewczynka.

– Spóźniłam się na co? Śledziłaś mnie?

– Wrota są teraz zamknięte. Nie otworzą się znowu dla ciebie ani dla nikogo innego.

Spojrzałam na drzwi, które zostawiłam otwarte, a ona podążyła za moim wzrokiem.

– Zamknęłaś je? – spytałam. – Nie przyszło ci do głowy, że może zostawiłam je otwarte z jakiegoś powodu?

– Czekałam tak długo, jak się odważyłam – powiedziała, jakby to coś wyjaśniało, i odwróciła się do mnie z powrotem.

Zrobiłam krok w jej stronę, może dwa, i się zatrzymałam. W tym momencie doznałam wrażenia czy wrażeń, które autorzy horrorów i kryminałów, od Poego po Theo Angevine’a, bardzo starali się przekazać – niemal bolesnego mrowienia na karku, ramionach i nogach, zimnego uścisku w żołądku, gęsiej skórki, poluźnienia zwieraczy, napięcia moszny. Krew zastygła mi w żyłach. Można ciągnąć dalej te wszystkie pieprzone klisze, ale żadna nawet na kilometr nie zbliża się do tego, co czułam, kiedy tam stałam, patrzyłam na dziewczynkę, ona patrzyła na mnie, a słabe światło padające z okien odbijało się od jej oczu.

Patrząc na jej twarz, czułam strach, jakiego nie poznałam nigdy wcześniej. Ani w strefach wojny, kiedy wyły syreny przeciwlotnicze, ani w czasie wywiadów przeprowadzanych z lufą pistoletu przytkniętą do skroni albo do pleców. Ani czekając na wyniki biopsji po odkryciu dziwnego pieprzyka. Ani nawet w dniu, kiedy Jacova poprowadziła ich do morza, a ja siedziałam i oglądałam to wszystko na pieprzonym CNN w barze na Brooklynie.

I nagle zrozumiałam, że ta dziewczynka nie weszła za mną z zaułka i nie zamknęła drzwi, tylko że przez cały czas tutaj była. Wiedziałam również, że nie wystarczyłoby nawet sto warstw farby, żeby zamalować labirynt Jacovy.

„Ukąsiła cię kiedyś martwa pszczoła?”

– Nie powinnaś tu być – stwierdziła dziewczynka głosem minotaura, zagubionym, nieobecnym i pełnym żalu.

– Więc gdzie powinnam być? – spytałam, a mój oddech zmienił się w parę jak w środku zimy albo na dnie morza.

– Wszystkie odpowiedzi były tutaj. Wszystko, o co sama siebie pytasz, rzeczy, które nie dają ci spać, które doprowadzają się do szaleństwa. Wszystkie pytania, które zadajesz temu swojemu komputerowi. Wszystkie ci je dałam.

W tym momencie rozległ się dźwięk, jakby woda rozbijała się o kamień, i coś ciężkiego, miękkiego i mokrego powlekło się po betonowej posadzce, a ja pomyślałam o istocie z ołtarza, o Matce Hydrze Jacovy, zepsutej, wzdętej Madonnie z otchłani, o jej mackach i ukwiałowych wąsach, czarnych, wyłupiastych oczach kalmara, o pierścienicowych trąbkach wychodzących z otworów tam, gdzie powinna być twarz.

*Potężna, nieumierająca córko Tyfona i węzowej Echidny, Hydro lernejska, Hydro lernejska, żarłoczna dziwko wszystkich mrocznych światów, konkubino Ojca Dagona, Ojca Krakena.*

Cuchnęłam zgnilizną i błotem, słoną wodą i zdychającymi rybami.

– Musisz teraz iść – powiedziała dziewczynka nagłaco i wyciągnęła rękę, jakby chciała pokazać mi drogę. Nawet w półmroku widziałam pąkle i widłonogi na surowym mięsie jej dłoni. – Jesteś drzazgą w mojej duszy, zawsze. A ona zaciągnie cię na dół, żeby dokończyć moją własną ciemność.

I zniknęła. Nie zniknęła, tylko po prostu już jej tam nie było. A te inne dźwięki i odory zniknęły razem z nią. Nie zostało nic oprócz ciszy, smrodu opuszczonego budynku, wiatru ocierającego się o okna i narożniki magazynu, ruchu ulicznego na drogach świata, który czekał gdzieś za tymi murami.

## 6

Wiem dokładnie, jak to gówno brzmi. Nie myślcie, że nie wiem. Po prostu w końcu przestało mnie to obchodzić.

Wczoraj, dwa dni po wyprawie do magazynu, znowu obejrzałam taśmę MBARI. Tym razem, kiedy dotarłam do dwunastosekundowej przerwy, policzyłam do jedenastu, odczekałam do dwunastu i nie wyłączyłam telewizora, nie odwróciłam wzroku. Z pewnością zaszłam za daleko, żeby pozwolić sobie na ten luksus. Widziałam tak cholernie dużo, widziałam tak dużo, że nie było rozsądnej wymówki, by odwracać wzrok, bo nie zostało nic straszniejszego od tego, co stało się wcześniej.

Poza tym nie było to coś, czego nie widziałam wcześniej.

Błędem Orfeusza nie było to, że obejrzał się na Eurydykę i piekło, ale to, że w ogóle pomyślał o ucieczce. Podobnie z żoną Lota. Odwracanie oczu nie zmienia faktu, że jesteśmy naznaczeni.

Po białym szumie obraz wraca i z początku są tylko głazy, takie same jak wcześniej, głazy, które powinny być pokryte mułem i żywymi stworzeniami – a przynajmniej szczątkami żywych stworzeń – ale tak nie jest. To dziwne, czyste głazy. A linie i kąty są wyryte na nich tak głęboko, że nie mogą być rezultatem naturalnych geologicznych albo biologicznych procesów. Myślę o fragmentach Partenonu albo o innych zniszczonych greckich lub rzymskich świątyniach, o rzeźbionych ornamentach na belkowaniach albo frontonach. Widzę coś, co zostało zrobione, świadomie wykonane, a nie coś, co po prostu się przydarzyło. „Tiburón II” posuwa się naprzód bardzo wolno, bo uderzenie urwało parę prawych silników sterujących. Pojazd sunie naprzód ostrożnie, jakiś metr nad dnem morza, a jego światła zaczynają migotać i przygasać.

Wiem, że po przerwie zostają tylko pięćdziesiąt dwie sekundy nagrania, zanim prawa kamera wyłącza się na dobre. Niecała minuta, a ja siedzę na podłodze pokoju motelowego, liczę – jeden-jeden-tysiąc, dwa-dwa tysiące – i nie odrywam oczu od ekranu.

Robotyk z MBARI nie żyje, nerwowy człowiek, który mi sprzedał – i innym kupującym – taśmę wideo z czarnego rynku. Zeszłego wieczoru ta historia znalazła się w wiadomościach na Channel 46 i na drugiej stronie dzisiejszego „Monterey Herald”. Koroner uznał, że to samobójstwo. Nie wiem, co innego mógłby stwierdzić. Mężczyznę znaleziono powieszzonego na najniższej gałęzi sykomory niedaleko doków Moss Landing, z oboma

nadgarstkami rozciętymi prawie do kości. Denat nosił naszyjnik z kałamarnicą *Loligo* nanizaną na drut. Członek rodziny powiedział prasie, że ofiara miała za sobą epizody depresji.

Jeszcze dwadzieścia trzy sekundy.

Prawie trzy kilometry pod wodą „Tiburón II” przechyła się mocno w prawo, a potem wpada na jeden z głazów. Światła przestają migotać i wydaje się, że zaczynają świecić mocniej. Wygląda, jakby wehikuł się zatrzymał, jakby się zastanawiał nad następnym krokiem. W dniu, kiedy technik z MBARI sprzedał mi taśmę, powiedział, że część lamp zaklinowała się w rumowisku i ponad dwie godziny zajęło załodze „R/V Western Flyer” uwolnienie pojazdu. Dwie godziny całkowitej ciemności na dnie rowu po tym, jak światła i kamery wysiadły.

Osiemnaście sekund.

Szesnaście.

*Tym razem będzie inaczej, myślę jak dziecko próbujące życzeniem odsunąć od siebie lanie. Tym razem zobaczę trik, sekretną grę światła i cienia, szczegóły prostego złudzenia optycznego...*

Dwanaście.

Dziesięć.

Za pierwszym razem myślałam, że widzę jedynie coś wyciosanego w kamieniu albo część rozbitej rzeźby. Łagodny łuk biodra, zwężająca się linia nogi, bliźniacze wypukłości małych piersi. Brodawka koloru granitu.

Osiem.

Ale tam jest jej twarz – i nie można zaprzeczyć, że to jej twarz – Jacovy Angevine, jej twarz na dnie morza, zwrócona w stronę powierzchni, w stronę morza i nieba ponad ciężarem tej całej czarnej, czarnej wody.

Cztery.

Przygryzam wargę tak mocno, że czuję smak krwi. Nie różni się on tak bardzo od smaku oceanu.

Dwa.

Ona otwiera oczy i to nie są jej oczy, tylko jakiegoś morskiego stworzenia, przystosowane do wiecznej nocy. Pozbawione duszy oczy żabnicy albo połykacza, oczy jak maszerujące sadzawki atramentu. I coś śmiga pomiędzy jej rozchylonych warg...

A potem jest tylko białoszary szum, a ja siedzę i się w niego wpatruję.

*Wszystkie odpowiedzi były tutaj. Wszystko, o co siebie pytasz... Wszystkie ci je dałam.*



Później – godzinę albo pięć minut – wciskam EJECT i kasetka posłusznie wysuwa się z magnetowidu. Czytam na głos nalepkę, na wypadek gdybym wcześniej tyle razy źle ją odczytała, na wypadek gdyby pomyłono datę na nagraniu. Ale jest taka sama jak zawsze, dzień przed tym, jak Jacova czekała na plaży w Moss Landing na wyznawców Otwartych Drzwi Nocy. Dzień przed tym, jak poprowadziła ich do morza. Dzień przed tym, jak utonęła.

## 8

Zamykam oczy.

I ona znowu tu jest, jakby nigdy nie wychodziła.

Szepcze mi do ucha coś sprośnego, coś wulgarnego, a jej oddech pachnie szałwią i pastą do zębów.

Protestujący domagają się, żeby Instytut Badawczy Akwarium Monterey Bay (MBARI) natychmiast zakończył eksplorację podmorskiego kanionu. Twierdzą oni, że rów o długości czterdziestu kilometrów jest świętym miejscem bezczeszczonym przez naukowców. Jacova Angevine, była profesor z Berkeley i przywódczyni kontrowersyjnej sekty Otwarte Drzwi Nocy, porównuje zwodowanie nowego zdalnie kierowanego pojazdu podwodnego „Tiburón II” do płądrowania piramid egipskich przez rabusiów. („San Francisco Chronicle”).

Mówię jej, że muszę jechać do Nowego Jorku, że muszę przyjąć to zlecenie, a ona odpowiada, że może tak będzie najlepiej. Nie pytam, co ma na myśli; nie przychodzi mi do głowy, że to ważne.

A ona mnie całuje.

Później, kiedy skończyłyśmy, jestem zbyt wyczerpana, żeby zasnąć, i leżę rozbudzona, słuchając morza i cichych, niespokojnych dźwięków, które ona wydaje przez sen.

Ciała pięćdziesięciu trzech mężczyzn i kobiet, z których wszyscy mogli być członkami grupy religijnej znanej jako Otwarte Drzwi Nocy, wyłowiono po środowym utonięciu w pobliżu Moss Landing. Policja określiła tę śmierć jako masowe samobójstwo. Ofiary były w wieku od dwudziestu dwóch do trzydziestu sześciu lat. Władze obawiają się, że jeszcze co najmniej dwadzieścia osób mogło zginąć w czasie tego niezrozumiałego wydarzenia. Trwają poszukiwania wzdłuż wybrzeża hrabstwa Monterey. (CNN.com).

Zamykam oczy i znowu jestem w starym magazynie przy Pierce Street, głos Jacovy grzmi z głośników zamontowanych wysoko na ścianach

ogromnego pomieszczenia. Stoję w cieniu w jego głębi, z dala od prawdziwych wyznawców, z dala od innych reporterów, fotografów i kamerzystów, którzy zostali tutaj zaproszeni. Jacova nachyla się do mikrofonu, gniewna, ekstatyczna i piękna – *straszna*, myślę – a szkaradna rzeźba stoi na ołtarzu obok niej. Wokół jej podstawy są świece, dymiące kadzidła, starannie ułożone bukiety suchych wodorostów, konchy i martwe ryby.

– Nie pamiętamy, gdzie się zaczęło – mówi Jacova – gdzie się zaczęliśmy. – Wydaje się, że wszyscy nachylają się ku jej słowom jak małe łodzie płynące z trudem pod gwałtowny wiatr. – Nie pamiętamy, oczywiście nie możemy pamiętać, a oni nie chcą, żebyśmy nawet próbowali. Boją się i w swoim strachu rozpaczliwie trwają w mroku swojej ignorancji. Zmusiliby nas do tego samego, a wtedy nigdy nie przypomnielibyśmy sobie ogrodu ani bramy, nigdy nie spojrzelibyśmy na twarze wielkich ojców i matek, którzy wrócili w głębiny.

Nic z tego nie wydaje się ani trochę realne: niedorzeczne rzeczy, które ona mówi, wszyscy ci ludzie odziani na białą, ekipy telewizyjne. Ta scena nie jest nawet tak rzeczywista jak senny koszmar. W magazynie jest bardzo gorąco, czuję zawroty głowy i mdłości i zastanawiam się, czy dotrę do wyjścia, zanim zwymiotuję.

Zamykam oczy i siedzę w barze na Brooklynie, patrzę, jak wchodzi do morza, i myślę: *Jakiś sukinsyn stoi tam i to nagrywa i nikt nie próbuje ich powstrzymać, nikt nie kiwnie cholernym palcem.*

Mrugam i siedzę w biurze na Manhattanie, a ludzie, którzy podpisują moje czeki, zadają mi pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć.

– Dobry Boże, pieprzyłaś się z tą kobietą, na litość Chrystusa, i mówisz, że nie miałaś pojęcia, co ona planuje?

– Daj spokój. Musiałaś coś wiedzieć.

– Wszyscy oni czcili jakiegoś prehistorycznego boga rybę, tyle słyszałem. Nikt nie kupi tego, że nic nie zauważyłaś...

– Ludzie mają prawo wiedzieć. Nadal w to wierzysz, prawda?

Niewiele jest odpowiedzi w sprawie masowego samobójstwa kalifornijskiej sekty, ale śledczy znajdują wskazówki, logując się do sieci i stron prowadzonych przez jej członków. Znajdują mroczne miejsce w Internecie, gdzie wymieniane są dziwaczne idee i wierzenia i gdzie zyskuje się popularność. Policja powiedziała, że zebrała znaczącą liczbę informacji o przeszłości grupy znanej jako Otwarte

Drzwi Nocy, ale może minąć wiele tygodni, nim zostanie poznany jej prawdziwy charakter. (CNN.com).

Moje niezdarne ręce poruszają się niepewnie po jej nagich ramionach, opuszki palców muskają pomarszczony chaos blizn, a ona uśmiecha się do mnie.

Na kolanach w zaułku, z zawrotami głowy. Noc cuchnie wymiocinami i słoną wodą.

– Okay, więc pierwszy raz usłyszałem o tym od kobiety, z którą przeprowadzałem wywiad i która знаła tę rodzinę – mówi mężczyzna w podkoszulku z Radiohead.

Siedzimy na patio baru w Pacific Grove, słońce praży i odbija się bielą od zatoki. Jego nazwisko nie jest ważne, podobnie jak nazwa baru. Mężczyzna jest studentem z LA piszącym książkę o Otwartych Drzwiach Nocy i zdobył mój adres mailowy od kogoś z Nowego Jorku. Ma brzydkie zęby i za dużo się uśmiecha.

– To wydarzyło się w siedemdziesiątym szóstym, rok przed śmiercią matki Jacovy. Jej ojciec każdego lata zabierał je dwa albo trzy razy na plażę w Moss Landing. Tam napisał większość swoich książek. W każdym razie dziewczynka była podobno świetną pływaczką, czuła się w wodzie jak kaczką, ale matka nigdy nie puszczała jej daleko od brzegu, bo są tam paskudne prądy strugowe. Wielu ludzi tam utonęło, surferów i innych.

Mężczyzna milknie i pije kilka łyków piwa, potem wyciera pot z czoła.

– Pewnego dnia matka nie patrzy, Jacova odpływa daleko i zostaje wciągnięta pod wodę. Zanim ratownik doholowuje ją do brzegu, ona przestaje oddychać. Jest sina, ale robią jej usta-usta i mała w końcu wraca. Wiozą ją do szpitala w Watsonville, a lekarze mówią, że wszystko z nią w porządku, ale i tak zatrzymują ją na kilka dni na obserwację.

– Utonęła – mówię, wpatrując się w swoje piwo. Nie wypiałam ani jednego łyka. Kropelki rosy na butelce iskrzą się jak diamenty.

– Technicznie tak. Nie oddychała. Jej serce stanęło. Ale nie to jest najbardziej pojebane. Kiedy Jacova jest w Watsonville, wciąż opowiada matce jakąś szaloną historię o syrenach, morskich potworach i demonach, o istotach próbujących ją wciągnąć na dno morza i utopić, i że to wcale nie był prąd strugowy. Jest przerażona, przekonana, że te potwory nadal na nią czyhają. Matka chce wezwać psychiatrę, ale ojciec mówi nie, pieprzyć to, dzieciak po prostu jest w szoku, wszystko będzie dobrze. Potem drugiej

nocy w szpitalu umierają dwie pielęgniarki. Strażnik znalazł je w schowku niedaleko pokoju Jacovy. I jest rzecz, w którą nie uwierzysz, ale widziałem świadectwa zgonów i raporty z autopsji i przysięgam, że to najszczęsza prawda.

Cokolwiek ma teraz nastąpić, nie chcę tego słyszeć. Wiem, że nie muszę tego słyszeć. Odwracam głowę i patrzę na żaglówkę podskakującą na wodzie jak zabawka.

– Obie utonęły. Ich płuca były pełne słonej wody. Osiem kilometrów od cholernego oceanu, ale te dwie kobiety utonęły w schowku na szczotki.

– Umieścisz to w swojej książce? – pytam go, nie odrywając oczu od zatoki i małej łodzi.

– Tak. Umieszczę. To się, kurwa, wydarzyło, tak jak powiedziałem, i potrafię to udowodnić.

Zamykam oczy, odcinam oślepiający, jasny dzień, i żałuję, że zgodziłam się na to spotkanie.

Zamykam oczy.

– Tam na dole – szepcze Jacova – nie zaznasz niczego oprócz spokoju, w jej rezydencjach, w nieskończonej nocy jej zwojów.

*Będzie nam ciepło pod sztormem*

*W naszej małej kryjówce pod falami.*

Zamykam oczy. O Boże, zamknęłam oczy. Ona obejmuje mnie ciasno silnymi, opalonymi ramionami i ciągnie w dół, w dół, jak bezsilne ciało dziecka porwanego przez prąd. I podążyłabym z nią, podążyłabym w jednej chwili, gdyby to wszystko było czymś więcej niż snem, czymś więcej niż gorzki żal niewiernej, coś więcej niż jedenaście tysięcy słów rzuconych jak garść piasku w twarz oceanu. Poszłabym z nią, bo tak jak wokół kamienia, który stał się wcieleniem tajemnicy, ona narysowała wokół mnie krąg.

**Inna modelka Pickmana  
(1929)**

# 1

Nigdy nie przepadałem za filmami, wolałem teatr, bo zawsze przedkładałem żywych aktorów nad te migające, jaskrawe duchy powiększane i rzucone na ściany ciemnych, zadymionych sal po dwadzieścia cztery klatki na sekundę. Nigdy nie potrafiłem zapomnieć o tym, że pozorny ruch jest jedynie złudzeniem optycznym, sprytnym procesem przesuwania nieruchomych obrazów przed moimi oczami z taką szybkością, że dostrzegam ruch tam, gdzie on nie istnieje. Ale w miesiącach przed tym, jak w końcu poznałem Verę Endicott, stwierdziłem, że coraz częściej ciągnie mnie do kin w Bostonie mimo dawnych zastrzeżeń.

Wstrząsnęło mną do głębi samobójstwo Thurbera, choć – przekleństwo mądrości po fakcie – z pewnością powinienem mieć dość przytomności umysłu, żeby zawczasu dostrzec to, co się zbliża. Thurber był żołnierzem piechoty w czasie wojny, *La Guerre Pour la Civilization*, jak często ją nazywał. Brał udział w bitwie o Saint-Mihiel, kiedy Pershingowi nie udało się odbić Metz z rąk Niemców. Przeżył ją tylko po to, by zobaczyć okropieństwa ofensywy w Lesie Argońskim niecałe dwa tygodnie później. Kiedy wrócił z Francji do domu na początku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, nerwowy cień człowieka, którego poznałem w czasie nauki w Rhode Island School of Design, i przy tych rzadkich okazjach, kiedy się spotykaliśmy i rozmawialiśmy, nasze konwersacje częściej niż malowania, rzeźby i kwestii estetycznych dotyczyły rzeczy, które on widział w błotnistych okopach i zniszczonych miastach Europy.

A potem była jego uparta fascynacja tym chorym draniem Richardem Uptonem Pickmanem, obsesja, która szybko przerodziła się w ni mniej, ni więcej tylko psychoneurotyczną fiksację na tym człowieku i bluźnierstwach popełnianych przez niego na płótnie. Kiedy dwa lata temu Pickman zniknął z nędzy swojego „studia” na North End, żeby już więcej się nie pojawić, ta fiksacja jeszcze się spotęgowała, aż w końcu Thurber przyszedł do mnie z niewiarygodną, koszmarną opowieścią, którą w tamtym czasie mogłem jedynie zbyć jako rojenia umysłu rozstrojonego przez rozlew krwi, szaleństwo i niezliczone wojenne potworności, których był świadkiem na brzegach Meuse, a potem w ostępach Lasu Argońskiego.

Nie jestem człowiekiem, jakim byłem wtedy, tamtego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w obskurnej gospodzie w pobliżu Faneuil Hall (nie pamiętam jej nazwy, jako że nie było to jedno z moich zwykłych ulubionych miejsc). Tak jak Williama Thurbera zmieniła wojna i to, czego mógł doświadczyć w towarzystwie Pickmana, podobnie ja się zmieniłem całkowicie pod wpływem, po pierwsze, nagłej śmierci Thurbera z własnych rąk, a po drugie, przez aktorkę filmową Verę Endicott. Nie sądzę, żebym stracił zdolności umysłowe, i gdyby mnie zapytano, zaświadczyłbym przed sądem, że mój umysł pozostaje zdrowy, choć wstrząśnięty. Ale nie postrzegam teraz świata wokół mnie w taki sposób jak kiedyś, bo ujrawszy pewne rzeczy, nie można wrócić do czystego stanu niewinności czy łaski, w którym się pozostawało przed tymi widokami. Nie ma powrotu do świętej kołyski Edenu, do bram strzeżonych przez płonące miecze cherubinów, a umysł nie może – pomijając zbawienne przypadku szoku i historycznej amnezji – po prostu zapomnieć o dziwnych i przerażających objawieniach zesłanych na ludzi, którzy postanowili zadać zakazane pytania. I skłamałbym, gdybym twierdził, że nie dałem rady zrozumieć ani podejrzewać, że ścieżka, którą wybrałem, kiedy rozpocząłem śledztwo po pogrzebie Thurbera, doprowadzi mnie tam, gdzie doprowadziła. Wiedziałem w dostatecznym stopniu. Nie upadłem jeszcze tak nisko, żeby nie brać na siebie odpowiedzialności za własne działania i ich konsekwencje.

Thurber i ja sprzeczailiśmy się o zasadność narracji w pierwszej osobie jako skutecznego narzędzia pisarskiego. On jej bronił, ja wzywałem do kwestionowania wiarygodności takich historii, wątpiąc zarówno w motywy ich fikcyjnych autorów, jak i w zdolność narratorów, żeby przypomnieć sobie z całą klarownością i szczegółami konkretną rozmowę i porządek wydarzeń w czasie wielkiego stresu czy nawet osobistego zagrożenia. Trochę podobnie ma się sprawa z tym, że nie potrafię docenić poruszających się obrazów, bo jestem świadomy, że to nie jest prawdziwy ruch. Podejrzewam, że świadczy to o mojej świadomej niechęci albo nieświadomej niezdolności, jak to nazwał Coleridge, do „zawieszenia niewiary”. Teraz siadam, by spisać własną relację, choć zaświadczam, że nie ma w niej żadnej zamierzonej fikcji, a ja z pewnością nie mam zamiaru starać się o publikację. Niemniej będzie ona bez wątpienia pełna niedokładności wynikających z obiekcji wobec szczegółowych relacji w pierwszej osobie, które już wcześniej roztrząsałem. To, co tutaj spisuję,



jest moją najlepszą próbą przypomnienia sobie wydarzeń poprzedzających morderstwo Very Endicott i jako taka powinna być odczytywana.

Oto moja historia, przedstawiona wraz ze skromną potwierdzającą dokumentacją, którą jestem w stanie dostarczyć. To również pewna mała część jej historii, a wiszą nad nią duchy Pickmana i Thurbera. Szczerze mówiąc, już zacząłem wątpić, że jej spisanie dostarczy mi remedium, którego tak bardzo potrzebuję: uciszenia przekłętej pamięci, złagodzenia wpływu tych wspomnień na mnie i, jeśli będę miał duże szczęście, możliwości spania znowu w ciemnych pokojach i położenia kresu fobiom, które zaczęły mnie dręczyć. Za późno rozumiem chorobliwy strach Thurbera przed piwnicami i tunelami metra, a mogę do nich dodać własne lęki, czy kiedykolwiek okażą się racjonalne, czy nie. „Pewnie się teraz nie dziwisz, dlaczego muszę trzymać się z dala od metra i piwnic” – powiedział mi tamtego dnia w gospodzie. Oczywiście wtedy się dziwiłem i zastanawiałem nad stanem umysłu mojego drogiego, zaufanego przyjaciela. Ale w tej kwestii przynajmniej już dawno przestałem się dziwić.

Pierwszy raz zobaczyłem Verę Endicott na dużym ekranie w drugoplanowej roli w *Mewie* Josefa von Sternberga, w kinie przy Exeter Street, ale nie był to pierwszy raz, kiedy ją widziałem.

## 2

Pierwszy raz natknąłem się na nazwisko i twarz aktorki, przeglądając papiery Williama, o co poprosił mnie jedyny żyjący członek jego najbliższej rodziny, Ellen Thurber, starsza siostra. Stałem przed niemałym i nieprostym zadaniem, jako że dość obskurny pokój, który po opuszczeniu Bostonu Thurber wynajmował przy Hope Street, był zaśmiecony stosami korespondencji, maszynopisów, gazet, niedokończonych dzieł, w tym monografii na temat dziwnej sztuki, która trzy lata wcześniej odegrała tak znaczącą rolę w jego znajomości z Richardem Pickmanem. Byłem umiarkowanie zaskoczony, kiedy pośród tego bałaganu odkryłem pewną liczbę rysunków Pickmana, wszystkich wykonanych węglem albo piórką i tuszem. Ich obecność wśród ruchomości Thurbera wydawała się dość osobliwa, zważywszy na to, jakie przerażenie podobno budził w nim ten człowiek. I co więcej, zważywszy na jego zapewnienie, że zniszczył dowód, który mógł potwierdzić niewiarygodną opowieść o tym, co jak utrzymywał, widział, słyszał i wyniósł z piwnicznej pracowni Pickmana.

To był gorący dzień, koniec lipca, prawie sierpień. Kiedy trafiłem na rysunki, siedem schowanych w kartonowej teźce, rozłożyłem je na wąskim, zapadniętym łóżku stojącym w rogu pokoju. Znałem dość dobrze prace tego człowieka i muszę wyznać, że te, które widziałem, nie zrobiły na mnie tak silnego wrażenie jak na Thurberze. Tak, to prawda, Pickman miał wielki, wyjątkowy talent, a ja przypuszczam, że ktoś nieprzyzwyczajony do obrazów diabłów, obcych i potworów mógł uznać je za niepokojące i nieprzyjemne. Zawsze przypisywałem jego sukces w uchwyceniu dziwaczności głównie celowemu zestawieniu fantasmagorycznego tematu z surowym, drobiazgowo realistycznym stylem. Thurber również to zauważył i rzeczywiście poświęcił niemal cały rozdział swojej niedokończonej monografii analizie techniki Pickmana.

Usiadłem na łóżku, żeby przestudiować rysunki, a sprężyny materaca zajęczały głośno pod moim ciężarem, co sprawiło, że znowu zacząłem się zastanawiać, dlaczego mój przyjaciel wybrał takie nędzne lokum, skoro z pewnością mógł sobie pozwolić na lepsze. W każdym razie, gdy patrzyłem na rysunki, uderzyło mnie, że w większości nie wyróżniają się

niczym szczególnym, i założyłem, że musiały być prezentem od Pickmana albo że Thurber mógł nawet zapłacić za nie jakieś drobne sumy. Dwa rozpoznałem jako studia do jednego z obrazów wspomnianych w tamtym dniu w gospodzie przy Chatham Street, zatytułowanego „Lekcja”, w którym artysta starał się przedstawić nieludzkie, psie ghule uczące małe dziecko (zamienione, jak przypuszczał Thurber) praktyk nekrofagicznych. Był też raczej pośpiesznie wykonany szkic czegoś, co wziąłem za jeden z bardziej okazałych monumentów na cmentarzu Copp’s Hill, i parę dość niedbałych przedstawień zgarbionych stworzeń podobnych do gargulców.

Ale to ostatnie dwa dzieła z teczki przyciągnęły moją uwagę. Oba były bardzo dopracowanymi aktami, lepiej wykończonymi niż pozostałe rysunki, a z uwagi na ich temat mógłbym wątpić, czy wyszły spod ręki Pickmana, gdyby nie jego sygnatura na dole każdego. Nie było w nich nic, co można by uznać za pornografię, a to również mnie zaskoczyło, zważywszy na ich pochodzenie. W tej części *oeuvre* Pickmana, którą sam widziałem, ani razu nie znalazłem żadnego świadectwa zainteresowania kobiecą postacią, a w Art Club krążyły plotki, że artysta jest homoseksualistą. Lecz w dniach poprzedzających jego zniknięcie krążyło tyle plotek o tym człowieku – wiele z nich zwyczajnie nieprawdziwych – że nigdy nie poświęcałem im uwagi. Niezależnie od seksualnych inklinacji te dwa studia były tak przepojone podziwem i znajomością kobiecego ciała, że wydawało się nieprawdopodobne, by wynikały one jedynie z akademickich ćwiczeń albo zostały zapożyczone z prac innych, mniej ekscentrycznych artystów.

Kiedy przyglądałem się aktom, myśląc, że przynajmniej te dwie prace mogłyby przynieść siostrze Thurbera kilka dolarów na pokrycie nieoczekiwanych wydatków związanych z jego śmiercią oraz na spłacenie jego długów, moje oczy przyciągnął stos wycinków z czasopism i gazet, również schowanych w teczce. Było ich sporo, a ja domyśliłem się, i nadal tak przypuszczam, że Thurber zatrudnił biuro zajmujące się ich gromadzeniem. Połowa z nich to były recenzje wystaw w galerii, gdzie pokazywano między innymi prace Pickmana, głównie z lat tysiąc dziewięćset dwadzieścia jeden do tysiąc dziewięćset dwadzieścia pięć, zanim został skazany na ostracyzm i skończyły się okazje do publicznych występów. Reszta natomiast została zebrana głównie z brukowców i czasopism takich jak „Photoplay” i „New York Evening Graphic”, a każdy z artykułów był poświęcony urodzonej w Massachusetts aktorce Verze Marie Endicott. Wśród tych wycinków znalazło się trochę jej zdjęć, a jej

podobieństwu do kobiety, która pozowała do dwóch aktów Pickmana, nie dało się zaprzeczyć.

Było coś godnego uwagi w jej wydatnych kościach policzkowych, kształcie nosa, niewątpliwej twardości oblicza mimo urody starletki i seksapilu. Później dostrzegłem pewne cechy wspólne z twarzami filmowych wampów i takich *femmes fatales* jak Theda Bara, Eva Galli, Musidora, a zwłaszcza Pola Negri. Ale, o ile sobie przypominam, moje pierwsze wrażenie na widok Very Endicott, nieskażone przez jej wizerunek kinowy (choć bez wątpienia zabarwione przez związek wycinków wśród rzeczy samobójcy z pracami Richarda Pickmana), było takie, że jej powab jedynie skrywa prawdziwsze, dzikie oblicze. Wrażenie bezsprzecznie dziwne. Siedziałem w rozprażonym pokoju w pensjonacie, słońce chyliło się ku zachodowi, a ja czytałem wszystkie artykuły, niektóre jeszcze raz. Podejrzywałem, że muszą zawierać świadectwa, że kobieta na rysunkach rzeczywiście jest tą samą, która zaczynała w studiach filmowych na Long Island i w New Jersey, zanim ten przemysł przeniósł się do Kalifornii.

W większości wycinki zawierały jedynie zwykłe plotki ze świata filmu, insynuacje i pogoń za sensacją. Ale tu i ówdzie ktoś, przypuszczalnie sam Thurber, podkreślił różne fragmenty czerwonym ołówkiem, a kiedy te podkreślenia analizowało się razem, poza kontekstem artykułów, można było dostrzec ciekawy wzorzec. Przynajmniej taki wzorzec mógł sobie wyobrazić czytelnik, który albo go szukał, albo chciał go odkryć – czy on rzeczywiście istniał, czy nie – albo przez kogoś takiego jak ja, kto natrafił na próbki dziennikarstwa sensacyjnego w atmosferze strachu i w takich okolicznościach, które mogą skłaniać czytelnika do szukania podobieństw tam, gdzie obiektywnie ich nie ma. Wierzyłem tamtego popołudnia, że *idée fixe* na punkcie Richarda Pickmana doprowadziła Thurbera do stworzenia absurdalnie makabrycznego obrazu tej kobiety, a ja, nadal oplakując stratę bliskiego przyjaciela i otoczony bałaganem jego niespełnionego życia, nie zrobiłem nic oprócz odkrycia kolejnego urojenia Thurbera.

Kobieta znana kinomanom jako Vera Endicott urodziła się w bezsprzecznie dziwnej rodzinie z północnych regionów Massachusetts i bez wątpienia podjęła kroki, żeby ukryć swoje pochodzenie, przyjmując sceniczny pseudonim krótko po przybyciu do Fort Lee w lutym tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku. Wymyśliła również nową historię o sobie, że nie pochodzi z wiejskiego hrabstwa Essex, ale z bostońskiego Beacon Hill. Jednakże w dwudziestym czwartym, krótko po zagranju

pierwszej znaczącej roli – w *Sky Below the Lake* Biograph Studios – niektórzy popularni felietoniści zaczęli drukować swoje podejrzenia co do jej przeszłości. Bankiera, który według niej był jej ojcem, nie można było znaleźć, a wykazanie, że nigdy nie chodziła do szkoły dla dziewcząt Winsor, okazało się prostą sprawą. W roku dwudziestym piątym po głównej roli w *The Horse Winter* Roberta G. Vignoli pewien reporter z „New York Evening Graphic” ustalił, że prawdziwym ojcem Endicott jest niejaki Iscariot Howard Snow, właściciel kilku kamieniołomów granitu na Cape Anne. Jego żona Make-peace pochodziła albo z Salem, albo z Marblehead, i zmarła w tysiąc dziewięćset drugim roku, rodząc ich jedyną córkę, która miała na imię nie Vera, tylko Lillian Margaret. W żadnym z artykułów nie przedstawiono dowodów, że aktorka kiedykolwiek zaprzeczyła tym twierdzeniom albo na nie odpowiedziała, mimo tego, że Snowowie, a Iscariot Snow w szczególności, mieli zdecydowanie nie najlepszą reputację w Ipswich i okolicach. Mimo bogactwa i wysokiej pozycji w lokalnym biznesie rodzina była bardzo tajemnicza, a nikt nie miał ochoty plotkować o czarnoksięstwie, magii, kazirodztwie, a nawet kanibalizmie. W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym Make-peace Snow powiła bliźniaków Aldousa i Edwarda, choć ten drugi urodził się martwy.

Ale to „Kidder’s Weekly Art News” (27 marca 1925), pismo, które dobrze znałem, pierwsze powiązało aktorkę z Richardem Pickmanem. „Panna Vera Endicott z Manhattanu” została wymieniona wśród obecnych na premierze wystawy, na której zaprezentowano kilka mniej prowokacyjnych obrazów Pickmana, choć nie wspomniano o jej sławie. Thurber zakreślił jej nazwisko czerwonym ołówkiem i postawił obok niego dwa wykrzykniki. Kiedy trafiłem na ten artykuł, nad Hope Street zapadł zmierzch, a ja miałem kłopoty z czytaniem. Zastanawiałem się krótko, czy włączyć starą gazową lampę stojącą przy łóżku, ale spojrzawszy na cienie zbierające się wśród śmieci i nędznych mebli tego małego zapuszczonego pokoju, poczułem nagły, niejasny niepokój, którego nawet teraz nie mam chęci nazwać strachem. Włożyłem wycinki i siedem rysunków z powrotem do teczki, wsadziłem ją pod pachę, szybko wziąłem kapelusz ze stołu, którego prawie nie było widać spod maszyny do pisania, papierów, książek z biblioteki, brudnych naczyń i pustych butelek po wodzie sodowej. Kilka minut później stałem przed budynkiem, pod latarnią uliczną, i patrzyłem w górę na dwa ciemne okna pokoju, w którym tydzień wcześniej William Thurber włożył lufę pistoletu w usta i pociągnął za spust.

### 3

Właśnie obudziłem się z kolejnego z moich koszmarów, które stawały się coraz bardziej żywe, jeszcze bardziej przerażające, często pozwalające na nie więcej niż godzinę czy dwie snu. Siedzę przy biurku, patrzę, jak niebo zaczyna przybierać szaro-fioletową barwę fałszywego świtu, słucham, jak zegar tyka niczym gigantyczny nakręcany owad, który przysiadł na półce nad kominkiem. Ale mój umysł nadal tkwi we śnie o stęchłej prywatnej sali projekcyjnej w pobliżu Harvard Square, służącej małemu kręgowi miłośników groteskowego kina, sali, w której pierwszy raz zobaczyłem „ruchome” obrazy córki Iscariota Snowa.

Dowiedziałem się o tej grupie od znajomego z działu akwizycji Muzeum Sztuk Pięknych, który powiedział mi, że jej członkowie spotykają się nieregularnie, nie częściej niż raz na trzy miesiące, żeby oglądać takie udziwnione i chorobliwe dzieła jak: *Czarownica* Benjamina Christensena, *Duch w operze* Ruperta Juliana, *Nosferatu* Murnaua i *Londyn po północy* Todda Browninga, a potem o nich dyskutować. Te tytuły i nazwiska reżyserów niewiele mi mówiły, ponieważ, jak już wspomniałem, nigdy nie przepadałem za filmami. To było w sierpniu, zaledwie dwa tygodnie po tym, jak wróciłem do Bostonu z Providence, zostawiwszy sprawy Thurbera w takim porządku, jaki zdołałem zaprowadzić. Nadal wolę nie rozważać, jaki niefortunny kaprys losu połączył moje odkrycie rysunków Very Endicott wykonanych przez Richarda Pickmana i zainteresowanie Thurbera tą aktorką z grupą wyświetlającą coś, co w mojej opinii było bluźnierczym i zasłużenie nieznanym filmem. Nakręcono go w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim albo czwartym roku i jak mnie poinformowano, zyskał on sobie złą sławę po śmierci reżysera (kolejnym samobójstwie). Osoby finansujące to dzieło pozostały nieznanne, a produkcja, zdaje się, nigdy nie wyszła poza niekompletną surową wersję, którą obejrzałem tamtej nocy.

Jednakże nie zasiadłem tutaj, żeby napisać suchą relację o odkryciu niedokończonego filmu bez tytułu, ale żeby spróbować uchwycić coś ze snu, który już zaczynał zmieniać się w mgliste fragmenty i strzępy. Jak Perseusz, który odważył się spojrzeć w twarz Gorgony niebezpośrednio, tylko jako odbicie w tarczy z brązu, ja też postanowiłem zastanowić się nad

tymi wydarzeniami i nawet nad moimi koszmarami nie wprost. Zawsze gardziłem tchórzostwem, a jednak, patrząc wstecz na te strony, widzę w mojej relacji coś niezaprzeczalnie tchórzliwego. Nie ma znaczenia, że moim zamiarem nie było, żeby ktoś kiedykolwiek to przeczytał. Jeśli nie pisze się uczciwie, nie ma sensu pisać w ogóle. Jeśli to jest historia o duchach (a coraz bardziej mi się tak wydaje), niech to będzie historia o duchach, a nie rozwlekła reminiscencja.

We śnie siedzę na drewnianym składanym krześle w ciemnym pokoju, oświetlonym tylko pojedynczym snopem światła padającym z budki kinooperatora. Ściana przede mną stała się oknem wychodzącym na inny świat, pozbawiony dźwięku i niemal wszelkich kolorów; ich paleta ograniczała się do spektrum ponurych czerni, oślepiających bieli i niezliczonych odcieni szarości. Wokół mnie inni, którzy przyszli na seans, palą papierosy i cygara i szepczą coś między sobą. Nie mogę zrozumieć, co mówią, ale z drugiej strony wcale się zbytnio nie staram. Nie mogę oderwać wzroku od niemej sceny jak płaskorzeźba i niewiele więcej zajmuje mój umysł.

– Teraz rozumiesz? – pyta Thurber z siedzenia obok mnie i ja może kiwam głową, a może nawet szepczę takie czy inne ciche potwierdzenie.

Nie odrywam jednak oczu od ekranu, żeby spojrzeć na jego twarz. Jest tam za dużo rzeczy, które mógłbym przeoczyć, gdybym odważył się spojrzeć w bok, choćby na chwilę, i co więcej, nie mam ochoty patrzeć na twarz martwego człowieka. Thurber nic nie mówi, najwyraźniej zadowolony, że znalazłem drogę do tego miejsca, by samemu doświadczyć tego, co doprowadziło go w końcu na skraj szaleństwa.

Ona jest na ekranie – Vera Endicott, Lillian Margaret Snow – stoi na skraju zagłębienia z wodą między skałami. Jest naga jak na rysunkach Pickmana i najpierw ustawiona plecami do kamery. Gałęzie starej wierzby o powykręcanych korzeniach zwieszają się nisko nad zbiornikiem, cienkie witki muskają jego powierzchnię i kołyszą się z wdziękiem w tę i z powrotem, poruszane przez tę samą bryzę, która mierzwi krótkie włosy aktorki obcięte na pazia. I choć wydaje się, że nie ma zupełnie nic złowieszczonego w tej scenie, ona od razu wywołuje we mnie taki sam nabożny podziw i niepokój jak ilustracje Dorégo do *Boskiej komedii* i *Orlanda szalonego*. Jest w tym *tableau* intensywne złe przeczucie i antycypacja, a ja zastanawiam się, jakie subtelne, sprytnie wskazówki

mogły zostać umieszczone tak, żeby ten pozornie idylliczny widok mógł być interpretowany jako posępne wyczekiwanie.

A potem uświadamiam sobie, że aktorka trzyma w prawej ręce jakąś fiolkę i przechyla ją, tak że zawartość, gęsta i smolista, kapie do sadzawki. Po wodzie wolno rozchodzą się koncentryczne kręgi, o wiele za wolno, jestem o tym przekonany, żeby stosowały się do ziemskich praw fizyki, więc zbywam tę scenę jako zwykłe trikowe zdjęcie. Kiedy fiolka jest pusta albo przynajmniej przestała barwić sadzawkę (jestem całkiem pewien, że zbiornik został skażony), kobieta klęka w błocie i trzcinach na skraju wody. W sali, w której jestem, gdzieś z góry dochodzi dźwięk, jakby spłoszone gołębie podrywały się do lotu, a aktorka na wpół odwraca się do widowni, jakby ona również usłyszała ten tumult. Trzepot szybko cichnie i znowu jest tylko mechaniczny terkot projektora i szepty widzów zebranych w zatęchłym pomieszczeniu. Na ekranie aktorka odwraca się z powrotem do sadzawki, ale dopiero kiedy jestem pewien, że to ta sama twarz co na wycinkach, które znalazłem w pokoju Thurbera, ta sama, którą narysował Richard Pickman. Fiolka wyślizguje się z jej palców, wpada do wody i tym razem nie ma żadnych falek. Żadnego plusku. Niczego.

Obraz migocze, zanim ekran robi się biały, a ja przez chwilę myślę, że taśma filmowa litościwie przeskoczyła o jeden ząb, więc może nie będę musiał oglądać reszty. Ale wtedy usterka sama się naprawia i znowu wszystko wraca: aktorka, sadzawka, wierzby przesuwają się klatka po klatce. Kobieta klęczy nad brzegiem zbiornika, a ja myślę o Narcyzie tęskniącym za Echo albo za swoją utraconą bliźniaczką, o zazdrosnej Kirke zatruwającej źródło, w którym kąpała się Scylla, i o kłątwie Shalott Tennysona, a potem znowu o Perseuszu i Meduzie, i nie widzę samej rzeczy, tylko jakiś niewyraźny, mylący odpowiednik, a mój umysł doszukuje się analogii, znaczeń i punktów odniesienia.

Na ekranie Vera Endicott albo Lillian Margaret Snow – jedna albo druga, dwie, które zawsze były tylko jedną – pochyla się do przodu i zanurza dłoń w wodzie. I znowu nie ma żadnych falek, które marszczyłyby obsydianową gładką powierzchnię. Kobieta na filmie teraz mówi, jej usta się poruszają, nie wydając żadnego dźwięku, a ja nie słyszę nic oprócz szeptów w zadymionym pokoju i warkotu projektora. I właśnie wtedy uświadamiam sobie, że wierzby wcale nie są wierzbami, a te poskręcane pnie, konary i korzenie są tak naprawdę splecionymi ze sobą ludzkimi ciałami obojga płci, których skóra idealnie naśladuje łuszczącą się



korę wierzby. Rozumiem, że to nie są żadne wodne nimfy, żadne córki Hamadriady i Oxylusa. Są więźniami albo duszami potępionymi na wieki za swoje grzechy, a ja przez jakiś czas mogę tylko patrzeć w zdumieniu na płataninę rąk i nóg, bioder, piersi i twarzy naznaczonych przez niezliczone wieki bezustannej agonii wygibasów i transformacji. To *Drzewo samobójców* Williama Blake'a, *Las samobójców* Dantego. Chcę się odwrócić i zapytać innych, czy widzą to samo co ja i jak dokonano tego oszustwa, bo z pewnością ci ludzie wiedzą więcej ode mnie o prozaicznej magii kręcenia filmów. Najgorsze ze wszystkiego jest to, że ciała nie zostały przedstawione w całkowitym bezruchu, ale wiją się lekko, a wiatr porusza długimi, liściastymi gałęziami w tę i w tamtą stronę.

Potem mój wzrok przyciąga z powrotem sadzawka, która zaczęła parować. Z wody leniwie unosi się szaro-biała mgła (jeśli to nadal jest woda). Aktorka pochyła się jeszcze bardziej nad dziwnie nieruchomym jeziorkiem, a ja przyłapuję się na tym, że chcę odwrócić wzrok. Jakikolwiek kamerzysta uchwycił aktorkę w akcie wezwania albo przebłagania, nie chcę tego widzieć, nie chcę poznać jego demonicznej fizjonomii. Wargi kobiety nadal się poruszają, ręce dotykają wody, która pozostaje gładka jak szkło, nie zdradzając, że w jakikolwiek sposób została zakłócona.

*Do Rhegium przybywa; ocean pokonuje,  
Po wzburzonych falach suchymi stopami kroczy.*

Lecz pragnienie ani lęk nie wystarczą; nie odwracam wzroku, albo dlatego, że zostałem oczarowany wraz ze wszystkimi innymi, którzy przyszli, żeby ją zobaczyć, albo dlatego, że jakaś głębsza, bardziej dociekliwa strona mojej istoty przejęła stery i chce zaryzykować potępienie, odkrywając tajemnicę.

– To tylko ruchomy obraz – przypomina mi martwy Thurber ze swojego siedzenia obok mnie. – Cokolwiek ona powie, nie wolno ci zapomnieć, że to tylko sen.

A ja chcę odpowiedzieć:

– Czy właśnie to ci się przydarzyło, drogi Williamie? Zapomniałeś, że to nigdy nie było nic więcej niż sen, i stwierdziłeś, że nie możesz obudzić się do blasku i życia?

Nie mówię jednak ani słowa, a Thurber więcej się nie odzywa.

*Ale ona jeszcze nie wie, kogo się boi;  
Na próżno składa z siebie ofiarę, by uciec,  
I wlecze ze sobą to, czego próbuje się wystrzec.*

- Doskonałe – szepcze kobieta w ciemności za moimi plecami.
- Wysublimowane – mamrocze jakiś bardzo stary mężczyzna.

Moje oczy nie odrywają się od ekranu. Aktorka przestała mieszać wodę w sadzawce, wyjmując z niej ręce, ale nadal klęczy i wpatruje się w plamę sadzy na palcach, dłoni i nadgarstku. *Może, myślę, właśnie po to przyszła, po ten znak, żeby była znana*, choć mój śniący umysł nie pozwala sobie zgadywać, kto miałby ją rozpoznać po takim siniaku albo plamie. Kobieta sięga w sitowie i mech, wyciąga z nich sztylet z czarną rączką, unosi go wysoko nad głowę, jakby składała ofiarę niewidzialnym bogom, zanim użyje lśniącego ostrza, żeby przeciąć rękę, którą wcześniej ofiarowała wodzie. A ja myślę, że może nareszcie rozumiem: fiolka i mieszanie w stawie były tylko wstępnyymi czarami przed dużo cenniejszą jałmużną albo ekspiacją. Gdy krew kapie, rozpryskuje się i toczy po powierzchni sadzawki jak krople rtęci po twardym blacie stołu, coś zaczyna przybierać kształt, wyłaniając się z ukrytych głębin, i nawet bez dźwięku jest jasne, że wierzby zaczęły krzyczeć i miotać się jak w uścisku huraganowego wiatru. Myślę, że może to usta otwierają się przed leżącą postacią Very Endicott albo Lillian Margaret Snow, usta, wagina, ślepe oko bez powieki albo jakiś organ, który może pełnić rolę wszystkich trzech. Rozważam kolejno każdą z tych możliwości.

Prawie pięć minut temu odłożyłem pióro i właśnie skończyłem czytać na głos to, co napisałem, kiedy fałszywy świt ustąpił miejsca wschodowi słońca i nieniosącemu pociechy światłu nowego październikowego dnia. Ale zanim schowam te strony z powrotem do teczki zawierającej rysunki Pickmana i wycinki Thurbera i zajmę się sprawami, których domaga się ranek, najpierw wyznam, że to, o czym śniłem i co tutaj zapisałem, nie jest tym, co widziałem tamtego popołudnia w sali projekcyjnej w pobliżu Harvard Square. Nie jest to również koszmar, który mnie obudził i wysłał do biurka. Za dużo z tego snu zapomniałem, nawet kiedy śpieszyłem się, żeby go zapisać, a sny nigdy nie są dokładne, czasami nawet odległe od wyświetlonego na ścianie, zwodniczego strumienia nieruchomych obrazów spiskujących, żeby sugerować życie. To kolejna opinia, którą zawsze próbowałem wytłumaczyć Thurberowi, a której on nigdy nie zaakceptował.

Tego, że w nieunikniony sposób istnieją narratorzy niegodni zaufania. Nie skłamałem; tego bym nie powiedział. Ale żadna z tych rzeczy nie jest ani trochę bliższa prawdy niż inne bajki.

## 4

Po dniach, które spędziłem w pensjonacie w Providence, próbując nadać jakieś pozory porządku chaosowi przerwane go życia Thurbera, zacząłem gromadzić własne archiwum poświęcone Verze Endicott. Kilka sierpniowych dni spędziłem, korzystając z zasobów bostońskiego Ateneum, tamtejszej biblioteki publicznej i Biblioteki Widenera na Harvardzie. Nie było trudno poskładać razem historię drogi aktorki do gwiazdorstwa i skandalu, który doprowadził do jej popadnięcia w zapomnienie i alkoholizm w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym, niedługo przed tym, jak Thurber przyszedł do mnie ze swoją szaloną opowieścią o Pickmanie i podziemnych ghulach. Trudniej było prześledzić jej członkostwo w pewnych teozoficznych i okultystycznych stowarzyszeniach od Manhattanu po Los Angeles, którym to kręgom Richard Upton Pickman sam nie był obcy.

W styczniu tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego po podpisaniu kontraktu z Paramount Pictures poprzedniej wiosny i w czasie produkcji filmowej adaptacji powieści Margaret Kennedy *The Constant Nymph* zaczęły pojawiać się w brukowcach plotki, że Vera Endicott dużo pije i możliwe, że bierze heroinę. Jednakże te insynuacje początkowo nie wywołały niepokoju ani nie zaszkodziły jej karierze filmowej, podobnie jak wcześniejsze odkrycie, że w rzeczywistości jest Lillian Snow, czy też upublicznienie jej pochodzenia z północnego wybrzeża. Trzeciego maja została aresztowana, jak początkowo donoszono, w czasie zwykłego nalotu na nielegalny bar przy Durand Drive, w stromym, porośniętym krzakami kanionie nad Los Angeles, niedaleko Lake Hollywood i Mulholland Highway. Kilka dni po zwolnieniu Endicott za kaucją zaczęły wychodzić na jaw dziwne relacje o wydarzeniach tamtej nocy, a siódmego maja artykuły w „Van Nuys Call”, „Los Angeles Times” i „Herald-Express” opisywały zgromadzenie przy Durand Drive nie jako klientów nielegalnego baru, ale wszystko od „sabatów czarownic” po „dekadenckie, świętokradzkie, orgiastyczne rytuały czarnej magii i homoseksualizmu”.

Ale ostateczny cios został zadany, kiedy reporterzy odkryli, że jedna z wielu kobiet zatrzymanych tamtej nocy razem z Verą Endicott, meksykańska prostytutka Ariadna Delgado, została natychmiast

przewieziona do szpitala Queen of Angels-Hollywood Presbyterian w stanie śpiączki i z licznymi ranami kłutymi na tułowiu, piersiach i twarzy. Delgado zmarła rano czwartego maja, nie odzyskawszy przytomności. Druga „ofiara” albo „uczestnik” (zależnie od gazety), młody, nie odnoszący sukcesów scenarzysta Joseph E. Chapman, został po aresztowaniach umieszczony na oddziale psychiatrycznym szpitala ogólnego hrabstwa Los Angeles.

Choć wydaje się, że były próby utrzymania incydentu w sekrecie, podejmowane zarówno przez prawników studia, jak i część wydziału policji Los Angeles, Endicott została aresztowana po raz drugi dziesiątego maja i oskarżona o liczne gwałty, sodomie, morderstwo drugiego stopnia, porwanie i nagabywanie. Doniesienia o konkretnych zarzutach różniły się w zależności od źródła, ale Endicott została po raz drugi wypuszczona za kaucją jedenastego maja, a cztery dni później biuro prokuratora okręgowego Los Angeles, Asy Keyesa, nagle i raczej niewytłumaczalnie poprosiło o całkowite oddalenie wszystkich zarzutów wobec aktorki, który to wniosek został uwzględniony równie niewytłumaczalną decyzją sądu wyższej instancji (należy oczywiście wspomnieć, że sam prokurator okręgowy Keyes został wkrótce potem oskarżony o branie łapówek i obecnie oczekuje na proces). Tak więc osiem dni po pierwszym aresztowaniu przy Durand Drive Vera Endicott była wolną kobietą i pod koniec maja wróciła na Manhattan, gdy jej kontrakt z Paramountem wygasł.

W relacjach o sprawie rozrzuconych po różnych gazetach i brukowcach są liczne szczegóły, które nabierają większego znaczenia w świetle jej związku z Richardem Pickmanem. Niektórzy reporterzy wspomnieli o „obscenicznym idolu” i „odrażającej statuetce wyciosanej z jakiegoś zielonkawego steatytu”, znalezionej na miejscu zbrodni, posążku, który jeden z aresztujących funkcjonariuszy podobno opisał jako „kucającą bestię podobną do psa”. W jedynym z artykułów jest informacja, że przedmiot został zbadany przez miejscowego (nie wymienionego z nazwiska) archeologa, który rzekomo nie potrafił ustalić jego pochodzenia ani kulturowych powiązań. Dom przy Durand Drive był, i nadal może być, w posiadaniu człowieka nazwiskiem Beauchamp, który spędził trochę czasu w towarzystwie Alistaira Crowleya podczas jego czteroletniej wizyty w Ameryce (1914–1918) i który miał związki z pewną liczbą hermetycznych i teurgicznych organizacji. Scenarzysta Joseph Chapman utopił się w Pacyfiku niedaleko Malibu zaledwie kilka miesięcy temu,

krótko po wypisaniu ze szpitala. Jeden krótki artykuł, który zdołałem znaleźć odnośnie do jego śmierci, wspomina o jego udziale w „niesławnym incydencie z Durand Drive” i cytuje krótki fragment rzekomo pochodzący z listu samobójcy. Brzmi on następująco:

*O Boże, jak człowiek może zapomnieć, celowo, całkowicie i na zawsze, gdy raz ujrzał takie widoki, jakie ja miałem nieszczęście zobaczyć? Po tych okropnych rzeczach, które robiliśmy i pozwalaliśmy robić tamtej nocy, po wydarzeniach, które wprawiliśmy w ruch, jak mogę zapomnieć o swojej winie? Naprawdę nie jestem już w stanie dłużej walczyć dzień po dniu i próbować. Ta kobieta Endicott [sic] jest z powrotem gdzieś na wschodzie, słyszałem, i mam nadzieję, że dostanie to, na co zasługuje. Spaliłem odrażające malowidło, które mi dała, ale nie czuję się po tym czystszy, ani trochę mniej brudny. Nie zostało ze mnie nic oprócz zgnilizny, którą zaprosiliśmy. Nie mogę robić tego więcej.*

Mam więc rację, zakładając, że Vera Endicott podarowała jedno z malowideł Pickmana nieszczęsnemu Josephowi Chapmanowi i że odegrało ono pewną rolę w jego szaleństwie i śmierci? Jeśli tak, ilu innych otrzymało od niej takie prezenty i ile z tych płócien zachowało się jeszcze tyle tysięcy kilometrów od wilgotnej piwnicznej pracowni przy Bartery Street, w której Pickman je tworzył? Nie jest to coś, nad czym chcę się rozwodzić.

Nie znalazłem żadnych drukowanych informacji o miejscu pobytu i działaniach Endicott po jej powrocie na Manhattan aż do października tamtego roku, krótko po zniknięciu Pickmana i moim spotkaniu z Thurberem w gospodzie niedaleko Faneuil Hall. Jest tylko przelotna wzmianka w kolumnie towarzyskiej w „New York Herald Tribune”, że „aktorka Vera Endicott” wzięła udział w otwarciu nowej wystawy sumeryjskich, hetyckich i babilońskich starożytności w Metropolitan Museum of Art.

Co próbuję osiągnąć tym katalogiem dat, śmierci, niepowodzeń, klęsk i zbrodni? Wśród książek Thurbera znalazłem egzemplarz *Księgi rzeczy wyklętych* Charlesa Hoya Forta (Boni and Liveright, Nowy Jork 1919). Nie jestem nawet pewien, dlaczego ją zabrałem i przeczytałem. Dzieła tego człowieka są niemal historycznie wojownicze i skłonne do celowego zaciemniania i zwodzenia. Jestem zmuszony przyznać, że kilka ostatnich

stron wykazuje wyraźne i irytujące podobieństwo do sporych fragmentów pierwszej książki Forta (nie przeczytałem drugiej, *Nowe lądy*, ani nie zamierzam tego robić). Fort napisał o swojej intencji zaprezentowania zbioru danych, które zostały odrzucone przez naukę („rzeczy wyklęte”):

*Bataliony przeklętych, dowodzone przez trupioblade dane, które ekshumowałem, będą maszerować. Przeczytacie je... albo one będą maszerować. Niektóre z nich sine, inne ogniste, jeszcze inne zgniłe.*

*Niektóre z nich są trupami, szkieletami, mumiami, drgającymi, zataczającymi się, ożywionymi przez towarzyszy, którzy byli wyklętymi żywymi. Są giganci, którzy pójdą pogrążeni w zdrowym śnie. Istoty będące teorematami i istoty będące szmatami podążą jak Euklides ramię w ramię z duchem anarchii. Tu i ówdzie przemkną małe ladacznice. Wiele jest klaunów. Ale wiele zasługuje na najwyższy szacunek. Niektórzy są zabójcami. Są blade fetory i wychudłe przesady, zwykłe cienie i żywe zło, kaprysy i życzliwości. Naiwni i pedantyczni, dziwaczni i groteskowi, szczerzy i nieszczerzy, głębcy i infantylni.*

Myślę, że nie dokonałem niczego więcej poza tym, że opowiedziałem o wzlotach i upadku Endicott, zwracając uwagę na bardziej melodramatyczne i wulgarne części historii, która jest, ogólnie biorąc, nie bardziej niezwykła niż liczne inne hollywoodzkie skandale. Ale również Fort by wyśmiał moje „trupioblade dane”, jestem pewien, żalosne chwytanie się brzytwy, jakbym cytując gazety i raporty policyjne, próbując ratować strzępiącą się infrastrukturę mojego racjonalnego umysłu, mógł sprawić, że to wszystko wyda się całkiem dorzeczne. Czas odłożyć na bok to wątpliwe, niestaranne silenie się na naukowość. Jest na świecie dość Fortów, dość dziwaków i prowokatorów, intelektualnych heretyków i beze mnie w ich szeregach. Archiwum, które zgromadziłem, zostanie dołączone do tego dokumentu, wszystkie moje „bataliony wyklętych”, i gdyby ktoś kiedyś miał powód, żeby je przeczytać, może zrobić z tymi uzupełnieniami, co chce. Czas powiedzieć prawdę najlepiej jak potrafię i na tym skończyć.

## 5

To prawda, że poszedłem na pokaz filmu z Verą Endicott do zatechłej małej salki w pobliżu Harvard Square. I że on nadal prześladuje mnie w snach. Ale jak zauważyłem wcześniej, sny rzadko są dokładnym odtworzeniem tego, co widziałem tamtego wieczoru. Nie było żadnej czarnej sadzawki, żadnych wierzb z ludzkich ciał, żadnej trującej fiołki wlanej do wody. To są upiększenia mojej śpiącej podświadomości. Mógłbym zapełnić kilka dzienników takimi koszmarami.

To, co widziałem zaledwie dwa miesiące temu i jeden miesiąc przed tym, jak sam poznałem tę kobietę, było jedynie przerażającą, ale dziwnie zwyczajną sceną. Mogło to być tylko próbne nagranie albo siedemnaście tysięcy czy coś koło tego klatek, mniej więcej dwanaście minut wyciętych z dużo dłuższego filmu. Biorąc to wszystko pod uwagę, był to otwarcie pornograficzny pastisz szeroko w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku rozpowszechnianych fotosów Thedy Bary leżącej w różnych ryzykownych pozach z ludzkim szkieletem (z *Salome J.* Edwarda Gordona).

Kopia była w bardzo złym stanie, a kinooperator musiał dwa razy zatrzymywać taśmę, kiedy się zerwała. Córka Iscariota Snowa, znana światu jako Vera Endicott, leżała naga na kamiennej podłodze ze szkieletem. Jednak ludzką czaszkę zastąpiono czymś, co, jak wtedy przypuszczałem (i nadal tak uważam), musiało być rekwizytem z gipsu albo papier-mâché i bardziej przypominało czaszkę mandryla, goryla albo zdeformowanego psa o wielkiej głowie. Tło czy ściana za aktorką była matowoszara, a scena wydawała się celowo niedoświetlona, żeby przydać więcej atmosfery tandetnej produkcji. Kościotrup (i jego sztuczna czaszka) był usztywniony drutem, a Endicott pieściła jego ramiona i nogi, nie szczędząc pocałunków bezwargim ustom, a potem się masturbowała, najpierw prawą ręką szkieletu, a potem ocierając się o jego kość biodrową.

Reakcje widzów, którzy tamtego wieczoru przyszli obejrzeć film, obejmowały znudzone milczenie, fascynację albo śmiech. Moją reakcją był głównie niesmak i zakłopotanie. Kiedy światła znowu się zapaliły, podsłuchałem, że w pojemniku z filmem były dwie taśmy: *Nekrofil* i *Córka psa* i dwie daty: 1923 i 1924. Później od kogoś, kto przelotnie znał Richarda Pickmana, usłyszałem plotkę, że to on napisał scenariusze dla



filmowca, możliwe że Bernarda Natana, prominentnego francusko-rumuńskiego reżysera filmów pornograficznych, który ostatnio kupił Pathé i połączył je z własną wytwórnią Rapid Film. Nie mogę tego potwierdzić ani temu zaprzeczyć, ale wyobrażam sobie, że to, co zobaczyłem tamtego wieczoru, z pewnością wprawiłoby Pickmana w zachwyt.

Jednakże tym, co sprawiło, że tamta noc tak mocno zapadła mi w pamięć, i co jak sądzę, jest prawdziwym powodem moich koszmarów z Endicott w roli głównej w niekończącej się paradzie nieistniejących horrorów, dzieje się dopiero w ostatnich kilku sekundach filmu. W istocie wszystko stało się tak szybko, że wielu z obecnych cztery razy prosiło kinooperatora, żeby przewinął film i ponownie puścił zakończenie, by się upewnić, że rzeczywiście widzieliśmy to, co nam się wydawało, że widzimy.

Gdy jej żądza najwyraźniej została zaspokojona, aktorka położyła się obok swojego szkieletowego kochanka, obejmując ramieniem jego pustą klatkę piersiową, i zamknęła oczy poczernione proszkiem antymonowym. I w tej ostatniej chwili, zanim film się skończył, między planem a źródłem światła kamery przesunął się wolno jakiś cień. Nawet po pięciu powtórkach mogę jedynie powiedzieć, że cień ów przywiódł mi na myśl niezdarną postać, istotę stojącą znacznie niżej na drabinie ewolucyjnej niż człowiek z Piltdown czy człowiek z Jawy. Siedzący w tym dusznym, zatechłym pokoju generalnie zgodzili się ze sobą, że cień miał dziwny pysk albo ryj, podobny do prognatycznej żuchwy fałszywej czaszki przymocowanej drutem do szkieletu.

A zatem właśnie to widziałem tamtego wieczoru, na ile teraz mogę sobie przypomnieć. Pozostaje mi więc do opowiedzenia tylko jeden fragment tej historii: noc, kiedy wreszcie poznałem kobietę, która nazywała się Vera Endicott.

## 6

– Rozczarowany? Nie tego się pan spodziewał? – zapytała, uśmiechając się nieprzyjemnym, krzywym uśmiechem, a ja chyba skinąłem głową w odpowiedzi.

Zjawiła się co najmniej o dekadę starsza niż dwadzieścia siedem lat, które miała, i wyglądała jak kobieta, która wiodła raczej burzliwe życie i być może zaczynała drugie. W kącikach jej oczu i ust były drobne zmarszczki, pod oczami cienie świadczące o chronicznej bezsenności i nadużywaniu narkotyków, a także, o ile się nie mylę, przedwczesne nitki siwizny w ściętych na pazia czarnych włosach. Czego się spodziewałem? Trudno teraz powiedzieć po fakcie, ale byłem zaskoczony jej wzrostem i tęczęwkami o zadziwiającym odcieniu szarości. Od razu skojarzyły mi się z morzem, mgłą, grzywaczami i granitowymi kamieniami wypolerowanymi do idealnej gładkości przez wieki i fale. Grecy mówili, że bogini Atena ma oczy koloru szarego morza, a ja zastanawiam się, co by pomyśleli o oczach Lilliany Snow.

– Nie byłem zdrowa – wyznała, niemal jakby mówiła *mea culpa*, a jej kamienne oczy spojrzały w stronę krzesła w przedpokoju mojego mieszkania.

Przeprosiłem, że trzymam ją na korytarzu, i zaprowadziłem do sofy stojącej w maleńkim saloniku mojej kawalerki. Ona mi podziękowała i poprosiła o whiskey albo dzin, a potem się roześmiała, kiedy powiedziałem, że jestem abstynentem. Gdy zaproponowałem jej herbatę, odmówiła.

– Malarz, który nie pije? – rzuciła. – Nic dziwnego, że nigdy o panu nie słyszałam.

Chyba wymamrotałem coś o osiemnastej poprawce i ustawie o prohibicji, na co Endicott zareagowała miną łączącą niedowierzanie i pogardę. Powiedziała mi, że jeśli się okaże, że również nie palę, wychodzi, bo moje twierdzenie, że jestem artystą, okazałoby się kłamstwem w żywe oczy, a ona została zwabiona do mojego mieszkania pod fałszywym pretekstem. Ale zaproponowałem jej papierosy, brun gitanesy, do których nabrałem upodobania w college'u, a wtedy ona trochę się odprężyła. Podałem jej ogień, a ona odchyliła się na oparcie sofy

i z nadal kpiącym uśmiechem na twarzy obserwowała mnie szarymi oczami. Jej szczupłą twarz spowijały lekkie jak mgiełka zasłony dymu. Miała na sobie żółty filcowy kapelusz w kształcie hełmu, który niezbyt pasował do burgundowej jedwabnej bluzki, a w jej lewej pończosze zauważyłem oczko.

– Znała pani Richarda Uptona Pickamana – powiedziałem, zbyt szybko przechodząc do sedna.

Wyraz jej twarzy natychmiast stał się podejrzliwy. Nic nie mówiła przez prawie całą minutę, tylko siedziała, paląc i wpatrując się we mnie, a ja w duchu przekląłem się za swoją niecierpliwość i brak taktu. Ale potem uśmiech wrócił, a ona zaśmiała się cicho i skinęła głową.

– Rany! Tego nazwiska nie słyszałam od jakiegoś czasu. Ale tak, jasne, znałam sukinsyna. Więc kim pan jest? Kolejnym z jego protegowanych, a może tylko jednym z tych ludzi na trzy litery, którymi lubił się otaczać?

– Więc to prawda, że Pickman...

Ona znowu się roześmiała i tym razem był w jej śmiechu wyraźny ton pogardy. Zaciągnęła się głęboko papierosem, wydmuchała dym i zerknęła na mnie przez szary woal, mrużąc oczy.

– Proszę pana, jeszcze nie spotkał pan bestii – kobiety, mężczyzny czy kogoś pośrodku – której ten degenerat by nie przeleciał, jeśli miał choć cień szansy. – Zrobiła pauzę i strzepnęła tytoń na podłogę. – Więc jeśli nie pedziem, to kim pan właściwie jest? Może Żydem? Trochę pan wygląda jak Żyd.

– Nie – odparłem. – Nie jestem Żydem. Moi rodzice byli rzymskimi katolikami, ale ja, obawiam się, jestem nikim. Jedynie malarzem, o którym pani nie słyszała.

– Naprawdę?

– Co, panno Endicott?

– Pan się boi? – Dym snuł się z jej nozdrzy. – I niech pan się nie waży mówić „panno Endicott”. Czuję się od razu jak cholerna nauczycielka albo ktoś równie nieszczęsny.

– Więc teraz woli pani Vera? – zaryzykowałem. – Czy Lillian?

– A co z Lily? – Uśmiechnęła się kompletnie niezmięta, o ile potrafiłem stwierdzić. Jakby to były tylko kwestie ze scenariusza, które próbowała przez ostatni tydzień.

– Dobrze, Lily – powiedziałem, przysuwając jej szklaną popielniczkę.

Ona na nią łypnęła, jakbym proponował jej talerz ohydnych jedzenia i spodziewał się, że ona je zje, ale przestała strzepywać popiół na moją podłogę.

– Dlaczego tu jestem? – spytała, domagając się odpowiedzi bez podnoszenia głosu. – Dlaczego zadał pan sobie tyle trudu, żeby mnie zobaczyć?

– To wcale nie było trudne – odrzekłem, jeszcze niegotowy odpowiedzieć na jej pytanie.

Chciałem przedłużyć to spotkanie, domyślając się, że pewnie wyjdzie, gdy tylko dostanie to, po co przyszła. Prawdę mówiąc, miałem trochę kłopotów, poczynając od rozmowy telefonicznej z jej byłym agentem, a potem z pół tuzinem coraz bardziej podejrzanych i nieskorych do pomocy kontaktów. Dwóch rozmówców musiałem przekupić, a jednego zmusić pustymi groźbami, powołując się na nieistniejące znajomości w wydziale policji bostońskiej. Ale koniec końców moja wytrwałość się opłaciła, bo oto Vera siedziała przede mną, my dwoje, sami, tylko ja i kobieta, która była gwiazdą filmową i która odegrała pewną rolę w załamaniu Thurbera, która pozowała Pickmanowi i niemal na pewno popełniła morderstwo pewnej wiosennej nocy w Hollywood. Była tu kobieta znająca odpowiedzi na pytania, których nie miałem odwagi zadać, która wiedziała, co rzuciło cień na tamtym brudnym filmie pornograficznym.

– Zostało niewielu, którzy zadaliby sobie taki trud – stwierdziła, patrząc na tłący się czubek gitane'a.

– Cóż, zawsze byłem dość upartym człowiekiem – odparłem, a ona znowu się uśmiechnęła.

Był to dziwnie zwierzęcy uśmiech, który przypominał mi jedno z moich najwcześniejszych wrażeń w tamten męczący letni dzień ponad dwa miesiące temu, kiedy czytałem stare wycinki i oglądałem zdjęcia w pensjonacie przy Hope Street: że jej ludzka twarz jest jedynie maską albo czarem, który ma ukryć prawdę o niej przed światem.

– Jak go pani poznała? – zapytałem.

Ona zdusiła niedopalek w popielniczce.

– Kogo? Jak poznałam kogo? – Zmarszczyła czoło i spojrzała nerwowo w stronę okna saloniku wychodzącego na wschód, w kierunku portu.

– Przepraszam. Pickmana. Jak poznała pani Richarda Pickmana?

– Niektórzy powiedzieliby, że ma pan bardzo niezdrowe zainteresowania, panie Blackman – stwierdziła, a jej osobliwie drapieżny

uśmiech szybko przygasł, zabierając ze sobą wszelką ukrytą groźbę. Został po nim jedynie ten zniszczony wrak kobiety.

– Z pewnością to samo mówiono o pani wiele, wiele razy, Lily. Czytałem wszystko o Durand Drive i Delgado.

– Oczywiście, że tak. – Westchnęła, nie odrywając oczu od okna. – Nie spodziewałam się niczego innego po takim upartym gościu jak pan.

– Jak pani poznała Richarda Pickmana? – zapytałem po raz trzeci.

– A co to za różnica? To było tak dawno temu. Całe lata temu. On jest całkiem nieżywy i pochowany.

– Nigdy nie znaleziono ciała.

Wtedy na mnie spojrzała i te wszystkie nieoczekiwane zmarszczki na jej twarzy nagle się pogłębiły; mogła mieć dwadzieścia siedem lat, ale nikt by się nie sprzeczał, gdyby przyznała się do czterdziestu.

– Ten człowiek nie żyje – oświadczyła stanowczo i dodała tajemniczo: – Gdyby jakimś przypadkiem nie był martwy, wszyscy powinniśmy mieć tyle szczęścia, żeby spełnić pragnienie swojego serca, jakiegokolwiek ono jest. –

I wróciła do wyglądania przez okno. Przez minutę czy dwie żadne z nas się nie odzywało.

– Mówił pan, że ma rysunki – odezwała się w końcu Endicott. – To było kłamstwo, żeby mnie tu ściągnąć?

– Nie, mam je. W każdym razie dwa. – I sięgnąłem po teczkę leżącą przy moim fotelu. Rozwiązałem sznurek. – Nie wiem oczywiście, do ilu mogła pani pozować. Było ich więcej?

– Więcej niż dwa – odarła niemal szeptem.

– Lily, nadal mi pani nie powiedziała, jak się poznaliście.

– A pan jest upartym człowiekiem.

– Tak – zapewniłem ją, wyjmując dwa akty z teczki i pokazując je, ale tak, żeby ich nie dotknęła.

Przyglądała się im przez chwilę z beznamiętną twarzą, jakby ich widok nie przywoływał zupełnie żadnych wspomnień.

– Potrzebował modelki – powiedziała, odwracając się z powrotem do okna i niebieskiego paździenikowego nieba. – Przyjechałam z Nowego Jorku i mieszkałam u przyjaciółki, która poznała go w galerii, na wykładzie albo coś w tym rodzaju. Moja przyjaciółka wiedziała, że on szuka modelek, a ja potrzebowałam pieniędzy.

Spojrzałem na dwa szkice węglem, na zarys pełnych bioder, krągłe, jędrne pośladki i ogon – krzywą, zdeformowaną rzecz wyrastającą

u podstawy jej pleców i sięgającą do zgięcia kolan. Jak wspomniałem, Pickman miał dryg do realizmu, a jego znajomość ludzkiej anatomii była równie niesamowita w przypadku ghuli i demonów, które malował. Wskazałem na jeden z rysunków. Na ogon.

– To nie jest swoboda twórcza, prawda?

Nie spojrzała na szkice, tylko wolno pokręciła głową.

– Miałam operację w Jersey w dwudziestym pierwszym.

– Dlaczego tak długo pani czekała, Lily? Przypuszczam, że taki defekt jest zwykle korygowany tuż po narodzinach albo niedługo potem.

Ona niemal się uśmiechnęła znowu tamtym głodnym, dzikim uśmiechem, ale ten zamarł niekompletny na jej ustach.

– Mój ojciec miał własny pogląd na takie sprawy – powiedziała łagodnie. – Zawsze był taki dumny, że ciało jego córki zostało pobłogosławione dowodem jej dziedzictwa. Był z tego powodu bardzo szczęśliwy.

– Pani dziedzictwa... – zacząłem, ale Lily Snow uciszyła mnie, podnosząc lewą rękę.

– Sądzę, proszę pana, że już odpowiedziałam na dość pytań jak na jedno popołudnie. Szczególnie że ma pan tylko dwa rysunki, a nie uprzedził mnie pan o tym, kiedy rozmawialiśmy.

Niechętnie skinąłem głową i podałem jej oba szkice. Ona je wzięła, podziękowała mi i wstała, strzepując nitkę albo paproch z burgundowej bluzki. Powiedziałem jej, że żałuję, iż nie mam więcej rysunków, bo nie przyszło mi do głowy, że pozowała do więcej niż tych dwóch. Ostatnia część oczywiście była kłamstwem, bo wiedziałem, że Pickman z pewnością narysowałby tyle studiów tego niezwykłego ciała, ile to możliwe.

– Sama wyjdę – powstrzymała mnie, kiedy zacząłem wstawać z fotela. – A pan nie będzie mnie więcej niepokoił, nigdy.

– Nigdy – zgodziłem się. – Ma pani moje słowo.

– Jest pan kłamliwym sukinsynem jak wy wszyscy. – Po tych słowach żyjący duch Very Endicott odwrócił się i opuścił mój salonik.

Kilka sekund później usłyszałem, że drzwi się otwierają i zamykają. Siedziałem w bladym świetle gasnącego dnia, patrząc na nędzne resztki, które zostały w teczce Thurbera.

(24 października 1929)

To już wszystko. Jeszcze tylko kilka słów i kończę. Teraz wiem, że próbując uchwycić tamte straszne wydarzenia, wcale ich nie opisałem, a jedynie rzuciłem na nie nowe światło.

Cztery dni temu, rankiem dwudziestego października, znaleziono ciało wiszące na dębie pośrodku cmentarza King's Chapel. Według gazetowych relacji zwłoki wisały całe pięć metrów nad ziemią, obwiązane w pasie i klatce piersiowej konopnym sznurkiem splecionym z drutem. Kobieta zidentyfikowano jako była aktorkę filmową Verę Endicott, z domu Lillian Margaret Snow, zwrócono uwagę na jej sławę i nieudaną próbę ukrycia związków z bogatymi, ale tajemniczymi Snowami z Ipswich w stanie Massachusetts. Jej ciało było nagie, wypatroszone, gardło poderżnięte, język ucięty. Usta zaszyto nicią chirurgiczną. Na szyi miała zawieszoną drewnianą tabliczkę, na której napisano prawdopodobnie jej własną krwią: apostatka.

Tamtego ranka omal nie spaliłem teczki Thurbera razem z całym moim archiwum. Posunąłem się do tego, że zaniósłem je do kominka, ale wtedy moje zdecydowanie osłabło. Po prostu siedziałem na podłodze i patrzyłem na wycinki i rysunki Pickmana. Nie jestem pewien, co mnie powstrzymało oprócz podejrzenia, że zniszczenie tych papierów nie uratuje mojego życia. Jeśli chcą mojej śmierci, będę martwy. Za daleko zaszedłem tą drogą, żeby się uratować, próbując zniszczyć fizyczne dowody mojego śledztwa.

Umieszczę w sejfie ten manuskrypt wraz ze wszystkimi dokumentami, które zgromadziłem, a potem postaram się wrócić do życia, które prowadziłem wcześniej, przed śmiercią Thurbera. Nie mogę jednak wyrzucić z pamięci fragmentu listu samobójcy Josepha Chapmana: *jak człowiek może zapomnieć, celowo, całkowicie i na zawsze, gdy raz ujrzał takie widoki*. Rzeczywiście, jak. I nie mogę również zapomnieć oczu tamtej kobiety, kamiennej szarości wzburzonego morza. Ani niewyraźnego cienia, który mignął w ostatnich chwilach filmu, nakręconego być może w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim albo czwartym roku i noszącego tytuł *Córka ogara* albo *Nekrofil*.

Wiem, że sny mnie nie opuszczą, ani teraz, ani w przyszłości, ale modłę się o szczęście, żeby kiedyś zobaczyć ostatni z budzących mnie horrorów, przywołanych przez mój głupi, wścibski umysł.

## Tysiąc trzecia baśń Szeherezady

– Nigdy nie przepadałam za tymi opowieściami – mówi zamieniona kobieta, patrząc na świeży śnieg pokrywający dachy, ulice i małe frontowe podwórka na Federal Hill.

Styczniowa zamieć, która zaczęła się tuż po zachodzie słońca, powoli słabnie, a kobieta siedzi przy małym stoliku przy oknie, czyści rewolwery i patrzy, jak duże płatki wirują w pomarańczowo-białym blasku latarni ulicznych. Szczupły młody mężczyzna, którego przyjęła jako swoją odaliskę, leży nagi na wąskim łóżku niedaleko niej. W pokoju są tylko trzy meble: mały stolik, przy którym kobieta czyści broń, wąskie łóżko, na którym leży młody mężczyzna otulony brudną patchworkową kołdrą, i skrzypiące drewniane krzesło, na którym siedzi kobieta. Jedyne światło wpada przez okno, w nogach łóżka stoi na podłodze mała lampka biurkowa. Lampa ma witrażowy klosz, ale ten jest popękany i tak zakurzony, że trudno dostrzec jakiś wzór czy kolory szkła. Ostrygowe ściany są nagie, nie licząc pojedynczego ferrotypu w ramce, wiszącego nad wezgłowiem. Ani mężczyzna, ani kobieta nie znają pochodzenia fotografii, która mogła tu wisieć, jeszcze zanim oboje się urodzili. Przedstawia ona nagą kobietę stojącą w balii albo w miednicy, z bardzo dużym pytonem trzymanym w ramionach. Ktoś sepiowym atramentem napisał imiona Biancabella i Samaritana na dole zdjęcia.

– To są cudowne opowieści – mówi cicho młody mężczyzna, właściwie się jej nie sprzeciwiając.

Biorąc wszystko pod uwagę, kobieta nie jest niedobra, przynajmniej dla niego. Dzisiaj na przykład przyniosła mu półlitrową butelkę brandy Jacquin o imbirowym smaku. Otworzyła ją po tym, jak się pieprzyli, i teraz on jest przyjemnie pijany i wdzięczny za podarunek, który pomógł mu zapomnieć



o zimnym powietrzu i wyciu wiatru pod okapami straszego starego domu na Federal Hill.

– Po tych wszystkich kłopotach, które ci sprawili – mamrocze ona i kręci głową.

Zwilża szmatkę płynem do czyszczenia remingtona, po czym używa metalowego wycioru, żeby przepchnąć ją tam i z powrotem przez lufę rewolweru. Robi to kilka razy, potem patrzy na mężczyznę.

On uśmiecha się i odwzajemnia spojrzenie, a kobieta się zastanawia, nie po raz pierwszy, czy rzeczy, które on wie, i miesiące, które spędził w stajniach, mogły pomieszać mu zmysły. Niewielu mężczyzn i niewiele kobiet trzymanyh w brudnych klatkach zbudowanych w piwnicy starego domu wytrzymało tak długo.

Przez ponad dwa wieki to miejsce służyło jako schronienie dla Dzieci Cuckoo, wykradzonych jako niemowlęta i wychowanych w labiryntach pod College Hill, żeby pracowały i reprezentowały Ogary Kaina, chodziły w świetle dnia tam, gdzie ghule nie mogły się zapuścić. Szkolono je do zaspokajania bardziej prozaicznych potrzeb Ogarów i dbania o to, żeby sekrety pozostały sekretami. Do zabijania, okaleczania albo tylko zastraszania w razie konieczności. W całym mieście tylko w ścianach tego domu wykradzeni są bezpieczni przed czujnymi oczami nadzorców. Nie mają zapewnionego innego schronienia, żadnego miejsca, gdzie mogą robić, co chcą, bez strachu przed wzajemnymi oskarżeniami.

– To nie taka straszna cena do zapłacenia – mówi on. – Nie za przywilej wiedzy bez cienia wątpliwości, że nadal są wśród nas takie dziwy.

– Nigdy cię nie zrozumiem – wzdycha ona i znowu patrzy w okno, na cichnącą burzę, na śnieg i ciężką zimową noc, która przycupnęła nad Providence.

– Nie. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek zrozumiała. Chcesz teraz posłuchać opowieści czy nie?

– Nie wychowałeś się na tym całym gównie – mówi ona. – Dla ciebie to nie jest to samo co dla mnie.

– Nie odpowiedziałas na pytanie. – Mężczyzna zastanawia się, czy pociągnąć następny łyk brandy. Została jeszcze więcej niż połowa, a butelka stoi na rogu małego stolika tuż przy brzegu łóżka.

– Może dlatego, że jest pod nim ukryte zupełnie inne pytanie, a ja wolę odpowiedzieć na to, które naprawdę mi zadajesz. – Kobieta wraca do czyszczenia rewolweru.

– Dobrze – mówi młody mężczyzna i sięga po brandy. – Pozwolisz mi łaskawie, żebym opowiedział ci tę historię? – Siada i odkręca plastikową nakrętkę, potem przystawia butelkę do ust.

Kobieta znowu się śmieje i kiwa głową.

– A prawda cię wyzwoli – mówi on, zakręcając z powrotem butelkę i stawiając ją na stoliku. – Ale ja tak nie uważam. Znajdowanie tamtych książek, czytanie tego, co przeczytałem, zobaczenie tego, co widziałem, to naprawdę mnie wyzwoliło.

Ona odkłada wycior i wraca do obserwowania śniegu.

– Omal nie zostałeś zabity – przypomina. – Ale Ogary się zlitowały czy co tam uważają za litość. Więc zamiast tego żyjesz w brudzie, w zagrodzie jak zwierzę. Zamiast tego jesteś niewolnikiem i dziwką.

– Tak – przyznaje on. – Tak. Ale to nie zmienia tego, co wiem, ani w żaden sposób nie umniejsza piękna mojej wiedzy. To, co stało się ze mną, jest tylko ceną za wiedzę.

– Nadal nie wiem, dlaczego po prostu od razu cię nie zabili.

– Nie mam pojęcia. Może ich nie doceniamy.

Kobieta się śmieje i znowu kręci głową, a potem sięga po butelkę brandy.

– Tak, jasne. Są słodcy, gdy tylko mają szansę. Słodcy jak placek truskawkowo-rabarbarowy. Prawdziwe pieprzone misie, a my tutaj jesteśmy tego żywymi dowodami.

– Jesteśmy tak czy inaczej, a to więcej, niż się spodziewałem. Może teraz wreszcie opowiem ci tę historię. Moim zdaniem to naprawdę jedna z najlepszych.

– To tylko opowieści – mówi ona. – Choć nie pojmuję, jak je wszystkie zapamiętałeś. Nie mogłeś czytać *Czerwonej księgi* aż tak długo, zanim cię złapali.

– Ta historia jest jedną z moich ulubionych.

– Już ci mówiłam, że posłucham, ale lepiej, żeby to nie był znowu *Rybak i dzinn* albo *Gulnara z morza* czy te głupoty o Ali Babie czy Sindbadzie.

– Żadna z nich – zapewnia ją młody mężczyzna, kładąc się na plecach i patrząc na zacieki i pęknięcia na suficie.

– I nic o Esmeribethedzie i cholernych szarych wiedźmach.

– Nie.

– Już ci mówiłam, że muszę się stąd wynieść przed trzecią i jechać do Warwick, więc lepiej o tym pamiętaj. – Kobieta pociąga solidny łyk z butelki, wyciera usta i masuje oczy, bezskutecznie próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przespalała całą noc... albo dzień.

– Dobrze.

– Więc zaczynaj. – Kobieta zakręca butelkę.

– To jedna z baśni, które Szeherezada opowiada Szachrijarowi i Dinazadzie, ale nie znalazła się w *Księdze tysiąca i jednej nocy* Burtona ani w żadnym z wcześniejszych europejskich tłumaczeń. Podejrzewam, że trafiła do *Czerwonej księgi Rijadu* z innego źródła, możliwe, że z perskiej *Isihsöornot* albo z dzieł Abd-el-Hazreda, choć nigdy nie byłem w stanie tego potwierdzić. Możliwe...

– Samą historię, proszę – przerywa mu kobieta, siląc się na spokój, ale i tak mówi zirytowanym tonem.

On przeprasza i trzyma oczy wlepione w sufit, w zniszczony tynk i farbę nad łóżkiem. Był uczonym, kiedyś, i dla niego pochodzenie opowieści jest prawie równie fascynujące jak sama opowieść, ma kłopoty z pamiętaniem, że nie wszyscy dzielają jego entuzjazm.

– Słucham – ponagla go kobieta. – Zegar tyka. – Choć w pokoju nie ma zegara, a ona też nie ma żadnego na ręce.

I tak, z głową i brzuchem ciepłym od brandy, z wiatrem wyjąłym na pozór nie tak blisko i nie takim zimnym, młody mężczyzna zaczyna swoją opowieść z tradycyjnym zwykłym wstępem. Szeherezada szepcząc pierwsze zdania baśni swojej siostrze; budzący się król, od razu zaciekawiony tym, co słyszy; królewska małżonka z żalem informująca Szachrijara, że słońce wstaje, więc ścięcie jej uniemożliwi dokończenie historii, i wreszcie władca gwarantujący jej kolejne odroczenie egzekucji, żeby mógł poznać resztę trzymającej w napięciu opowieści.

– Można by sądzić, że głupi drań przejrzy jej manewr wcześniej czy później – mówi kobieta, wracając do czyszczenia broni. – Nikt nigdy nie raczy zauważyć, co za idiota musiał być z tego sasanidzkiego króla królów.

– Większość nawet nie pamięta, że on jest Sasanidą i dlatego zoroastrianinem, a nie muzułmaninem.

– To dlatego, że większość gównem to obchodzi – odpowiada kobieta i skupia uwagę na rewolwerze.

Mężczyzna się z nią zgadza i podejmuje opowieść.

– To było oczywiście na długo przed wojną między ghulami i innymi rasami Dżinnu – ifrytami, silami i maridami. W tamtych czasach ludzie pustyni nadal patrzyli na wszystkie dżinny jak na bogów, choć już się nauczyli bać nocnych cieni i strzegli przed nimi swoje dzieci i groby zmarłych. Wśród losów, które mogły spotkać duszę mężczyzny albo kobiety, wykradzenie trupa, a potem pożarcie go przez ghule zaliczało się do najgorszych i najtragiczniejszych. Wielu myślało, że pożarcie oznaczałoby, że zmarły zostanie zabrany z zimnego snu *barzakh* i nigdy nie spotka się z aniołami Nakirem i Munkarem, więc nigdy nie zostanie odpytany i przygotowany do raju. Sądzono, że ghule, nocne cienie, są również zmiennokształtnymi. Mówiono, że szczególnie lubią pojawiać się pod postacią hien, ale że mogą również przychodzić jako skorpiony, żmije, a nawet sępy.

– Jesteś całkiem pewien, że tego nie zmyślasz? – pyta kobieta, nie odrywając się od swojego zajęcia i nawet nie zerkając na młodego mężczyznę.

– Nie – odpowiada on. – To znaczy nie zmyślam. A co?

– Bo znam opowieści z *Czerwonej księgi* tam i z powrotem, jak każdy szcur z labiryntów, i pierwsze słyszę o hienach, sępach i zmiennokształtnych, oto dlaczego.

– A kiedyś sama przeczytałaś tę książkę? Trzymałaś ją w ogóle w rękach? – Nie ma wyzwania w jego głosie, bo młody mężczyzna już dawno nauczył się nie kwestionować słów swoich porywaczy. W jego pytaniach jest tylko ciekawość i kobieta słyszy tylko ciekawość.

– Oczywiście, że nie – odpowiada ona. – To zakazane. Uczymy się książki, tego, co nam o niej mówią, od ghuli.

On milczy przez chwilę, słuchając dudnienia pługu śnieżnego przejeżdżającego gdzieś niedaleko, i myśli o czarach, które ukrywa ten straszny stary dom na Federal Hill z jego mieszkańcami i więźniami przed wzrokiem ludzi.

– Powtarzam ci to, co czytałem. – Kiedy kobieta się nie sprzeciwia, on wraca do opowieści.

– W tamtych czasach żyła kobieta, którą Allah obdarzył siedmioma synami. Naturalnie była za nich bardzo wdzięczna, a mimo to nadal z całego serca pragnęła urodzić córkę. Poprosiła więc o nią Allaha. I niedługo potem szła sama przez targowisko, ta kobieta z siedmioma synami. Kiedy zobaczyła wzgórek białego koziego sera, poruszył ją ten

widok, więc wykrzyknęła: „Mój Panie Allahu! Daj mi, błagam cię, córkę tak białą i piękną jak ten kozi ser, a nazwę ją Ijbeyneh”. Allah usłyszał jej modlitwę i wkrótce zesłał kobiecie bardzo piękną dziewczynkę o skórze białej jak ser z koziego mleka, córkę o delikatnej szyi gazeli, z oczami niebieskimi jak szafiry i włosami czarnymi jak smoła. Kobieta dotrzymała słowa i nazwała ją Ijbeyneh. Wszyscy w wiosce, który mieli okazję na nią spojrzeć, kochali ją od razu i bez zastrzeżeń, z wyjątkiem córek sióstr jej matki, jej kuzynek, które były bardzo, bardzo zazdrosne.

– Dostała imię od koziego sera? – pyta kobieta i patrzy na mężczyznę leżącego na łóżku, nagiego i owiniętego w wytartą patchworkową kołdrę.

– Tak jest w *Czerwonej księdze* – odpowiada on. – Właśnie to w niej przeczytałem.

Ona się śmieje i sceptycznie kręci głową, a potem każe mu kontynuować.

– Więc kiedy Ijbeyneh miała siedem lat, poprosiła swoje zazdrosne kuzynki, żeby zabrały ją na jeden z ich spacerów po lesie. Dziewczynka była niewinna i nie miała pojęcia o prawdziwych uczuciach kuzynek wobec niej. One często chodziły w głąb lasu, żeby zbierać owoce i jagody, i wracały z opowieściami o cudach, które tam widziały. W każdym razie kuzynki zgodziły się ku jej radości, żeby z nimi poszła. Dzień minął szybko, a kiedy Ijbeyneh napełniła swoją *tarbi’ah* dojrzałymi jagodami...

– Zaczekaj, co? – przerywa mu kobiet, odkłada rewolwer i zniszczoną szczoteczkę do zębów, której używała do jego czyszczenia. – Napełniła jagodami co?

– *Tarbi’ah* – cierpliwie powtarza mężczyzna. – To tradycyjna płócienna zasłona, nadal noszona na przykład przez palestyńskie kobiety.

Kobieta kiwa głową i patrzy w okno. Marszczy brwi, kiedy widzi, że śnieg znowu zaczyna padać mocniej.

– Można się założyć, że drogi będą koszmarnie.

Kiedy mijają dwie minuty, a ona nie dodaje nic więcej, szczupły młody mężczyzna pyta ją, czy może dalej opowiadać.

– Jasne – odpowiada ona i zastanawia się, czy nie zadzwonić do Dozorcy i nie zasugerować mu, żeby jej jazdę do Warwick i to, co ma tam do zrobienia, odłożył do czasu, aż drogi będą czyste.

– Jak mówiłem – ciągnie mężczyzna – Ijbeyneh zostawiła swoje jagody u podstawy drzewa i oddaliła się sama, żeby zebrać dzikie kwiaty rosnące między ogromnymi sykomorami. Ale później, kiedy wróciła, zobaczyła, że

jej *tarbi'ah* jest pełna brzydkich, zatrutych jagód zamiast smakowitych i słodkich, które z takim trudem zebrała. Również jej zazdrosne kuzynki zniknęły, a ona została sama w lesie. Szła po wzgórzach, wołając je, ale nikt nie odpowiadał z wyjątkiem ptaków i kilku bzyjących owadów. W końcu, kiedy Ijbeyneh próbowała znaleźć drogę do domu, odkryła, że zbczyła ze szlaku. Szybko straciła orientację i zgubiła się w lesie. Kiedy słońce zaszło, z jaskini wyszła straszna ghulka i się na nią natknęła. Z pewnością pożarłaby Ijbeyneh, ale jako dar Allaha dla matki dziewczynka była w pewien sposób chroniona. Zamiast ją zjeść, ghulka stwierdziła, że jej serce przepełnia litość. Widząc ją, Ijbeyneh krzyknęła: „Och, ciociu! Proszę, powiedz mi, którą drogą poszły moje kuzynki?! Gdzie jest dom?”. A ghulka odpowiedziała: „Nie wiem, kochanie, ale chodź i zamieszkaż ze mną przynajmniej do czasu, aż kuzynki po ciebie wrócą”. Ijbeyneh zgodziła się i ghulka zabrała ją do jaskini w pobliżu samego szczytu góry. Tam dziewczynka została pasterką i w miarę jak mijały lata – bo jej kuzynki nigdy nie wróciły – ghulka bardzo ją polubiła. Co noc, kiedy polowała w lesie i na kamienistej pustyni za lasem, przynosiła jej najlepsze kąski. Nie jadła sama, dopóki dziewczynka nie zjadła. I na sto innych sposobów starała się uszczęśliwić Ijbeyneh, a jej życie uczynić wygodnym. Dla niej kradła delikatne jedwabie i olejki z karawan zmierzających do miasta, dla niej również znalazła cenne kamienie głęboko w jaskini i je dla niej wypolerowała. W miarę jak mijały miesiące, jasna dziewczynka nabierała zwyczajów swojej pani. Nauczyła się na przykład jeść mięso mężczyzn i kobiet wykradanych z grobów w wiosce. Ale mimo największych wysiłków i determinacji, mimo miłości i troski ghulki nigdy nie była szczęśliwa na tej górze. Często płakała za domem i rodzicami, przeklinała swoje zazdrosne, zdradzieckie kuzynki. Tymczasem w wiosce wszystkie białe gołębie należące do jej ojca, które ona karmiła, zanim się zgubiła, tęskniły bez końca za jej powrotem. Nie gruchały tak jak kiedyś. Latając, przeszukiwały wzrokiem rozległe ziemie, wypatrując Ijbeyneh. Aż nadszedł dzień, kiedy gołębie wyszpiewowały ją na górze, pilnującą stada ghulki. Choć była teraz młodą kobietą, rozpoznały ją od razu i poleciały prosto do niej, wylądowały na ziemi wokół niej i okazały radość, że znalazły ją żywą i w dobrym zdrowiu.

– To dziwnie brzmi, tak jakbyś ukradł to od Charlesa Perraulta albo od braci Grimm – stwierdza kobieta. Delikatnie wciska kciuk do ekstraktora i zaczyna czyścić spód mechanizmu.

– Zapewniam cię, że nie – mówi młody mężczyzna. – Ale jeśli chcesz, żebym przestał...

– Tego, kurwa, nie powiedziałam, prawda?

– Nie powiedziałaś.

– Kimkolwiek byłeś przedtem, teraz jesteś dziwką, dziwką, która nawet nie dostaje zapłaty za swoje usługi, dziwką, którą mogłabym zabić, i nikt nawet by nie spytał dlaczego. Więc nie próbuj odgadywać moich zamiarów ani nie zakładaj, że coś chcę czy czegoś nie chcę. Tylko skończ tę cholerną historię.

Mężczyzna kiwa głową. Nie żeby tego już nie słyszał z jej ust czy z ust innych. To są słowa, które dawno straciły swoje żądło i stały się dla niego jak inne truizmy: kruki są czarne, woda jest mokra, ogień parzy, a on jest niewolnikiem na usługach wykradzionych, całkowicie zdany na ich łaskę, i tak będzie do dnia, kiedy skończy się jego przydatność.

– Powinnam ci przypomnieć, że nie mam całej nocy – mruczy kobieta, starając się zeskrobać szczególnie uparty i prawie niedostępny brud. – Gołębie znalazły dziewczynę nazwaną od koziego sera, a potem co?

Młody mężczyzna odwraca się na prawy bok, przetacza po łóżku i sięga po butelkę. Sprężyny skrzypią głośno.

– Kiedy ona je zobaczyła, zapłakała z radości i rozkazała im: „O, gołębie mojej matki i mojego ojca, lećcie do nich i powiedzcie im, że ich droga córka pilnuje owiec na wysokich górskich łąkach. Powiedzcie im, że nie zginęłam”. I ptaki natychmiast pofrunęły do wioski. Przed laty zazdrosne kuzynki twierdziły, że dziewczynka zgubiła się w lesie, choć czasami opowiadały historię, że zaatakowały ją szakale albo lew i pożarły żywcem. Jej ojciec, bracia i wielu innych mężczyzn z wioski przeszukali wzgórze. Matka wzięła winę na siebie, szlochając bez końca i powtarzając, że to klątwa Allaha za to, że nie zadowolili się siedmioma synami.

Szczupły młody mężczyzna milknie, żeby napić się z butelki, i przez chwilę patrzy, jak kobieta czyści broń. Wiatr wieje tak mocno, że nawet alkohol nie może powstrzymać dreszczy. Mężczyzna otula się ciaśniej wystrzępioną kołdrą.

– Jak już mówiłem, gołębie przestały gruchać, kiedy Ijbeyneh już ich nie doglądała. Jednak po tym, jak ją znalazły, ich nastrój nagle się zmienił. Przestały się smucić i znowu stały się ożywione. Co więcej, wydawało się, jakby próbowały coś przekazać swoim właścicielom. Pewien sąsiad, zaintrygowany bardzo dziwnym zachowaniem gołębi przekonał ojca

Ijbeyneh, że powinien sprawdzić, dokąd ptaki każdego dnia latają. I on to zrobił, a kiedy był już pewien, zebrał braci, wujów i tych wszystkich z wioski, którzy nadal uwielbiali jasną dziewczynkę, i razem podążyli za gołębiami w góry aż na wysokie pastwiska. Ale Ijbeyneh nigdy nie chciała zostać uratowana. Ona tylko pragnęła, by jej rodzice wiedzieli, że nie umarła. Przez te lata, odkąd ghulka ją przyjęła do siebie, dziewczyna ją pokochała i nawet zgodziła się zostać jej konkubina. Jej domem już nie był dom ojca ani bezpieczna wioska, lecz dzikie góry i grota, gdzie ghulka, którą ona nadal nazywała ciocią, rozpieszczała ją i uczyła mrocznych sekretów nieznanym synom i córkom Allaha.

– Stop – mówi kobieta, odkłada pistolet i tłustą szmatkę, którą go czyściła. Odwraca się na krześle i piorunuje wzrokiem młodego mężczyznę, a on milknie, jak mu kazano, i teraz sączy imbirową brandy. – Mówiłeś, że ghulka nie uczyniła jej szczęśliwą. Ale teraz mówisz, że są kochankami i że dziewczyna od koczującego serca nie chce być uratowana i wrócić do mamy i taty?

Młody mężczyzna kiwa głową i zakręca butelkę.

– Tak – przyznaje. – Masz rację. Ale w *Czerwonej księdze* też jest ta sprzeczność. Ja tylko ją powtarzam. Możliwe, że nastawienie Ijbeyneh zmieniło się gdzieś po drodze, a autor – czy kto tam przepisywał tę historię ze starszego tekstu i źle ją zrozumiał – tego nie zauważył. W każdym razie opowiadam ją tak, jak jest przedstawiona w książce. Ale jeśli wolisz, chętnie cofnę się i opowiem ją tak, żeby narracja była bardziej spójna.

Kobieta łypie na niego spod łba, wzdycha i każe mu mówić dalej, więc on to robi.

– Kiedy Ijbeyneh zobaczyła ludzi wspinających się na górę, zrozumiała, że popełniła straszny błąd, rozmawiając z gołębiami. Zrozumiała, że ghulka albo zabije jej ojca, braci i wujów – których nadal kochała – albo im uda się zabić jej ukochaną. By zapobiec rozlewowi krwi, Ijbeyneh zostawiła stado i popędziła do jaskini, gdzie spała jej ciocia. Obudziła ją w samą porę, by ostrzec, że ludzie z wioski w jakiś sposób dowiedzieli się, że jasna córka matki siedmiu synów nadal żyje. I teraz ci ludzie szybko się zbliżają.

– Jakoś się dowiedzieli – mruczy kobieta. – Kłamliwa mała cipa.

– Co najwyżej to było pominięcie – mówi młody mężczyzna. – Ale tak czy inaczej ciocia uspokoiła ją, że nie trzeba stawać do walki z tymi ludźmi, bo z groty jest inne wyjście. A dokładniej gład, po którego odtoczeniu odsłaniały się schody wykute w wapieniu i prowadzące do wielkiej



pieczary, gdzie podziemne jezioro omywało podziemne brzegi. Dżinnka powiedziała, że jest tam łódź, która przewiezie je w bezpieczne miejsce, do ukrytego królestwa Ghūl, którego żaden człowiek nigdy nie znalazł. Możemy sobie wyobrazić wielką ulgę Ijbeyneh, kiedy to usłyszała, bo już pogodziła się z myślą o gwałtownej śmierci w czasie walki u boku swojej pani albo z tym, że będzie patrzeć, jak mężczyźni z jej rodziny są zabijani, a później nie będzie miała innego wyjścia, jak zrobić to, czego się od niej oczekuje, czyli pożywić się ich szczątkami.

– Biedactwo – śmieje się kobieta. Zadowolona, że mechanizm spustowy jest czysty, bierze się do czyszczenia cylindra.

– Ciotka kazała jej zebrać rzeczy, które chciałaby wziąć ze sobą, choć Ijbeyneh protestowała, że nie ma na to czasu. Ghulka pocałowała ją i powiedziała, żeby się nie martwiła, bo ludzie z natury są powolni, jeśli chodzi o szukanie, a ponieważ jest tyle jaskiń w górskim zboczu, wydaje się mało prawdopodobne, żeby od razu trafili do tej. Niechętnie, nadal przekonana, że nie należy tracić czasu, dziewczyna spakowała parę kamieni szlachetnych, które podarowała jej ciocia, kilka ulubionych jedwabów, zęb krokodyla, sztylet wystrugany z kości piszczelowej wezyra i parę innych rzeczy. Zawinęła je w kawałek wielbłądziej skóry, podczas gdy ghulka kuciała przy wejściu do jaskini i wypatrywała ludzi. Kiedy Ijbeyneh skończyła się pakować, dżinnka zaprowadziła ją w głąb groty dalej, niż dziewczyna kiedykolwiek była. I akurat kiedy rozległy się triumfalne okrzyki jej ojca i siedmiu braci, którzy odkryli wejście do jaskini, obie dotarły do ogromnego głazu zasłaniającego ścieżkę do ukrytego morza pod górą. Ghulka, obawiając się, że rzeczywiście zbyt długo zwlekały, pchnęła kamień z całej siły, ale ten nawet nie drgnął.

Dzwoni komórka. Kobieta odkłada rewolwer i niecierpliwie macha lewą ręką, uciszając młodego mężczyznę. Ten przewraca się z powrotem na plecy i zaczyna znowu przyglądać się sufitowi, podczas gdy ona z kimś rozmawia. Rozmowa trwa niecałą minutę, a kiedy się kończy, kobieta patrzy za okno i przeklina śnieg.

– Musisz już iść – stwierdza młody mężczyzna.

– Tak, muszę iść. To pieprzony Pentecost. Każę komuś zaprowadzić cię z powrotem do stajni. Możesz zabrać resztę brandy. Powiem im, żeby ci jej nie zabierali.

– Dziękuję – mówi on, nadal wpatrując się w sufit. Chciałby móc spędzić całą noc Na Górze, chciałby, żeby ona została w łóżku po tym, jak

się kochali, zamiast upierać się przy czyszczeniu rewolweru.

Leży nieruchomo, słuchając styczniowego wiatru, i nie rozmawia, podczas gdy ona pośpiesznie składa broń. Na tynku jest jedna rysa, która biegnie przez cały sufit aż do górnej framugi drzwi i przypomina mu rzekę widzianą z orbity, wijącą się po rozległej pustynnej równinie.

– I co się stało? – pyta kobieta. – Uciekły? Czy ojciec koziej dziewczyny je dogonił?

– To skomplikowane – odpowiada on.

– Naprawdę?

– Zdecydowanie tak. Szkoda, że nie mam czasu, żeby dokończyć opowieść. Może...

– ...następnym razem? – pyta ona i rzuca młodemu mężczyźnie spojrzenie z ukosa. – Naprawdę nie zamierzasz mi powiedzieć, jak to wszystko się kończy?

– Obawiam się, że pośpiech zepsułby historię – mówi mężczyzna. – A jedyne, co mi zostało, to te historie. Z pewnością rozumiesz.

– Dobrze, jeśli tak chcesz to rozegrać, Szeherezado, i jeśli oboje będziemy mieli dość szczęścia, żeby przeżyć kolejny cholerny dzień.

– Tylko się nie wychylaj – szepcze mężczyzna, starając się nie myśleć o stajni pod strasznym starym domem ani o tym, co kobieta będzie robić przed świtem. – Ja zrobię to samo w miarę możliwości.

Pięć minut po wyjściu kobiety na śnieżną, wietrzną noc, on leży sam na łóżku z butelką imbirowej brandy i próbuje złapać kilka minut snu we względnym cieple i wygodzie obskurnego pokoju, zanim przyjdą zabrać go na dół.

## Modlitwa kości

Morze wciąż coś wymawia ochrypłym szeptem; nie mogę tego zrozumieć.

Annie Dillard

# 1

Spacerowała po plaży całe popołudnie, co nie jest niczym niezwykłym w dniach, kiedy nie może pisać. A było ostatnio kilka z rzędu suchych dni bez słów, jeden po drugim. Niema procesja pustych godzin albo jeszcze gorzej, procesja godzin spędzonych na starannym komponowaniu zdań i ustępów, które na krótko utwierdzały ją w mylnym przekonaniu, że posucha się skończyła. Ale potem czyta te strony, proza dźwięczy głucho i nieudolnie szczeka o siebie samą albo prowadzi gdzieś, dokąd ona nie ma talentu, czasu ani ochoty podążyć. Ma terminy, rachunki, oczekiwania czytelników i wszystkie te rzeczy trzeba wziąć pod uwagę, gdy się odpowiada na pytanie, czy produktywna godzina naprawdę jest produktywna.

To staje się nie do zniesienia, niema procesja i fałszywe starty, papierosy, kawa i wszystkie te książki obserwujące ją w milczeniu ze swoich miejsc na półkach w jej gabinecie. Tak więc w końcu w nieunikniony sposób jedzie na plażę, która znajduje się niedaleko, zaledwie godzinę drogi na południe od miasta. Jedzie na plażę i bardzo się stara nie myśleć o tym, co nie zostało napisane. Stara się jedynie słuchać fal, mew i kormoranów, wiatru, stara się chłonąć tyle piasku, nieba i niebieskozielonego morza, żeby już nie zostało miejsca na jej niepokoje.

I czasami to nawet działa.

Dzisiaj jest czwartek pod koniec zimy, gwałtowne podmuchy od zatoki przenikają przez rękawiczki i długi wełniany płaszcz. Podmuchy, którym już dwa razy omal nie udało się zerwać polarowej czapki z klapkami na uszy. Gęste chmury koloru porcelany Wedgewood zakrywają słońce i grożą śniegiem. Ale dzięki brzydkiej pogodzie ona ma całą plażę dla siebie, a to z naddatkiem wynagradza dyskomfort. Ta samotność, podobnie jak zdyszany rytm spienionych fal i zapach zbliżającego się przyływu, jest balsamem. Zaczyna na plaży Moonstone i idzie półtora kilometra na południe i zachód do skupiska opuszczonych letnich domków na Greenhill Point. Potem wraca, podążając wąskim pasem ciągnącym się między Block Island Sound a niskimi wydiami oddzielającymi plażę od Card Pond.

Ujście rzeki jest solidnie zamrożone, a kiedy ona wspina się na wydmy i patrzy na lód, są na nim stada krzyżówek, gęsi kanadyjskich i kilka

łabędzi, które chodzą zagubione i strapione. Latem ziemia wokół słonego jeziora jest zieloną gęstwiną dzikich róż, trujących sumaków jadowitych, kolcorośli i nawłoci. Ale teraz otacza je homogeniczna brązowa płatanina, a jedynym śladem zieleni w tym krajobrazie jest kilka świerków i czerwonych cedrów, wyznaczających południowy skraj lasu rosnącego na północy.

Odwraca się z powrotem w stronę morza i kamienistej plaży. Nie wydaje się jej, żeby morze zmieniało kolory wraz z porą roku. Dzisiaj ma taki sam niespokojny odcień seledynu jak w czerwcu, szybko ciemniejący do perskiego błękitu w miejscu, gdzie woda robi się głębsza, niedaleko brzegu. Wciąż się poruszające, nigdy nieruchome. Mimo to widok morza jest jej jedyną stałą pociechą nawet w miesiącu tak ponurym i martwym jak ten.

Zaczyna zbierać kamyki, żeby zanieść je z powrotem na wydmy i znaleźć suche miejsce do siedzenia, najlepiej osłonięte od najgorszego wiatru. Ta plaża jest dość sławna z powodu tych kamieni, które trafiają tutaj z podwodnych wychodni skał magmowych, z ziemi, która była roztopionym rdzeniem pasma górskiego miliony lat przed pojawieniem się dinozaurów. Tu i ówdzie wśród wypolerowanych kawałków granitu są mlecznobiałe kamienie księżycowe, od których plaża bierze swoją nazwę. Ona je gromadziła, aż miała ich ze sto, a one straciły walor nowości. Leżą tam również strzępy listownic i morszczynów, szczypce, skorupy, przegubowe odnóża rozczłonkowanych krabów i homarów, gdzieś tam pochewka jajowa, cały ten zwykły detrytus. W letnich miesiącach doszedłby do tego asortyment zwykłych śmieci: butelek po wodzie, puszek po piwie, zgubionych japonek, styropianowych kubków, wszelkiego rodzaju plastików, bezmyślnego bałaganu, który ludzie po sobie zostawiają. I to jest kolejny powód, dla którego ona woli plażę w zimie.

Wybrała sześć otoczków i szuka siódmego (postanowiwszy, że weźmie siedem i tylko siedem), kiedy zauważyła mały, dziwny kamień. Ma kształt łyżki i jest koloru zupy groszkowej. Lśni mokro w bladym popołudniowym świetle, a ona widzi wyraźnie, że na jego gładkiej powierzchni są wyryte głębokie znaki. Jeden z nich wygląda trochę jak przechylona w lewo swastyka, a inny przypomina grecki ichtys. Przez chwilę znalezisko wydaje się jej odpychające, jakby trafiła na gnijącą rybę albo wyrzuconą prezerwatywę. Cofa rękę. Ale to pierwsze wrażenie szybko mija i wkrótce ona nawet nie potrafi go wyjaśnić. Jest to pod pewnym względem godny

uwagi artefakt, nieważne, jak stary, więc dodaje go do swoich sześciu kamieni, po czym zwraca się ponownie ku zamrożonemu bezmiarowi Card Pond.

## 2

Jest piątkowy wieczór, dwa dni po wycieczce do Providence na plażę. Jak zwykle nie może się doczekać piątków, bo w piątkowe wieczory prawie zawsze wpada po pracy Sammie. Ona jest dla niej kimś najbardziej zbliżonym do przyjaciółki i od czasu do czasu bywają również kochankami. Pisarka o imieniu Edith (choć to nie jest imię, które pojawia się na okładkach jej powieści) nie jest towarzyską osobą. Tłumy przyprawiają ją o zdenerwowanie, unika barów i nocnych klubów, boi się nawet chodzić do sklepów. Wszystko, co się da, zamawia przez Internet: ubrania, książki, płyty CD, DVD, elektronikę, ponieważ nienawidzi centrów handlowych. Nienawidzi myśli o tym, że będzie widziana. Według niej psychiatrzy jeszcze nie znaleźli terminu na określenie osób, które czują chorobliwy lęk przed wzrokiem innych, ale ona uważa, że „antyspołeczna” jest wystarczająco trafne. Jednak w większości wypadków lubi mieć Sammie przy sobie, bo ona nigdy się nie gniewa, kiedy Edith potrzebuje być sama przez tydzień albo dwa.

Mylnie brano je za siostry, choć tak naprawdę wcale nie są bardzo podobne. Sammie jest kilka centymetrów wyższa i ma piękne kruczoczarne włosy, w których dopiero zaczynają się pojawiać nitki siwizny. Włosy Edith mają nijaki blond kolor o odcieniu pomyj. Oczy przyjaciółki są orzechowozielone, jej ciemnobrązowe. Sammie ma delikatne dłonie i długie, smukłe palce, ręce Edith są szerokie, a palce krótkie i grube. Paznokcie obcina jak najkrócej, na skórze ma plamy od nikotyny. Sammie rzuciła palenie lata temu, zanim się poznały.

– On po prostu leżał sobie na piasku – mówi Edith. – I wcale nie wygląda na taki stary.

– To skała – odpowiada Sammie, oglądając dziwny zielonkawy kamień i podnosząc go do światła lampy, która stoi na szafce obok łóżka. – Co masz na myśli, mówiąc, że nie wygląda na taki stary? Dla mnie wszystkie skały wyglądają na stare.

– Mam na myśli ryty – odpowiada Edith, próbując zdecydować, czy naprawdę chce kolejną z nieświeżych magdalenek przyniesionych przez Sammie; smakują olejkami cytrynowymi i mają kształt muszli przegrzebka.

– To znaczy ryty na kamieniu wyglądają na świeże. Gdyby był obracany w oceanie nie wiadomo jak długo, do tej pory byłby gładki.

– Myślę, że to steatyt – mówi Sammie, przyglądając się znakom. – Ale nie sądzę, żeby gdzieś tutaj można było je znaleźć.

– Jak już mówiłam, pewnie ktoś kupił go w sklepie i zgubił. Może to był jego talizman. Albo może nic dla niego nie znaczył.

– Jest zabawny w dotyku – stwierdza Sammie i zanim Edith poprosi o wyjaśnienie, dodaje: – Śliski. Oleisty. Gładki. No, wiesz.

– Nie zauważyłam – mówi Edith, choć zauważyła. Kłamstwo ją zaskakuje. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego po prostu nie przyznała, że ona też poczuła śliskość, gdy trzymała kamień przez dłużej niż minutę.

– Powinnaś go komuś pokazać. Geologowi albo archeologowi, albo komuś, kto zna się na takich rzeczach.

– Naprawdę nie sądzę, żeby był bardzo stary – powtarza Edith i rezygnuje z czwartej magdalenki. Zamiast tego zapala papierosa i myśli o tym, żeby pójść do kuchni po piwo. – Jeśli zaniosę go do archeologa, pewnie powie mi, że ta rzecz została kupiona za pięć dolarów w sklepie z pamiątkami w Misquamicut.

– Nie podoba mi się w dotyku – mówi Sammie.

– Więc go odłóż.

– To ma być ryba Jezusa? – pyta Sammie, wskazując na symbol, który Edith przypominał ichtys.

– Tak wygląda.

– A ten tutaj... – Sammie stuka paznokciem palca wskazującego w kamień – wygląda jak astrologiczny symbol Neptuna.

– Myślałam, że to trójząb albo widelec. – Edith wzdycha. Chce, żeby Sammie odłożyła kamień i żeby porozmawiały o czymś innym. Kamień przyprawia ją o niepokój. Trzy razy w ciągu dwóch dni niemal wyrzuciła go do śmieci, żeby nie musieć o nim myśleć ani na niego patrzeć. – Możemy pomówić o czymś innym, proszę? Gapisz się na tę okropną rzecz od pół godziny.

Sammie odwraca głowę i patrzy na nią przez ramię. Lekko marszczy wyregulowane brwi.

– Zapytałaś mnie, co o tym sądzę – przypomina raczej obronnym niż zirytowanym tonem, raczej zdezorientowana niż zła. – Ty zaczęłaś.

– Nie żebym chciała go znaleźć.

– Nie żebyś musiała przynosić go do domu.



Sammie spogląda na nią przez dłuższą chwilę, po czym odwraca się z powrotem do kamienia w kształcie łyzy.

– To jest krzyż słoneczny. – Wskazuje na inny symbol. – Tutaj, krzyż w okręgu. Inny niż w astrologii, znak ziemi.

– Nie wiedziałam, że znasz się na horoskopach – mówi Edith, głęboko zaciąga się papierosem i przytrzymuje dym w płucach, aż zaczyna się jej kręcić w głowie. Potem wydmuchuje go nosem.

– Dlaczego on cię niepokoi? – pyta Sammie.

– Tego nie powiedziałam.

– Nazwałaś go „tą okropną rzeczą”, prawda?

– Idę po piwo – oznajmia Edith. – Chcesz też, skoro już wstajesz?

– Jasne. – Sammie kiwa głową, nie odrywając oczu od kamienia. – Chętnie napiję się piwa, skoro już wstajesz.

Edith zawiązuje frotowy szlafrok, żółty we wzór z małych niebieskich kaczuszek.

– Możesz go wziąć, jeśli chcesz.

Sammie lekko marszczy brwi, a potem odkłada kamień na nocną szafkę przy łóżku.

– Nie. Jest twój. Ty go znalazłaś, więc powinnaś go zatrzymać. Poza tym jest o niebo bardziej interesujący od większości śmieci, które przynosisz z plaży. Przynajmniej tym razem dom nie cuchnie zdechłymi rybami i wodorostami. Ale nadal uważam, że powinnaś znaleźć jakiegoś archeologa, żeby na niego spojrzeć. Może się okazać, że to coś rzadkiego.

– Może – mówi Edith. – Ale pomyślałam, że nie został zgubiony, tylko ktoś celowo się go pozbył.

– Wszystko jest możliwe.

– Obawiam się, że mam tylko heinekena – oznajmia Edith, wskazując głową na kuchnię.

– Heineken jest w porządku. Sępy nie mogą wybrzydzać.

– Zamierzałam kupić coś innego, bo wiem, że nie lubisz heinekena, ale nie byłam w sklepie od kilku dni.

– Heineken jest w porządku, naprawdę.

Edith sili się na uśmiech, potem idzie do kuchni, zostawiając Sammie (której imię brzmi Samantha, ale wszyscy wiedzą, że lepiej tak się do niej nie zwracać) w sypialni z dziwnym zielonkawym kamieniem. Żadna z nich nie wspomina o nim więcej tej nocy, a później kochają się po raz pierwszy od prawie trzech tygodni.

### 3

– Cóż, kontynenty tak po prostu nie toną – mówi Edith i zaczyna podejrzewać, że może tylko śni.

Siedzi na zamkniętym sedesie w swojej małej łazience, a Sammie stoi w wannie. To ona zaczęła mówić o Atlantydzie, a potem o Mu i Lemurii pani Bławatskiej.

– A ja czytałam o jeszcze jednym. Kiedy byłam dzieckiem, znalazłam w bibliotece książkę *Tajemnice morza* czy coś w tym rodzaju. Może jedną z tej serii *Time-Life*. W każdym razie jedna z historii była o statku, który w latach dwudziestych trafia na nieoznaczoną na mapie wyspę na południowym Pacyfiku. Znaleźli na niej ruiny gigantycznego miasta, ale potem wszystko zatoneło po trzęsieniu ziemi. Wyspy potrafią zatonać, prawda?

– Nie przez jedną noc – odpowiada Edith, bardziej zainteresowana patrzeniem, jak Sammie się kąpie, niż wszystkimi tymi bzdurami o zatopionych światach.

– A co z Krakatau? Albo Santorini?

– To były wybuchy wulkanów. A wyspy nie zatoneły, tylko eksplodowały. Bum. – Edith wykonuje gwałtowny ruch prawą ręką w powietrzu. – Jeśli już o to chodzi, żadna całkiem się nie zanurzyła.

– Czasami mówisz jak naukowiec – stwierdza Sammie i patrzy w wodę w żeliwnej wannie.

– Twierdzisz, że jestem pedantyczna?

– Nie, tego nie twierdę. Właściwie to seksowne. Wielkie umysły mnie podniecają.

W korytarzu nagle rozlega się trzepot. Edith patrzy w tamtą stronę. Drzwi łazienki są półotwarte, ale w korytarzu jest zbyt ciemno, żeby zobaczyć, co spowodowało ten dźwięk.

– Okay – ciągnie Sammie – więc może były miasta, które nie zatoneły, bo istoty, które je zbudowały, nigdy nie mieszkały na lądzie. Albo może mieszkały na lądzie dawno temu, ale wróciły do wody. Wiesz, jak wieloryby i delfiny.

Edith marszczy brwi i odwraca się do wanny.

– Wymyślasz to na poczekaniu, prawda?

– Czy to ma znaczenie?

– Wieloryby nie budują miast – mówi Edith i w jej głosie jest stanowczość, która powinna skierować rozmowę na inne tory. Ale kiedy Sammie pije i wbija sobie coś do głowy, potrafi rozprawiać o tym godzinami.

– Wieloryby śpiewają. I może gdybyśmy potrafili zrozumieć ich pieśni, wiedzielibyśmy, kto zbudował te miasta.

Edith ściąga brwi, starając się nie myśleć o trzepocie, który dobiegł z korytarza.

– Gdybyśmy potrafili zrozumieć te pieśni, podejrzewam, że usłyszeliśmyby głównie o napalonych wielorybach i o tym, które kryle najlepiej smakują – mówi.

– Może. – Sammie wzrusza wąskimi ramionami. – Ale wieloryby wiedziałyby o tych miastach. Zwłaszcza kaszaloty, bo one tak głęboko się zanurzają i w ogóle.

– Nadal opierasz się na założeniu a priori, że te miasta kiedykolwiek istniały. Próbujesz znaleźć dowód, żeby rozwiązać wymyślony problem.

Wtedy Sammie unosi zielonkawę znalazisko z plaży, jakby ono mogło odeprzeć zarzuty, albo może sądzi, że Edith o nim zapomniała. W świetle jarzeniowej lampy nad umywalką kamień wygląda na tłusty. Palce Sammie też wyglądają na tłuste, jakby coś wysączało się z kamienia i je plamiło.

*Naprawdę nie podoba mi się w dotyku.*

– Po prostu upuścił go któryś z letników. – Edith zastanawia się, dlaczego Sammie nie zostawiła kamienia na szafce obok łóżka, dlaczego wzięła go ze sobą do wanny. – Ta rzecz pewnie została zrobiona w indiańskim rezerwacie w Arizonie. To tylko śmieć.

– Słyszysz? – pyta Sammie. – Jeśli przysłuchasz się uważnie, on śpiewa. Nie tę samą pieśń co wieloryby, ale śpiewa.

– Kamienie nie śpiewają – ucina Edith. – Nieważne, co ktoś na nich wyrył. Ja zupełnie nic nie słyszę.

Sammie wygląda na lekko rozczarowaną, znowu wzrusza ramionami.

– A ja go słyszę. Słyszałam przez całą noc. To niemal lamentacja. Pieśń żałobna. I ja po prostu nie mogę jej znieść, Edith. Czuję ją. W kościach. Czuję.

– Naprawdę nie wiem, co masz na myśli – stwierdza Edith i zanim doda: „I nic mnie to nie obchodzi”, Sammie ciągnie:

– Moje ciało słyszy tę pieśń. Każda komórka mojego ciała słyszy tę pieśń i jest tak, jakby oni czekali na odpowiedź. To pieśń, którą śpiewa ocean, którą ocean zawsze śpiewał. Ale nagle moje ciało ją sobie przypomina z bardzo, bardzo dawna. Wtedy, kiedy były tylko ryby i nic jeszcze nie wypełzło, żeby zamieszkać na lądzie.

– Więcej sensu było w tym, co mówiłaś o Atlantydzie i teozofach. – Edith wzdycha.

Siedzi na toalecie, patrzy na tłusty kamień w tłustych rękach Sammie. Jego powierzchnia jest opalizująca, mieni się kolorami, tęczaowa powłoka na plamie oleju w błotnistej kałuży albo perłowe wnętrze skorupy uchowca. Ręce Sammie również zrobiły się opalizujące, a ona teraz peroruje coś o odziedziczonych wspomnieniach, o zbiorowej nieświadomości, o somatycznej i genetycznej pamięci. Edith chce ją spytać: „I kto teraz mówi jak naukowiec?”, ale tego nie robi.

– Nie wiemy, co jest tam na dole – stwierdza Sammie. – Nie tak naprawdę. Czytałam gdzieś, że o powierzchni Księżyca wiemy więcej niż o głębokim morzu. Wiedziałaś o tym? Wiesz o Rowie Mariańskim? Jest tak głęboki, że gdybyś postawiła na jego dnie Everest, nad jego szczytem zostałyby jeszcze z półtora kilometra wody.

– Tak, wiem trochę o Rowie Mariańskim – odpowiada Edith, starając się być cierpliwa, ale żeby to nie brzmiało, jakby starała się być cierpliwa.

I wtedy Sammie przestaje obracać w palcach kamień w kształcie łyżki i szybko wsuwa go do czysto ogolonego miejsca między nogami i do waginy. Nie ma czasu, żeby Edith próbowała ją powstrzymać.

– Myślisz, że to był dobry pomysł? – pyta.

Sammie uśmiecha się ukradkiem i nie odpowiada na pytanie. Ale w końcu siada w wannie, a Edith widzi, że tam, gdzie zaledwie przed chwilą woda była czysta i przejrzysta, teraz stała się mętna, a na powierzchni pływają listownice. Do białej emalii przywiera ostra skorupa małych pąkli. Otwiera usta, by powiedzieć Sammie, żeby była ostrożna, że one są ostre i mogłyby się skaleczyć. Ale z korytarza znowu dochodzi trzepot, głośniejszy niż wcześniej, i słysząc go, Edith boi się odezwać.

– To list w butelce – szepcze Sammie. – Albo złote płyty gramofonowe, które wysłali w sondach Voyager. Na takie wiadomości nikt nie oczekuje odpowiedzi, ale i tak je wysyłamy.

– Nic nie słyszę – kłamie Edith.

– Więc proponuję, żebyś posłuchała uważniej. To najpiękniejsza pieśń, jaką kiedykolwiek słyszałam. I tak strasznie dużo czasu zabrało jej dotarcie tutaj.

Edith zamyka oczy i czuje ocean, czuje parujące zagłębienie z wodą uwięzioną między nadmorskimi głazami naznaczonymi przez czas i słońcą przybrzeżną równinę błotną, wszystkie miękkie, blade stworzenia, które żyją w słonym szlamie, i na końcu słodką nutę różowych dzikich róż w powietrzu. Mocno zaciska powieki, starając się nie słyszeć dziwnego, nieprzyjemnego zamieszania w korytarzu, które wcale nie brzmi jak muzyka. I przez jedną chwilę nadziei Edith zaczyna wierzyć, że się budzi, zanim sen nagle ucieka spod jej stóp, sen i płytki łazienki, a ona rozumie, że woda staje się coraz głębsza.

## 4

Są sny, które układają się warstwami jak tort urodzinowy obłany kolorowym lukrem, i są sny, które sadowią się wygodnie jeden w drugim jak rosyjskie matrioski z coraz mniejszymi lalkami w środku. Edith nie potrafi stwierdzić, czy ten sen zapada się w siebie, czy jedynie przemieszcza się z warstwy na warstwę, w górę albo w dół. Siedzi na piasku wśród kamieni na plaży Moonstone, słuchając przyboju. Nad nią niebo jest niskie i wygląda jak zsiadłe mleko. W prawej ręce Edith trzyma patyk, który zostawiła na brzegu cofająca się fala, a wszędzie wokół siebie skopiowała wzory z tego dziwnego zielonkawego kamienia. Tworzą rodzaj mandali, a ona siedzi w jej środku. Gdyby ją zapytać, nie potrafiłaby powiedzieć, czy krąg ma ją więzić, czy chronić. Możliwe, że jedno i drugie. Możliwe, że nie wystarczy do żadnego z tych celów.

Wiatr jest na wpół słyszalnym głosem plaży albo głosem morza. Za nią szeleści suchymi trzcinami porastającymi brzeg Card Pond, przed nią chłoszczę grzywacze i rozbija je w drobną mgiełkę.

Jest z nią coś jeszcze, wetknięte między piasek, kamienie i symbole, które narysowała na brzegu. Coś, co rozpaczliwie potrzebuje być widziane i nie chce, żeby jej wzrok padał na cokolwiek innego. Ale ona na to nie patrzy, jeszcze nie. Nie spojrzy, aż już nie będzie mogła dłużej znieść bólu spowodowanego odwracaniem wzroku.

Zaledwie chwilę wcześniej Sammie stała gdzieś za nią, bardzo blisko, i mówiła o styczniu sprzed trzynastu zim, kiedy osiadły tu na mieliźnie barka zbiornikowa i holownik. Ze statku wylało się do morza i na plażę ponad trzydzieści tysięcy litrów toksycznego oleju opałowego. Barka nazywała się „North Cape”, a holownik „Scandia”. W czasie sztormu wpadły na skały na płycznach niedaleko brzegu. Zarówno Card Pond, jak i Trustom zostały skażone przez wyciek, plażę zasłały ciała dziesiątków milionów zatrutych ptaków morskich, homarów, małży i rozgwiazd.

– To była masakra – powiedziała Sammie, zanim przestała mówić. W jej głosie był wyraźnie słyszalny ton goryczy. – Ono nie zapomniało. Może ludzie tak. Może ptaki wracają i homary wracają i nikt nie mówi turystom o tym, co się tutaj wydarzyło, ale morze pamięta.

Edith zapytała, czy to dlatego pieśń kamienia jest lamentem żałobnym, skoro on oplakuje wszystkie stworzenia zabite przez wyciek ropy. Ale Sammie odpowiedziała, że nie, że kamień został zrobiony, żeby zachować pamięć o dużo bardziej przerażającym dniu, który poprzedzał nadejście człowieka, i że inaczej zostałby stracony dla umysłu świata.

– Dlaczego tutaj jesteśmy? – zapytała Edith.

– Bo nie usłyszałybyś pieśni – odpowiedziała Sammie.

Nie dodała nic więcej, a Edith przypuszcza, że jest teraz sama, że siedzi sama na plaży Moonstone, smagana przez lodowaty wiatr, i usilnie stara się nie patrzeć na rzecz do połowy zagrzebaną w piasku zaledwie pół metra od niej. Rozumie doskonale, że toczy przegraną bitwę.

*Zamknę oczy, myśli. Z zamkniętymi oczami nie mogę nic zobaczyć. Zamknę oczy i będę je trzymała zamknięte, aż się obudzę.*

Ale zamknięcie oczu jedynie uwalnia następną lalkę ze stosu, by tak rzec, i Edith stwierdza, że unosi się w prawie nieprzeniknionej czerni, czerni, która jest niemal absolutna. Pamięta wyraźnie, jak stała i patrzyła na Block Island Sound, pamięta lodowatą słoną wodę omywającą jej kostki, a potem kolana, pamięta, jak woda wlała się jej do nosa, a potem do gardła, sparzyła jej płuca, kiedy ona się topiła. Ale nie utonęła i może to zadziałała magia rzeźbionego kamienia, a może była tam całkiem inna magia. Pądy zniosły ją daleko od lądu na Atlantyk, na północ i wschód od Cape Cod, aż w końcu zostawiła za sobą strome urwiska szelfu kontynentalnego. Daleko pod nią, okryte zasłonami wiecznej nocy, leżą płaskie bezkresne równiny mułu, ziemi okrzemkowej i gliny. Ona tkwi zawieszona nad nimi, nie może opaść niżej, a jednak nie jest w stanie już nigdy wznieść się na powierzchnię.

Wszędzie wokół niej – nad nią, w dole i z każdej strony – pojawiają się niewyraźne kształty. Niektóre są bardzo małe, parada bezokich ryb i ciekawskich kalmarów, meduz i innych głębinowych stworzeń, których nazw nie zna. Inne poruszają się jak ogromne, ledwo widoczne zjawy, a ona może się tylko domyślać, co to jest. Niektóre to z pewnością wieloryby i prawdopodobnie również głębokowodne rekiny i głowonogi. Inne nie dają się opisać i są najwyraźniej za duże, żeby być waleniami albo kalmarami. Od czasu do czasu Edith wyciąga rękę, a jej palce przesuwają się po tych obcych ciałach, które mkną przez mrok. Czasami wydają się gładkie jak jedwab, kiedy indziej szorstkie jak papier ścierny. Ta nawiedzona, niekończąca się noc jest pełna zjaw. *A ja jestem jeszcze jedną z nich. One*

*też muszą się zastanawiać, kim jestem, skąd może pochodzić takie dziwne zwierzę.*

Następny lewiatan łąpie na nią wylupiastym hebanowym okiem wielkości talerza. W tym ślepiu nie ma źrenic ani tęczówki, nic, co skaziłoby tę niezgłębioną powierzchnię. Potem oko znika, zastąpione przez bok ozdobiony ogromnymi fotoforami, jaśniejącymi delikatnym bladoniebieskim światłem. Widok ją zachwyca, więc Edith wyciąga rękę, żeby pogłaskać stworzenie, kiedy ono ją mija. I wyraźnie widzi cienką, przezroczystą błonę, która wyrasta między jej palcami, i zakrzywione szpony w miejscu paznokci, które kiedyś ogryzała do żywego mięsa. W przytłumionej niebieskiej poświacie rzucanej przez bioluminescencyjną istotę widzi, że wierzchy obu jej dłoni pokrywają drobne łuski, które opalizują lekko, przypominając jej oleisty, pryzmatyczny kamień.

Edith otwiera oczy i znowu siedzi w mandali, którą narysowała na plaży Moonstone trzynaście lat po katastrofie „North Cape”. Nadal ściska w ręce kawałek drewna i trzęsie się na wietrze. Ogląda się przez ramię, mając nadzieję, że znajdzie tam Sammie, ale od razu widzi, że nadal jest sama.

– Nie wiem, czego mam nasłuchiwać – niemal krzyczy, żeby usłyszeć siebie na wietrze. – Nie wiem, co to jest, ale słucham.

Kiedy nie ma żadnej odpowiedzi, nie jest rozczarowana ani zaskoczona, bo dobrze rozumie, że nikt jej nie odpowie. Każda odpowiedź, jakiej potrzebuje, jest tu przed nią, w nadgryzionym przez kraby i podziobanym przez mewy cieple, zniekształconej górze gnijącego mięsa wyplutego przez diabli wiedzą jakich bogów, boginie czy bezpłciowe bóstwa, które nazywają ziemski ocean swoim królestwem.

Na piasku przed nią jest szczelina i z początku Edith myśli, że to tylko dołek zrobiony jej własnymi pracowitymi palcami. Pochyliła się do przodu i teraz przemawia wiatr, choć ona nie potrafi stwierdzić, czy te słowa są przeznaczone dla jej uszu. Nie umie powiedzieć, czy są przeznaczone dla jakichkolwiek uszu.

*Są historie, które nie mają właściwego początku. Historie, w których nie istnieje wygodne, znajome: „Dawno, dawno temu”. Mogą one na przykład być zawarte w innych, większych historiach, wplecione w nie tak, że rozdzielenie ich jest arbitralnym zadaniem. Powiedzmy zatem, że to historia o tym gatunku. Nie zaczniemy jej opowiadać tam, gdzie naprawdę się zaczęła, bo taka rzecz wymagałaby cierpliwości i niezbędnego czasu na nieskończone cofanie się. Mogę powiedzieć, że morze miało córkę, choć ona*



*spędziła każdy dzień swojego życia na suchym lądzie. I od razu zgiełk setek pytań, jak w ogóle taka rzecz jest możliwa. Jaka jest natura morskiego łona? Z czym lub z kim on czy ona się spotkała, żeby stać się brzemienną? Co z akuszerką? Ile trwa ciąża u wszystkich oceanów świata albo jaka jest liczba plemników w spermie, kiedy rozważa się ocean jako jedną istotę? I skoro już przy tym jesteśmy, jaki panteon mam na myśli, kiedy mówię „morze”? Kazirodczy związek Okeanosa i jego siostry Tetydy? Posejdona czy Neptuna, Aegira i Rán, Susanoo shintoizmu czy Arnappkapfaaluk Inuitów?*

*Mam na myśli tylko morze.*

*Morze miało córkę, ale ona była sierotą. Dorastała w mieście ludzi, mieście u ujścia dwóch rzek, które płynęły do dużej zatoki, zasilane przez inne rzeki i usiane ponad trzydziestoma skalistymi wyspami. Tutaj była dzieckiem, a potem młodą kobietą. Myślała, że tutaj stanie się starą kobietą. Nigdy nie pragnęła podróżować i nigdy nie zapuściła się daleko w głąb lądu. Widziała fotografie górskich pasm i czytała opisy wielkich pustyń świata, i to jej wystarczało.*

*Edith przykłada czubek palca wskazującego do bliższego końca szczeliny w piasku. Tylko że to nie jest piasek, choć w jego składzie jest coś z granulek kwarcu, płatków miki i ciemnych drobinek skalenia. To ciało zrobione z piasku, myśli, albo piasek pracowicie zrobiony z ciała. Teraz widoczna jest brzydka fizjologia: wargi większe i mniejsze, żołądź łechtaczki i napletek łechtaczki. Szczelina płacze albo po prostu wydziela coś nie tak bardzo różniącego się od morskiej piany. A w niej leży kamień w kształcie łyzy, który Sammie wsunęła w siebie, stojąc w wannie.*

*Myślisz, że to był dobry pomysł?*

*To list w butelce. Wiadomość, na którą nikt nie spodziewa się odpowiedzi, ale wciąż je wysyłamy.*

*Edith wyjmuje kamień ze szpary w piasku, a ta od razu się zamyka, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Ona patrzy przez chwilę na to miejsce i już rozumie. Potem wrzuca kamień do morza. Nie ma żadnego plusku. Fala zabiera go bez żadnego dźwięku i bez najmniejszej zmarszczki.*

*Obwód został zamknięty, myśli Edith, choć metafora nie wydaje się jej odpowiednia.*

*Patrzy na niebo i widzi ptaki zataczające kręgi na tle skłębionych chmur. Sen wypycha ją z powrotem na jawę i przez chwilę Edith leży nieruchomo,*

mrużąc oczy, patrząc w półmrok świtu i słuchając, jak gdzieś w pokoju cicho szlocha jakaś kobieta.

## 5

Kiedy Edith miała siedem lat, zobaczyła syrenę. Pewnego letniego dnia pojechała na piknik z ciotką i wujkiem, którzy ją wychowali (po śmierci jej rodziców), na skaliste wybrzeże pod latarnią morską Beavertail na wyspie Conanicut. Są tam baseny pływowe, głębokie, ziejące szczeliny między nachylonymi warstwami łupku i filitu, i właśnie w jednym z nich zobaczyła syrenę, która nagle podpłynęła do powierzchni, jakby się na nią rzucała. Dziecięcy umysł najbardziej zaskoczyło to, jak mało ta istota przypominała syreny, które Edith widziała na filmach i w komiksach, że nie jest to ładna dziewczyna z ogonem ryby. Mimo to od razu rozpoznała, co to jest, choćby tylko dlatego, że to nie mogło być nic innego. I była również zaskoczona, że ta istota wydawała się głodna. Syrena nie wychynęła na powierzchnię basenu, lecz uniosła się tuż pod tą pofalowaną, lśniąca membraną, która dzieliła jeden świat od drugiego.

*Mogę powiedzieć, że morze miało córkę, choć ona spędziła każdy dzień swojego życia na suchym lądzie.*

Syrena obserwowowała ją przez chwilę, a Edith obserwowowała syrenę. Istota miała czarne oczy jak dziury w nocnym niebie i wydawało się, że nie ma powiek. Przynajmniej Edith nie widziała, żeby mrugały. A potem, równie nagle jak się pojawiła, syrena zanurzyła się z powrotem w głębokiej szczeliny w skałach, nie zostawiając dla siedmioletniej dziewczynki nic oprócz chlupoczącej powierzchni zbiornika. Później Edith opowiedziała cioci i wujkowi, co widziała, a oni oboje się roześmiali (choć miło) i wyjaśnili, że to była tylko foka pospolita, a nie syrena.

Kiedy tamtego wieczoru wrócili do domu, wujek nawet pokazał jej kolorowe zdjęcie foki w jednej ze swoich encyklopedii. Edith pomyślała, że to tłusty pies, który nauczył się żyć w oceanie, bo zupełnie nie wyglądał jak syrena, która ją obserwowowała. Ale nie powiedziała tego wujkowi, bo zaczęła podejrzewać, że to coś złego zobaczyć syrenę, i za każdym razem, kiedy się ją widzi, trzeba przyznać, że tak naprawdę widziało się fokę, bo tego wszyscy oczekują. I właśnie to zrobiła. Ciocia i wujek z pewnością mieli dość kłopotów bez jej syren, których nie powinna widzieć.

Tydzień później ponownie ją ochrzcili.

Wujek zabił okno jej sypialni.

Ciocia zmuszała ją do odmawiania co wieczór modlitwy przed pójściem spać i wszyła gałązki suchego piołunu w jej ubrania.

Nigdy więcej nie wrócili w to skaliste miejsce pod latarnią Beavertail i zawsze urządzali pikniki daleko od morza.

## 6

Edith nie wątpi, że teraz się obudziła, tak jak chwilę wcześniej nie wątpiła, że nadal śni. To nie jest następna warstwa ani następna pomalowana drewniana laleczka w matrioszce. To jest świat jawy, świadomego umysłu, i tym razem ona nie zaprzeczy dla zdrowia psychicznego czy wygody. Zawsze było w niej za dużo kłamstw, za dużo udawania. Kiedy jej wzrok przyzwyczajają się do porannego światła, Edith siada na łóżku. Sammie nadal płacze gdzieś w pokoju, gdzieś bardzo blisko, i gdy tylko Edith się podnosi, widzi ją kucającą nago na podłodze w nogach łóżka. Wokół niej posadzka jest mokra. Sammie jest odwrócona do niej plecami, a głowę ma schyloną, tak że jej czarne włosy zwisają do sosnowych desek. Edith od razu zerka na małą szafkę przy łóżku, ale dziwny kamyk w kształcie łyżki z plaży Moonstone zniknął. Wiedziała, że tak będzie, ale i tak spojrzała. Powietrze w pokoju pachnie jak targ rybny.

Sammie albo istota, która teraz zajęła w tym wszechświecie miejsce, które kiedyś zajmowała ona, przestała szlochać i zaczęła urywany, przenikliwy śpiew w języku, którego Edith nie zna i chyba nigdy nie słyszała. Brzmi on bardziej jak zimowy wiatr, jak fale toczące się po piasku, jak krzyk mew srebrzystych niż jak ludzka mowa. Edith otwiera usta i chce zawołać Sammie, ale się powstrzymuje. Istota na podłodze prawdopodobnie i tak nie zareagowałaby na to imię. A ona wolałaby nie używać żadnych imion, na które tamta by zareagowała.

Jej skóra ma taką samą groszkową barwę jak zaginiony kamień i nosi te same znaki, które były na nim wyryte. Takie same rany, każda brzemienne znaczeniami i konotacjami, które Edith dopiero zaczyna pojmować. Jest tam pentagram – albo coś prawie takiego jak pentagram – wycięty głęboko na ramionach Sammie, pionowa linia swastyk zdobi całą długość jej kręgosłupa. Wszędzie tam, gdzie to nowe ciało zostało rozcięte, sączy się tłusta czarna substancja, która musi być krwią. Pod swastykami, tuż nad pupą, jest symbol, który przypominał im obu grecki ichtys. Edith zastanawia się, czy Sammie narodziła się na nowo z tymi ranami jak ze znamionami, czy one pojawiły się później, nie różniąc się tak bardzo od stygmatów katolickich świętych. A może zostały zadane przez nią samą. Edith przypomina sobie własne dłonie we śnie, ostre pazury w miejscu

paznokci. Ostatecznie nie ma znaczenia, jak powstały te znaki; ich sens pozostaje taki sam.

*Myślisz, że to był dobry pomysł?*

*To list w butelce. Nikt nigdy nie oczekuje odpowiedzi, ale nadal je wysyłamy.*

– Kiedy będziesz gotowa – mówi Edith niemal szeptem – ja będę tutaj. Nie ma pośpiechu. Wiem, jak długo czekałaś. – Potem kładzie się z powrotem i odwraca twarzą do ściany.

## **Niebezpieczeństwo uwolnionych obiektów albo uwiedzenie voyeura**

Arabella Hopestill już nie może sobie przypomnieć, gdzie albo kiedy kupiła starą czerwoną książkę. Przypuszcza, że w lecie albo wczesną jesienią, bo pamięta tylko, że dzień był bardzo gorący. Powietrze cuchnęło wtedy kurzem, kulkami naftaliny i jej własnym kwaśnym potem, a ona często myśli, że było tam dużo innych książek. Czasami wydaje się, że zdobycie tego skarbu stanowiło coś w rodzaju koniecznej próby, zadania polegającego na wyborze tej jednej książki spośród setek czy tysięcy innych. Ale prawda, której ona jeszcze nawet nie zaczęła podejrzewać, jest taka, że to książka ją wybrała, jak zawsze było i zawsze będzie. W czasie millenium od jej ucieczki z krainy snów tylko raz krótko poddała się woli ludzkiej istoty, a na koniec ten człowiek drogo zapłacił za ten przywilej i zniewagę.

Ale Arabella Hopestill nic nie wie o niewoli czerwonej książki u tamtego zapomnianego włoskiego astrologa i alchemika – martwego od pięciuset lat i pochowanego w katakumbach pod Palermo – podobnie jak nie zna jej pochodzenia z onyksowego portu morskiego Inquanok, pod wysokimi, wypolerowanymi murami Świątyni Starych Bogów. Nie wie o nieludzkich kapłanach, którzy strzegli jej w nieoświetlonych podziemnych komnatach. Ani o wypadku czy błędzie, który pozwolił jej w końcu wymknąć się spod czujnego wzroku i trafić za morze do Celephais w Ooth-Nargai, a stamtąd, z czasem, do bazaltowych wież Dylath-Leen, do Nir, do Ulthar i za zielone równiny graniczące z rzeką Skai. Arabella nigdy nie domyśli się zgubnego paktu, który pozwolił czerwonemu woluminowi bez tytułu znaleźć w pieczarze ognia drogę obok kapłanów Nashr i Kaman-Thah, a potem pokonać siedemdziesiąt stopni w górę na świat jawy. Te

sprawy są tajemnicami, które książka ukryła przed wścibskimi oczami i umysłami, żeby nigdy nie trafić z powrotem w ręce strażników ze Świątyni Starych Bogów.

Arabella wie tylko, że już nie może dłużej znieść życia bez niej. Już sama myśl, że któregoś dnia ją straci, przyprawia ją o zimne poty i bezsenność. Spędziła za dużo lat w jej towarzystwie i jest przerażona perspektywą egzystencji bez tych perwersyjnych rewelacji nie do opisania, którymi ona chętnie się dzieli, gdy Arabella zdejmuje ją z najwyższej półki i otwiera okładki z czerwonej skóry. Papier jest kruchy i żółtawobrazowy jak skamieniała kość słoniowa. Nie ma strony tytułowej, bo inkunabuł nigdy nie został nazwany. Nie ma autora, bo żadnego nie potrzebowała. W rzeczywistości nigdzie wewnątrz tomu nie znajdzie się ani jedno słowo pisane. Nie jest to księga liter, tylko księga obrazów. Nie czyta się jej tak po prostu. To raczej ona odczytuje najskrytsze koszmary i najbardziej tłumione apetyty tych, których wzrok na nią pada, i w rezultacie pokazuje im to, co zawsze pragnęli zobaczyć (choć może nigdy nie byli świadomi swoich tęsknot). W ten sposób można uczciwie powiedzieć, że jest tak samo lustrem jak książką, a Arabella Hopestill, zagubiona, samotna i zadowolona po raz pierwszy w życiu, stała się wielbicielką jej niezliczonych odbić.

Nie potrzebuje innych luster, przekonawszy się jeszcze jako młoda kobieta, że jest zbyt pospolita, by zainteresować jakiegoś kochanka, zbyt bezbarwna i ograniczona, żeby przyciągnąć jakiegokolwiek zalotnika, i beznadziejnie pozbawiona najmniejszej szansy na małżeństwo. „Nie nadaje się na dziwkę”, stwierdził pewien urodziwy mężczyzna w roku, kiedy skończyła dwadzieścia lat. Powiedział jej to, wymówił tych pięć słów, a potem się roześmiał, i jeśli jakimś atroficznym resztkom godności i poczucia własnej wartości udało się przetrwać pierwsze dwie dekady jej życia, w tej jednej chwili zniknęły bez śladu.

Książka stała się jej kochankiem albo ona tak czasami udaje. Książka stała się wszystkim, czego Arabella kiedykolwiek będzie potrzebować.

Tamtego wieczoru w sierpniu Arabella kładzie księgę na stole przy otwartym oknie, żeby czuć chłodną słoń bryzę wiejącą od portu. W pokoju nie ma innego światła oprócz słabego blasku księżycy (dwie noce po pierwszej kwadrze) wpadającego do pokoju. Arabella nauczyła się, że książka jest najbardziej chętna, kiedy trzyma się ją z dala od ostrego blasku żarówek elektrycznych, i że nawet światło świec może stłumić wizję, które ona podsuwa. Otwiera ją w przypadkowym miejscu, nie szukając żadnej



konkretnej strony. Rozlega się cichy świst, jakby odpieczętowała próżnię, ale trwa on tylko chwilę. Potem w pokoju zapada cisza, nie licząc ruchu ulicznego, stłumionych głosów dobiegających z mieszkania obok, pieśni nocnych ptaków i podnieconego dudnienia jej własnego serca.

– Pokaż mi – szepcze. – Pokaż mi coś, czego wcześniej nie widziałam. Pokaż mi coś nowego i okropnego.

I książka natychmiast spełnia jej życzenie, jak zawsze. Pusta strona po prawej nagle robi się czarna jak sadza i dziwnie przezroczysta. Arabella ma niejasne wrażenie, że jakaś wewnętrzna, na wpół ukryta jasność stara się uwolnić z papieru, coś uwięzionego przez nieznaną liczbę eonów między okładkami jak osa zatopiona w kawałku bursztynu. Jeśli to jest walka, a nie jedynie uwertura, zanim kurtyna się podniesie, nie trwa długo i sekundy później Arabella patrzy przez czerwoną księgę na małą łąkę otoczoną ze wszystkich stron świerkami i dębami tak wyniosłymi, że najwyższe gałęzie wydają się drapać odsłonięty brzuch nieba. Na zielonej łące fioletowe kwiaty orlika rywalizują z zawilcami i gwiazdzistymi żółtymi kwiatami, których Arabella nie rozpoznaje. Dziki strumień wije się przez trawy, jego brzegi są błotniste, porośnięte trzcinami, rzęśłami i jaskrami wodnymi. Tu i ówdzie potok się marszczy i pluszcze, sunąc nad płytko zanurzonymi wychodniami skał.

– Coś okropnego – powtarza Arabella, jakby to było możliwe, że książka źle ją zrozumiała za pierwszym razem.

I wtedy Arabella widzi jednoroźca i dziewczynę niedaleko strumienia. Z pewnością musieli tam być przez cały czas, ale ona wcześniej jakoś ich nie zauważyła. Kobieta jest bardzo młoda, suknia wisząca na niej w strzępach wygląda jak utkana ze złotej nici, sądząc po tym, jak lśni w jasnym słońcu padającym na łąkę. Nawet plamy błota nie tłumią blasku złotej tkaniny. Kobieta klęczy podparta na rękach, a długie kasztanowe włosy zasłaniają jej twarz. Wydaje się, że ściska ziemię, jakby bała się upaść. Nie w dół, bo z pewnością nie może upaść niżej, ale w górę, w rozległe niebo ciągnące się błękitem nad łąką, puste i głodne. Jej palce są zanurzone głęboko w błoto.

– Tak – szepcze Arabella. – Dziękuję. Tak.

Kiedyś śniła się jej ta scena, wiele lat temu, choć ona nie pamięta tego snu. Książka zna wszystkie sny ludzkości i wielu innych istot i wypluwa je, kiedy uzna to za stosowne.

Jednorożec jest prawdziwym jednorożcem, a nie jedynie białą klaczą z rogiem wyrastającym z czaszki. W równym stopniu przypomina kozła, łanię czy jakiś bajkowy gatunek białej antylopy, jak dowolnego konia. Jego niespokojny ogon przypomina lwi, a spiralny róg, od którego stworzenie bierze nazwę, mógłby być wyrwany z górnej lewej szczęki narwala. Stoi nad kobietą, parska i podkutymi kopytami grzebie w błotnistej ziemi. Jego ogromny kutas jest prawie w takim samym odcieniu czerwieni jak skóra, w którą oprawiona jest książka. Jednorożec obnaża zęby, a kiedy parska, z jego rozdętych nozdrzy bucha para.

A więc taka scena rozgrywa się na stronie książki: kobieta tratowana przez gniewnego jednorożca w okresie godowym. Arabella przygląda się uważnie, mrużąc oczy, żeby zauważyć każdy szczegół, nieważne jak straszny, drobny czy pozornie nieistotny, chłonie wszystkie, bo nauczyła się, że książka nigdy nie podsuwa tej samej wizji dwa razy. A ona wie, że tym obrazem będzie chciała się rozkoszować wciąż od nowa.

Jednorożec pochyla kudłatą głowę i lśniącem rogiem zdziera to, co zostało ze złotej sukni. Kolejnym ruchem rogu robi głębokie nacięcie na białych plecach kobiety. Ona krzyczy z bólu i strachu, a potem jednorożec ją dosiada. Ona próbuje się uwolnić, strząsnąć z siebie zwierzę i odpełznąć do strumienia. Ale z błota wyrastają grube korzenie i oplatają się wokół jej nadgarstków, kostek i szyi, jakby sama natura konspirowała przeciwko niej albo, myśli Arabella, jakby jednorożec rozkazywał wszystkim zielonym, rosnącym rzeczom. Kobieta znowu krzyczy, kiedy bestia w nią wchodzi.

Arabella oblizuje wąskie, suche wargi i chwyta za brzeg stołu stojącego przy otwartym oknie.

A w krainie snów, za siedemdziesięcioma stopniami i dzikim, zaczarowanym lasem grzybów, który leży za Bramą Głębszego Snu, za rzeką Skai i wąskimi, brukowanymi uliczkami Ulthar, za migotliwym morzem w onyksowym mieście Celephaïs, kapłani w szesnastobocznej Świątyni Starych Bogów przestają się modlić. Nawet po tylu wiekach nie stracili wszystkich związków z bezimienną czerwoną księgą, i w tych godzinach, kiedy ona w świetle jawy wymyśla swoje inscenizacje, ich dłonie i stopy krwawią odrażającą, żrącą posoką. Głęboko pod świątynią, w katakumbach, które kiedyś więziły wolumin, jeden z kapłanów został zakuty w łańcuchy jako stałe przypomnienie ich niewybaczalnego błędu. Ten nieszczęśnik, ktoś w rodzaju ochotnika, bierze na siebie większość winy za ucieczkę inkunabułu. Ucięto mu język, żeby nigdy nie opowiedział

o okrutnych obrazach pokazywanych przez książkę mężczyznom i kobietom, którzy, podobnie jak Arabella Hopestill, stali się katalizatorami jej niszczących wizji. To, czym krwawi uwięziony męczennik, jest nie do opisania.

Arabella wpatruje się w stronę, podczas gdy czerwona księga patrzy na nią, i dzięki jakiejś odwiecznej magii kobieta czuje cały ból, przerażenie i upokorzenie tamtej dziewczyny, jej oburzenie i rozpacz. Ale Arabella Hopestill ma również dostęp do wszystkich wrażeń i doznań jednoroźca. Czuje na języku smak krwi gwałconej kobiety, upaja się falami triumfu i bezgranicznym okrucieństwem, którym są skażone wszystkie nieśmiertelne istoty. Odczuwa każde brutalne pchnięcie, ale jest w takim samym stopniu gwałcicielem jak ofiarą, zniewoloną dziewczyną. I nie chciałaby, żeby było inaczej. Doświadczenia, które książka jej przekazuje, byłyby niekompletne i całkowicie niesatysfakcjonujące, gdyby dostała tylko połowę każdego z tych wszystkich *tableau* (albo w bardziej złożonych sytuacjach tylko jedną trzecią, jedną piątą albo jedną piętnastą).

Arabella drży i dochodzi jednocześnie z jednoroźcem. Znajduje siłę, żeby na chwilę oderwać wzrok od strony książki i posłuchać, jak przedrzeźniacz powtarza swój repertuar ukradzionych melodii. Nie można mieć pewności, czy ptak jest na łące wyczarowanej przez księgę, czy gdzieś za otwartym oknem. Wpadający przez nie wiatr cuchnie spalinami samochodów, a Arabella uświadamia sobie, że mocno przygryzła sobie język. Niepewną ręką wyciera krew i ślinę z ust i brody, śmieje się nerwowo. Ekstaza szybko blednie w jej umyśle i ciele, podobnie jak męczarnie dziewczyny, jej udręka i upodlenie, które ona teraz zna, jakby były jej własnymi. Arabella patrzy z powrotem na książkę, a strona już robi się nieprzejrzysta wokół brzegów.

– Póki żyję – szepcze – będę cię strzegła. Póki żyję, będę cię pilnowała.

Na brzegu strumienia dziewczyna leży bez sił, wrak w złotej sukni. Jej orzechowo-zielone oczy nie są bez życia, ale puste jak szklane oczy porcelanowej lalki. Korzenie, które ją pętały, cofnęły się do błota.

– Póki żyję – szepcze Arabella.

Jednorożec przednią nogą przetacza kobietę na plecy, potem staje całkiem nieruchomo, biały jak rzeźba wyciosana z alabastru albo kości. Później odwraca się i odchodzi nieśpiesznie pod osłonę wysokich świerków i dębów. Arabella wie wszystko to, co on wie, a jednorożec jest całkiem pewien, że kobieta leżąca w błocie nosi w łonie jego córkę i że to dziecko

urodzi się wkrótce po tym, jak na łąkę spadną pierwsze zimowe śniegi i strumień zamarźnie.

Potem strona znowu jest pusta i krucha. Arabella Hopestill drżącymi rękami zamyka czerwoną księgę i siada, żeby patrzeć na samochody przejeżdżające ulicą pod jej mieszkaniem.

Daleko w dole w krainie snów ręce i stopy kapłanów, którzy klęczą w Świątyni Starych Bogów, tracą swoje wstrętne stygmaty, a głęboko pod nimi ofiara zakuta w łańcuchy w końcu przestaje walczyć z pętami nie do zerwania. Kiedy słońce wstaje nad hebanowymi wieżami Inquanok, odpychając noc, szalenieć wślizguje się do koszmarów, które nawiedzają mieszkańców tej krainy, i śni swoje gorzkie, rozszczepione sny w snach.

# **U Bramy Głębszego Snu**

Byłoby łatwiej, gdybym tylko patrzyła, jak ona umiera. Ale wiem, że jestem świadkiem czegoś znacznie gorszego, przemiany, która nie zakończy się ostatecznym, spokojnym zapomnieniem śmierci. Jest sama w szerokim kręgu, który narysowałyśmy pastą z białej kredy i świńskiej krwi, a ja przysięgłam Suzanne, że nigdy nie przekroczę tego straszliwego obwodu, nieważne, co zobaczę czy usłyszę, i nieważne, co ona może powiedzieć. Ona jest tam sama z metalowym pudełkiem i z tym, co ono zawiera, a ja sama na zewnątrz, z całym światem wokół mnie. Tylko się wydaje, jakby cały świat zniknął. Tylko się wydaje, że cały wszechświat skurczył się do przestrzeni o średnicy nie większej niż jej krąg. Może byłoby łatwiej, gdyby zmniejszenie się kosmosu było czymś więcej niż iluzją.

Dwie kobiety, same, na końcu tego wszystkiego, co kiedykolwiek było i co kiedykolwiek będzie.

Tak byłoby łatwiej.

Suzanne leży, drżąc, na lewym boku, jej oczy podążają za mną, kiedy ołówkiem węglowym odtwarzam koło ochronnych runów i symboli. Straciłam rachubę, ile razy rysowałam je na podłodze. Rysuję, a drewno je wchłania. Albo one parują, albo po prostu przestają istnieć. Nie potrafię stwierdzić; to zresztą nie ma znaczenia. Mogę jedynie uważać i przywracać je za każdym razem, kiedy ta rzecz w pudełku, lśniąca rzecz uwięziona w kręgu z Suzanne, je zabiera.

Staram się myśleć, że to nic bardziej podstępnego niż zwykła infekcja – wirus albo bakteria – ta siła z wolną ją pożerająca i przemieniająca. Ale to kłamstwo, kłamstwo w żywe oczy, a ja nigdy nie byłam dobrym kłamcą.

– Jest rano? – pyta ona. Jej głos to ochrypły szept.

Podnoszę wzrok na wysokie okna, na wlewające się do środka letnie słońce, ale światło dnia wydaje się odległe i kompletnie nieistotne. Wiem, że rzecz w pudełku nie pozwala światłu wejść do naszego kręgu i że dla Suzanne jest tylko ciemność. Widziałam to bardzo krótko, zanim ona mnie odepchnęła. Widziałam ją, co więcej, czułam ją, tę czernią, która zawstydziłaby nawet wieczną noc na dnie najgłębszego rowu oceanicznego.

– Tak – odpowiadam. – Jest piękny dzień. Niebo jest błękitne. Nie ma żadnych chmur, niebo jest błękitne.

– Nic mi nie umyka – mówi ona.

Ja kiwam głową i wracam do rysowania na deskach podłogowych. Chcę powiedzieć coś więcej, coś dodającego otuchy, coś pocieszającego, ale jak już wspomniałam, jestem gównianym kłamcą. A Suzanne już nie potrzebuje zapewnień ani pocieszania. Wydaje bolesny dźwięk, niemal jakby płakała, a ja usilnie staram się nie patrzeć. Za dużo już widziałam, a każde nowe spojrzenie tylko osłabia moje zdecydowanie. Nie jestem w stanie jej pomóc. Nikt i nic nie jest w stanie. Ale nie mogę odwrócić się i zostawić kręgu bez pilnowania, podobnie jak nie mogę zostawić Suzanne jeszcze bardziej samej niż jest. Zaciskam więc zęby i rysuję węglem na lakierowanym drewnie. W pokoju jest gorąco, piekące strużki potu spływają po moim czole do lewego oka. Próbuję pozbyć się ich mruganiem.

– Znam imiona posłańca – mamrocze ona ochryple, a ja myślę, że to cud, że ona nadal może mówić po tym, co ta rzecz w pudełku zrobiła z jej wargami, zębami i językiem. Już nie nazwałabym tej sączącej się dziury w jej twarzy ustami.

– Oddaj mi jeszcze jedną cholerną przysługę – mówię i wiem, że jestem samolubna. – Oddaj nam obu przysługę i zatrzymaj je dla siebie.

– Ale on tak kocha słyszeć swoje imiona wypowiedane na głos przez żywe istoty – szepcze Suzanne. Wewnątrz kręgu rozlega się mokry, drżący dźwięk, a ona znowu milknie.

Nie ma jednak litości w jej milczeniu. Myślę, że nie zostało już żadnej litości albo, co bardziej prawdopodobne, litość zawsze była tylko bajką, którą opowiadałyśmy sobie, żeby przetrwać kolejne minuty. Na skraju kręgu, w obecności rzeczy nie całkiem zamkniętej w tamtym pudełku, wszystkie nasze hołubione złudzenia strzępią się i znikają. To dlatego, podejrzewam, symbole narysowane węglem na podłodze rozpuszczają się niemal tak szybko, jak je rysuję. Nigdy nie były niczym więcej niż symbolami, nigdy niczym bardziej żywym niż myślenie życzeniowe. Dobrotliwi bogowie nie zapewnili nam ochrony przed pustką, a rezultatem wszystkich naszych desperackich czarów jest bezsilność.

Wiem to z taką pewnością, z jaką wiem, że ten lśniący trapezohedron w pudełku niszczy ją i zmienia, żeby odpowiadała potrzebom tego, co go stworzyło niezliczone eony temu. To otwarte okno i jakaś potworność po drugiej stronie gapi się przez nie na Suzanne, podczas gdy ona spogląda przez niezmierzone otchłanie czasu i przestrzeni na obserwatora po drugiej stronie.

Z otwartego pudełka, które Suzanne wyłowiła z basenu pływowego, znowu dobiegają dźwięki piszczałek i żywiołowe, beztroskie kroki tancerzy, którzy wirują, podskakują i wyją przed tronem Chaosu. Wyraźnie słyszę tę bezbarwną, monotonną muzykę sączącą się ze wszystkich symetrycznie nachylonych ścian w kształcie latawca. *Byłoby tak łatwo, myślę, dołączyć do Suzanne.* Łatwo i sprawiedliwie. To jest najgorszy uczynek w całym moim życiu: pozwolenie, żeby sama stawiała czoło otchłani.

W końcu unoszę głowę i patrzę na nią wprost po raz pierwszy od wielu godzin i w tym momencie rozumiem, że jestem dokładnie takim samym tchórzem jak Perseusz, który odważył się spojrzeć w twarz Meduzy niebezpośrednio, i że Suzanne stała się wypolerowaną tarczą wojownika.



### 03

Leżymy razem w łóżku. Całuję ją, ona smakuje jak morze. Albo to tylko zapach sklepu pod jej małym zagraconym mieszkaniem przy Wichenden Street, sklepu z tropikalnymi rybami i akwariami, a ja mylnie biorę to za jej smak. Ale to nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Dzieje się za dużo rzeczy, które nigdy wcześniej się nie wydarzyły. Na przykład patrzę w jej oczy i przez chwilę nie jestem w stanie odnaleźć jej w tych oczach. Przez chwilę nie widzę nic, co można by pomylić z człowieczeństwem. A potem ona mruga i się uśmiecha i jej oczy znowu są oczami Suzanne.

– Jest pod łóżkiem – mówi, choć nie zapytałam, gdzie trzyma pudełko ze skalnej sadzawki.

– Nie mogłaś wymyślić innego miejsca? Gdzieś nie pod łóżkiem?

– To cię nie niepokoi, prawda? – pyta ona, nadal się uśmiechając, a ja sędzę, że tylko udaje zaskoczenie.

Oczywiście, że niepokoi mnie sama myśl o metalowym pudełku i jego zawartości, schowanym pod nami w cieniach i kurzu. Niepokoi mnie, że ono tam stało, kiedy się kochałyśmy, a ja o tym nie wiedziałam. Przeszkadza mi, że nie zostawiłyśmy go tam, gdzie Suzanne je znalazła prawie tydzień temu, wyrzucone między skały pod latarnią morską, razem z wodorostami i krabami.

– Tak, prawdę mówiąc, trochę mnie to denerwuje – przyznaję niechętnie, a Suzanne się śmieje i trąca nosem moje nagie piersi.

Jej usta muskają moją lewą brodawkę, a ja się wzdrygam. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Niezupełnie. Wiem tylko, że ten krótki kontakt powoduje nieoczekiwane i niemal bolesne doznanie, które sprawia, że się wzdrygam. Nie umiem go opisać inaczej niż przez analogie. Wydaje się ono jak wstrząs elektryczny. Jak kostka lodu przyłożona do skóry. Wydaje się ostre i gorące jak igła pistoletu do tatuażu.

Suzanne na mnie patrzy i marszczy brwi.

– To tylko dziwne stare pudełko – mówi.

– Musi być w mieszkaniu jakieś inne miejsce, gdzie możesz je trzymać, niekoniecznie pod łóżkiem. – Staram się nie wyjść na nieracjonalną. Ostatecznie to nie moje mieszkanie i nie moje łóżko. Ale jeśli wyraz jej twarzy jest jakąś wskazówką, nie idzie mi dobrze.

– Jasne – mówi Suzanne, unosząc się i opierając na łokciu. – Jeśli ono tak bardzo cię denerwuje, przeniosę je. Mogę postawić je na regale z książkami albo na dnie szafy. Co wybierasz?

– Szafa to całkiem dobry pomysł – odpowiadam, a ona wzdycha i kiwa głową.

– Nie sądzę, żebym kiedyś widziała cię tak wystraszoną – stwierdza.

Wstaje z łóżka i sięga po szlafrok. Podarowałam go jej na ostatnią gwiazdkę, jest z ciemnoczerwonej satyny w białe róże. Suzanne nie zawiązuje paska, tylko zostawia poły rozchylone.

– Jesteś rozczarowana? – pytam, obserwując ją, kiedy schyla się, żeby wyciągnąć pudełko spod łóżka. – Może masz wątpliwości?

– Nie, zdecydowanie nie mam żadnych wątpliwości. Po prostu ty zawsze starasz się być taka męska i w ogóle, a teraz jakiejś stare pudełko przyprawia cię o dreszcze.

– No cóż, to cholernie dziwne stare pudełko.

Suzanne się prostuje, trzymając je w obu rękach. Ono wcale nie jest ciężkie. Wiem to, bo to ja niosłam je ze skalnej sadzawki do jej samochodu. Białawożółty metal połyskuje lekko w blasku lampy stojącej na nocnej szafce. Na wieczku i wszystkich sześciu bokach są płaskorzeźby, teraz zniszczone i powgniatane, ale nadal wyraźnie widoczne. Myślę, że wzory mają przedstawiać żywe stworzenia, ale przywodzą mi na myśl raczej biomechaniczne potwory z obrazów i rzeźb H.R. Giger. Nie lubię patrzeć na te groteskowe wizerunki, ale stwierdzam, że trudno mi oderwać od nich wzrok. Prace Giger'a zawsze miały na mnie taki sam wpływ.

Suzanne niesie pudełko przez małą sypialnię i otwiera drzwi szafy, potem patrzy przez chwilę na ubrania nieporządnie upchnięte w środku.

– Twierdzisz, że nie czujesz się przez nie nieswojo? – pytam. – Ani ociupinkę?

Ona wzrusza ramionami i stawia pudełko na podłodze. Potem zaczyna grzebać w swoich rzeczach, żeby zrobić więcej miejsca. Rzuca dzinsy przez ramię, a one lądują niedaleko łóżka, z nogawkami rozłożonymi na boki.

– Chcę wiedzieć, co to jest – mówi Suzanne. – Chcę wiedzieć, co to jest, skąd się wzięło, kto i po co je zrobił.

– Nie chcesz za dużo, prawda?

– Tylko księżyc – śmieje się Suzanne. – I nie waż się mówić, że ciekawość zabiła kota. Nigdy nie spotkałam kota, który radziłby sobie lepiej bez ciekawości.

– Nie zamierzałam tego powiedzieć.

– To dobrze – mówi ona, a z szafy frunie w powietrze wielki kłęb majtek, T-shirtów i jeszcze więcej dżinsów. – Ale jeśli przysięgniesz, że nie ześwirujesz, powiem ci coś dziwnego. Po południu zrobiłam parę estampaży pudełka. Po jednym każdego boku.

Przewracam się na plecy i patrzę w sufit, żałując, że nie mam papierosów, bo Suzanne przekonała mnie do ich rzucenia.

– Coś dziwnego – powtarzam jak czujne echo.

– Pudełko ma sześć boków jak większość pudełek. To znaczy, że w zasadzie jest to pusty w środku sześcian. Użyłam jednej kartki na każdy bok. Ale – i tutaj robi się dziwnie – kiedy skończyłam, miałam estampaże na ośmiu arkuszach. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że robię osiem, dopóki ich nie zrobiłam.

– Straciłaś rachubę i zrobiłaś dwa boki dwa razy? – podsuwam, ale w ustach mi zasycha, a na ramionach występuje gęsia skórka. Wątpię, czy brzmie przekonująco.

– Jasne, pomyślałam o tym od razu. Ale kiedy porównałam estampaże, wszystkie były różne. A kiedy próbowałam porównać wszystkie z płaskorzeźbami na pudełku, znajdowałam tylko sześć. To znaczy na pudełku.

Siadam i patrzę na nią. Suzanne jest zwrócona plecami do mnie. Właśnie umieściła pudełko w szafie i jest zajęta rzucaniem na nie brudnych ubrań.

– I potem schowałaś je pod łóżku? – pytam.

– To tylko pudełko – powtarza ona i zamyka szafę. – Na pewno później to wszystko rozgryzę. Dziwne rzeczy się zdarzają, wiesz? Ale nie możesz pozwolić, żeby to cię przerażało. Jako mała dziewczynka byłam pewna, że widziałam morskiego potwora, ale okazało się, że to była tylko foka.

Leżę, patrząc w sufit, starając się nie myśleć o pudełku ani o lśniącej rzeczy w środku, ale nie mogę myśleć o niczym innym. Minutę później Suzanne wraca do łóżka.

Jest prawie ciemno, a ja oglądam coś w telewizji, kiedy Suzanne wraca z Salem. Sięgam po pilota, wciskam guzik i ekran robi się ciemny. Ona skarży się na ruch między Bostonem a Providence i na ogół bostońskich kierowców. Piję łyk taniej szkockiej, którą sączę przez ostatnie pół godziny. Cały lód się roztopił, boki szklaneczki są śliskie od pary. Staram się nie zwracać uwagi na dziwnie intymny sposób, w jaki Suzanne trzyma pudełko, i jestem wdzięczna, kiedy odstawia je na kuchenną ladę. Jestem wdzięczna, kiedy już go nie dotyka.

– Cóż, wyjazd nie był całkiem bezproduktywny – mówi ona i siada na stołku barowym przy ladzie. Są ich trzy i mają poduszki obite jakimś lśniącem czerwonym winylem z plamkami złotego brokatu. Wygląda on jak sztuczna skóra naugahyde, ale nie jestem pewna. Suzanne znalazła je tanio w Armii Zbawienia przy Pitman Street. Tu i ówdzie na obiciu widać przypalenia od papierosów.

– Myślałam, że wrócisz wcześniej.

– Już mówiłam, że wszystko przez ten pieprzony ruch – przypomina mi Suzanne i wyjmuje manilową teczkę z groszkowej torby na laptopa. Kładzie ją na blacie i dwa razy stuka w nią palcem wskazującym.

– Co odkryłaś? – pytam.

Suzanne trzeci raz stuka w teczkę i odpowiada mi pytaniem:

– Słyszałaś kiedyś o Kościele Gwiazdnej Mądrości?

– Czy to nie był jeden z tych małych klubów Aleistera Crowleya? – pytam, patrząc na ciemny ekran telewizora.

– Nie, nie jest. Nie był. Nieważne. – Suzanne otwiera teczkę, ale ja się nie odwracam. – To było na długo przed Crowleyem. Wspólnotę założył egiptolog i okultysta Enoch Bowen około tysiąc osiemset czterdziestego czwartego. A przynajmniej w maju tamtego roku wrócił z wykopalisk na wschodnim brzegu Nilu niedaleko Teb. W następnym lipcu kupił opuszczoną świątynię baptystów na Federal Hill i założył Kościół Gwiazdnej Mądrości.

– Nigdy o nim nie słyszałam – mówię.

– Ja też nie. Ale to nic dziwnego. Cokolwiek Bowen i jego wyznawcy zamierzali, zdaje się, że niezbyt dogadywali się z miejscowymi. W grudniu

tysiąc osiemset czterdziestego czwartego kapłani z Providence potępili Gwiezdną Mądrość. Cztery lata później pojawiły się plotki o krwawych ofiarach, o kulcie diabła, tego rodzaju rzeczy. Dochodziło do różnych skandali i aktów wrogości. W roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim w kongregacji Bowena było co najmniej dwieście osób. Chyba w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym wkroczył Thomas Doyle, w tamtym czasie burmistrz Providence, i kościół został zamknięty. Profesor Bowen i większość jego wyznawców opuścili Providence. Są plotki, że kult Gwiezdnej Mądrości odrodził się w innych miejscach. Najpierw w Chicago, a pod koniec dziewiętnastego wieku gdzieś w Yorkshire.

Suzanne przypomina mi uczennicę czytającą referat przed klasą.

– Barwna historia. – Piję kolejny łyk wodnistej, letniej szkockiej. – Ale co ona ma wspólnego z twoim pudełkiem i jego zawartością?

– Prawie wszystko – odpowiada Suzanne coraz bardziej zirytowanym tonem, a ja oglądam się na nią przez ramię. Wygląda na zmęczoną. Zmęczoną, ale podekscytowaną. Roztrzęsioną. Zdenerwowaną. Zmusza się do uśmiechu i mówi dalej:

– Specjalnie udajesz tępą. Kiedy Bowen wrócił z Egiptu w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym, przywiózł pewien artefakt, który znalazł podczas wykopalisk. Rzeźbę, kamień czy kartusz. Ten artefakt, „Jaśniejący Trapezohedron”, jak go nazwali, miał być czymś w rodzaju magicznej bramy. Bowen i jego zwolennicy uważali, że dzięki niemu mogą porozmawiać ze starożytnymi egipskimi bogami albo nawet z bogami starszymi niż egipczy. Ta część nie jest jasna, komu dokładnie albo czemu oddawali cześć. W każdym razie artefakt był używany do ich wzywania. Kult Gwiezdnej Mądrości wierzył, że w zamian za krwawe ofiary i rytuały seksualne – jak zwykle – bogowie wyjawiają im wszystkie tajemnice wszechświata.

Odwracam się z powrotem do telewizora i zastanawiam, czy go włączyć.

– Nie wierzysz w ani jedno słowo, prawda?

– Nieszczególnie – odpowiadam.

– Wcale tego nie zmyślam. Mam fotokopie artykułów ze współczesnych gazet.

– Nie powiedziałam, że zmyślasz. Nie to miałam na myśli. Nie to powiedziałam.

– Z pewnością tak to zabrzmiało. – Suzanne wzdycha.

Boże, jak ja nienawidzę, kiedy ona się obraża. Kończę szkocką i odstawiam pustą szklaneczkę na podłogę obok futonu.

– Więc mówisz, że ta rzecz w twoim dziwnym żółtym pudełku to Jaśniejący Trapezohedron Bowena?

– Tak, właśnie to mówię.

– Ale czy członkowie sekty nie zabrali swoich świętości ze sobą, kiedy uciekali z Providence?

– Jeśli nie zamierzasz traktować mnie poważnie, przestanę mówić, dobrze?

Zamykam oczy. Zaczyna mnie boleć głowa. Tępe, słabe pulsowanie usadowiło się tuż za oczami.

– Muszę być w pracy za pół godziny – oznajmiam. – Zamieniłam się z nowym gostkiem. Dziś wieczorem restauracja będzie pełna, a mnie się to nie uśmiecha. Nie chcę być jędzą, ale wydaje się dziwne, że te świry z Gwiazdnej Mądrości nie zabrały ze sobą swojej tajnej relikwii, kiedy wyjeżdżały.

– Mnie również wydaje się to dziwne – przyznaje Suzanne, a ton jej głosu staje się twardy i obronny, wyciekł z niego cały entuzjazm. – Ale budynek kościoła nadal stał w latach trzydziestych i nawet długo po tym, jak Gwiazdna Mądrość opuściła Providence, ludzie z Federal Hill bali się tego miejsca. W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym malarz Robert Blake włamał się...

– Robert Blake? – powtarzam, otwierając oczy. – Jak ten facet, który grał Baretę?

– Tak, jak ten facet, który grał Baretę. Podobno włamał się do opuszczonego kościoła i znalazł Trapezohedron na ołtarzu w wieży. – Słyszę, jak Suzanne odwraca stronę. – Był z Milwaukee, ale mieszkał niedaleko Brown, gdzieś przy College Street, blisko biblioteki Johna Haya. I tam umarł niedługo po tym, jak włamał się do kościoła. Rażony piorunem, jeśli potrafisz w to uwierzyć.

– I przejechałaś całą drogę do Salem, żeby to odkryć? – pytam. – To ci powiedziała Tirzah?

– Tak, ale to właściwie nie jest tajemnica. Artykuły pochodzą głównie z „Providence Journal”. Nigdy o tym wszystkim nie słyszałam. Przypuszczam, że nie są to rzeczy, o których uczysz się na lekcjach historii. W każdym razie pokazanie pudełka Tirzah to był twój pomysł.

To prawda. Poznałyśmy Tirzah kilka lat temu w czasie lesbijskiego wyjazdu na Cape. Ona prowadzi sklep ezoteryczny w Salem, czyta karty tarota dla turystów i tak dalej.

– Bez wątpienia jest najdziwniejszą osobą, jaką znam – mówię. – Pokazanie jej pudełka miało sens. Baretta je kradnie i zostaje trafiony piorunem.

– Wolałabym, żebyś nie piła przed pracą – rzuca Suzanne.

– A ja bym chciała, żebyś zostawiła to przeklęte pudełko tam, gdzie je znalazłaś. Gdyby babcia miała wąsy...

Potem zapada przedłużająca się cisza, jakby żadna z nas nie znała tekstu i czekała na odpowiedź suflera.

– W każdym razie – Suzanne w końcu przerywa milczenie – jeden z ludzi, którzy badali śmierć Blake’a, lekarz Ambrose Dexter, znalazł wśród jego rzeczy kamień. Wycarterował łódź rybacką w Newport i wrzucił metalowe pudełko do zatoki Narragansett, gdzieś niedaleko Castle Hill. To najgłębsza część zatoki, wiesz. Między Newport a Beavertail.

– Nie wiedziałam o tym. Ale wiem, że się spóźnię, jeśli zaraz się nie ubiorę i nie wyjdę. Porozmawiamy później. – Wstaję i czuję zawroty głowy, czy to od szkockiej, czy od nasilającej się migreny, a może od jednego i drugiego po trochu. Zerkam na Suzanne, która nadal wpatruje się w zawartość manilowej teczki, i wskazuję na powgniatane metalowe pudełko stojące na ladzie. – Powinnaś się go pozbyć. Do diabła, sprzedaj je na eBayu. Na pewno jakiś świr zapłaci za nie ładną sumkę.

Suzanne podnosi głowę i piorunuje mnie wzrokiem.

– Jezu, nie sprzedaje się czegoś takiego na eBayu. Czy Enoch Bowen był szaleńcem, czy nie, ono ma historyczną wartość.

– Dobrze – mówię. – Nieważne. Więc oddaj je do muzeum.

Suzanne kręci głową i wraca do czytania skserowanych kartek.

– Znalazłem je – szepcze. – Jest moje i mogę z nim zrobić, co chcę.

Nie sprzeczam się. Nie jestem w nastroju na kłótnie, zwłaszcza takie, które na pewno przegram.

## 01

– Hej! Myślę, że coś znalazłam! – krzyczy Suzanne.

Fale uderzają o skały, wiatr od zatoki zagłusza jej głos, tak że lewo rozumiem słowa. Leżę na kocu, który rozłożyliśmy w stosunkowo płaskim miejscu wśród przechylonych warstw łupku i filitu. Mam zamknięte oczy, słońce zbyt mocno ogrzewa moją twarz, prześwieca przez powieki, usypia. Nie chcę wstawać. Jeśli wstanę, żeby zobaczyć, co znalazła, będę musiała zabrać ze sobą koc, bo inaczej wiatr go porwie.

– Chodź zobacz! – woła ona.

– Przynieś to do mnie! – odkrzykuję, nie otwierając oczu.

Często wydaje się, że Suzanne i ja kochamy ten poszarpany kawałek wybrzeża wokół starej latarni morskiej Beavertail z zupełnie innych powodów. Ja przyjeżdżam tutaj, żeby uciec z miasta do zapachów i dźwięków morza. Ona przyjeżdża dla rzeczy wyrzuconych przez fale, dla rzeczy martwych albo umierających w basenach pływowych. Jej mieszkanie jest zavalone śmieciami, które przywiozła znad morza. Muszle, kości, odłamki porcelany Wedgewood, kawałki drewna o niezwykłych kształtach, otoczaki, przynęty na ryby, zardzewiałe i nierozpoznawalne części maszynierii, zniszczony więcierz do połowu homarów. Można by udekorować sporej wielkości restaurację rybną tym wszystkim, co Suzanne znalazła na plażach Rhode Island, Massachusetts, Maine i Nowej Szkocji. Ma więcej słoików ze szkłem morskim, niż potrafiłabym zliczyć.

– To jest duże! – wrzeszczy ona. – Rusz swoje leniwe dupsko i chodź zobaczyć!

Otwieram oczy i mrużę je w popołudniowym blasku. Teraz widzę, że zaledwie kilka kroków ode mnie stoi mewa srebrzysta i mnie obserwuje. Przekrzywia głowę na bok, a jej blade tęczęwki wydają się jednocześnie przestraszone i zaciekawione. Macham rękami, ptak skrzeczy i rozkłada szare skrzydła, a wiatr go porywa.

– Wstrzymaj konie.

Nie krzyczę, bo nie obchodzi mnie, czy Suzanne usłyszy. Wstaję, zwijam koc w ciasny rulon i wsadzam go pod pachę. Myślałam, że jej głos dochodzi gdzieś z południa, ale wkrótce dostrzegam ją dziewięć albo dziesięć metrów na północ ode mnie. Suzanne klęczy na gładkim, ciemnym



łupku obok jednego z najgłębszych basenów pływowych zostawionych przez cofające się fale. Głowę ma lekko pochyloną, ręce splecione przed sobą, a ja myślę, że wygląda, jakby modliła się do zatoki. Potem odwraca się do mnie i wskazuje na coś w wodzie. Kiedy docieram do brzegu sadzawki, ona już wyciągnęła to na skały razem z gumowatą, gęstą płataniną listownic i morszczyków. Pudełko lekko połyskuje w słońcu.

– Co to jest? – pyta mnie, a ja odpowiadam, że nie mam pojęcia.

Stoję tam i patrzę na żółtobiały metal i śliskie, oplątane wokół niego wodorosty. Na lśniącej powierzchni pudełka są wyryte misternie spiralne wzory, a pierwsze słowo, które przychodzi mi do głowy na ich widok, to „niezdrowe”. Cokolwiek artysta próbował przedstawić na tych płaskorzeźbach, z natury czy z wyobraźni, było to niezdrowe.

– Nie mam pojęcia, jak się je otwiera – mówi Suzanne, zaintrygowana, zdejmując z pudełka pasma wodorostów. – Są zawiasy, tu i tu, ale ani śladu zamka. Nawet nie jestem pewna, gdzie wierzch styka się ze spodem. Nie mogę znaleźć połączenia. Czy to złoto?

Ja chcę jedynie powiedzieć: Odlóż je, Suzanne, na litość boską, odlóż je. Nie dotykaj go. Chcę ją zapytać, dlaczego nie widzi, że ta rzecz jest w oczywisty sposób niezdrowa. Ale tego nie robię, a potem ona wciska kciuk w ledwo widoczne wgłębienie lub karb z przodu pudełka, a ono otwiera się ze słyszalnym trzaskiem, zupełnie łatwo. Ona się śmieje jak dziecko zachwycone, że ułożyło kostkę Rubika.

Suzanne unosi wieczko i z początku jedyne, co widzę, to ciemność, tak kompletna ciemność, że moje oczy są bezużyteczne, a ja mam niejasne, niepokojące wrażenie, że światło słoneczne nie jest w stanie przeniknąć do tego czyścica.

– Zamknij je – mówię, ale ona chyba mnie nie słyszy.

Nie zamyka pudełka ani nie mówi mi, że jestem głupia. Zamiast tego sięga do tej nieprzeniknionej czerni, a ja jestem całkowicie pewna, że Suzanne zacznie krzyczeć, a kiedy wyjmie rękę, zostanie z niej tylko tryskający krwią kikut. Ja też będę krzyczeć, jakby w odpowiedzi.

Ona wyjmuje coś z pudełka i to coś również błyszczy w słońcu.

– Kryształ – mówi Suzanne. – Jakiś kryształ.

Robi mi się niedobrze od samego patrzenia. Tak jak dostaję mdłości na pokładzie kołyszącej się łodzi, czuję je teraz, kiedy patrzę na tę rzecz z metalowego pudełka. Mimo to na nią patrzę i nie odwracam wzroku. Jej szklane boki w kształcie latawca są lekko opalizujące, a ja mam duży

kłopot z określeniem koloru, jeśli rzeczywiście jest tylko jeden kolor. Z początku wydaje się zielonkawoczarny jak przejrzałe awokado. Ale dostrzegam również karmazynowe tony, odcienie fioletu, a potem cała rzecz lśni bardzo głębokim kobaltowym błękitem. Suzanne podnosi ją, obraca w różne strony, żebym mogła się lepiej przyjrzeć. W świetle odbijającym się od idealnie równych czterobocznych ścian jest coś brzydkiego i oślizłego.

– Odłóż to, proszę – mówię bardzo cicho. – Włóż to z powrotem do środka.

Suzanne patrzy na mnie przez chwilę, a potem kiwa głową i robi to, o co poprosiłam. Zamyka metalowe pudełko i rozlega się przy tym kolejny trzask. Siadam z nią na brzegu skalnej sadzawki z pudełkiem między nami. Basen jest pełen malutkich małży, okółkowych muszli pobrzeżków, wodorostów i małych czmychających krabów. Skała pod wodą jest pokryta ostrymi pąklami.

Nigdy nie było żadnej rozmowy, czy zatrzymujemy pudełko, czy je tutaj zostawiamy. Ani jednego pytania. Kiedy Suzanne jest gotowa, żeby już iść, niosę je, a ono waży dużo mniej, niż się spodziewałam.

Teraz siadam, żeby napisać o śnie. O śnie, który miałam noc po tym, jak znalazłyśmy Trapezohedron Enocha Bowena. To ten sam sen, który mnie nawiedza, kiedy już nie mogę czuć, żeby rysować runy ochronne wokół kręgu wiążącego, w którym leży Suzanne, kręgu i gwiazdy, płonącego, wszystkowidzącego oka i jej wraku. Już nie znajduję pocieszenia na tarczy zegara czy drodze słońca albo księżycy po niebie. Już nie jestem zamknięta w jednej chwili, a przyjęty porządek świata mi umyka. Słyszałam piszczałki i bębny, dudniące kroki tytanicznych bogów, którzy tańczą przez eony swojego wygnania. Czułam, jak rwie się cenna siatka bezpieczeństwa czasu. Istnieje tylko teraz. Ta chwila, którą mogę nazwać przeszłością, terażniejszością albo przyszłością. Suzanne śpi spokojnie obok mnie i jest cała, ale jednocześnie leży przemieniona w Znak Starych Bogów, narysowanym kredą na podłodze jej mieszkania. Podarłam historię na strzępy i już nie jestem w stanie dostrzec iluzji chronologii, rozrzuciłam sceny na chybił trafił, tak jak Suzanne została rozdarta i rozrzucona. Ja porządkuję je na nowo i kłamię. Ukazuję twarz gorgony odbitą w wypolerowanej tarczy i nigdy nie będę nawet w połowie tak silna, jak powinnam, żeby powiedzieć całą brutalną prawdę. Jestem zdumiona, że wytrzymałam tak długo. Zamiast wyznania potrafię w najlepszym razie jedynie rzucać aluzje i insynuacje. Suzanne była ofiarą, nie ja. To Suzanne połknęła nasiona grejpfruta. Jej zapytajcie.

Z pewnością szykuje się jakieś objawienie...

Tak myślałam.

Wszystkie najdziksze bestie przeszły obok nas zgarbione, a teraz czekają niecierpliwie na progu tego, co my w swojej hołubionej ignorancji nazywamy wszechświatem. Widzimy okruchy niewygodnej prawdy może w snach albo w zawartości metalowego pudełka wyrzuconego przez morze.

Nie powinnam zwlekać ani zbaczać z tematu. Za mało zostało we mnie jasności myślenia, żeby trwonić jej choć odrobinę. To jest sen. Reszta jest niewiele lepsza od mydlenia oczu. Przestań zwodzić i wyduś to z siebie: ocean wyświadczył przysługę i teraz jest moja kolej.

Suzanne i ja idziemy piaszczystą plażą, nie po skałach Beavertail, letnie słońce bezlitośnie praży wzdęte ciała niezliczonych tysięcy krabów,

wielkich homarów i martwych ryb, wyrzuconych na brzeg przez fale. Łupacze i dorsze, flądry i pasiaste okonie, tautogi, pstrągi morskie i mintaje. Pytam, czy zrobił to czerwony przypływ, a Suzanne w odpowiedzi zadaje pytanie, czy kiedykolwiek były inne. Powietrze jest zbyt nieprzyjemne, ciężkie i gorące, by dało się oddychać, więc czuję ulgę, kiedy ona odwraca się od Atlantyku i idzie w stronę niskich wydm. Jest tam wąski, kręty szlak, niemal zarośnięty przez dzikie róże i sumaki jadowite. Prowadzi on do starego kościoła na Federal Hill. Pamiętam, że ten kościół został zburzony dekady temu, a jego porzucone tajemnice stały się anonimowym wysypiskiem śmieci. Ale we śnie świątynia Gwiazdnej Mądrości została odbudowana, właściwie nigdy nie runęła albo my przeniosłyśmy się do czasów sprzed jej zniszczenia. Zresztą nieistotne. Nie, to nieprawda. To w ogóle nie ma znaczenia.

Suzanne prowadzi mnie ze słonecznego dnia w noc, do walącego się starego sanktuarium, obok modlącego się tłumu, który zebrał się na jego stopniach, zasuszonych starych Włoszek ściskających różańce z onyksu i koralu. Rzucają na mnie nienawistne spojrzenia, każda po kolei, a przekleństwa, które wylewają się z ich ust, bardziej pasują czarownicom niż dobrym katoliczkom z Nowej Anglii.

– Och, nie przejmuj się nimi – mówi Suzanne. – Są zgorzkniałe, to wszystko. Nie słyszą muzyki. Żadna z nich nigdy nie tańczyła, a teraz są stare i już nigdy nie będą miały okazji.

Prowadzi mnie przez suche doliny kurzu i cieni, a nasza ścieżka jest okrężna jak ta niedorzeczna, meandrująca relacja. Razem idziemy krętą drogą między niekończącymi się rzędami wypaczonych ławek, między rzeźbionymi marmurowymi kolumnami, które wznoszą się wokół nas i podtrzymują straszliwy ciężar zapadającego się sklepionego sufitu. Potem wychodzimy z nawy, trafiamy ponownie do westybulu, a Suzanne pokazuje mi ukryte schody wijące się spiralą w niebo. Wspinamy się po drewnianych stopniach, aż księżyc jest tylko srebrną monetą daleko w dole pod nami.

– Wytrzymaj nogi – przykazuje mi Suzanne, a ja widzę, że wreszcie dotarliśmy na szczyt schodów i na wieżę.

Jeśli w tym miejscu kiedykolwiek znajdowały się dzwony wybijające godziny i wzywające wiernych na mszę, teraz ich nie ma. Są cztery wysokie okna lancetowe, całkowicie zamalowane, żeby światło dziennie nigdy nie wpadało do okrągłego pomieszczenia.

– Powinnaś zaczekać na mnie na dole – mówi Suzanne, a jej oczy jarzą się żółtobiało w mroku. – Powinnaś zaczekać na plaży. Teraz to rozumiem.

Nie odpowiadam i nie patrzę w stronę, skąd przyszliśmy. Wiem, że jest o wiele za późno, żeby wrócić tą drogą, więc nie próbuję. Wokół niskiej kamiennej kolumny stoi kręgiem siedem krzeseł o wysokich oparciach. Na każdym siedzi postać w todze. Ich twarze są zasłonięte fałdami złotego jedwabiu. Nie patrzą na nas, kiedy wchodzimy do wieży, tylko skupiają uwagę na dziwnym metalowym pudełku stojącym na kamiennej kolumnie. Pudełko jest otwarte. Nie może być żadnych wątpliwości, że jest to to samo pudełko, które Suzanne znalazła w skalnej sadzawce, pudełko, które Enoch Bowen przywiózł do domu z Teb, więc nie muszę do niego zaglądać, by wiedzieć, co jest w środku.

Siedem siedzących postaci zaczyna śpiewać, a ja patrzę, podczas gdy Suzanne się rozbiera, po czym zajmuje miejsce przed ołtarzem. Patrzę, jak ta rzecz z pudełka wypływa namacalną, lodowatą ciemność. Patrzę, jak te głodne macki oplatają się ciasno wokół Suzanne i ciągną ją w dół, wchodzą w nią.

– Tak – szepcze ona. – Będę panną młodą. Będę drzwiami. Będę łącznikiem.

I jest tego jeszcze więcej. Nie wątpię, że mogłabym zapełnić całe strony bluźnierczymi rzeczami, które we śnie widziałam na wieży niszczonego kościoła, mogłabym ani przez chwilę nie robić niczego innego, a reszta życia nie wystarczyłaby mi do tego, żeby zapisać więcej niż ułamek tamtych bezceństw. Nie ma dna w tym śnie. Gdy postanawiam się zatrzymać, punkt jest wybierany arbitralnie.

Stoję wśród wydm, patrzę na umierające morze i na chmury, które zbierają się na sinym horyzoncie.

Wiatr parzy, a ja nie mogę znaleźć słońca.

Są inne brzegi, wiesz, po drugiej stronie.

Popołudnie szybko przechodzi w zmierzch, a ja siedzę na zewnątrz kręgu narysowanego kredą i krwią na podłodze. Od czasu do czasu zerkam na niebo za oknem albo na drzwi prowadzące do przedpokoju. A może zbieram odwagę, żeby znowu zajrzeć do kręgu. Ale ona odeszła na zawsze, nawet ta ruina, która z niej została. Zniknęła, pudełko zniknęło, Trapezohedron zniknął. Niewiele zostało, by dowieść, że Suzanne kiedykolwiek tu była. Nie mogę pojąć, że ciało i dusza tej kobiety wystarczyły, żeby zaspokoić głód. To wszystko przekracza zdolność mojego rozumienia.

W miejscu, gdzie leżała, jest krwawa plama. Krew, żółć i kilka strzępów czegoś bezbarwnego i przezroczystego, co przypomina meduzę wyrzuconą na plażę. Są wypalone ślady w miejscu, gdzie stało pudełko. Jest słaby odór amoniaku i zwęglonego drewna.

– To był piękny dzień – mówię i z początku dźwięk własnego głosu mnie zaskakuje. – Niebo było błękitne, Suzanne. Nie było żadnych chmur, a niebo było błękitne. Myślę, że noc będzie piękna.

A potem wnętrzami nagich dłoni zaczynam ścierać ochronny krąg, pięcioramienną gwiazdę i płonące oko.

Nie możemy myśleć o czasie, że jest bez oceanu  
Ani o oceanie nie zaśmieconym marnotrawstwem  
Ani o przyszłości, że tak jak przeszłość  
Nie ma żadnego przeznaczenia.

T.S. Eliot. *Suche ocalone mienie*

## Rybia panna młoda (1970)

Leżymy nadzy w jej pościeli, która zawsze jest wilgotna niezależnie od pogody, a ona nadal śpi. Leżę obok niej, patrzę na długi zimny wschód słońca, na ściany tego obskurnego pokoju w obskurnym domu. Zmieniające bardzo powoli kolor z czarnego na setki coraz jaśniejszych odcieni szarości. Słabe światło listopadowego poranka ma kłopot z oknem, bo szyba została zbita wiele lat temu, a ona jako substytut wybrała płachtę podartego i niezbyt przezroczystego plastiku, który znalazła wyrzucony na brzeg, i przybiła go gwoździami i kilkoma pinezkami. Ale przynajmniej plastik chroni przed najgorszym wiatrem, deszczem i śniegiem, a ona mówi, że na zewnątrz i tak nie ma niczego, co chciałaby oglądać. Kilka razy proponowałem, że wymienię pękniętą szybę, ale to tylko kolejna ze stu rzeczy, które obiecałem dla niej zrobić, a jeszcze do żadnej się nie wziąłem. Jej to najwyraźniej nie przeszkadza. Nie dlatego pozwala mi tu przychodzić. Czegokolwiek ode mnie chce, nie jest to jałmużna, litość czy ktoś do naprawiania zepsutych okien czy przeciekającego sufitu. I na szczęście, bo nigdy w całym życiu niczego nie naprawiłem. Nie potrafię nawet zmienić opony. Zawsze należałem do mężczyzn, którzy niszczą rzeczy, a naprawienie ich zostawiają komuś innemu albo po prostu zamiatają je pod dywan, gdzie nikt ich nie zauważy. Więc dlaczego ona miałaby być inna? A jednak, o ile wiem, na razie nie narobiłem tutaj żadnych szkód.

Zszedłem z wioski na wzgórze w jedno z tych niekończących się popołudni i wieczorów, kiedy nie mogę pisać i nie mam ochoty upijać się samotnie. Opuszczam ten inny świat, bezpieczne, tłamszące królestwo czystych prześcieradeł i maszynopisów, światła elektrycznego i kanalizacji, radia i całych szyb w oknach, i idę piaszczystą ścieżką między karłowatymi



drzewami, skradzionymi i spalonymi samochodami, tłącymi się śmietnikami i podejrzliwymi, niedoświetlonymi spojrzeniami.

Wszyscy wiedzą, że tu nie jest moje miejsce, wśród tych mężczyzn i kobiet, którzy dzielą jej nędzną egzystencję nad brzegiem morza, którzy zeszli na dół i nigdy już nie wrócili na wzgórze. Kiedy nazywam ich jej apostołami, ona robi się ponura i zła.

– Nie – mówi. – To nie tak. Oni nie są tacy.

Ale ja wystarczająco dobrze rozumiem, że oni właśnie tacy są, nawet jeśli ona nie chce tego przyznać, czy to przed sobą, czy przede mną. Darzą mnie pogardą, bo ona wzięła mnie do łóżka, mnie, intruza, który przychodzi i odchodzi, który ma jakiś wybór w tej kwestii, który ma wybór, bo świat za tymi wydmami i ruderami nadal sobie wyobraża, że jestem mu potrzebny. W jedną z tych nocy, myślę, jej apostołowie mnie zamordują. Jeden z nich sam albo wszyscy razem. To mogą być kamienie, kije albo stary nóż do filetowania. Może być nawet strzelba. Wcale bym się nie zdziwił. Oni są pomysłowi, a stawka wysoka. Pogrzebią mnie w dzikich różach, zatopią w jakimś głębokim miejscu wśród skał zniszczonych przez fale albo potną jak tłustą maciorę i urządzią sobie ucztę. Ona pewnie do nich dołączy, jeśli będą dość śmiali i złożą jej w ofierze kilka skrawków mojego upieczonego, anonimowego mięsa. A później, dużo później, ona sobie przypomni i za mną zatęskni na swój niedbały, obojętny sposób i będzie się zastanawiać, co się stało z mężczyzną, który przynosił jej piwo i whiskey, świece i batony czekoladowe, z mężczyzną, który mówił, że naprawi jej okno, ale nigdy tego nie zrobił. Może przypomni sobie moje imię, ale postawiłbym na to, że jednak nie.

– Kiedyś to było miejsce – wciąż mi powtarzała. – O tak, nigdy byś go nie poznał. Gdy moja matka była dziewczynką, to było miasto. Kiedy ja byłam mała, to nadal było miasto. Sklepy z ubraniami, restauracja, więzienie. Publiczny park z muszlą koncertową i stuletni dąb. Latem grała w parku muzyka, odbywały się pikniki. Były nawet kościoły, dwa, jeden katolicki i jeden prezbiteriański. Ale potem przyszedł sztorm i wszystko zmył.

I to jest prawda, większość z tego, co ona mówi. Kiedyś było tutaj miasto. Dekada zaniedbania jeszcze nie zniszczyła wszystkich śladów po nim. Ona pokazała mi trochę tego, co zostało: kikut ceglanego komina, kilka złamanych pali w miejscu dawnego mola. A ja rozpytywałem w wiosce. Lecz ludzie nie lubią mówić otwarcie o tym miejscu ani nawet

pozwalać, żeby ich myśli zatrzymywały się na nim zbyt długo. Od czasu do czasu, zwykle po włamaniu albo przed wyborami, jest mowa o sprzętaniu, o zburzeniu pochyłych ruder obitych deskami, o przepędzeniu włóczęgów, dzikich lokatorów i pijaczków. Do tej pory całe to gadanie do niczego nie doprowadziło.

Nagły podmuch wiatru od plaży, płachta plastiku rozciągnięta na oknie łopocze i szeleści, a ona otwiera oczy.

– Jeszcze tu jesteś. – Nie wydaje się zaskoczona, a jedynie mówi mi to, co już wiem. – Śniło mi się, że wyszedłeś i już nigdy do mnie nie wróciłeś. Śniła mi się łódź „Silver Star”, a ty nią odpłynąłeś.

– Mam chorobę morską – mówię. – I nie pływam łodziami. Nie byłem na żadnej, odkąd skończyłem piętnaście lat.

– Na tę wsiadłeś – upiera się ona, a nikłe światło wypełniające pokój pada na jej zaspane szare oczy. – Powiedziałeś, że jedziesz poszukać szczęścia na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Miałeś swoją maszynę do pisania i walizkę, a na sobie nowy garnitur z wełny czesankowej. Ja stałam na nabrzeżu i patrzyłam, jak „Silver Star” robi się coraz mniejsza i mniejsza.

– Nawet nie jestem pewien, gdzie leży Wybrzeże Kości Słoniowej.

– W Afryce – podpowiada ona.

– Tyle to wiem. Ale nie wiem, gdzie jest Afryka. I to jest strasznie wielkie miejsce.

– We śnie wiedziałeś – zapewnia mnie ona, a ja nie naciskam dalej. To jej sen, a nie mój, nawet jeśli to nie jest sen, który kiedykolwiek się jej przyśnił, nawet jeśli ona to wszystko zmyśla na poczekaniu. – W tym śnie – ciągnie ona niezrażona – miałeś katalog z wycieczkami, który dał ci sprzedawca biletów. Cały wydrukowany w kolorze. Było w nim drzewo, które się nazywało wełniak, z jasnoczerwonymi kwiatami. Były słonie i papuga. Były ładne kobiety o skórze koloru palonych ziaren kawy.

– Niezły katalog – mówię i przez chwilę patrzę na plastik, który szeleści w oknie na wietrze od zatoki. – Chciałbyś móc go teraz obejrzeć.

– Pomyślałam sobie, jakie to musi być ciepłe miejsce, to Wybrzeże Kości Słoniowej.

Patrzę na nią, na obserwujące mnie zaspane oczy. Ona unosi prawą rękę z wilgotnej pościeli, a opalizująca skóra mieni się lekko w porannym świetle. Słońce prześwieca przez cienką, przezroczystą błonę między jej długimi palcami. Ostre paznokcie przesuwają się delikatnie po moim nieogolonym policzku. Ona się uśmiecha. Nawet ja nie lubię patrzeć długo

na te zęby, więc uciekam wzrokiem do łopoczącego plastiku. Wiatr się wzmaga, a ja myślę, że może to jest dzień, kiedy w końcu będę musiał znaleźć młotek, kilka gwoździ i tyle wyrzuconych sosnowych listew, żeby zabić dziurę w ścianie.

– Niedługo spadnie śnieg – mówi ona, jakby nie musiała słyszeć moich słów, by wiedzieć, o czym myślę.

– Pewnie dopiero za kilka tygodni – sprzeciwiam się, a ona mruga i odwraca głowę w stronę okna.

W wiosce mam mały pokój w pensjonacie przy Darling Street i trzymam tam kołnотatnik ukryty między materacem a nagimi sprężynami. Zapisalem w nim duzo rzeczy i nie chcialbym, zeby kiedykolwiek przeczytala je inna ludzka istota – sekretne pragnienia, to, co uslyszalem i przeczytalem, co ona mi powiedziala, co sam zaczalem podejrzewac. Czasami myslę, ze byloby mardrze lepiej ukryc notes. Ale to prawda, ze stara kobieta, ktora jest wlascicielka pensjonatu i ktora sama wszystkim sie zajmuje, boi sie mnie i nigdy nie wchodzi do mojego pokoju. Zostawia czysta pościel i ręczniki pod drzwiami. Miesiace temu przestalem jeść posiłki z innymi lokatorami, bo pełna napięcia cisza i przelotne, podejrzliwe spojrzenia, które towarzyszyły śniadaniom i kolacjom, tylko przyprawiały mnie o niestrawność. Spodziewam się, że wdowa O'Dwyer poprosiłaby mnie, żebym znalazł sobie pokój gdzieś indziej, gdyby nie czuła się przeze mnie zastraszona. Albo raczej gdyby nie przerażało jej towarzystwo, z którym trzymam.

Na zewnątrz rudery wiatr wyje jak syn Posejdona i na razie nie ma więcej mowy o Wybrzeżu Kości Słoniowej czy żeglowaniu w stronę zachodzącego słońca na pokładzie „Silver Star”.

Większość z tego, co w sekrecie zapisałem w swoim notatniku, dotyczy tamtego strasznego sztormu, który podobno ukradł mały park z muszlą koncertową, restaurację, więzienie, sklepy z ubraniami, dwa kościoły, jeden prezbiteriański i drugi katolicki. Musiało się to wydarzyć we wrześniu pięćdziesiątego siódmego albo pięćdziesiątego ósmego, ale spędziłem długie popołudnia w małej bibliotece publicznej, uważnie przeglądając stare gazety i czasopisma, i nie znalazłem żadnych świadectw o burzy, która spowodowała osunięcie się ziemi jesienią jednego czy drugiego roku. Mogę zweryfikować jedynie to, że wioska kiedyś ciągnęła się w dół wzgórza, obok bagien i wydm aż do zatoki, i że istniało pełne życia, kwitnące nabrzeże. Był handel z Gloucester i Bostonem, Nantucket i Newport,

a zatoka słynęła ze swoich homarów, tłustych czarnych okoni i bogatych ławic łupaczy. Potem przed rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym nabrzeże prawie całkiem opustoszało. W prasie znalazłem niewiele oprócz skąpych i niepotwierdzonych spekulacji, co było przyczyną tego exodusu, tej dziwnej dezercji. Mówiono na przykład o przełowieniu, porównywano z Cannery Bow w dalekiej Kalifornii i załamaniem się przetwórstwa sardynek w latach pięćdziesiątych w Monterey Bay. Zapisuję wszystko, co znajduję, nieważne, jak jest nieprzekonujące, ale pozwalam sobie wierzyć tylko w niewielką część.

– Pens za twoje myśli – mówi ona i znowu zamyka oczy.

– Nie masz pensa – odpowiadam, starając się nie zważać na głodny ryk wiatru i łopot plastiku w oknie.

– Oczywiście, że mam. – Ona udaje urażoną. – Mam kilka dolarów, schowanych. Nie jestem biedna.

– No dobrze, myślałem o Afryce – kłamię. – Myślałem o palmach i papugach.

– Nie pamiętam żadnych palm w katalogu – mówi ona. – Ale pewnie musi ich tam być dużo.

– Bez wątpienia – zgadzam się.

Nie mówię nic więcej, bo chyba słyszę głosy dochodzące zza ścian rudery, nagłące szepty, które docierają do mnie mimo wycia wiatru i łopoczącego plastiku. Nie mogę odróżnić słów, nieważne, jak usilnie się staram. Powinno mnie to bardziej wystraszyć. Jak mówiłem, któreś nocy mnie zamordują. Jeden z nich sam albo wszyscy razem. Może nie będą nawet czekać na osłonę nocy. Może przyjdą po mnie w pełnym świetle dnia. Zaczynam podejrzewać, że morderstwo nie zostanie nawet uznane za zbrodnię przez ludzi, którzy mieszkają w kolorowo pomalowanych domach na wzgórzu za wydmami. Przeciwnie, oni mogą uznać je za konieczną ofiarę, która uspokoi wyrzutków tłoczących się w ruinach wzdłuż brzegu, za ofiarę z krwi i ciała, która kupi im trochę czasu.

Wydaje się to bardzo prawdopodobne.

– Nie powinni podchodzić tak blisko – mówi ona, przyznając, że też słyszy szepczące głosy. – Później się z nimi rozmówię. Powinni wiedzieć lepiej.

– Oni mają większe prawo tu być niż ja – odpowiadam.

Ona przez chwilę obserwuje mnie w milczeniu. Jej szare oczy zrobiły się niemal czarne, a ja już nie mogę odróżnić tęczy od źrenic.

– Powinni być mądrzejsi – dodaje ona i tym razem jej ton nie zostawia mi pola do żadnej dyskusji.

Są opowieści, które słyszałem, i strzępki snów, które, jak mi się czasami wydaje, pożyczyłem – od niej albo od jej apostołów – i one bardziej mnie przekonują niż artykuły gazetowe o wyczerpanych zasobach ryb albo plotki o katastrofalnym huraganie. Podśluchałem opowieści o duchach, wymieniane między dziećmi. Są historie opowiadane przez kilku posiwiiałych starych mężczyzn, którzy siedzą przed stacją benzynową niedaleko pensjonatu wdowy i których głównym zajęciem wydają się warcaby, plotki, ręcznie skręcane papierosy i tani dżin. Zacząłem wierzyć, że prawda nie jest czymś, co można powierzyć prasie, ale upokorzeniem, które miasto usiłuje zapomnieć i które teraz jest pamiętane niejasno albo wcale. Nie ma żadnej zgody, ale pojawiają się wspólne nici, z których utkałem czyste spekulacje.

Pewnej nocy pod koniec lata albo na początku jesieni niezwykle wysoki przypływ szybko pochłonął granitowe molo i kamienistą plażę, a następnie przedarł się przez falochron i zalał ulice portu. Tamtej nocy była pełnia, księżyc wisiał nisko nad wschodnim horyzontem i w jego upiornym czerwonym blasku mieszkańcy zobaczyli istoty, które wypełzły z tych gniewnych wód. Intruzi nie rzucali cienia albo światło księżyca przeświecało przez nich na wylot, ale byli jakoś dziwnie zdeformowani. A może to, co wyszło z morza tamtej nocy, słabo jaśniało niesamowitą fosforyzującą poświatą.

Wiem, że dobieram tutaj przejawskrawione określenia – upiorny, wypełzły, intruzi, niesamowity – w nadziei, jak przypuszczam, że zdyskredytuję niestworzone bajeczki, które słyszałem, zneutralizuję demony ze szkolnego boiska. Na swoją obronę powiem, że dzieci i starcy, których podśluchałem, byli mniej powściągliwi. Nie obchodziła ich wrażliwość ludzi, którzy i tak nie zamierzali im uwierzyć. Pod pewnymi względami są niemal równie obojętni jak ona i niezaangażowani jak inni mieszkańcy ruder na skraju zatoki.

– Byłoby mi przykro, gdybyś popłynął do Afryki – mówi ona.

– Nigdzie się nie wybieram. Nigdzie nie jadę. Nie ma miejsca, gdzie wolałbym być.

Ona znowu się uśmiecha i tym razem nie pozwalam sobie na odwrócenie wzroku. Jej zęby są takie jak u bardzo małego rekina. Połyskują wilgotno w zdrowych różowych dziąsłach. Często się zastanawiałem, jak

udaje się jej nie pokaleczyć o nie warg czy języka, dlaczego w kącikach wąskich ust nie ma ciekących strużek krwi. Ugryzła mnie wiele razy. Mam brzydkie półksiężycowate blizny na ramionach i piersi, które dowodzą, że jesteśmy kochankami, stygmaty, przez które jej apostołowie jeszcze bardziej mnie nienawidzą.

– To głupie z twojej strony wydawać pieniądze na pokój – stwierdza ona, zmieniając temat. – Mógłbyś zatrzymać się u mnie. Nienawidzę tych nocy, kiedy jesteś w wiosce, a ja sama.

– Albo ty mogłabyś wrócić ze mną – odpowiadam. To znajoma, daremna wymiana zdań, oboje umiemy swoje kwestie na pamięć i wiemy, jaki będzie rezultat.

– Nie. – Jej rekini uśmiech blednie. – Wiesz, że nie mogę. Wiesz, że nigdy by mnie nie chcieli tam na górze. – Wskazuje głową w stronę wzgórza.

Tak, wiem, ale jeszcze nigdy jej tego nie powiedziałem.

Fala podniosła się pod niskim czerwonym księżycem i przelała przez brzeg. Solidne nabrzeże zostało roztrzaskane jak zapałki, łodzie różnych kształtów i rozmiarów – płaskodenne rybackie, jole, trolery, szkunery z bermudzkiem ożaglowaniem – zostały porwane z miejsc cumowania i ciśnięte na doki. Ale nie było żadnego sztormu, żadnego wiatru, żadnego siekającego deszczu. Żadnych grzmotów, błyskawic, białych grzywaczy i piany. Powietrze było gorące i nieruchome tamtej nocy, bezchmurne niebo usiane niezliczonymi gwiazdami, które świeciły bezczelnie przez podziurkowaną kopułę nieba.

– Mówią, że czarownica, która to wszystko sprowadziła, przybyła z Amesbury – mówił jeden ze starców wiele miesięcy temu. Żaden z jego towarzyszy nie odpowiedział, nie pokiwał głową na znak zgody ani się nie sprzeciwił. – Słyszałem, że co miesiąc składała ofiary w czasie nowiu, i podobno miała córkę, choć nigdy nie poznałem jej imienia. A imienia jej ojca, cóż, nigdy nie wypowiem na głos.

Tamtej nocy brukowane ulice i zaułki pozostawały całkowicie pod wodą przez wiele godzin. Budynki zostały wyrwane z fundamentów i ciśnięte jeden na drugi. Bez żadnego ostrzeżenia przed dziwną falą tylko garstce mieszkańców nabrzeża udało się uciec przed potopem i znaleźć bezpieczne miejsce na wyżej położonym terenie. Ponad dwieście dusz zginęło i przez wiele tygodni ciała topielców morze wyrzucało na brzeg. Wiele z ciał było

tak mocno poturbowanych, że nie dało się ich rozpoznać, tak że zostały pochowane w nieoznaczonych grobach w wiosce za wydmami.

Już nie słyszę szepczących przez cienkie ściany rudery, więc przypuszczam, że albo odeszli, albo po prostu powiedzieli swoje i umilkli. Możliwe, że pochylają się teraz i przyciskają uszy do blachy falistej i butwiejących desek, nasłuchując każdej jej sylaby, podczas gdy mój głos napęlnia ich nienawiścią i zazdrością.

– Zamienię z nimi słowo – powtarza ona po raz trzeci. – Powinieneś czuć się tutaj równie mile widziany jak każdy z nas.

Morze przetoczyło się przez ląd i w blasku spuchniętego, krwawego księżycyca groźne człekopodobne istoty poruszały się swobodnie, bez przeszkód po zalanych ulicach. Czasami pływały, czasami zwinnie przemieszczały się na czterech łapach, czasami niezdarnie powłóczyły nogami, jakby chodzenie było dla nich nową, niezbyt wygodną czynnością.

– To nie byli mężczyźni – wyjaśniał kolegom chłopiec o rudych włosach. Miał może dziewięć lat, najwyżej dziesięć.

Dzieci siedziały na skraju zarośniętego pustego terenu, na którym trzy albo cztery razy w roku odbywają się jarmarki.

– Więc to były kobiety? – zapytało jedno z dzieci.

Chłopiec zmarszczył brwi i z powagą pokręcił głową.

– Nie. Nie słuchacie. To nie były również kobiety. To w ogóle nie byli ludzie. Ale słyszałem, że gdyby się wyciągnęło wszystko, co dostaje się do sieci trawlera – dorsze, flądry, węgorze, rekinki, płaszczki, kalmary, meduzy i kraby, wszystko, co można sobie wyobrazić – gdyby złapało się je jeszcze żywe i wijące się i gdyby posklejało się je ze sobą, żeby zrobić z nich mężczyzn i kobiety, wtedy powstałoby dokładnie to, co tamtej nocy wyszło z zatoki.

– To nieprawda – oburzyła się dziewczynka, a inni na nią spojrzeli. – To w ogóle nie jest prawda. Bóg by nie pozwolił, żeby takie stwory biegały na wolności.

Rudowłosy chłopiec znowu pokręcił głową.

– One mają innych bogów niż my. Bogów, których imion nikt nie zna i którym czarownica z Amersbury oddaje cześć. Tym bogom z głębi oceanu.

– Jesteś kłamcą – oświadczyła dziewczynka. – Jesteś bluźniercą i kłamcą i po prostu to wszystko zmyślasz, żeby nas wystraszyć.

Po tych słowach wstała i ruszyła przez zarośnięty parking, zostawiając pozostałe dzieci. Wszystkie odprowadziły ją wzrokiem, a potem rudzielec podjął opowieść.

– Będzie jeszcze gorzej.

Zaczął padać zimny deszcz, krople uderzające w blaszany dach brzmiały niemal jak bekon skwierczący na patelni. Ona się ode mnie odsunęła i teraz siedzi naga na brzegu łóżka, ze zwieszonymi długimi nogami, prawym ramieniem opartym o zardzewiałe żelazne wezgi. Ja nadal leżę na wilgotnym prześcieradle, wpatruję się w przeciekający sufit i czekam, aż woda spadająca z nieba znajdzie drogę do środka. Ona podstawia słoiki i garnki pod największe przecieki, ale jest ich zbyt dużo, żeby zawracać sobie głowę wszystkimi.

– Nie mogę zostać tu na zawsze – mówi. Nie po raz pierwszy, ale przyznaję, że te słowa zawsze mnie zaskakują. – Robi się coraz ciężiej. Codziennie jest mi coraz trudniej. Jestem tak strasznie zmęczona, przez cały czas.

Odrywam wzrok od sufitu, przenoszę go na jej szyję i dziwne zgrubienia tuż pod linią podbródka. Pierwszy raz pojawiły się kilka tygodni wcześniej, skóra zrobiła się sucha i łuskowata, przybrała chorobliwy szarżółty odcień. Czasami pojawiają się czyraki albo sączące się pęcherze. Kiedy ona wychodzi do ludzi, obwiązuje szyję jedwabnym szalem, który jej dałem, żeby nic nie zobaczyli. Żeby nie zadawali jej pytań, na które ona nie chce odpowiadać.

– Nie muszę odejść sama – mówi, ale nie odwraca głowy, żeby na mnie spojrzeć. – Nie chcę cię tu zostawiać.

– Nie mogę.

– Wiem – odpowiada ona.

I tak jest prawie zawsze. Przychodzę z wioski, kochamy się, ona opowiada mi swoje sny tutaj, w tej walącej się chacie za wydmami, dzikimi różami i karłowatymi drzewami. W tych snach zawsze ją zostawiam, kupuję bilety na parowce albo zaciągam się na frachtowce i płynę na Wybrzeże Kości Słoniowej, do Portugalii albo Singapuru. Nie pamiętam wszystkich tych dalekich miejsc, dla których w jej snach ją opuszczam. Jej koszmary wysyłały mnie po całym globie. Ale prawda jest taka, że to ona odchodzi, i to wkrótce, przed pierwszymi śniegami.

Wiem to (choć gram w jej grę w przeniesienie) i wszyscy jej apostołowie również to wiedzą. Ci, którzy przyszedli z wioski i nigdy więcej



nie wrócili na wzgórze. Włóczędzy, dzicy lokatorzy i kloszardzi, szaleńcy i prawdziwie wierzący, którzy odwrócili się plecami do świata, ale dopiero kiedy on odwrócił się od nich. Bez środków do życia i odrzuceni, znaleźli córkę morza, każdy z nich, i miasteczko ruder jest teraz pełne ich tandetnych, prowizorycznych ołtarzy i świątynek. Ona wie dokładnie, czym dla nich jest, nawet jeśli nie chce tego przyznać. Wie, że te zagubione dusze oślepyły z powodu ciężkich przeżyć i zawirowań nędznego życia, a ona jest kojącą ciemności, którą znaleźli. Jest jedynym prawdziwym balsamem na okrutny blask słońca i księżyca, które są niemrugającymi oczami bogów całej ludzkości.

Ona siedzi na brzegu łóżka. Zawsze jest sama, nieważne, jak blisko jesteśmy, nieważne, jak wielu apostołów tłoczy się wokół niej, podsłuchuje i knuje moją śmierć. Ona wpatruje się w łopoczącą płachtę plastiku wetkniętą w miejsce szyby, a ja wracam do obserwowania sufitu. Kropla deszczu przedostaje się przez warstwy blachy i papy i ląduje na moim odkrytym brzuchu.

Ona śmieje się cicho. Już nie śmieje się często, a ja zamykam oczy i słucham deszczu.

– Naprawdę nie masz pojęcia, jak będzie cudownie, kiedy nas zabiorą i wrzucą z homarami do morza – szepcze ona, a potem znowu się śmieje.

Łapię przynętę, bo prawie zawsze ją łapię.

– „Na to ślimak: Tak się śpieszę, że wybaczcie, moje panie...” – cytuję Lewisa Carrolla.

Ona się nie śmieje. Zaczyna drapać zgrubienia pod brodą, potem przestaje.

– W komnatach mojej matki jest taka cisza, absolutny i odwieczny spokój – mówi. – W tamtym świętym miejscu umysł może być spokojny. Jest spokój, nareszcie, i koniec wszelkich chorób i strachu. – Robi pauzę i patrzy w podłogę, na rozrzucone puszki, puste butelki i kości obrane do czysta. – Ale tam na dole będzie samotnie bez ciebie. Będzie coś jeszcze gorszego niż samotność.

Nie odpowiadam i po chwili ona wstaje i idzie, żeby stanąć przy drzwiach.

## Córka alchemika (Fragment)

Jej ojciec umarł w gorącej, suchej porze roku przed nadejściem letnich deszczy, kiedy wszystkie brukowane ulice Ulthar skwierczą, a niebo przybiera barwę niemal nieodróżnialną od rozległej płaszczyzny dachów pokrytych terakotowymi dachówkami. Był bardzo stary i bardzo chory, a jego odchodzenia w żaden sposób nie łagodził upał ani czerwonawy kurz, który przeciskał się między żaluzjami i osadzał na wszystkich powierzchniach w domu. Córka alchemika, która miała na imię Sála, siedziała przy jego łóżku i robiła wszystko co w jej skromnych możliwościach, żeby mu ulżyć. Ale mężczyzna prowadził dziwne i bezwzględne życie i bał się śmierci, a jeszcze bardziej bezimiennych istot, które na niego czekały po drugiej stronie śmierci. Często były wzywane przez czarną magię i najbardziej tajemne, hermetyczne nauki, wiązane i zmuszane do wypełniania jego rozkazów, te demony i jeszcze bardziej starożytne, bezpostaciowe istoty. Alchemik zawsze był świadomy, że ten dzień nadejdzie, i to wkrótce, kurtyna jego życia się rozsunie, a za nią wszyscy, których zmuszał do takiej czy innej wstrętnej pracy, będą z niecierpliwością czekać, żeby go powitać.

– Wieczność niebawem będzie za krótkim okresem, żeby spłacić ten dług – wyszeptał ze strachem spierzchniętymi ustami, kiedy Sála wilgotną szmatką wycierała pot z jego czoła.

– Ojczy, oni nigdy nie odzyskają tego, co im się należy. Zostaniesz zwycięzcą, bo nawet wieki ich zemsty okażą się niewystarczające.

I choć miały to być słowa pocieszenia, alchemik odebrał je inaczej, zajęczał głośniej, krzywiąc się, zaciskając bezzębne dziąsła, przewracając załzawionymi niebieskimi oczami.

Potem Sála zachowywała takie myśli dla siebie. To nie było trudne; ojciec zmarł zaledwie kilka godzin później, kiedy przerośnięte słońce wreszcie zachodziło za iglice i dachy miasta.

Zakryła ciało poźółkłym płóciennym prześcieradłem i siedziała, słuchając dzwonów Świątyni Starych Bogów, które wybijały porę zmierzchu. W jej uszach brzmiały tak, jakby znajdowały się dalej niż zwykle. Zostawiła zwłoki starca i wyszła na taras, na którym spędzili razem tyle wieczorów, na którym on sporządzał mapy gwiazd i opowiadał jej o innych światach graniczących z krainą snów. Balkon, na którym ona słuchała. Teraz spojrzała w dół na wąskie ulice dolnego miasta i w górę na wysokie wieże świątyni. Było jasne, że nie zmieniła się żadna odległość, czy to absolutna, czy względna, nieważne, jak dalekie mogły się wydawać dzwony, chyba że coś zmieniło się w niej.

Kiedy tak patrzyła, za setkami szyb zapalono woskowe świece i lampy na olej wielorybi, świadczące o braku wdzięczności za chłód i ulgę, którą ta noc mogła przynieść. Teraz w cieniach zapanował ruch, wzdłuż wszystkich balustrad i szczytów ścian, w zaułkach i wśród straganów opustoszałego targowiska. Niezliczone koty skradały się, pędziły albo po prostu siedziały i obserwowały. Gromadziły się, żeby między zmierzchem a świtem załatwić jakieś sekretne kocie sprawy. Na długo przed jej narodzinami mieszkańcy Ulthar uznali zabijanie kotów za zbrodnię karaną śmiercią. Czasami jej ojciec szukał ich mądrej rady w swoich badaniach i eksperymentach, ale ani razu żaden kot nie został zmuszony do pomagania mu z naruszeniem jego wolnej woli.

Po jakimś czasie Sála zmęczyła się obserwowaniem kotów i wróciła do środka, żeby zająć się tym, co zostało po ojcu, i przygotować na przybycie grabarza.

Alchemik długo służył czcigodnemu patriarsze Atalowi i kapłanom Świątyni Starych Bogów, więc należało mu się zaszczytne miejsce w głębi katakumb. Dom, biblioteka, laboratorium i jego cała osobliwa zawartość, w tym dzienniki ze skrupulatnymi notatkami i obliczeniami, owocami badań, przypadły jego córce.

Po skomplikowanych rytuałach pogrzebowych i stosownym okresie żałoby Sála opuściła miasto, bo zawsze marzyła o podróżach. Marzyła o Nirze i Pardze, o bazaltowych wieżach Dylath-Leen, o żeglowaniu na czarnych galerach do wysp i miast portowych, które leżały po drugiej stronie szerokiego Morza Południowego, o wędrowaniu aż do lśniącego

Celephaïs w Ooth-Nargai za Górami Tanarian, a nawet do nawiedzanej przez bhole doliny Pnath. Tak też zrobiła i minęło wiele długich lat, zanim wróciła do domu ojca w mieście swoich narodzin. Historie tych podróży muszą jeszcze poczekać na to, żeby je opowiedzieć, ale należy tutaj zauważyć, że kobieta, która wróciła, nie była tą samą, która wyjechała, bo podróż dokonała na niej swojej magii, jak to w nieunikniony sposób czynią podróże. Niewiele zostało z dziewczyny, którą kiedyś była, bo żaden rodzaj niewinności czy naiwności nie może długo przetrwać rygorów i objawień tych miejsc, w których Sála odważyła się dłużej zabawić.

Wkrótce podjęła badania ojca dokładnie w miejscu, w którym przerwała jej śmierć. Starzec był wymagającym nauczycielem, a Sála okazała się bardzo uważną i uzdolnioną uczennicą. Jego lekcje w połączeniu z wiedzą, którą zgromadziła w czasie dalekich podróży, złożyły się na jej dobre przygotowanie. W ciągu miesiąca opanowała podstawy transmutacji żywiołów i metali i przeszła do większych i bardziej wymagających zagadnień.

Choć była piękną kobietą, wysoką, o jasnej skórze, hebanowych włosach i szaroniebieskich oczach ojca, nie wyszła za mąż. Choć jej uroda przetrwała utratę młodości, Sála nie miała żadnych kandydatów do ręki i nikt nie dzielił z nią łoża. Mieszkała sama, jedynie w towarzystwie książek, kilku zmieniających się kotów i kolejnych pór roku. I tak miała nie dość czasu na pracę, nawet bez marnowania go na takie trywialne rzeczy jak miłość i rodzina. Poza tym w ciągu lat spędzonych poza domem chodziła do prawie każdego burdelu i zamtuza, na jaki trafiła. Miała kochanka ghula w nekropolii pod stokami góry Ngarnek. W Dylath-Leen zalecał się do niej, a ona w chwili słabości omal za niego nie wyszła, syn bogatego handlarza wełną. W Celephaïs chętnie dała się wciągnąć pewnemu znanemu markizowi w zagmatwaną sytuację. Tak więc trudno jej było sobie wyobrazić, że mogło w seksie zostać jeszcze coś wartego nauczania. Zwróciła się natomiast ku bardziej zaawansowanym transmutacjom i kwestiom nieśmiertelności, ku szukaniu eliksiru, którego nie udało się wynaleźć jej ojcu, choć szukał go równie desperacko jak inni przed nim.

Praca stała się życiem Sáli i dopuszczała niewiele przerw i chwil wytchnienia. Jej dni i noce mijały w towarzystwie kolb i zlewek bulgoczących nad gorącymi niebieskimi płomieniami lamp spirytusowych. Sála głowiła się nad dręczącymi, pozornie nierozwiązywalnymi kwestiami

filtracji, sublimacji, destylacji, składników kwasowych i alkalicznych, bizmutu, antymonu i soli rtęci. Wymyśliła swoją własną udoskonaloną numerologię i nową, skomplikowaną kryptografię, żeby zapisywać swoje badania i ich rezultaty. Jej notatniki były pełne alfanumerycznych pułapek, śmiertelnych inkantacji uruchamianych przez niewtajemniczonych i niezaproszonych. Zagłębiła się w hiperboliczną i eliptyczną geometrię bardziej, niż ojciec kiedykolwiek się odważył. Konstruowała dziewięciowymiarowe sieci z kryształów, światła i dźwięku. Wywoływała i rozkazywała dżinnom i duchom zmarłych, a nawet przywołała sługę ślepego, szalonego sułtana demona Azathotha, dla którego wszyscy Zewnętrzni Bogowie są jedynie marionetkami w niekończącej się grze cieni.

Dzień po dniu jej moc rosła i w ciągu zaledwie jednej dekady Sála prześcignęła w sztukach alchemicznych i taumatycznych wszystko, co jej ojcu udało się osiągnąć przez całe życie. We wszystkich krajach otaczających prefekturę Ulthar szanowano ją i bano się jej w równym stopniu. Zawsze istniało duże zapotrzebowanie na jej opinię i umiejętności, zarówno w jej własnym mieście, jak i u zagranicznych uczonych, kupców, kapłanów i rodów królewskich.

I wtedy w pewien jesienny wieczór po nowiu, kiedy próbowała *putrefactio* dokuczliwego kamiennego idola, mimo szczególnych środków ostrożności doszło do wypadku w kuźni. Nie ustalono szczegółów, bo Sála potrafiła być dumną kobietą i miała niejedną okazję, żeby ukryć wszelkie dowody logistycznego błędu z jej strony. Wiadomo, że mogła tamtej nocy albo niedługo potem zginąć od ran, gdyby nie interwencja tłustego pręgowanego białego kocura, który obserwował ją z cienia pracowni. Cicho, bezszelestnie wbiegł po schodach, wyskoczył przez okno i szybko zaniósł wieść o nieszczęściu wielu innym kotom, a także lekarzowi o imieniu Zath, który zajmował się alchemiczną przy niejednej okazji.

– Tamten kot z pewnością uratował ci życie – powiedział jej lekarz kilka dni później, kiedy odzyskała przytomność, gorączka spadła, a rany zaczęły się goić. – Na twoim miejscu bym go zatrzymał.

Zath nalegał również, żeby zapewniła sobie usługi pielęgniarki, przynajmniej do czasu, kiedy znowu będzie mogła chodzić i zadbać o swoje potrzeby. Sála zgodziła się niechętnie i pozwoliła lekarzowi przyjąć na służbę godną zaufania młodą kobietę z dolnego miasta. Jej imię brzmiało Anissa, a Sála nie wiedziała, że dziewczyna jest wnuczką akuszerki, która

pomogła jej przyjść na świat, choć poród kosztował życie jej matki, tak że ojciec alchemik musiał sam wychowywać córkę.

– Jeśli stanie się utrapieniem, nie zawaham się jej odesłać – uprzedziła Sála, kiedy Zath zmieniał opatrunek na oparzelinie, która pokrywała większość jej lewej nogi poniżej kolana.

– Oczywiście. Ale ona nie będzie utrapieniem. Zobaczysz.

– Nie mam czasu na rzeczy rozpraszające uwagę i żadnej potrzeby towarzystwa – powiedziała Sála, krzywiąc się, podczas gdy Zath nakładał gęstą niebieską maść na jej oparzenie.

– Jeśli w rany wda się zakażenie i rozwinie się sepsa, nawet się nie obejrzysz, jak będziesz potrzebowała już tylko balsamisty. – Lekarz łąpał na nią przez chwilę spode łba, a potem zaczął owijać jej łydkę świeżym bandażem.

Anissa zjawiła się wcześniej następnego ranka i została ulokowana w nieużywanej i zatęchłej części poddasza. Oczywiście miała wstęp do sypialni swojej pani, do kuchni i do innych miejsc w domu, do których w trakcie pełnienia obowiązków powinni mieć dostęp pielęgniarka, kucharz i pokojówka. Jednak surowo zabroniono jej wchodzić do biblioteki, oranżerii, a także do piwnicy i sutereny, gdzie mieściło się laboratorium alchemiczki. Miała również z nikim nie rozmawiać o tym, co zobaczyła albo usłyszała w tych murach, a Zath dał jej jasno do zrozumienia, że nawet najdrobniejsze naruszenie tych zasad spowoduje co najmniej natychmiastowe zwolnienie, utratę referencji i należnej zapłaty.

Tak więc wygodny i stały rytm egzystencji Sáli został nagle zastąpiony przez nowe porządki i niemal stałą obecność dziewczyny niskiego stanu. Z początku Sála rzadko przepuszczała okazję, żeby poskarżyć się na niedogodności spowodowane przez wypadek i na nazbyt silne nalegania lekarza, żeby zatrudniła pielęgniarkę. Bez końca lamentowała, że praca czeka, podczas gdy ona leży w łóżku. Narzekała, zrędziła, gderała. Ale w rzeczywistości stwierdziła, że Anissa jest przystojna i niepozbawiona wdzięku, a ponadto ma niespodziewanie ostry umysł jak na kogoś o tak słabym wykształceniu.

W miarę jak mijały tygodnie i jej stan powoli się poprawiał, Sála martwiła się coraz mniej o zaniedbane badania i zaczęła wyczekiwać rozmów z Anissą. Uświadomiła sobie, że czeka na każdy najlżejszy dotyk dziewczyny, na sam jej widok i zapach, a wkrótce zaczęła sobie cenić zabiegi pielęgniarskie. Jęła się zastanawiać, jak i dlaczego tyle lat znosiła

narzuconą sobie izolację, i choć nie przyznałaby się do tego nikomu i za żadną cenę, taka była prawda.

Często ona i Anissa rozmawiały do późnych godzin nocnych i nie było rzadkością, że ich tête-à-tête przeciągały się do chwili, kiedy zaczynały pisać koguty, a gwiazdy blakły przed świtem na szarawo-fioletowym niebie. Pielęgniarka odkryła, że nie trzeba dużego wysiłku, by namówić swoją panią do dziwaczych i rozwlekłych opowieści o jej podróżach. Od powrotu do Ulthar Sála rzadko miała okazję rozmawiać z innymi o czymś więcej niż sprawy zawodowe, a nawet wtedy zawsze była skryta i lakoniczna. W jakiś nieokreślony sposób dziewczyna ją uspokajała i rozwiązywała jej język, sprawiała, że jej umysł przenosił się do czasów karawan, żaglowców i dalekich krain.

– Ma pani tyle cudownych opowieści – powiedziała Anissa pewnego wieczoru, kiedy zmieniała bandaż na lewym nadgarstku podopiecznej. – Nie tylko historie, które pani słyszała, ale rzeczy, która sama pani przeżyła. Ja nigdy nie byłam dalej niż za mostem, i to tylko raz.

Trzeba nadmienić, że Sála odziedziczyła po ojcu różne niedoskonałości charakteru, z których jedną bez wątplenia była próżność, a inną podatność na wszelkiego rodzaju pochlebstwa. Ale byłoby niewłaściwym stwierdzenie, że Anissa wykorzystywała te słabości, ponieważ nie miała żadnych planów. Jeśli wyrażała albo okazywała nadmierny entuzjazm, robiła to szczerze, i wynikał on z prawdziwego uwielbienia i chęci słuchania o przygodach i niepowodzeniach alchemiczki. Od dzieciństwa Anissa była ciekawa świata za murami Ulthar, a niewiele o nim słyszała, zanim trafiła do tego domu.

– Nie oddałabym tanio tamtych dni – odparła Sála, zerkając szybko na brzydkie blizny na nadgarstku i dłoni, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś będzie mogła w pełni jej używać. – Często się wydaje, jakby przydarzyły się komuś innemu, jakiejś śmielszej kobiecie, a ja jedynie ukradłam jej wspomnienia.

– Bardzo fortunna kradzież – stwierdziła Anissa z uśmiechem, po czym owinęła rękę Sáli czystą gazą. – Chciałabym pewnego dnia okazać się tak zręczną złodziejką. I znaleźć taką świetną ofiarę.

Rozmowa pomagała odwrócić uwagę od bólu trudnej rekonwalescencji, ale Sála z czasem zwróciła się ku wyciągom z opium, w tym laudanum, a także ku silnym roztworom morfiny, alkoholu etylowego, soku z cytryny i anyżu. Te mikstury nie były przepisywane przez Zatha, lecz kupowane

przez Anisę u miejscowego chemika albo przyrządzone z zawartości szafek Sáli. I choć łagodziły dyskomfort, zbierały żniwo w postaci osłabienia zdolności umysłowych; pod ich wpływem Sála miała dziwne, niepokojące sny, zarówno na jawie, jak i wtedy, gdy spała. Czasami mówiła na głos do kogoś, kogo Anissa nie widziała, kiedy indziej potrafiła leżeć zupełnie nieruchomo i szeroko otwartymi, niemrugającymi oczami wpatrywać się w tak straszne i cudowne otchłanie, że pielęgniarka bała się je sobie wyobrazić. Podczas deliriów Sála walczyła z niewidzialnymi przeciwnikami, szlochała rozpaczliwie albo kuliała się żałością z przerażenia, jakby w pobliżu czaiła się jakaś potworna istota. Choć te paroksyzmy bardzo niepokoiły Anisę, która nieraz sama wydawała się przyczyną hysterii swojej pani, pielęgniarka robiła co mogła, żeby ją uspokoić i uchronić przed zrobieniem sobie krzywdy.

Pewnego wieczoru na przykład, kiedy Anissa zamykała okiennice przed nadchodzącą burzą, alchemiczka wydała cichy okrzyk przerażenia. Pielęgniarka odwróciła się szybko i zobaczyła, że jej podopieczna siedzi wyprostowana na łóżku z obandażowanym ramieniem uniesionym w stronę niskich belek sufitowych.

– Nie widzisz tego? – zapytała Sála głosem niewiele głośniejszym od szeptu. – Tam, pływa w morzu i obserwuje mnie tymi wstrętnymi oczami bez życia. Czy nikt nie widzi, że to mnie obserwuje?

– Tak, widzę – powiedziała Anissa i co z tego, że skłamała, skoro jej słowa uspokoiły Sálę. – Ale to było dawno temu, a teraz pani tylko wspomina. Jest pani w domu, bezpieczna we własnym łóżku. Bezpieczna ze mną. To coś tutaj pani nie znajdzie.

– Ale to nadal patrzy – upierała się Sála, lekko odwracając głowę ku Anissie.

Pielęgniarka poczuła chłód, słysząc przekonanie w głosie alchemiczki.

– Oczywiście – zapewniła. – Ale jest pani bezpieczna i nieważne, jak pilnie to coś panią obserwuje, tutaj pani nie znajdzie, nigdy.

I wtedy Sála zaczęła trochę się uspokajać, ale nadal wpatrywała się intensywnie w sufit przez prawie godzinę. Dopiero kiedy zaczęły się grzmoty, a zimny deszcz zabębnił o szyby, w końcu opuściła wzrok. Jednak później, nawet po tym, jak odnalazł ją sen, mocno ścisnęła rękę Anissy, tak jak przestraszone dziecko ścisną dłoń matki, kiedy się boi.

Jako że wszystkie historie miały wiele zwrotów i komplikacji, trzeba powziąć decyzję, o czym opowiadać, a co pominąć. W tej niefortunnej



konieczności kryje się różnica między prawdą o rzeczach a ekstraktami albo destylatami, które nazywamy historią lub biografią i które mogą być jedynie przybliżeniem prawdziwych wydarzeń czy egzystencji, potrzebną fikcją przekazującą to, co dany autor mógł uważać za najważniejsze punkty na linii czasowej zawierającej dużo więcej chwil, niż może ich zawierać rozsądna narracja. Oznacza to, że zawsze są pominięcia. Lwia część momentów składających się na wszystkie dni i godziny między „dawno, dawno temu” a „koniec” jest po prostu pomijanych, podczas gdy innym można poświęcić tylko bardzo pobieżną uwagę.

W wypadku tej opowieści jest tu jedynie miejsce na przelotną wzmiankę, że pielęgniarka Sáli była w stanie, dzięki wielkiej cierpliwości i pomocy lekarza Zatha, uwolnić alchemiczkę od jej uzależnienia od różnych wyciągów z opium i morfiny. A kiedy Sála całkiem wyzdrowiała, odkryła, że jej sympatia do Anissy zmieniła się w miłość. Nie miłość między przyjaciółkami czy siostrami, ale w ten rodzaj miłości, który greccy poeci i filozofowie przypisują królestwu boga Erosa. Czytelnikowi może się wydawać wielkim zaniedbaniem ze strony narratora nieopisanie, jak dokładnie to się stało, albo brak szczegółów pierwszych niezręcznych zbliżeń między dwiema kobietami czy seksualnej edukacji Anissy odebranej z rąk, dosłownie, tej, która w czasie swoich podróży poznała wszystkie odmienne i egzotyczne cielesne przyjemności. Musi wystarczyć informacja, że tak właśnie było i że Anissa pod wszystkimi względami odwzajemniała uczucia swojej pani.

Ciało alchemiczki powoli zdrowiało, a kiedy ostatnia część jesieni ustąpiła miejsca nagim gałęziom i pierwszym śniegom zimy, Sála stwierdziła, że znowu może chodzić, z laską i z pomocą Anissy. Na krótko mogła również wracać do swoich badań. Z konieczności jednak zerwała ze swoimi wcześniejszymi zakazami i pozwalała pielęgniarce, żeby jej towarzyszyła, a czasami nawet pomagała w laboratorium, do którego Anissa wcześniej nie miała wstępu.

Alchemiczka zaczęła przeglądać zniszczone, butwiejące książki i pergaminy, które dostarczono w czasie jej rekonwalescencji. Jeden, papirus czy wadż umieszczony w walcu z wypalanej gliny, pochodził, jak twierdził kupiec, który jej go sprzedał, z nieoznaczonego grobu w pobliżu słynnych ruin Sarkomand, gdzie tytaniczne skrzydlate lwy z kamienia strzegą studni prowadzącej do samej Wielkiej Otchłani, która znajduje się niedaleko zimnych pustkowi przeklętego Leng. Choć Sála nie potrafiła

przetłumaczyć całego papirusu, wyraźnie mówił on o niewysłowionym Starym Hierofancie, Wysokim Kapanie Nie do Opisania, który mieszka w monasterze na płaskowyżu Leng, a jego twarz jest stale zasłonięta maską z żółtego jedwabiu.

Jednak wśród tych kilku nowych nabytków była rzecz, która uradowała alchemiczkę dużo bardziej niż bez wątpienia bezcenny papirus sarkomandzki. Dla Anissy był to tylko list wysłany z jednej z rolniczych wiosek za rzeką Skai, bez adresu zwrotnego. Przyszedł niemal miesiąc wcześniej, zapieczętowany kroplą karmazynowego wosku. Ale kiedy Sála przeczytała to, co było napisane na pojedynczej kartce, jej oczy się rozszerzyły, a ręce zaczęły drżeć, tym razem nie z osłabienia czy gorączki, ale z podniecenia. Kilka chwil później przeczytała go na głos Anissie.

*Droga pani profesor,*

*Żeby się przedstawić, powiem tylko, że jestem bosmanem na doggerze „Mock Turtle”, zatrudnionym przez dobrego szypra, który łowi ryby na rzece, transportuje wełnę i inne suche towary. Niedawno w nasze sieci wpadła bardzo niezwykła rzecz, która wygląda jak gigantyczne jajo, ciemne i gładkie jak kawałek obsydianowego szkła. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Zmierzyłem jajo – bo jestem pewien, że to jest jajo – i mogę powiedzieć, że ma pełne dziewięć dłoni długości, choć nie waży dużo (więc obawiam się, że jest puste). W nocy albo z dala od bezpośredniego słońca widziano, jak wydziela słabą niebieskawą poświatę. Powiedziano mi, że taka osobliwość może panią zainteresować, a ja prosiłbym jedynie o skromne znaleźne, żeby przetransportować ją z portu, gdzie teraz znajduje się w bezpiecznym miejscu. Są tacy, którzy po jego zobaczeniu szeptali modlitwy, nazywali je smoczym jajem i przysięgali, że zostało ono wymyte z gniazd i kolonii tych potężnych stworów. Jak może pani wie, wielu ludzi twierdzi, że te bestie nadal mieszkają w wysokich, niedostępnych górach. Sam się na takich rzeczach nie znam, ale mogę zaświadczyć, że ta rzecz jest zupełnie niepodobna do niczego, co do tej pory widziałem przez długie lata spędzone na rzece i na morzu. Oczekuję pani łaskawej odpowiedzi i takiej sumy, którą pani uzna za stosowną.*

List został napisany niewprawną ręką węglem na kawałku papieru do pakowania mięsa. Kiedy alchemiczka nieoczekiwanie podała go Anissie, ta

zobaczyła, że jest podpisany tylko inicjałami R.O. i poplamiony w jednym rogu jakąś nieprzyjemną, tłustą substancją.

– Muszę mieć tę rzecz – oświadczyła Sála, sięgając po gęsie pióro i kałamarz. – Zaniesiesz moją odpowiedź, zapłacisz i załatwisz dostawę jaja. Oczywiście, o ile nie jest już za późno i nasz bosman, straciwszy nadzieję na odpowiedź, nie sprzedał go komuś innemu.

Były pytania, które Anissa chciała zadać, ale zatrzymała je dla siebie, licząc na to, że kiedyś otrzyma na nie odpowiedzi. Martwiła się również tym, że zostawia Sálę samą i bez opieki, zaproponowała więc, żeby poprosić Zatha o przyście i pozostanie z nią do czasu, aż ona wykona zadanie, lecz alchemiczka łypnęła na nią groźnie i pokręciła głową, od razu odrzucając pomysł.

– Mam dość grania inwalidki – powiedziała – a my straciłyśmy o wiele za dużo czasu.

Po tych słowach sięgnęła po papier listowy i napisała krótką odpowiedź do bosmana. Dała go Anissie razem z taką ilością złota, żeby wystarczyło na jajo i jego bezpieczne dostarczenie do jej domu.

– Jak sobie życzysz – westchnęła Anissa, chowając list i monety do solidnej skórzanej sakiewki, która służyła jej za portmonetkę. Zaciągnęła jej sznurki, a następnie pomogła alchemiczkce wstać od biurka w laboratorium i zaprowadziła ją na górę do łóżka. Ich łóżka.

– Proszę, Sáló, nie ruszaj się z miejsca, póki nie wrócę. Postaram się nie zabawić dłużej niż to konieczne. Na pewno będę się martwiła, co z tajemniczym panem R.O. i jego czarnym jajem, więc nie chcę również zamartwiać się o to, czy się nie potknęłaś i nie upadłaś.

– Nie roztkliwiał się nade mną – odrzekła Sála bardziej surowo niż to potrzebne. – I nie śpiesz się ze względu na mnie. Muszę je mieć, Anisso.

– Matka uczyła mnie, że to tylko bajki – nie mogła się powstrzymać Anissa. – To znaczy smoki. Smoki, ogniste węże i co tylko. Wierzysz temu człowiekowi?

– Uwierzę w to, co zobaczę na własne oczy – odparła alchemiczka, wyraźnie coraz bardziej zniecierpliwiona. Chciała, żeby Anissa przestała zwlekać i zadawać pytania, a lepiej ruszyła w drogę. – Ale tak, kiedyś niezaprzeczalnie żyły na świecie smoki, na wyspie Oriab na zachód od Mnar i na północ przez Morze Cerenariańskie do Kaar. Dawno temu nie były rzadkimi stworzeniami. A teraz, proszę...

Tak więc Anissa wyszła z domu w cień Świątyni Starych Bogów i pośpieszyła zaśnierzonymi ulicami Ulthar, lawirując między pieszymi i wszechobecnymi miauczącymi kotami, uskakując przez powozami ciągniętymi przez zebry i wozami pełnymi warzyw zaprzężonymi w woły. Przeszła przez dolne miasto na nabrzeże i doki ciągnące się wzdłuż wschodniego brzegu Skai. Szeroka rzeka miała pod chmurami kolor łupka, a blisko brzegu pokrywała ją cienka warstewka świeżego lodu. Anissa pomyślała, że ma szczęście, gdy znalazła „Mock Turtle” zakotwiczony w jednym z pierwszych miejsc, które sprawdziła. Ale kiedy porozmawiała z dwoma majtkami i pierwszym oficerem, dowiedziała się, że człowiek, który wysłał list, utonął tydzień wcześniej.

Dogger wracał z portu Dylath-Leen i trafił na szczególnie burzliwe wody, gdzie łodzie często rozbijały się o ostre rafy ukryte tu i ówdzie pod falującą powierzchnią. Starszy nawigator, który stawał się krótkowzroczny, popełnił mały błąd na mapach i w rezultacie „Mock Turtle” wpadł na skały. Uderzenie nie było potężne i nie wyrządziło kadłubowi poważniejszych szkód, jednak bosman (żaden z marynarzy nie potrafił odpowiedzieć, co oznaczają inicjały R.O., choć pracowali z nim przez wiele lat) spadł z olinowania, gdzie doglądał rozplątywania liny. Podniesiono alarm i natychmiast opuszczono szalupę ratunkową, ale bosman zdążył zniknąć w kotłującej się wodzie i nigdy więcej go nie zobaczono.

– Ale dobrze wiemy, gdzie schował czarne jajo – rzekł pierwszy oficer, gdy Anissa wyjaśniła, dlaczego szuka bosmana. – I nie będzie nam żal, że się go pozbędziemy. Ani trochę. Dziw, że nikt nie wrzucił go z powrotem do rzeki. Ja sam bym to zrobił, ale nie mogę być pewny, czy to nie wyrządziłoby więcej szkody niż zamknięcie go gdzieś na brzegu.

Kiedy Anissa spytała, co dokładnie ma na myśli, mówiąc o szkodzie, pierwszy oficer nagle zrobił się milczący i nie chciał więcej rozmawiać o tej sprawie. Jednemu z majtków wydał rozkaz, żeby zaprowadził ją do pobliskiej szopy na sieci, gdzie R.O. schował swój skarb. Nikt nie miał klucza do szafki, ale stalowy zamek dość łatwo dało się otworzyć końcem złamanej ośęki. Jajo nadal tam było, pod podartym kawałkiem płótna, który kiedyś stanowił część żagla. W dusznej szopie cuchnęło pleśnią, butwiejącym drewnem i rybami, ale przynajmniej ściany dawały osłonę przed zimnym wiatrem wiejącym od Skai.

– Niech pani to weźmie i sobie idzie – rzucił burkliwie marynarz, a kiedy Anissa zaproponowała mu dwie złote monety, które dała jej Sála,

majtek odmówił. – Niech pani to zabiera i idzie.

Po czym wyszedł i zostawił ją samą w szopie.

Anissa przez chwilę patrzyła na jajo. Było takie, jak w liście opisał je bosman: gładkie i ciemne jak wulkaniczne szkło, lekko przezroczyste, a w półmroku szopy wydzielało słabą, ale wyraźną i niesamowitą niebieską poświatę. Kiedy dotknęła jaja, zaskoczyło ją, że jest ciepłe, wcale nie zimne, jak się spodziewała. Podniosła je ostrożnie, na wpół oczekując jakiejś reakcji albo oporu. Ale jeśli to naprawdę było jajo i kiedyś zawierało w sobie embrion żywej istoty, teraz wydawało się puste i ważyło nie więcej niż mosiężny czajnik. Owinęła je starannie w płótno i kiedy nad Ulthar zapadał zmierzch, ruszyła z nabrzeża z powrotem do domu, gdzie czekała jej pani.

Anissa nie znalazła Sáli w sypialni ani nigdzie na górze, lecz znowu na dole w laboratorium, ślęczącą nad szczególnie grubym stosem notatek, które dekady wcześniej zrobił jej nieżyjący ojciec.

– To cud, że nie spadłaś ze schodów i nie skręciłaś sobie karku – powiedziała Anissa, zdenerwowana i zagniewana, delikatnie kładąc tobolek na stole.

– To jest to? – zapytała Sála, nie zważając na reprimendę. Jej głos lekko drżał z oczekiwania i niepokoju, często dopadającego ludzi, zanim ujrzą przedmiot pragnień, którego nie mieli nadziei zobaczyć.

– Tak, ukochana. To jest to. Ale bosman nie żyje, utonął, jak się okazuje, i...

– Nieważne – przerwała jej Sála. – W ogóle nieważne.

Delikatnie uniosła płótno żeglarskie i odsłoniła czarne jajo. W przyćmionym blasku świec i lamp olejnych niebieskawa poświata była prawie tak wyraźna jak wtedy, gdy Anissa pierwszy raz zobaczyła ją w szopie na sieci. Zdumiona alchemiczka przyjrzała się jaj, mrużąc oczy w okularach i wymieniając cicho imiona kilku spośród Starych Bogów, które rzadko są wypowiedane na głos (i tylko z bardzo dobrych powodów).

– Jest? To znaczy smocze? – zapytała Anissa, a alchemiczka pokiwała głową. – Ale jest takie lekkie. – Siłą nawyku pochyliła się i przytknęła dłoń do czoła Sáli; z ulgą stwierdziła, że jej pani nie ma gorączki. – Obawiam się, że już nic w nim nie ma. Nie wiadomo, jak długo leżało na dnie rzeki. Pewnie całe wieki.

– Tym lepiej – powiedziała alchemiczka. Uśmiechała się teraz, a Anissa o wiele za rzadko widywała uśmiech na jej twarzy. – Ostatecznie jaki

pożytek byłby ze smoczego oseska? Tylko utrapienie, zagrożenie i mnóstwo kłopotów. Ale jajo smoka... – Niemal dotknęła lśniącej czarnej skorupy, ale się powstrzymała i wróciła do notatek, które czytała, kiedy Anissa ją znalazła. – Kiedy mój ojciec studiował w Ilarnek – postukała w stertę papierów – w tamtejszej bibliotece zobaczył skamieniały kawałek smoczego jaja, które podobno o prawie dwa stulecia przedłużyło życie czarownika, który je znalazł, aż ten został zdradzony i otruty przez innego profesora, a swojego rywala.

Anissa zastanawiała się przez chwilę, a potem spytała:

– Jajo nie ochroniło go przed trucizną?

– Och, z pewnością ochroniłoby, ale rywalowi udało się ukraść skorupę, zanim podał truciznę swojej ofierze. W każdym razie morderca został znaleziony martwy kilka dni później po tym, jak sam się powiesił. – Sála umilkła i spojrzała na Anissę. – Zważ, że mój ojciec tylko na wpół wierzył w tę opowieść, choć zanotował, że rzekoma skorupka jaja wykazywała dużo osobliwych właściwości, kiedy poddano ją działaniu różnych odczynników. I nie wspominał ani słowem o jej świeceniu.

Anissa wyciągnęła rękę i musnęła czubkami palców gładką hebanową powierzchnię, ciekawa, czy nadal zachowała ona ciepło, które wcześniej poczuła w szopie. Stwierdziła, że tak, i już miała zapytać Sálę, jakie może być źródło tego ciepła, kiedy odkryła małą rysę – nie szerszą od włosa – biegnącą przez całą długość jednego boku.

– Sálo, czy to może być pęknięcie, przez które wylała się zawartość?

Alchemiczka podniosła wzrok znad notatek ojca i spojrzała na jajo, którego jeszcze nie dotknęła. Ale zanim zdążyła odpowiedzieć na pytanie albo przyjrzeć się pęknięciu, zauważyła jasną kroplę krwi wzbierającą na środkowym palcu Anissy.

– Skaleczyłaś się – stwierdziła. – Idź po plaster. I starannie oczyść ranę.

– Zaczynasz mówić jak ja – odparła pielęgniarza i spojrzała na swój palec, na drobne otarcie, którego nawet nie poczuła, ale musiała je sobie zrobić, kiedy dotykała rysy. Wyglądało jak zacięcie papierem.

– Skorupka nie tylko z wyglądu przypomina oko z obsydianu – powiedziała Sála i po raz pierwszy dotknęła czarnego jaja. – A kawałki pękniętego obsydianu są ostre jak brzytwa. Trzeba z nimi uważać. – Spojrzała na Anissę, nadal się uśmiechając. – Jest ciepłe. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jest ciepłe?

– Właśnie miałam to zrobić. – Anissa posiadała skaleczenie i poczuła smak własnej krwi.

– To godne uwagi – stwierdziła alchemiczka, odwracając się do jaja i zastanawiając, czy źródło ciepła może mieć wspólną przyczynę z jego świeceniem.

Czy to możliwe, że jajo, w przeciwieństwie do odłamka z Llarnek, nie jest stare, ale trafiło do rzeki całkiem niedawno i nadal zachowało nieznaną siłę życiową albo inną esencję, która z czasem by się rozproszyła i zniknęła? A jeśli tak, czy nie byłby logiczny wniosek, że smoki mogły przetrwać gdzieś w krainie snów? Sáli kręciło się w głowie od widoku skarbu, od wagi tego i setki innych pytań. Jakie nowe i bezcenne związki chemiczne można by wyekstrahować ze smoczego jaja, które ostatnio zawierało żywy płód? Jakie fantastyczne leki i rozpuszczalniki można by uzyskać? A jeśli skamieniały kawałek skorupy przedłużył życie człowieka o dwieście lat, czy prawie nienaruszone i świeże jajo nie mogłoby być kluczem do eliksiru nieśmiertelności, którego tak wytrwale poszukiwał jej ojciec?

– Muszę od razu przeprowadzić pewne testy – oznajmiła. – Proszę, pozwól mi pracować. Zawołam, jeśli będę czegoś potrzebowała.

– Na pewno jesteś dostatecznie silna?

Alchemiczka roześmiała się cicho i przewróciła jajo, żeby zbadać jego drugą połowę.

– Martwisz się, że znajdę tu śmierć, a wtedy będziesz musiała odpowiedzieć przed starym Zathem, że straciłaś pacjentkę?

– Nie. – Anissa lekko pocałowała czubek głowy Sáli, ale alchemiczka chyba tego nie zauważyła. – Wcale nie. Jeśli będziesz mnie potrzebować...

– Nie zawaham się, żeby cię powiadomić. – I Sála wskazała na mosiężny dzwonek leżący na stole. Jego solidna mahoniowa rączka została wyrzeźbiona tak, żeby przypominać głowę i zwoje groźnego węża. W jego otwartych szczękach było widać drewniane kły.

Tak więc Anissa wróciła na górę i zaczęła przygotowywać wieczorny posiłek: piezonego zająca i kapustę z cebulą – przez cały czas nasłuchując dźwięku mosiężnego dzwonka z mahoniową rączką. Pamiętała, żeby obmyć drobne nacięcie na palcu, choć ono już dawno przestało krwawić. Nie sprawiało dyskomfortu, więc Anissa go nie zabandażowała. Nauczyła się, że czasami lepiej pozwolić, żeby rana, zwłaszcza tak mała, była

wystawiona na działanie powietrza, żeby „oddychała”, jak mówił lekarz Zath.

Minął dzień, potem następny i kolejny, podczas gdy śnieg gromadził się na dachach, okapach i ulicach Ulthar. Anissa robiła co mogła, żeby Sála odpoczywała jak należy, żeby jadła, spała i nie zapominała brać leków, które miały przyspieszyć zdrowienie.

Ale czarne jajo stało się jej obsesją i było prawie niemożliwe odwrócenie uwagi alchemiczki od badań nad jego budową, właściwościami i pochodzeniem. Pierwszej nocy przestało świecić, niemal od razu po tym, jak Anissa zostawiła ją samą w laboratorium, i ten fenomen, już sam w sobie, wprowadził jej panią w niemałą konsternację. Sála odkryła, że jajo jest bardziej odporne, niż początkowo sądziła, i stwierdziła, że trzeba diamentowego rylca, żeby wyciąć choćby kilka fragmentów potrzebnych do analiz. Miała trudności z wyobrażeniem sobie siły koniecznej do zrobienia na nim podłużnej rysy bez jego rozbicia.

Rankiem czwartego dnia po tym, jak Anissa przyniosła jajo z szopy na sieci, gdzie bosman dla bezpieczeństwa je schował, zanim utonął, obudziła się spocona i zdyszana z koszmaru, z którego nie mogła później przypomnieć sobie ani jednego szczegółu. Tylko to, że przez kraj sunęło ryczące, skłębione morze ognia, ściana płomieni ciągnąca się na północ i południe jak okiem sięgnąć. Żarłocznie pochłaniała kraj, zmieniając śnieg i lód w potop, w miarę jak zbliżała się do starego miasta nad Skai. We śnie Anissa wiedziała, że ogień jej szuka, i obudziła się z gorączką i dreszczami, które trwały aż do późnego popołudnia, ale udało się jej to ukryć przed Sálą. Tamtej nocy czuła się dostatecznie dobrze, żeby nie odrzucić zalotów kochanki, choć te całkowicie ją zaskoczyły. Przez wiele dni Sála przejawiała zainteresowanie tylko czarnym jajem. Ale potem, kiedy obie ułożyły się do snu i zgasły świece, tak że został tylko kojący pomarańczowy poblask kominka, Anissa poczuła rękę alchemiczki na piersiach.

– Zaniedbałam cię – szepnęła jej do ucha Sála.

– Byłaś zajęta – odparła Anissa – i to bardzo. Takie znalezisko...

– To żadne wytłumaczenie – powiedziała Sála szeptem, jakby ktoś mógł ją podsłuchać. – Nie mam ochoty wracać do bycia osobą, którą kiedyś byłam, pochłoniętą tylko pracą.

Pod koszulą brodawki Anissy zaczęły twardnieć, a ona zadrżała i przewróciła się na bok w stronę Sáli, choć cienie ukrywały jej twarz.



– Mimo wszystko nie czułam się zaniedbywana – odszepnęła. – I nie chciałabym, żebyś tak myślała.

Pocałowały się, a Sála pomyślała, że być może w oddechu Anissy jest lekki zapach siarki i sadzy. Ale to wrażenie niemal natychmiast minęło, gdy tylko ukochana wsunęła w nią palec.

**Žona ogara**

# 1

Pamięć zawodzi, chwile zlewają się w jedną, łączą się i rozdzielają, mieszają jeszcze bardziej. Deszcz znaczący szyby strugami, błotniste rzeki płynące do morza albo krew na podłodze rzeźni kierująca się w stronę odpływu. Był czas, jestem tego pewna, kiedy wszystko to mogło być przedstawiane jako zwykła opowieść, rozpoczynająca się w jakimś bardziej lub mniej arbitralnym, choć pozornie istotnym momencie: w dniu, kiedy poznałam Isobel Endecott, tego wieczoru, gdy wsiadłam do pociągu z Savannah do Bostonu, albo kiedy odwracałam poźólkę kruche strony w grymarze czarnej magii i trafiłam na obraz jodeitowego bożka. Ale teraz wykroczyłam daleko poza konwencje chronologii i narracji i zmierzam do miejsca, które tak niewiele (i tak wiele) kobiet przede mną odwiedziło. To nie może być bajka, podobnie jak kryształowy puchar upuszczony na marmurową posadzkę nie może już nigdy napełnić się choćby odrobiną wina. A może mnie nie upuszczono. Może tylko upadłam, ale zdaje się, że to nie ma teraz dużego znaczenia. Może zostałam popchnięta. I równie dobrze może być tak, że zostałam upuszczona, popchnięta, upadłam, a żadna z tych rzeczy wzajemnie się nie wyklucza. Nie różnię się od rozbitego pucharu, którego odłamki nie przejmują się specjalnie tym, jak to się stało, że zostały oddzielone od poprzedniej całości.

Pamięć zawodzi. Upadam. Nie jedno albo drugie, lecz obie te rzeczy jednocześnie. Toczę się przez zatęchłe cienie grobowców. Leżę w moim grobie, wykopanym własnymi rękami, i słucham głodnych czarnych chrząszczy i czerwci zajętych moją cielesną powłoką. Jestem prowadzona do ołtarza na podwyższeniu w sanktuarium Kościoła Gwiazdnej Mądrości, żeby mnie na nim położono, oddano cześć i wykrwawiono. Spoglądam z dziury w ziemi i widzę rozdęty księżyc. Nie ma porządku w tych rzeczach, nieważne jak bym się starała albo nawet gdyby zależało mi na staraniach. One po prostu się zdarzyły albo ja jeszcze ku nim pędzę. Są przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, tym, co dokonane i niedokonane, wyobrażone i niewyobrażalne; byłabym przeklętą idiotką, gdybym przejmowała się takimi drobiazgami. Lepiej być tylko przeklętą.

– On zaginał – mówi mi Isobel. – Zaginał na bardzo długi czas. Plotkowano, że pojechał do Holandii na początku piętnastego wieku, że

został pogrzebany razem z tym, kto nosił go za życia. Inne historie głoszą, że został wykradzony z grobu tego człowieka w latach dwudziestych dwudziestego wieku i zawieszony do Anglii.

Sączę kawę, podczas gdy ona mówi.

– Wszystko łączy się z ironią i przypadkowością, a ja naprawdę nie daję wiary tego rodzaju paplaninie. Niektórzy twierdzą, że Holender, który podobno został pochowany razem z bożkiem, był hieną cmentarną, a on uważał siebie za prawdziwego ghula. Czarujący facet, bez wątpienia, a pięćset lat później pojawiają się dwaj brytyjscy degeneraci, chyba z Yorkshire. Rzekomo rozkopali grób i ukradli bożka, którego znaleźli zawieszzonego na szyi trupa.

– Ale przedtem... to znaczy przed Holendrem, gdzie mógł być? – pytam, a Isobel się uśmiecha.

Jej uśmiech mógłby stopić lód albo ściąć krew w żyłach, zależnie od perspektywy i skłonności do hiperboli i metafor. Ona wzrusza ramionami i odstawia filiżankę na kuchenny stół. Siedzimy razem w jej lofcie przy Altantic Avenue. Budynek został wzniesiony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym jako chłodnia dla towarów handlarzy futrami. Mury są grube i solidne, chronią tajemnice. Isobel zapala papierosa i patrzy na mnie przez chwilę.

Mój pociąg wjeżdża na Dworzec Południowy. Nigdy wcześniej nie byłam w Bostonie i nigdy stąd nie wyjadę. Dzień jest deszczowy, a ja mam obiecać, że Isobel będzie na mnie czekać na peronie.

– Cóż, przed Holandią – oczywiście zakładając, że bożek kiedykolwiek był w Holandii – rozmawiałam z człowiekiem, który uważa, że idol mógł spędzić trochę czasu w Grecji, ukryty w Monasterze Trójcy Świętej w Meteorach. Ale klasztor został zbudowany dopiero w tysiąc czterysta siedemdziesiątym piątym, więc to naprawdę nie jest żart z tą historią o holenderskiej hienie cmentarnej. Oczywiście ogar jest wspomniany w *Al Azif*. Ale to wiesz.

Potem temat rozmowy zmienia się z jadeitowego idola na archeologię w Damaszku, potem w Jemenie i wreszcie w ruinach Babilonu. Słucham, jak Isobel opisuje niebieskie płytki Bramy Isztar ze złotymi płaskorzeźbami lwów, aurochów i muszhuszów, dziwnych węży-smoków. Ona widziała zrekonstruowaną część bramy w Pergamonie, kiedy była w Berlinie wiele lat temu.

– W Niemczech byłam jeszcze młodą kobietą – mówi Isobel i patrzy przez okno na światła miasta, na noc Massachusetts i żółtopomarańczową lunę na niebie, która jest po to, żeby nikt nie musiał patrzeć ze zbyt bliska na gwiazdy.

To jest noc nowiu, Isobel klęka przede mną i myje mi nogi. Jestem naga, nie licząc jadeitowego bożka na srebrnym łańcuszku wiszącego na mojej szyi. Świątynia Gwiazdnej Mądrości pachnie kadzidłem, galbanum, szałwią, goździkami, mirrą i szafranem, tłącymi się w żelaznych koszach wiszących z wysokich belek sufitowych. Jej popielate włosy są ściągnięte w tył w schludny kok. Szata ma kolor surowego mięsa. Nie chcę, żeby Isobel patrzyła mi w oczy, ale nie mogę sobie wyobrazić, że wchodzę po granitowych schodach na podwyższenie bez tej łatwej, znajomej otuchy. Ciemne postacie w strojach o sześciu odcieniach czerwieni, czerni i szarości przybliżają się ze wszystkich stron. Kolory ich szat oznaczają rangę. Zamykam oczy, choć mi tego zabroniono.

– To jest nasza córka – mówi Najwyższa Kapłanka stojąca u podstawy ołtarza. Jej głos to flegma, zdarte koła zębate, dysonans i tumult. – Z własnej woli i z woli Bezimiennych Bogów dokona przejścia.

I nawet w tej chwili – na końcu mojego życia i początku istnienia – nie mogę się nie uśmiechnąć na ten dobór słów Wysokiej Kapłanki, na siłę nawyku, na nazywanie ich Bezimiennymi Bogami, kiedy nadaliśmy im tyle imion w ciągu tysiącleci.

– Ona zobaczy to, czego my nie możemy – warczy Najwyższa Kapłanka. – Pójdzie bez przeszkód tam, gdzie nasze stopy nigdy nie postaną. Pozna ich twarze i ich objęcia. Będzie cierpiała ogień, powódź i mroźne pustkowia, będzie jadać z Matką i Ojcem. Zajmie miejsce przy ich stole. Pozna ich krew, tak jak oni poznają jej krew. Upadnie i zaśnie, powstanie i pójdzie.

Wjeżdżam na Dworzec Południowy.

Piję kawę z Isobel.

Mam dziewiętnaście lat, śnię o holenderskim cmentarzu i splądrowanych grobach. Mój sen jest pełen szelestu skórzastych skrzydeł i żalobnego ujadania jakiejś wielkiej, niewidocznej bestii. Czuję świeżo rozkopaną ziemię. Niebo łypie z góry na cały świat jednym zrytym lejami okiem, które ludzkość w swojej litościwej ignorancji mylnie bierze za jesienny księżyc w pełni. Są dwaj mężczyźni z łopatami i kilofami.

Zafascynowana patrzę na ich ponurą determinację, na niewyobrażalny rabunek dokonywany sześćdziesiąt trzy lata przed moimi narodzinami.

W świątyni Isobel wstaje i mnie całuje. To zaledwie blady cień wielu pocałunków, które wymieniliśmy w czasie długich nocy miłości, popołudni i poranków spędzanych na eksplorowaniu nawzajem swoich ciał, pragnień i najbardziej skrytych fantazji.

Pustelnik podaje jadeitowy kubek hierofantowi, a ten z kolei przekazuje go Isobel. Choć w tym miejscu i o tej godzinie ona nie jest Isobel Endecott. Jest cesarzową, a ja tutaj nazywam się Koło Fortuny. Nigdy do tej pory nie widziałam tego kubka, ale wiem, że został wyrzeźbiony niepojęte tysiące lat przed tą nocą i z tego samego złoża, zielonego jak por *piedra de ijada*, co wisiorek, który mam na szyi. Szalony arabski autor *Al Azifa* wierzył, że ten jadeit pochodził z płaskowyżu Y'Pawfirm e'din Leng, i może miał rację. Cesarzowa przystawia brzeg kubka do moich ust, a ja piję. Gorzka nalewka w kolorze écru pali w przełyku, roznieca ogień w piersi i brzuchu. Wiem, że ten ogień zamieni mnie w popiół, a ja z tych popiołów odrodzę się jak feniks.

– Ona stoi na progu – charczy Najwyższa Kapłanka – i wkrótce wejdzie do Komnaty Matki i Ojca.

Tłum mamrocze błogosławieństwa i bluźnierstwa. Delikatne palce Isobel głaszczą moją twarz, widzę tęsknotę w jej niebieskich oczach, ale Najwyższa Kapłanka nie może mnie pocałować, nie w tym życiu.

– Będę czekać – szepcze.

Mój pociąg opuszcza Savannah.

– Tęsknisz za Georgią? – pyta Isobel tydzień po moim przyjeździe do Bostonu, a ja odpowiadam, że tak, czasami tęsknię za Georgią. – Ale to zawsze mija.

Ona się uśmiecha.

Mam prawie dwadzieścia lat, stoję sama na szerokiej białej plaży, gdzie ciemna od tanin rzeka Tybee uchodzi do Atlantyku, i patrzę, jak huragan pędzi w stronę brzegu. Najbardziej zewnętrzne strugi deszczu chłuszczą morze, ale jeszcze nie dotarły do plaży. Piasek wokół mnie jest zasłany martwymi rybami, rekinami, krabami i kalmarami. Piątego lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego B-47 zderzył się w powietrzu z myśliwcem F-86 Sabre dwa tysiące metrów nad tym miejscem i załoga B-47 była zmuszona zrzucić bombę wodorową Mark 15, którą przewoziła; „bomba z Tybee” nigdy nie została odnaleziona i leży zagrzebana gdzieś

w mule i błocie pod słonawymi wodami Zatoki Wassaw, dziewięć albo dziesięć kilometrów na południe od miejsca, gdzie stoję. Rysuję linię na piasku, łączącą jedną chwilę z drugą, a huragan zawodzi.

Mam szesnaście lat, nauczycielka angielskiego ze szkoły średniej mówi mi, że jeśli na początku historii pojawia się strzelba, na koniec ona musi wystrzelić. Jeśli to jest bomba, skrupulatny autor powinien zadbać o to, żeby eksplodowała, jeśli nie chce zlekceważyć oczekiwań czytelnika. Wszystko to brzmi bardzo głupio, więc ja cytuję kilka przykładów na coś przeciwnego. Nauczycielka angielskiego łypie na mnie i zmienia temat.

W świątyni Gwiazdnej Mądrości przechodzę przez płomień pochłaniające moją duszę i zajmuję miejsce na ołtarzu.

## 2

Jest upalny dzień pod koniec sierpnia dwa tysiące..., wychodzę z zielonego cienia Telfar Square i idę na północ Barnard Street. Spróbowałabym opisać moc tamtego alabastrowego słońca wiszącego wysoko na Savannah, ale wiem, że nigdy nie zdołam wyrazić słowami jego czystej złości i gwałtowności. Niebo jest wyblakłe, blade jak cementowy chodnik i rozbielone ceglane mury po obu stronach ulicy. Mijam dawny magazyn bawełny i zboża z czasów, kiedy New South była Old South, ponad wiek temu. Budynek został przerobiony na lofty, butiki i modną soul foodową restaurację. Idę, a cisza letniego popołudnia sprawia, że moje kroki brzmią głośno jak pioruny. Czuję tępe początki bólu głowy i żałuję, że nie mam pepsi albo napoju pomarańczowego, czegoś lodowato zimnego w zroszonej butelce. Zaglądam przez okna do klimatyzowanych sanktuariów po drugiej stronie szkła, ale nie zatrzymuję się i nie wchodzę do środka.

Noc wcześniej miałam sny, o których nigdy nikomu nie opowiem, dopóki nie poznam Isobel Endecott dwa lata później. Śnił mi się holenderski cmentarz i ujadający pies, a kiedy się obudziłam, znalazłam adres przy West Broughton zapisany na miękkiej okładce książki, którą czytałam przed zaśnięciem. Pismo jest bezsprzecznie moje, choć nie pamiętam, żebym brała długopis z nocnego stolika i notowała adres. Zasypiam ponownie dopiero przed wschodem słońca i mam jeszcze więcej snów o cmentarzu, iglicy katedry i dwóch mężczyznach z łopatami i kilofami.

Patrzę prosto na słońce, rzucając mu wyzwanie, żeby mnie oślepiło.

– Wiedziałaś, dokąd iść – mówi Isobel mojego pierwszego wieczoru w Bostonie, mojego pierwszego wieczoru z nią, choć ja już się czułam tak, jakbym znała ją przez całe życie. – Czas był właściwy, a ty zostałaś wybrana. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić takiego zaszczytu.

Jest koniec sierpnia, pocę się i idę na północ, aż docieram do skrzyżowania z West Broughton Street. W lewej ręce trzymam paperbackowe wydanie *Absalomie, Absalomie*, zatrzymuję się, żeby znowu odczytać adres. Potem skręcam w lewo, co oznacza, że skręcam na zachód.

– Gwiazdy miały rację – mówi ona i dolewa mi brandy. – A to tylko inny sposób, by powiedzieć, że nic nie może się wydarzyć, póki nie



przyjdzie na to pora. Taka jest prawidłowa sekwencja. Protokół.

Idę na zachód West Broughton, aż docieram do adresu, który moje śpiące ja zapisało na książce Faulknera. Jest tam obskurny sklep (który nazywa siebie „imperium”) specjalizujący się w starej biżuterii, figurkach porcelanowych i orientalnych ciekawostkach. W środku po palącym wzroku słońca zakurzony półmrok wydaje się niemal zimny. To, o czym nawet nie wiedziałam, że tego szukam, znajduję w gablocie przy kasie. To jedna z najokropniejszych rzeczy, jakie w życiu widziałam, ale również jedna z najpiękniejszych. Domyślam się, że kamień to jadeit, ale to tylko domysł. Wiem tyle co nic o kamieniach szlachetnych i ich szlifowaniu. Tamtego dnia nie znam nawet słowa „szlifierstwo”. Poznam je dopiero później, kiedy zacznę zadawać pytania o wisiolek.

Na stołku za ladą siedzi mężczyzna w średnim wieku. Patrzy na mnie przez soczewki okularów. Ma w sobie pewną zmanierowaną wybredność. Zauważam pieprzyk nad jego lewą brwią i to, że czyste paznokcie są obcięte bardzo krótko. Zauważam, że z pieprzyka wyrasta włos. Moja matka zawsze mówiła, że mam oko do takich szczegółów.

– Mogę coś pani dzisiaj pokazać? – pyta, a ja niemal się waham, po czym kiwam głową i wskazuję na jadeitowy wisiolek.

– Tak, to bardzo osobliwa rzecz. – Mężczyzna pochyła się do przodu i otwiera gablotę.

Sięga do środka, wyjmując łańcuszek z pudełka wyłożonego filcem. Filc ma kolor wyblakłego burgunda. Sprzedawca siada z powrotem i podaje mi naszyjnik przez ladę. Nie spodziewałam się, że wisiolek będzie taki ciężki i śliski w dotyku, niemal jakby był pokryty olejem albo woskiem.

– Kupiłem go na wyprzedaży kilka lat temu – mówi drobiazgowy antykwariusz. – Mnie nigdy się nie podobał, ale różne są gusta, jak powiadają. Gdybym handlował tylko tym, co mi się podoba, nie zarobiłbym na życie, prawda?

– Nie – odpowiadam. – Nie sądzę, żeby pan zarobił.

Stoję sama na plaży na południowym krańcu wyspy Tybee i obserwuję zbliżający się huragan. Przyszłam tutaj, żeby się utopić. Ale już wiem, że to się nie stanie, i ta świadomość przynosi ze sobą lekkie ukłucie rozczarowania.

– Pochodził ze starego domu przy Stephen’s Ward – ciągnie mężczyzna za ladą. – Przy East Hall Street, jeśli pamięć mi dopisuje. Mieszkała w nim lata temu dziwna zbieranina starych kobiet, ale potem pewnego czerwca

nagle wszystkie się wyniosły. Było ich dziewięć w tamtym domu, a pani wie, jak ludzie gadają.

– Tak, ludzie gadają.

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy zajmowali się swoimi sprawami i pozwolili innym żyć – mówi mężczyzna i patrzy na mnie, kiedy oglądam jadeitowy wisiołek.

Figurka wygląda trochę jak siedzący pies, z wyjątkiem skrzydeł. Przywodzi mi również na myśl sfinksa z obnażonymi zębami. Tutaj, w mojej dłoni, wyrzeźbiony w kamieniu, jest wizerunkiem wszystkich głodnych, udręczonych zwierząt, jakie kiedykolwiek żyły, i jednocześnie każdego szaleńca, czystego zła, któremu nadano formę. Drzę, a to doznanie nie jest całkiem nieprzyjemne. Uświadamiam sobie, że robię się mokra z podniecenia. Na podstawie figurki są litery z alfabetu, którego nie rozpoznaję, na spodzie wyryto stylizowaną czaszkę. Posążek jest odpychający, a ja wiem, że nie mogę bez niego wyjść ze sklepu. Przychodzi mi do głowy, że mogłabym zabić, żeby go mieć.

– Myślę, że tak – zgadzam się. – To znaczy byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy zajmowali się swoimi sprawami.

– Jednak nie można zmienić ludzkiej natury – mówi antykwariusz.

– Nie, nie można.

Pociąg zatrzymuje się na South Station.

Huragan pędzi na wyspę Tybee.

Mam tylko jedenaście lat i stoję przy bramie z kutego żelaza osadzonej w ceglany murze, który otacza zaniedbaną rezydencję przy East Hall Street. Mur jest żółty, ale nie dlatego, że został pomalowany na żółto, tylko dlatego, że wszystkie cegły użyte do jego zbudowania pokryto glazurą w kolorze nawłoci. Płytki lśnią w żarze późnomajowego popołudnia. Po drugiej stronie bramy stoi kobieta o imieniu Maddy (które, jak mówi, jest skrótem od Madaleine). Czasami, tak jak dzisiaj, przechodzę obok i widzę, że Maddy czeka, jakby się mnie spodziewała. Nigdy nie otwiera bramy, zawsze tylko rozmawiamy przez pręty, w chłodzie pod gałęziami dębu wirginijskiego i oplątwą. Czasami ona odczytuje mój los z kart tarota. Kiedy indziej rozmawiamy o książkach. Tego dnia jednak opowiada mi o właścicielce tego domu Aramat, a ja jestem pewna, że nigdy nie słyszałam takiego imienia.

– Czy to nie jest góra, na której, jak mówi Biblia, osiadła Arka Noego po potopie? – pytam.

– Nie, kochanie. Tamta góra to Ararat.

– Brzmi podobnie, Ararat i Aramat – stwierdzam, a Maddy na mnie patrzy. Widzę, że myśli o różnych rzeczach, których nie zamierza powiedzieć na głos, o rzeczach, o których nie powinnam nigdy usłyszeć.

A potem Maddy mówi prawie szeptem:

– Napisz czasami jej nazwisko wspak. Bardzo często coś, co wydaje się niezwykle, staje się całkiem zwyczajne, jeśli spojrzymy na to pod innym kątem. – Zerka przez ramię i mówi, że musi iść i że ja też powinnam ruszać.

Mam dwadzieścia trzy lata i jest to dzień, kiedy znalazłam wisiołek w antykwariacie przy West Broughton Street. Pytam mężczyznę za ladą, ile za niego chce, a kiedy odpowiada, pytam go, czy to jadeit, czy tylko tak wygląda.

– Wygląda mi na prawdziwy jadeit – mówi antykwariusz, a ja poznaję po wyrazie jego twarzy, że pytanie go uraziło. – To nie jest szkło ani plastik, jeśli to pani ma na myśli. Ja nie sprzedaję sztucznej biżuterii. Łańcuszek to czyste srebro. Chce go pani, odejmę dziesięć dolarów od ceny na metce. Szczerze mówiąc, on przyprawia mnie o dreszcze, więc będę szczęśliwy, jak się go pozbędę.

Płacę dwadzieścia pięć dolarów, a on pakuje wisiołek do małej papierowej torby. Wychodzę na palące słońce.

Śni mi się cmentarz w Holandii, październikowe niebo roi się od latających nietoperzy. W chłodnym nocnym powietrzu jest jeszcze inny dźwięk oprócz łopotu skrzydeł, ale tego dźwięku nie wydaje żaden nietoperz.

– Ta karta to Najwyższa Kapłanka – mówi Maddy. – Ma dużo znaczeń. To zależy.

– Zależy od czego? – pytam.

– Zależy od wielu rzeczy. – Maddy się uśmiecha. Karty tarota są rozłożone na omszałych płytach chodnikowych po jej stronie żelaznej bramy. Palcem wskazującym stuka w Najwyższą Kapłankę. – W tym wypadku podejrzewam przyszłość, która jeszcze nie jest znana, dualizm i ukryte wpływy oddziałujące na twoje życie.

– Nie jestem pewna, co to znaczy dualizm – mówię, więc ona mi wyjaśnia.

– Cesarzowa siedzi na tronie, po obu stronach ma kolumny. Niektórzy mówią, że to dwie kolumny ze Świątyni Salomona, króla Izraelitów

i potężnego mistyka. Niektórzy uważają, że kobieta na tronie to papieżycyca Joanna.

– Nie wiedziałam, że była kobieta papież – mówię.

– Pewnie nie była. To tylko legenda ze średniowiecza. – Maddy odgarnia kosmyk z oczu i wraca do tłumaczenia dualizmu i symboliki kart. – Po prawej stronie cesarzowej jest ciemna kolumna, która nazywa się Boaz. Symbolizuje ona negatywną zasadę życia. Po lewej jest biała kolumna Jakin, które symbolizuje pozytywną zasadę życia. Pozytywny i negatywny to dualizm, a ponieważ ona siedzi między nimi, wiemy, że cesarzowa symbolizuje równowagę.

Maddy odkrywa kolejną kartę, Koło Fortuny, ale ona jest odwrócona do góry nogami.

Mam dwadzieścia pięć lat, Isobel Endecott śpi w łóżku, które dzielimy w jej lofcie przy Atlantic Avenue. Ja leżę rozbudzona, słuchając jej oddechu i miriadów hałasów z ulicy biegnącej trzy piętra niżej. Są cztery minuty po trzeciej rano, a ja przez chwilę zastanawiam się, czy zażyć zolpidem. Ale nie chcę spać. Taka jest prawda. Zostało mi tak mało czasu, że wolę nie spędzić go w snach. Noc szybko zbliża się do chwili, kiedy Gwiezdna Mądrość zbierze się z mojego powodu, z powodu tego, co przywiozłam ze sobą pociągiem z Savannah, i w tę noc opuszczę ten padół (albo zostanę popchnięta, jedno lub drugie, albo oba) i będzie dość czasu na sny, kiedy będę martwa w grobie albo tam, gdzie trafię po swoim zmartwychwstaniu.

Znajduję ołówek i notes. Ten ostatni ma na górze każdej strony wydrukowaną nazwę firmy prawniczej, w której pracuje Isobel: Jackson, Monk & Row, ze znakiem „&” zamiast „i”. Nie zawracam sobie głowy wkładaniem szlafroka. Idę do łazienki w samych majtkach, stoję przed szerokim lustrem nad umywalką i przez kilka minut patrzę na swoje odbicie. Nigdy nie uważałam siebie za ładną i nadal nie uważam. Dzisiaj wyglądam jak ktoś, kto nie spał dobrze od jakiegoś czasu. Moje orzechowe oczy wydają się bardziej zielone niż brązowe, podczas gdy zwykle jest odwrotnie. Tatuaz między piersiami zaczyna się goić, tusz wprowadził pod moją skórę chudy, nerwowy mężczyzna wyznaczony na Asa Pentagramów przez Wysoką Kapłankę Kościoła Gwiezdnej Mądrości.

Piszę Aramat w notesie, potem unoszę go do lustra. Czytam słowo na głos, tak jak się w nim odbija, a potem robię to samo z Isobel Endecott. Wychodzi mi kompletny nonsens, a ja szepczę, żeby nie obudzić Isobel. W lustrze mój jadeitowy amulet wykonuje swoją niemożliwą sztuczkę,

którą pierwszy raz zauważyłam kilka nocy po tym, jak kupiłam go od pedantycznego mężczyzny ze sklepu przy West Broughton. Odbicia liter wyrytych wokół podstawy, pod łapami skrzydlatego zwierzęcia podobnego do psa, są dokładnie takie same jak wtedy, gdy patrzę na nie bezpośrednio. Lustro nie odwraca obrazu wisiorka. Jeszcze nie znalazłam lustra, które by to robiło. Odsuwam się od umywalki i patrzę w ciemność obramowaną drzwiami łazienki.

Siedzę na plaży.

Siedzę na chodniku, mam jedenaście lat, a kobieta o imieniu Maddy podaje mi Koło Fortuny między prętami żelaznej bramy.

### 3

Pamięć zawodzi, a moje myśli stają się pozornie bezładnym rwącym potokiem. Jestem martwą kobietą wspominającą wydarzenia życia, które porzuciłam, życia, którego się wyrzekłam. Siedzę na krześle przy biurku i trzymam pióro w ręce, bo Isobel mnie o to prosiła, a nie dlatego, że sama mam jakikolwiek powód, by mówić o tych wszystkich chwilach, które mnie tutaj doprowadziły. Nie potrafię jej odmówić, więc nie zadałam sobie trudu pytania jej, dlaczego chce, żeby pisała. Omal nie zapytałam, dlaczego nie poprosiła o to wcześniej, kiedy żyłam i byłam związana przez liniowe postrzeganie czasu, które porządkuje ludzkie wspomnienia w bardziej konwencjonalny sposób. Ale potem doświadczyłam objawienia albo czegoś w rodzaju objawienia. I zrozumiałam bez konieczności pytania. Żadna linearna relacja nigdy nie zadowoli kongregacji Kościoła Gwiazdnej Mądrości, bo oni szukają tajemnych magicznych wzorów, mniej intuicyjnych ścieżek, odmiennych percepcji związków między przeszłością i terażniejszością, między jedną chwilą a następną (albo, jeśli już o tym mowa, między jedną chwilą a ostatnią). Przyczyna i skutek właściwie nie zostały odrzucone, ale uznano je za mocno niewystarczające.

– To ty – mówi Madeleine, podając mi kartę tarota. – Ty jesteś Kołem Fortuny, awatarem Tyche, bogini losu.

– Nie rozumiem – mówię, niechętnie biorąc od niej kartę, bo lubię towarzystwo Maddy i nie chcę być niegrzeczna.

– Z czasem – mówi ona – to może nabrać sensu.

Zgarnia talię i śpieszy w powrotem do zaniedbanego domu przy East Hall Street, bezpiecznego za rozpadającym się żółtym ceglany murem.

Płonę, leżąc na zimnym granitowym ołtarzu. Wkrótce moja kochanka Cesarzowa wchodzi na mnie i oplata nogami moje biodra, podczas gdy Najwyższa Kapłanka wywarkuje swoje inkantacje, a arkana wielkie, arkana małe i wszyscy członkowie czterech kolorów (pentakli, pucharów, buław i mieczy) śpiewają mantry zapożyczone z *Al Azif*.

Pociąg turkocze, kołysze się i trzęsie, wioząc mnie przez Connecticut, a potem przez Rhode Island, w drodze na South Station. „Ponieważ nie mogłam powstrzymać śmierci, On łaskawie powstrzymał ją dla mnie...”.

Kobieta siedząca obok mnie czyta książkę autora, o którym nigdy nie słyszałam, a mężczyzna po drugiej stronie przejścia jest zajęty laptopem.

Budzę się w wilgotnych objęciach gliniastej ziemi, która wypełnia mój grób. Naciska na mnie ten zdumiewający, nieoczekiwany ciężar, który chce na zawsze przyszpilić mnie do tego miejsca. Ostatecznie jestem obrzydliwością i wyrzutkiem w oczach biologii. Oszukiwałam. Przewoźnik czeka na pasażera, który nigdy nie przeprowi się przez jego rzekę albo którego przeprawa będzie odwlekana w nieskończoność. Ja tu leżę, nie ruszam się jeszcze, dziwię się każdej niewygodzie: zapadniętym płucem, ziemi wypełniającej usta i gardło. Nawet nie pozwolono mi na luksus trumny.

– Trumny obrażają Matkę i Ojca – oświadczyła Najwyższa Kapłanka. – Po co im ofiara, której nie mogą dotknąć?

Dryfuję we mgle bólu i nieprzeniknionej nocy. Nie mogę otworzyć zapadniętych oczu. I nawet teraz w tej agonii i dezorientacji jestem świadoma obecności jadeitowego wisiora, lodowatego na tatuażu na mojej piersi.

Obudziłam się w swoim łóżku, w domu matki, kilka nocy po jej pogrzebie. Leżę nieruchomo, słuchając bicia swojego serca i dźwięków wydawanych przez stare domy, kiedy myślą, że nikt ich nie słyszy. Leżę, nasłuchując dźwięku, który wdarł się do mojego snu o holenderskim cmentarzu i wywlókł mnie z powrotem na jawę: żałobnego wycia potwornego ogara.

Na ołtarzu pod dymiącymi kosztami Cesarzowa zaczęła czyścić błoto, brud i robaki z mojego ciała. Kapłanka mamrocze zjadliwe zaklęcia, przywołując imiona bezimiennych bogów obarczonych niezliczonymi imionami. Kongregacja śpiewa. Jestem w delirium, ogarnięta gorączką, która dokucza wskrzeszonym, i zastanawiam się, czy Łazarz o tym wiedział albo Ozyrys, czy na to samo cierpiała Persefona każdej wiosny. Nie jestem pewna, czy to noc moich ponownych narodzin, czy noc mojej śmierci. Możliwe, że nie są to nawet dwa odległe od siebie wydarzenia, tylko jedno, wąż przez wieczność trzymający własny ogon w uścisku jadowitych szczęk. Próbuję mówić, ale moje struny głosowe jeszcze nie wygoiły się na tyle, żeby pozwolić na coś więcej niż niezrozumiałe, gardłowe krakanie.

*Jestem Łazarzem, wstałem z grobu mego  
Opowiem wam wszystko, wszystko opowiem...*

– Ciii, ciii – mówi Cesarzowa, wycierając ziemię i głodne larwy z mojej twarzy. – Słowa przyjdą, kochanie. Bądź cierpliwa, a słowa do ciebie wrócą. Nie po to wpełzłaś do piekła, a potem wróciłaś na górę, żeby oniemieć. Ciii. – Wiem, że Isobel Endecott próbuje mnie pocieszyć, ale słyszę również strach, wątpliwości i złe przeczucia w jej głosie. – Ciii.

Wszędzie wokół mnie na piasku są martwe ryby, kraby, ciała mew i pelikanów.

Jest lato w Savannah, z szerokiej werandy domu przy East Hall Street starsza kobieta woła do Maddy, nakazując jej wracać. Ona zostawia mnie z pojedynczą kartą, moją kartą, a ja siedzę na chodniku jeszcze przez pół godziny, wpatrując się w nią intensywnie, próbując zrozumieć jej sens i tego, co powiedziała mi Madeleine. Niebieski sfinks przycupnął na szczycie Koła Fortuny, pod nim stoi mała figurka człowieka o czerwonej skórze i głowie psa.

– Tak długo to trwa – warczy Najwyższa Kapłanka.

Isobel gniewnie odpowiada jej po francusku. Nie znam francuskiego, ale nie jestem taką ignorantką, żeby go nie rozpoznać. Zastanawiam się nad tym, co powiedziała Isobel, i uwielbiam ją za ten wybuch, za jej śmiałość, za pyskowanie. Zaczynam podejrzewać, że coś jest nie tak z rytuałem, ale ta myśl mnie nie przeraża. Choć nadal jestem na wpół ślepa, oczy mam załzawione i piekące, rozpaczliwie próbuję wyraźniej zobaczyć Isobel. W tej chwili nie pragnę na całym wielkim świecie nikogo oprócz niej i nie wyobrażam sobie, żebym mogła czegoś innego potrzebować.

Jest sobotni ranek, od moich dziesiątych urodzin minęło kilka tygodni. Siedzę na huśtawce na tylnym ganku. Moja matka w kuchni za statkowymi drzwiami rozmawia z kimś przez telefon. Całkiem wyraźnie słyszę jej głos. Jest ciepły dzień pod koniec lutego, niebo nad naszym domem w nieskazitelnym odcieniu błękitu. Marzę na jawie, bujam w obłokach, wpatrując się w to niebo nad zapadniętym okapem ganku, kiedy coś słyszę i zaledwie kilka kroków ode mnie na żwirowej ścieżce, która oddziela nasze małe podwórko od podwórka sąsiadów, zauważam bardzo dużego czarnego psa. Nie wiem, jak długo tam stoi. Obserwuję go, a on mnie. Ma jasne bursztynowe oczy i nie jest bez obroży. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby pies się uśmiechał, ale ten się uśmiecha. Po pięciu minutach warczy cicho, potem się odwraca i biegnie alejką. Postanawiam nie mówić mamie o uśmiechającym się psie. Ona pewnie i tak by mi nie uwierzyła.



– Co jej powiedziałaś? – pytam Isobel kilka nocy po swoim zmartwychwstaniu. Siedzimy razem na podłodze jej loftu przy Atlantic, z gramofonu leci album Beatlesów.

– Co powiedziałam komu?

– Wysokiej Kapłance. Powiedziałaś coś po francusku, kiedy jeszcze leżałam na ołtarzu. Zapomniałam o tym aż do dzisiaj. Mówiłaś gniewnie. Nie rozumiem francuskiego, więc nie wiem, co jej powiedziałaś.

– To naprawdę nie ma znaczenia. – Isobel patrzy na tekst na okładce płyty *Hey Jude*. – Ma znaczenie tylko to, że w ogóle coś powiedziałam. Stara jest tchórzem.

Gdzieś w Karolinie Północnej rytm kół pociągu stukających o szyny kołysze mnie do snu. Śni mi się zaniedbany holenderski cmentarz, amulet, huragany i uśmiechające się czarne psy. Maddy również jest w moich snach, wróży w wesołym miasteczku. Czuję trociny, watę cukrową, końskie łajno i spocone ciała. Madeleine siedzi na stołku do dojenia w namiocie pod płóciennym banerem z czerwonym napisem wysokim na półtora metra: „Oglądajcie pokaz cudów! Strikefire & Z.B. Harbinger!”.

Odwraca kolejną kartę, Koło Fortuny.

Leżę w grobie, całkiem świadoma, ale nieruchoma, niezdolna do zebrania sił, żeby zacząć pełznąć w stronę powierzchni znajdującej się dwa metry nade mną. Leżę tam, myśląc o Maddy i jadeitowym wisiorku. Leżę, zastanawiając się w pozornej samotności mojego miejsca spoczynku, co to znaczy, że wróciłam bez żadnej wiedzy o tym, czego mogłam doświadczyć w chwili śmierci. Sekrety, po których odkrycie wysłała mnie Gwiezdna Mądrość, pozostały sekretami. Po tym wszystkim, co zaryzykowano i co stracono, nie mam żadnych rewelacji do przekazania innym poszukującym. Będą zadawać pytania, a ja znam odpowiedzi. To powinno mnie zdenerwować, ale nie denerwuje.

Teraz słyszę kroki na dachu mojego wąskiego domu. Coś stąpa mocno, tam i z powrotem, sapiąc, po niedawno wzruszonej ziemi, w której zostałam posadzona jak cebulka tulipana, jak żołądź, jak nasiono, które z pewnością nie wypuści pędów.

*To coś chodzi na czterech nogach, nie na dwóch, myślę.*

Ogar wyje.

Zastanawiam się, czy on łaskawie mnie wykopie, ten niestrudzony gość! Myślę również o plotkach o innych, którzy nosili jadeitowy wisiorek przede mną, o ich losach. Przez mój reanimowany umysł przemykają na przykład

dwa angielskie ghule z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego. Podobnie jak fragment ze słynnego grymuaru Francois-Honore Balfoura *Kulty ghuli* i kilka oderwanych wersów z *Al Azifa*. Mój zwierzęcy odwiedzający nagle przestaje chodzić i zaczyna drapać miękką ziemię, ponaglając mnie, żebym się ruszyła.

W świątyni, kiedy kochanka bierze mnie za rękę i prowadzi w stronę kamiennego ołtarza, przez ogień trawiący mnie od środka, Najwyższa Kapłanka Gwiezdnej Mądrości przypomina nam wszystkim, że tylko raz na tysiąc lat ogar wybiera żonę. Tylko raz na tysiąclecie żyjąca kobieta dostępuje tego zaszczytu.

Pociąg wjeżdża na stację gdzieś na południu Rhode Island, zatrzymuje się z dudnieniem, a mnie wyrywają ze snu inni pasażerowie krzątający się wokół, zdejmujący bagaże i walizki, rozmawiający za głośno. Albo gwałtownie budzi mnie prosty fakt, że pociąg już się nie rusza.

Po seksie leżę w łóżku z Isobel, a jedyne światło pochodzi od telewizora zamontowanego na ścianie po drugiej stronie pokoju. Dźwięk jest ściszony, więc czarno-biały świat uwięziony w pudełku istnieje w idealnej ziarnistej ciszy. Próbuję jej powiedzieć o stworzeniu z tamtej nocy, kiedy się obudziłam. Próbuję opisać sapanie i sposób, w jaki drapało ziemię ostrymi pazurami. Ale ona tylko patrzy na mnie z grymasem niezadowolenia i kręci głową.

– Nie – mówi. – Ogar to tylko metafora. Nie należy brać jej dosłownie. Cokolwiek usłyszałaś tamtej nocy, wyobraziłaś to sobie, i tyle. Słyszałaś to, czego się spodziewałaś i co może nawet potrzebowałaś usłyszeć. Ale ogar to przesąd, a my nie jesteśmy przesądnymi ludźmi.

– Isobel, ja, kurwa, umarłam. – Staram się nie roześmiać, patrząc nad jej brzuchem na telewizor. – Wróciłam z martwych. Wykopałam się z grobu gołymi rękami, a potem, ślepa, sama znalazłam drogę do świątyni. Moje ciało jużgniło, a teraz jest jak nowe. Tamte rzeczy naprawdę mi się przydarzyły, a ty nie wątp, że się wydarzyły. Praktykujesz nekromancję, ale chcesz mi wmówić, że jestem przesądna, skoro wierzę, że tamten ogar jest prawdziwy?

Ona milczy przez dłuższą chwilę. W końcu się odzywa:

– Martwię się o ciebie, to wszystko. Jesteś mi droga, nam wszystkim, a już za dużo przeszłaś. – I zaciska dłoń na amulecie nadal wiszącym na mojej szyi.

W upalny sierpniowy dzień w Savannah pedantyczny mężczyzna, który sprzedaje starą biżuterię i chińską porcelanę, nie próbuje nawet ukryć ulgi, kiedy mu mówię, że postanowiłam kupić jadeitowy naszyjnik. Kiedy wbija zakup na kasę fiskalną, pyta mnie, czy jestem dobrą chrześcijanką. Mówi o Kalwarii i Zielonych Świątkach, potem przyznaje, że jest zadowolony, że pozbywa się wisiorka ze sklepu.

Stoję na plaży.

Wsiadam do pociągu.

Maddy odkrywa następną kartę.

Na ołtarzu Kościoła Gwiazdnej Mądrości biorę głęboki, drżący oddech. Czuję płonące kadzidło, słyszę melodyjne głosy wszystkich zgromadzonych z okazji mojego powrotu do domu. Serce wali w mojej piersi jak młot, a ja bym krzyknęła, ale nie mogę nawet mówić. Isobel Endecott mnie dosiada, prawą dłoń wsuwa w moją waginę. Palcami wygarnia oślizły czop z ziemi i drobnych strzępków grzybów, które mnie wypełniły w czasie półtora tygodnia spędzonego na dole. Kiedy jej kciuk muska moją łechtaczkę, wszystkie cienie i kształty, które ledwo widzę poranionymi oczami, wydają się jaśnieć, jakby moja żądza była zaraźliwa, jakby światło i ciemność stały się życzliwe. Rzucam się na nią, kłapiąc szczękami jak wygłodniałe zwierzę; w jej oczach są łzy, kiedy powstrzymują mnie Słońce i Księżyc. Wisielec wkłada mi skórzany pasek między zęby.

*Szaleństwo jeździ na gwieźdny wietrze...*

– Ciii – szepcze Isobel.

– Cii, ciii – szepcze Cesarzowa. – To minie.

Jest dzień, kiedy po raz ostatni opuszczam Savannah. W sypialni domu, w którym dorastałam, pakuję kilka rzeczy, które nadal mają dla mnie znaczenie. Wśród nich jest album ze zdjęciami, a w nim karta tarota od kobiety o imieniu Madeleine.

## 4

Isobel patrzy na mnie z drugiej strony jadalni. Przez prawie godzinę obserwowała, jak piszę. Pyta:

– Jak się kończy? Wiesz?

– Może się nie kończy – odpowiadam. – Niemal myślę, że nawet się nie zaczęło.

– Więc skąd będziesz wiedziała, kiedy przestać? – Między każdym jej słowem, każdą sylabą jest klin strachu.

– Nie sądzę, żebym wiedziała. – Ta myśl po raz pierwszy przysła mi do głowy.

Ona wstaje i wychodzi z pokoju, a kiedy znika, jestem zadowolona. Nie mogę zaprzeczyć, że jest pewna pociecha w jej nieobecności. Staralam się nie patrzeć ze zbyt bliska w oczy Isobel. Już nie podoba mi się to, co w nich widzę.

## Siły pływowe

Charlotte mówi:

– To wszystko, Em. Nie było żadnego bólu. Nie czułam zupełnie nic.

Sący kawę i wygląda przez kuchenne okno, mrużąc oczy w jasnym świetle poniedziałkowego ranka. Słońce roztopia się na jej twarzy jak masło. Pada na pasma jej brązowych włosów, jakby popołudnie późnego lata zaplątało się w martwe łodygi kukurydzy. Pogłębia zmarszczki wokół oczu i w kącikach ust. Ona bierze następny łyk kawy, potem odstawia kubek na stół. Nigdy nie widziałam, żeby używała spodka.

Następna minuta wydaje się trwać dłużej, niż powinna, dłużej niż zwykła suma sześćdziesięciu sekund, które ją tworzą, tak jak czas wlecze się w niezręcznych chwilach. Ona uśmiecha się do mnie, więc ja też się uśmiecham. Nie chcę się uśmiechać, ale czy nie tak się robi? Osoba, którą kochasz, jest przestraszona, ale i tak się uśmiecha. Więc ty musisz odpowiedzieć tym samym mimo własnego strachu. Mówię sobie, że to nie tyle akt odwzajemnienia, co potwierdzenia. Mogłabym być bardziej uczciwa wobec siebie i powiedzieć, że uśmiechnęłam się z poczucia winy.

– Chciałabym, żeby bolało – mówi ona w końcu po bardzo długiej chwili. Nie muszę pytać, co ma na myśli, choć chciałabym to zrobić. Chciałabym jeszcze nie wiedzieć. Powtarza wciąż te słowa, ale ciszej niż przedtem i z subtelną zmianą nacisku. – Chciałabym, żeby bolało.

Przepraszam i mówię, że nie powinnam podejmować tego tematu, a ona wzrusza ramionami.

– Nie przepraszaj, Em. Za nic nie przepraszaj.

Układałam dni w stos, buduję z nich domek z kart. Poniedziałek to as kier. Sobota to czwórka pik. Środa to siódemka trefl. Czwartkowa noc jest, jak podejrzewam, siódemką karo, i mogła być dostatecznie ciężka, żeby cała niepewna budowla zawaliła się wokół mnie. Przez całą godzinę

obserwowałam, jak karty spadają, bo czas się rozciągnął, tak samo jak się rozciąga, żeby wypełnić niezręczne momenty, tak jak się rozciąga w grzmiących chwilach wypadku samochodowego. Albo na brzegach rany.

Jeśli jest poniedziałkowy ranek, mogę nachylić się przez stół śniadaniowy i pocałować ją, jakby nic się nie stało. I jeśli będziemy miały szczęście, to może być chwila, która przetrwa niemal w nieskończoność. Mogę ją pocałować, posmakować, rozkoszować się nią, wyciągając tę chwilę jak kartę z talii. Ale nie, teraz jest czwartkowa noc, a nie poniedziałkowy ranek. Coś leci w telewizorze stojącym w sypialni, ale dźwięk jest całkiem wyłączony, więc to niemy film w kolorze i bez plansz tekstowych. Film dla czytających z ruchu warg. Nie ma innego światła oprócz poświaty telewizora. Ona leży obok mnie, niemal rozebrana. Zadaje mi pytania o książkę, której chyba nigdy nie będę w stanie skończyć. Rozumiem, że nie zadaje ich, bo chce poznać odpowiedzi, i tylko dlatego nie próbuję zmienić tematu.

– Wiek odkryć już dawno się skończył – mówię. – Praktycznie skończył się na początku siedemnastego wieku. Wszystko potem, na przykład dotarcie do bieguna północnego i południowego, jest tylko serią przypisów. Nie zostały żadne białe plamy do zapełnienia. Żadnych więcej: „Tu są potwory”.

Ona leży na prześcieradłach. Jest środek lipca, za gorąco na coś więcej niż prześcieradła. Czyste białe prześcieradła i bielizna. W poświacie telewizora Charlotte wygląda na mniej bladą i mniej kruchą, niż wyglądałaby, gdyby była włączona lampka przy łóżku, a ja jestem wdzięczna za tę iluzję. Chcę przestać mówić, bo wszystko brzmi absurdalnie, pedantycznie, wszystkie te niedokończone, na wpół uformowane myśli, które nie składają się na nic wielkiego. Chcę przestać mówić i po prostu leżeć obok niej.

– Więc pisarze wymyślili historie o zaginionych światach – mówi ona. Bo wszystko to już wcześniej słyszała i zna na pamięć. – Ale te zmyślone światy nie były naprawdę zaginione. Po prostu jeszcze nie zostały odnalezione. Nie zostały jeszcze wyobrażone.

– Właśnie. Wartość tych historii kryje się w twierdzeniu, że białe plamy na mapie nadal istnieją. Muszą istnieć, nawet jeśli konieczne jest ściśnięcie mapy, żeby zrobić dla nich miejsce. Wszystkie te przeoczone wyspy, niedostępne płaskowyzę w dżunglach Ameryki Południowej, zatopione kontynenty i wejścia do wnętrza ziemi były ważnymi psychologicznymi

buforami przeciwko postępowi i pewności. To nie przypadek, że zwykle są to miejsca, gdzie czas się zatrzymał w takim czy innym stopniu.

– Ale nie czasu, którego wymagają procesy ewolucji – dodaje ona.

– Widzisz? Rozumiesz to lepiej niż ja. – I mówię, że powinna napisać książkę. Nie całkiem żartuję. Charlotte o tym wie. Kładę rękę na jej odsłoniętym brzuchu tuż pod pępkiem, a ona się wzdryga i odsuwa.

– Nie rób tego – rzuca ostrzegawczo.

– Dobrze. Nie będę. Nie pomyślałam. – Pomyślałam, ale łatwiej jest, jeśli jej powiem, że nie.

Poniedziałkowy ranek. Czwartkowa noc. Ten dzień albo ten. Mój prywatny domek z kart przytrzymywanych przez coś tak niematerialnego jak równowaga i tarcie. I pętle, które wolę robić, zamiast przyznać się do terażniejszości. Łączenie kropek, stąd dotąd, stamtąd dotamtąd. Tu zostało pół godziny do świtu w sobotę, niebo jaśnieje powoli. Tutaj, gdzie klęczę, a Charlotte stoi naga przede mną. Tutaj, teraz, kiedy idealnie okrągła dziurka nad jej prawym biodrem rozrosła się z pieprzyka do wielkości spodka, którego ona nigdy nie używa do filiżanki kawy.

– Nie sądzę, że będzie boleć – mówi. A ja nie widzę sensu w pytaniu jej, co ma na myśli. „Nie sądzę, że będzie mnie bolało” czy „nie sądzę, żeby cię bolało”.

– Teraz? – pytam.

– Nie. Jeszcze nie. Zaczekaj.

Po tym odroczeniu wycofuję się do relatywnego bezpieczeństwa asa kier – albo poniedziałkowego ranka czy jak tam chcecie. W wyobraźni biegnę z powrotem do kuchni skąpanej w ciepłym żółtym blasku słońca. Charlotte opowiada mi, że kiedy miała dziesięć lat, została postrzelona z wiatrówki, czerwonej wiatrówki Red Ryder jej brata.

– To nie był wypadek – mówi. – On chciał to zrobić. Nadal mam bliznę w miejscu, gdzie matka musiała pęsetką i igłą do szycia wydłubać śrut z mojej kostki. Jest bardzo mała, ale zawsze to blizna.

– Właśnie tak się czułaś? Jakbyś została postrzelona z wiatrówki?

– Nie. – Charlotte kręci głową i patrzy w kubek kawy. – Nie tak. Ale kiedy myślę o tych dwóch rzeczach, wydaje się, jakby był między nimi związek mimo tych wszystkich lat. Jakby ta rzecz była echem dnia, kiedy brat mnie postrzelił.

– Znaczący zbieg okoliczności – podsuwam. – Rodzaj synchronizacji.

– Może. A może nie. – Ona wygląda przez okno. Z kuchni widać trzy dęby, jej rabatę kwiatową i teren opadający do skał i wzburzonego morza. – Minęło strasznie dużo czasu, odkąd czytałam Junga. Moja pamięć zardzewiała. W każdym razie może to nie jest zbieg okoliczności. To mogło być coś innego. Po prostu echo.

– Nie rozumiem, Charlotte. Naprawdę nie sędzę, że bym wiedziała, co masz na myśli.

– Mniejsza o to. – Ona nie odrywa wzroku od okna. – Nieważne, co rozumiesz albo czego nie rozumiesz.

Ciepły żółty blask słońca, bezbarwna poświata kolorowego telewizora. Fioletowawe niebo blednące w kierunku fałszywego świtu. Całkowity brak światła w dziurze wywierconej w jej boku przez coś, co nie było wiatrówką. Coś, co nie było również cieniem.

– Najbardziej przeraża mnie, że to nie wyszło z drugiej strony – mówi ona (a ja mogłam wyciągnąć tę konkretną kartę z dowolnego miejsca talii). – Więc nadal musi tkwić we mnie.

Widziałam, jak została trafiona. Widziałam, jak upadała.

– Pisarze zmyślili historie o zaginionych światach – powtarza Charlotte po tym, jak drgnęła, kiedy szybko cofnęłam rękę. – Zrobili to, bo baliśmy się znaleźć to wszystko, co było do znalezienia. Dokładne mapy stały się bardziej niepokojące niż myśl o upadku z krawędzi płaskiego świata.

– Nie chcę rozmawiać o książce – mówię.

– Może dlatego, że nie możesz jej skończyć.

– Może nie wiesz, o czym mówisz.

– Prawdopodobnie. – W jej głosie nie ma ani śladu gniewu czy zniecierpliwienia.

Odwracam się plecami do niej i do milczącego telewizora. Odwracam się plecami do tego, czego nie można usłyszeć i co nie chce być zauważone. Prześcieradła są wilgotne od potu, czuć zapach ozonu, który niezupełnie jest zapachem ozonu. Ostra woń, która teraz zawsze jej towarzyszy, dokądkolwiek ona idzie. Nie, to nieprawda. Woń jej nie towarzyszy. Ona pochodzi z niej. Charlotte promieniuje tym odorem, który jest niemal, ale niezupełnie, zapachem ozonu.

– Czy *Alicja w Krainie Czarów* się liczy? – pyta ona, choć mówiłam, że nie chcę rozmawiać o cholernej książce. Jestem pewna, że mnie słyszała, i nie chcę odpowiadać.

Lepiej nie zatrzymywać się dłużej na czwartkowej nocy.



Lepiej wrócić do poniedziałkowego ranka. Tylko do poniedziałkowego ranka. Który nierozważnie, przypadkowo oznaczyłam tutaj jako asa kier, a kiery to puchary, więc poniedziałkowy ranek to as pucharów. Za cztery dni Charlotte zapyta mnie o Alicję i choć nie będę chciała odpowiedzieć na jej pytanie (przynajmniej na głos), będę pamiętać, że Lewis Carroll zastanawiał się nad królową kier – która panuje nad asem i jest również królową pucharów – będę pamiętała, że Lewis Carroll rozważał ją jako ucieleśnienie pewnego rodzaju pasji. Pasji, która jest nieposkromiona i istnieje jako pozbawiona celu, niewidząca, wściekła rzecz. Mówił również, że królowej pucharów, królowej kier, nie należy mylić z czerwoną królową, którą określił jako zupełnie inny rodzaj namiętności.

Poniedziałkowy ranek w kuchni.

– Mój brat zawsze twierdził, że strzelił do sójki błękitnej i chybił. Mówił, że celował do ptaka, a strzelił do mnie. Mówił, że słońce świeciło mu w oczy.

– Miał zwyczaj strzelania do śpiewających ptaków?

– Do ptaków i wiewiórek. Kiedyś strzelił do kota sąsiadów, prosto między oczy. – Charlotte przykłada palec wskazujący do miejsca między brwiami. – Kota trzeba było zabrać do weterynarza, żeby wyjął mu śrut, a moja mama musiała zapłacić rachunek. Oczywiście brat mówił, że nie strzelał do kota. Strzelał do wróbla i chybił.

– Co za mały drań – mówię.

– Był tylko dzieciakiem, jedynie rok starszym ode mnie. Dzieciaki nie chcą być okrutne, Em, ale czasami są. Z naszej perspektywy wydają się okrutne. Żyją poza granicami dorosłych pojęć o moralności. W każdym razie moja mama zabrała mu wiatrówkę. Więc potem zawsze nienawidził kotów.

Ale zaniedbuję środę, przegapiam środę, choć zadałam sobie trud wyciągnięcia na nią karty. I dociera do mnie, że nie wyciągnęłam żadnej na czwartek. Ani piątek, jeśli już o to chodzi. Dociera do mnie, że zaczynam się gubić w tej niezgrabnej metaforze, że ogon macha psem. Ale środa była ważna. Jeszcze bardziej niż czwartkowa noc z wyciszonym telewizorem, siódemka karo i Charlotte wzbraniająca się przed moim dotykiem.

Siódemka trefl. Środa, albo siódemka pentakli, widziana odwrotnie. Charlotte otulona w szlafrok schodzi na dół po gorącym prysznicu i znajduje mnie czytającą *Czarne dziury i krzywizny czasu* Kipa Thorne'a. Książka leży lubieżnie otwarta na moich kolanach. Szybko ją zamykam

i czuję się znowu jak nastolatka, jak wtedy, gdy matka wpadła do pokoju i przyłapała mnie na tym, że masturbuję się pod rozkładówką „Hustlera”. Tak, twoja córka jest lesbijką, i tak, twoja dziewczyna czyta o teorii kwantów za twoimi plecami.

Charlotte patrzy na mnie przez chwilę w milczeniu, a potem na grubym tom leżącym na stoliku do kawy. *Zasady kosmologii fizycznej*. Siada na podłodze niedaleko kanapy. Woda kapie z jej włosów na drewnianą podłogę.

– Nie wierzę, że coś tam znajdziesz – mówi, zerkając na książki.

– Ja tylko pomyślałam... – Zostawiam zdanie niedokończone, bo wcale nie jestem pewna, co myślę. Tylko że ja zawsze zwracałam się do książek po pociechę.

I wtedy, w popołudnie siedmiu pentakli, w środę obciążoną siedmioma pucharami, ona mi mówi, co się stało pod prysznicem. O tym, że stała w parującym strumieniu i patrzyła, jak woda spływa po jej piersiach, w poprzek brzucha, a potem w górę pośladków i wpada do dziury w jej boku. Nie wbrew grawitacji, ale w pełnej z nią zgodności. Mówi prawie szeptem. Ja siedzę cicho i słucham, żałując, że nie mogę uznać, iż postradała zmysły. Uciec się do myślenia życzeniowego, do siedmiu pucharów, siódemki pentakli, siódemki trefl albo śród. Ukryć się w wygodzie szaleństwa, w autorytecie książek albo w złudzeniu zaginionych światów.

– Przykro mi, ale co, kurwa, mam na to odpowiedzieć? – pytam, a ona się śmieje.

Jest to okropny dźwięk, ten śmiech, przerażający, zagubiony dźwięk. Potem Charlotte przestaje się śmiać, a ja czuję rozlewającą się we mnie ulgę, bo teraz ona płacze. W tej uldze jest oczywiście wstyd, ale nawet wstyd jest mile widziany. Nie mogłam dłużej znieść tego okropnego śmiechu. Podchodzę do niej, obejmuję ją i tulę, jakby tulenie mogło wszystko naprawić. Słońce prawie zachodzi, kiedy ona w końcu przestaje płakać.

Mam cytat z Alberta Einsteina, gdzieś z roku tysiąc dziewięćset dwunastego, który znalazłam w książce Kipa Thorne’a, na której czytaniu przyłapała mnie w środę Charlotte: „Odtąd przestrzeń sama w sobie i czas sam w sobie skazane są na rozpląnięcie się w zwykłe cienie, a tylko rodzaj związku tych dwóch zachowa niezależną rzeczywistość”.

Przestrzeń, czas, cienie.

Jak już wspomniałam, patrzyłam, kiedy Charlotte została trafiona. Widziałam, jak upadła. To była ostatnia sobota, dwa dni przed złotym porankiem w kuchni, nie mylić z następną sobotą, która jest czwórką pik. Siedziałam na ganku i obserwowałam dwie hałaśliwe szarobiałe mewy krążące na tle błękitnego letniego nieba. Charlotte pracowała w swoim ogrodzie, pieląc chwasty. Zawołała do mnie, a ja oderwałam wzrok od ptaków. Wskazała na ocean, a ja z początku nie byłam pewna, co chce mi pokazać. Patrzyłam na grzywacze rozbijające się o granitowe głazy i dalej na horyzont, gdzie woda była zajęta swoim odwiecznym zadaniem dźwigania ciężaru niebios. Już miałam powiedzieć, że nic nie widzę. Oczywiście to nie była prawda. Po prostu nie dostrzegłam niczego niezwykłego, niczego szczególnego, co nie powinno zajmować tego miejsca i tego czasu.

Nie zauważyłam niczego, co zmusiłoby mnie do refleksji.

Ale potem zobaczyłam.

Przestrzeń, czas, cienie.

Będę nazywać to cieniem. Nie potrafię znaleźć bardziej odpowiedniego słowa. To coś wyglądało jak cień sunący po falach, choć z początku myślałam, że widzę coś ciemnego, poruszającego się pod falami. Może bardzo dużą rybę. Dużego rekina albo małego wieloryba. Już widywałyśmy wieloryby w tej zatoce. A może był to cień chmury przesuwanej się przez tarczę słońca, choć tamtego dnia nie było chmur. W rzeczywistości wiedziałam, że to żadna z tych rzeczy. Mogę tutaj siedzieć całą noc, układać listę, czym to coś nie było, ale nigdy nie zbliżę się do prawdy.

– Emily! – krzyknęła Charlotte. – Widzisz to?

A ja odkrzyknęłam, że tak. Gdy zauważyło się cień, nie można było nie zobaczyć tej nieokreślonej plamy sunącej szybko w stronę brzegu. W ciągu kilku sekund uświadomiłam sobie, że ta rzecz dotrze do głazów, i jeśli nie znajduje się pod wodą, skały jej nie zatrzymają. Część mojego umysłu nadal się upierała, że to tylko cień, dziwaczna gra światła, miraż. Nic materialnego, z pewnością nic złego, nic, co mogłoby wyrządzić nam krzywdę. Nie było potrzeby się niepokoić, a jednak nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była tak wystraszona jak wtedy. Nie mogłam się ruszyć, ale wrzasnęłam do Charlotte, żeby uciekała. Nie sądzę, żeby mnie usłyszała. Albo jeśli mnie usłyszała, ona też była zbyt zahipnotyzowana widokiem tej rzeczy, żeby się poruszyć.

Byłam bezpieczna na ganku. Ta rzecz zbliżyła się do mnie nie bardziej niż na dziewięć czy dziesięć metrów. Ale Charlotte, stojąca samotnie przy bramie ogrodu, znajdowała się w jej zasięgu. To coś przetoczyło się nad nią, a ona krzyknęła i upadła na ziemię. Przetoczyło się nad nią i zniknęło w gęstwinie kolcorośli, sumaków i skarłowaciałych zimozielonych drzewek rosnących za naszym domem. Poczułam woń podobną do zapachu ozonu. I może to zbyt okropna klisza, żeby przelewać ją na papier, ale w głowie mi zawirowało. Moje serce galopowało. Na ułamek sekundy doznałam czegoś, co nie było ani *déjà vu*, ani zawrotami głowy. Myślałam, że zwymiotuję.

Ale te wrażenia minęły, podobnie jak cień albo cień cienia, a ja zbiegłam po schodach i popędziłam po trawie do miejsca, gdzie wśród koniczyny i mniszków siedziała oszołomiona Charlotte. Jej ubranie i skóra wyglądały jak pokryte cieniuteńką warstewką... czego? Oleju? Nie, nie, wcale nie oleju. Ale to najlepsze przybliżenie lepkiej, brązowawej, opalizującej substancji na jej sukience, twarzy, ramionach, sztachetach płotu i na każdym pojedynczym źdźble trawy.

– To mnie znokautowało – powiedziała Charlotte bardziej zdumiona niż przestraszona. Oczy miała pełne niedowierzania. – To nie było coś, Em. To w ogóle nie było coś, ale i tak mnie przewróciło.

– Jesteś ranna? – zapytałam, a ona pokręciła głową.

Nie spytałam o nic więcej, a Charlotte nic więcej nie powiedziała. Pomogłam jej wstać i dojść do domu. Zdjęłam z niej ubranie i zaprowadziłam pod prysznic na parterze. Ale oleisty osad, który cień zostawił za sobą, już zaczął parować – i znowu to nie jest właściwe słowo, ale najlepsze, jakie zdołałam wymyślić – nim zaczęłyśmy szorować go mydłem i gorącą wodą. Następnego ranka nie został nawet ślad po tej substancji, ani w domu, ani na zewnątrz. Nawet plamki.

– To powaliło mnie na ziemię. To był tylko cień, ale mnie znokautował. – Nie pamiętam, ile razy to powiedziała. Wciąż powtarzała te słowa, jakby ich powtarzanie czyniło jej przeżycie mniej nieprawdopodobnym, mniej z natury niedorzecznym. – Cień mnie powalił, Em. Cień mnie znokautował.

Ale dopiero kiedy znalazłyśmy się w sypialni, a ona się ubierała, zauważyłam mały czerwony obrzęk na jej lewym biodrze, tuż pod żebrami. Wyglądał niemal jak ślad po ukąszeniu owada, tyle że jego środek był... Cóż, kiedy się pochyliłam i obejrzałam go z bliska, zobaczyłam, że nie ma żadnego środka, jest tylko dziurka. Jak punkcik po ukłuciu szpilką, ale dziurka. Nie było nawet kropli krwi, a Charlotte zapewniała mnie, że nic ją

nie boli, że wszystko w porządku i że nie ma się czym przejmować. Podeszła do szafki z lekami, znalazła plaster i zakleiła to miejsce. Zobaczyłam je dopiero następnego dnia, któremu jeszcze nie przypisałam żadnej karty, w niedzielę przed ciepłym żółtym poniedziałkowym rankiem w kuchni.

Nazwę tę niedzielę dwójką pik.

W dwójkę pik padało. Lało cały cholerny dzień. Popołudnie spędziłam w swoim gabinecie, siedząc przed komputerem i próbując wymyślić zakończenie dziewiątego rozdziału książki, której najwyraźniej nie mogę skończyć. Deszcz bębni w okna, sam rytm i żadnej melodii, piszę jedną linijkę, potem ją kasuję. Jeden krok do przodu, dwa w tył. Paradoks Zenona o Achillesie i żółwiu odgrywany na mojej klawiaturze – „To, co znajduje się w ruchu, musi najpierw pokonać połowę dystansu, zanim dotrze do celu”, a każdy etap ma swoją własną połowę odcinka, *ad infinitum*. Są to racjonalizacje, które mnie pocieszają, bo tylko udaję, że pracuję. Oto prawdziwa nagroda po dwunastu latach w college’u, te erudycyjne preteksty, żeby nie kończyć pracy. W następnych dniach wykorzystam te same usprawiedliwienia i wymówki, zastanawiając się nad problemem, jak cień mógł powalić kobietę na ziemię i jak wyjaśnić dziurkę, skoro to tylko rana.

Trochę po siódmej Charlotte stuka do drzwi, żeby zapytać, jak mi idzie i co chciałabym na kolację. Nie mam gotowych odpowiedzi na żadne pytanie, więc ona wchodzi i siada na futonie przy biurku. Musi przesunąć stos książek, żeby zrobić sobie miejsce. Rozmawiamy o pogodzie, która ma się poprawić po zachodzie słońca, a meteorolodzy mówią, że poniedziałek będzie słoneczny i gorący. Rozmawiamy o książce – o moich badaniach nad fenomenem literackim *Terrae Anachronismorum* od tysiąc siedemset cztertnastego i *Voyages et Adventures de Jacques Massé* Simona Tyssota de Patota do tysiąc dziewięćset osiemnastego i *Out of Times’s Abyss* Edgara Rice’a Borroughsa (patrz powyżej: Arystoteles o Zenonie). Zamykam Worda, godząc się z tym, że nie napiszę nic więcej co najmniej do jutra.

– Odkleiłam plaster – mówi Charlotte, przypominając mi, że spędziłam cały dzień, próbując zapomnieć.

– Kiedy upadłaś, pewnie nadziałaś się na jakiś patyk albo coś. – Nie wyjaśnia to, dlaczego upadła, ale jest próbą bagatelizowana skutków gruchnięcia na ziemię.

– Nie sądzę, żeby to był patyk.

– Cokolwiek to było, zostało tylko zadrapanie.

I wtedy ona prosi mnie, żebym spojrzała. Odmówiłabym, gdybym miała taki wybór.

Ona wstaje, podciąga T-shirt i wskazuje na dziurę, choć nie ma możliwości, żebym jej nie zauważyła. W deszczową dwójkę pik, niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Charlotte została powalona na ziemię przez cień, dziura rozrosła się do średnicy dziesięciocentówki. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak czarnego, tak kompletnie czarnego, że jestem niemal pewna, iż oślepnę, jeśli będę dłużej patrzyła. Nie mówię tego wszystkiego na głos. Nie pamiętam, co powiedziałam, więc może nic nie powiedziałam. Z początku myślę, że skóra na brzegach otworu jest pomarszczona, ściągnięta jak wokół strupa. Potem widzę, że wcale tak nie jest. Skóra na obwodzie dziury w ciele porusza się, wiruje, obraca wokół tej absurdalnej i niezaprzeczalnej czerni.

– Boję się – szepcze Charlotte. – To znaczy naprawdę cholernie się boję, Emily.

Wyciągam rękę, żeby dotknąć rany, a ona mnie powstrzymuje. Łapie mnie za rękę i powstrzymuje.

– Nie – mówi, więc tego nie robię.

– Wiesz, że to nie może być to, na co wygląda – mówię i może nawet się śmieję.

– Em, nie wiem zupełnie nic.

– Cholernie dobrze wiesz, Charlotte. To jakaś infekcja i tyle...

Ona puszcza moją rękę i zakrywa mi usta, zanim zdążę dokończyć. Trzy palce, żeby mnie uciszyć, a potem Charlotte pyta mnie, czy możemy pójść na górę i się pokochać.

– Teraz tylko tego chcę – mówi. – Na całym świecie nie ma nic, czego bym pragnęła bardziej.

Omiał nie zmuszam jej do obietnicy, że następnego dnia pójdzie do lekarza, ale już jakaś część mnie przyznała, że to nie jest coś, co lekarz mógłby zdiagnozować czy wyleczyć. Ta rzecz wykracza poza medycynę. Zostałyśmy zepchnięte do piekła przez cień cienia. Spojrzałam prosto w ten otwór i już rozumiem, że to nie jest jedynie dziura w ciele Charlotte, ale dziura w kosmosie. Mogłabym pokazać ją dowolnej liczbie lekarzy, fizyków, psychologów i kapłanów, a żaden nie umiałby jej załatać. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że zaprzeczyliby dowodom, nawet gdyby to oznaczało, że odrzucają całą naukę, technikę i wiarę. Są rzeczy gorsze niż

białe plamy na mapach. Są chwile, kiedy pewność staje się największym wrogiem zdrowych zmysłów. Zaprzeczenie staje się antidotum.

W przeciwieństwie do innych dni i innych kart nie wybrałam dwójki pik przypadkowo. Wybrałam ją, bo w czwartek Charlotte pyta mnie, czy Alicja się liczy. A ja zaczynam myśleć, że wszystko się liczy, tak jak wszystko jest pochłaniane przez ten nieskończenie mały, nieskończenie gęsty punkt za horyzontem zdarzeń.

– *Czy moglibyście mi wytłumaczyć, dlaczego przemaalowujecie te róże?*  
– *zapytała Alice trochę zmieszana.*

*Piątka i Siódemka spojrzeli milcząco na Dwójkę. Ten zaś powiedział cichutko:*

– *Idzie o to, proszę panienki, że to miały być czerwone róże, a my przez pomyłkę zasadziłyśmy białe...*

Tamtej deszczowej niedzieli, tamtej dwójki pik z czerwonym pędzlem ukrytym za plecami robię to, o co Charlotte mnie prosi. Nie mogę zrobić nic innego. Idę z nią do łóżka. Pieprzę się z nią. Jestem czuła i gwałtowna na zmianę, tak jak ona. Tamtego burzowego wieczoru, tamtej dwójki pentakli, tamtej dwójki denarów (w tym wypadku dziesięciocentówki) obie na próżno uciekamy się do seksu, szukając uwolnienia od strachu. Staramy się wrócić do naszego życia sprzed jej upadku i nie różni się to tak bardzo od wszystkich „zaginionych światów”, które tak wałkowałam w swoim niedokończonym rękopisie: Caprony, Wyspy Czaszki, Symzonii, Pellicidaru, kopalń króla Salomona. W naszym łóżku walczymy, żeby stworzyć azyl przed teraźniejszością, zaludniony przez pokrzepiającą, niezawodną przeszłość. A ja mówię w zapętłony sposób, pędząc spiralą do środka i na zewnątrz, nieważne dokąd.

Zbliżam się do chwili, kiedy w sobotnią noc – albo dokładniej tuż przed świtem w sobotni ranek – kończy się historia, którą piszę. I zaczyna się. Za długo trwało, zanim dotarłam do sedna, skoro dopuszczam zasadność linearnej narracji. Skoro zakładam, że każda chwila może mieć pierwszeństwo przed inną, albo uznaję ogólnie przyjmowaną (ale nieudowodnioną) niesprawiedliwość takiej zależności.

*W pobliżu wejścia do ogrodu rósł spory krzew białej róży. Trzech ogrodników przemaalowywało pośpiesznie jego kwiaty na kolor czerwony.*

Jesteśmy w tamtych chwilach tak ze sobą blisko, jak mogą być dwie kobiety, kiedy jednej nie wolno dotknąć dziury wielkości dziesięciocentówki w ciele drugiej. W pewnym momencie po zmierzchu

deszcz przestaje padać, a my leżymy nagie i nieruchome, słuchając sów i lelków za ścianami sypialni.

\* \* \*

W środę ona schodzi na dół i przyłapuje mnie na czytaniu suchej pornografii matematyki i relatywizmu. Środa jest siódmką trefl. Charlotte mówi, że w tych książkach nic nie znajdę, one nie zmienią tego, co się stało, co może się stać.

– Nie wiem, co ze mnie zostanie, kiedy to się skończy. Nie wiem nawet, czy ja temu czemuś wystarczę, czy to coś będzie się robiło coraz większe i większe. Myślę, że może być nienasycone.

W poniedziałek rano ona sączy kawę. Rozmawiamy o jedenastoletnim chłopcu i wiatrówce.

Ale tutaj jest krótko przed wschodem słońca w sobotę. Sobotę, czwórkę pik. Minęła godzina, odkąd Charlotte obudziła się z krzykiem, a ja usiadłam i słuchałam, podczas gdy ona próbowała zrozumieć swój koszmar. Dziura w jej boku jest duża jak piłka do softballu (i gdyby to była komedia, wymieniałabym przedmioty, które przypadkiem wpadły do niej w ciągu ostatnich kilku dni). Nie całkiem ozonowemu zapachowi towarzyszy teraz słaby, ale stały świszczący dźwięk, kiedy powietrze jest zasysane do tego otworu. We śnie, opowiada Charlotte, wiedziała dokładnie, co jest po drugiej stronie dziury, ale zapomniała większość z tego, jak tylko się obudziła. We śnie się nie bała. Siedzieliśmy na ganku i patrzyliśmy na morze, a ona wszystko mi wyjaśniała. Piłyśmy colę, było gorąco, powietrze pachniało dzikimi różami.

– Wiesz, że nie lubię coli – mówię.

– We śnie lubiłaś.

Opowiada, że siedzieliśmy na ganku, przez morze znowu przeszedł tamten straszny cień, ale tym razem jej nie przeraził. Tym razem zobaczyłam go pierwsza i jej pokazałam, a potem razem patrzyliśmy, jak przesuwa się szybko w stronę brzegu. Tym razem kiedy przemknął nad ogrodem, ona tam nie stała, więc nie została powalona na ziemię.

– Ale mówiłaś, że widziałaś, co jest po drugiej stronie.

– To było później. I powiedziałabym ci, co widziałam, gdybym mogła sobie przypomnieć. Ale słyszałam dźwięk piszczałek albo fletu. Tyle



pamiętam, a w tym śnie wiedziałam, że dziura ciągnie się do samego środka, do centrum.

– Do centrum czego? – pytam, a ona patrzy na mnie, jakby myślała, że celowo jestem tępa.

– Do środka wszystkiego, co kiedykolwiek było, jest i zawsze będzie, Em. Do centrum. Tylko że ten środek był jednocześnie pusty i zapełniony...

– Charlotte urywa i patrzy w podłogę.

– Zapełniony czym?

– Nie umiem powiedzieć. Nie wiem. Ale cokolwiek to jest, było tam, jeszcze zanim zaistniał czas. Było samo, zanim narodził się wszechświat.

Podnoszę wzrok i widzę nasze odbicia w lustrze toaletki po drugiej stronie pokoju. Siedzimy na brzegu łóżka, obie nagie, ja wyglądam dziesięć lat starszej. Ona za to wygląda młodo, młodziej niż wtedy, kiedy się poznałyśmy. Mniejsza o ziejącą czarną jamę na jej brzuchu. W półmroku przed świtem Charlotte wydaje się jaśnieć jak zapowiedź nadchodzącego dnia, a ja przypominam sobie, co czytałam o promieniowaniu Hawkinga i dżetach kwazarów, które umykają przed osobliwościami. Ale to nie miejsce ani czas na teorie i równania. Tutaj jesteśmy tylko my dwie, wstający ranek i to, co Charlotte może pamiętać ze swojego snu.

– Eony temu to postradało rozum – mówi. – Choć nie sądzę, żeby kiedyś w ogóle miało rozum, nie taki jak ludzki. Mimo to oszalało od świadomości, czym jest i czym nigdy nie przestanie być.

– Mówiłaś, że zapomniałaś, co jest po drugiej stronie.

– Bo zapomniałam. Prawie wszystko. – Jest tak, jakby pojechała na Antarktydę, wróciła i o swojej wyprawie potrafiła powiedzieć tylko to, że było tam bardzo białe.

Czwórka pik. Czwórka mieczy, którą kartomanci odczytują jako ciszę, spokój, wycofanie, akt zatopienia w sobie. Nie mówią nic o groźących niebezpieczeństwach introspekcji albo przekleństwie inteligencji, która nie byłaby w stanie wyjść poza siebie.

– To jest ślepe – mówi Charlotte. – Jest ślepe i szalone, a muzyka piszczałek nigdy nie milknie. Choć to nie są naprawdę piszczałki.

Wtedy proszę ją, żeby wstała, a ona tylko patrzy na mnie przez chwilę, zanim robi to, o co poprosiłam. Właśnie wtedy klękam przed nią i niejasno zdaję sobie sprawę, że klękę przed mimowolnym awatarem boga albo Boga, panteonu czy czegoś tak prastarego i wszechogarniającego, że równie

dobrze może być boskie. *Boskie albo piekielne; nie ma naprawdę żadnej różnicy między nimi, myślę.*

– Co robisz? – chce wiedzieć Charlotte.

– Tracę cię – odpowiadam. – Właśnie to robię. Gdzieś, kiedyś już cię straciłam. A to znaczy, że nie zostało mi nic do stracenia.

Charlotte robi szybki krok w tył, cofa się w stronę drzwi sypialni, a ja zastanawiam się, czy będę ją gonić, jeśli ucieknie? Podjąwszy decyzję, do czego się posunę? Zmuszę ją? Czy to będzie gwałt?

– Wiem, co zamierzasz – mówi ona. – Tylko że tego nie zrobisz, bo ja ci nie pozwolę.

– Jesteś pożerana.

– To był sen, Em. To był tylko głupi, szalony sen, a ja nawet nie jestem pewna, co właściwie pamiętam, a co zmyślam.

– Proszę, pozwól mi spróbować.

I widzę, że jej zdecydowanie słabnie. Ona tak samo mocno jak ja pragnie nadziei, nawet jeśli obie wiemy, że nie ma żadnej. Patrzę na ohydny czarny wir nad jej biodrem, pod lewą piersią. Charlotte robi dwa kroki z powrotem w moją stronę.

– Nie sędzę, żeby to bolało – mówi. Ja nie widzę sensu w pytaniu jej, co ma na myśli. „Nie sędzę, żeby to mnie bolało” czy „nie sędzę, żeby ciebie bolało”. – Nie sędzę, żeby w ogóle bolało.

– Nie sędzę, żeby to miało znaczenie.

Nie dodaję nic więcej. Prawą ręką sięgam do dziury, a ona znika prawie po obojczyk. W środku jest zimno ponad wszelkie wyobrażenie zimna. Podnoszę wzrok, a Charlotte na mnie patrzy. Myślę, że będzie krzyczeć, ale tego nie robi. Rozchyła usta, ale nie krzyczy. Czuję, że coś ciągnie moje ramię tak gwałtownie, że zaraz wyszarpnie mi je ze stawu, kość ramienną oddzieli od łopatki, przerwie więzadła i tętnicę podobojczykową, a ja runę na podłogę i wykrwawię się na śmierć. Jestem prawie pewna, że tak się stanie, i zaciskam zęby, szykując się na niechybną amputację.

– Nie czuję cię – szepcze Charlotte. – Jesteś teraz we mnie, a ja nie czuję cię nigdzie.

Wtedy.

Dziura się zamyka. Obie patrzymy, jak spirala przestaje się kręcić zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a zaczyna obracać w drugą stronę. Moja zamarzająca ręka chwyta pustkę, palce szukają czegoś, co mogłyby chwycić. Coś się zmieniło. Rozumiem to doskonale. Z desperacji

zaryzykowałam jakieś remedium, całkowicie instynktownie albo dzięki szczęściu, rozwiązanie nierozwiązywalnej zagadki. Rozumiem również, że muszę wyciągnąć rękę z powrotem, zanim brzegi dziury dosięgną do bicepsa. Wyobrażam sobie, jak zapadająca się krawędź zakrzywionej czasoprzestrzeni przecina czysto mięśnie i kość, a potem wyobrażam sobie siebie przyspawaną do tego miejsca tuż nad biodrem Charlotte. Przerazenie rywalizuje z poczuciem kreskówkowej absurdalności chwili, która wydaje się tak nabrzmiała, że mogłaby pomieścić cały wiek.

Dłonie Charlotte są na moich ramionach, ściskają mnie mocno, odpychają z całej siły. Ona coś mówi, słowa, których nie słyszę w ryku wodospadu powstałego po implozji kwantowej piany.

*Och, Koteczku, jak by było miło, gdybyśmy mogli wejść do Lustrzanego Domu! Jestem pewna, że będą w nim takie piękne rzeczy! Udawajmy, że jest sposób, żeby się do niego dostać, Koteczku. Udawajmy, że szkło jest miękkie jak gaza, żebyśmy mogli przez nie przejść...*

Patrzę, jak cień pędzi przez morze.

Ciepłe słońce zalewa kuchnię.

Wyciągam następną kartę.

Charlotte ma dziesięć lat, brat trafia ją z wiatrówki w kostkę. Dwadzieścia trzy lata później ona pada na ziemię w naszym ogrodzie.

Czas. Przestrzeń. Cienie. Grawitacja i prędkość. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Wszystko ściśnięte, wszelkie różnice zatarte i nie zostaje nic, co można by określić ilościowo.

Zamykam oczy i czuję jej dłonie na moich ramionach.

Moja ręka łączy niezliczone lata świetlne, coś muska moją dłoń przez kosmos w Charlotte. Coś mokrego i miękkiego, nieopisanie odrażającego. Ona mnie odpycha, a ja lecę do tyłu. Teraz już nie. To coś chwyciło moją rękę – albo opłotło nadgarstek niebiańską macką – i przez jedno uderzenie serca trzyma mnie, zanim puści.

*...ale cokolwiek to jest, było tam, jeszcze zanim zaistniał czas. Było samo, zanim narodził się wszechświat.*

Jest ból, kiedy moja głowa uderza w podłogę sypialni. Jest ból, gwiazdy i świergoczące ptaki. Czuję smak krwi i zdaję sobie sprawę, że przygryzłam wargę. Otwieram oczy, a Charlotte pochyła się nade mną. Myślę, że w jej oczach są uwięzione galaktyki. Patrzę na miejsce nad jej lewym biodrem. Skóra jest gładka i cała. Ona zaczyna płakać, a to utrudnia zobaczenie

konstelacji w jej tęczęwkach. Poruszam palcami, zaskoczona, że nadal mam ramię i dłoń.

– Przepraszam – mówię, nawet jeśli nie jestem pewna, za co przepraszam.

– Nie, nie przepraszaj, Em. Nie przepraszaj za nic. Nie teraz. Nigdy więcej.

## John Four

Świątynia jest nazywana Świątynią, ponieważ jest to miejsce modlitwy, choć nikt już się nie modli, bo lepiej, żeby bogowie cię nie zauważyli. Lepiej być anonimowym pyłkiem w oku niż pyłkiem w oku, który ściągnął na siebie uwagę. Może właśnie to przydarzyło się światu w ostatnim wieku ludzkości, przed początkiem tej nieskończonej eschatologii. Może być tak, że bogowie w końcu zauważyli. Po dwóch milionach lat modlitw, krwawych ofiar i myślenia magicznego zauważyli i zwlekli się z nieba i wygramolili z piekła, by zobaczyć, co wywołuje taki okropny harmider. Może to tylko prośba o ciszę i spokój.

Ale ci, którzy pamiętają Dawniej, opowiadają inną historię, ci, którzy jeszcze potrafią mówić. Ci z Dawniej, którzy nadal potrafią mówić i pamiętają, jak się to robi. Ci z Dawniej, którzy nadal potrafią mówić, pamiętają jak i są dostatecznie głupi, żeby to robić. Ten wciąż zmniejszający się podzbiór wspomina, że Coś przybyło Skądś i że astronomowie zaobserwowali, jak się zbliża dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści lat przed jego przybyciem. Nie ma zgody co do tego, czym mogło być to Coś, tylko że zawsze podróżowało między galaktykami i w końcu, w nieunikniony sposób, zbliżyło się za bardzo i pochłonęło całą Drogę Mleczną, odcięło ten nowy świat, gdzie Świątynia, w której nikt nie odprawia rytuałów, wznosi się na antracytowej równinie bez horyzontu. Nie zbudowano jej tutaj, lecz jest ona sekrecją, architektoniczną naroślą. Ci z Dawniej nazywają ją krzywą, bo pamiętają tamtą inną geometrię, tę, w której słowa takie jak „krzywy” nadal mają sens.

Tak więc krzywa Świątynia wyrasta z krzywej antracytowej równiny, a otacza ją ostatnie krzywe miasto ludzkości, rozciągające się pod krzywym czarnym niebem. Katalogowanie tych wszystkich zniekształceń staje się nużące i całkowicie absurdalne, ponieważ nie zostaje nic prostego, by

stanowić punkt odniesienia. Gdyby nadal istniały chmury, iglice Świątyni muskałyby ich brzuchy. Gdyby nadal istniały gwiazdy, wydawałoby się, że Świątynia jest wycelowanym w nie oskarżycielskim palcem.

Równina. Miasto. Świątynia. Bezgwiezdne niebo.

To na razie wystarcza.

Kobieta, która nigdy nie dostała imienia – i która na szczęście nie pamięta Dawniej – siedzi w ogromnym narteksie Świątyni. Pilnuje jednej z sadzawek większej ciemności, które wypływają tu i ówdzie z tłustych, żywicznych ścian i posadzek, ponieważ picie, kąpiel albo zanurzenie się w jednym z tych jeziorok na chwilę ucisza nieprzerwany dźwięk fujarek i ciągle bębnienie, które dobiega z niedostępnych górnych partii iglicy. Balsam z wód, które nie są wodą, potrafi stłumić te monotonne hymny wymyślane dla przyjemności Chaosu w erze przed nadejściem czasu. Ona opiekuje się sadzawką, której krew może zagłuszyć śmiech i krzyki, a nawet płacz. Tak więc jeziorka są cenne, a ci, którzy mają siłę, dar, niezbędne szaleństwo, żeby je pielęgnować i doić, ci ludzie są jedyną pociechą, jaka pozostała skołatanemu umysłowi zniszczonej rasy, która kiedyś była ludzkością.

Można by ją nazywać Miłosierdziem, gdyby to słowo nie zostało zapomniane. Mogłaby nazywać się Ulgą, ale pojęcie ulgi zanikło, tak że teraz oznacza nie więcej niż podrapanie swędzącej fantomowej kończyny, której nie można dosięgnąć. Ulga została amputowana razem ze Śmiercią, Nadzieją, Ślepotą i Snem.

O tak, ona widzi. Wszyscy, którzy mieszkają w mieście na równinie, widzą doskonale, choć nie ma już żadnego światła, a jedynie złożone kontinuum ciemności. Tak więc bezimienna kobieta, która nie jest ślepa, siedzi na brzegu sadzawki, będącej jedną z pół setki podobnych w mieście. Ma naparstek, łyżkę, kubek i miskę. Naparstek ledwo mieści tyle wody, żeby złagodzić czyjeś cierpienie. Łyżka jest zardzewiała, a jej brzegi są ostre jak brzytwa. Kubek jest popękany i brakuje mu uchwytu. Miska ma kilka małych dziur w dnie. Ale są to jedyne naczynia, którymi wolno jej rozdzielać to, co uchodzi za ukojenie dla przychodzących do niej zdeformowanych pielgrzymów.

Kłęczała tak długo na brzegu sadzawki, że już nie pamięta stania, chodzenia czy biegania. I dobrze, gdyż w pewnym momencie żywa podłoga narteksu uznała, że nogi i stopy kobiety z pewnością są jej częścią, i ją wchłonęła, tak że strażniczka stała się świątynną armaturą, co najwyżej

dotatkim. Teraz wyrasta ona z tłustego, pocącego się kamienia, a posuwające się chwiejnym krokiem masy do niej przychodzą.

Działa w mieście rodzaj loterii decydującej o tym, kiedy dana osoba może odwiedzić Świątynię, żeby kobiety nie przytłoczyły obowiązków. Mimo to nie ma chwili, żeby nie napierały na nią potrzebujące, niecierpliwe ciała. Nie śmia one jednak osaczać jej zbyt niecierpliwie, bo to ona decyduje o dawce, którą każdy otrzymuje – łyżkę, kubek czy miskę – i nikt się z nią nie kłóci, ponieważ kobieta może również odmówić błogosławieństwa sadzawki. Może odmówić, a wtedy sadzawka się zamyka i nikt nie dostaje nawet naparstka. W ten sposób nadal istnieją maniere w świecie pozbawionym Porządku. Strach i desperacja zachowały cień podobieństwa do siebie. I sprzyjają aktom hojności, bo przy rzadkich okazjach pielgrzym może przyjść do niej z jakimś skąpym okruchem Dawniej. Dar jest pokazywany i kładziony na tej nieokreślonej przestrzeni, gdzie kobieta staje się podłogą narteksu, a podłoga narteksu staje się nią.

– Dobrze – może ona wyszeptać. Albo: – Przemyślane.

Rzadko słyhać, żeby wypowiadała więcej niż jedno słowo naraz, jako że jej szczęki, język, podniebienie i zęby są źle przystosowane do mówienia. Ale zawsze jest co najmniej jedno słowo, zanim kobieta przyjmie dar, co jest sposobem zazdrosnej Świątyni na wzięcie tych ofiar dla siebie. Pielgrzym może podarować stopiony kawałek szyby okiennej, przeżutą kość, pens albo figurkę rozczłonkowanego świętego zrobioną z plastiku. Skarby z rumowiska. Osobliwe pamiątki z Dawniej. Ona uważa je za zabawne.

Choć jest to wiek bez sekund, minut czy godzin, nie jest to właściwie wiek bez czasu. Albo może precyzyjniej będzie powiedzieć, że to wiek, w którym uparcie trwa iluzja czasu, na stałe wbudowana w pierwotny umysł. Wydaje się, że chwile nadal następują jedna po drugiej, nawet jeśli nie ma sposobu, żeby je śledzić. Nie ma dni, bo nie ma słońca. Można powiedzieć, że kiedy glob się wywrócił i pokoziołkował biegunami w otchłań, zaczęła się era niekończącej się nocy. Tyle że nie ma również żadnych gwiazd, księżycy czy innych świecących ciał, które kiedyś pomagały określić noc jako noc. Ta ciemność nie jest jedynie brakiem światła dziennego. Ta ciemność jest stanem pozytywnym, czymś namacalnym, co wije się w górze i pod nogami.

Kobieta, która strzeże studni w narteksie Świątyni, zwykle nie potrzebuje złudzenia czasu. Ma poczucie celu, a więc coś, czego

odmówiono niemal wszystkim żyjącym. Bez niej nie byłoby jak dostarczać wody z sadzawki ludziom, którzy szukają choćby najsłabszej anodyny. Ona śledzi na bieżąco paradę spragnionych, a kiedy ci do niej docierają, liczy ich, aż liczenie staje się bardziej męczące niż nieliczenie, a wtedy znowu wystarcza jej, że ma cel. Czasami przychodzi jej do głowy, żeby katalogować pielgrzymów, sortować według typów. Wie, że takie porządkowanie jest aktem herezji, bluźnierstwem przeciwko Demonicznemu Sułtanowi i jego posłańcowi Czarnemu Faraonowi, którzy mieszkają w iglicy Świątyni. Ale ona opiekuje się sadzawką, więc jest faworyzowana, a bogowie rzadko się zatrzymują, żeby zajrzeć w jej myśli.

Jest akurat zajęta wymyślaniem nowego schematu – w którym pielgrzymi są klasyfikowani według dźwięków, jakie wydają ich ciała w ruchu – kiedy podnosi wzrok i widzi, że następna w kolejce jest kobieta z Dawniej. Nie tylko kobieta z Dawniej, nie, ale coś tak rzadko widywanego, że niemal zniknęło w królestwie mitów. Nagie ciało pielgrzymki nosi niewiele śladów przejścia. Jest ona niemal uosobieniem ludzkości, jaka istniała przed nadejściem bogów i rozerwaniem bram Stworzenia. Zaskoczona opiekunka sadzawki omal nie wypuszcza z ręki łyżki, żeby ta przepadła na wieki w głębinach.

– Och – szepcze.

Stłoczeni wokół niej skłaniają głowy (albo to, co uchodzi za głowy), uprzywilejowani tym, że słyszą, jak ona mówi, choć wcześniej nie musieli darem zapłacić za ten przywilej.

Ale kobieta z Dawniej nie pochyla głowy. Stoi po drugiej stronie sadzawki, obserwuje, czeka, nieprzyzwoita w swoim pozornym spokoju. Nikt, kto przychodzi do sadzawki, nie ukrywa swojej potrzeby. Niewielu nawet byłoby do tego zdolnych, ale ta kobieta nie wykazuje żadnych oznak potrzeby. Jej oczy (ma dwoje i tylko dwoje) pozostają czyste i niebieskie jak duch każdego utraconego jesiennego nieba. Jej wzrok jest rozbijający. Kobieta, które pilnuje sadzawki, robi coś, czego chyba jeszcze nigdy nie zrobiła. Odwraca wzrok.

– Próbowalam nie potrzebować wody – mówi pielgrzymka. Jej głos, podobnie jak oczy, jest niemożliwie czysty. – Już jesteś przeciążona. Próbowalam tutaj nie przychodzić.

– Jak to? – pyta kobieta wrosnięta w brzeg sadzawki, żałując, że nie potrafi łączyć ciągu słów w zdania. Ma co najmniej kilkanaście pytań, na które chciałyby usłyszeć odpowiedzi, gdyby była w stanie je zadać.



Z dużym wysiłkiem zmusza się do uniesienia głowy. Zmusza się, żeby spojrzeć na całość tej nieprawdopodobnej istoty.

– Mam dary – mówi pielgrzymka, a kobieta przy sadzawce widzi, że w tych doskonale uformowanych dłoniach (ni mniej, ni więcej, tylko po pięć palców u każdej) jest poplamiony i podarty płócienny tobołek.

Hebanowe oczy przesuwają się w górę i w dół po ciele pielgrzymki, szukając deformacji, których nie ma. Kobieta przy sadzawce czuje się oszukana i bezwartościowa, a nie może sobie przypomnieć, żeby kiedyś odczuwała takie emocje. Ostatecznie, czyż nie została wybrana? Czy nie została wyróżniona przez świątynnych akolitów, których twarze są zawsze ukryte pod maskami z żółtego jedwabiu? Czy nie została przyprawiona w to miejsce, bo jest wyjątkowa? Tak, wszystkie te rzeczy są pewne i prawdziwe. Więc jak ona może zazdrościć komukolwiek spośród żebraków, tych nieszczęśników, których uspokaja albo ignoruje, zależnie od nastroju albo kaprysu?

W dniach poprzedzających apokalipsę (kiedy jeszcze istniały dni) ta istota zostałaby nazwana piękną, kobieta to wie, nieważne, jak niewiele wie o Dawniej. Jasne włosy zakrywają ramiona pątniczki i do połowy zasłaniają idealnie uformowane piersi. Pielgrzymka ma tylko jedną skazę: jej skóra nabrała wyglądu ciemnozielonego kamienia – marmuru, łupku albo serpentynitu – wyciosanego i wypolerowanego tak, że lśni w mroku. Jej biodra, brzuch, nogi, twarz i ręce są poznaczone czymś, co wygląda jak wąskie, rozgałęziające się żyły mlecznobiałego kwarcu albo kalcytu. Mogłaby być kariatydą, która zeszła z ateńskiej kolumny, bo już nie chciała dźwigać na głowie ciężaru kamiennego portalu. Albo szmaragdową Galateą pocałowaną przez Wenus, ale niezdolną do dokończenia boskiej metamorfozy. I choć to ciało może wyglądać na kamienne, jego osobliwa gibkość jest wyraźnie widoczna dla kobiety przy sadzawce.

Wierna emisariuszka bogów wrosnięta w posadzkę Świątyni czuje niechęć i usiłuje wyobrazić sobie pątniczkę poza miastem, powoli obracającą się w kamienny pył i drobinki kryształu, porwane przez wiatr, który pędzi przez antracytowe równiny. Życząc sobie tego, ma poczucie winy, które jedynie potęguje jej zazdrość. Przez całe życie służyła w Świątyni w ostatnim mieście ludzi, bez pytań i oczekiwania na nagrodę, a teraz tamta ohyda ma czelność przychodzić do niej po pociechę.

– Nie – mówi kobieta przy sadzawce, kręcąc głową i patrząc w ciemność na następnego w kolejce, bezrękiego mężczyznę ze zbyt

wieloma oczami, stosownie zdeformowanego i dlatego wartego jej troski.

– Ale... ja mam dar – upiera się pielgrzymka. – Mam dar, z którym nigdy się nie rozstawałam, przysięgam. Przyniosłam go tobie.

– Nie – powtarza kobieta przy sadzawce, wypowiadając to słowo twardo i z całą stanowczością. Gestami pokazuje bezrękemu, żeby wystąpił do przodu, a zielonej pątniczce każe się odsunąć.

Mężczyzna usilnie stara się spełnić polecenie, ale pielgrzymka nie chce ustąpić.

– Nie rozumiem – mówi, marszcząc zielone czoło i łypiąc gniewnie przez ramię na bezrękiego – czym cię obraziłam.

Kobieta przy sadzawce rozdyma nozdrza i lekko przekrzywia głowę w bok. Na jej twarzy maluje się zdziwienie i oburzenie. Nikt się z nią nie spiera. Konsekwencje wywołania jej gniewu są zbyt straszne, żeby brać je pod uwagę, więc żaden szukający skromnych błogosławieństw sadzawki – nawet ci, którzy z jakiegoś powodu zostali odprawieni – nie waży się kwestionować jej decyzji.

– Odejdź – warczy kobieta, obnażając obsydianowe zęby. – Idź.

Teraz tłum robi się niespokojny, ale również ciekawy, jak to wszystko się skończy, jak zielona pielgrzymka zostanie ukarana za swoje wykroczenie. Krąg powykręcanych ciał cofa się zaledwie o kilka metrów we wszystkich kierunkach, rozszerzając się jak źrenice, i tylko dwie postacie zostają obok sadzawki większej ciemności. Nagle gdzieś wysoko w iglicy nad narteksem rozlega się mokry trzepot, niemal tak głośny jak dzwony, i wszyscy zebrani w Świątyni wiedzą, że konfrontacja przyciągnęła uwagę akolitów i Czarnego Faraona Nyatlathotepa. Kilkoro oczu wędruje w górę, kilkunastu pielgrzymów wycofuje się strachliwie z narteksu do atrium i na najwyższy z pięciu tysięcy schodów, które prowadzą w dół do miasta.

– Przynajmniej pozwól mi pokazać, co przyniosłam – prosi zielona pielgrzymka. Jeśli usłyszała trzepotliwe dźwięki, nie okazuje tego w żaden sposób. Jeśli rozumie ich pochodzenie i znaczenie, nie jest to widoczne. –

Proszę, spójrz na dary, zanim mnie odeślesz. Obiecuję, że na całym szerokim świecie nie zostało nic takiego. Jestem pewna, że to ostatnie.

Kobieta przy sadzawce znowu rozdyma nozdrza i zgrzyta obnażonymi zębami. Coś oleistego i wstrętnego wycieka z rany, która wcześniej była jej płcią, zanim świątynia się o nią upomniała, a robiąc to, zmieniła ją na

zawsze. Oleista substancja, jej brudny stygmat, skwierczy i kipi na podłodze.

– Tylko spójrz. Proszę. Przyszłam z tak daleka. Zrób choć tyle, zanim odejdę.

Nad narteksem trzepotliwa kakofonia staje się bardziej natarczywa, ciekawość Czarnego Faraona rośnie. Kobieta przy sadzawce zastanawia się przelotnie, dlaczego on nie może po prostu spojrzeć przez strzępy płótna i sam zobaczyć dar, nie zmuszając jej, żeby spełniła prośbę tej ślicznej, nieprzyzwoitej istoty.

*Bo ja istnieję tylko zależnie od jego uznania, dla jego przyjemności. Bo istnieję tylko po to, żeby spełniać jego kaprysy.*

Kobieta przy sadzawce parska pogardliwie, tak jak parskały krowy i konie, kiedy jeszcze były krowami i końmi. Chowa ostre zęby i wskazuje na obszarpany tobołek w rękach zielonej pielgrzymki.

– Tak – syczy niechętnie.

– Dziękuję – mówi pątniczka.

Potem jeszcze raz składa ukłon i rozwija tobołek, odsłaniając skorodowaną metalową rurkę. Rurka jest grubsza na jednym końcu i w tym miejscu wyposażona w szklane soczewki. Szkło jest popękane. Prawdopodobnie pękło dawno temu, w kataklizmie albo może jeszcze wcześniej. Może stało się to w czasie całkiem przyziemnego, zwyczajnego wydarzenia.

W górze trzepot ustaje tak nagle, jak się zaczął. Kobieta przy sadzawce patrzy na przedmiot, który nie wygląda na coś nadzwyczajnego. Nie może być pewna, czy trzepot ucichł, bo ciekawość Czarnego Faraona została zaspokojona, a on stracił zainteresowanie, czy dlatego, że metalowa rurka naprawdę jest tak rzadka, jak twierdzi zielona pielgrzymka. Przypomina sobie, że zawsze lepiej być aż nadto ostrożnym, i wyciąga ręce po ofiarę. Mokry trzepot wraca. Bogowie robią wydech, zmęczeni wstrzymywaniem powietrza. Zielona pielgrzymka patrzy na metalową rurkę, która prawie nie połyskuje w mroku. Zdaje się wahać, ale tylko przez chwilę, a potem obchodzi sadzawkę i przekazuje dar.

– Dlaczego? – pyta kobieta przy sadzawce.

Pątniczce kilka uderzeń serca zabiera uświadomienie sobie, że strażniczka studni pyta o działanie tej rzeczy.

– Z boku jest przełącznik. Wystarczy przesunąć go kciukiem do przodu. Baterie nadal działają. Dbałam o nie i trzymałam w suchym miejscu.

Pielgrzymka już ma dodać, że poświęciła się chronieniu srebrnej rurki i czterech baterii jeszcze przed czernią, gdy trzepotanie cichnie po raz drugi. Ze środka sadzawki zaczyna się rozchodzić seria koncentrycznych fal, a te rozprzestrzeniają się szybko po całej powierzchni, aż woda pluszcze o niskie, strome brzegi.

I za późno przychodzi strażniczce do głowy, że to mógł być rodzaj ostrzeżenia, rozkaz z iglicy, że powinna postępować bardzo ostrożnie.

Już pchnęła kciukiem przełącznik. Latarka błyska raz, dwa razy, a potem wylewa się z niej jaskrawy potop światła. Prawdziwego światła – a nie jedynie jaśniejszego odcienia mroku – którego kobieta przy sadzawce nigdy nie widziała ani sobie nie wyobrażała. Ono jest dla niej obce, tak jak kiedyś ten świat był obcy dla tych, którzy uznali go za własny. A gdy stała się częścią Świątyni, jest nie tylko dla niej obcy, ale całkowicie przeciwstawny. Tak jak jaśniejący snop rozdziela i przepędza mrok, tak rozdziela i przepędza kobietę, bo ona jest niczym innym jak mrokiem, który przybrał kształt i stał się materialny. A kiedy już nie ma rąk, które by ją trzymały, srebrna rurka z trzaskiem spada na posadzkę i toczy się do sadzawki. Woda, która nie jest wodą, pochłania ją i zabiera na zawsze ten nienawistny blask.

Wszystkie przegniłe, niezbadane kąty tego wymiaru krzywią się, straszliwe, przeciągłe wycie dobiega od strony pozostałych pielgrzymów, którzy kulą się pod ścianami, kolumnami, aż w końcu uciekają z narteksu. Krzyk jest przerażeniem, stratą i oszołomieniem.

Zielona pielgrzymka opadła na kolana i już ma zanurzyć prawą rękę głęboko w sadzawce, by ratować utraconą latarkę, kiedy czuje nagłe, gwałtowne szarpnięcie za kostki. Łapie powietrze i walczy, kiedy lodowate macki oplatają się ciasno wokół jej stóp, suną w górę łydek, wyciągają ją ze studni. To, co podłoga straciła, teraz odzyskuje, gdy Świątynia wymierza sprawiedliwość w sposób, który wydaje się najbardziej stosowny. Gdyby jeszcze istniał czas, przemiana i tak prawie w ogóle by go nie potrzebowała. Gdzie wcześniej były pozory skóry, mięśni, kości i krwi, teraz zostaje tylko bezimienna tłusta materia podłogi. Sięga aż do bioder zielonej pielgrzymki, jej ud, dolnej części brzucha, przytwierdza ją do miejsca, które tak długo zajmowała strażniczka. Jej esencja płynie wygłodniałe do nowej pomocniczki, przez jej żyły i szpik kostny, wypełnia każdą komórkę i wkrótce żywe niebieskie tęczówki sinieją, robią się bezbarwne

i atramentowe jak ponure niebo. Jasne włosy ciemnieją, żeby już nigdy nie stać się afrontem dla czujnych mieszkańców iglicy.

Jeśli Świątynia w mieście na pozbawionej horyzontu antracytowej równinie zachwiała się przez sekundę, teraz znów stoi prosto. Wysoka iglica wróciła do swojego niekończącego się atonalnego piszczenia i dudnienia bębnów. I niczego więcej. Azathoth i jego słudzy są zajęci czymś innym. W domu panuje właściwy nieporządek.

A to, co zostaje z zielonej pielgrzymki, różnobarwny cień, wpatruje się w sadzawkę większej ciemności i zastanawia nad przydatnością naporstka, łyżki, kubka i miski. Po cokolwiek pątniczka przyszła do Świątyni, zostało to zapomniane, niechcący zamienione na coś dużo cenniejszego. Teraz ma cel, jest przepełniona pytaniami, gdzie i dlaczego, przejęta wymogami swojej nowej funkcji. Kiedy wraca tłum spragnionych, potrzebujących pielgrzymów, ona uświadamia sobie, że zawsze na nich czekała.

## Na rafie

Człowiek jest najmniej sobą, kiedy mówi w swoim imieniu.  
Dać mu maskę, a powie ci prawdę.

Oscar Wilde (1891)

Są rytuały, które nie giną. Są ceremonie i sakramenty, które wychodzą cało nawet z największych opresji. W rzeczywistości niektóre mogą pod przymusem stać się silniejsze, silniejsze i bardziej zdeterminowane, żeby wyznawcy, nawet jeśli są rozproszeni, a święta ziemia zbezczeszczona, znaleźli drogę. Ludzie znajdują drogę powrotną po dziesięcioleciach, a nawet stuleciach, żeby stawić się tam, gdzie zostały wezwane dziwne istoty – nazwijcie je bogami, demonami albo numenami; nazwijcie je jak chcecie, jako że wszystkie słowa tylko oznaczają, a nie mogą definiować ani ograniczać natury tych bytów. Świątynie są palone i odbudowywane. Święte zagajniki są wycinane, ale nowe drzewa zapuszczają korzenie i rosną.

I tak właśnie jest z tym poszarpanym granitowym szkieletem, dwa i pół kilometra od zdewastowanego portowego miasta w Massachusetts, które wzięło swój ostatni, drżący oddech zimą tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku. Kartografowie rzadko je zauważają, a jeśli już, to jedynie po to, by zaznaczyć miejsce takich czy innych miejscowych nawiedzeń w przewodnikach dla tropicieli legend. Nawet nastolatki z Rowley

i Ipswich przeważnie zostawiali je w spokoju, a walące się betonowe mury są prawie całkiem wolne od namalowanych sprayem graffiti, które w obecnych czasach upamiętniają ich wizyty.

Za dolnym wodospadem Castle Neck (który plemiona Wampanoag nazywały Manuxet), gdzie rzeka raptownie skręca na południowy wschód przed ujściem do Essex Bay, leżą ruiny, które kiedyś były Innsmouth. Do połowy zasypane przez wysokie wędrujące wydmy, ciągnie się zwałowisko desek poszarzałych jak ostrygi, nieład brukowanych uliczek i ceglanych chodników, kikuty kominów, rzędy doszczętnie przerdzewiających magazynów i doków. Ale dewastacja nie kończy się na wybrzeżu, bo zatoka jest pełna zatopionych trawlerów, niewodów, pułapek na homary, stalowych kadłubów, gnijących jutowych lin i dębowych beczek, gdzie skorpeny, flądry i kolczaste kraby błękitne miały ostatnie słowo.

Jednak tematem nie jest upadek miasta Innsmouth ani to, co zostało z jego alei i nabrzeży. Tematem jest uparta trwałość rytuału i jego skłonność do triumfowania nad przeciwnościami i uprzedzeniami. Niemożność całkowitego wyrugowania wiary z ludzkiego umysłu. Możemy spojrzeć na ruiny jako na punkt odniesienia, ale szybko przyciągnie naszą uwagę czarna granitowa rafa, której szorstki grzbiet jest odsłonięty tylko w czasie odpływu. Przyciąga nas teraz, godzinę po zachodzie słońca w halloweenową noc, gdy duży księżyc w pełni, ognistopomarańczowy jak stopione żelazo, właśnie wychynął zza horyzontu. Morze mogłoby zacząć parować od takiego blasku, ale woda jest na to za zimna i za głęboka.

Tej nocy samotną Argilla Road sunie osobliwa procesja reflektorów, kolumna samochodów jadących prawie niezauważenie wśród lasów, płowych pól, bezimiennych strumieni, rozległych połaci słonych bagien i przybrzeżnych równin błotnych. Tej nocy, bo jest ona jedną z dwóch każdego roku, kiedy wierni ściągają do swojej sprofanowanej świątyni, żeby się modlić. Czarna rafa nie ma arkad, galerii ani clerestorium, żadnych łęków oporowych ani papieskiego ołtarza, ale mimo wszystko jest to katedra. Samochody wjeżdżają do opustoszałego miasta, które wypełniają tylko duchy. Parkują tam, gdzie ziemia jest twarda. Kierowcy i pasażerowie idą przy blasku księżyca przez nieużywane tory i zwalone słupy telegraficzne, omijając pułapki starych studni i plątaniny drutów kolczastych. Idą w milczeniu na długi pas plaży na południe od Plum Island i na zachód od ujścia Annisquam i Cape Ann.

Niektórzy przyjechali aż z San Francisco i Seattle, podczas gdy inni są miejscowi, pochodzą z Bostonu, Providence i Manhattanu. Niewielu jest mieszkańcami miast bez dostępu do morza.

Wszyscy mężczyźni i kobiety noszą identyczne solidne płaszcze z welwetu podszyte jedwabiem, płaszcze czarne jak pióra kruka. Większość naciągnęła kaptury na głowy, ukrywając oczy i twarze. Na lewej piersi każdego okrycia jest wyhaftowany symbol, który trochę przypomina ichthys, tajny znak wczesnochrześcijańskich sekt, wcześniej noszony przez wyznawców w świątyniach Afrodyty, Izydy, Atargatis, Pelagii i Delfiny.

Czeka na nich trzynaście łodzi, mała flotylla płaskodennych dory z Gloucester, które parę godzin wcześniej przyplłynęły dziewięć kilometrów ze wschodu, z Halibut Point. Wsiadanie do nich jest ceremonią samą w sobie, odprawianą przez kapłana i kapłankę, którym nie wolno wyprawić się do rafy poza ruinami Innsmouth.

Kiedy łodzie się zapełniają, jest więcej rozmów niż w czasie marszu na plażę; wymieniane są pozdrowienia między przyjaciółmi i znajomymi, którzy nie kontaktowali się ze sobą od ostatniego zgromadzenia, które odbyło się trzynastego kwietnia. Pielgrzymi przekazują sobie nowiny o śmierciach i narodzinach, wymieniają czułości jak dziecięce walentynki. Te rzeczy są dozwolone, ale tylko krótko, tylko do chwili, kiedy łodzie znajdą się półtora kilometra od rafy. Wtedy wszyscy milkną jednocześnie i obserwują niski czerwony księżyc albo fale pluszczące o burty. Ich uszy wypełnia teraz wiatr od Atlantyku, zimny i dziki, i rytmiczne poskrzypywanie wiosł.

Na dziobie każdej dory jest zawieszona na haku pojedyncza lampa olejowa. Inne światła nie są tolerowane w czasie przeprawy do rafy. Byłoby to obrazą dla księżyca i ciemności, którą jego blask rozprasza. W łodziach pielgrzymi zdejmują buty.

Kiedy łodzie docierają do rozchwianego pomostu – nasiąkniętego wodą i śliskiego od alg, o palach i deskach stoczonych przez świdraki okrętowe i oblepionych przez pąkle – wśród tych mężczyzn i kobiet jest niemal wyczuwalny nastrój oczekiwania. Wisi wokół nich jak gęsty, przesłaniający kaptur, ciężki jak zapach soli w powietrzu. Na pomoście czeka sługa, żeby pomóc każdemu pielgrzymowi wejść po śliskiej drabince. Został oślepiony przed laty, wyłupiono mu oczy, żeby nigdy nie zobaczył twarzy tych, którym służy; było to okaleczenie, które zniósł z ochotą. To niska cena, powiedział chirurgowi.



Ci, którzy przybyli z tak daleka i nie tak daleka, są prowadzeni od łodzi i butwiejącego pomostu na rafę. Każdy musi uważać, gdzie stąpa. Skały są śliskie, a ci, którzy wpadną do morza, zostaną uznani za ofiary. Jeśli ktoś spadnie, nikt go nie wyciągnie. Tę surową granitową barierę ukształtowały fale przez wiele tysięcy lat, odkąd lodowce się cofnęły, a morze podniosło i zalało ląd. W ostatnich latach osiemnastego wieku i wczesnych dekadach dziewiętnastego – zanim epidemia z tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku zdziesiątkowała port – rafa była znana jako Półka Kaszalota albo Szaleństwo Jonasza i nawet teraz mocno przypomina kręgi i żebra tego ogromnego walenia, obdartego ze skóry, mięśni i tłuszczu. Ale po zarazie i rozruchach, które po niej nastąpiły, kiedy obcy zaczęli omijać Innsmouth i jego port, kiedy dobiegł końca najlepszy okres dla wielorybnictwa w Nowej Anglii, grzbiet przechrzczono na Diabelską Rafę. Załogi przepływających statków szeptały historie o koszmarnych postaciach, które podobno widziano gramolące się z morza na te skały, więc nowa nazwa szybko przylgnęła.

Późną zimą tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku z Bostonu wysłano na te wody okręt podwodny „USS O-10”. Jednostka o długości pięćdziesięciu dwóch metrów była uzbrojona w dwadzieścia dziewięć torped, z których wszystkie wystrzelono w nieoczekiwanie głęboki rów, odkryty na wschód od Diabelskiej Rafy. Pociski wybuchły na głębokości prawie półtora kilometra, niszcząc cel, którego nigdy publicznie nie wyjawiono. Ale pielgrzymi wiedzą, co nim było, i ten atak jest dla nich nie mniejszym bluźnierstwem niż zniszczenie ogniem synagog i katedr w czasie obu wojen światowych, nie mniejszą zbrodnią niż zburzenie taoistycznych świątyń przez chińskich komunistów czy dewastacja azteckiej Templo Mayor przez hiszpańskich konkwistadorów po upadku Tenochtitlan w tysiąc pięćset dwudziestym pierwszym roku. Pamiętają głębinowe rezydencje Y’ha-nyhlei, wielkie ołtarze, istoty zabite przez torpedy i ocalałych, pozbawionych wszystkiego. Pamiętają bogów tamtej rasy, obietnice i rytuały, więc przybywają tej nocy. Przybywają, żeby oddać cześć Matce, Ojcu, wszystkim, którzy zginęli i którzy przeżyli, wszystkim, którzy jeszcze nie dokonali przejścia, ale nadal mogą to zrobić. Stara krew nie zniknęła z tego świata.

Dwie osoby zostają wybrane spośród obecnych. Z pudła wyrzeźbionego z gagatu ciągnie się dwa losy. Na każdym jest wyryte prawdziwe imię każdego z suplikantów, nadane w czasie sennych poszukiwań przez Ojca

Dagona i Matkę Hydrę. Jeden mężczyzna i jedna kobieta, dwie kobiety albo dwóch mężczyzn. Ale liczba zawsze wynosi dwa. Zawsze tylko jedna para, żeby odprawić najświętszy rytuał. Nie ma większego zaszczytu niż zostać wybranym i wszyscy tutaj go pragną. Ale jest również lęk, bo nie można stać się awatarem bogów bez unicestwienia siebie do takiego czy innego stopnia. A przemiana w awatara Matki i Ojca oznacza całkowite unicestwienie. Nie fizyczną śmierć. Coś dużo bardziej destrukcyjnego dla ciała i umysłu niż śmierć. Gagatowe pudełko zostaje uniesione wysoko i potrząśnięte raz, potem ciągnięte są losy i imiona odczytywane głośno pielgrzymom, nocy, wodzie i jaśniejącemu oku księżyca.

– Dwójka została wyznaczona – ogłasza stary mężczyzna, który ciągnął losy, po czym odchodzi na bok, ustępując miejsca dwóm wybranym kobietom.

Jedna z nich waha się przez chwilę, ale tylko przez chwilę, przez jedno mgnienie. Obie mają swoje imiona w życiu, które zostawiły za sobą, życia, rodziny, kariery i przeszłość, ale tej nocy wszystko to odrzucają, tak jak teraz zdejmują czarne płaszcze i odsłaniają nagie, bezbronne ciała. Stają twarzami do siebie, zbliża się do nich kapłanka. Namaszcza ich czoła, ramiona, brzuchy i waginy cuchnącą papką ze zmielonego dzięgielu, korzenia mandragory, oczu i wnętrzości różnych ryb, wapiennych muszli mątw, naparstnicy, bursztynu, kadzidła, suszonych brunatnych alg i morszczyków, krwi cielęcia i sproszkowanego molibdenu. Potem kobiety łączą ręce i każda dostaje na język opłatek z suszonego ludzkiego ciała. Nikt się nie odzywa. Nawet kapłanka nic nie mówi.

Słowa pojawią się wkrótce.

Teraz przychodzi kolej na Strażnika Masek, więc ten występuje do przodu. Rzeczy, które ma za zadanie chronić, są owinięte w żółty jedwab. On je odwijają i teraz wszyscy pielgrzymi mogą spojrzeć na artefakty zrobione ze stopu złota i dużo cenniejszych metali, niektórych nadal niezupełnie znanych (albo całkiem nieznanymi) geologom i chemikom. Inne spadły na ten świat z otchłani kosmosu. Niewiernym maski mogą się wydawać potworne, straszliwe. Nie dostrzegają boskości tych boskich obiektów, zbyt zaabsorbowani formami, które nauczyli się uważać za groteskowe i nienawistne, zbyt zaniepokojeni niewytłumaczalnymi kątami, uformowanymi ze stopu dawno, dawno temu, kształtami, które mogą być uznane za „niewłaściwe” przez intelekty przywiązane do konwencjonalnej geometrii. Na początku dziewiętnastego wieku te święte obiekty zostały

przywiezione do Innsmouth przez samego kapitana Obeda Marsha z Wysp Zawietrznych we Francuskiej Polinezji na pokładzie barku „Sumatra Queen”.

Strażnik Masek dokonuje ostatecznego wyboru, podając twarz Ojca Dagona jednej z dwóch kobiet, a twarz Matki Hydry drugiej. Obie mogą spojrzeć na swoje śmiertelne oblicza po raz ostatni. Potem Strażnik zakrywa ich twarze, dopasowuje złote maski i zawiązuje je ciasno sznurkami uplecionymi ze ścięgien krwawych ofiar, konopi i sizalu. Po wykonaniu zadania Strażnik wraca na swoje miejsce wśród innych. Dwie kobiety klękają na kamieniu dostatecznie ostrym, żeby przeciąć twardą skórę.

– Ia! – krzyczy kapłanka, potem Strażnik Masek, a na koniec mężczyzna, który ciągnął losy.

Pielgrzymi natychmiast odpowiadają:

– Ia! Ia! Rh’tipd! Cthullu fhtagn!

Mężczyzna, który ciągnął losy, dodaje ponurym głosem, niewiele głośniejszym od nabożnego szeptu:

– Ph’nglui mglw’nafh Cthullu R’lyeh wgah’nagl fhtagn. Rh’tipd qho’tlhai mal.

Jego słowa giną na wietrze, który chciwie porywa każdą sylabę, ciska je do gwiazd, zatapia głęboko pod falami w odwiecznym mieście o połamanych iglicach i krystalicznych dachach, roztrzaskanych przez amunicję ponad osiemdziesiąt lat przed tą nocą.

– Stajecie się Matką i Ojcem – mówi mężczyzna. – Stajecie się żywymi wcieleniami wiecznych sług R’lyeh. Już nie jesteście pyłkami. Wasze poprzednie życie i formy przestają istnieć. Stajecie się twarzami głębin i oczami niebios. Tej nocy zostajecie poślubione sobie na zawsze.

Dwie klęczące kobiety nic nie mówią. Ale wiatr natychmiast przestaje wiać, woda wokół rafy uspokaja się i robi gładka jak szkło. Księżyc jednak pozostaje taki sam i patrzy drwiąco na scenę w dole jak szakal czekający na swoją kolej przy zdobyczy innego zwierzęcia albo jak Herod Antypas pragnący zatańczyć z Salome. Lecz żaden spośród pielgrzymów nie ucieka wzrokiem, bo odwrócenie oczu od sakramentu byłoby niewyobrażalną zniewagą. Patrzą tak, jak patrzy księżyc, z wyczekiwaniem, niektórzy z zazdrością, że ich imiona nie zostały wyciągnięte z pudła z losami.

Na zachodzie – nad zalesionymi wzgórzami za Essex Bay i rozległymi równinami u ujścia rzeki Manuxet – widać błyskawice mimo

bezchmurnego nieba. W tym momencie nawet w Manchester-By-The-Sea, Wenham, Topsfield, Georgetown i Byfield zaczynają ujadać ogary. Koty tylko patrzą na niebo ze zdziwieniem i zadumą. Czuwające umysły mężczyzn i kobiet na krótko opanowują myśli zbyt złe, żeby się nimi kiedykolwiek podzielić. Jeśli ktoś śpi, jego sny zmieniają się w huraganowe szkwały, utonięcia, niemożliwe bestie wyrzucone na piasek koloru dojrzałych żurawin. W tej chwili ląd i ocean znajdują się w idealnej, odwiecznej opozycji, klęczące kobiety w złotych maskach zostają uznane za ewolucyjne apostatki, pustoszące kontynent, uciekające do morskiej wody i głębinowego mułu. Kobiety przeważają szale wagi, choćby tylko na chwilę, i tamtej nocy morze ogłosi zwycięstwo, a brzeg może jedynie się dąsać i przenosić fale dalej niż zwykle, żeby zaprotestować przeciwko jego niszczeniu.

Nikt na rafie się nie odwraca. I nie wydaje żadnego dźwięku. Pielgrzymom nie pozostaje nic innego, jak być cichymi świadkami przejścia namaszczonego. A ich transformacja nie jest szybka ani łagodna; żadnej nie oszczędzono męki. Ale one nie wyrażają bólu na głos, choćby dlatego że ich zmienione usta i tak nie byłyby zdolne do wydawania dźwięków słyszalnych dla ludzkiego ucha. Maski zaczynają jaśnieć ledwo dostrzegalną poświatą i wkrótce spadną. Wylinki, które później Strażnik zabierze.

Litościwie przybrawszy teraz postaci Matki Hydry i Ojca Dagona, kochanki się obejmują. Ich ciała splatają się tak ciasno, że trudno odróżnić jedno od drugiego. Wijący się supeł ścięgien, organów i zębów lśni mokro w jasnym blasku księżyca. Dwie osoby stopiły się w jeden organizm, potwierdzając małżeństwo zawarte pierwszy raz między sinicami w ciepłych archaicznych lagunach trzy i pół miliarda lat przed pojawieniem się człowieka. Jest w tym połączeniu taka gwałtowność, że nie różni się ono od walki, ale straszne ziejące rany niemal natychmiast się zasklepiają. Wybranki z wysiłkiem dążą do nieuniknionego orgazmu, warstwy rafy drżą pod stopami pielgrzymów. Kilkoro z nich musi ukucnąć albo uklęknąć, żeby nie zsunąć się ze skał i nie zostać pożartym przez nieszczery spokój morza. W następnych dniach żaden z nich nie powie ani słowa o tym, co widział, słyszał i czuł w godzinie tej świętej kopulacji. Jest to tajemnica, której strzegą swoim życiem i zdrowiem psychicznym.

Już nie zdrowe na umyśle kochanki wiją się, odprężają i rozdzielają. Ojciec złożył swój dar, teraz przyszła kolej Matki. Napięta błona pęka,

wypukłość nie większa od pięści dziecka, otwór broczy krwią, posoką i pojedynczą czarną perłą. To nie jest perła, ale w dużym przybliżeniu można tak ją nazwać. Albo nie. Prawdziwa nazwa daru Matki jest zakazana. Perła wypada z niej i drżąc, leży w kleistej sadzawce, skąd zostanie zabrana tak jak maski. Potem wybranki zsuwają się ze stromego wschodniego krańca rafy, a kiedy zanurzają się w oceanie, wracają fale i wiatr. Te dwie spędzą długą noc, opadając spiralą w dół, do tego samego rowu, który został storpedowany przez „O-10” osiemdziesiąt dwa stycznie wcześniej. Zanim wzejdzie słońce i Diabelska Rafa znowu znajdzie się pod wodą, dotrą do wielokolumnowych pozostałości miasta Y’ha-nthlei, gdzie będą strzeżone przez istoty, które nie są ani rybami, ani ludźmi, ani żadnymi ziemnowodnymi stworzeniami sklasyfikowanymi przez naukę.

Do tego czasu samochody zaparkowane w mieście duchów odjadą, zabierając pielgrzymów z powrotem do bezbarwnego, nijakiego życia aż do końca kwietnia i następnego zgromadzenia. I wszyscy będą śnić swoje sny i czekać na noc, kiedy być może zostaną wybrani, żeby włożyć złote maski.

## Przemiana Elizabeth Haskings

Elizabeth Haskings odziedziczyła stary dom przy Water Street po dziadku. Spadek przeszedłby na jej matkę, ale kiedy Elizabeth miała sześć lat, rodzicielka wyjechała do Oregonu, zostawiając ją ze starcem. Powiedziała, że wróci, ale tego nie zrobiła, a po jakimś czasie przestały przychodzić listy, a później pocztówki. Teraz Elizabeth Haskings ma dwadzieścia dziewięć lat i nie wie, czy jej matka żyje, czy umarła. Nie jest to coś, o czym często myśli. Ale rozumie, dlaczego ona ją zostawiła, że był to strach przed herbacianymi wodami szerokiej rzeki Ipswich, płynącej leniwie do słonych bagien i Atlantyku. Płynącej do Little Neck i głębokiego kanału między lądem a Plum Island i w końcu wpadającej do oceanu niecałe pięćset metrów na północ od Essex Bay. Elizabeth rozumie, że chodziło o ruiny otaczające zatokę u ujścia rzeki Manuxet, przemianowanej na Castle Neck na nowszych mapach, skreślonych pod koniec lat dwudziestych dwudziestego wieku.

Nigdy nie winiła matki za to, że uciekła. Ona ma tutaj, w Ipswich, dom i pracę w bibliotece, a w Oregonie – albo dokądkolwiek mogłaby uciec – nie czekałoby na nią zupełnie nic. Tutaj ma korzenie, nawet jeśli o tych korzeniach bardzo stara się nie rozmyślać. Ale to tylko historia, krótki zapis życia młodej kobiety. Oczywiście istotny, lecz tylko jako prolog. To, co wydarzyło się w mieście kiedyś otaczającym Essex Bay, dziwnym portowym mieście, które nagle umarło pewnej zimy osiemdziesiąt cztery lata temu i w którym jej dziadek mieszkał jako chłopiec.

Jest sobotni wieczór w czerwcu, a w większość sobotnich wieczorów Elizabeth Haskings podejmuje swojego „męskiego gościa”, jak uroczo go nazywa. Lubi mówić: „Dzisiaj odwiedzi mnie mój męski gość”, choć Michael jest gejem. Pracują razem w archiwum Biblioteki Publicznej Ipswich, choć czasami on przenosi się do wypożyczalni. W każdym razie

Michael wie o grze Elizabeth i zwykle przynosi jej mały bukiet kwiatów jednego rodzaju: kalie, alstremerie, żółte róże, rudbekie, a ona starannie układa je w jednym z kilku wazonów, podczas gdy on gotuje kolację. Elizabeth czuje się źle z tym, że to Michael zawsze gotuje, ale prawdę mówiąc, ona nie jest dobrą kucharką i zwykle jej dania są odgrzewane w mikrofalówce.

Potem oglądają filmy na DVD, grają w scrabble albo po prostu rozmawiają przy szerokim stole, który również odziedziczyła po dziadku. O pracy, książkach, muzyce klasycznej, na czym Michael zna się dużo lepiej od niej. Prawda jest taka, że Elizabeth często czuje się przy nim mniej wartościowa, ale nigdy tego nie powiedziała. Kocha go, a to nie jest proste. To platoniczna miłość, więc zawsze trzymała ją w sekrecie, pozwalając, żeby ich „randki” nie były niczym więcej jak rytuałem między przyjaciółmi mającymi ze sobą więcej wspólnego niż z innymi osobami, które znają w małym miasteczku w Nowej Anglii (czy to prawda, czy nie). Czasami leży w łóżku, wyobrażając sobie, że on leży obok niej, zamiast myśleć o rzeczach, o których usilnie stara się nie myśleć: o rzece, morzu, zaginionej matce, szarych deskach i kamiennych fundamentach dawnego miasta, i tak dalej. To jej tajemnica i ona nigdy mu jej nie zdradzi.

Choć Michael zna jej najstraszniejszy sekret, a ona jest pewna, że właśnie to trzyma ją przy zdrowych zmysłach przez te pięć lat, kiedy się spotykają. Nie wydaje się to fair, podobnie jak jego gotowanie. Nie, to oczywiście coś gorszego, że on wie o niej tę okropną rzecz, a ona trzyma w tajemnicy swoje uczucia do niego. Jednak, przekonuje siebie Elizabeth, powiedzenie mu prawdy zniszczyłoby ich przyjaźń. Wróbel w garści lepszy niż gołąb na dachu, a w tym wypadku naprawdę lepiej nie mieć ciastka niż je zjeść.

Po kolacji nie zawsze grają w gry planszowe, oglądają telewizję albo rozmawiają. Bo są wieczory, kiedy on po prostu wie, że znajomość jej tajemnicy nie wystarcza. Są wieczory, kiedy sekret ciąży tak bardzo, że Elizabeth wyobraża sobie, że ją zmiażdży jak ciśnienie na dnie głębokiego morza. W te wieczory po kolacji idą na górę do sypialni, a Michael nalewa do porcelanowej miski wodę z baterii wannowej. Dodaje do niej sól, podczas gdy ona rozbiera się przed wysokim lustrem zamontowanym na ścianie, wyższym od niej o trzydzieści centymetrów, oprawionym w ramę z misternie rzeźbionego orzecha. Elizabeth udaje, że to tylko wzór w liście akantu i cherubiny. Tak jest łatwiej. Nie wprawia ją w zakłopotanie to, że

Michael widzi ją nagą, ani nawet to, że wszystkie deformacje jej tajemnicy są odkryte i widoczne. Przecież właśnie dlatego on wrócił z łazienki z miską słonej wody i żółtą gąbką (zostawia odkręcony kurek). To dlatego przyszedł na górę, bo ona nie może zawsze być jedyną osobą, która na siebie patrzy.

– To zła noc? – pyta Michael.

Elizabeth nie odpowiada od razu. Nigdy się nie skarży, jeśli może uniknąć narzekania. Jest dostatecznie źle, że on wie. Nie chce również wydać się słaba. Po minucie czy dwóch mówi, nawet jeśli jest to tylko sposób na uniknięcie dalszych pytań:

– To prawda.

– Betsy, po prostu mi powiedz, kiedy będziesz gotowa. – On zawsze nazywa ją Betsy, nigdy Elizabeth. Ona jednak nigdy nie mówi do niego Mike.

– Jestem gotowa. – Pochyliła głowę w lewo albo w prawo, eksponując bladą skórę pod podbródkiem. *Ale ja wcale nie jestem gotowa. Nigdy nie jestem gotowa, prawda?*

– Okay. Będę delikatny.

Zawsze jest tak delikatny, jak to możliwe.

– Nigdy nie sprawiasz mi bólu, Michaelu. Nigdy.

Ale nie ma wątpliwości, że on widzi dyskomfort w jej oczach, kiedy myjka dotyka skóry. Bardzo stara się nie drgnąć, ale zwykle wzdryga się odruchowo.

– Za mocno?

– Nie, wszystko w porządku – zapewnia go, więc on dalej ostrożnie zwilża słoną wodą jej szyję.

Elizabeth Hastings stara się skupić na jego palcach, kiedy przypadkiem jej dotykają. Nie trzeba dużo czasu, żeby pojawiły się trzy szczeliny po obu stronach jej szyi, i niewiele więcej, żeby się zamknęły. Nigdy nie otwierają się bardzo szeroko, dopiero później. Tylko tyle, żeby mogła zobaczyć ciemnoczerwone skrzela za sztywnymi płatami skóry w kształcie półksiężyca, których nie było zaledwie chwilę wcześniej. Pojawiają się dopiero w obecności słonej wody. Wtedy Elizabeth zawsze traci dech na kilka sekund, a klapki spazmatycznie otwierają się i zamykają. Ona musi gwałtownie zaczerpnąć kilka razy powietrza, żeby znaleźć równowagę między tym, które jest wciągane przez nozdrza i usta, a tym, które



przepływa przez orzęsione blaszki. Czasami nogi się pod nią uginają, ale Michael nigdy nie pozwala jej upaść.

– Oddychaj – szepcze. – Nie panikuj. Powoli i spokojnie, Betsy. Oddychaj.

Zawroty głowy mijają, ciemne plamy pływające przed oczami znikają, a Elizabeth już nie potrzebuje, żeby Michael ją podtrzymawał. Patrzy na siebie w lustrze. Jej oczy są teraz czarne. Bez tęczówek, bez źrenic, bez twardówki. Tylko atramentowa czerń w miejscu orzechowej zieleni.

– Jestem tutaj – mówi on.

Nie musi jej tego powtarzać. Zawsze jest przy niej albo za nią.

Elizabeth odruchowo próbuje zamrużyć, ale powieki zniknęły, więc może tylko patrzeć w te czarne, puste oczy. Później, kiedy zaczną ją piec, Michel musi mieć pod ręką krople.

– Robi się trudniej – mówi Elizabeth.

Michael nie odpowiada, bo ona powtarza to prawie za każdym razem.

*Wszystkie jego odpowiedzi się zużyły, myśli Elizabeth. Nieważne, jak bardzo chciałby mnie uspokoić albo dodać mi otuchy, wszystko powiedział już dziesiątki razy.*

– Nie przestawać? – pyta Michael.

Ona tylko kiwa głową.

– Nie musimy, wiesz.

– Musimy. Źle, jeśli to robimy. Gorzej, jeśli nie będziemy tego robić. Boli bardziej, jeśli tego nie robimy.

Oczywiście Michael wie o tym doskonale i można w nim wyczuć lekkie zniecierpliwienie, że ona mu to przypomina. Nie gniew, nie, ale wyraźną irytację, która znika w ciągu jednego uderzenia serca.

Michael zanurza gąbkę w słonej wodzie i nie zadaje sobie trudu jej wyciskania, bo im więcej, tym lepiej. Im więcej, tym łatwiej. Woda spływa po jego przedramieniu i skapuje na drewnianą podłogę. Zanim skończą, wokół jej nagich stóp i jego butów będzie kałuża. Michael delikatnie dotyka gąbką jej dłoni i natychmiast szczątkowa błona między palcami, taka jak u wszystkich ludzi, zaczyna się powiększać, odpychając je od siebie.

Elizabeth patrzy, zagryzając wargi, i patrzy. Ta zmiana nie przeraża jej tak jak widok skrzeli i oczu, ale jest dużo bardziej bolesna. Nie tak jak większa część metamorfozy, która dopiero nastąpi, ale wystarczająco, żeby Elizabeth przygryzała wargi (ostrożnie, nie do krwi). W ciągu pięciu minut błona rośnie na tyle, że sięga górnych stawów i jest prawie dwa razy

grubsza niż normalnie. Skóra na wierzchach dłoni staje się gładsza i lekko opalizująca, bardziej przezroczysta, stopniowo przybiera słaby odcień turkus. Elizabeth przywykła myśleć o tym kolorze *celeste opaco*, bo włoski brzmi ładniej. Ale teraz zostaje przy turkusie. Nie tak lirycznie, ale w pewien sposób uczciwiej. Potwory powinny być uczciwe. Przed upływem pół godziny większość jej skóry przybierze różne wariacje tego koloru.

– Wczoraj w czasie przerwy na lunch, kiedy powiedziałam, że muszę iść do banku, nie zrobiłam tego – wyznaje Elizabeth.

Mija kilka sekund, zanim Michael pyta:

– Dokąd poszłaś, Betsy?

– Na Choate Bridge. Tylko stałam tam przez jakiś czas i patrzyłam na rzekę.

To najstarszy kamienny most w Massachusetts, zbudowany w tysiąc siedemset sześćdziesiątym czwartym. Rzeka płynie na wschód pod dwoma granitowymi łukami.

– Poczułaś się lepiej?

– Nabrałam ochoty na pływanie. Rzeka zawsze sprawia, że chcę pływać, Michaelu. Wiesz o tym.

– Tak, Betsy. Wiem.

*Proszę, nie zadawaj mi pytań, skoro znasz na nie odpowiedzi*, myśli Elizabeth, ale nic nie mówi. To byłoby niegrzeczne. On ma dobre intencje, a ona nigdy nie jest nieuprzejma, jeśli to od niej zależy. Zwłaszcza wobec Michaela.

Zniknął wszelki ślad po paznokciach.

– To mnie przeraża. Zawsze mnie przeraża.

– Może pewnego dnia przestanie. Może pewnego dnia będziesz mogła spojrzeć na wodę i nie czuć przerażenia.

– Może – szepcze Elizabeth, mając nadzieję, że to nie jest prawda.

Jest jasne, co będzie, jeśli ona kiedykolwiek przestanie się bać rzeki i morza. *Nie mogę utonąć. Nigdy nie utonę. Dlaczego kobieta, która nie może utonąć, boi się wody?*

*W wodzie są istoty, które mogą zrobić mi krzywdę. I miejsca, których nigdy nie chcę zobaczyć na jawie.*

Teraz Michael przenosi gąbkę na jej plecy, poczynając od karku, a kończąc na pośladkach. Tym razem ból jest taki, że Elizabeth chce się zgiąć wpół, chce paść na kolana i zwymiotować. Ale to byłaby słabość,

a ona nie będzie słaba. Michael zawsze przynosi jej tabletki przeciwbólowe, lecz ona przestała je brać niemal rok temu, bo nie lubiła stanu zamroczenia, kiedy czuła się oddzielona od siebie, jakby te transformacje przydarzały się komuś innemu.

*Potwory powinny być uczciwe.*

Wypustki nerwowe w jej kręgosłupie poszerzają się i wydłużają. Przeczytała dużo o anatomii: ludzi, płazów, ryb chrzęstnoszkieletowych, kostnoszkieletowych i innych. Wszystko mające związek z tym, co dzieje się z nią w te wieczory. Lepsze jest znane niebezpieczeństwo, mawiał jej dziadek. Tak więc Elizabeth Hastings wie, że wypustki nerwowe staną się najdłuższe między trzecim a siódmym kręgiem piersiowym oraz między ostatnim lędźwiowym, krzyżowym i ogonowym (choć nie tak długie jak w części piersiowej), podkreślając naturalną lordozę lędźwiową. Muskulatura reaguje odpowiednio. Elizabeth zna łacińskie nazwy wszystkich mięśni i gdyby mniej bolało, mogłaby je wyrecytować Michaelowi. Wyobraża sobie, że śmieje się jak wariatka i wymienia nazwy napinających się ścięgien. Na koniec nie będą to pletwy sensu stricto. Prawie, ale niezupełnie.

*Czy nie jestem wariatką? Jak mogę być zdrowa na umyśle?*

– Betsy, nie musisz być taka silna – mówi Michael, a ona nienawidzi litości w jego głosie. – Wiem, że tak uważasz, ale nie musisz. Z pewnością nie przede mną.

Elizabeth bierze od niego żółtą gąbkę. Jej ręce drżą tak bardzo, że rozlewa większość słonej wody, która została w misce, ale udaje się jej zmoczyć myjkę. Zaczynają ją boleć dżiąsła. Ona uśmiecha się do siebie, zanim wycisnie gąbkę obiema błoniastymi rękami, tak że woda spływa po jej brzuchu między nogi. W lustrze widzi, że Michael się odwraca.

Upuszcza gąbkę na podłogę u swoich stóp (nie musi patrzeć, by wiedzieć, że jej palce zaczęły się ze sobą zrastać) i patrzy w smoliste oczy, aż jest pewna, że zmiany w genitaliach się zakończyły. W miejscu wżgórka łonowego widać teraz napiętą, płaską powierzchnię, wargi większe, wargi mniejsze i łechtaczka – wszystkie zawłóści jej płci – zostały zredukowane do pionowej szpary jajowodu w miejscu waginy. Po obu stronach szpary są małe, trójkątne pletwy brzuszne, nie większe niż dwa i pół centymetra na dwanaście.

– Powinniśmy się pośpieszyć, Betsy – mówi Michael.

Oczywiście ma rację. Elizabeth musi dotrzeć do wanny pełnej ciepłej, słonej wody, póki jeszcze może chodzić. Raz czy dwa razy czekała za długo, tak że musiał ją nieść; tamto upokorzenie było gorsze niż wszystkie pozostałe razem wzięte. W wannie zwija się do pozycji płodowej, a płatki jej skrzelii otwierają się i zamykają, pobierając tlen potrzebny Elizabeth aż do wschodu słońca. Michael zostanie z nią i będzie jej pilnował jak zawsze.

Ona może spać bez powiek, które by osłaniały jej czarne oczy, i kiedy zasypia, śni się jej rzeka płynąca do zrujnowanego portu, do Essex Bay, a potem do Atlantyku na południe od Plum Island. Śni o skalistym grzbiecie Diabelskiej Rify wyrastającej kilkanaście centymetrów nad fale i o tych, którzy wypełzają na nią w większość nocy, żeby się pławić w blasku księżyca. Tacy jak ona. A najgorsze, że śni o otchłani za rafą, o wieżach i komnatach miasta, które stało przez osiem tysięcy lat i będzie stało jeszcze przez osiemdziesiąt cztery. W te noce zmieniona i śpiąca Elizabeth Haskings nie może się okłamywać i udawać, że jej matka uciekła do Oregonu albo nawet że jej dziadek leży w grobie na cmentarzu Highland. W te noce ona nie boi się niczego.

## **Góra**

Fragmenty z dziennika Arthura Lakesa z poszukiwania szczątków kopalnych gadów i skamieniałości w Wyoming (czerwiec 1879)

## 25 maja

Ranek spędziłem na rysowaniu kości w [kamieniołomie] nr 3 i miejscu znalezienia ichtiozaura. Będąc sam w namiocie, za towarzystwo miałem jak zwykle susły. Wieczorem poszedłem wzdłuż torów na spotkanie ludzi wracających drezyną. Zawiadowca stacji Carlin [William Edward] zastrzelił jelenia, więc wieźli ze sobą tusze. Po kolacji zaczęły się opowieści o polowaniu, co skłoniło [William Hallowa] Reeda do wesołego snucia wielu historyjek o myśliwskich niepowodzeniach.

## 27 maja

Reed odkrył fragment szczęki zauropsyda z zębami roślinożercy w kamieniołomie nr 3. Tak więc pojechaliśmy drezyną, żeby ją obejrzieć. Było jakieś piętnaście centymetrów szczęki, ale dość zniszczonej i połączonej z częścią czaszki w wyjątkowo kruchym stanie. Widziałem parę jeleni w pobliżu kamieniołomu. Większość dnia spędziłem na kopaniu ziemi.

Na kolację jedliśmy jelenia, który okazał się delikatny i smaczny. Ze skrzyni na suche towary zrobiliśmy szafkę na próbki geologiczne. Dostrzegłem aksolotla [salamandra meksykańska, *Ambystoma mexicanum*] w zbiorniku z wodą. Reed opowiedział historię o tym, jak kiedyś znalazł połamane skrzypce w starym opuszczonym obozie w North Park. Połamane, ale kunsztownie wykonane. Znalazł również koce. Obozowicze musieli być zamożnymi ludźmi, prawdopodobnie napadniętymi przez Indian i zmuszonymi do pośpiesznej ucieczki. Albo zostali zmasakrowani i nikt więcej o nich nie usłyszał. Opowiedział również o znalezieniu szkieletu mężczyzny i jego strzelby w rozpadlinie. Przypuszczał, że ten człowiek zamarł na śmierć.

## 28 maja

Spędziłem rano na szkicowaniu urwisk z północnego brzegu jeziora [Como]. Krążą tam wielkie stada jaskółek amerykańskich, śmigają z pól albo skał tworzących brzeg jeziora lub wygrzewają się w piasku blisko wody. Warstwy na północy należą do tych samych geologicznych horyzontów i grup co w naszej bazie, czyli jurajskich i kredowych.

Reed wrócił z kamieniołomu nr 3 z wiadomością, że znalazł bardzo dużą kość ramienną. Jego ludzie odkryli ogromną łapę mięsożernego dinozaura, mocno wygiętą, ostrą i długą. Poszliśmy na brzeg jeziora przed zachodem słońca i zobaczyliśmy pizmaka hasającego w trzcinach. Para kaczek podleciała blisko brzegu, nieświadoma mojej obecności. Samica kwakała lubieżnie. Mógłbym rzucić w nie kamieniem! Dzika scena z płonącym blaskiem zachodu, tak daleko i samotnie na pustej prerii Wyoming. Kiedy ruszyliśmy z powrotem do obozu, z drugiej strony jeziora dobiegł wielce osobliwy huk, po którym nastąpiła kompletna cisza. Aż podskoczyliśmy ze strachu. Reed spekuluje, że to mogło być jeszcze nieznane zjawisko meteorologiczne, choć wcale mi nie brzmiało jak grzmot. Nie rozmawialiśmy o nim z innymi.



## 29 maja

Poszedłem do kamieniołomu w towarzystwie Reeda. Odkryłem spore fragmenty dwóch połączonych kręgów [krzyżowych allozaura] leżące pod kością ramieniową. Podczas kopania Reed pechowo trafił na małe źródło, które od razu zalało część wykopaliska. Woda brudna i oleista, prawdopodobnie ze względu na skład mineralny okolicznych warstw. Bardzo odpychający odór, jakby zbutwiałych roślin. Mam nadzieję, że nie będziemy zmuszeni opuścić kamieniołomu z jego powodu. Reed też znalazł trzy małe i nieco ściśnięte kręgi jakiś metr od kości ramieniowej. Wieczorem porządkowaliśmy jego szafkę ze skamieniałościami.

## **30 maja**

Dzień spędzony na kopaniu ziemi w nr 3. Wszelkie ślady zalania zniknęły, została tylko mała dziura, z której trysnęła woda i którą z największym pośpiechem zasypałem, żeby potop się nie powtórzył. Dziwny zachód słońca.

## 31 maja

Zauważyłem stado antylop, kiedy wracaliśmy do obozu. Reed myśliwy ruszył za nimi w pościg, podczas gdy ja szedłem dalej. Wkrótce usłyszałem huk strzelby i zobaczyłem go leżącego na prerii i strzelającego raz za razem. Ale nie w stado, które tymczasem zniknęło. Z lufy unosił się kłęb dymu, a ja nie mogłem dojrzeć jego celu. Zobaczyłem, że z miejsc, w które kule trafiały, wzbija się kurz. Po dwudziestu wystrzałach Reed jeszcze trochę leżał na trawie.

W drodze powrotnej drezyną zapytałem Reeda, co się stało z antylopami i do czego strzelał, skoro nie do nich. Ale on był niezwykle milczący i odmówił rozmowy na ten temat. Jednak parę minut później pokazał mi wyraźny trop o szerokości metra i długi na osiemset metrów, który, jak twierdził, zostawiły zające. Nie widziałem ich śladów, tylko trawę rosnącą w wyraźnej linii, różniącą się od reszty preriowej darni.

## **1 czerwca**

W namiocie czytałem Reedowi *Ślady stworzenia*. On od wczoraj mówi niewiele i wzdryga się na najmniejszy dźwięk. Nie pytałem go ponownie o antylopy.

## 2 czerwca

Zatrudniłem jeszcze jednego człowieka. Obserwowałem kojota skradającego się w szalwii, aż Reed go zastrzelił. Później znalazłem małe kości zauropsydów czterysta pięćdziesiąt metrów na zachód od nr 3. Były to małe kręgi wydrążone w środku, ale wypełnione węglanem wapnia. Również ząb mięsożernego dinozaura, o długości dwóch i pół centymetra. Po południu rysowałem nasz obóz. Ostatnie odkrycie Reed nazywa kamieniołomem nr 6. Nie jest taki niespokojny jak wczoraj, ku mojej uldze.

## 4 czerwca

Przyjechał profesor [Othniel Charles] Marsh, którego oczekiwaliśmy, i zjadł śniadanie z pracownikami stacji. Szybko zawarł ze wszystkimi znajomość. Po śniadaniu wyruszyliśmy drezyną, dużą grupą, z doczepionym wózkiem dla Marsha i dla mnie. Uroczy ranek, profesor Marsh bardzo rozbawiony wielką liczbą susłów, zajęcy i królików czmychających z torów, kiedy nimi pędziliśmy. Zatrzymaliśmy się najpierw w kamieniołomie nr 3 i zobaczyliśmy jeszcze większy wyciek ze źródła Reeda, jakbym go wcale nie zasypał! Wielkie rozczarowanie, a odór sto razy gorszy niż poprzednio. Profesor Marsh skonsternowany i wyraźnie rozgniewany, że przepadła kość biodrowa i ogonowa mięsożernego dinozaura, nawet gdy mu wyjaśniłem, że i tak były za bardzo zniszczone, by je wykopać. Oprócz opalizującej oleistej warstwy na powierzchni wody zobaczyliśmy żółtą pianę na obwodzie zalanego stanowiska.

Następnie udaliśmy się do naszego najnowszego odkrycia nr 6 w nadziei, że podniesie ono profesora Marsha na duchu. Po starannym zbadaniu kości profesor przeznaczył wiele z nich do zniszczenia jako zbyt niedoskonałe albo zbyt zwietrzałe, żeby je zachować i żeby ludzie Cope'a nie trafili na nie i nie wyciągnęli innych wniosków. Natomiast kości, które wzięliśmy za mocno powgniatane płytki kostne krokodyla, właśnie nimi się okazały. Profesor Marsh uważa, że jedna z nich może należeć do pterodaktyla, a mała centymetrowa szczeka do wczesnego ssaka. Luźny ząb również pochodził od krokodyla z dawno wymarłego gatunku.

Stamtąd znowu drezyną do kamieniołomu nr 4, który znajduje się na zboczu głębokiego wąwozu wyłobionego przez Rock Creek, jakie sześć i pół, osiem kilometrów na wschód od Como. Stanowisko zostało dobrze przebadane przez Reeda przed moim przyjazdem nad Como. Odsłonięto wiele dużych kości. W pobliżu tego kamieniołomu profesor Marsh znalazł niezwykle indiański fetysz albo kamienny artefakt, który mógł być, na pierwszy rzut oka, częścią posążku skrzydlatego demona jak z ilustracji Gustave'a Doré. Reed od razu zaczął się niepokoić i poradził profesorowi, żeby zostawić tę rzecz, jako że jej zabranie mogłoby rozgniewać Siuksów albo Czejenów, z którymi do tej pory nie mieliśmy kłopotów. Ale profesor Marsh uparł się, że znalezisko będzie cennym dodatkiem do zbiorów

Peabody'ego w New Haven, i wszystkie wysiłki Reeda nie były w stanie go przekonać. Profesor M. schował artefakt do kieszeni płaszcza. Znalazł również skamieniałego ślimaka w konkrecji między kamieniołomem a znajdującym się wyżej piaskowcem dakockim (kredowym).

Z krzaków w pobliskiej rozpadlinie nagle wyskoczył jeleń i popędził w górę zbocza. Reed, który akurat szedł z przodu, nie zauważył go początkowo, dopóki profesor do niego nie krzyknął. Usłyszawszy nas, Reed odwrócił się i strzelił. Zwierzę zostało trafione poniżej biodra, ale rana go nie zatrzymała. Reed oddał następny strzał, ale bez powodzenia. Jeleń zniknął po drugiej stronie grzbietu. Reed podążył za nim i tropił go [sic] przez godzinę po kroplach krwi, które, jak później twierdził, były „niewłaściwe”, ciemniejsze niż normalnie i cuchnące siarką. Profesor Marsh zasugerował, że zwierzę mogło pić wodę ze skażonej sadzawki w nr 6 [sic], ale to racjonalne wyjaśnienie nie uspokoiło nerwów Reeda. Znowu zaczął prosić profesora Marsha, żeby zostawił artefakt, i znowu bezskutecznie. Jedynie wprawił go w zły humor. Profesor zastanawiał się na głos nad sensem zatrudniania przesądnego zbieracza, który boi się indiańskich relikwów, co Reeda bynajmniej nie uspokoiło.

Skierowawszy uwagę z powrotem na kamieniołom, profesor Marsh stwierdził, że tamtejsze kości – ogonowe – należą do wielkiego zauropoda. Wróciliśmy do drezyny na lunch. Robotnicy kolejowi i nasza grupa przygotowała niezły piknik z wiktuałów rozłożonych na drugim wózku. Potem pojechaliśmy do kamieniołomu nr 1 i tam, leżąc na brzuchu albo poruszając się na łokciach i kolanach, wszyscy polowaliśmy na małe kości, a w nagrodę znaleźliśmy coś, co Marsh uznał za palec stopy pterodaktyla albo ptaka. To nadal nie poprawiło nastroju Reeda, stwierdzam ze smutkiem.

Po kolacji profesor M. raczył nas opowieściami o swoich poszukiwaniach trzeciorzędowych kości w pobliżu Fort Bridger. Reed jednak nie został w namiocie.

## 5 czerwca

Profesor M. postanowił zostać z nami kolejny dzień. Od razu po śniadaniu wyruszyliśmy nad jezioro, a kiedy tam dotarliśmy, pokazał nam małe skorupiaki [obunogi] wśród moczarek obficie porastających dno jeziora. Zatrzymaliśmy się w starym kamieniołomie znajdującym się na północnym brzegu, a Marsh bardzo się zainteresował średniej wielkości kością ogonową, którą tam odkopaliśmy. Profesor uważa, że należy ona do alozaura, i chce dalszych prac w tym miejscu w nadziei na nowe odkrycia podobnej wagi. Od jeziora ruszyliśmy torami na zachód do mostu nad Rock Creek, gdzie zeszłego sierpnia przestępcy próbowali wykoleić pociąg, usuwając szynę.

Nasza grupa przecięła wspaniałe wychodnie płowych i żółtych warstw kredowych i jurajskich, kiedy schodziliśmy do tej samej kotliny, gdzie obozowali owi desperaci. Ja rzuciłem uwagę, że to miejsce z pewnością dobrze nadawało się do ich celów. Usiedliśmy w cieniu topoli, które wtedy osłaniały bandytów: Marsh, Reed, Ashley [Edward], G.J. i ja. Kiedy gołębiaki, które miały tam gniazda, zaczęły latać w tę i z powrotem, udało mi się naszkicować tę sielską scenę. Zjedliśmy lunch pod drzewami, a rozmowa wkrótce zesła z planu bandy rozbójników, żeby wykoleić ekspres Union Pacific, na szczękę małego ssaka [*Dryolestes*], którą Reed znalazł u podstawy pobliskiego urwiska i która bardzo zainteresowała profesora Marsha. Wkrótce jednak Reed skierował rozmowę z powrotem na indiański artefakt znaleziony poprzedniego dnia w kamieniołomie nr 4. On nadal jest z niewyjaśnionego powodu bardzo poruszony i upiera się, że ściągamy na siebie takie czy inne nieszczęście, nie oddając talizmanu.

Nieoczekiwanie opowiedział również, aczkolwiek krótko, o dziwnym epizodzie z antylopami w ostatni dzień maja, ale odmówił podania jakichkolwiek szczegółów, twierdząc, że na prerii jest wiele zagrożeń, których nie rozumiemy, i dlatego lepiej nie być tak beztrojskim. Profesor Marsh wysłuchał go i zapytał, do czego strzelał tamtego dnia, ale Reed nabrał wody w usta i nie chciał odpowiedzieć. Oto człowiek szanowany, zaprawiony myśliwy, przewodnik i pracownik kolei, były żołnierz piechoty w armii unionistów, którego zawsze wysoko sobie ceniłem. I z pewnością nigdy nie dostrzegłem w nim tej nedorzecznej i szczerzej łatwowierności,



którą od kilku dni przejawiał. To on i naczelnik stacji pierwsi zawiadomili Marsha o kościach gigantycznego zauropsyda nad Como. Nie można było nie dostrzec lęku w oczach profesora Marsha. W każdym razie jest jasne, że nie rozstanie się on z ciekawym reliktem, który, muszę przyznać, nie jest przyjemnym widokiem, podobnie jak wiele fetyszy czerwonoskórych, ale nie jest również powodem, żeby zachowywać się jak Reed.

Po odwiedzeniu kilku innych obiecujących wychodni trafiliśmy na szczękę z małymi karbowanymi zębami przywodzącymi na myśl iguanodona.

Po kolacji Ashley zwrócił uwagę na niezwykle halo wokół księżyca (trzy noce po pełni), świecącego niemal na czerwono, i wzbudził ciekawość profesora Marsha, który zasugerował, że może to zapowiadać burzę piaskową. Reed nie spojrzał na księżyc ani nic nie powiedział.

## 6 czerwca

Z przyjemnością donoszę, że Marsh postanowił zostać z nami jeszcze kilka dni, zanim wyruszy do wschodnich stanów. Wróciliśmy do nowego odkrycia, które prawdopodobnie jest laozurem. W odizolowanym zagajniku niedaleko tego stanowiska rosną trzy jodły, więc ochrzciliśmy je Kamieniołomem Trzech Drzew. Wiatr wieje mocno – co zdaje się potwierdzać prognozę profesora – a z każdym uderzeniem kilofa podmuchy oślepiają kurzem i żwirem. Udało się nam jednak wykopać ładną kość udową i parę innych przed powrotem do obozu. Zachowanie Reeda zaczyna działać mi na nerwy i śmiem twierdzić, że nam wszystkim.

## **7 czerwca**

Pogoda wietrzna jak wczoraj. Wiało tak mocno, a pył tak się dawał we znaki, że ku rozczarowaniu profesora M. byliśmy zmuszeni wcześniej skończyć pracę. W obozie ludzie wyprali ubrania. Dostaliśmy wieść o wielkim strajku i towarzyszącym mu poruszeniu w kopalniach North Park. Reed napomknął, że chciałby tam pojechać zamiast zostać z nami, co bardzo rozgniewało Marsha.

## 9 czerwca

Trzydzieste pierwsze urodziny Reeda. Wykonałem mały kolorowy rysunek jeziora i otaczających je urwisk, żeby po powrocie do Nebraski postawił go sobie na szafce ze skamieniałościami dla upamiętnienia swoich znalezisk, trudności, którym stawiał czoło, i własnej pracowitości. Ja pierwszy zaświadczę, że Bill Reed jest świetnym dowodem na to, że edukacja nie ogranicza się do tych, którzy chodzili na uniwersytet, ale wiele może się nauczyć bystry umysł, który ma okazję do pilnej obserwacji.

Co tym dziwniejszym czyni jego nieustający upór, że artefakt Marsha z kamieniołomu nr 4 stanowi jakieś niewypowiedziane zagrożenie dla naszej grupy. Posunął się nawet do tego, że zaproponował odkupienie fetyszu, żeby odłożyć go na miejsce, gdzie został znaleziony. Coraz częściej mówi zagadkami, co mnie niepokoi, a profesor przyjmuje wobec niego zdecydowanie wojowniczą postawę, za którą nie mogę go winić.

Wróciliśmy do wykopalisk, gdzie znaleźliśmy tego dziwnego małego laozaura. Jego kości są wydrążone, a za życia musiał wyglądać podobnie do kangura, choć z nieproporcjonalnie małą czaszką jak u jaszczurki. Jego pazury mają dobre dwa i pół centymetra długości, a Marsh uważa, że on sam musiał mieć trzydzieści metrów.

Nasze prace były znowu bardzo nieprzyjemne z powodu wichury, która nanosiła kłęby oślepiającego pyłu równie szybko, jak my odsłanialiśmy kości. Porywała w powietrze cząsteczki suchej gliny, a oprócz tego nasze papiery, książki, materiały do pakowania, tak że traciliśmy czas na uganianie się za nimi po urwiskach z piaskowca. Mimo to walczyliśmy uparcie i zawzięcie i zostaliśmy nagrodzeni odsłonięciem wielu kości. Narysowałem je *in situ*, choć z wielką trudnością, bo wiatr omal nie wyrywał mi notatnika z rąk i wciąż oślepił mnie kurzem. Wcześniej ruszyliśmy do obozu, bo w końcu mieliśmy dość. Reed pracował ciężko, ale bezustannie mamrotał o North Park, artefakcie i burzy będącej omenem. Obawiam się o jego zdrowie psychiczne. Może byłoby lepiej, gdyby wyjechał.

## 10 czerwca

Mimo burzy pyłowej udałem się ponownie do Trzech Drzew i znalazłem więcej kości. Reed wrócił do obozu przed nami. Kiedy zasugerowałem, że może spróbować ukraść artefakt, Marsh wyjął go z kieszeni, zapewniając mnie, że to mało prawdopodobne.

Wszyscy wróciliśmy do obozu około południa, kiedy na horyzoncie zamajaczyły ciężkie chmury. Spuściły one grad wielkości kurzych jaj, lecz przez cały ten czas kurz i tak był nawiewany. Huczały pioruny, niebo przecinały błyskawice, ale nie było deszczu. Grzmoty i bębnienie gradu spotęgowały w nas poczucie osamotnienia. Znalazłem Reeda w namiocie bliskiego łoża; został złajany przez profesora M. Pokłócili się, schroniłem się w jednym z wozów.

O zachodzie słońca burza w końcu ustała, wreszcie zabierając ze sobą pył. Przed kolacją zabiłem kamieniem dużego zająca, ale okazał się on tak zdeformowany, że przykro się na niego patrzyło. Przezornie nie pokazałem go Reedowi, bo oczy zwierzęcia miały taki sam oleisty połysk jak woda zalewająca opuszczony teraz nr 3. Nie sprawiłem zdobyczy, bo od razu oceniliśmy, że nie nadaje się ona do zjedzenia. Mimo tego ponurego wydarzenia poczułem wielką ulgę, że burza odeszła, a noc jest spokojna i wolna od wyjącego wiatru.

## 11 czerwca

Ostatniego wieczoru doszło w obozie do nadzwyczajnego i niesamowitego zdarzenia, które w najgorszy możliwy sposób potwierdziło największe obawy Reeda i pozostawiło naszą grupę w stanie zamętu. Profesor M. wyruszył na stację Como i przysiągł nigdy nie rozmawiać o tej sprawie. Poprosił nas o to samo, a ja jestem pewien, że nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że piszę o owym wydarzeniu, choć robię to tylko dla własnej pamięci. Tego, czego byliśmy świadkami, nie chcę zapomnieć mimo całej potworności, jako że incydent wskazuje na istnienie świata całkowicie nieprzeniknionego dla naszego umysłu i jeszcze bardziej odległego niż minione wieki i ich fauna odkrywana na naszych wykopaliskach.

Gdy pogoda się poprawiła, wyruszyliśmy wczesnym rankiem o w pół do szóstej do miejsca znalezienia laozaura. Reed nam nie towarzyszył, bo skarżył się na ból głowy i poprosił o wolne. Marsh, Ashley i ja spędziliśmy rano na kopaniu i zostaliśmy nagrodzeni kością biodrową i większą częścią ogona bestii. Słońce było jaskrawe, niebo czyste, bez jednej chmury. Ale po lunchu od jeziora dobiegł hałas, niemal identyczny jak kakofonia, którą dwudziestego siódmego maja po południu Reed i ja słyszeliśmy nad Como. Dopiero wróciliśmy do pracy przy usuwaniu warstwy twardej gliny, w której mieliśmy nadzieję odsłonić kości dinozaura, kiedy powietrze przeszył grzmiący okrzyk, a ja powiedziałbym, że omal go nie rozdarł. Przerwaliśmy pracę i siedzieliśmy jak skamieniali, nasłuchując, czy dźwięk się powtórzy. Wyznam, że na rękach wystąpiła mi gęsia skórka i podniosły się włoski na karku. Marsh spojrzał na wschód, w kierunku, z którego, jak się zdawało, dobiegł dźwięk, a Ashley wpatrywał się w swoje buty. Po jakimś czasie Marsh odwrócił się do mnie wyraźnie zaniepokojony. Zapytał, czy znam źródło tego łoskotu, a ja od razu powiedziałem, że nie, ale dodałem, że słyszeliśmy go raz przy innej okazji. Profesor siedział, masując brodę i mrużąc do siebie przez kilka minut, po czym wzięliśmy się na nowo do pracy – choć już bez wcześniejszego entuzjazmu. Do obozu wróciliśmy, nie odsłoniwszy więcej kości stworzenia podobnego do iguanodona.

W obozie zastaliśmy Reeda kłócącego się z Carlinem i kucharzem. Ten ostatni, jak się dowiedzieliśmy, oskubał na kolację kilka bażantów [*Centrocercus urophasianus*], piękne samce. Już wspomniałem, że niektórzy w obozie nie lubią dzikiego ptactwa, częściowo z powodu uprzedzeń, a częściowo z powodu ich silnego szałwiowego zapachu. Jednakże Carlin był wściekły nie przez te obiekcje, ale wrzeszczał, trzymając jednego z oskubanych ptaków za skręconą szyję i nim wymachując. To był widok. Przez cały czas – choć Carlin próbował go uspokoić – Reed krzyczał, że miejsce, skąd pochodzą ptaki, jest zatrute i musimy ograniczyć nasze posiłki do suchych i puszkowanych rzeczy. Kiedy dołączyliśmy do Carlina, żeby spróbować uspokoić Reeda, głowa bażanta rozstała się z ciałem i korpus pofrunął do jednego z namiotów. Wtedy zobaczyłem, że rzeczywiście krew ptaka ma taki sam niezdrowy połysk, jaki zauważyłem w oczach zająca. Od razu zgodziliśmy się z Reedem i to w końcu ułagodziło go do pewnego stopnia, choć nie całkowicie. Profesor M. polecił kucharzowi zakopać bażanty daleko od obozu. Reed zniknął i spędził następną godzinę samotnie w namiocie, podczas gdy Carlin, Ashley, Marsh i ja rozmyślaliśmy nad możliwym źródłem skażenia, aż w końcu doszliśmy do zgodnego wniosku, że musiało ono pochodzić od minerałów przenikających do tutejszych wód gruntowych, co po raz pierwszy zostało zaobserwowane, kiedy Reed dokopał się do źródła, które zalało kamieniołom nr 3 ponad dwa tygodnie temu. Stwierdziliśmy, że musimy niestety – jak radził Reed – jak najszybciej wysłać człowieka do Medicine Bow po dodatkowe zapasy. Wtedy Marsh oznajmił, że zamierza nas opuścić następnego dnia, a ja nie mogę powiedzieć, żebym był zaskoczony.

Mówiłem, że wydarzenia, które nastąpiły po zachodzie słońca, były nadzwyczajne i niesamowite, ale bardziej zgodne z prawdą byłoby określenie „niewytłumaczalne”, jako że nie potrafię sobie wyobrazić, by nauka kiedykolwiek zdołała je wyjaśnić.

Po zachodzie słońca i kolacji siedzieliśmy wokół ogniska z drugim dzbankiem kawy. Nie pogodziliśmy się z niemiłą perspektywą suchych posiłków mimo naszych obaw co do wody, choć może powinniśmy. Nikt nie wyczuł w niej jakiegoś niezwykłego smaku. Reed dołączył do nas, ale siedział trochę z boku ze swoją strzelbą na kolanach (i odmówił kawy), podczas gdy reszta z nas rozmawiała głównie o rychłym powrocie profesora na wschód, ale również o laozaurze i widokach na znalezienie

kolejnych szczątków pierwotnych ssaków. Mówiliśmy również o ruchach kawalerii i kłopotach z Indianami. Trzeba nadmienić, że profesor M. żywił wielką sympatię dla tej nacji niezależnie od niebezpieczeństwa, jakie stanowiła ona dla jego zbieraczy.

Nasz drugi dzbanek kawy się skończył. Ashley poszedł do łóżka. Carlin wyjął swoją drumlę, która tak często dostarczała nam rozrywki. Zdążył zagrać kilka melodii, kiedy nocna cisza ogarnęła obóz. Reed pierwszy zauważył nieobecność zwykłych nocnych dźwięków: kojotów, sów i innych nocnych ptaków, do których się przyzwyczailiśmy. Carlin przestał grać i stało się oczywiste, że Reed miał rację. Nie było nawet tchnienia wiatru, który poruszyłby trawą albo płótnem naszych namiotów i wozów. Była to cisza niesamowita i deprymująca po dziwnym dniu.

Myślę, że nikt nie był ani trochę zaskoczony, kiedy Reed znowu poprosił Marsha, żeby pozbył się artefaktu, aż w końcu się o niego pokłócili. Profesor pozostał nieugięty w swojej decyzji, żeby rzekomo straszny przedmiot znalazł się bezpiecznie w zbiorach Yale. Nie mogę go winić za upór, że tak osobliwe znalezisko powinno być zbadane i zachowane. Ale Reed zaklął i splunął w ogień, co, jak sądzę, wszyscy zrozumieliśmy tak, że splunął na samego Marsha. Następnie poszedł, mamrocząc, w najdalszy koniec obozu.

W tym momencie Carlin wskazał na niebo, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, a my zdążyliśmy go spytać, Reed uniósł strzelbę i oddał dwa strzały w ciemność, wrzeszcząc głośno na coś, co najwyraźniej zobaczył, ale co pozostawało niewidoczne dla pozostałych. W jednej chwili zerwaliśmy się na równe nogi, a ja wyciągnąłem colta, spodziewając się, że obóz zostanie zaatakowany przez jakieś zwierzę, czerwonoskórych albo bandytów.

I wtedy z ciemności wyszła kobieta albo wydawało się raczej, że noc się rozsunęła jak kurtyna teatralna. Reed opuścił strzelbę i cofnął się o kilka kroków. Nazywam ją kobietą, ale w rzeczywistości chętnie przyznaję, że jest to jedynie przybliżenie, najlepsze słowo, jakie znam, żeby opisać to, co stało przed nami. Tak więc będę używał określeń „ona”, „jej” i „kobieta”, bo z pewnością żadne inne bardziej nie zbliżyłyby się do prawdy. Kobieta wyszła z ciemności i zrobiła tylko jeden krok w naszą stronę. Jej ruchy były tak powolne, gładkie i wdzięczne jak lwa czającego się do skoku na zdobycz, co nie znaczy, że wyglądała, jakby szykowała się do ataku, bo z pewnością nie odniosłem takiego wrażenia. W tamtej chwili miałem wiele



sprzecznych wrażeń i nie potrafię wyjaśnić, jakie uczucia ta istota we mnie wzbudziła. Potem – choć nie rozmawialiśmy wiele o niej i o tamtych wydarzeniach – przekonałem się, że moi towarzysze czuli mniej więcej to samo.

Stała przed nami, a jej skóra i włosy były białe jak świeży śnieg. Żadna skaza nie kalala tej bieli, a ja przysięgam, że samo patrzenie na nią wypalało wzrok. Jej błękitne oczy jarzyły się jak rozświetlone wewnętrznym blaskiem, jakby w jej czaszce płonął ogień. Wyraźnie nie była Indianką, nawet albinoską tej rasy. Jej ręce i nogi wydawały się nieproporcjonalnie długie w stosunku do ciała, tak że ta istota musiała mieć grubo ponad dwa metry wzrostu, dużo więcej niż każdy z nas. Patykowatość rąk i nóg nadawała jej nieco owadzi wygląd. Kobieta była zarówno groteskowa, jak i niewyobrażalnie piękna, niczym zjawą wymyślona przez pana Poego, ale jednocześnie wspaniała jak olimpijska bogini, jak tyle aspektów natury. Lecz nic, co widziałem w czasie wszystkich moich wypraw i badań, nie przygotowało mnie na jej widok. Nie miała na sobie żadnego ubrania ani włosów oprócz tych na głowie. Powiem jednak, że w najmniejszym stopniu nie czułem cielesnego podniecenia, bo widok był zbyt [sic] dziwny, żeby pozwolić na taką reakcję.

Profesor Marsh zawołał do niej nieco drżącym głosem. Nigdy wcześniej nie widziałem go poruszonego, ale było jasne, że teraz jest wstrząśnięty. Kobieta przekrzywiła głowę w bok, jakby przyglądała mu się z wielką ciekawością. On zawołał do niej ponownie, ale ona nie odpowiedziała, a ja podejrzewam, że albo nie mówiła po angielsku, albo była niema, może nawet głucha.

I wtedy przypadkiem spojrzałem w górę, wspomniawszy, jak Carlin wskazał na niebo tuż przed jej pojawieniem się (choć zastanawiałem się nad możliwością, że ona przez jakiś czas stała poza zasięgiem światła naszego ogniska). Zobaczyłem to, co on wcześniej zobaczył, i na Boga, wolałbym tego nie robić. Nad nią górował, jak topole górują nad kamieniami – taka to była skala – niewyraźny cień, który przesłaniał gwiazdy. Kobieta zjawiała się od południa i wydawało się – ośmielałem się to napisać tylko dlatego, że tych stron nikt nie przeczyta – jakby stała tam jakaś tytaniczna postać, zasłaniając gwiazdy i księżyc. Nie było chmur, bo jestem pewien, że zaledwie sekundy wcześniej gwiazdy świeciły jasno na czystym letnim niebie. Później, w czasie naszej pośpiesznej dyskusji, niechętnie się zgodziliśmy w tej kwestii, jednej z niewielu, w których mieliśmy podobne

zdanie. Ogrom tego zaćmiewającego kształtu niemal przekraczał zdolność pojmowania, a kiedy na niego patrzyłem, mogłem odróżnić bardzo niewyraźne sylwetki, i zauważyłem również, że to coś przemieszczało się odrobinę z boku na bok, trochę podobnie jak człowiek przestępujący z nogi na nogę. Zanim moje oczy z powrotem przyciągnęła kobieta, zastanawiałem się, jak taka potworność mogła się poruszać, nie powodując trzęsień ziemi, które zawstydziłyby najstraszniejsze morskie sztormy.

Wtedy Reed powiedział profesorowi Marshowi, że wszyscy wiedzą, po co ona przyszła, i że wszyscy jesteśmy zgubieni, jeśli ta rzecz nie zostanie bezzwłocznie zwrócona. W odpowiedzi Marsh upomniał go najostrzejszymi słowami, jakie kiedykolwiek słyszałem z jego ust, ale Reed nie zawahał się w swoim przekonaniu. Podniósł głos tak, że nabrał on tonu prawdziwej hysterii. Do tego wycelował strzelbę w profesora Marsha.

Kobieta wyciągnęła lewą rękę, jakby chciała potwierdzić słuszność żądań Reeda. Zamrugała kilka razy, a mnie przyszły na myśl błyski latarni morskiej.

Reed odciągnął kurek winchestera, a wtedy ja wyjąłem rewolwer i wycelowałam go w kobietę. Nie miałem nadziei jej zabić, rozumiejąc na pewnym poziomie, że taka wyjątkowa istota jak ona nie zginie od zwykłej kuli, podobnie jak cień za nią, ten ogromny, niebosięzny byt istniejący nieskończenie daleko poza ludzkim rodzajem. Nie umiem teraz powiedzieć, dlaczego wycelowałem w nią swojego colta, poza tym, że ludzie mają zwyczaj uciekać albo usiłować odeprzeć to, co zamierza ich skrzywdzić. A było jasne, że każda próba ucieczki jest daremna.

Carlin się nie poruszył, Ashley wyszedł ze swojego namiotu, dołączyło do nas również kilku mężczyzn. Nikt nie wypowiedział ani jednego słowa. Otaczała nas cisza tak głęboka, że mogłaby zawstydzić tę, która musiała istnieć w wiekach przed Stworzeniem. Kobieta spuściła głowę, nie odrywając od nas niesamowitych błękitnych oczu, a ja uświadomiłem sobie, że ona patrzy na profesora Marsha. Reed ostrzegł, że nie poprosi znowu i że następna przemówi jego strzelba. Kazał Marshowi oddać artefakt.

Marsh przeklął Reeda i przeklął bladą kobietę. Myślę, że nie zauważył majaczącego nad nią cienia, i z pewnością dobrze się stało. Życzył im obojgu wiecznego potępienia i przysięgł, że wyśle Reeda do więzienia, ale sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej figurkę. W blasku ognia wydała mi się jeszcze straszniejsza niż wcześniej. Opuściłem rewolwer

i uświadomiłem sobie, że chyba przez całą minutę nie nabierałem powietrza.

Marsh znowu przeklął kobietę, wyrzucając z siebie słowa z wielką gwałtownością; drzenie całkiem zniknęło z jego głosu. Wyciągnął przed siebie artefakt, a kobieta się uśmiechnęła. Nie podejmę żadnych wysiłków, żeby opisać ten uśmiech. Lepiej go zapomnieć, choć wiem, że będzie mnie prześladował w snach przez resztę życia.

Profesor Marsh powiedział jej, żeby podeszła i wzięła figurkę, i gdybym kiedyś miał opowiadać komuś o tamtej nocy, przysięgłbym przed sądem, z ręką na Biblii, że prawdą jest to, co wydarzyło się następnie. Rzeźbiony posążek, który przypominał mi jednego z upadłych aniołów Dorégo, zniknął z ręki Marsha i pojawił się w jej dłoni. Między jednym a drugim nie minął nawet ułamek sekundy. Profesor krzyknął i złapał się za rękę, w której wcześniej trzymał pogańskiego bożka (teraz właśnie tak o nim myślę, jako o czymś, czemu oddawała cześć kobieta, która nie mogła być kobietą). Rano dowiedziałem się, że we wnętrzu dłoni Marsha jest odmrożenie nie większe od złotej dolarówki z głową Indianina.

Kobieta zamknęła palce wokół obiektu swojego pożądania i wydawało się, jakby rozplynęła się w ciemności. Spojrzałem na południowe niebo, a ta przeklęta sylwetka nadal tam była. Majaczyła nie wiadomo jak długo, ale dostatecznie długo, żeby wszyscy ją zobaczyli (z wyjątkiem Marsha, który był zbyt zajęty swoją odmrożoną ręką). Potem zniknęła bez najmniejszego dźwięku. Nie wiem, jakim cudem kroki tych istot nie wstrząsały ziemią, tak jak musiały, według profesora Marsha, wprawiać ją w drgania stąpania potężnego zauropoda. Wyglądało to tak, jakby nienaturalne zaćmienie po prostu rozwiało się bez śladu. Gwiazdy i księżyc wróciły, noc wkrótce znowu wypełniły zwykłe odgłosy: wycie kojotów, pohukiwanie sów, szum wiatru przeczesującego preriowe trawy, cykanie świerszczy. Zrozumiałem wtedy, że to naprawdę był tylko cień, podobny do rzucanego przez górę, za którą zachodzi słońce, ale nie odważyłem się zastanawiać, co mogło go rzucać.

Reed siedział na ziemi z winchesterem w rękach i płakał. Carlin poszedł do koni, które były dziwnie ciche przez całą wizytę kobiety. Dopiero długo po północy udaliśmy się na swoje posłania. Ja nie zasnąłem. Nie mogę mówić za innych. Nigdy jeszcze nie byłem tak wdzięczny za świt.

## **15 czerwca**

Po wyjeździe profesora Marsha Reed wyruszył do North Park, żeby tam poszukać szczęścia albo nieszczęścia, które na niego czekało. Mówił, że jego dni jako zbieracza kości się skończyły. Ale cała reszta postanowiła, ku mojemu zaskoczeniu, zostać, więc wznowiliśmy prace w Trzech Drzewach i odsłoniliśmy jeszcze więcej szczątków laozaura. Żaden z nas nie mówił o wydarzeniach z tamtej nocy. I pewnie żaden z nas nigdy nic nie powie. Jednak co noc walczę ze strachem i wciąż zerkam w stronę gwiazd, spodziewając się, że zobaczę ich zaćmienie, ale przez co, tego nigdy nie będę w stanie stwierdzić.

## **Miłość jest zakazana, my kraczemy i wyjemy**

Oto scena: godzina po zmierzchu w noc pełni księżyca, a więc czerwcowy wieczór, godzina i trochę, ostatni zakręt rzeki Castle Neck przed ujściem, słonymi bagnami i łachami piasku, które z kolei są znane jako Essex Bay i port Innsmouth. Lovecraft nazywał tę rzekę Manuxet, ale to nigdy nie była jej prawdziwa nazwa, tylko jakiś zlepek z algonkińskiego: *man*, czyli wyspa, połączone ze słowem *uxet*, „w najszerszym miejscu rzeki”. Niedokładny, bo Castle Neck rezygnuje tutaj z udawania rzeki i jest tylko labiryntem niemrawych, płytkich strumieni, trzęsawisk, nieprzebytych połączeń bagien, wydm i gęsto zalesionych wysepek przed Essex Bay (to znaczy przed Innsmouth). Tej nocy w czerwcu tysiąc dziewięćset dwudziestego księżyc w pełni właśnie wychynął zza horyzontu i świecił, niski i czerwony, na Atlantyk za Ipswich Bay. Mężczyźni i kobiety nieznanymi podupadłego portu morskiego Innsmouth ten księżyc mógłby przyprowadzić o dreszcze. Mógłby skłonić ich do odwrócenia wzroku, bo wyglądał jak oko jakiegoś boga łypiące na świat, któremu zamierza spłatać figla. Jednak osobliwi mieszkańcy portu napawają się takimi nocami. Rozbierają się i płyną w zimnej wodzie do niskiego granitowego grzbietu Diabelskiej Rafy i przy blasku księżyca baraszkują z istotami, którymi sami się kiedyś staną w wyniku powolnej metamorfozy. Tak wyglądała sytuacja, kiedy kapitan Obed Marsh wrócił z mórz południowych w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym (możliwe, że nawet w tysiąc osiemset dwudziestym) na „Sumatra Queen” z nowymi perspektywami dla chorego miasta oraz z darem transcendencji i wiecznego życia dla wszystkich. Wrócił, żeby głosić ewangelię Ojca Dagona i Matki Hydry...

Ale to nie jest lekcja geografii ani historii, tylko coś innego.

Niektórzy powiedzieliby, że to historia miłosna. W porządku, zostanmy przy tym określeniu, choćby dla wygody. Niektórzy posunęliby się do analogii z *Romeo i Julią* Szekspira, choć takie porównanie niepotrzebnie i niestosownie przydałoby sentymentalizmu temu, co ma nadejść.

Dawno temu był sobie ghul, który zakochał się w córce portu Innsmouth. Delikatnie mówiąc, jej rodzice nie uznaliby tego za akceptowalny stan rzeczy. Dziewczyna miała któregoś dnia zstąpić w otchłanne głębiny, by poznać splendor Y'ha-nthlei o wielu iglicach, daleko za płycznami Jeffreys Ledge. Mogła mieć szczęście dobrze wyjść za mąż, może nawet wziąć sobie kogoś spośród ziemnowodnych Głębinowych, którzy zamieszkiwali tamto miasto, albo chociaż dobrego i niegdyś ludzkiego wyznawcę Obrządku Ezoterycznego. Miała się przystroić ni mniej, ni więcej (i nic więcej) w fantastyczne diademy częściowo ze stopu złota, bransolety, łańcuszki na kostkę, wisiorzy z nieoszlifowanymi rubinami, szmaragdami, szafirami i diamentami. Jacy troskliwi rodzice nie byłiby zaniepokojeni, gdyby ich jedyna córka równie głupio wyrzekła się cennego dziedzictwa, a wszystko z miłości do tak nisko urodzonej i nikczemnej istoty jak ghul?

Nazwisko tej dziewczyny brzmi (albo brzmiało, jeśli nie podobają się wam zmiany czasu) Elberith Gilman, a tamtej nocy minęło kilka miesięcy od jej szesnastych urodzin. Prawdopodobnie od dawna jest zaręczona i tylko czeka na dokończenie przemiany.

Ghul nie ma imienia, które dałoby się wymówić w jakimkolwiek ludzkim języku. Ze swoim małym plemieniem spędza dni w rozpadających się tunelach pod cmentarzem Old Hill, o sklepieniach z roztrzaskanych trumien, od dawna pustych, z korzeni starych dębów i choin. W przeciwieństwie do Elberith ghul nie mógł wiele oczekiwać oprócz kilku świeżych trupów tu i tam, zucia suchych kości pozbawionych resztek szpiku, gderliwego towarzystwa swojego podłego gatunku. Możliwe, że gdyby któregoś dnia spotkało go wielkie szczęście, mógłby zstąpić do podziemi Świata Snów i zamieszkać wśród szczytów Thok nad dolinami Pnath (zasłanymi miliardami szkieletów), gdzie najsłynniejszym ghulom nigdy nie brakuje najbardziej soczystych zgniłych trupów.

Niemal rok przed tą nocą ghul po raz pierwszy wyszedł z tuneli – co jego rasa rzadko robi – i skradał się niemal jedenaście kilometrów przez pola, lasy i moczary do miasta Innsmouth. Ponieważ jest on niezwykle rodzajem ghula skłonny do fascynacji, ciekawości i obsesji niezupełnie

zdrowych dla podziemnych istot, które mądrze unikają okrutnego blasku słońca. Słyszał plotki o porcie morskim i jego dziwnych mieszkańcach, o pakcie, który zawarli z nieśmiertelnymi istotami, nie będącymi ani żabami, ani rybami, ale uderzająco (niektórzy powiedzieliby, że zawstydzająco, a nawet mdląco) podobnymi do jednych i drugich. Bardzo pragnął sam zobaczyć te stworzenia. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby ktoś za nim tęsknił, bo większość jest skupiona na swoich własnych makabrycznych sprawach. Z pewnością mógł uniknąć ludzkich oczu i wrócić przed świtem. Tak więc wspinał się po czterdziestu siedmiu stopniach do mauzoleum i drzwi z brązu, które prowadziły do zakazanego Świata na Górze.

Tamtej nocy, kiedy księżycowi brakowało jeszcze kilku nocy do pełni, Elberith poszła z matką, ojcem i trzema siostrami (wielką tragedią w życiu jej ojca było to, że nie miał synów) na nocną mszę w Sali Dagona w New Church Green, tym samym budynku, w którym kiedyś mieściła się świątynia masońska. Razem z rodziną i innymi mieszkańcami należącymi do wspólnoty Obeda Marsha chrapliwym głosem zanosiła grzechoczące, bulgoczące hymny do Ojca, Matki i Wielkiego Cthullu. Bardzo lubiła śpiewać hymny i, tak się składa, podobno miała jeden z najlepszych głosów w Innsmouth. Po mszy poszła na spacer nabrzeżem z rodziną swoją i pana Zebidiah Waite'a, rozkoszując się błotnistym odorem wyjątkowego i nieoczekiwanego odpływu. Była prawie północ, kiedy Gilmanowie w końcu wrócili do swojego przechylonego i dość zniszczonego domu przy Lafayette Street.

Nigdy wcześniej ghul nie wyobrażał sobie takich cudów – niemal nie do pojęcia dla kogoś, kto spędził życie w ciemności pod cmentarzem – jak brukowane ulice, światło lamp gazowych, blask świec w oknach, kamienne i ceglane kominy, iglice, tarasy na dachu, georgiańskie kopuły, trochę zardzewiałych samochodów zaparkowanych tu i ówdzie. Ghul nie mógł oczywiście dostrzec wszystkich znaków opuszczenia i zaniedbania na ulicach i w zaułkach Innsmouth, bo nie miał punktów odniesienia. Nawet okna i drzwi zabite deskami wydawały mu się produktem zadziwiających umiejętności. Równoległe linie porzuconych torów i słupy telegraficzne bez drutów, dawno zerwanych w czasie tego czy innego huraganu, były świadectwem starannych kalkulacji i błyskotliwości, których istnienia nigdy nie podejrzewał. Ghule znają Świat w Dole i wiedziały niewiele ponadto. Jego uczono, że szukanie czegoś więcej jest obłożone klątwą,

gdyż taki akt z pewnością byłby obrazą dla bogów, którzy strzegli pożeraczy trupów.

Zbiegiem okoliczności postanowił kucnąć pod oknem sypialni Elberith Gilman. Większość Lafayette Street była ciemna i opustoszała (co, o ile ghul wiedział, było stanem normalnym w każdym mieście), więc żółtopomarańczowy blask w oknach jej domu oczywiście przyciągnął jego uwagę. Może zatem nie był to zbieg okoliczności, a wręcz przeciwnie. Może była to nieuchronność, która tak często towarzyszy ciekawości. Ciemność i cienie były znajome dla ghula, oświetlone okna czymś nowym. Przycupnął na skrawku zachwaszczonych ziemi pod gałęziami czarnego bzu i uważnie słuchał całkiem zwyczajnych – choć on o tym nie wiedział – odgłosów Elberith czytającej w łóżku. Z uchem przytkniętym do zniszczonych szarych desek chłonał każdy dźwięk. Ale dopiero kiedy usłyszał skrzypienie sprężyn materaca, dopiero kiedy światło w pokoju zgasło, zebrał odwagę, by stanąć na zakończonych kopytami kudłatych tylnych nogach i zajrzeć przez szybę.

Tak się złożyło, że Elberith jeszcze nie zamknęła oczu, a tym bardziej nie odpłynęła w swoje zwykłe, słodkie, miłe sny o bioluminescencyjnych tarasach i mulistych dziedzińcach Y'ha-nthlei albo bezimiennego podwodnego miasta na Morzu Środkowym Krainy Snów, które leży w cieśninie między Dyath-Leen a Oriab. Kiedy ghul zaczął cicho stukać i drapać w szybę, z początku wzięła to za gałęzie czarnego bzu poruszane przez wiatr. Ale potem stukanie stało się bardziej natarczywe, a ona usłyszała w nim zarówno celowość, jak i wzorzec, którego nie można przypisać wiatrowi i gałęziom. Wstała więc i podeszła do okna. Napotkała szkarłatne oczy ghula patrzącego na nią z mokrym nosem przyciśniętym do szyby i w pierwszej chwili przeraził ją ten potworny widok, tak że omal nie zawołała ojca, któremu nadal ufała, że uchroni ją przed wszystkimi złymi duchami i goblinami włączającymi się po nocach.

Widząc jej urodę, kolejną rzecz całkowicie obcą ghulom, niezamierzenie – albo przynajmniej bez namysłu – wydał z siebie krótkie szcęknięcie i kilka słów zdumienia. Oczywiście Elberith nie mówiła językiem ghuli, więc dla niej był to tylko gardłowy jazgot, jaki mogłaby usłyszeć u zwierzęcia. Nie cofnęła się jednak ani nie krzyknęła. Odwzajemniła spojrzenie, a ghul zastukał w szybę jeszcze kilka razy.

– Jeśli zamierzasz zrobić mi krzywdę, dlaczego po prostu nie rozbijesz szyby i nie wpełzniesz przez parapet? – zapytała głośno Elberith.



Jako że ghul nie znał ludzkiego języka ani nawet języka tych, którzy ewoluowali w coś, czego już nie można było uznać za ludzi, pytanie znaczyło dla niego nie więcej niż jego słowa dla niej.

Lingwiści nazwaliby tę niefortunną sytuację barierą językową.

– Zrobiłbyś to, prawda, gdybyś chciał mnie skrzywdzić? – dopytywała się Elberith Gilman. – Zrobiłbyś, a ja już byłabym zamordowana i na wół pożarta.

Dostrzegłszy brak strachu w głosie dziewczyny, ghul uniósł brwi i skrzywił krótki pysk w grymasie, który wśród jego pobratymców uchodzi za uśmiech. Elberith skrzywiła się odrobinę na widok rzędów krzywych poźółkłych zębów, mocnych kłów jak u wilka albo czarnego niedźwiedzia. Odważnie przycisnęła otwarte dłonie i wyprostowane palce do szyby, a ghul oczywiście wziął to za powitanie. W odpowiedzi zrobił to samo, choć jego ręka nie była nawet w jednej setnej tak jasna jak jej, a pazury niechętnie stuknęły głośno o szkło.

– Nie chcesz mnie skrzywdzić, a jeśli otworzę okno, nie zjesz mnie – stwierdziła Elberith, doszedłszy do tego nieprawdopodobnego wniosku. – Chcesz się zaprzyjaźnić, jak sądzę. Jakąkolwiek bestią jesteś, możliwe, że chcesz jedynie odpędzić samotność, która tak długo dręczyła twoje serce.

Elberith zawsze była śmiałą dziewczyną, skłonną do wyciągania wątpliwych wniosków.

Otworzyła okno i znalazła się twarzą w twarz z ghulem, który dotarł tutaj aż z Ipswich. Niepewny, co powinien teraz zrobić, cofnął się o krok, żeby nie wystraszyć dziewczyny. Wszyscy ludzie, których w życiu widział – mężczyźni, kobiety, dzieci – byli martwi, zamknięci w swoich wąskich domach (choć inni, wiedział, zerkali na grabarzy, żałobników i kapłanów), ale żaden z nich nie był nawet w przybliżeniu tak piękny jak ta ludzka dziewczyna. Jej czoło było lekko cofnięte i brakowało jej podbródka. Wargi miała niezwykle grube (jeśli trupy, które wykradł i zjadł, mogły być jakąś wskazówką), skórę lekko opalizującą w blasku księżyca, a na bokach szyi delikatne fałdki. Zielone oczy okazały się trochę bardziej wylupiate, niż się spodziewał. Długie żółte włosy były zaplecione z tyłu w warkocz, a kiedy dziewczyna otworzyła okno, ghul zauważył coś w rodzaju błony między jej długimi palcami.

– No i proszę – powiedziała. – Zrobiłam to. Więc jeśli zamierzasz mnie zjeść, zrób to szybko.

Ghul starał się odszyfrować jej słowa, ale sprawa była beznadziejna. Zdecydował się więc na inne działanie, które, miał nadzieję, zostanie uznane za przyjazne. Wyciągnął do niej rękę, tę, której użył do stukania i drapania w okno. Długie ramię sięgnęło w głąb pokoju i przez prawie całą minutę Elberith patrzyła na nie z niezbędną, jak sądziła, dozą ostrożności i podejrzliwości. Skóra na nim była zrogowaciała, z kępkami szorstkich włosów wyrastających tu i ówdzie w dość przypadkowy sposób. Pazury z łatwością potrafiłyby wypatroszyć rekina, gdyby zdarzyła się okazja, a ciało ghula skolonizowało kilka wyraźnie niezdrowych gatunków grzybów. Mimo to, doszedłszy do jednego ze swoich wątpliwych wniosków, Elberith ujęła jego dłoń. Dużo cieplejszą, niż dziewczyna przypuszczała.

Ghul, z niewiadomego powodu zadowolony z tego gestu, uściśnął jej rękę.

I tak to wyglądało tamtej pierwszej nocy. Przez jakiś czas stali oboje, trzymając się za ręce i patrząc na siebie z coraz większą czułością. Aż gdzieś w porcie zegar wybił godzinę, co tak wystraszyło ghula, że puścił dziewczynę, czmychnął przez okno i popędził pustymi ulicami na bagna. Do brązowych drzwi mauzoleum dotarł przed świtem. Jeśli chodzi o Elberith, stała, wpatrując się w swoją dłoń o pożółkłej skórze, na której ghul zostawił rozmazaną plamę pleśni, aż w końcu senna zamknęła okno przed mniej uprzejmymi gośćmi i wśliznęła się do łóżka. Tej nocy nie śniła o podwodnych pałacach ani o dziadkach, ciotkach, wujach i kuzynach, którzy dawno temu ruszyli na morze bez statków i wychodzili na powierzchnię tylko w wyznaczone noce, żeby hasać po ostrych skałach Diabelskiej Rafy. Nie, tej nocy śniła o ghulu, o jego twarzy i dotyku dłoni.

## Odpychanie nieba (Śmierć bluźniercy)

Woda się skończyła. Morfina się skończyła. Mój plecak jest prawie pusty, zawiera jedynie wspomnienie użytecznych rzeczy, które trzymały mnie przy życiu. Oczywiście te kręte, niekończące się korytarze nie były przeznaczone dla żadnych żywych istot. Granitowe i wapienne bloki nie zostały tutaj położone dwa i pół tysiąca lat temu, żeby jakaś oddychająca kobieta albo mężczyzna znaleźli gościnę w tych korytarzach, komnatach i przedsionkach. To fakt, że jestem intruzem w mieście zmarłych. Choć to przelotne zakłócenie wkrótce zostanie naprawione.

Kilometry, kilometry, kilometry lśniącego zielonego szkła.

Małe słońce w mojej ręce.

Fuzja, rozszczepienie w mojej dłoni.

Leżę, drżąc w gorączce i delirium, w skórze spalonej najpierw przez wezwane płomienie, a potem jeszcze raz spalonej na Saharze. Leżę tutaj i patrzę na cienie i światło pochodni migoczące na wapiennych blokach i gipsowej zaprawie. Od czasu do czasu pozwalam oczom opuścić precyzję kątów prostych i zawiesić je na stłoczonym chaosie kości, którymi jest zasłany korytarz. Jak sięgam wzrokiem, nie został na nich nawet marny skrawek ciała. Dawno, dawno temu zostały obrane do czysta, bo ghule są imponująco dokładne. To kwestia konieczności, jak sądzę; nieczęsto trafiają nawet na skromny kawałek mięsa, więc nic się nie marnuje. Większość kości została rozłupana ze względu na cenny szpik, zmiażdżona przez zęby przystosowane do tego zadania, podobnie jak zęby hien.

Leżę tutaj i patrzę na cienie.

Nie umyka mi ironia sytuacji, że umieram w ciemności, śmiertelnie raniona przez światło.

Bogowie mają poczucie humoru, nieważne jak okrutne.

Przyszła do mnie porozmawiać o bogach i wielu innych sprawach. Przyszła albo ze świata Na Górze, albo ze świata Na Dole. Nie potrafię powiedzieć, z którego. Nie pytałam, jako że nie wydawało się to szczególnie istotne. Leżę z głową na jej kolanach, ze złożonym płaszczem pod głową. Ona ma oliwę na moje spękane usta i powieki. Bo pielęgnowanie mnie bardziej jest zabijaniem czasu, wiem to, niż współczuciem czy sympatią. Których tacy jak ona również nie znają.

– Dotarłaś tak daleko, że dalej się nie da – mówi ona, a jej szept jest głośny w ciszy piramidy. – To było niefortunne, że w ogóle przyjechałaś na pustynię.

– Nie miałam wyboru – odpowiadam. Nie jestem pewna, ściśle biorąc, czy to prawda.

– Wiem – mówi ona, czy to prawda, czy nie.

Delikatnie dotyka czubkami palców mojego czoła pokrytego pęcherzami. Jej dotyk jest kojący, nawet jeśli ulżenie mojemu cierpieniu nie jest jej zamiarem. Nigdy nie poznam jej intencji, nikt nigdy ich nie poznał, podejrzewam. Nie będę kłamać, nie tutaj, na koniec. Chciałabym je znać. Tak jak chciałabym mieć kilka łyków zimnej wody albo strzykawkę napełnioną morfiną.

– Jesteś arogancką kobietą – stwierdza ona. – Śmiałą i utalentowaną, bystrą, ale arogancką. Żeby ukraść ghulom rzecz tak dla nich cenną jak *la clé pour les manilles*.

Z niewiadomego powodu lubi francuski, którego ja prawie wcale nie znam. Może podłapała go od francuskich kolonizatorów sto lat temu. Może chodziła po ulicach Paryża i po Wersalu.

– *Et la griffe de Khoshilat Maqandeli*, jakby kradzież jednego skarbu nie wystarczyła, żeby zasłużyć na ich nienawiść.

Pozwolę sobie zauważyć, że to nie odczuwane przez ghule pragnienie zemsty mnie tutaj sprowadziło. One po prostu miały szczęście. To nie jest nawet, myślę, jakaś karmiczna odpłata za tę konkretną zbrodnię, a jedynie końcowy rezultat mojej pychy.

– Ghule ukradły jedno i drugie – szepczę. – A ja zwróciłam Pazur dzinnom.

Mój głos brzmi, jakby darto na strzępy stary papirus.

– Ale tylko w zamian za przysługę – mówi ona. – Nie udawaj, że było coś szlachetnego w twoich motywach. Nie żeby twoje motywacje miały jakieś znaczenie dla ghuli.

Kiedy australopiteccy przodkowie Homo sapiens nadal walczyli o opanowanie sztuki posługiwania się najbardziej podstawowymi narzędziami, dzinny i ghule toczyły straszną wojnę na pustkowiach, które pewnego dnia geografowie mieli nazwać Arabią. Te drugie zostały pokonane i zrzucone do Podziemia na samym początku Snu. Ale najpierw splądrowały świątynie i relikwiarze, tak że opuściły ten świat z wieloma przedmiotami świętymi dla ich wrogów. Na wygnaniu przynajmniej mogły się napawać tymi małymi zwycięstwami. Ghule ukryły swoją zdobycz w kryptach pod płaskowyżem Thok i z czasem nawet zapomniały, co ukradły, aż zszedł do nich śpiący, żeby okraść złodziei. Ale w tym świecie na jawie ogary Pnath mogą dotrzeć tylko do pewnego miejsca i nigdy dalej. Tutaj są przywiązane do nekropolii, którą im dostarczyliśmy, nie mając takiego zamiaru. Boją się słońca i nienawidzą nawet chodzić w blasku księżyca.

– Dlaczego do mnie przysłaś? – pytam znowu.

– Byłam ciekawa – odpowiada ona przewidywalnie, tak samo za każdym razem, kiedy zadaję jej to pytanie.

Nie mam żadnego powodu wątpić, że mówi prawdę. Demony nie potrzebują ukrywać prawdy przed umierającą kobietą.

– Musiałaś widzieć śmierć milionów – szepczę.

– Ale nigdy śmierci kobiety, która była tak zuchwała, żeby wejść do królestwa ghuli i je obrabować, a potem wkroczyć w sam środek odwiecznej walki, targując się z dzinnami. A później jeszcze zawładnąć Kluczem do Kajdan.

Po raz pierwszy nazwała klucz po angielsku. Zaczęłam się zastanawiać, czy istnieją jakieś zakazy albo czy po prostu ten język jest niewystarczający do tego zadania.

Małe słońce płonie w mojej dłoni.

Stopiony piasek, który ostygł i zestalił się w kilometry zielonego szkła.

– Mogę nie mieć okazji być świadkiem śmierci kogoś tak głupiego, zanim Skarl w końcu przestanie bębnić w swój bęben, a cisza obudzi MANA-YOOD-SUSHAI ze snu, żeby zniszczył kosmos.

Imiona bogów staczają się z jej języka jak krople miodu z ula, niefrasobliwe, wolne od unізoności, pogardy czy strachu. Słyszę subtelne zło w tej nonszalancji.

– A ciebie przysłano, żebyś odnalazła zbłąkane dziecko? – mówię. – Kiedy będę martwa, zabierzesz Klucz.

– Oczywiście. Chyba sobie nie wyobrażasz, że zostanie zapomniany i zostawiony, żeby rozłożyć się razem z twoimi kośćmi. Moja Pani i Pan cierpliwie czekali pół eonu i jeszcze dłużej na Klucz, żeby w końcu móc zobaczyć, jak zostaje zwrócony prawowitym strażnikom i trafia we właściwe miejsce.

To prawda, że ghule ukradły Klucz do Kajdan dzinnom, ale to dzinny wieki wcześniej zdjęły go z haka w pałacu Abriymocha i zabrały z Phlegethos. Tak więc kradzież, kradzież i kradzież, procesja kończąca się tutaj w wiecznej nocy pod piramidą. Równie dobrze mogła się skończyć gdziekolwiek, ale wszystkie niezliczone „być może” teraz zostały zgrabnie odsunięte na bok przez tę jedną rzeczywistość.

– Czuję wokół ciebie śmierć – mówi ona, odgarniając siwe włosy z czoła i oczu. – Już niedługo.

– Mnie też masz zabrać? – Potrzebowałam godzin, żeby zebrać odwagę i zadać to pytanie.

– Nie – odpowiada ona, a ja myślę, że jest ślad, przynajmniej ślad żalu w jej głosie. – To cena za twój udział w tej zbrodni. Żadne z dziewięciu piekieł cię nie dostanie ani oczywiście niebo.

Tak więc moja dusza będzie bez końca dryfować i nawiedzać ten liminalny zmierzch przez cały czas, który pozostał temu wszechświatowi. Będę duchem, któremu odmówiono wiecznego potępienia albo zbawienia.

Jej kojące palce wędrują po moim podbródku w dół na szyję, po tkance, która stałaby się brzydką masą bliznowców, gdybym została tu dostatecznie długo, żeby rany miały czas się wygoić. Ona delikatnie dotyka tkwiącego tam lśniącego odłamka, mlecznych szmaragdowozielonych drobinek szkliwa uformowanego w piecach mojej nieostrożności. Nawet nie poczułam wybuchu, który rozszarpał mi ubranie i całe ciało nafaszerował tysiącem gorących kawałków trynitytu, szkła z Alamogordo, szkła atomowego, powstałego w temperaturze minus stu trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza i doprawionego niedużą dawką promieniowania. Nie dość izotopów cezu, żeby była śmiertelna sama w sobie, przynajmniej na krótką metę, a to wszystko, co mi zostało.

Ona mówi, że umiera. Mówi, że umiera. Mówi, że umiera. Stało się to męczącą kadencją.

– Jak długo jeszcze? – pytam. Umysł może znieść tylko ograniczoną ilość cierpienia, a mnie coraz trudniej zrozumieć nawet następną sekundę tej agonii.

– Wkrótce – odpowiada ona. – Wkrótce. Odpoczywaj.

Po tym jak ostatni mozaikowy słup ognia wzbił się wysoko nad wydmami, kiedy znowu mnie otoczyła niemal idealna cisza pustkowie, byłam zbyt roztrzęsiona, żeby dokończyć to, co zaczęłam. Żaden śmiertelnik nigdy nie ujarzmił tego Klucza ani innego z Siarkowej Równiny. Nie byłabym pierwsza. Ledwo udało mi się z powrotem zamknąć portal, moje ciało posłużyło za zamek, kochankę, której *le clé pour les manilles* potrzebował, żeby spełnić wyznaczone zadanie. Rozkwitł ogień, wschód słońca w zimnych godzinach po północy. Metaforyczna główka i trzon obrócone, pojedynczy prostokątny ząb ustawia zapadki zamka z blokadami, zrobionego, metaforycznie, z mojej duszy. Falliczne i sromowe analogie. Piekło kocha dobre metafory.

Jeden z ghuli zagłąda do korytarza, wielki sukinsyn, postrzępione uszy, rudobrazowe futro i krótki pysk poznaczony śladami walk jego długiego życia. Niecierpliwie czekają na ucztę. Nie wiem, dlaczego po prostu nie zabili mnie od razu, kiedy mnie znaleźli, jak wlokłam swoje oddychające ciało przez bazaltowe i obsydianowe kaniony na północny wschód od piramidy. Jest tyle cholernych rzeczy, których nie rozumiem i których nie pozwolą mi zrozumieć. Nie przybyłam do miejsca zrozumienia, tylko ostatecznej tajemnicy. Ona patrzy na ghula, a ten marszczy się i znika w mroku.

– Rozmawiaj ze mną – proszę. – Opowiedz mi bajkę.

– Uważasz, że zasłużyłaś tylko na taką pociechę? Bajkę z ust sukkuba?

– Tego nie powiedziałam.

– To prawda. Nie powiedziałaś.

Czesze moje splątane włosy długimi, delikatnymi palcami i opowiada mi dwie ballady o pięciu małych bogach. Pierwszą o tym, jak Kib, Sish, Roon, Mung i Slid unieśli ręce i utworzyli z pustki oko księżycy jako Obserwatora, srebrną kometę jako Wędrowca i ziemię, żeby w nabożnym zachwycie podziwiała całe stworzenie. Potem przechodzi do opowieści o Mosahnie, Ptaku Zagłady i Ostatnim Dniu Wszystkiego. Przypuszczam, że bajka jest odpowiednia do okazji.

– Bo kiedy sen MANA-YOOD-SUSHAI się skończy, grzmot uciekający przed boską zagładą zadudni straszliwie między światami i w przestrzeni między gwiazdami, a Czas, niszczyciel, miecz, ogar bogów, zacznie ujadać zgłodniały, bo z wiekiem wychudł.

Chwytam cuchnące, stęchłe powietrze dwa razy na tysiąc lat. Słucham. Moje piekące oczy zabawiają się liczeniem szkieletów w korytarzu i ich identyfikowaniem: koń, wielbłąd, koza, szakal i oczywiście człowiek.

Ona kończy, nachyla się i całuje mnie w lewy policzek. Czuję przeskakującą między nami iskrę elektryczną. Czuję, jak ta iskra podrażnia najgłębsze zakamarki mojej gasnącej świadomości.

– Jesteś gotowa, Elishebo? – pyta ona miodowym głosem z nutą ironii.

– A ty byś była?

– Nie, ale nie tak brzmiało pytanie, prawda?

Nie tak brzmiało, ale się nie zgadzam. Już nie jestem w nastroju, żeby być miłą. Urwisko jest zbyt strome, dolina spowita w czerń tak absolutną, że – nie trzeba mi tego mówić – co do niej wejdzie w czasie całej wieczności, nigdy z niej nie wyjdzie. Boję się i po raz pierwszy nie wstydzę się swojego strachu.

Obróciłam Klucz, a Klucz obrócił mnie.

Trzymam w dłoni małe słońce.

Światło pożera mnie żywcem.

I ta czerń jest ceną, którą zapłacę za swoją zuchwałość.

Ghule, które wkrótce przyjmą niechlujną, nieświętą komunię z mojego ciała, kości i krzepnącej krwi, roją się tuż poza migotliwym światłem pochodni. Nade mną, w bogato zdobionych komnatach, śpi faraon i żony faraona, a za piramidą pustynny wiatr zawodzi nad rozległym płaskowyżem. Oto, na co zasłużyłam, haniebna śmierć w grobowcu wzniesionym dla królów i królowych. Kolejna ironia.

– Klucz do Kajdan nigdy nie zapomni twojego imienia – mówi ona.

Marna pociecha.

A potem jej szaty spadają, ona we mnie wchodzi i nie zostaje ze mnie nic oprócz odłamków, które wcześniej były kilometrami, kilometrami lśniącego zielonego szkła.



*Cybin Orion Nelsen,  
znanej także jako Nis Talio  
i jako Lucy Crown.*

## Czarne statki widziane na południe od nieba

Chmury się rozstąpią i przez uchylone niebios  
Sam Bóg wystawi swą jebaną łapę...

Nine Inch Nails

Wcześniej, w czasie, który istniał przedtem, było to miasto żywych i zdrowych. Nie było to miasto pustookich wojowników, złamanych kobiet, cięż litościwie zakończonych, nim urodzą się nowe potwory. Nie spustoszonego ani nie oblegano. Nie miało wałów obronnych, Midway i O'Hare International obsługiwały cywilów, bo istniał ruch cywilny. Przedtem. Do miasta prowadziły niestrzeżone autostrady, przed upadkiem Manhattanu, Bostonu, D.C, Atlanty i prawie wszystkiego, co graniczyło z Atlantykiem od Grenlandii po Tierra del Fuego. Wcześniej miasto stało się dudniącym frontem: baterie średnich i ciężkich dział, haubice 105 mm, 155 mm, 203 mm, artyleria przeciwlotnicza i raketowa. Zanim morze zrobiło się czarne i pochłonęło wschód, zanim wody Jeziora Michigan pokryły się żółtym lodem, odpornym na żar płonącego nieba i stopionych brzegów.

Zanim sonda wróciła z pasa Kuipera, kiedy nie przypuszczano, że w ogóle wróci.

Zanim zaczęła się wojna.

Początek Końca, który część ludzi będzie nazywać po prostu Początkiem. Nawet w zniszczonej fortecy Chicago są żarliwi kapłani i nekromanci, którzy modlą się dzień i noc do Starych Bogów o upadek całej ludzkości. Mają książki. Znają Imiona. Przelewają krew na tajnych

ołtarzach. Agenci Gwardii polują na nich, ale to polowanie jest równie daremne jak tępienie stad szczurów, zdziczałych i groźnych psów i kotów.

Niegdysiejsze nazwy dni zostały.

To jest dzień grzmotu.

I w ten dzień grzmotu Susannah obejmuje swoją cotygodniową zmianę na wschodnim murze ze wszystkimi, którzy przychodzą o świcie. Niemal w ogóle już nie sypia. Prawdę mówiąc, pamięta tylko jeden raz, kiedy ostatnio spała więcej niż godzinę czy dwie naraz. Tak jest lepiej; sny, które już nie są tylko snami, na jawie trzymane są z dala. Ale ponieważ bezsenność osłabia, szpitale wydawały amfetaminę i metamfetaminę, póki wystarczyło zapasów. Co nie trwało długo. Poza tym halucynacje, które nawiedzały ją po kilku dniach zamroczenia narkotykowego bez snu, były prawie równie złe jak koszmary.

– Zachowaj czujność – mówi kapitan Gwardii, kiedy Susannah siada na jednym z plastikowych krzeseł ustawionych w betonowym bunkrze.

Jakby to przypomnienie było konieczne, ale Susannah przypuszcza, że on musi coś powiedzieć, więc nigdy się nie skarży. Daremność jest regułą w Potem, a nie wyjątkiem.

Pali zwietrzały tytoń i słucha chudego dzieciaka z dawnego Elmwood Park, przed karmazynowymi wiatrami i deszczem, który wznieca ogień. Przedtem. Zanim ta wyspa podniosła się z południowego Pacyfiku, bardzo blisko oceanicznego bieguna niedostępności, punktu na planecie najdalego od stałego lądu. W pobliżu Point Nemo. 47° 9' S, 126° 43' W. I choć może wcześniej nie mieliście żadnego pojęcia o geografii, teraz te koordynaty są wyryte w umysłach ocalałych tak trwale jak ich własne imiona. Zeloci i wrogowie człowieka nazywają ją R'lyeh. Susannah nazywa ją po prostu Piekieł.

– Sue, widzisz to? – pyta dzieciak z Elmwood.

Ona wolałaby, żeby nie mówił do niej Sue, bo tak wołała na nią matka. Ale zawsze macha na to ręką. Chłopak wskazuje poprzez ziemię niczyją w stronę Indiany.

– Widzisz to?

Susannah bierze jedyną lornetkę przypisaną do bunkra i próbuje dostrzec to, co podobno zobaczył dzieciak. Ale jest tylko lśniąca polichromatyczna kopuła lasu, który napiera na mury i ciągnie się w dal bez końca.

– Niczego nie widzę – mówi, a chłopak klnie.

– Wiem, co widziałem.

– Więc dlaczego mi nie powiesz, żebyśmy oboje wiedzieli?

Ale on tylko się naburmusza. Siedzi na swoim krzeselku ogrodowym i czyta stary paperback, zaniehbując pracę, która zapewnia mu pokój i wyżywienie.

Susannah wie swoje, ale nadal patrzy przez lornetkę na las. Na trzony grzybów, które kiedyś były mężczyznami i kobietami, przed zarazą. Przedtem. Nie żeby już na dobre było po wszystkim. Ale większość ludzi w mieście mówi o zarazie jak o czymś, co przyszło i odeszło, i stara się ignorować zarażonych, którzy chowają się w zaułkach i opuszczonych skorupach budynków. Trzymają się wewnątrz albo bunkrów za dnia, kiedy wiatry przynoszą na północ zarodniki. Pozostają tam do czasu, aż ekipy odkazające zrobią co mogą, żeby usunąć mikroskopijne skażenie. Jeśli znajdują narośle na swoich ciałach, trzymają to w sekrecie tak długo, jak się da. Odziewają się w zaprzeczenie. Właśnie tak Susannah przetrwała ostatni miesiąc, odkąd znalazła lśniące wilgotne miejsce na lewym biodrze.

To teraz tylko kwestia czasu, ale tak jest ze wszystkim.

Wszystko się kończy.

Świat od lat wiedział, że wojna jest przegrana, odkąd bombom nuklearnym nie udało się nawet zadrapać filarów tej ogromnej wyspy, która powstała z morza. Odkąd kule ognia i opad radioaktywny nie dokonały niczego poza wkurzeniem tytanów, którzy bez pośpiechu krocą przez świat, siejąc spustoszenie.

Susannah wolałaby, żeby bezustanny ruch lasu był jedynie złudzeniem spowodowanym przez odległość i rozedrgane powietrze. Ale wie, że to nie jest miraż. Wie, że wszyscy ci mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy zostali zasymilowani, wchłonięci, przemienieni, i co, kurwa, jeszcze, nadal żyją, nadal są świadomi i nadal cierpią. Tak jak ona wkrótce będzie.

Wie zbyt dużo o tym, czego CDC, WHO i cała reszta dowiedzieli się, zanim fale radiowe i satelity ucichły.

Modlitwa ocalałych: Panie, pozwól mi być ignorantem.

Ale ona jest ateistką. Nie ma żadnej modlitwy.

– Oni nie są bogami – powiedziała w dniu, kiedy poznała chłopca, a on nie mógł się zamknąć i wciąż nawijał o klasztorach. – To tylko gówno z innych miejsc. Oto czym są.

Może łatwiej jest zaakceptować koniec, jeśli przynosi go zły panteon, a nie obojętni obcy. Sama nie wie.

– Niczego nie widzę – powtarza w chwili, kiedy zaczynają wyć syreny.

Nadal wzdryga się na ich dźwięk, jakby znaczyły coś więcej niż otwarcie południowych wrót, żeby wysłać najświeższe ofiary grzybów, by dołączyły do tych, którzy odeszli przed nimi. Zawsze podskakuje, jakby to hebanowe skrzydła nadciągały nad miasto.

– Jezu, Sue, opanuj się – mówi chłopak, nawet nie podnosząc wzroku znad książki.

Ona odpowiada, żeby się pieprzył, rzuca niedopałek i kieruje lornetkę na asfaltowy strup I-394, Drogę Leśną. Jest ich dzisiaj tylko parę tuzinów. Susannah patrzy, jak tamci idą chwiejnie w stronę wijących się trzonków i cieni pod ogromnymi opalizującymi kapeluszami. Patrzy przez pięć, dziesięć, może piętnaście minut. Na murze łatwo jest stracić rachubę czasu.

Susannah zna las aż za dobrze. Przybyła z jedną z ostatnich grup uciekinierów, a konwój za bardzo zbliżył się do owocujących ciał. Miała wtedy szesnaście lat. Matka umarła w Ohio. Ojcu nawet nie udało się wydostać z Bostonu. To było pięć lat temu. Pięć lat i trochę. Wtedy, gdy głupie skurwysyny i wojskowi stratedzy bredzili o ofensywach, odpychaniu, wygrywaniu.

Nazywali najeźdźców bogami i bredzili o wygrywaniu.

To jeden z najbardziej chorych żartów, jakie Susannah zna.

Księżyc wstaje jak czyrak, nabrzmiały, siny. Nikt już nie zadaje sobie pytania, jak księżyc może wschodzić, skoro słońce nigdy nie zachodzi.

– Słyszałaś? – pyta dzieciak z Elmwood, opuszczając książkę. Jego oczy robią się dzikie, ale patrzy na nią zamiast na pustkowie.

– Nic nie słyszałam – odpowiada ona zgodnie z prawdą.

Chłopak milczy przez chwilę, a potem mówi:

– Zostawili nas samych na prawie tydzień. Wiesz, że to nie może dalej tak trwać, Sue. Wiesz, że muszą planować coś dużego.

– Wracaj do książki – odpowiada Susannah.

– Słyszałem skrzydła – szepcze chłopak.

– Wracaj do książki.

– Przysięgam na boga, Sue. Składam prośbę o nowego partnera. Nie żartuję.

– Żartujesz. Ale teraz się zamknij i wracaj do książki.

– Przysięgam, że to zrobię.

– I dobrze.

Chce mu powiedzieć, żeby się nie trudził. Chce wyznać, że jest zainfekowana. Biodro swędzi ją bez przerwy i ona wie, że za kolejny tydzień albo dwa będzie kryć się w zaułkach, a za miesiąc powlecze się do bramy, nie mogąc się oprzeć syreniemu śpiewowi, wlokąc w stronę lasu to, co zostało z jej ciała. Może dzieciak będzie ją wtedy obserwował. Może nawet ją rozpozna.

Pewnie nie.

Ona nigdy nie rozpoznawała nikogo z tych, którzy odchodzili, żeby zająć swoje miejsce jako część ogromnego organizmu.

Susannah nadal pamięta wiadomości telewizyjne z tamtych pierwszych kilku tygodni po pojawieniu się wyspy, po trzęsieniach ziemi i tsunami, które spustoszyły wybrzeża i zmiotły miasta po obu stronach Pacyfiku. Trzęsienia o sile 9,9+, możliwe, że jedno czy dwa przekraczające dwunastostopniową skalę Mercalliego-Cancaniego-Sieberga. Trzęsienia tak silne, że rozerwały strukturę atomową kamienia. Pamięta, jak oglądała na CNN i MSNBC powodzie, pożary, nieliczne zamazane, ziarniste materiały filmowe nakręcone o R'lyeh, aż nie został już żaden statek, żeby pływać po sinoczarnym morzu. Susannah pamięta nawet wywiad z dwoma fizykami, którzy niemożność wyraźnego sfilmowania tytanicznych monolitów wyspy przypisywali ugięciu promieni światła pod kątami istniejącymi w słabo rozumianej geometrii i „fizyce wykraczającej poza model standardowy”. Jej tata powiedział, że to kupa gówna, że nikt nie ma pojęcia, co się dzieje, a ona była skłonna się z nim zgodzić.

*New Horizons* wróciła, ignorując swoje oprogramowanie i wykorzystując Plutona jako grawitacyjną procę, która wystrzeliła go w stronę wnętrza Układu Słonecznego, cisnęła przez niemal próżnię, zimno i miliony kilometrów z powrotem na Ziemię. Sonda rozbiła się gdzieś na Saharze albo w Morzu Kaspijskim czy w Skandynawii. Nikt nie był pewien, jako że stacje śledzenia pokazywały liczne miejsca lądowania.

Lecz sonda wróciła z tajemnicami, a naukowcy mogli wечно chwycić się brzytwy i już zawsze nie mieć pojęcia, czym są te tajemnice. *New Horizons* wróciła, R'lyeh powstała, śpiący się obudził.

I zaczął się Koniec.

Albo Początek.

Susannah pamięta tamte ziarniste nagrania, powtarzane w kółko, aż wszystkie kanały zniknęły z eteru, a jej rodzina dołączyła do stałego strumienia uciekinierów kierujących się w głąb ładu. Pamięta nawet ostatni

program i to, co wyłoniło się na światło dzienne z tych dziwnych kątów. Zniekształcony zarys niemożliwego ogromu mignął wśród trzasków i zakłóceń. Susannah pamięta krzyki.

Zadała pytania, na które jej rodzice nigdy nie odpowiedzieli, ale miała telewizję, Twittera i Facebooka, póki działały. Same sprzeczne informacje. Wydarzenia, które dało się wytłumaczyć, tylko jeśli ktoś był gotowy uwierzyć w niewytłumaczalne. Wieści o przyjaciółach i krewnych, którzy zginęli albo po prostu przepadli. Tylu ludzi zniknęło tak szybko, że nie dało się tego śledzić na bieżąco. Jednego dnia obecny, następnego już go nie ma. W jednej godzinie jest, w jednej minucie, a potem... puff!

Zwolennicy teorii spiskowych, pseudonaukowcy mieli swój dzień, swoje piętnaście minut w słońcu. To była ich chwila, żeby jaśnieć, bo oczywiście wszystko było rezultatem ściśle-kurwa-tajnych operacji NSA DOD ESA CIA NASA akronim akronim akronim stary astronauta z Roswell chemtrails tajna elektromagnetyczna broń zimna pieprzona fuzja i dziwadelka rozsiewane przez Wielki Zderzacz Hadronów, program HAARP i zakłócenia w jonosferze, duchy Johna Kennedy'ego, Nikoli Tesli, pani Bławatskiej. Wszystko to właśnie w taki sposób przelatywało przez umysł Susannah, jak płynna stal. Naturalnie religijni przepowiadacze końca świata też doszli do głosu. To musiało być wniebowzięcie, drugie przyjście, otwarcie siedmiu pieczęci, bo, do diabła, czym innym mogła być rzecz, która wypełzła z Nowej Ziemi, jak nie Antychrystem?

Nieliczni nawet zaproponowali, żeby wszelkie wyobrażalne twierdzenia uznać za prawdziwe.

Pięć lat później ona i dzieciak z Elmwood siedzą w bunkrze w ruinach Babilonu. Ona patrzy, on czyta. Dokładnie o trzynastej na południu pojawia się „szwadron” czerwonych jak krew drifterów, sunących nisko nad ziemią niczyją. Połyskują wilgotno te skrzydła o rozpiętości trzydziestu metrów, te owadzie głowy, ogony, które się za nimi ciągną, sypiąc niebiesko-białymi iskrami. Parę minut później słychać głucho łup-łup-łup zmodyfikowanego helikoptera Blackhawk UH-60 Gwardii Narodowej. Zbliża się do drifterów najbardziej jak się da, ale nie atakuje, nie otwiera ognia.

Susannah obserwuje to wszystko przez lornetkę. Dzieciak z Elmwood podnosi głowę tylko na kilka sekund.

O piętnastej siedem coś na wysokich szczudłach kroczy przez grzybowy las. Susannah o tym raportuje, ale Kwatera Główna O'Hare odpowiada, że nie jest to oczywiste i bezpośrednio niebezpieczeństwo. Tylko neofauna.

Ale ona i tak odnotowuje intruza w rejestrze. Rysuje nawet całkiem przyzwoitą podobiznę stwora. Ten wydaje okrzyk, który niesie się nad pustkowiec jak wszystkie kiedykolwiek zbudowane syreny mgłowe naraz. Może jest samotny i szuka towarzysza. Może się modli. Ona nie jest na tyle ciekawa, żeby długo się nad tym zastanawiać.

– To coś dla mnie – mówi dzieciak o szesnastej pięćdziesiąt pięć, choć zlizują ich dopiero za dwadzieścia minut. Uśmiecha się szeroko i chowa książkę do kieszeni kurtki. – Dzisiaj są klopsy.

– Jak możesz jeść to gówno? – pyta Susannah.

Dużo w nich bułki, a mało czegoś, co można by nazwać mięsem, tylko tyle, żeby stworzyć iluzję, cała reszta to wypełniacze i tłuszcz z szybko kurczących się zapasów.

– Trzeba coś jeść – odpowiada on. – Są gorsze rzeczy. Z drugiej strony może ty nigdy jeszcze nie byłeś na dnie, Sue. Może nigdy wcześniej nie byłeś żebraczką, zanim dostałaś się na mur.

Jasne, to prawda, choć nie podoba się jej ton głosu dzieciaka z Elmwood. Odbyła kwarantannę w obozach, potem robiła różne gówniane rzeczy w służbie cywilnej i w armii, zanim w końcu awansowała. Wszystkim, co miała, żeby zachować zdrowe zmyły, była ambicja. To i sekrety, którymi ona nigdy nie podzieli się z dzieciakiem z Elmwood. Nawet bez infekcji, nawet gdyby został jej cały czas świata, nigdy nie podzieli się tymi sekretami. *New Horizons* miała swoje tajemnice, a Susannah swoje, jeszcze bardziej sekretne niż te sondy, bo nikt nie podejrzewa, że ona je ma.

Nie pozwolił dzieciakowi wyjść wcześniej.

\* \* \*

Oficjalnie Susannah mieszka razem z innymi członkami Gwardii w koszarach urządzonych w tunelu metra. Tak mówi jej identyfikator i tam ona jada większość swoich posiłków. Ale nie jest jedyną osobą, która od czasu do czasu szuka innego lokum. Ranga daje jej swobodę ruchów, której nie mają cywile. Godzina policyjna jej nie obowiązuje, w punktach kontrolnych nie ma kłopotów.

Skromne luksusy, które trzymają ludzi na stanowiskach, skąd obserwują potworności ziemi niczyjej.



Świadczenia dodatkowe.

Susannah zajęła pokój w piwnicy pod niegdysiejszym Biograph Theater. Przed tym budynkiem został zastrzelony Dillinger, dawno, dawno temu. Ale niektórzy ludzie nadal to pamiętają. Wielu mieszka na czarno w opuszczonym kinie, a czasami ze sceny korzystają takie czy inne zgromadzenia. Skwaterzy nie mają nic przeciwko temu. To jest coś, co przełamuje monotonię tutaj na końcu świata. Ale żaden mieszkaniec Biograph czy przypadkowy intruz nie zadziera z Susannah. Ona namalowała na swoich zardzewiałych stalowych drzwiach znak Gwardii, a to trzyma ich z daleka.

Niżej jest drugi znak. W dolnym lewym rogu blisko zawiasów, które skrzypią za każdym razem, kiedy drzwi są otwierane i zamykane.

Znak nie większy od dziesięciocentówki.

Kolejnym sekretem wśród mętów społecznych jest to, że wszyscy toną w sekretach. Gdyby wywiad wojskowy dowiedział się o tym konkretnym, może miasto przestałoby gnić od środka. Może. To znak Oczu, Ust i Rąk Czarnego Faraona. On ma wiele imion, wiele tytułów, ale Susannah woli ten, nawet jeśli nie umie powiedzieć dlaczego. Może dlatego, że tak wiele innych jest prawie niewymawialnych. Scyzorykiem sama wycięła symbol, prawie dwa lata temu, kiedy pierwszy raz zobaczyła wysokiego, ciemnego mężczyznę stojącego w drzwiach spalonego domu przy Sheridan Park. On ją zobaczył, ona zobaczyła jego. On w nią zajrzał, ona dostała najdrobniejszy okruczeństwa. Jedynie oleistą pianę pływającą na powierzchni, ale to aż nadto wystarczyło do uwiedzenia.

Teraz jest w mieście jedną spośród setek tych, którzy odpowiedzieli na jego wezwanie, a to wydaje się dużo lepsze niż zaliczanie się do papierowych tygrysów, które stwarzają pozory, że strzegą ignorantów, ślepców i dusze jedynie odliczające dni do śmierci albo losu gorszego od śmierci. W przeciwieństwie do nich jej życie ma prawdziwe znaczenie, nawet jeśli tylko niewielkie.

Niewiele rzeczy jest w jej pokoju pod sceną. Kilka mebli, które ściągnęła po schodach: stare krzesło biurowe, dwuosobowa kanapa obita w podarte, spleśniałe płótno, zepsuty telewizor, który był tutaj już wcześniej, przenośna kuchenka, łóżko polowe, chwiejny stolik (jedna noga za krótka) zasłany książkami i luźnymi kartkami, ceramiczny kubek do kawy wypełniony ołówkami i piórami. Na jednym boku kubka widnieje groźny pysk czerwonego byka i napis The Chicago Bulls. Rogi zwierzęcia

tworzą U w napisie. Wnętrze rozjaśniają jedynie ogarki świec, które ona zbiera i zapala tylko wtedy, gdy potrzebuje światła. Większość czasu spędza w całkowitej ciemności.

Co jest właściwe, Susannah to wie.

Sufit znajduje się dostatecznie nisko, żeby mogła go dosięgnąć, stojąc na lodówce turystycznej, którą znalazła w ruinach sklepu z artykułami sportowymi. Na jego cementowej powierzchni Susannah rysuje swoją mapę nieba, która oczywiście jest czymś więcej niż zwykłą mapą. Kiedy wreszcie zostanie ukończona, o nieujawnionej, ale wyznaczonej godzinie, stanie się również dziurą.

To słowo, dziura, jest całkowicie nieadekwatne na opisanie tego, co ona powoli, bardzo powoli tworzy. Tak jak wszystkie imiona i tytuły Czarnego Faraona są nieadekwatne. Oczami wyobraźni Susannah widzi to, co robi po kawałku na suficie, ponieważ On jej to pokazał.

Dziura.

Wyłom.

Rozdarcie.

Cokolwiek.

Kiedy opuściła mur, ona i dzieciak z Elmwood rozeszli się w swoje strony aż do następnego tygodnia. Susannah udała się do swojej kryjówki pod Biograph. Teraz siedzi na kanapie, starając się ignorować swędzenie na zainfekowanym biodrze, i słucha tykania budzika, który również trzyma na chwiejnym stoliku, na krzywym stosie książek z *Mechaniką kwantową* na wierzchu. Kiedy wychodzi z pokoju pod sceną, zawsze pilnuje, żeby go nakręcać, sprawdzając jego wskazania z zegarkiem na rękę, który dostała od Gwardii. Słucha i czeka niecierpliwie. W ciemności łatwo jest stracić rachubę czasu. Tik, tik, tik budzika wydaje się raczej zacierać chwile, niż je odliczać, więc ona czasami się zastanawia, dlaczego jest takie ważne, żeby go nakręcała. W końcu jednak słyszy ciężkie, szurające kroki w korytarzu. Zatrzymują się pod jej pokojem, następuje przedłużająca się cisza, aż potem cichy, suchy dźwięk koperty wsuwanej pod drzwiami. Ona się poci, serce jej dudni, jest niemal zbyt zdenerwowana, żeby odдыchać. Czeką, aż kroki ucichną, i dopiero wtedy zapala świecę.

Koperta jest zapieczętowana kilkoma kroplami żółtego wosku z odcisniętym takim samym znakiem jak ten wydrapany w dolnym lewym rogu jej drzwi. Susannah kuca nad nią i niemal wzdraga się przed jej dotknięciem, nawet teraz, kiedy już nie pamięta, ile razy ten rytuał się

powtarzał. Nie musi brać jej do ręki, by rozpoznać jej znaczenie. Wyciąga rękę, zawiesza ją parę centymetrów nad papierem, ale nadal się waha. Podejrzewa, że wszyscy się wahają, ci, którzy widzieli Czarnego Faraona i zostali wybrani do tego, by otrzymywać ważne wiadomości zapieczętowane żółtym woskiem.

– Zamierzasz czekać całą noc? – szepcze głos z kąta pokoju, z atramentowego miejsca, do którego nie dociera niestabilny płomień świecy.

Susannah wie, że światło nie rozjaśniłoby tamtej ciemności, nawet gdyby do niej podeszła. To coś w kącie jest odporne na światło. Ona nie jest pewna, czy to coś tam było, kiedy znalazła pokój, czy przyszło później. Nie jest pewna, czy wszyscy uczniowie mają czarne kąty i głosy, które do nich stamtąd przemawiają.

Nadal kucając, Susannah ogląda się przez ramię, choć wie, że nie ma żadnej szansy zobaczyć, kto lub co ukrywa się w kącie.

– Kiedy miałam siedem lat, pojechalśmy na wakacje do Yosemite, pod namiot – zaczyna opowiadać. – Było lato, leżałam na masce samochodu. Tylko ja i mój ojciec, patrzyliśmy na gwiazdy. On pokazywał mi jakąś i wymieniał jej nazwę. Taką, jaką nadali jej astronomowie.

– Astronomowie zawsze byli aroganckimi głupcami – mówi głos. – Myśleli, że mogą nazwać gwiazdę.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Całe niebo było jak skąpane w białym ogniu. Droga Mleczna ciągnęła się od horyzontu do horyzontu. – *I ten widok cię, kurwa, przeraził, ale nie powiedziałaś tego tacie. Chciałaś wpełznąć pod samochód i ukryć się tam do wschodu słońca, kiedy będzie tylko ta jedna znajoma gwiazda, bliska i ciepła.* – Pokazał mi punkciki, którymi były Mars, Wenus i Jowisz.

Susannah słyszy, że to, co mówi do niej z kąta, się uśmiecha. Uśmiecha się w taki sposób, że to słychać.

– Więc bądź wdzięczna jego pamięci. On wybrukował ci drogę do chwały. Tamtej nocy przygotował grunt.

– Nauczył mnie o prędkości światła – ciągnie Susannah, nawet jeśli to nie jest właściwa odpowiedź. – Opowiadał mi dużo o tym, że tamte gwiazdy umarły miliardy lat przed tym, jak podnieśliśmy głowę i je zobaczyliśmy.

To właśnie tamtej nocy zrozumiała, jaka jest mała, i to, że jej jedyna doskonałość będzie polegać na doskonałej znikomości wobec całego

wszechświata rozciągającego się nad nią.

– Powinnaś otworzyć kopertę – przypomina głos.

Chciałam wpełznąć pod samochód i leżeć z twarzą przyciśniętą do ziemi. Niebo było głodne, a ja spodziewałam się, że zaraz pofrunę w górę i będę przez wieczność lecieć w jego paszczę.

– Nie byłabyś nawet okruczem – mówi ką. On zna drogę do jej głowy, więc kiedy słyszy jej myśli i na nie odpowiada, Susannah nie jest zaskoczona. – Nie znaczy to, że niebo by cię oszczędziło, ale to, że nie byłabyś przyzwoitym kąskiem. Niebo zjada całe galaktyki i nadal jest wygłodniałe.

Co przypomina jej ostatnie wiadomości, zanim wszystkie zniknęły. Jeden z tamtych głupich astronomów opowiadał o rzekomym odkryciu czarnej dziury między Saturnem a Neptunem. Mówił o promieniowaniu rentgenowskim, o horyzoncie zdarzeń i dysku akrecyjnym. Mówił o śmierci planet.

*Nie ma ścieżek, które prowadzą z czarnej dziury.*

Naukowiec mógł tak powiedzieć, a może było to tylko fałszywe wspomnienie.

*Niebo pożera nas żywcem.*

– Zegar tyka – mówi głos, nie mając na myśli konkretnie budzika. Ma na myśli zegar tak ogromny, że niepojęty.

Biodro swędzi ją jak diabli, ale Susannah się nie drapie. Bierze do ręki kopertę i niesie ją do stolika. Kciukiem podważa żółtą pieczęć, która lekko pachnie miodem. W środku jest papier, który wygląda na drogi, złożony na pół. Jak zawsze wiadomość jest w kolorze sepia, skreślona staromodnym pismem, a ona zawsze wyobraża sobie, że każdy list jest pisany antycznym wiecznym piórem.

Każdy, kto dostaje te koperty, dostaje również kod do szyfru. Nie ma dwóch identycznych kodów. Ona zapamiętywała swój przez tydzień, a potem zniszczyła kartkę w linie, na której był zapisany. Tylko dla niej. Czarny Faraon zna nieskończoną liczbę języków, których nauczył się od ojca, dlatego jeden może oddać każdemu ze swoich wybrańców.

– Jesteś szczególnym płatkim śniegu – szyci głos, a ona stara się go ignorować, ale równie dobrze mogłaby próbować ignorować klucie w miejscu, gdzie w jej ciele zapuścił korzenie grzyb. – Jesteś wyjątkowym motylem.

Susannah czyta wiadomość kilka razy, a potem jeszcze kilka, by mieć pewność, że właściwie ją zrozumiała. Nie wolno jej zapisywać zaszyfrowanych równań i koordynat gwiazdowych; musi je zapamiętać. Kopie są zbyt niebezpieczne, kiedy tak wielu staje na głowie, żeby wytropić sługi wysokiego, chudego mężczyzny, który czeka w drzwiach na zagubione owieczki. Gdy tylko jest pewna, że wszystko zrozumiała, musi spalić list, zanim wejdzie na lodówkę z niebieskim markerem w ręce. Nie później. I właśnie dlatego musi być pewna, że nie popełniła nawet najmniejszego błędu. Przystawia róg kartki do płomienia świecy, papier zajmuje się ogniem. Upuszcza go na podłogę i czeka, aż zostanie z niego tylko popiół. Cała posadzka jest zasłana cieniutką szarą warstwą rozniesioną przez jej boscie stopy. Wyjdzie stąd ubrudzona popiołem. Zawsze tak jest.

– Twoja własna przenośna uczta – szepcze głos z kąta. – Pamiętaj, że jesteś prochem i w proch się obrócisz.

Gwiazdny pył.

– Na koniec nie zostanie nawet tyle – przypomina głos.

Susannah potrzebuje tylko piętnastu minut, żeby skopiować wiadomość na betonowym suficie. Gwardia może ukrywać się w bunkrach i strzelać z moździerzy do demonów, które podchodzą zbyt blisko miasta. Samoloty i helikoptery mogą wystrzeliwać pociski powietrze-powietrze w dryftery i chmury polipów. Piechota może do woli rozpylać napalm. Bo właśnie tutaj są przeprowadzane prawdziwe ataki tej wojny, w tym ciemnym, zatechłym pokoju i niezliczonych podobnych na całym globie.

Czubek markera skrzypi, kiedy Susannah rysuje linie, łącząc kropki między gwiazdami, które tylko głupcy próbowaliby nazwać. Zakłada pole minowe. Buduje maszyny oblężnicze.

\* \* \*

Susannah prawie nie sypia. Gdyby jej bezsenność była całkowita, uznałaby to za łaskę. Bo nawet kobieta dotknięta ręką wysokiego, ciemnego mężczyzny, żeby przyspieszyć Koniec, nawet taka kobieta jak Susannah nie jest niepodatna na strach. Na lęk. Na przerażenie. Być konkubiną wiru nie oznacza, że jest się odporną na wiatr. Długo po północy, po wypełnieniu instrukcji dostarczonych do jej ciasnego pokoiku pod Biograph Theatre,

gasi świecę i siada na kanapie, żeby odpocząć. Chce tylko złapać oddech, oczyścić umysł, bo translacja, transkrypcja, a potem układanie nowych fragmentów planu wyczerpało ją jak zawsze.

Ale w kojących ramionach ciemności, myśląc o murze, ziemi niczyjej, lesie i chłopaku z Elmwood, popełnia błąd.

Zasypia.

Śni.

W snach nikt nie zostaje oszczędzony.

Nie ma czaru ochronnego przed objawieniami jadącymi na podwójnej helisie REM i NREM, wypluwanymi przez ciało migdałowate i układ limbiczny, wypełzającymi z zakamarków ukrytych głęboko w zwojach substancji szarej. W snach Susannah nigdy nie była świadoma, że śni, nigdy w życiu. To byłby inny rodzaj łaski. Światy z jej snów – przed i po powrocie *New Horizons* – zawsze, zawsze, zawsze były tak autentyczne jak świat na jawie.

Idzie bulwarem, który wydaje się nie mieć początku ani końca. Skorupy martwych budynków wznoszą się wysoko po obu stronach ulicy, a każda pusta rama okienna jest kolejnym oknem. Niebo nad nią jest czerwone od nienapotykalnych oporów szwadronów drifterów. Asfalt pod jej stopami klei się, jakby nigdy nie zastygł albo znowu się stopił. Ona dokądś idzie, nawet jeśli nie wie dokąd. Słyszy daleką artylerię, bezsilne dudnienie haubic. Ale nie ma nikogo, kto by walczył. To miejsce popadło w chaos.

Swędzenie doprowadza ją do szału, rozeszło się od biodra na całą nogę i brzuch. Ale Susannah się nie drapie, bo wtedy infekcja szybciej się rozprzestrzenia, a ona nadal ma tyle do zrobienia, zanim dołączy do innych w lesie.

– To ostatni dzień? – pyta niepewna, do kogo się zwraca, i nie spodziewa się odpowiedzi.

– Nie – mówi jakiś głos tuż za nią. Brzmi jak głos jej matki, ale Susannah nie ogląda się przez ramię. – Nie, Susanno. Ale on nie jest aż tak odległy. W tym dniu gwiazdy zgasną, jedna po drugiej. Czy nie to właśnie robisz, kiedy rysujesz na suficie? Wymazujesz gwiazdy?

– Więc na górze nadal są gwiazdy? Oprócz potworów?

– Patrz, gdzie stawiasz stopy – ostrzegawczo rzuca kobieta, która może być jej zmarłą matką albo nie. – Uważaj na stopy. Tutaj nie ma map.

– Nikt już nie naprawia dróg – stwierdza Susannah.

Potem dociera do krucyfiks zespawanego z zardzewiałych stalowych dźwigarów, drutu i gwoździ kolejowych, na którym wisi chłopak z Elmwood. Jeszcze nie jest martwy. Jak Chrystus na Kalwarii patrzy w niebo, jakby jeszcze mógł zostać wybawiony.

– Nikt po nas nie przyjdzie – mówi ona.

Wokół podstawy krzyża tańczy szczęśliwy krąg hebanowych żuków, śpiewając hebanowe pieśni pochwalne. Susannah myśli o zmiżdżeniu ich butem, wszystkich, żeby chłopak mógł przynajmniej cierpieć w spokoju.

– Zobaczmy – szepcze dzieciak z Elmwood ustami pełnymi krwi i połamanych zębów. – Nic nie jest pewne. Czy to nie jest nowa zasada?

– Nic ma nic nowego w niepewności – odpowiada Susannah.

Jego krew ma taki sam kolor jak brzuchy, szyje i spody skrzydeł drifterów.

– Pójdę za nich wszystkich, bo musi być ktoś, kto pójdzie za wszystkich – mówi chłopak.

– Kto tak powiedział? – pyta Susannah.

– Ja. Właśnie teraz.

– Nie. To powiedział ktoś przed tobą.

I wtedy widzi, że dziesiątki, dziesiątki innych ukrzyżowanych – może setki – ciągną się przed nią wzdłuż bulwaru. *To jest Droga Igieł*, myśli Susannah. *Droga Niewiernych*.

– Odejdź, czarownico – żąda chłopak. – Umieram. Nie chcę, żebyś tu była, kiedy umrę.

Susannah spełnia jego prośbę.

Idzie wzdłuż brzegu wyspy w popołudnie, kiedy ta wyłoniła się z morza, kiedy jeszcze ociekała mułem i szlamem. Stosy śluzic, chimer, węzowideł i strzykw wiją się wokół kostek Susanny, ale ona nie czuje żadnej odrazy. Plecami jest zwrócona do R'lyeh z jej zakrzywioną czasoprzestrzenią i udręczoną geometrią, całkowicie obcą architekturą, gdzie śpiący został uwięziony setki milionów lat przed powstaniem człowieka, kiedy kontynenty obijały się o siebie w bólach porodowych Pangei, a pierwsze małe gady śmigwały pod konarami parujących karbońskich dżungli.

*Ph'nglui mglw'nafh Cthullu R'lyeh wgah'nagl fhtagn.*

Nie, nie śpiewaj więcej tej pieśni. On się obudził.

Krwawe morze pluszcze o bazaltowy brzeg.

*A drugi wylał czasę swoją na morze; i przemieniło się w krew jakby umarłego, i wszelkie stworzenie żyjące w morzu zginęło.*

Na falach podskakują jak zabawki w wannie floty niszczycieli i lotniskowców, okrętów wojennych. Wkrótce śpiący, który już nie śpi, zmiecie je wszystkie, pośle prosto na dno oceanu. Zaczną spadać bomby wypuszczone z łodzi podwodnych i z silosów w Chinach, Nebrasce, Rosji, Indiach. Budzik na krzywej stercie książek w betonowym pokoju pod Chicago tyka, a potem cały świat będzie ogniem i światłem.

Ogień jest ścieżką w chłodny cień.

Zagładą dla błogosławionego, stałego mroku.

To dzień, kiedy dla Susanny otworzą się wrota, kiedy grzyba będzie więcej niż jej. Teraz ona zawsze śni tylko o otchłaniach za Plutonem i Charonem. To, co zostało z jej umysłu, jest kojone przez narkotyczny wpływ sporów krążących w mulistych resztkach jej krwi. Tak więc nie ma więcej bólu. Nigdy więcej nie będzie bólu. Ona idzie do lasu z tuzinem innych powłóczących nogami. Idzie ocienioną ścieżką między trzonami, które zawstydzilyby sekwoje (gdyby sekwoje jeszcze istniały). Znajduje miejsce wśród tych, którzy przyszedli tu przed nią, w ziejącej, mokrej wnęce jednego z trzonów, i pozwala, żeby ta słodka szpara ją przyjęła. Jeśli to jest las samobójców Dantego, las samobójców Williama Blake'a, przynajmniej nie ma harpii, które by szarpały ciała potępionych.

I jest spokój w jedności.

\* \* \*

Wszystkie wojny się kończą, nawet ta ostatnia. Nawet kompletna masakra, bo nie można zgodnie z prawdą powiedzieć, że jakaś się rozegrała. Jak napisał pan Wells: „łuki i strzały przeciwko błyskawicom”. I wiele tygodni później, wiele zapieczętowanych kopert później, wiele koszmarów później, wiele zmian na murze później, w dzień westchnienia, wreszcie nadchodzi koniec wojny.

Susannah patrzy z obwałowania, jak fala przetacza się przez ląd, miażdżąc, równając z ziemią, pochłaniając wszystko na swojej drodze. Jest wysoka i szeroka jak niebo. To nie jest fala wody. Porusza się tak wolno, że jest czas, by wieść o niej dotarła do miasta na wiele dni przed tym, jak stała się widoczna na południu. Susannah przypuszcza, że nadciąga ona od



R'lyeh. Z Piekła. Niektórzy uciekli z miasta, kierując się na pustynie, które kiedyś były Wisconsin. Ale tych uciekinierów jest niewielu, rozproszona parada ostatnich enklaw nadziei i determinacji. Są skazani na zaakceptowanie czekającego ich losu, więc Susannah może myśleć o nich tylko jak o tchórzach. Lepiej zostać tutaj i być świadkiem końca ludzkiej historii. Fala jest kurtyną teatralną opadającą za aktorami, którzy złożyli ostatnie ukłony i wycofali się za kulisy. Gdyby ją zapytać, musiałaby przyznać, że widok nie jest niemiły. Po ponad pięciu latach, niemal ćwierci jej życia, Susannah jest gotowa, bo odegrała swoją rolę w nadejściu tej chwili.

– To nie może być prawdziwe. – W szepcie dzieciaka z Elmwood jest więcej nabożnego podziwu niż przerażenia. – Sue, to nie może być prawdziwe.

– Jest prawdziwe – zapewnia go Susannah. – Niewiele rzeczy było bardziej prawdziwych od tej.

Chłopak unosi lewą rękę i wskazuje tam, gdzie zwykle był horyzont.

– Nic nie może być takie... – Urywa.

– Na swój sposób jest piękne – mówi Susannah.

Wstaje, żeby nie zacząć drapać się po obrzękach, czyrakach i gąbczastej tkance, które rozprzestrzeniły się z biodra na brzuch, między nogi, na całe plecy. Dawniej nikomu w tak zaawansowanym stadium zarazy nie pozwolono by zostać na murze.

Ale żebracy nie mogą wybrzydzać.

Fala sunie naprzód, tocząc się centymetr po centymetrze.

W jej ostatnim liście nazwano tę falę po prostu Shoggoth.

*Rozpaczaj, bo dzięki tobie nadchodzi anihilator nawet czasu, dawni buntownicy, których był legion, zostali uzdrowieni i natchnięci niepojętym celem, a imię jego Shoggoth.*

Czarny Faraon pozwolił jej odegrać rolę w tej zagładzie. Linie, kąty i szczeliny zaznaczone na tyłu tajnych ścianach w mieście, i oto są w drodze, położne i heroldowie fali. W nagrodę ci, którzy ich stworzyli, przejdą z kosmosu do postkosmicznej próżni z niewielką zachowaną cząstką godności. Oczywiście ten dar jest subiektywną rzeczą i niczym więcej; narodzeni z gwiazd zwiastuni zapomnienia – poczęci poza stworzoną z kwantowej piany kołyską tego wszechświata – nie rozdają wiernym darów, żadnych łask.

Nikt nie obsługuje haubic. Żadne odrzutowce nie startują na ostatni pokaz oporu. Nie ma nawet paniki na ulicach. Ludzie, którzy zostali w mieście, zaakceptowali to, co nadchodzi, i teraz jest tylko czekanie. Mają jeszcze najwyżej kilka godzin.

Dzieciak z Elmwood wskazuje na niebo. Kiedy Susannah podnosi wzrok, widzi, że gwiazdy gasną jedna po drugiej.

## Madonna Pickmana

W wiecznym zmierzchu Dolnej Krainy Snów bliźnięta stoją nad przepaścią, a za sobą mają odludny płaskowyż i szczyty Thok. Głęboko w otchłani, zagubione w cieniach, ciągną się zasłane szkieletami doliny Pnath. Wyobrażali sobie, ci dwoje z Góry, że jeśli zamkną oczy i wyteżą słuch, usłyszą grzechot kości i łoskot, który towarzyszy gigantycznym bholom przeczesującym te sterty. Nie ma nikogo, kto zobaczyłby te istoty i przeżył, żeby o nich opowiedzieć. Ale od czasu do czasu odgłosy ich pracowitości niosą się z wysokich łupkowych urwisk do uszu tych, którzy nasłuchują.

Bliźnięta, choć w części ludzkie, nie są w tej otchłani gośćmi ani turystami. To jest ich miejsce jak każdego ghula. Mogą zejść na jawie po siedmiuset stopniach do Wrót Głębszego Snu. Mogą przekroczyć je swobodnie; nikt nie zagrozi im drogi.

On ma na imię Isaac, ona Isobel. Urodzili się, nie przypadkiem, w ostatnich minutach wigilii Wszystkich Świętych dwadzieścia dwa lata temu. Jedno spojrzenie na którekolwiek z nich wystarczy, by docenić trafność nazwiska Snow. Ich skóra jest jak mleko, jedwabiste włosy tak białe jak to możliwe. Ale oczy są ciemnokarmazynowe jak rubiny, oczy, które widzą równie dobrze w tym mroku jak każde inne. Ich narodziny nie były łatwe i kosztowały życie ich matki. Hera widziała dzieci przez chwilę, zanim przyszła śmierć i zabrała ją ze zbryzganej krwią krypty, w której ci dwoje zostali wyciągnięci z owodniowego spokoju łona na hałaśliwy czyściec świata. Gdyby Hera Snow przeżyła, sama tylko w jednej trzeciej prawdziwa córka Ewy, kochałaby dzieci i byłaby z nich dumna, bo bliźnięta wyrosły tak, jak oczekiwały trzy rodziny i ich ojciec ghul.

Hera Salem Snow, Jankeska z Bostonu, urodziła się do bogactwa i władzy, które jej rodzina wytargowała stulecia wcześniej. Umowy z ghumami i mrocznymi bogami, zobowiązujące każdą z czterech rodzin –

Snowów, Cabotów, Tillinghastów i Endicottów – mówiły o oddaniu w każdym pokoleniu córki ghulom, żeby ci zrobili z nimi to, co uznają za stosowne. A za stosowne prawie zawsze uznawali splodzenie mieszanych dzieci. Hera sama była dzieckiem takiej pary i również takim darem, kiedy księżyc zdecydował, że teraz jej czas na krwawienie. Nie miała jasnej skóry ani jasnych włosów, ale oczy czerwone jak bliźnięta. I takie same apetyty jak one. Nie mogła jednak nawet aspirować do dzikości ich strasznych pragnień, bo syn i córka przerośli oczekiwania swojego ojca.

Na długo przed tym, jak w końcu pokazano im drogę na dół sekretnymi tunelami pod cmentarzem Mount Auburn, ci dwoje grasowali i zabijali. Nauczyli się sztuki tortur i tego, jak przedłużać cierpienie ofiar przed łaską ostatniego ciosu. Zaczęło się to – od kociąt, szceniąt, ptaków i królików – przed ich piątymi urodzinami. Jako nastolatki przerzucili się na dorosłe psy i koty, konia ze stajni Snowów, a zdali ostatni egzamin z kucharki. Kiedy z nią skończyli, pokroili ciało jak należy i ugotowali najlepsze kąski. Zjedli wspólnie ten posiłek, a potem po raz pierwszy pieprzyli się pod księżycem w pełni, na ołtarzu, który przygotowali na cześć Shub-Niggurath, Wszzechmatki i jej małżonka o Imieniu, Którego Nie Należy Wymawiać. Tamtej nocy pierwszy raz spróbowali nawzajem swojej krwi i tamtej nocy naprawdę splekli się ze sobą. Zostali sobie poślubieni pod ciemnością między gwiazdami, przez próżnię, która patrzyła, kiedy wymieniali nieświęte, niewypowiedziane przysięgi.

Teraz.

Stoją ręka w rękę nad czarną otchłanią Pnath. Przynieśli ze sobą w jutowym worku suchy szkielet swojej matki i teraz wrzucają kości, jedna po drugiej, w przepaść, zostawiając czaszkę na koniec. Isaac całuje czoło matki, Isobel robi to samo. Potem ciska Herę na jej ostatnie miejsce spoczynku wśród bholi. Bliźnięta losowały, które z nich dostąpi tego zaszczytu i obowiązku. Isaacowi nie udało się ukryć goryczy z powodu przegrania rzutu kostką ze steatytu. Isobel zawsze uważała jego ponure nastroje za szczególnie czarujące i wyjątkowo podniecające.

Po spełnieniu świętego obowiązku brat i siostra ruszyli wąską, brukowaną drogą prowadzącą do wielkiej metropolii Zin, miasta należącego do rasy gugów do czasu, kiedy przed dwoma laty bliźnięta poprowadziły armię ghuli, a ta zburzyła obwałowania, wdarła się za mury i rozpętała ogień. Bo ci dwoje stali się tym, czym istoty pół-modab nie mogły, jak sądzono, się stać. Razem dzięki śmiałym i tajemnym czarom

pozbawili urzędu Króla Kości i Królową Szmat – *Qqi d’Thashivę* i *Qqi Ashz’sarę* – i zajęli ich miejsca na tronie Thok. Skazywali na śmierć każdego, kto ośmielił się im sprzeciwić albo kwestionować ich prawo do rządów, wszystkich zdrajców i wichrzycieli. Te publiczne egzekucje były wykonywane z takim okrucieństwem i na tak szpetne sposoby, że wystarczyło ich niewiele, żeby uciszyć dysydentów. Wtedy bliźnięta stworzyły królestwo od nowa. Ghule już nie grzebały w ziemi i odpadkach, żeby gryźć chrząstki i wysysać szpik z wyschniętych, wykradzionych trupów. Isaac i Isobel zrobili z nich prawdziwą armię. Gugi zostały niewolnikami i nocnymi straszidłami. Każda paskudna istota, która pełza, fruwa, skacze albo chodzi na dwóch nogach, znalazła się pod panowaniem bliźniąt.

Wieczny zmierzch stał się nowym zmierzchem.

Bliźnięta rzadko wspinają się po siedmiuset schodach do Wrót Głębszego Snu i pieczary ognia, prowadzącej w górę do katakumb pod Mount Auburn. Nigdy, jeśli da się uniknąć powrotu. Takie sytuacje się zdarzają, bo Isaac jest prawowitym patriarchą, a Isobel prawowitą matriarchinią klanu Snow. Są też okazje, kiedy powrót wymuszają na nich obowiązki, tak jak było z ekshumacją ich matki. I wtedy, gdy w jaskini w sułtanacie Omanu, w dziurze na płaskowyżu Selma, znanym tam jako Khoshilat Maqandeli, a Arabom jako Majlis al Jinn, znaleziono Bazaltową Madonnę, *Qqi d’Evai Mubadieh*. Po „śmierci” artysty nazwiskiem Richard Upton Pickman bożek zaginął, jako że twórca nie wziął go ze sobą, kiedy schodził do podziemnego świata Dolnej Krainy Snów. Idol zniknął w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku, zabrany z majątku ruchomego malarza przez nieznaną kobietę albo mężczyznę lub coś, co nie było ani jednym, ani drugim. Jak trafił pod wypalone przez słońce wąwozy na południowych krańcach Półwyspu Arabskiego, nikt nie wie. Lecz wyjaśnienie tej tajemnicy nie jest ważne. Liczy się to, że posążek się odnalazł. Bliźnięta mają dość rozumu, żeby nie kwestionować zrzędzeń losu, a przyjmować jego dary, kiedy tak rzadko są wręczane.

Bruk wiję się i zakręca, aż w końcu ci dwoje docierają do ogrodów wysokich grzybów i tajemniczych roślin. Tutaj spędzili wiele cudownych godzin tylko w swoim towarzystwie. Za ogrodami wznosi się fantastyczny łuk obramowujący wejście do Zin, zbudowany z obsydianu, turmalinu i zielonego fluorytu. Przechodzą przez most nad fosą, a Isobel przez chwilę obserwuje krąg baniek powietrza unoszących się z atramentowej wody.

Trąby Strażników Muru ogłaszają przybycie króla i królowej, potężne wrota otwierają się na miedzianych zawiasach. Isobel wskazuje na wodę, jej brat rzuca na nią szybkie spojrzenie. Nie pierwszy raz fosa wyszeptałaby przepowiednię. Tym razem jednak zakłócenie wygląda jedynie na gaz uciekający z dna. Isaac jest trochę rozczarowany, Isobel szepcze obietnice pociechy. Potem wchodzą do królewskiego miasta, wrota się za nimi zamykają.

– A jeśli przygotowania nie są ukończone? – pyta Isaac.

Opuścili fortyfikacje bramne i dotarli do pierwszej z mrocznych alej. Zgodnie z ich rozkazami nikt nie wychodzi im na spotkanie, a na dźwięk ich kroków każdy ghul pada na kolana i pochyła głowę.

– Więc będzie ucztą w lochach – odpowiada siostra i się uśmiecha. Jej uśmiech, podobnie jak Isaaca, jest nieprzyjemny: nierówne żółte zęby, których oboje nie mają potrzeby piłować, bo urodzili się z uzębieniem mięsożerców. – Nie martw się. Przygotowania będą skończone.

W odpowiedzi on jedynie kiwa głową. Isobel ma rację częściej, niż się myli.

Kiedy docierają do pałacu, rozlega się jeszcze więcej trąb, nakazujących wszystkim w zasięgu słuchu paść na kolana. Bliźnięta idą ręka w rękę przez nieoświetlone korytarze, nie patrząc na suplikantów.

– Jesteśmy głodni, bracie?

Isaac nie odpowiada od razu, więc ona pyta znowu:

– Jesteśmy?

On się śmieje i całuje ją w prawy policzek.

– A kiedy nie jesteśmy?

– Jeszcze zostało trochę czasu do tej godziny – mówi ona.

– Tak.

Isobel każe więc przygotować posiłek, a służby zrywają się z klęczek, pędzą do spiżarni albo do stołu w wielkiej sali, żeby go nakryć.

\* \* \*

Jak do tej pory odnotowano, Bazaltowa Madonna pojawiła się pierwszy raz około piątego wieku *Anno Domini Nostri Iesu Christ*. Cóż, nie był to pan któregośkolwiek z mieszkańców Zin ani, jeśli już o to chodzi, Dolnej Krainy Snów. Nawet Górnej Krainy Snów. W Konstantynopolu pewien

mnich trafił na jednego z ghuli, które w tamtych czasach kryły się w zaułkach i opuszczonych budynkach wielu miast. Nieliczne ghule nadal zamieszkujące Świat w Górze były odważniejsze niż dzisiaj i nie ograniczały się do cmentarzy i ścieków. Tak więc pobożny mnich natknął się na coś, co mylnie wziął za nędznego trędowatego, który żuł coś w rynsztoku (mądrze nie przyjrzał się bliżej, co ghuł jadł), i zabrał nieszczęśnika do swojego opata. Opat, bystrzejszy niż mnich, szybko się zorientował, że osobnik z rynsztoka wcale nie jest człowiekiem, i w ten sposób sprawił, że „psy Kaina” – jak ich ochrzczono – zostały dostrzeżone przez obywateli świat chrześcijański. Jako że asymilacja jest nieodłącznie związana z tym systemem, opat (jego imię, podobnie jak mnicha, przypadło w historii, i dobrze) wysłał swoich zakonnych agentów, żeby ewangelizowali i nawracali te niewydarzone istoty, niezależnie od ich ohydnych zwyczajów, wyglądu i wątpliwego pochodzenia.

Wysiłki zakończyły się mniejszym sukcesem, niż opat by sobie życzył.

Bo ghule oczywiście miały swoich własnych bogów. Kiedy ludzkość dopiero miała wyjść poza swoje australopiteckie dziedzictwo, ghule już oddawały cześć swojemu panteonowi Pięćdziesięciu, Qqi. Wieki przed zgubną wojną z dzinnami umieli liczyć: jedna dłoń, dziesięć dłoni, pięćdziesiąt palców. Nie zamierzali porzucać kultu Wielkiego Amylostereum, Matki Paecilomyces, Camponotusa Niestrudzone Szczęki czy bezokiego, wszyszkowidzącego Clavicepsa w zamian za jednego boga, który nawet nie uznał za stosowne wysłać swojego męczennika do Dolnej Krainy Snów. Mimo to w każdej wspólnocie zawsze jest jakiś łatwowierny element, więc niewielka, ale głośna grupka, nie wyrzekając się Qqi, dokonała godnego uwagi aktu synkretyzmu. Utkali oni swój własny patchwork świętych istot z nauk mnichów. Powołali do istnienia Maghora Rostruma (patrona głodujących i bezzębnych), Mortifena Murarza Krypt, Panią Praksedę Wieloręką (akuszerkę przemienionych, którzy kiedyś byli tylko kobietami i mężczyznami), Pteropidiona o skrzydłach nietoperza, kaleką pannę młodą świętą Lilit (proszono ją o siłę, by przetrwać wygnanie i ból). Te imiona i wiele innych zostały w tysiąc siedemset drugim roku spisane dla czujnych oczu dzielnych i głupich poszukiwaczy tajemnic przez Francoise-Honore Balfoura w jego słynnej *Cultes des Goules*, tomie niemal natychmiast wpisanym na kościelny *Index Librorum Prohibitorum*.

Nie wiadomo dokładnie, jak Francois-Honore Balfour poznał te imiona, choć mądrze przypisywano ich znajomość jego związkom z garstką

jezuitów.

Te ghule, które sprytnie wymyśliły nowych „bogów”, stworzyły sobie również nowego idola, swoją własną Pietę, *Beáta Maria Virgo Perdolens*, żeby spełniała ich potrzeby, a wśród ludzi stała się znana jako Bazaltowa Madonna, *Basaltes Maria Virgo*.

\* \* \*

Kiedy Isaac i Isobel Snow skończyli surowy posiłek złożony z języka, nerek, jajników i serca bibliotekarki z Providence w Rhode Island, do czysta wylizali sobie nawzajem twarze i ręce, po czym udali się do komnaty, w której kapłani wzniesli ołtarz z czaszek i bloków skały wulkanicznej wydobytej z kamieniołomów Thok. Ołtarz ustawiono na szerokim podwyższeniu, a przed nim kapłani przygotowali łoże z mamucich futer i wyprawionych skór z pół setki zabalsamowanych trupów. Kopzące świece oświetlające komnatę zrobiono z tłuszczu ludzi i ghuli.

– Jesteśmy gotowi? – pyta Isobel.

Zanim Isaac odpowiada, przygląda się mosiężnemu wynalazkowi stojącemu niedaleko ołtarza. Pojedynczy słup bladego światła księżycowego wpada przez otwór w wysokim sklepionym dachu prosto na tę rzecz. Wygląda ona trochę jak sekstans, trochę jak zegar słoneczny, a jednocześnie jakiś wymyślny mechanizm zegarowy.

– Jesteśmy – mówi Isaac, a siostra się uśmiecha. Do tej godziny prowadziła długa, męcząca droga.

Tego, co zamierzają zrobić, nie da się odwrócić, co oczywiście czyni całą rzecz wysublimowaną. Bliźnięta stoją na progu spełnienia proroctwa wypowiedzianego po raz pierwszy ponad cztery miliony lat temu, po zakończeniu wojny z džinnami, na długo przed zetknięciem się ghuli z dogmatami chrześcijaństwa i przed tym, co one z nimi zrobiły. Nauki opata były jedynie – dla tych, którzy rozumieli – środkiem do celu. Środkiem do spełnienia przepowiedni, która nigdy nie miałyby szansy się spełnić, gdyby pewien mnich nie znalazł ghula w rynsztoku i nie przyprowadził go do klasztoru. Może istnieje nadzieja, marzenia i iluzja planu, ale to przypadki napędzają historię, bo historia to jedynie niezliczone splątane nici trafów.



Isobel rzuca spojrzenie na studnię, która otwiera się dwa metry za łóżem przygotowanym dla niej i brata. Nawet umysł tak radośnie pozbawiony poczucia winy i zły jak jej czuje lekki dreszcz na widok wyciosanego w skale szybu o średnicy dwa i pół metra i o tak nieprzeniknionej ciemności, że blask świec nie zostawia na niej nawet śladu. Tego rodzaju usta nie potrzebują zębów, żeby brać je poważnie. Były tutaj na długo przed zbudowaniem komnaty, na długo przed miastem Zin.

– Lepiej w nią nie patrzeć, siostró. – Isaac myśli o bazyliżkach i gorgonie Meduzie, ale tego nie mówi.

– Tak. – Isobel odwraca twarz od studni. – Ale...

– Tak jest lepiej – dodaje brat.

Ona się rozbiera, on idzie za jej przykładem. Szaty z żółtego jedwabiu i wełnianego adamaszku tworzą sadzawki u ich stóp.

*Szkoda, myśli ona, że to nie mogło być nasze ślubne łożo.*

– Szkoda – mówi Isaac – że to nie mogło być nasze ślubne łożo.

Isobel się uśmiecha i kiwa głową. Uśmiecha się dużo częściej niż Isaac; czasami myśli, że brat jest zbyt poważny. Według niej we wszystkich sprawach wskazana jest odrobina bez troski.

Na ołtarzu umieszczono Bazaltową Madonnę.

Na wpół ukryte w dziesięciu ramionach Matki Hydry spoczywa ciało zabitego mesjasza. Nie tego, którego, jak mieli nadzieję mnisi z Konstantynopola, z czasem ghule zaczną czcić. Ten mesjasz jest dostosowany do Dolnej Krainy Snów. Mógłby być wyrzeźbioną podobizną niemal każdego ghula, od lekko wilczej twarzy po kopyta. I o to chodzi. To mógłby być każdy ghul, gdyby któryś został stworzony doskonałym. Nie da się opisać doskonałości; widzi się ją i rozumie. Albo nie. Przez stulecia pojawiło się wiele podróbek Bazaltowej Madonny. Niektóre pochodziły z bluźnierczej sekty, czasami nazywanej (w książce Balfoura) „Bizantyjski Ghul”. Inne były tworzone przez szarlatanów i okultystów, liczących na to, że kopia okaże się równie potężna jak zaginiony (albo tylko ukryty) oryginał. Mylili się, bo bez błogosławieństw udzielonych tej pierwszej, prawdziwej *Basaltes Maria Virgo*, falsyfikaty były jedynie niepokojącymi kawałkami skały wulkanicznej. Tutaj, w tym miejscu, w wyznaczonym czasie Isobel Snow leży w objęciach brata, patrząc, jak blask świec pełga po kątach i krzywiznach bogini. Skamieniały łodziak wieńczący Matkę Hydre jest jej złotą aureolą, tyle że wzór jego spiral pochodzi z nieznannej matematyki. To organiczna manifestacja złotej krzywej, okrągłe łuki

łączące przeciwległe rogi kwadratów Fibonacciego – 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21 i 34. Samotna paleozoiczna skorupa wydobyta w tureckich łupków jest pociechą dla każdego oka, które spoczywa na idolu. Tyle że nie jest obca urodzonym w Świecie Powyżej albo w Krainie Snów, bo ręce tych, którzy żyją na Zewnątrz, miały zbyt duży udział w rzeźbieniu Madonny.

Po klęsce i upokorzeniu hierofant ghuli przepowiedział nadejście wielkiego wojownika, który poprowadzi ich do drugiej wojny przeciwko starym wrogom i przywróci ich w pełni światu na jawie. Ojciec i matka tego zbawcy będą bliźniętami zrodzonymi przez mieszaną sukę. Udręki się skończą, przeminą wraz z ofiarą Hery Snow, babki Boga. Wraz z narodzinami Isobel i Isaaca Snow.

W cieniu ołtarza on w nią wchodzi, a ona ciasno oplata go nogami. Z głębi studni dobiega muzyka piszczałek, świece palą się bladoniebiesko, kolorem fosforyzujących grzybów, które rosną w ogrodzie za miejskimi murami. Nie ma między nim żadnych słów. I nigdy nie będzie. Gdy on dojdzie i zaśnie pod nią, ona spojrzy na obsydianowy sztylet czekający na ołtarzu. Ostrze przetnie jej dłoń, kiedy ona po niego sięgnie, jej krew zmiesza się z krwią brata, gdy Isobel poderżnie mu gardło od ucha do ucha. Będzie sama, kiedy dziecko się urodzi, ale Isaac zawsze rozumiał, że nie dożyje exodusu z Zin, wyzwolenia jego ludu i Drugiego Królestwa.

– Kocham cię – szepcze ona, wiedząc, że nigdy więcej nikogo nie pokocha. Nawet córki, która w niej rośnie, żeby się urodzić, nim skończy się rok. Wkrótce Isobel rzuci jego kości do dolin Pnath, żeby dołączyły do kości ich matki.

– Nigdy nie zostaniesz zapomniany, Isaacu – szepcze.

Gdzieś pośród zmierzchu, który zawsze wisi nad miastem, rozlega się grzmot i dźwięk wielkich skrzydeł mielących powietrze. Ona całuje brata, a potem wstaje i sięga po nóż.

*Podziękowania dla Vic Ruiz,  
mojej partnerki w wiedzy o Ghūl*

## Opowieść domokrażczyni albo zemsta Isobel

– Jeśli jesteś pewna, że to historia, którą chcesz usłyszeć – uprzedziła sprzedawczyni myśli i różności jasnowłosą dziewczynkę, która nazywała ją Ciocią.

Nie były spokrewnione w żaden sposób, ale wielu ludzi w Ulthar nazywało domokrażczynię Ciotką albo Ciocią czy jakoś podobnie. Niewielu żyjących znało jej prawdziwe imię czy przeszłość. Większość uważała, że nieuprzejmie jest pytać, a ona nigdy sama o sobie nie mówiła.

– Powinnaś być pewna, a potem pewna, że jesteś pewna, zanim zacznę. Przeszłam długą drogę. A jutro opuszczę miasto i nieprędko wrócę. Tak więc upewnij się, że to jest opowieść, którą chcesz usłyszeć.

– Ciociu, jestem bardzo pewna – powiedziała dziewczynka niecierpliwie, a dwoje innych dzieci – obaj chłopcy – się z nią zgodzili. – Nie mam żadnych wątpliwości.

– No dobrze – ustąpiła stara kobieta, która nie była jej ciotką.

Odchyliła się na oparcie krzesła i zapaliła fajkę. Potem zmrużyła oczy i łypnęła przez dym na dzieci, które usadowiły się na podłodze między nią a trzaskającym kominkiem. Było też pięć kotów, z których żaden nie wydawał się w najmniejszym stopniu zainteresowany bajkami domokrażczyni.

Kobieta głęboko zaciągnęła się fajką i zaczęła:

– Wszyscy słyszeliście imię Króla Kości i opowieści o tym, jak doszedł do władzy. I o królowej, jego bliźniaczej siostrze Isobel.

Dzieci skwapliwie pokiwały głowami. Domokrażczyni zrobiła pauzę, bo wiedziała, że początek, jak wielu już zauważyło, nie jest sprawą, którą należy traktować lekko. W dodatku dziewczynka poprosiła ją o bardzo ponurą historię, przez co kwestia początku stawała się dużo bardziej

delikatna. Staruszka popatrzyła na swoją publiczność, a słuchacze na nią. Była wprawiona w ukrywaniu wyczerpania, nie zdradzała, jak bardzo jej zmęczone ścięga tęsknią za rzadkim luksusem miękkiego materaca. Obowiązek przed odpoczynkiem. Ta opowieść była ceną za dzisiejszy nocleg i wyżywienie, a ona była kobietą, która spłaca swoje długi.

Krótko po świcie prowadziła swojego silnego kuca pociągowego zaprzęzonego do wozu przez stary kamienny most spinający rzekę Skai, wartkie wody roztopowe z bulgotem spływające z lodowców wokół Mount Lerion i płynące na północ w stronę Morza Cerenariańskiego. Postąpiła chwilę na moście, podziwiając wschód wczesnojesiennego słońca, czysty zapach rzeki i widok na wschodzie, jak zawsze przyjemny: wzgórze usiane domami i farmami. Za sobą miała Nir i Hartheg, z których żadne nie przyniosło jej takiego zysku, na jaki liczyła. Przy tej liczbie kupców i rzemieślników – wydawało się, że z roku na rok jest ich coraz więcej – niewielu w wioskach i miastach potrzebowało usług druciarza, sprzedawcy różności, domokrądcy handlującego lekami i maściami, osoby gotowej na każdą poślednią pracę za kilka monet. Stała się anachronizmem, ale w tak zaawansowanym wieku nie byłoby praktyczne szukanie bardziej lukratywnego zajęcia.

Za polami uprawnymi mogła dostrzec przedmieścia Ulthar, ledwo widoczne w rzadkiej mgiełce, która zaczynała się rozwiewać wraz z nastaniem nowego dnia. Urodziła się w tamtym mieście i miała nadzieję spędzić w nim swoje ostatnie lata, jeśli los pozwoli. Nigdy nie myślała „jeśli bogowie pozwolą”, ponieważ już dawno nauczyła się, że głupotą i rzeczą niebezpieczną jest pokładać nadzieje w bóstwach i istotach, które uważają siebie za bogów.

– Isobel i Isaac, ghule urodzone na ziemi – ponagliła ją dziewczynka.

– Tak. Ale oni nie byli prawdziwymi ghulami, tylko mieszkańcami zrodzonymi z głównie ludzkiej matki. Byli jasnowłosi, niektórzy nawet mówią, że piękni, skórę mieli białą jak mleko, oczy czyste i niebieskie jak szafiry. Ich pochodzenie rzadko było widoczne. Z wyjątkiem apetytów i bezwzględności. Mimo to pragnęli rządzić jako ghule. Dzięki zdobyciu potężnego, strasznego artefaktu zbudowali armię i zaatakowali prawowitego Króla i Królową Kości i Szmat i...

– *Qqi d'Tashiva* i *Qqi Ashz'sara* – przerwała jej dziewczynka. – A ten artefakt to Bazaltowa Madonna, *Qqi d'Evai Mubadieh*, i, ciociu, słyszałam...

Staruszka uniosła brew i uciszyła ją groźnym łypnięciem.

– Która z nas opowiada tę historię? A poza tym nie sądzę, żeby twojej mamie i twojemu tacie spodobało się, że papłasz w trupim języku.

Jeden z kotów, tusty i pręgowany, skoczył na kolana domokrażczyni, przeciągnął się i ułożył do drzemki. Staruszka pogłaskała go po głowie. W jej włóczęgach daleko od brukowanych ulic promiennego Ulthar koty mogły być tym, za czym najbardziej tęskniła. Od stulecia mieszkańcy miasta mieli zakaz krzywdzenia kotów z jakiegokolwiek powodu pod karą śmierci albo wygnania. Niewiele ludzkich praw kobieta uważała za mądre i bezsprzecznie sprawiedliwe, ale to z pewnością było jednym z tych nielicznych.

– Tak. Takie tytuły przybrały bliźnięta Snow, kiedy wszystkie siły Thok padły przed nimi i przed ogniem, którym one władały, kiedy nawet miasta gugów i krypty Zin leżały u ich stóp, kiedy poddały się wielkie stada nocnych strazydeł. W dniach, które nastąpiły po tej wojnie, kiedy sama byłam małą dziewczynką, również tutaj bano się, że Isaac Snow może nie zadowolić się rządzeniem cieniami Dolnej Krainy Snów, że może mieć większe ambicje i powstać przeciwko światu ludzi. Wiecie oczywiście, że do niczego takiego nie doszło. Nie siedzielibyśmy tutaj, a ja nie opowiadałabym wam tej historii, gdyby sprawy tak się potoczyły. Wszyscy mieliśmy szczęście, bo wielu generałów wierzyło, że potęga bliźniąt jest tak wielka, iż nikt nie zdoła się jej oprzeć. Jest spisane, że Snowom do dzisiaj wystarcza panowanie nad istotami z Dolnej Krainy Snów.

– Ale... – zaczęła jasnowłosa dziewczynka, ale tym razem to domokrażczyni jej przerwała.

– Dziecko, choć większość uważa to za prawdę, są tacy, którzy szeptem opowiadają tajną historię wojen ghuli. I jeśli można wierzyć tym innym relacjom – a ja gwarantuję, że jest paru kapłanów i uczonych, którzy przysięgną, że tak – bliźnięta nigdy nie były jednomyślne. W rzeczywistości mówi się, że Isaac bardzo bał się swojej siostry, bo to samo proroctwo, które przepowiedziało ich zwycięstwo, mówiło również o narodzinach ich córki.

– Bał się własnego dziecka? – zapytał chłopiec siedzący po prawej stronie jasnowłosej dziewczynki.

– Tak.

– Ale dlaczego?

– Jeśli łaskawie przestaniecie zadawać pytania, właśnie do tego zmierzam, tak się składa.

Domokrążczyni przez chwilę żuła cybuch fajki i głaskała kota po głowie. Kocur zamruczał, a ona przez chwilę zastanawiała się, czy nie zmienić koni na środku strumienia i nie zaproponować, że opowie inną historię, nie o wojnie i jej okropnościach i nie tak zaludnioną przez ghule, półghule, gnijące nekropolie. Gdyby kontynuowała, prawdopodobnie skończyłoby się koszmarami dla niej i dla dzieci. Równiny Pnath i szczyty Thok leżały daleko, a bitwy rozegrały się dawno temu, ale ani czas, ani odległość nie mogły powstrzymać zjaw.

Jednak o tę właśnie opowieść prosiły dzieci i domokrążczyni im ją obiecała, a nie była kobietą, która nie dotrzymuje słowa.

– Przekazywano sobie to proroctwo, odkąd ghule zostały pokonane przez dżinny i wyrzucone z arabskich pustyń do Dolnej Krainy Snów, a więc po trzykroć milion lat przed tym, jak zbudowano pierwsze ludzkie miasto. Przepowiednia głosiła, że pewnego dnia bliźniętom półghulom i albinosom urodzi się córka, która wyrośnie na mesjasza, zbawczynię, dużo potężniejszą od okropnych rodziców. Poprowadzi ona Ghül, tak mówiło proroctwo, przez Zaczarowany Las, potem w górę po siedmiuset stopniach do Wrót Głębszego Snu i dalej na Świat na Jawie. Tam potężne dżinny spotka zasłużony los dzięki tej samej piekielnej broni, którą jej matka i ojciec władali w Thok...

Domokrążczyni umilkła dla efektu i przez chwilę pykała z fajki. Powietrze w pokoju zrobiło się tak pełne napięcia jak struna harfy, a trójka dzieci lekko pochyliła się do przodu.

– Ale? – wyszeptała dziewczynka.

– Ale – podjęła domokrążczyni, wypuszczając dym nosem – powstanie ghuli byłoby również upadkiem ojca ich zbawczyni. Bo najpierw, tak mówiło proroctwo, córka musiała zamordować ojca i zagarnąć oba trony dla siebie. Oszczędziłaby matkę, ale w Thok już nigdy miało nie być króla i królowej. Te nieśmiertelne tytuły miały zniknąć z pamięci, a potem ze wszystkich wspomnień. Król Kości i Szmata wierzył w proroctwo, bo czyż nie przepowiedziało ono narodzin jego i siostry, ich zejścia do Podziemia i wstąpienia na tron? Jasne, że tak, a skoro ta część nie była fałszywa, jak mógł nie bać się tych fragmentów, które dopiero miały się ziścić? Jasne, że był przerażony, bo nawet taki potwór jak on może się bać własnego unicestwienia i niezgłębionych tajemnic wróżbiarstwa. Co więcej, wkrótce

odkrył, że królowa Isobel Siany Snow – bo tak brzmiało jej pełne nazwisko – już jest w ciąży. Że zaszła w nią wkrótce po tym, jak wybuchła wojna, kiedy ona i on byli dopiero chmurami zbierającymi się na horyzoncie.

I tutaj domokrażczyni odeszła na chwilę od prostej narracji, bo nagie kości historii są nudną rzeczą i powinny być stosownie obleczone w strój atmosfery i szatę nastroju. Zbyt łatwo ta opowieść mogła się stać suchą recytacją „może tak było”, „tak powiadają”, „mogło tak się zdarzyć”. Tak więc słowami zręcznie odmalowała obrazy wiecznego zmierzchu zalegającego nad przerażającą doliną Pnath, gdzie gigantyczne bhole przekopują się przez niezgłębione warstwy przezutych kości nagromadzonych w rozległej kotlinie. Opowiedziała o wysokich lasach fosforyzujących grzybów, które napierały ze wszystkich stron na ziemie leżące w cieniu poszarpanych szczytów Thok, gór tak wyniosłych, że sięgały niemal sklepienia Dolnej Krainy Snów, przyozdobionego stalaktytami. To ghule, wyjaśniła, zrobiły z Pnath równinę suchych kości i popękanych czaszek, bo spędziły nieskończone wieki na wrzucaniu resztek swoich niewyobrażalnych uczt w przepaść za urwiskami. W tej krainie każdy haust powietrza cuchnął śmiercią i rozkładem. Bo było to królestwo grobu. Siedziba niepojętych koszmarów.

– A, i jeszcze ghasty. – Domokrażczyni pokiwała głową. – Powinnam o nich wspomnieć. Straszliwe, złe, skradające się bestie, których ukąszenie jest tak jadowite, że nikt nie może go przeżyć. Gugi, architekci Zin, polowali na nie i pewnie nadal polują. Ale gugi też się ich boją.

Teraz oczy słuchaczy zrobiły się wielkie. Dzieci zaczęły od czasu do czasu oglądać się przez ramię na ogień i w górę na jesienną noc napierającą na okna pokoju.

– No, ale strasznie odbiegłam od tematu, prawda? – Domokrażczyni zmarszczyła brwi, udając irytację na samą siebie. – To pewnie wiatr muskający okapy sprawia, że mój umysł błądzi.

– Ciociu, nam to nie przeszkadza – wyszeptała dziewczynka, a chłopcy jednocześnie pokiwali głowami.

– Więc dobrze, ale będziemy tu siedzieć, aż kur zapieje, jeśli dalej będę tak paplać. Na czym stałam?

– Isobel już była w ciąży – odpowiedział chłopiec, który wcześniej się odezwał.

– Tak. Tak było. Isobel, Królowa Kości i Szmat, była w ciąży z bratem, a kiedy Isaac Glyndwr Snow się o tym dowiedział, przeraził się, że to

oznacza jego śmierć. Wszystko działo się dokładnie tak, jak obiecywało proroctwo. Po raz pierwszy oddalił się od siostry, stał się jeszcze bardziej skryty, spędzał długie godziny sam albo w towarzystwie swoich konkubin. Zaczął pić i palić opium, żeby w jego objęciach zapomnieć o swoich troskach. W miarę jak brzuch Isobel rósł, w jego podstępny, niespokojnym umyśle roilo się od intryg i planów, dzięki którym miał zapobiec spełnieniu się proroctwa i oszukać własne przeznaczenie. Postanowił zabić siostrę. Tak. Właśnie to musiał zrobić. Choć naprawdę kochał Isobel i dobrze wiedział, że nigdy, przenigdy nie pokocha innej kobiety, musiał ją zamordować. Bo, widzicie, on siebie kochał dużo bardziej. Ale rozumiał również, że musi postępować z najwyższą ostrożnością. Bo choć było prawdą, że mnóstwo ghuli jest mu tak fanatycznie oddanych, że chętnie zostaliby zabójcami nawet swojej własnej królowej, było również prawdą, że Isaac miał wrogów. Mieszkańcy Thok w większości byli podbitymi, złamanymi istotami, ale także wielu ghuli gardziło bliźniętami, nazywało je uzurpatorami, spiskowało w tajemnicy i knuło przeciwko koronie. Doradcy ostrzegali Isaaca Snowa, że nawet ognie Bazaltowej Madonny mogą go nie uratować w razie otwartej rewolty. Bo wcześniej on i Isobel mieli element zaskoczenia po swojej stronie. Na tę przewagę już nie mogli liczyć. Co gorsza, chodziły słuchy, że niektórzy spośród dysydentów zaczęli składać ofiary... Nie wymienię tutaj imienia, bo nikt nie powinien go wypowiadać, ale mam na myśli demona sułtana, który służy ślepeму, szalonemu chaosowi w centrum wszechświata.

Dzieci wyglądały na rozczarowane. Jasnowłosa dziewczynka mamrotała coś do siebie.

– W każdym razie Król Kości powziął decyzję – ciągnęła handlarka – i nic nie mogło odwieść go od zimnego, okrutnego postanowienia. Chciał zobaczyć Isobel martwą, wybrał metodę i godzinę. Szczególnie haniebne było to, że tchórzliwie wyznaczył kogoś innego do tego zadania. Z początku zamierzał sam dokonać tego czynu, co wydawało się słuszne i zgodne z jego spaczonym pojęciem o tym, co dobre, a co złe. Ale doradcy przekonali go, że rozważniej będzie, jeśli jego siostra poniesie śmierć z innej ręki. Wtedy mógłby osądzić zabójcę i stracić go publicznie, dzięki czemu byłoby mniej pytań w związku ze smutnym losem królowej. Gdyby odkryto, że *Qqi d'Tashiva* zamordował matkę dziecka, które ma wyzwolić wszystkie ghule i poprowadzić je do zwycięstwa nad dzinnami...



– Wtedy byłoby mnóstwo rozgniewanych ghuli – odezwała się dziewczynka.

Domokrążczyni skinęła głową, nie besztając jej, że kolejny raz jej przerwała.

– Tak. To nie drobiazg zabić nadzieję całego ludu, nawet jeśli ten lud to gromada paskudnym ghuli.

Jedno z dzieci ziewnęło, a handlarka od razu spytała:

– Mam przerwać? Robi się późno, a wy troje powinniście już dawno być w łózkach.

– Nie, ciociu, proszę. – Dziewczynka zdzieliła w tył głowy chłopca, który ziewnął. – Nie jesteście zmęczeni, ani trochę. Proszę, mów dalej.

– Proszę – wymamrotał chłopiec, masując głowę.

– Dobrze. – Domokrążczyni odłożyła fajkę, która zgasła w połowie opisu Dolnej Krainy Snów. – No więc król zdecydował, że jego siostra musi umrzeć, i wybrał ghula, który miał poderżnąć jej gardło, kiedy będzie spała. Isaac nie powiedział o tym nikomu oprócz garstki tych, którym ufał i wierzył, że nie są zdolni do zdrady. Mylił się jednak. *Qqi Ashz'sara* była w każdym calu równie nikczemna, nieufna i perfidna jak jej brat. Przedsięwzięła środki ostrożności. Umieściła szpiega, ghula o imieniu Smutek, w wewnętrznym kręgu Isaaca. Smutek był tak szlachetny, jak szlachetny może być ghul, czyli nieszczególnie, ale kochał się w swojej królowej, a Isobel nie wątpiła, że chętnie zginie, żeby ją chronić.

– To bardzo dziwne imię – stwierdziła dziewczynka.

– Był ghulem – odparła domokrążczyni. – Spodziewasz się, że miałby na imię George, John Carlos lub Aziz? Miał na imię Smutek, bo znalazł je na nagrobku ukradzionym z cmentarza w Świecie na Górze i przyniósł go do Świata na Dole.

– Ale mówiłaś – wtrącił chłopiec, który wcześniej ziewnął – że dzinny wypędziły ghule do...

– ...jako całość, owszem. Tak powiedziałam i tak było. Ale zawsze trafiali się tacy, którzy ryzykowali gniew dzinnów, ukrywając się wśród ludzi ze Świata na Jawie, opanowując cmentarze i katakumby.

– Aha – mruknął chłopiec, wyraźnie zdezorientowany.

– Jak mówiłam, Isobel Snow ufała temu ghulowi, że będzie przekazywał jej wieści o działaniach brata. Gdy tylko Smutek dowiedział się o planie zamordowania królowej, pognął do niej z wiadomością.

– Pognął? – powtórzyła dziewczynka.

– Tak. Pognał. Ghule to robią. Skaczą, skradają się i gnają, a jako że to ostatnie jest najwłaściwszym sposobem poruszania się, Smutek pognał do Isobel, by ostrzec ją, że ona i jej nienarodzone dziecko są w straszliwym niebezpieczeństwie. Królowa go wysłuchała, nie mogąc uwierzyć, że to prawda, ale również nie zakładając, że nie. Bliźnięta były, jak to zwykle bywa z bliźniętami, dwoma ziarnkami grochu z tego samego strąka. Isobel przyznała się Smutkowi, że na miejscu brata podjęłaby taką samą decyzję. Smutek powiedział jej, że ma dwa wyjścia. Może spróbować walczyć. Te same ghule, które chętnie strąciłyby króla i królową z tronu, powinna zebrać wokół siebie, zdobywając ich przychylność obietnicami, że abdykuje, i podkreślając, że jest przecież matką zapowiadanej zbawicielki. Albo może uciec.

– Ja bym uciekł – powiedział chłopiec, który ziewał.

– Ale ty jesteś nędznym tchórzem – odezwał się drugi chłopiec, siedzący po prawej stronie dziewczynki. – Zawsze uciekasz przed walką.

– No tak – powiedziała domokrażczyni. – Nigdy nie słyszeliście, że rozważa jest lepszą stroną waleczności? Prawdziwa mądrość to wiedzieć, kiedy okoliczności nam nie sprzyjają, a Isobel wiedziała, że tak właśnie jest. Dlatego wysłała Smutka, żeby uzyskał pomoc innego ghula urodzonego na ziemi, który kiedyś był człowiekiem w Świecie na Jawie, Richarda Pickmana. W ciągu wieku, odkąd Pickman przybył do Thok, zdobył sobie wśród ghuli wysoką pozycję, a w czasie wojny walczył przeciwko Snowom. Potem się ukrył, ale Smutek znał miejsce jego pobytu i wiedział również, że Pickman ma możliwość zorganizowania pośpiesznej ucieczki królowej i za odpowiednią cenę im pomoże.

– Ale czy on się nie bał? – zapytała dziewczynka.

– Bez wątpienia, ale Pickman nie wierzył w prorocstwo i był przekonany, że pojawienie się bliźniąt albinosów jest zwykłym zbiegiem okoliczności. Był zdania, że ci dwoje to hochsztaplerzy i oszuści, którzy dostrzegli szansę wykorzystania ignorancji i przesądów i tak zrobili. Z pewnością nie wierzył, że dziecko, które urodzi się z tego związku, będzie wyzwolicielem ghuli. Richard Pickman wątpił, czy wojna z dzinnami w ogóle kiedyś się rozegrała. Był heretykiem pierwszej wody, niewierzącym w każdym calu. Nie żeby nie współczuł Isobel i jej losowi. Nie. Co więcej, uważał, że póki jej dziecko będzie żyło, Isaaca Snowa będzie osłabiał strach przed własną córką. Pickman sądził również, że jego pewność siebie zostanie podkopana,

jeśli nie uda mu się zamordować siostry. Żadne ze Snowów nie przywykło do porażek.

– Byli strasznie aroganccy – stwierdził chłopiec, który ziewał. Potarł oczy i pogłaskał kota zwiniętego na podłodze obok niego.

– Na pewno, i to bardziej, niż potrafią wyrazić słowa. Isaacowi nie przyszło na myśl, że jego plan zostanie udaremiony. Powiadają, że pierwszą rzeczą, którą poczuł po otrzymaniu wieści, że jeden z jego zaufanych, ghul imieniem Smutek – nie George, Juan Carlos czy Aziz – zaczął się na królewskiego zabójcę i go pokonał, no więc pierwszym wyrazem, jaki pojawił się na twarzy Isaaca tamtej nocy, nie był gniew, lecz zdumienie, że mógł przegrać.

– I dobrze mu tak – wtrąciła dziewczynka.

Domokrążczyni wzruszyła ramionami.

– Może, jeśli wybacza się Isobel jej własne zbrodnie i robi z niej bohaterkę tylko dlatego, że straciła łaski brata. Tak czy inaczej, kiedy skrytobójca został zabity, Pickman, Smutek i kilka innych ghuli wyprowadzili ją z pałacu i z Thok na wąskie górskie szlaki i dalej przez nawiedzaną przez bhole dolinę Pnath. W końcu dotarli do krypt zrujnowanego Zin, nawiedzonego miasta gugów, i poszli prosto do potężnej centralnej wieży, najwyższej spośród dwustu wież tak wysokich, że z ziemi nikt nie mógł dojrzeć czubków iglic. Otworzyli ogromne wrota z sygilem Koth – straszną, okropną płaskorzeźbą, na którą Isobel i Smutek nie mieli odwagi spojrzeć. Powiem wam, dzieci, że historia tamtej wieży sama jest przerażająca i prawie zaginęła w mrokach starożytności.

– Może opowiesz ją nam następnym razem – odezwał się chłopiec siedzący po prawej stronie dziewczynki.

– Może. Zobaczymy. W każdym razie za tym posępnym wejściem znajdowały się schody, które wily się w górę i w górę... i w górę do masywnej kłapy z gładkiego czarnego kamienia. Mówi się, że trzeba dwóch dni męczącej wspinaczki, żeby dotrzeć na szczyt tych schodów, i że siła wszystkich obecnych tam ghuli ledwo wystarczyła, żeby unieść klapę. Ale ją otworzyli i tak Isobel Snow, Królowa Kości i Szmat, *Qqi Ashz'sara* wyśliznęła się z lodowatych palców brata i uciekła do Górnej Krainy Snów. Z ghuli tylko Smutek poszedł z nią, a inni wrócili z Richardem Pickmanem, który, jak już mówiłam, miał nadzieję, że jej ucieczka będzie początkiem końca panowanie Isaaca Snowa. Pickman poinstruował Smutka, żeby zaprowadził królową na wygnaniu przez Zaczarowany Las do rzeki Xari,

gdzie będzie czekała barka, która zawiezie ich do miasta portowego Jaren, skąd kupią bezpieczną przeprawę przez migotliwe morze do Serannian. Nawet Isaac Snow nie byłby choć w połowie tak odważny, żeby zapuścić się tyle mil od Podziemia, nie mówiąc o próbie sforsowania wysokich murów wyspiarskiego królestwa Serannian.

– Ludzie z Serannian ich wpuścili? – zapytała dziewczynka sceptycznie.  
– Ghula i albinoskę półghula?

– Można by sądzić, że nie, prawda? Ale panowie Serannian byli łaskawi. I jak już mówiłam, gdy niektórzy generałowie i przywódcy ludzi dowiedzieli się o odkryciu przez Snowów dawno zaginionej *Qqi d’Evai Mubadieib* i o późniejszej walce, bali się, że bliźnięta mogą nie zadowolić się rządami nad Dolną Krainą Snów. Tak więc uznali przybycie Isobel Snow i wieść o rozdźwięku między królem i królową za dobry omen. Co więcej, jest rzecz, której jeszcze wam nie wyjawiałam, pewnie najważniejsza część opowieści, oś, wokół której kręci się cała fabuła.

Dzieci usiadły prosto, bo co mogło być ważniejszego od ucieczki królowej ghuli?

– Kiedy Isobel Snow opuściła szczyty Thok i pałace królewskiej nekropolii, zabrała ze sobą Bazaltową Madonnę.

Rozległo się zbiorowe westchnienie publiczności, a domokrażczyni poczuła odrobinę satysfakcji. Skoro musiała opowiedzieć tę historię, przynajmniej jej waga nie umknęła słuchaczom, ona przynajmniej wiedziała, że nie straciła umiejętności snucia opowieści. Chciała rozpaść fajkę na nowo, ale to nie była pora, żeby sobie przerywać. Zbliżała się do końca.

– Ale skoro miała broń, dlaczego nie skierowała jej przeciwko bratu? – zapytał chłopiec po prawej stronie dziewczynki.

– Nie wiem – odpowiedziała domokrażczyni. – Nikt nie wie, nikt z obecnie żyjących. Może nie w pełni rozumiała jak albo nie była w stanie użyć Madonny bez niego. Może to wymagało ich obojga. A może po prostu kochała Isaaca za bardzo, żeby go zabić.

– Albo się bała – wyszeptał chłopiec, który ziewał.

– Może. Jakikolwiek był powód, nie wykorzystwała jej przeciwko bratu. Zabrała ją ze sobą, a kiedy Isaac Snow to odkrył, ona była już poza jego zasięgiem. Kiedy dotarła do Serannian, ona i Smutek zostali aresztowani i zaprowadzeni przed Radę Lordów. Isobel opowiedziała im swoją historię i pokazała *Qqi d’Evai Mubadieib*. Poprosiła o schronienie i je dostała, choć

odmówiła oddania Bazaltowej Madonny ludziom z miasta na morzu. Właśnie tam urodziła się jej córka i dostała imiona Elspeth Isa. W tętniącym życiem i bezpiecznym Serannian Elspeth wyrosła na silną kobietę. Silną i bardzo inteligentną, dodałabym. Wiosną w dziewiętnastym roku życia dostała miejsce w Radzie i je przyjęła. W tym samym roku jej matka umarła na chorobę krwi, która od narodzin nękała ją i jej brata...

– Ciociu, wcześniej o tym nie wspominałaś – przerwała jej dziewczynka.

– Wcześniej to nie było ważne. Teraz jest. W każdym razie kiedy matka Elspeth Snow umarła, Bazaltowa Madonna przeszła pod jej pieczę.

– A co się stało ze Smutkiem? – zapytała dziewczynka.

– O, nadal żyje. Stał się najlepszym przyjacielem i powiernikiem Elspeth. Dla ghulki w jednej czwartej jego towarzystwo było kojące. Ale... to jeszcze nie koniec opowieści. Jest coś więcej.

– Brzmiało jak koniec – zauważył chłopiec, który ziewał.

– Zupełnie jak koniec – poparła go dziewczynka.

– Cóż, skoro tak chcecie. Mogę tutaj przerwać. Jestem zmęczona i...

– Nie, nie, proszę – odezwał się chłopiec siedzący po prawej stronie dziewczynki. – Opowiedz resztę. Jeśli jest coś więcej, nie możesz teraz przestać.

– A dlaczego? – zapytała domokrażczyni.

– Mój tata mówi, że niedokończona opowieść to niegodziwość.

Gdzieś w domu skrzypnęły drzwi i zostały zamknięte nieco zbyt mocno. Cała trójka dzieci spojrzała w tamtą stronę. Kot leżący na kolanach handlarki otworzył jedno oko, naprawdę rozdrażniony, że go obudzono.

– No więc – powiedziała domokrażczyni, która nie drgnęła na trzask drzwi – twój tata uważa, że historie mają zakończenia, co oznacza, że według niego mają również początki. Ty w to wierzysz, dziecko?

Chłopiec wyglądał na niego zakłopotanego jej pytaniem.

– No... a nie mają? – bąknął.

– Nie sądzę. Z drugiej strony jestem tylko biedną handlarką, która sprzedaje różności, naprawia złamane koła wozu, lecz kurzajki, ale... nie, nie wierzę. Kapłani i uczeni mogą się nie zgadzać, choć śmiem twierdzić, że niektórzy się zgadzają. Ale spytałabym was, czy nasza historia zaczyna się, kiedy bliźnięta Snow wypowiedziały wojnę i podbiły Thok, Pnath i całą Dolną Krainę Snów. Czy początkiem było, kiedy znaleźli *Qqi d'Evai Mubadieib* w Świecie na Jawie, Świecie na Górze, ukrytą w pieczarze

zwanej Khoshilat Maqandeli daleko na arabskich pustkowiach? Ale nie, bardziej prawdopodobne jest, że początek był wcześniej, w noc, kiedy bliźnięta skonsumowały swoją kazirodczą miłość na ołtarzu wzniesionym na cześć Shub-Niggurath, Wszechmatki i małżonki Tego-Którego-Imienia-Nie-Należy-Wymieniać.

Domokrażczyni umilkła na chwilę, w duchu upominając siebie za nieostrożność i wymówienie imienia jednego z Wielkich Starych Bogów, i co gorsza, za wymówienie go w obecności trójki dzieci. Sięgnęła po wygasłą fajkę i wsadziła cybuch między żółte zęby. Żuła go przez jakiś czas, zanim podjęła opowieść.

– Może tak, a może historia zaczęła się, kiedy Alma Shaharrazad Snow, która podawała się za Herę, urodziła bliźnięta. Albo w noc, kiedy została zaprowadzona przez matkę do kolonii ghuli w ziemskim mieście zwanym Bostonem, żeby poślubić ghula. A może wszystko zaczęło się dużo wcześniej, kiedy rody Snowów, Tillinghastów, Cabotów – wszyscy członkowie klanu – zawarli pakt z ghumami, że dostaną bogactwa i władzę w zamian za płodzenie mieszanych dzieci. Albo jeszcze dawniej, kiedy Ghul głupio rozpętało wojnę z pradawnymi wrogami dzinnami. Albo...

– Myślę, że rozumiemy – przerwała jej dziewczynka.

– To dobrze. – Domokrażczyni zmusiła się do cienia uśmiechu. – To dobrze, bo myślę, że to bardzo ważna lekcja.

– Więc... co się wydarzyło potem? – spytał chłopiec, który ziewał. Teraz był całkiem rozbudzony.

– Cóż, Elspeth Snow nie tylko wyrosła na olśniewającą kobietę i przywódczynię Serannian. Studiowała również strategię militarną, nauczyła się sprawnie walczyć mieczem, łukiem i strzelbą. Zgłębiała tajemnice Bazaltowej Madonny. Dowiedziała się dużo o historii rasy ghuli od Smutka, który nigdy nie poczuł się jak w domu w świecie ludzi i tęsknił za tym, żeby wrócić do Thok. Za dużo słońca, rozumiecie. Córka Isaaca i Isobel Snow kochała starego ghula i zawsze chciała, żeby mógł wrócić, i skoro już o tym mowa, żeby ona sama miała okazję zobaczyć ziemię, którymi kiedyś władała jej matka, choćby krótko. Mówi się, że chciała nawet spojrzeć w twarz swojego ojca. Nienawidziła go za to, co zrobił jej matce i Smutkowi, ale jakaś jej część pragnęła go kochać, tak jak kochała go Isobel. W rezultacie nie potrafię powiedzieć, co sprawiło, że Elspeth została żołnierką, ale nią została. Kimś więcej niż żołnierką, została kapitanem gwardii seranniańskiej i przed trzydziestymi urodzinami

awansowała na najwyższy stopień. To wtedy zebrała armię złożoną z mieszkańców Serannian, żeby pomaszerować przeciwko despotycznemu *Qqi d'Tashiva* i położyć kres jego tyranii. Pozyskała dla swojej sprawy również kobiety i mężczyzn z Cydathrii, z Thran Kled, z plemion Kamiennej Pustyni i Oonai, a nawet przerażających *shi'earya* z dalekich wzgórz Implan. Wzięła broń, której jej matka i ojciec użyli, żeby zmiążyć Stare Królestwo Ghūl, i w letnią noc poprowadziła swoje wojsko do Zin przez dolinę Pnath. Tam dołączyła do niej inna armia, zbuntowani żołnierze ghule, którzy podążyli za Richardem Pickmanem, ghulem urodzonym na ziemi i niegdyś człowiekiem. Pickman stał się otwartym wrogiem Króla Kości i Szmata i dawno temu uciekł z Thok, żeby uniknąć szubienicy. Nocne straszidła i to, co zostało z rasy gugów, również za nią podążyło, kiedy w otchłani pod górami stanęła naprzeciwko armii ojca. Bitwa była krótka, bo Elspeth Snow postanowiła wypuścić ogień buzujące w Madonnie. Kiedy skończyła, pole jej zwycięstwa było spaloną równiną, na której kamień stopił się na żużel, a z kości wrogów nie został nawet popiół.

Dziewczynka przestała gryźć dolną wargę i spytała:

– A co z królem? Czy ona zabiła ojca?

– Aha, co z królem. Właśnie tutaj opowieść zaczyna się rwać, bo nikt nie jest pewien, co się z nim stało. Niektórzy mówią, że Elspeth zabiła ojca na miejscu. Inni twierdzą, że Isaac przeżył, został uwięziony i zamknięty w katakumbach poza salą tronową, z której kiedyś rządził. Niektórzy chcieliby, byśmy uwierzyli, że został po prostu wygnany do Świata na Górze, by żyć już zawsze wśród ludzi, pozbawiony całej władzy. Jest jednak jeszcze jedna relacja o jego losie i sądzę, że ta jest najbliższa prawdy.

– A jaka ona jest? – zapytał chłopiec, który ziewał, ale teraz był całkiem rozbudzony i mógł, jak podejrzewała domokrażczyni, nie zasnąć przez całą noc.

– Tę historię słyszałam pewnego razu, kiedy wyprawiłam się aż do Sinary. Nie lubię podróżować przez Krainę Ogrodów, ale tamten jeden raz to zrobiłam, a tak przy okazji, mówi się, że żołnierze Sinary również byli wśród tych, którzy dołączyli do Elspeth, no więc tę historię usłyszałam od bardzo starej kobiety, która kiedyś była kapłanką w Świątyni Starych Bogów. Przedtem zaś piratką i szmuglerką, a jeszcze wcześniej... cóż, jak mówiłam, była bardzo stara. Miała długie, dziwne życie i znała wiele

dziwnych opowieści. Usiadłyśmy razem w głębi gospody na brzegu rzeki Xari, gospody, która obsługiwała mieszkańców nabrzeża i wszelkich podejrzanych, cieszących się złą sławą osobników, jakich można spotkać w porcie. Między haustami whisky i atakami kaszlu – bo była chora i, jak się okazało wkrótce po naszej rozmowie, umarła na chorobę płuc – powiedziała, że Elspeth się nad nim zlitowała i w końcu zobaczyła ojca. Zapewniam was, dzieci, że to najdziwniejszy ze wszystkich zwrotów mojej opowieści, ale bieg historii często jest wielokroć dziwniejszy niż bajka albo baśń.

Domokrążczyni zamknęła oczy. Dbała o to, żeby opowiedzieć tylko część nadającą się dla uszu dzieci, bo nie chciała niczego żałować w dniach, które miały nadejść. Kiedy otworzyła oczy, ogień w kominku wydawał się jaśniejszy niż przedtem i otaczał trójkę dzieci jak halo.

– No dalej, ciociu – zniecierpliwiał się chłopiec siedzący po prawej stronie dziewczynki. – Co powiedziała ci tamta kobieta w gospodzie?

Dziewczynka spiorunowała go wzrokiem.

– Nie bądź niegrzeczny, bo ciocia może postanowić, że nic nie powie.

– Nie powinnam. – Głos handlarki był zmęczony po tak długiej opowieści i w jej własnych uszach brzmiał słabo. – Powinnam to wszystko zatrzymać dla siebie. I dla kotów oczywiście, bo koty wszystko wiedzą, a przynajmniej tak twierdzą zasuszeni kapłani i kapłanki z Ulthar.

– Proszę, nie powiemy nikomu, przysięgamy – nalegała dziewczynka. – To będzie nasz sekret.

– Z mojego doświadczenia wynika, że dzieci nie są szczególnie dobre w dochowywaniu sekretów. – Domokrążczyni zaśmiała się cicho i przez chwilę żuła cybuch fajki. – Ale powiem wam wszystko, co wiem, czyli połowę tego, nie mam wątpliwości, co wy troje chcielibyście usłyszeć. – Poprawiła się na krześle, a w jej plecach strzeliło głośno. – Chora kobieta z Sinary twierdziła, że jej ojciec wspierał Elspeth Snow w bitwie w dolinie Pnath i po klęsce Króla Kości i Szmat pojechał razem z nią krętymi, niebezpiecznymi drogami wąwozu, żeby być świadkiem rozbicia onyksowych wrót królewskiego miasta Amaakin'sarr. Tam zobaczył, jak Gniew Zmierzchu – który to przydomek wojsko nadało Elspeth – staje przed ojcem na oświetlonych przez pochodnie schodach pałacu. Jego strażnicy skłonili się przed nią, modląc się, żeby ich oszczędziła. Ale *Qqi d'Tashiva* dobył miecza i nie ugiął się przed nią. W dekadach po ucieczce siostry zaznał tylko samotności i żalu, ani jednej radosnej godziny, więc



czymże była utrata życia po tym, jak już stracił królestwo, którym rządził za cenę swojej jedynej miłości? „Ojczy” – przemówiła do niego Elspeth – „nie odrzucisz teraz swojego szaleństwa i starych występków? Nie odłożysz ostrza, żebym nie musiała zrobić ci większej krzywdy, niż już zrobiłam?”. Król Kości i Szmat uśmiechnął się szyderczo, z nienawiścią, i ruszył w jej stronę z niebieskimi płonącymi oczami i mieczem, który lśnił w migotliwym blasku pochodni. Nie zostało w nim nic oprócz goryczy i wściekłości. „Nie nazywaj mnie ojcem, dziewczko, bo jesteś suką swojej matki, a nie moją. Zsiądź z konia i staw mi czoło”. Elspeth Snow, Gniew Zmierzchu, Dziewica z Serannian – bo tak też ją nazywano – nie zsiadła z konia, bo bardzo nie chciała zabić mężczyzny, który ją spłodził, nieważne, jakie były jego zbrodnie przeciwko jej matce, przeciwko ghulom i wszystkim mieszkańcom Podziemia. W swoim sercu знаła miłosierdzie, którego nauczyła ją matka, a Isobel nauczyła się jej od Pickmana i Smutka. Czyż oni nie mieli powodu, żeby ją zabić, zamiast pomagać w ucieczce? Jasne. Była przyczyną bólu i zniewolenia ich rasy. Ale nawet czarne serca ghuli mogą odczuwać litość. „Nie, ojczy – rzekła Elspeth. – Zadałam dzisiaj zbyt dużo śmierci, więc twoja krew nie splami moich rąk. Nie będę takim łupieżcą, jakim ty się stałeś. To nie będzie mój spadek po tobie”. „Złodziejko – zawarczał on. – Tchórz, złodziejka, uzurpatorka i czarownica. Przychodzisz, żeby mi odebrać moje ziemie, ale nie masz odwagi sprawdzić swych sił przeciwko prawowitemu *Qqi d'Tashiva*. Żadne moje szczenię nie cofnie się przed swoim ostatecznym obowiązkiem, nikczemnico”. Wtedy jeden z poruczników wyciągnął strzałę z kołczanu, nasadził ją na cięgiwę i wycelował łuk w Isaaca Snowa. Ale Elspeth była szybka i zatrzymała rękę tego człowieka. I znowu ojciec przeklął ją jako tchórze.

– Powinna go zabić – odezwał się chłopiec, który ziewał.

– Pewnie – zgodziła się z nim dziewczynka.

– Możliwe. W następnych latach, powiedziała kobieta z gospody w Sinarze, Elspeth czasami wątpiła w swój wybór tamtego dnia i czasami wolałaby, żeby ojciec nie żył. Ale faktem jest, że go nie zabiła ani nie pozwoliła, żeby inni zrobili mu krzywdę. Oświadczyła, że każdy, kto waży się go tknąć, dostanie karę gorszą niż śmierć.

– Więc co zrobiła? – spytał chłopiec siedzący po prawej stronie jasnowłosej dziewczynki.

– Zrobiła to, dziecko, że dała mu dar.

Cała trójka popatrzyła na nią z kompletnym niedowierzaniem.

– Nie – powiedziała dziewczynka.

– Tak – odparła domokrażczyni. – Jeśli można ufać kobiecie, która była kapłanką w Świątyni Starych Bogów, a wcześniej piratką i szmuglerką. Choć oczywiście jest możliwe, że kłamała, myliła się albo była szalona, a wy możecie wybrać, czy jej wierzyć, czy nie.

– Więc... co ona zrobiła? – spytał chłopiec, który ziewał. – To znaczy jaki dar dała takiemu złemu człowiekowi?

W tym momencie domokrażczyni się uśmiechnęła i wolno pokręciła głową.

– Kobieta z gospody tego nie powiedziała, bo nie wiedziała. Jej ojciec wspomniał tylko, że ten dar zdjął z ramion Isaaca Snowa całą gorycz i szaleństwo, całą jego furję i żal. Dar Elspeth, powiedziała kobieta z tawerny, przywrócił to, co było mu drogie, choć nie wiemy, jak tego dokonał. Ale Isaac się zmienił, całkowicie. Potem Elspeth kazała zaprowadzić go po siedmuset schodach w górę, w górę, aż do Wrót Głębszego Snu, a stamtąd został wysłany do Świata na Jawie, żeby w nim dożyć resztę swoich dni, i może nadal tam mieszka, bo nikt w Krainie Snów nie wie, co się z nim stało. Można tylko powiedzieć, że ta wersja prawdy przekracza ludzką zdolność pojmowania.

– To nie jest dobre zakończenie – stwierdziła z niezadowoleniem dziewczynka.

– Na pewno nie jest – poparł ją chłopiec, który ziewał.

– Wcale – dorzucił drugi, który siedział po lewej stronie dziewczynki.

Domokrażczyni przekrzywiła głowę i rzekła surowo:

– Sądzicie, że tak jest z opowieściami i ze światem, że on jest zobowiązany do satysfakcjonujących zakończeń? I czy w ogóle muszą być jakieś zakończenia?

Dzieci nie odpowiedziały na to pytanie. Chłopiec, który ziewał, zerknął przez ramię na ogień, który zaczynał już dogasać. Jasnowłosa dziewczynka spojrzała na swoje bose stopy. Chłopiec po jej lewej stronie skubnął luźną nitkę w spodniach. Tylko dziewczynka się odezwała.

– Ciociu, czy Elspeth została nową Królową Kości i Szmat?

– Nie, dziecko, nie została. Nie miała upodobania do władzy, choć pokusa musiała ciążyć jej duszy. Elspeth powierzyła przyszłość Thok i zadanie odbudowy Amaakin'sarr Richardowi i jego rodakom. Nie spełniła reszty proroctwa, bo przysięgła nigdy więcej nie być żołnierką, i wyjechała

z Thok do Górnej Krainy Snów. Zabrała ze sobą Bazaltową Madonnę i, jak słyszałam, zawiozła ją za Ocean Środkowy i jeszcze dalej za Wschodnią Pustynię i za Irem, Miasto Kolumn. Nie można było jej zniszczyć, a Elspeh nie odważyła się powierzyć jej żadnej istocie tak potężnej, że mogłaby unicestwić *Qqi d'Evai Mubadieeb*. Ale ukryła ją dobrze. Niektórzy powiadają, że wyrzuciła ją za skraj świata, choć ja osobiście sędzę, że to przesada.

– A co się z nią potem stało? – zapytała dziewczynka, nie odrywając wzroku od swoich stóp.

– Niektórzy powiadają, że w końcu wróciła do Serannian, zakochała się i urodziła córkę Idoneę, aż w końcu umarła wiele lat temu. Inni mówią, że pojechała do Celephaïs, a jeszcze inni, że dzięki Madonnie stała się nieśmiertelna i dano jej miejsce wśród Starych Bogów w lśniącym mieście Kadath. Ale to wszystko są plotki i nie można wierzyć w nie bardziej niż w inne plotki.

Domokrążczyni wzięła głęboki oddech i oświadczyła, że opowiedziała już wszystko, co mogła w jedną noc.

Były pytania od dzieci, ale ona wysłała całą trójkę do łóżek, a potem udała się do pokoju na poddaszu, który dostała na tę noc – w zamian za opowieść. Za nią podążyło kilka kotów, łącznie z pręgowanym, i wszystkie pełniły straż na szczycie schodów. Lecz mimo wyczerpania domokrążczyni nie od razu zasnęła. Otworzyła okiennice jedyne małego okna i tam, w Ulthar, rozebrała się pod jasnym okiem księżyca i pod niezliczonymi gwiazdami rozsianymi po wczesnojesiennym nocnym niebie. Noc patrzyła na nią z całkowitą obojętnością, a ona na nią z nabożnym lękiem. I wtedy domokrążczyni, handlarka różnościami, bezimienna stara kobieta, która przemierzała miasta na równinach pod Mount Lerion, wspomniała swoją matkę, dobrego ghula imieniem Smutek i ostatnią twarz, jaką nosił jej ojciec. I opowiedziała sobie prawdziwszą historię niż ta, którą usłyszały dzieci.

**Koty z River Street  
(1925)**

# 1

Essie Babson leży rozbudzona, słuchając cichego szumu Manuxet płynącej w stronę portu i morza. Nie może znaleźć snu, a sen nie może znaleźć jej, więc słucha głosu rzeki i myśli o długiej drodze, którą przebyły wody od zbiegu Pemigewasset i Winnepesaukee, a wcześniej od Franconia Notch i odległego jeziora Profile w White Mountains w New Hampshire. Wody podróżowały setki kilometrów, żeby dotrzymać jej towarzystwa w ciszy nazbyt gorących ostatnich nocy lipca. Albo ona tak postanawia udawać. Oczywiście Manuxet, podobnie jak reszta wielkiego świata, ani nie wie o tej cierpiącej na bezsenność starej pannie, ani o nią nie dba, ale mimo wszystko to ładna myśl, więc Essie trzyma się jej mocno.

Niektórzy cierpiący na bezsenność liczą owce; ona śledzi bieg rzek.

– Nadal nie śpisz? – pyta jej siostra Emiline.

– Myślałam, że ty śpisz. – Essie wzdycha i przewraca się na prawy bok, twarzą do siostry.

– Nie, za gorąco na sen – odpowiada Emiline. – Jestem taka zmęczona, ale naprawdę jest o wiele za gorąco. Pocę się w pościeli. Jest cała mokra od potu.

– Ja też – mówi Essie. – Moja też.

Sypialnia na drugim piętrze ma tylko jedno okno, okiennice są otwarte, jedno skrzydło uniesione. Ale noc jest tak spokojna, że żaden powiew nie przynosi ulgi, nie chłodzi nieruchomego powietrza uwięzionego w pokoju, w którym leżą dwie kobiety.

– Pomyśl o rzece – radzi Essie. – Zamknij oczy i pomyśl o rzece, o tym, jaka musi być chłodna nocą. Pomyśl o porcie i zatoce.

– Nie, nie zrobię tego – odpowiada siostra. – Wiesz, że tego nie zrobię. Dlaczego w ogóle proponujesz taką rzecz, skoro wiesz, że tego nie zrobię?

Essie zamyka oczy. W pokoju czuć pot, kurz, perfumy z nutą róży herbacianej, puder i potpourri, które zamówiły w sklepie w Bostonie. Miska z mieszanką ziół stoi na komodzie: ziele angielskie, majeranek, owoce dzikiej róży, lawenda, jałowiec, cynamon i odrobina bylicy pospolitej dorzucona, żeby odstraszać mole. Emiline upiera się przy miseczce z potpourri w każdym pokoju wysokiego starego domu przy River Street. Nie lubi zapachu Manuxet i brudnego, mulistego odoru słonych bagien,

kiedy wiatr wieje z zachodu, południa albo północy. Essie nigdy nie przeszkadzają te wonie, czasami nawet dodają jej otuchy tak jak rzeka. Ale rzadko też przeszkadza jej zapach potpourri. Dzisiaj jednak te aromaty są przesłodzone i nieprzyjemne, wydaje się niemal, jakby mogły ją udusić, jakby zamierzały wdrzeć się w jej nozdrza i ją utopić.

Emiline śmiertelnie boi się utonięcia, więc oczywiście głupotą jest sugerować, że myślenie o rzece pomoże jej zasnąć.

Essie przewraca się z powrotem na plecy, sprężyny skrzypią i piszczą jak stado rozsierdzonych myszy.

– Kupię nowy materac – mówi.

– Jest za gorąco, żeby spać – powtarza Emiline. – To bardzo głupie leżeć tutaj i nie spać, kiedy jest praca do zrobienia.

– Tak, myślę, że jesienią zdecydowanie kupię nowy materac.

– Naprawdę z tym materacem, który masz, wszystko jest w porządku – stwierdza Emiline.

– Nie wiesz. Nie musisz na nim spać. Czasami myślę, że w środku są zaszyte kamienie.

– Powinnam wstać – szepcze Emiline, a Essie nie jest pewna, czy jej siostra mówi do niej, czy do siebie. – Mogłabym coś upiec. Placek, biszkopty. Po wschodzie słońca będzie za gorąco na pieczenie.

– Em, jest za gorąco, żeby piec teraz. Spróbuj zasnąć.

Wtedy drzwi otwierają się ze skrzypieniem, na tyle, żeby wpuścić pręgowanego rudego kocura. Essie słucha nie całkiem niesłyszalnego stąpania aksamitnych łap po sosnowych deskach. Horace dociera do miejsca między dwoma łózkami i przystaje tam na chwilę, zastanawiając się, która siostra jest w nastroju, żeby się przy niej zwinąć. W jasnym blasku księżycy wpadającym przez otwarte okno Essie wyraźnie widzi kota, który siedzi i ją obserwuje.

– Gdzie byłeś? – pyta go. – Pilnowałeś nas przed grasującymi gryzoniami?

Kot zerka na nią, potem odwraca głowę do jej siostry.

Emiline nazywa go ich „dzielnym starym dżentelmenem”. Jego uszy są postrzępione, szeroki pyszczek, boki i łopatki znaczą brzydkie blizny, pamiątki po stoczonych i przegranych walkach. Siostry mają go od prawie siedemnastu lat, od małego kociątka, kiedy one były jeszcze młodymi kobietami. Znalazły go pewnego popołudnia w zaułku na tyłach domu Gilmanów, ukrywającego się za pustą skrzynką, a Emiline dała mu na imię

Horace na cześć Horace'a Greeleya. Essie uważała to za dziwny wybór, ale nigdy nie poprosiła siostry o wyjaśnienie. Dla kocura imię nie jest złe, a mały kociak już do niego dorósł.

– Zdecyduj się – mówi Essie. – Nie marnuj całej nocy.

– Nie popędzaj go – odzywa się Emiline. – Po co ten pośpiech. Nigdzie się nie wybieramy.

Na dole we frontowym salonie zegar dziadka wybija północ.

I wtedy Horace wybiera Emiline. Wskakuje – trochę sztywno – na jej łóżko i obwąchawszy kołdrę i prześcieradło, kładzie się przy jej kolanach. Essie czuje się lekko rozczarowana, ale z drugiej strony kot zawsze wołał jej siostrę. Wzdycha i patrzy na drobne rysy na suficie, skupiając się znowu na cichym, mokrym dźwięku Manuxet płynącej między ulicami River i Paine. Horace mruczeniem usypia siebie i Emiline. Po kolejnej godzinie Essie też odpływa w sen i śni o wysokich statkach i morzu.

## 2

Mosiężny dzwonek zawieszony nad drzwiami brzęczy, Bertrand Cowlshaw – właściciel sklepu spożywczego i pasmanteryjnego przy River Street – podnosi wzrok znad gazety i widzi starszą pannę Babson. Kłania się jej, kiedy klientka zamyka za sobą drzwi. Choć zasłony są zaciągnięte przed południowym żarem, a na suficie wolno kręci się elektryczny wiatrak, w zakurzonej, ciemnym wnętrzu jest duszno.

– Jak się pani dzisiaj miewa, panno Babson? – pyta sklepikarz i wraca do pierwszej strony „Gloucester Daily Times” sprzed dwóch tygodni.

Bertrand pamięta czasy, kiedy nie było tak trudno w miarę punktualnie dostać gazety z Gloucester i Newburyport, a nawet z Bostonu. Jest dostatecznie stary, by pamiętać, że redakcja „Innsmouth Courier” nadal działała, a potem cicho zwinęła się pośród plotek o groźbach ze strony starszych Obrządku Ezoterycznego, który często otwarcie krytykowała.

– Niezbyt dobrze, Bert – odpowiada klientka. – Emilina i ja znowu mamy trudności ze snem. To pewnie przez upał. Może będzie padać, nie sądzi pan? Nie pamiętam takiego suchego lata. – Bierze do ręki puszkę brzoskwiń w syropie, przez chwilę patrzy na nalepkę i odstawia je na półkę.

– Gorąco jak w Hadesie – zgadza się Bertrand. – I sucho jak pieprz. Ma pani listę, panno Babson?

Ona odpowiada, że tak, oczywiście, że ma, i wyjmuje z kieszeni kraciastej sukienki listę zakupów spisana starannym pismem na odwrocie listu od kuzynki, która przeprowadziła się do Gary w Indianie kilka lat temu. Essie idzie do lady, obchodząc baryłkę jabłek ułożonych tak wysoko, że to cud, iż nie wysypały się na podłogę. Podaje kopertę Bertrandowi.

– Wyznam, że nie mamy apetytu – mówi sklepikarzowi. – I nie chce się nam gotować, kiedy w domu jest tak gorąco.

Kiedy Bertrand przegląda listę, Essie zerka na gazetę i czyta ją do góry nogami. Nagłówek brzmi: „Scopes uznany za winnego nauczania o ewolucji” i jest zdjęcie Williama Jenningsa Bryana, zadowolonego z siebie i uśmiechającego się do dziennikarzy. Niżej na stronie znajduje się artykuł o strajku w kopalni węgla w zachodniej Wirginii i o ciotecznym prawnuku Napoleona Bonaparte. Essie Babson stara się unikać wiadomości ze świata poza Innsmouth, bo one zawsze są nieprzyjemne. Przez



czterdzieści lat nie podróżowała dalej niż do Ipswich i Hamilton, każde nie dalej niż dziewięć kilometrów od domu w linii prostej.

– Zobaczmy – mruczy Bertrand, wkładając produkty z listy do kartonowego puda. – Mleko skondensowane, cukier puder, puszka soku z limonki, proszek do pieczenia, dżem truskawkowy, dwanaście jaj, puszka fasoli limeńskiej. Tak się składa, że mamy ładne świeże borówki, jeśli...

– Nie, nie. Tylko to, co na liście, proszę.

– Dobrze, panno Babson. Tylko pomyślałem, że wspomnę o borówkach. Są całkiem ładne, do pieczenia i przetworów.

– Naprawdę jest za gorąco na jedno i drugie.

– Nie mogę zaprzeczyć.

– Można by sądzić, że ludzie w dzisiejszych czasach będą chcieli porządnej edukacji – mówi Essie, znowu zerkając na „Gloucester Daily Times” z dwudziestego drugiego lipca. – Można by sądzić, że nawet w Tennessee ludzie nie będą robili takiego głupiego zamieszania z powodu człowieka, który stara się czegoś nauczyć swoich uczniów.

– Ludzie potrafią być dziwni – mówi Bertrand, sięgając po pudełko kolanek. – A kiedy chodzi o religię, robią się uparci jak osły i nie przejmują się tym, jakimi ignorantami mogą się wydawać reszcie świata. Pięć puszek sardynek, tak?

– Tak, pięć puszek. Emiline i ja lubimy je na lunch. I słone krakersy, proszę. Matka i ojciec byli prezbiterianami, wie pan, ale szcycili się tym, że są oświeconymi ludźmi.

– Ludzie potrafią być dziwni – powtarza sklepikarz i dokłada do kartonowego pudełka pomarańczową puszkę dropsów lukrecjowych. – Ostatecznie mówimy o Tennessee.

– Mimo to – kwituje Essie Babson.

Właśnie wtedy tłusta kotka tricolor Bertranda Cowlishawa wskakuje na ladę i ląduje cicho obok kasy. Terrapin nie jest tak stara jak Horace, ale nie jest również młoda. Bertrand chwalił się, że poluje na myszy najlepiej w całym hrabstwie Essex. Czy to prawda, czy nie, nie można zaprzeczyć, że Terrapin jest ładna.

– A co z tobą, Turtle? – pyta Essie Babson. – Pogoda też źle na ciebie wpływa? – Zawsze nazywa kotkę Turtle, bo nie potrafi zapamiętać jej prawdziwego imienia.

Kotka podchodzi do Essie, stąpając po gazecie Bertranda i zdjęciu zadowolonego z siebie Williama Jenningsa Bryana. Mruczy głośno

i delikatnie trąca głową jej ramię.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – wita ją Essie.

– Melasa? Nie widzę jej na liście, ale...

– O tak, proszę. Musiałam zapomnieć ją zapisać.

Essie drapie Terrapin za uszami, a kotka mruczy jeszcze głośniej. Potem, najwyraźniej zmęczona pieszczotą, wraca do kasy i zaczyna się myć.

– Horace zachowuje się trochę dziwnie – mówi Essie.

– Może to z powodu zbliżającej się pełni – odpowiada Bertrand. – Dzisiaj Sienna Pełnia. Będzie wysoki przypływ.

– Może.

– Zwierzęta są bardziej od nas wrażliwe na księżyc, pływy i co tam jeszcze.

– Może – powtarza Essie, patrząc, jak kotka dokładnie się myje.

– No, na pewno jest tu wszystko, czego pani potrzebowała. Jeśli jest pani całkowicie pewna, że nie zainteresuję pani tymi borówkami.

– Nie, to wszystko, dziękuję.

Bartrand Cowlshaw niesie pudło do lady, a Essie porównuje produkty z listą, by mieć pewność, że nic nie zostało pominięte. Kotka miauczy, Bertrand głaszcze ją po grzbiecie i czeka cierpliwie, aż klientka skończy sprawdzanie.

– Każę Matthew to zanieść, kiedy wróci – mówi sklepikarz. – Miał dostawę na Lafayette, ale powinien niedługo być.

Matthew Cowlshaw to jedyny syn Bertranda. W następnym roku idzie do college'u w Arkham, żeby studiować matematykę, astronomię i fizykę, co zawsze było jego marzeniem. A Bertrand niechętnie zrezygnował z własnych marzeń, że Matthew pewnego dnia przejmie sklep, kiedy on pójdzie na emeryturę. Wie, że jego syn jest zbyt bystry, by spędzić życie na sprzedawaniu artykułów spożywczych w podupadającym porcie na północnym wybrzeżu.

– Kiedy będzie chłodniej – mówi Essie Babson – upiekę kruche ciasteczka i kilka panu przyniosę. Ja albo Emiline. Ona powinna częściej wychodzić. Ale na razie jest za gorąco na pieczenie. Z pewnością upał nie potrwa długo.

– Można tylko mieć nadzieję – odpowiada Bertrand.

Liże czubek ołówka, podlicza kwoty i zapisuje je w księdze rachunkowej. Rzadko używa nowej niklowanej maszyny, którą kupił

w zeszłym roku od firmy z Dayton w Ohio. Kasa jest hałaśliwa, a od klawiszy bolą go palce.

Essie na pożegnanie drapie Terrapin pod brodą, a kotka zamyka oczy i wygląda na zadowoloną.

– Proszę na siebie uważać – mówi Bertrand Cowlshaw.

– Mam nadzieję, że będzie zmiana pogody – odpowiada Essie i wychodzi ze sklepu.

Mosiężny dzwonek brzęczy, kiedy drzwi otwierają się i zamykają za nią. Bertrand wraca do gazety, a Terrapin, która na razie ma dość ludzi, zeskakuje z lady, żeby powłóczyć się między regałami, beczkami i koszami.

### 3

Frank Buckles siedzi w fotelu bujanym na frontowym ganku swojego wąskiego żółtego domu przy River Street, pocąc się, paląc ręcznie skręcane papierosy i popijając nielegalnie pędzoną kanadyjską whisky, którą kupuje w dokach niedaleko mola. Patrzy na zielono-czarną rzekę płynącą między szarymi granitowymi ścianami nabrzeża, zbudowanymi pół wieku temu, żeby uregulować rzekę i skierować ją prosto do portu, ochronić miasto przed wiosennymi powodziami. Woda migocze w letnim słońcu. Frank nie lubi rzeki i często myśli, żeby sprzedać dom, który zbudował jego dziadek, i przenieść się gdzieś dalej od Manuxet. Albo jeszcze lepiej wyjechać daleko od Innsmouth, może aż do Portland albo Bangor. Czasami wyobraża sobie, że nie zatrzymałby się, aż byłby bezpieczny nad morzem, gdzie nikt nie słyszał o Innsmouth, Obedzie Marshu i pieprzonym Ezoterycznym Obrządku Dagona. Ale nigdzie nie pojedzie, bo brakuje mu determinacji, a jego korzenie, choć wątłe, są tutaj, w tym gnijącym mieście, o którym świat zewnętrzny zapomniał.

*Szczęściarze*, myśli Frank Buckles. Układa świeżą kreskę tytoniu Prince Albert na bibułce, liże ją i mocno skręca. Zapala papierosa kuchenną zapałką, potarłszy ją o bok fotela. Przez kilka litościwych sekund zapach siarki maskuje piżmowy odór rzeki. Nie jest tak źle nad wodospadem, na mokradłach, bliżej wysp Choate, Corn i Dilly, gdzie woda jest szeroka i nieruchoma. Kiedy był młody, on i jego brat Joe spędzali dni na tych bagnach, zbierając małże i łowiąc morony białe, pstrągi tęczowe i alozy. Tam, z dala od ścieków, które wpadają do Manuxet poniżej wodospadu, łatwo udawać, że Innsmouth to tylko zły sen.

W kwietniu tysiąc dziewięćset osiemnastego on i brat zostali powołani do wojska i wysłani do francuskich okopów, żeby walczyć z Hunami. Joe zginął niecałe pięć miesięcy później w ofensywie Moza-Argonny, gdy pocisk z moździerza rozerwał go na części. W następnym tygodniu w bitwie pod Blanc Mont Ridge Frank stracił lewą stopę i prawe oko, a to, co z niego zostało, odesłano z powrotem do Massachusetts. Szczątki Joego pochowano w Lotaryngii na amerykańskim cmentarzu w Romagne-sous-Montfaucon, w grobie, którego Frank nigdy nie widział i nie spodziewał się zobaczyć. To, że jego brat zginął, a on został okaleczony zaledwie tygodnie

przed końcem wojny, która miała położyć kres wszystkim wojnom, było straszną ironią losu, która mu nie umknęła. Od tamtego czasu minęło siedem lat, ojciec i matka umarli, a Frank spędzał dni, siedząc na ganku, upijając się do nieprzytomności i obserwując brudną rzekę. Nocami rzucał się i przewracał na łóżku, leżąc bezsennie albo śniąc o martwych zaplątanych w druty kolczaste, o niebie płonącym czerwienią krwi i róż. Czasami siedzi ze strzelbą przystawioną do czoła albo włożoną w usta, udając, że pociąga za spust. Ale nie zostało w nim tyle odwagi. Zastanawia się, czy zdążyłby poczuć zapach kordytu, nim jego dusza by zgasła, czy by go posmakował, jaki byłby ból w tym ułamku sekundy, zanim jego mózg zbryzgałby ścianę. Ma skromny spadek, ale ten mógłby nie wystarczyć na przeżycie lat, które jeszcze mu zostały, i wąski żółty dom przy River Street. Czasami trzeźwieje na tyle, żeby wykonywać dorywcze prace w mieście.

Frank wypuszcza stalowoszarą chmurę dymu, a wiatr od rzeki natychmiast ją porywa. Bryza pachnie oleiście, martwymi rybami i ludzkimi odpadkami; cuchnie zgnilizną.

*To jest piekło, myśli Frank. Żyję, a to jest piekło.* Dziwna to myśl, wyglądzona jak kamienie brukowe wzdłuż falochronu.

*„Lepiej być żywym tchórzem  
Czy trzykrotnie martwym bohaterem?”.  
„Lepiej iść spać, chłopcze”,  
Rzekł kolorowy sierżant.*

Jedno z trójki szylkretowych kociąt – dwie samiczki i jeden samiec – które ostatnio zamieszkały pod jego gankiem, gramoli się niezdarnie po schodach i miauczy. Ma nie więcej niż dwa albo trzy miesiące. Frank nie wie, skąd się wzięły koty, czy matka je porzuciła, czy zginęła. Mogła najeść się trutki na szczury. Mogła zginąć pod kołami samochodu. Mogła trafić na głodnego psa albo na bandę na wpół zdziczałych chłopców, którzy włóczą się po ulicach, zaułkach i nabrzeżach, szukając okazji do psot albo okrucieństwa. Albo po prostu mógł przyjść na nią czas. Ale to nie ma znaczenia. Teraz kocięta żyją pod gankiem jego wąskiego żółtego domu.

Za pierwszym gramoli się drugi, a potem trzeci, ich brat. Cała trójka jest chuda i zapchlona. Kocurek już stracił jedno oko z powodu jakiejś infekcji albo pasożyta. To czyni z niego kogoś w rodzaju towarzysza Franka w wielkim gównianym świecie. Bucklesowi powiedziano, że szylkretowe samce są rzadkością.

– Czego chcecie, he? – pyta je Frank, a one głośno miauczą. – Tak? Cóż, ludzie w piekle chcą wody z lodem, przynajmniej tak słyszałem.

Jedna z kociczek sadowi się między jego butami i zaczyna się bawić wystrzępionymi sznurowadłami. Kiedy zwierzątka pierwszy raz się pojawiły, Frank na serio rozważał pomysł, żeby wziąć ze spiżarni pusty jutowy worek po ziemniakach, zapakować je do niego, dorzucić kilka kamieni, żeby im dotrzymywały towarzystwa, a potem wrzucić worek do rzeki. Tak zrobiłby z przybłędami jego ojciec. Ale ta myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Frank Buckles wie, że żaloszny sukinsyn z niego, ale nie jest tak pozbawiony serca, żeby posłać cokolwiek na śmierć w tych paskudnych wodach.

Drapie się po szczecinie na brodzie, której nie golił od wielu dni, i patrzy na kocięta. Z papierosa sypie się popiół, ale nie trafia w kota.

– No dobrze – mówi Frank. – Może dacie mi cholerna minutę, żebracy.

Wstaje i wchodzi do ciemnego domu. Kotki ustawiają się przy siatkowych drzwiach i czekają na jego powrót. Po zaledwie pięciu minutach Frank zjawia się z jedną trzecią puszek łososa i wyszczerbionym porcelanowym spodkiem. Wykłada na niego jedzenie i podsuwa je głodnym malcom. One rzucają się na nie z taką łapczywością jak każdy kot na rybę, żywą albo martwą. W ciągu paru chwil spodek jest wylizany do czysta.

– Żarłoczne gówniarze – mamrocze Frank i wrzuca pustą puszkę do Manuxet, po czym siada w fotelu bujanym.

Fotel zbudował dziadek ojca jako dar dla babki, zanim zaciągnął się do ochotniczej milicji Massachusetts, zostawił swoją ciężarną żonę i pomaszerował, żeby dziewiętnastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku zginąć w Baltimore z rąk tłumu popierającego secesję. Pradziadek zrobił wiele foteli, szafek i stołów, a Frank Buckles czasami się zastanawia, gdzie one wszystkie się podziały, ile przetrwało sześćdziesiąt cztery lata od przedwczesnej śmierci ich twórcy.

Kocięta, na razie nasyciwszy głód, zniknęły z powrotem pod gankiem, w chłodnym cieniu.

– Tak – mruczy Frank – wynoście się. Napchajcie brzuchy i zostawcie mnie tutaj z pustą puszką. Nie ma to jak wdzięczność, przybłedy.

*Gibcy i zwinni chłopcy*

*Maszerowali wesoło w dal –*

*Czy to było zaledwie wczoraj?*

Frank Buckles sący nielegalną whisky, kołysze się w fotelu prababki i patrzy na demoniczne słońce, które na tłustej wodzie lśni jak diamenty. Przypomina sobie, że zawsze jest strzelba, którą trzyma przy łóżku, i stara się nie myśleć o tym, dokąd prowadzi ta płonąca rzeka.

## 4

Annie Phelps miała tylko czternaście lat, kiedy żywo zainteresowała się rzeczami wyrzucanymi na piaszczyste i kamieniste plaże Innsmouth, na falochron i bagniste brzegi na północ i południe od portu. Śmieci, szczątki rozbitych albo osiadłych na mieliźnie statków, martwe albo umierające stworzenia, liście wodorostów i algi. Gdy była dzieckiem, rodzice nie wspierali jej chłopięcych fascynacji, ale też jej do nich nie zniechęcali. Po ukończeniu osiemnastu lat pojechałaby studiować historię naturalną, anatomię i chemię na uniwersytecie w Arkham albo w Bostonie czy nawet Providence, ale nie było pieniędzy na czesne. Tak więc została w domu i opiekowała się chorymi rodzicami.

Annie nie wyszła za mąż, bo wolała towarzystwo kobiet. Mówi się, że cieszy ją coś więcej niż tylko ich platoniczne towarzystwo. Jednak w mrocznym, nieszczęsnym miejscu takim jak Innsmouth zawsze istnieją dużo gorsze niż miłość saficka rzeczy, które stanowią lepszy materiał do plotek z magła. Annie miała dwadzieścia osiem lat, kiedy grypa z osiemnastego roku zabrała Charlesa i Beulah Phelps. Wtedy sprzedała przechylony georgiański dom przy Hancock Street i zamieszkała w trzech pokojach w pensjonacie Hephziby Peabody przy River Street. Z gabinetu i sypialni jest doskonały widok na bulgoczącą Manuxet.

Annie Phelps zarabia na skromne życie jako szwaczka i maszynistka, a dochód ze sprzedaży domu przy Hancock trzyma na czarną godzinę. Zachowała jednak pasję do skarbów, które znajduje na brzegu, a rzadko zdarzają się trzy dni, kiedy nie ma czasu, żeby pójść na targi rybne czy na nabrzeże, gdzie niewiele kobiet odważa się zapuszczać samotnie, ciekawa, co przywiozły łodzie albo wyrzuciły fale czy sztorm. Większość rybaków, handlarzy, marynarzy, skutników, majtków i dokerów zna ją z widzenia i zostawia w spokoju.

Tego dnia, gorącego poniedziałkowego popołudnia w lipcu, siedzi przy starym ojcowskim sekretarzyku z żaluzjowym zamknięciem w swoim gabinecie, małym pokoju pełnym półek z książkami i słojami, w których trzyma w formalinie różne okazy: kałamarnice, strzykwy, węgorze i rekinki. Są tam również kości wielorybów i delfinów, szczęki wielkiego białego rekina, czaszka i skorupa karety, a oprócz nich skamieniałości i minerały



przysłane przez jej korespondentów – których ma wielu – z Montany, Kalifornii i Meksyku. Dumą jej kolekcji jest ogromny spetryfikowany eoceński krąg wieloryba z Alabamy, długi na całe sześćdziesiąt centymetrów. Ona płaci pani Peabody niewielkie dodatkowe pieniądze, żeby pozwoliła jej na ten gabinet osobliwości, ale to nie przeszkadza staruszce regularnie narzekać na dziwne zbiory Annie czy nieprzyjemne zapachy, które czasami wydostają się spod jej drzwi.

Annie Phelps ma cztery koty: czarno-białego imieniem Huxley, tłustego szarego z jednym żółtym i jednym niebieskim okiem, którego nazwała Darwin, wiecznie chudą tricolorkę Mary Anning i płochliwą młodą kotkę, którą ochrzciła Rowena od Saksonki z *Ivanhoe*. Kiedy nie przyjmuje przyjaciółek albo kochanek, koty są jedynym towarzystwem, jakiego potrzebuje, nawet jeśli mieszkanie jest trochę za małe na całą piątkę i nawet jeśli one drapią pazurami już i tak wytartą spuściznę po matce, a pokoje śmierdzą sikami. Za przymykanie oczu na menażerię Annie również płaci pani Peabody dodatkowo. Gdyby nie to, że coraz trudniej znaleźć lokatorów, gospodyni zapewne nie byłaby chętna do tych ustępstw.

Tego popołudnia Annie popija letnią lemoniadę doprawioną odrobiną jamajskiego imbiru, który kupuje w aptece przy Federal. Annie bardzo uważa na to, jak często się nią raczy, bo jest świadoma przypadków paraliżu, a nawet śmierci, po nadmiernym spożyciu ekstraktu.

Dwa koty siedzą na sekretarzyku. Darwin wspiął się na stos monografii na temat mięczaków i stułbiopławów nadbrzeżnej Nowej Anglii, natomiast Huxley usadowił się między jednym z jej mikroskopów a egzemplarzem *Geological Evidences of the Antiquity of Man* Lyella. Oba mruczą głośno i obserwują, jak ich pani pisze list do doktora Osborne'a z American Museum. Od czasu do czasu Annie wysyła mu parę swoich najbardziej intrygujących okazów i jest dumna, że niektóre znalazły się w stałych zbiorach muzeum na Manhattanie.

– Co on o tym pomyśli, panie Darwin? – pyta kota. – Szczerze mówiąc, to może być najbardziej fascynujący i ciekawy obiekt, jaki do tej pory mi wysłałam.

Kocur zamyka żółtozielone ślepia.

– No tak, co ty tam wiesz, tłusty stary głuptasie?

Annie przestaje pisać i patrzy na szczękę w kartonowym pudełku, opakowaną w wełnę drzewną. Jest trochę zniszczona przez fale, ale niepołamana i nadal ze wszystkimi zębami. Na pierwszy rzut oka Annie

wzięła ją za szczękę mężczyzny albo kobiety, jakiegoś nieszczęśnika, który utopił się w porcie albo w zimnym morzu za mołem Water Street. Lecz wrażenie było przelotne, trwało nie dłużej niż czas, który zabrało jej podniesienie znaleziska z piasku. Jest ono za bardzo wydłużone i smukłe, żeby być szczęką normalnego ludzkiego osobnika, brakuje zarówno wyrostka kłykciowego, jak i wyrostka dziobiastego. Guzowatość bródkowa spojenia żuchwy wygląda prawie jak ostrze. Ale najdziwniejsze ze wszystkich dziwnych cech szczęki są zęby. Zamiast normalnego dla dorosłego człowieka kompletu czterech siekaczy, dwóch kłów i ośmiu trzonowców te są homodontyczne – całkowicie niezróżnicowane – i bardziej przypominają zęby niszczukokształtnych niż ssaków.

Stojąc na skraju portu o mętnej wodzie i słuchając, jak fale pluszczą o brzeg, Annie Phelps poczuła nieodparty impuls, żeby wyrzucić dziwną kość, oddać ją morzu, skąd się wzięła. Pozbyć się jej. Zmrużyła oczy i przez mgiełkę spojrzała poza zniszczone nabrzeża na niską ciemną linię skał, które ludzie z Innsmouth nazywają Diabelską Rafą. Dorastając, słyszała wszystkie opowieści o złocie piratów, syrenach, morskich demonach, wie też o miejscowych, którzy w księżycowe noce urządzali wyścigi pływackie do granitowego grzbietu, a sponsorował je Obrządek Ezoteryczny, religijna sekta, która dawno temu przejęła Salę Masońską w New Church Green.

Ale nie wyrzuciła kości. Starannie owinęła ją w gazetę i włożyła do koszyka razem z innymi skarbami.

Annie Phelps jest racjonalną kobietą dwudziestego wieku, kobietą nauki i rozumu, nawet jeśli jej sytuacja oznacza, że nigdy nie będzie nikim więcej niż przyrodniczką amatorką. Nie krępują jej strach i przesady jak wielu innych mieszkańców miasta, wszystkich tych obywateli Innsmouth, którzy mylnie biorą skutki chowu wsobnego, chorób i złego odżywiania wśród Marshów, Eliotów, Gilmanów, Waitesów i innych starych rodzin za jakąś metafizyczną transformację spowodowaną przez tajemne rytuały Obrządku Dagona – z całą pewnością kultu czarownic, jak tamte opisane w pracach naukowych Margaret Murray. Dorastając, Annie słyszała wszystkie te bzdury, i czasami czuje gniew i zakłopotanie, że tak wielu jej sąsiadów żyje w strachu przed tym, co dzieje się w zrujnowanej sali z kolumnami.

– To z pewnością nie jest skamieniałość – mówi do Huxleya, ignorując bezużytecznego pana Darwina. – Nie ma żadnych śladów permineralizacji. To nie jest rodzaj gada i nie sądzę, żeby to była ryba, ani

chrzęstnoszkieletowa, ani kostnoszkieletowa. Ale nie mogę również uwierzyć, że to ssak.

Jeśli kot ma jakieś zdanie, zachowuje je dla siebie.

Annie pisze jeszcze kilka linijek listu...

„Jestem bardzo wdzięczna za egzemplarz pańskiego opisu *Hesperopithicus*, choć muszę wyznać, że to nadal wygląda mi na ząb świni”.

...a potem znowu zerka na szczękę.

– Woda robi się głęboka za rafą – mówi do pupilów – i kto wie, co może tam pływać.

Koty mruczą. Huxley zaczyna energicznie myć sobie uszy.

„Dołączony okaz całkowicie udaremnił wszystkie moje próby klasyfikacji. Poza oczywistym faktem, że to stworzenie należy do kręgowców, jestem w rozterce”.

Czasami Annie ośmiela się wyobrazić sobie, że pewnego dnia znajdzie coś całkowicie nowego, a doktor Osborne – albo ktoś inny – nazwie to nowe zwierzę albo roślinę na jej cześć. Wpatruje się w szczękę i rozważa różne łacińskie dwuczłonowe nazwy, aż w końcu decyduje się na *Deinognathus phelpsae*, straszna szczęka Phelps. Podoba się jej ten pomysł. Bardzo się podoba.

Ale wtedy czuje mrowienie na karku i przedramionach, niepokój, którego pierwszy raz doświadczyła w dniu, kiedy znalazła kość. Szybko odwraca wzrok i próbuje się skupić na dokończeniu korespondencji.

„...w każdym razie mam nadzieję, że list zastanie Pana w dobrym zdrowiu”.

Na zewnątrz nagle robi się zamieszanie, od rzeki dobiega głośny plusk. Annie odkłada pióro i podchodzi do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ale nie widzi nic oprócz wód Manuxet przepływających obok pensjonatu, ciemnych i tajemniczych jak nadchodząca noc.

– Kiedyś – mówi Annie do kotów – spakuję się i opuszczę to miejsce. Tylko mnie obserwujcie. Pewnego dnia stąd wyjedziemy.

## 5

Ephraim Asher Peaslee zamyka pomarszczone powieki, sześćdziesięcioletnie i cienkie jak welin, pogrążając się w słodkim pędzie i ciepłych fałdach heroiny krążącej w jego żyłach. Cały świat się wykrwawia, a on równie dobrze mógłby się wpatrywać w południowe słońce, cierpliwie czekając, aż litościwie oślepnie, tak jasno płonie wokół niego ciemność. Ale ono go nie oślepia. Nigdy go nie oślepia ani nie spala. Ephraim leży skulony na zniszczonym szeszlunku obitym żurawinowym aksamitem w salonie swojego domu na rogu River i Fish, dokładnie naprzeciwko roztrzaskanego łuku mostu przy Fish Street. Ciężkie zasłony są zaciągnięte przed resztkami blasku gasnącego dnia, przed wschodzącym Księżycem Siennym, Księżycem Kukurydzianym, Czerwonym Księżycem, cholernym Księżycem Plonów, jakakolwiek ludowa nazwa pełni wam pasuje. Jemu nie pasuje żadna. Księżyc to okrutne cyklopowe oko, bez powieki, czujne, szpiegujące, a ta noc przyciągnie morze daleko w głąb lądu, spiętrzy zatokę i rzekę aż do dolnego wodospadu. Nie będzie łaskawy, tłumiający biel jego opiatowego haju, ale pomarańczowy i napęczniały nisko nad horyzontem. Zrytym kraterami brzuchem będzie szorował o morze, wykrwawiając się dla tych wszystkich spragnionych gąb, które zawsze czają się pod falami. O, Ephraim Asher Peaslee widział wiele tych śliskich, kolczastych stworzeń, tonął wiele razy w ich węzowych zwojach. Był całowany przez każdą cofającą się falę i każdy prąd odpływowy, wciągany na dno, by ujrzeć otchłanne krainy, których żaden człowiek nie powinien oglądać. Tego wieczoru odpycha te myśli, obudzony przez wschodzący księżyc. Stara się trzymać wiecznie białego przestworu, który mu się ukazuje po pocałunku igły. Radio jest włączone. „Zbuduję drogę do raję”, muzyka kocha się z jego alabastrowym snem na jawie. „To szaleństwo zawsze siedzieć w smutku, kiedy można się uczyć kroków radości”. On składa ręce w modlitwie dziękczynnej do świętego Gershwin, ducha Guglielmo Marconiego i radia Crosley Model 51, którzy obdarzyli go tym balsamem, świętą różdżką przeciwko wspomnieniom, koszmarom i długim godzinom po świcie. Boże, pobłogosław, i tu wybierzcie swoich bogów, ale proszę, pobłogosław zakłady farmaceutyczne w dalekiej wschodniej Europie, w Turcji i Bułgarii, pobłogosław chińskich rolników i pola

makowe, na których moralizujący tyrani jeszcze nie unicestwili wyzwolenia jego udręczonej duszy od okropności Innsmouth. Odmówcie różaniec za biały proszek, który przenosi go na arktyczne pustkowia, antarktyczne równiny, gdzie woda jest kamieniem i nic nie może pływać w tych krystalicznych rzekach. *Nie otworzę oczu, myśli Ephraim Asher Peaslee, nie otworzę oczu do rana i może nawet wtedy nie. Może już nigdy nie otworzę oczu, tylko będę spadał wiecznie w światło heroinowej łaski.* Potem słyszy wstający księżyc, dźwięk, jakby niebo się rozrywało, dźwięk maszyn parowych i pieców. Odwraca twarz do brokatowej poduszki, pragnąc się udusić, choć nie ma złudzeń. Kilka razy nie udało mu się samobójstwo; tchórz z brzytwą i pętlą. Starając się nie słyszeć księżycy ani przypływu, stara się jedynie utonąć w białym, starym śniegu i pociętych szczelinami lodowcach, które spływają z bazaltowych zboczy Erebusa, słyszy inny dźwięk oprócz radia – „Tańcz z hrabiną Maud albo po prostu ze zwykłą Lizzy, aż zsiniejesz na twarzy i zakręci ci się w głowie. Gdy nauczysz się tańczyć we śnie, wygrasz na pewno”. Oprócz śpiewu z lekkim vibrato i metalicznych smyczków są grzmoty, trzęsienie ziemi, przeraźliwie głośne mruczenie Billa Baileya, jego gigantycznego mainkuna, jednaście kilo jak nic. Bill Bailey, wychowany od kociaka, staje się bohaterem, myśli z nadzieją uzależniony od heroiny, i ciągnie moje sanie po grzbiecie nieczynnego i zamarznętego wulkanu na biegunie południowym, Mount Yaanek Poego, gdzie brudna, niepoświęcona Manuxet nigdy, przenigdy nie zrobi im psikusa w tę gorącą sierpniową noc. Ryzykując tak wiele rzeczy – w tym nie najmniej ważne zdrowe zmysły – Ephraim Asher Peaslee otwiera oczy, pozwalając, żeby świat wrócił, wypuszczając biel z rozpaczliwego uścisku. Odwraca się, a Bill Bailey stoi niedaleko żurawinowego szezlongu i czeka z kocią cierpliwością, obserwując go bursztynowymi oczami pełnymi tajemnic. „Ty też to słyszysz, prawda? Powinniśmy uciekać. Powinniśmy wcześniej spakować torby i wsiąść do autobusu, do tego rzęcha do Newburyport. Puściliby nas. Nie potrzebują takich jak my. Będą zadowoleni, że się nas pozbywają”. Kot tylko mruga, a potem zaczyna myć zmierzwione czekoladowe futerko, czyści łapy i pierś. „Słyszysz to. Wiem, że tak”. A potem, bliski łez i rozczarowany wyraźnym brakiem zainteresowania Billa Baileya, jego zwykłym pokojowym zachowaniem, Ephraim znowu się odwraca i wciska twarz w poduszkę. Jasne, dlaczego kot miałby się obawiać wdzierającego się słonego morza? Świątynne dziecko Ubaste, dopuszczone do odwiecznych

tajemnic, na zawsze niedostępnych dla skaczących małp, które wypadły z afrykańskiej dżungli i z łask Jahwe. Bill Bailey mruczy, myje się i nie rusza z wyznaczonej pozycji przy szezlongu. Ephraim Asher Peaslee próbuje wrócić do białego miejsca, ale stwierdza, że w ciągu tych paru sekund, które zabrała mu rozmowa z kotem, świetlista Biała Kraina zostawiła go jego własnemu losowi i skromnym możliwościom, nie będącym żadnym zagrożeniem dla potworów, które szaleni i nieświęci członkowie Obrządku Ezoterycznego uznają za stosowne wzywać w noce, kiedy tak obscenicznie duży księżyc rozwała się na niebie Massachusetts. Oblacje i modły sprawiają, że oni gniją i stopniowo zrzucają swoje ziemskie powłoki, a ich dusze toczą się w dół po stopniach drabiny ewolucyjnej ku parującym dewońskim i karbońskim czasom, błotnistym rozlewiskom, mulistym lagunom, niewyraźnym wspomnieniom zachowanym w kościach, krwi i komórkach form życia zaplanowanych, a następnie porzuconych dwieście pięćdziesiąt, trzysta milionów lat temu. Ephraim Asher Peaslee spod numeru siódmego przy River Street mocniej zaciska powieki, mocno jak jeszcze nigdy wcześniej, pędzi w dół, niesiony podskórną szprycą, coraz dalej, lecz nie aż do sanktuarium swojego alabastrowego królestwa. Jakieś drzwi zatrząskują mu się przed nosem, a on ma tylko zgiełkliwe, cuchnące rybami wspomnienia nabrzeża, doków, gdzie istoty już nie ludzkie rzucają na intruzów podejrzliwe spojrzenia wyłupiastych oczu. Groteskowe twarze widoczne w drzwiach i wyglądające przez okna. Cienie i szepty. Wijąca się zielono-czarna masa, którą widzi w przelocie, zanim ta zsuwa się z mola i z pluskiem zostaje pochłonięta przez zatokę. Śpiewy i harmider dobiegający ze starej Sali Masońskiej. Wszystko to i sto innych obrazów, dźwięków i zapachów wypalonych na stałe w jego umyśle. Powłóczące nogami kolosy. Nadzy tancerze w New Church Green, widywani w burzowe, bezgwiazdne noce, wirujący diabelscy derwisze. *Wszyscy kaznodzieje, którzy lubicie łajac tańczących nauczycieli, powiem wam, że jest wiele cech tańca, które zaprowadzą was do bram niebios!* Tylu innych obywateli może odwrócić głowy i wmówić sobie, że nic nie widzą, a zresztą co ich obchodzi pogańskie rytuały upokorzonych wyznawców Ojca Dagona i Matki Hydry? O, stary Ephraim Asher Peaslee zna te imiona, bo nie może odciąć się od głosów, które kursują między szczytami i dolinami fal. W miarę jak zbliża się noc i bledną resztki zmierzchu, on się modli do swoich własnych pogańskich bóstw, do narkotykowych molekuł w jego żyłach, do radia, żeby

w nieświadomości przetrwać wszystkie godziny między tą chwilą a świtem.  
A Bill Bailey trzyma wartę, słucha i czeka.

## 6

Kiedy Układ Słoneczny był młody i nieopierzony, hadeiczna Ziemia została pocałowana przez zbłąkaną Teję, córkę Selene, i cztery i pół miliarda lat temu stygnąca skorupa planety zmieniła się na powrót w stopione piekło. W tej potężnej kolizji Teja została unicestwiona za swój lekkomyślny pokaz uczucia i narodziła się na nowo jako zimna, martwa kula na zawsze skazana na krążenie wokół swojej niedoszłej kochanki; już nie jest planetą, a jedynie satelitą, który nigdy już nie będzie mógł dotknąć Ziemi. Tak więc księżyc, odtrącony, pokryty bliznami i pomniejszony, nawiedzał odtąd niebo, łypiąc złośliwie przez ponad półtora miliona kilometrów pustki, nienawidząc w milczeniu... ale nie całkiem bezsilnie.

Ma pływy.

Taniec dla trójki: Słońca, Księżyca i Ziemi.

Potrafi przyciągać morza dwa razy dziennie, a dwa razy w miesiącu to przyciąganie jest brutalne.

Dlatego zawarł sojusz z istotami w słonych wodach świata, żeby zyskać większe oparcie na lądzie albo jedynie sięgnąć po to, co ocean uważa za swoje.

Bo ocean, tak jak księżyc, jest złą, zazdrosną istotą.

Zapamiętajcie tę myśl.

Koty też mają sekrety zakorzenione w prehistorii i wirujących światach, tajemne historie znane niewielu żyjącym ludziom, z których większość jedynie przeczytała książki albo usłyszała opowieści w snach i koszmarach; jeszcze bardziej nieliczni sami ujrzeni prawdę kociego życia, czy to w obecnych czasach, czy w tak dawno minionych, że tylko walące się pomniki pokazują upływ tych wieków. W mieście Bubastis faraona Szeszonka, oddającym cześć Bast i Sechmet, mumifikowanie kotów, o czym zaświadcza pisma Herodota. Szacunek dla *Tamra Maeo* okazywany przez buddyjskich mnichów, rasy poświęcone dworowi syjamskiemu, kot tajski, korat, *suphalak*, *khao manee*, *ninlarat*. W Ulthar kara śmierci dla tych, którzy zabijają koty czczone w Krainie Snów. Wielka bitwa, którą te zwierzęta toczą ze wstrętnymi, gryzoniowatymi zoogami po ciemnej stronie księżyca.

Koty na księżycu.



Gwiazdoocy strażnicy, których potęga i chwała zostały zapomniane przez ludzkość, kiedy ta zaczęła na nie patrzeć jak na zwykłe zwierzęta domowe.

Scena została przygotowana.

Oto scena:

Wszystkie koty Innsmouth zebrały się w tę parną noc w wyznaczonym miejscu umierającego portu u ujścia rzeki do zatoki Essex, na południe od Plum Island, na zachód od mrugających latarni morskich na Cape Ann. Słońce w końcu zaszło, spuchnięty księżyc wychynął zza atlantyckiego horyzontu, świeci jasno i brutalnie na port i nabrzeża, na łodzie rybackie, na dom spotkań Ezoterycznego Obrządku Dagona, na ściany szczytowe, balustrady, czterospadowe i dwuspadowe georgiańskie dachy kryte łupkiem, na kopuły, kominy i tarasy, wysokie iglice zamkniętych kościołów. Koty zajmują miejsca wzdłuż niskiego kamiennego łuku Banker's Bridge, łączącego River Street z Paine Street, tuż pod dolnym wodospadem Manuxet. Wymknęły się przez uchylone okna, przez świetliki dachowe i piwniczne lufciki, wszystkie drogi ucieczki znane kotom, których „właściciele” sądzą, że kontrolują wejścia i wyjścia swoich podopiecznych.

Koty z Innsmouth zebrały się, żeby utrzymać pozycje. Przyszły, jak to robią dwa razy w miesiącu, odkąd żaglowce kapitana Obeda Marsha wróciły przed stu laty z dziwnym towarem z Nowej Gwinei, Sumatry i Malezji. Z dziwnym ładunkiem i jeszcze dziwniejszymi rytuałami, które skierowały port na nową, straszną ścieżkę, jako że nawróceni na przywieziony z mórz południowych kult Cthullu wzywali mieszkańców zatopionych miast za Diabelską Rafą i daleko za rozległym płaskowyżem Essex Bay. Śpiewali do Głębokowodnych i wszystkich innych okropieństw niezgłębionego podmorskiego rowu i komnat Y'ha-nthlei i Yoharneth-Lahai. I dostali odpowiedź na swoje pieśni. Ich bluźnierstwa i krwawe ofiary zostały nagrodzone.

Ewolucja toczy się do tyłu dla tych, którzy wybrali tę drogę.

I tak jak wierni schodzą pod wodę, tak Głębokowodni z niej powstają.

W te noce, kiedy złośliwy księżyc unosi morze, żeby zakryło kamieniste plaże i przelewało się przez najwyższe mola, grożąc zalaniem Water Street, w te noce istoty wezwane przez rytuały Obrządku Ezoterycznego starają się prześliznąć obok wodospadu, dotrzeć na tereny podmokłe i rzeki za Innsmouth, żeby rozprzestrzenić się w głębi lądu jak zaraza. W te noce

Manuxet wzbiera i zwykle jest zatrzymywana przez keje zbudowane, kiedy miasto jeszcze było młode. Ale przy szczególnie mocnych wiosennych pływach, takich jak w pierwszą noc sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego, połączone morze i rzeka mogą zalać ulice po obu stronach Manuxet. I mogą z nich wypełznąć stwory.

Ale koty przybyły, żeby stawić im czoło.

Żaden – nawet bardzo młody, chory albo bardzo stary – nie wymiguje się od tego obowiązku.

Jest tutaj kocur Essie i Emeline Babson, Horace, podobnie jak pulchna tricolorka sklepikarza Bertranda Cowlishawa, Terrapin. Trzy szylkretowe kocięta wygramoliły się spod ganku Franka Bucklesa, żeby dołączyć do szeregów. Jest cała czwórka Annie Phelps – Darwin, Huxley, Mary Anning i Rowena – a miejsce honorowe przyznano ogromnemu mainkunowi heroinisty Ephraima Ashera Peaslee'a. Pan Bill Bailey prowadził koty Innsmouth od siódmego roku życia i będzie je prowadził do śmierci, kiedy to brzemie przejdzie na inne zwierzę. Wszystkie przyszły na most i jeszcze sto innych. Rozpieszczone i bezpańskie, ukochane, zaniedbywane i zapomniane.

Za sprawą kaprysu grawitacji trzy ciała niebieskie ustawiły się w jednej linii: Słońce, Księżyc i Ziemia schwyte przez niewidzialny pływ syzygijski. W ciągu godziny Manuxet zaroi się od łuskowatych, śliskich istot pełnych nadziei, że w ten wieczór zostaną wyrzucone na świat ludzi. Woda pieni się i rozbryzguje, kiedy Głębokowodni, koszarne żabio-rybie parodie ludzkich istot, gramolą się po wijącej masie wielkich węgorzy długich jak płaskodenne łodzie ze Swampscott i po ramionach gigantycznych kałamarnic i mątw, które z łatwością mogłyby zmiażdżyć człowieka w swoim uścisku. Są rekiny, ryby, jakich nie widział żaden ichtiolog, pancerne plakodermy o ostrych zębach i mięśniopłetwe, które według nauki zniknęły ze świata eony temu. Inne paleozoiczne anachronizmy, ani ryby, ani płazy, biją w molo krótkimi i grubymi, na wpół uformowanymi kończynami.

Spiskujący księżyc na chwilę znika za chmurą, ale potem katarakta znika z jego oka i blade, pożyczone światło rozlewa się po kostce brukowej chodnika biegnącego wzdłuż River i Paine, spływa po dachach w zaułki. O tej porze nieliczni odważyli się zerknąć między zasłony zaciągnięte przed ciemnością, a wśród nich jest Annie Phelps, którą od czytania oderwał jakiś hałas. Nie widzi nic oprócz wody niebezpiecznie wysokiej między wałami

i jest wdzięczna, że w piwnicy nie trzyma niczego wartościowego od powodzi z tysiąc dziewięćset osiemnastego, kiedy straciła całą kolekcję ślimaków i pochewek jajowych, które nierozsądnie przechowywała pod poziomem ulicy. Ale teraz nie widzi nic oprócz wezbranej wody i znowu myśli, że powinna przenieść się do jakiegoś miasteczka, gdzie w takie noce jak ta będą czuwać ekipy z workami piasku. Zaciąga zasłony i wraca do książek.

Dwa domy dalej pan Buckles siedzi na dole schodów z półautomatycznym browningiem kalibru dwanaście na kolanach. Nosił tę strzelbę we Francji, a skoro była dobra do zabijania Hunów w błotnistych okopach, powinna spisać się dobrze przeciwko czemuś, co wypełnie z błota i zatrzyma się pod jego drzwiami. Kurek jest odciągnięty, obie lufy załadowane, on pije z butelki whisky i oczy ma otwarte. Nawet w domu czuje odór rzeki, dziesięć razy gorszy niż podczas najgorętszych, bezwietrznych dni.

Na Banker's Bridge Bill Bailey łąpie bursztynowymi oczami na intruzów, którzy suną niesieni przez przypływ.

Dalej w górze ulicy Essie Babson patrzy w dół na rzekę i nie widzi niczego niezwykłego, ale wyraźnie słyszy.

– Wracaj do łóżka – mówi Emiline.

– Nie słyszałaś? – pyta siostra.

– Nic nie słyszałam. Wracaj do łóżka. Nie dajesz mi spać.

– To upał nie daje ci spać – mamrocze Essie.

– Widziałaś Horace'a? Nie mogłam go znaleźć. Nie przyszedł do domu na kolację.

– Nie, Emiline. Nie widziałam Horace'a. – Essie zerka w noc. – Jestem pewna, że przyjdzie później.

Bill Bailey położył uszy płasko po bokach głowy. Oczy wszystkich kotów z Innsmouth są w tym momencie zwrócone na niego.

Bertrand Cowlshaw leży w łóżku nad swoim sklepem, wyczerpany po długim, gorącym popołudniu, realizowaniu zamówień i układaniu towaru na półkach, bo Matthew przez cały dzień rozwoził dostawy. Bertrand unosi się niespokojnie w granicznej przestrzeni między jawą a snem. I na wpół śni o mieście pod morzem, na wpół słyszy hałas pod łukiem Banker's Bridge.

Bill Bailey tężeje i wszystkie inne koty idą w jego ślady.

Coś niezdarne i jedynie z grubsza przypominające kobietę uwalnia się z rojącej, śliskiej gromady, prostuje na całą wysokość i staje oko w oko z czekoladowym mainkunem.

Jej oczy są czarne jak dziury wywiercone w nocnym niebie.

Ephraim Asher Peaslee dryfuje w łagodnych, opiekuńczych ramionach madame heroiny; po długiej godzinie błagania wpuszczono go znowu do Białej Krainy, do której nie może wejść ani morze, ani księżyc, ani demony. Nie jest świadomy, że Bill Bailey już nie siedzi obok żurawinowego szezlongu. Radio jest jak wiatr szumiący w gałęziach dalekich drzew, wiatr w lesie, który on ledwo pamięta. Jest błogo nieświadomy wzbierającej rzeki, nadejścia Głębokowodnych i całej ich świty.

Łuskowata istota z bezdennymi otworami zamiast oczu otwiera usta, pokazując zęby, które Annie Phelps bez wątpienia rozpoznałaby ze szczęki znalezionej na plaży. Ociekając szlamem i wodorostami, ze skórą upstrzoną pąklami i widłonogami, potwór wyje i pędzi przez most.

Koty z miasta Insmouth robią to, co zawsze robiły.

Utrzymują pozycję.

Walczą pazurami i zębami, nieposkromioną wolą, opalizującym blaskiem oczu, czystą nienawiścią do intruzów. Niektóre są zabijane, wleczone i połykane w całości, miażdżone przez kły i dzioby albo wciągane na dno rzeki i topione. Ale większość z nich przeżyje, żeby wziąć udział w następnej bitwie w czasie wiosennej pełni.

Bill Bailey rozrywa gardło czarnookiej bestii, która kiedyś była kobietą mieszkającą w tym mieście i dbającą o własne koty.

Mary Anning zostaje pożarta, a Annie Phelps spędzi tydzień na jej szukaniu.

Jedno z kociąt spod ganku Franka Bucklesa zostaje zmiażdżone, a jego małe ciało połamane przez wymachujące macki.

Ale bywały gorsze walki i będą jeszcze gorsze.

A kiedy przychodzi koniec i żołnierze Y'ha-nthlesi, Dagona i Matki Hydry zostają rozgromieni i wycofują się w głębiny za portem, kiedy koty zwyciężają, ocalałe niosą zabitych i kładą ich w trzcinach wzdłuż brzegu Choate Island.

Gdy wstaje słońce, nie zostaje żaden ślad inwazji ani dzielności i poświęcenia kotów. Niektórzy zauważą zdychające kraby i schnące pasma wodorostów wyrzuconych na ulice River i Paine, ale większość nawet tyle nie zobaczy.

Dzień znowu jest gorący, ale wieczorem deszczowe chmury nadciągają z zachodu, a z okien starej masońskiej chaty na New Church Green wyznawcy patrzą i klną. Odmawiają modlitwy do zapomnianych bogów i czekają na właściwy moment, cierpliwe jak koty.

**M jak Mars**

## 1. Propozycja

To prawdopodobnie nie jest najwłaściwsze miejsce ani czas, by opowiedzieć o licznych błędach i niepowodzeniach, które ze względnej wygody i cywilizacji Herschel City zaprowadziły mnie do brudu i ruiny agrokopuły Kayne, jakieś tysiąc pięćset kilometrów na wschód, gdzie górzyste tereny opadają do postrzępionych krawędzi Elysium Planitia. Geolodzy mówią, że kiedyś był to brzeg wielkiego marsjańskiego oceanu, miliardy lat temu, i mogą pokazać skały i skamieniałości na potwierdzenie swoich hipotez. Mogą zwrócić uwagę na kręty bieg i odkryte warstwy wielkiego Ma'adim Vallis w miejscu, gdzie kanion kończy się przy wyschniętym jeziorze, które teraz jest kraterem Gusiewa na wschód od Kayne. Ale żadna nauka czy plotki o wyschniętych kanałach nie sprawiają, że ten obszar wyda się choć trochę mniej pustynny albo powstanie wrażenie, że kiedyś naprawdę płynęły tu rzeki albo fale rozbijały się o te suche kamienie. Ale ja urodziłam się na Marsie, więc moja wiedza o morzu pochodzi z drugiej ręki.

Nie ma znaczenia, jak to się stało, że żyję w Kayne, uczę matmy, czytania i geografii dzieci rolników i mechaników, mieszkam nad złomowiskiem w dwupokojowym module, który był stary, jeszcze zanim urodziła się moja matka. Ważne, że byłam tam owej wietrznej nocy trzy dni przed przesileniem letnim, kiedy przywieźli złomiarki. Znalazła je ekipa poszukiwaczek gdzieś na wzgórzach za bojami. Gdy kobiety trafiły do Kayne, były nieprzytomne i bliskie śmierci. Ich kombinezony zawiodły albo zostały rozerwane (nigdy się tego nie dowiedziałam), więc obie cierpiały na zaawansowaną chorobę dekompresyjną. Poszukiwaczki twierdziły, że kiedy na nie trafiły w rozbitym pełzaczku, który utknął na brzegu krateru, obie były jeszcze świadome. Ślady wehikułu prowadziły na północ, co zgadzało się z tym, co, jak twierdziły poszukiwaczki, kobiety im powiedziały, zanim straciły przytomność. Obie umarły przed świtem. To cud, że tak długo przeżyły, i cholerne szczęście, że nie pożyły dłużej.

Następnego dnia miało się odbyć oficjalne dochodzenie, zanim ciała zostaną spalone, a komendantka policji kopuły poprosiła mnie o obecność, więc wróciłam do swojego modułu nad złomowiskiem, żeby złapać kilka godzin snu. Już leżałam w łóżku i prawie zasypiałam, kiedy ktoś zaczął

dobijać się do moich drzwi. Przewróciłam się na plecy i przez kilka chwil patrzyłam w ciemności na niski sufit, słuchając natarczywego pukania i życząc sobie, żeby ten ktoś zrezygnował i dał mi spokój. Ale nie zrezygnował, więc po pięciu minutach krzyknęłam, żeby przestał bębnić, bo się ubieram. Kiedy wkładałam szlafrok, uderzyłam się dużym palcem u lewej nogi w luźny panel podłogowy. W końcu znalazłam włącznik i wewnątrz od razu zalał wstrętny zielonkawobiały blask. W tym ostrym świetle wszyscy wyglądają jak trupy. Tymczasem znowu się rozległo niecierpliwe pukanie, jeszcze głośniejsze, a kiedy w końcu dotarłam do wejścia, odsunęłam zasuwę i uchyliłam drzwi, powitały mnie ciemne, głęboko osadzone oczy i zapadnięte policzki mojej gospodyni Narmeen Jericho. Nie była sama, ale z początku nie potrafiłam się zorientować, kim są moi goście; widziałam tylko niewyraźne sylwetki, cztery albo pięć, stłoczone na wąskiej kładce przed modulem.

– Chciałybyśmy zamienić słowo, profesorko – odezwała się Narmeen bełkotliwie, jak zawsze, kiedy piła.

– My? – Zerknęłam na twarze, których nie widziałam dobrze. – Jakie „my” i dlaczego, do diabła, budzicie mnie o tej porze? Jutro mam lekcje i dochodzenie.

– Już wiemy o dochodzeniu – odparła szybko Narmeen. – Słyszeliśmy, że rozmawiałaś z poszukiwaczkami, i właśnie dlatego one teraz chcą z tobą pomówić.

Spojrzałam na zegar wiszący na ścianie nad łóżkiem. Słońce miało wzejść za niecałe dwie godziny.

– I jest bardzo dobry powód, dla którego to nie może poczekać do jutra? – spytałam.

Narmeen Jericho zmarszczyła brwi i nerwowo szarpnęła wystrzępiony kołnierz zielonego kombinezonu roboczego. Była mocno zbudowaną kobietą i zdaje się, że nigdy w życiu nie miała do czynienia z kostką mydła.

– Rozmawiałaś z poszukiwaczkami – powtórzyła moja gospodyni.

– Tak.

Jedna z kobiet tłoczących się za nią kichnęła głośno.

– Więc teraz my porozmawiamy z panią profesor – powiedziała.

Narmeen pchnęła drzwi do końca, tak że musiałam cofnąć się dwa kroki. Od dawna przywykłam do jej manier albo raczej do ich kompletnego braku. Dorastała w Kayne, a jej rodzona matka była przed nią właścicielką tego złomowiska. Matka zastępcza umarła w więzieniu federalnym



w Molesworth kilka lat po tym, jak wypatroszyła jakąś kobietę w barowej bójce. Narmeen była twarda i nieokrzesała, nawet jak na osobę z pogranicza, a ja dawno nauczyłam się nie oczekiwać od niej taktu czy rozważań. Zwykle najlepiej było ją przeczekać jak jesienne burze pyłowe albo paskudną gripę żołądkową. Wcześniej czy później dawała mi spokój i sobie szła.

Pięć albo sześć minut później wszystkie siedziałyśmy wokół tego, co uchodziło za moje biurko i stół jadalniany – pustej skrzyni, w której kiedyś przywieziono z Ziemi kilka tuzinów rolek izolacji, potem przewędrowała pół drogi wokół Marsa, zanim wreszcie trafiła do Kayne i na śmietnisko Narmeen. W bucującym fluorescencyjnym świetle pięć kobiet, których nie potrafiłam rozpoznać w ciemności, okazało się znajomymi i generalnie nieprzyjaznymi osobami. Były tylko dwa krzesła, tak że reszta musiała stać, usiąść na podłodze albo oprzeć się o brudne plastikowe ściany modułu.

– Rozmawiałaś z poszukiwaczkami – powtórzyła Narmeen po raz trzeci.  
– Słyszałyśmy, że one z tobą rozmawiały i powiedziały, co złomiarki robiły na równinie. Pomyślałyśmy, że może się z nami tym podzielisz.

Potałam oczy, marząc o filiżance mocnej herbaty. Pomyślałam, żeby nastawić czajnik, bo możliwość, że zdążę jeszcze trochę pospać przed pracą, zaczynała się wydawać mało prawdopodobna. Narmeen miała w bucie kamyk, jak mówią w Kayne, i pewnie przez kolejną godzinę albo dwie będzie w kółko wszystko wałkować. Łypnęłam na nią spode łba.

– Tak, pewnie się przekonasz, że jestem bardziej wspaniałomyślną osobą, kiedy nie wyciąga się mnie z łóżka.

– Możesz spać, kiedy cię zasadzą w ciemnej ziemi, profesorko – prychnęła Narmeen.

Jedna z kobiet się roześmiała, farmerka o okrągłej twarzy Mary Sullivan, którą znałam jako jedną ze stałych partnerek Narmeen od picia.

– To kurewsko uprzejme z twojej strony. – Westchnęłam i wstałam, żeby napełnić czajnik. Nie zaproponowałam kubka żadnej z intruzek, a żadna, trzeba im to oddać, nie poprosiła o herbatę.

– Poszukiwaczki zabunkrowały się w hostelu tranzytowym i nie chcą gadać – wyjaśniła Narmeen. – Inaczej poszłybyśmy prosto do nich. Ale to, co słyszałyśmy... Nie chciałam zostawiać tego do rana.

Zerknęłam na nią przez ramię, ale nie spytałam, co słyszały, bo domyśliłam się, że wkrótce do tego dojdziemy. I tak się stało, choć wcześniej, niż przypuszczałam.

– Statek z Ziemi – wypaliła czarnoskóra, niebieskooka kobieta, którą znałam jako Petardę. – Właśnie o tym usłyszałyśmy. O statku z Ziemi.

Narmeen chrząknęła z irytacją, wyraźnie niezadowolona, że Petarda usurpuje sobie rolę rzeczniczki grupy. Włączyłam piecyk i czekałam, co będzie dalej.

– Taaa, właśnie to słyszałyśmy – potwierdziła Narmeen Jericho. – Że tamte złomiarki znalazły statek z innego świata gdzieś niedaleko Patery. Podobno byli w nim mężczyźni...

– Mężczyźni? – parsknęłam, napełniając zaparzaczkę ćwiercią miarki darjeelinga. – Słyszeliście, że na Apollinaris Patera byli mężczyźni, i myślicie, że właśnie to powiedziały mi poszukiwaczki?

– Między innymi.

– Między innymi? A to nie wystarczy?

Nastąpiło kilka sekund ciszy, a ja nie musiałam się odwracać i patrzeć na Narmeen, by znać wyraz jej twarzy, gniew rodzący się w tych głęboko osadzonych oczach. Czekałam, aż woda się zagotuje.

– Ma gadane – burknęła Petarda.

– Może – rzuciła Narmeen. – Trzeba ci przypominać, profesorko, od kogo wynajmujesz to miejsce?

– Dłaczego? – zaryzykowałam. – Masz kolejkę chętnych? Inne biedne dupy tak zdesperowane, żeby zapłacić pięćdziesiąt kredów za to pudło?

Mary Sullivan znowu się roześmiała, a Narmeen Jericho kazała jej się zamknąć.

– Nie przypominam sobie w umowie najmu warunku, że mam zabawiać połowę kopuły o czwartej rano, albo, jeśli już o to chodzi, klauzuli, że muszę być częścią waszego kółka plotkarskiego.

Z aluminiowego dziubka uniosła się pierwsza smużka pary. Czułam pijackie spojrzenie Narmeen wwiercające się w moje plecy. Zastanawiałam się, co zacnie wrzeć pierwsze: czajnik czy ona. Nie miałam zwyczaju wszczynać bójek z kobietami dwa razy większymi ode mnie ani powodu, żeby jej mówić, co usłyszałam tamtego popołudnia od poszukiwaczek. Jednak zawsze miałam w sobie skłonność do przekory. Inaczej nigdy nie rzuciłabym uniwersytetu w Herschel i nie skończyła na uczeniu dzieciaków z agrokopuły na pieprzonym końcu świata.

– Moja cierpliwość ma granice – ostrzegła Narmeen gardłowym półszepem, który zwykle rezerwowała dla trudnych klientów albo na

szczególnie paskudne kace. – Pytam tylko, co słyszałaś, a jak ostatnio sprawdzałam, nie jest to żadna zbrodnia ani pierdolona profanacja.

– Może powinniśmy wrócić jutro – wymamrotała Petarda.

– Zamknij się, do cholery, i pozwól mi się tym zająć – zawarczała Narmeen. – Myślałam, że uzgodniłyśmy, kto będzie gadał?

Zanim czajnik zaczął gwizdać, zdjęłam go z ognia i napełniłam kubek wrzątkiem.

– Przepraszam – powiedziałam, choć wcale nie było mi przykro. Ale nie byłam również w nastroju, żeby szukać innego miejsca do spania albo skończyć w szpitalu po bójce z Jericho. – To do mnie niepodobne, żebym była taką kiepską gospodynią.

Odwróciłam się do kobiet zebranych wokół plastikowej skrzynki. Narmeen łypała na swoje pulchne ręce splecione na kolanach.

– Pytam tylko o to, co słyszałaś. – Sądząc po tym, jak mówiła, uświadomiłam sobie, jak niewiele brakuje do bójki. – Chyba że pani konstabl albo pani koroner kazały ci zachować to dla siebie, profesorko, co nie wydaje się prawdopodobne, skoro ma być oficjalne dochodzenie.

Skinęłam głową i wyłączyłam piecyk.

– Tego, co usłyszałam od poszukiwaczek, nigdy nie nazwałabym wiarygodną relacją. Nie widziałaś tych dwóch, kiedy je przynieśli, Narmeen. To cud, że w ogóle mogły rozmawiać. Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby cokolwiek z tego było prawdą.

– Czyli nie zaszkodzi, jeśli nam to przekażesz – stwierdziła Petarda.

Narmeen uniosła głowę i ściągnęła szare brwi. Gdyby wzrok mógł zabijać, Petarda padłaby trupem na miejscu, nie mam wątpliwości.

– Wiesz, co dekompresja robi z mózgiem? – zwróciłam się do Narmeen, ignorując Petardę i pozostałe kobiety. – Mniejsza o majaczenia spowodowane przez ból, masywny krwotok albo ostrą hipoksję przez niedobór tlenu. Pomyśl przez chwilę, że ich mózgi spuchły tak bardzo, że od wewnętrznego ciśnienia popękały czaszki. Zapewniam cię, że cokolwiek mówiły, nie ma powodu sądzić, by było to coś więcej niż halucynacje.

Narmeen oblizwała cienkie wargi i z powrotem spojrzała na swoje dłonie.

– Nie skąpisz tych wszystkich cholernie wielkich słów, co, profesorko? Z drugiej strony domyślam się, że ludzie ci za to płacą.

– One bredziły, co jest i tak prawie cudem, kiedy się pomyśli, w jakim stanie były ich płuca, albo że ich języki były tak spuchnięte, że obie się

nimi dławily. Szczerze mówiąc, może pytanie, które powinnaś mi teraz zadać, brzmi, czy poszukiwaczki same tego wszystkiego nie wymyśliły.

– Tak sądzisz? – Narmeen zaśmiała się sucho i znowu oblizwała wargi. – Jaki, do diabła, byłby w tym sens?

Przyszło mi do głowy z pół tuzina przemądrzałych, oczywistych odpowiedzi, ale zamiast tego tylko wzruszyłam ramionami i spróbowałam herbaty. Gorąca woda przybrała kolor paskudnego siniaka, tak że rozważyłam pomysł, czy nie sięgnąć do mojego cennego zapasu kostek cukru.

– Ludzie nie robią takich rzeczy, jeśli nie mają piekielnie dobrego powodu – stwierdziła Narmeen. – A ja za diabła nie potrafię odgadnąć, jaką korzyść one miałyby z takiej bajeczki.

– Robi się późno – westchnęła jedna z kobiet. – Do diabła, właściwie to robi się wcześniej.

Była technikiem habitatu i jedyną obcą w całym Kayne City, azjatycką imigrantką Sang Hee Trinh, która spędzała dni, i często noce, na doglądaniu starzejących się biofiltrów kopuły i łataniu przetarć w jej powłoce, zanim zrobią się dziury. Nie miałam pojęcia, dlaczego zadaje się z bandą Narmeen, ale z drugiej strony nigdy nie twierdziłam, że jestem dobrym sędzią ludzkich charakterów. Wtedy po prostu uznałam, że miała swoje powody.

– Wszystkie mamy lepsze zajęcia – odezwała się Mary Sullivan, a Petarda kiwnęła głową.

Wyjęłam zaparzaczkę z kubka i położyłam ją na krawędzi zlewu. Zrezygnowałam z cukru. Przyjdą dni, kiedy będę potrzebowała go bardziej.

– Róbcie, jak chcecie – wyburczała Narmeen, wyjmując z kieszeni kombinezonu fajkę i skórzaną sakiewkę z ziołem. – Ale ja nie wyjdę, póki nie usłyszę tego, po co przyszłam.

– Jesteś upartą kobietą – zauważyłam, biorąc kubek i idąc na swoje miejsce przy stole.

– Pani profesor nie wie nawet połowy – stwierdziła Petarda, trąc jasnyniebieskie oczy.

Sączyłam herbatę, patrząc, jak Narmeen Jericho nabija fajkę.

– Mamy takie samo prawo do ratunku jak wszyscy inni tutaj – powiedziała moja gospodyni. – A jeśli wkrótce nie ruszymy, skończy się tak, że to całe cholerstwo wpadnie w łapy jednej z grubych ryb albo pieprzonych federalnych. Nie zamierzam pozwolić, żeby tak się stało. Coś

takiego trafia się kobiecie tylko raz w życiu, i to tylko jeśli ma szczęście. – Zapaliła fajkę, a w powietrzu rozniósł się smród siarki i ostry zapach zioła.

– A więc o to chodzi? O prawo do ratunku?

– Dokładnie o to chodzi – wymamrotała Narmeen, ściskając zębami cybuch fajki.

Zawsze nienawidziłam zapachu ziela, a towar dostępny w Kayne jest tak cuchnący, jak to tylko możliwe. Wdychałam parę unoszącą się z mojego kubka, ale tylko chemikalia zdołałyby zamaskować odór fajki Jericho.

– Nie znam koordynat pełzacza, jeśli o to pytasz – oświadczyłam. –

Tego mi nie powiedziały. Odniosłam wrażenie, że trafiły na wrak gdzieś między wschodnią krawędzią High Wash a północnym skrajem Herberta, ale wiesz równie dobrze jak ja, że to kawał terenu do przeszukania, całe mnóstwo pustki.

Narmeen pokręciła głową.

– Nie chodzi mi o cholerny pełzacz. Nie warto ryzykować życia i kończyn dla rozbitego pojazdu, który pewnie nie jest wart paliwa potrzebnego, żeby go tu doholować, ani tlenu, który bym zużyła na jego szukanie. Chodzi mi o to, co tamte widziały na Paterze.

– Ziemski statek. – Mój oddech zmarszczył powierzchnię herbaty.

Narmeen dramatycznym gestem wyjęła fajkę z ust i spojrzała na mnie szyderczo, a potem uśmiechnęła szeroko do pozostałych kobiet.

– Jezusie, Maryjo i Buddo. – W szerokim uśmiechu pokazała krzywe żółtobrazowe zęby. – Nie jest bystra ta nasza droga profesor Flanagan Mądralińska, która zostawiła jasne światła i wygodę Herschel i przyjechała tutaj, żeby nas uczyć, biedne tępaczki.

Nikt oprócz Mary Sullivan się nie roześmiał, ale ja zawsze miałam wrażenie, że ona śmieje się nawet z własnych bąków.

– Posłuchaj – zwróciłam się do Narmeen, starając się nie rozkaszeleć w coraz bardziej zadymionym module. – Właśnie tego się dowiedziałam. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to wszystko jedna wielka bzdura. Ale pieprzyć to. Jestem śpiąca i zmęczona od samego patrzenia na ciebie, Narmeen.

– Sama nie jesteś żadną pięknoscią.

– Tak mi mówiono przy niejednej okazji. – Zbyt szybko odstawiłam kubek na stół, tak że darjeeling wychlapała się na blat.

I potem przekazałam wszystko, co zapamiętałam z relacji dwóch poszukiwaczek. Że trafiły na pełzacz, który zjechał ze szlaku i zagrzebał się

nosem w pyłe. Znalazły umierające złomiarki zaklinowane w kokpicie. Obie nie były w stanie mówić, ale podobno i tak mówiły, bełkotały coś o tym, że na południowych stokach kaldery Apollinaris zobaczyły mężczyzn i rozbity transporter z ziemską rejestracją. Twierdziły, że statek stał na dnie czegoś w rodzaju głębokiej jamy, a one zeszły na dół, żeby lepiej się przyjrzeć. Ostatecznie były złomiarkami, najbardziej zdesperowanym sortem, i nie zamierzały marnować takiej okazji. Lej był głęboki, a w transporterze i wokół niego były ciała, w większości mężczyzn. Ale tylko tyle usłyszały poszukiwaczki, zanim kobiety zaczęły tracić przytomność. Powtórzyłam Narmeen jeszcze raz, że nie wierzę w te historyjkę, nawet jeśli nie umiem powiedzieć, kto i po co ją zmyślił. Po prostu mnóstwo rzeczy się nie kleiło. Wszystkie kobiety słuchały, podczas gdy ja mówiłam. Nie przerywały mi, a kiedy skończyłam, Narmeen znowu zapaliła fajkę, a potem siedziała przy jedynym małym okienku modułu i masowała brodę.

– Ja pierdołę – wyszeptała. – Wiesz, ile ta rzecz byłaby warta? Do diabła, tylko podlicz paliwo, okablowanie i...

– Mnóstwo – przyznałam – jeśli w tym coś jest. Ale to cholernie daleko, żeby nic nie znaleźć. I zastanów się, Narmeen. W czasie żadnych badań geologicznych na Paterze nie znaleziono żadnego leja dostatecznie dużego, żeby zmieścił się w nim statek międzyplanetarny. Na Tharsis, jasne, dużo. Ale nie tam i nie na tamtej górze.

– Skąd to wiesz, do diabła? – Narmeen zmarszczyła brwi i zaciągnęła się fajką.

– Wiem, bo gdyby gdzieś na Paterze istniały takie zagłębienia, to po stu pięćdziesięciu latach badań terenowych dawno byłyby zmierzone i naniesione na mapy. I pewnie, jeśli już o to chodzi, nakryte kopułą przez federalnych, właśnie stąd wiem. Lej takiej wielkości i tak głęboki, zapewniam cię, nie zostałby przeoczony.

– Jest jeszcze coś do przemyślenia – odezwała się kobieta, której imienia nie znałam i która do tej chwili nic nie powiedziała. Miała na sobie wyświechtany zielony kombinezon lotniczy z logo Shimizu-Mochizuki na jednym rękawie, pewnie znaleziony w jakimś śmietniku. – Jeśli to, co mówią, jest prawdą, czyli że to ziemski statek, ktokolwiek go wysłał, prędzej czy później by go szukał. Musi w nim być nawigacja satelitarna.

– Nie wiesz tego, kurwa, na pewno – wymamrotała Narmeen na wpeł do siebie.

– Nie na pewno – przyznała kobieta w zielonym kombinezonie. – Mówię tylko, że to prawdopodobne.

– Ona ma rację – poparłam ją. – Znasz prawo ratunku lepiej ode mnie, więc wiesz, że jeśli odebrano sygnał alarmowy, to łapy precz. Musisz również wziąć pod uwagę, że na Ziemi nie ma zbyt wielu ludzi z takimi pieniędzmi, żeby urządzić sobie podobną wycieczkę, więc prawdopodobnie mówimy o statku rządowym albo jednym z tych większych ponadnarodowych. A ich floty są de facto poza zasięgiem ratowników, niezależnie od sygnału.

– Nie urodziłaś się tutaj – stwierdziła Narmeen takim tonem, że zabrzmiało to jak oskarżenie. – Nie spędziłaś całego życia w tej dziurze, profesorko, i założę się, że wcześniej czy później, nieważne, przed kim czy przed czym się ukrywasz, znajdziesz drogę powrotną do jakiegoś miejsca bardziej cywilizowanego niż Kayne. Reszta z nas – wskazała na pozostałe kobiety – nie ma takiego szczęścia, jeśli chodzi o perspektywy. Chyba że przypadkiem będziemy miały fart i trafi się nam coś takiego jak to, a nawet wtedy musimy mieć jaja, żeby nie wypuścić tego z rąk, prawo czy nie prawo.

I popatrzyła na mnie, a ja w swój kubek. Czułam wyczekiwanie Petardy, Mary Sullivan i reszty, nawet jeśli nie miałam pojęcia, czego oczekują.

– Mówiłam wam, co wiem – powiedziałam w końcu, bo ta minuta milczenia była z tego wszystkiego najgorsza. – A teraz, jeśli nie ma czegoś jeszcze...

Narmeen wykaszła dym, a potem głośno odchrząknęła i wytarła usta wierzchem dłoni. Spojrzała na Petardę, a ta westchnęła, zmarszczyła brwi i skinęła głową.

– W Herschel na uniwersytecie studiowałaś geologię, profesorko, tak? – spytała Narmeen. – To znaczy zanim wszystko rzuciłaś.

Poczułam, jak coś ciężkiego i zimnego przewraca się w moim brzuchu, i zrozumiałam wtedy, że one przyszły po coś więcej niż to, co usłyszałam od poszukiwaczek.

– Studiowałam dużo rzeczy.

– Tak, ale chciałaś, żeby to był twój zawód, prawda?

– Mniej więcej – przyznałam. Zaczynałam się domyślać, do czego zmierza Narmeen Jericho, i pożałowałam, że nie jestem dostatecznie sprytna, żeby się z tego wywinąć.

– Racja i dlatego wiesz tyle o Paterze, jaskiniach, badaniach i takich tam. Do tego, co zaplanowałyśmy, profesorko, ktoś z twoją głową do kamieni będzie cennym nabytkiem.

– A co zaplanowałyście, Narmeen?

Jericho przez chwilęssała fajkę, a kiedy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że się uśmiecha.

– Spróbować odmienić nasz los – odparła. – Kupić sobie coś więcej niż jałowa ziemia i rdza. Może. A ty możesz przeważyc szalę na naszą korzyść.

– Jestem nauczycielką – przypomniałam jej, ale rzadko kiedy słowa wydawały się tak puste i bezcelowe. Ciężar nieuniknionego przytłoczył mnie z całą siłą. – Nie jestem geologiem, a nawet gdybym była, nie ryzykowałabym kłopotów z federalnymi albo gorszych rzeczy dla nielegalnego ratunku.

– Nie pierwszy raz złamałabyś prawo – stwierdziła Narmeen, nadal się uśmiechając.

Kobieta w znoszonym kombinezonie lotniczym położyła na stole przede mną plik pomiętych kartek. Na pierwszej stronie widniała jasnoczerwona pieczęć Rady i niebieska pieczęć sądziego pokoju.

– Od dawna to macie? – zapytałam, jakby odpowiedź miała jakiegokolwiek znaczenie.

– Od pierwszego tygodnia, kiedy się tu zjawiłaś, szukając pracy. Możemy być bandą tępych śmieciarek, profesorko, ale wierzymy w sprawdzanie ludzi, których wpuszczamy do kopuły, którym powierzamy uczenie naszych młodych, i takie tam. Na spodzie tego pliku jest nakaz sądowy, wiesz? Nakaz z miasta Herschel na nazwisko studentki Babette Flanagan, oskarżonej o parę naprawdę ohydnych występków. Prawdę mówiąc, kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, chciałam zemdleć z szoku. Nigdy nie słyszałam o takich rzeczach.

Przeniosłam wzrok z Narmeen na resztę kobiet, jedną po drugiej, i tylko jedna czy dwie odwróciły oczy.

– Ale pozwoliłyście mi uczyć wasze dzieci – zauważyłam.

– Nie chcemy, żeby wyrosły na ignorantki, niepiśmienne śmieciarki takie jak ich mamusie tylko z powodu przewrażliwienia i w ogóle, skoro mamy pod ręką dobrą nauczycielkę.

– Nie ma powodu być wredną, Jericho – odezwała się Sang Hee Trinh. – Powiedz jej, czego chcemy, po co przyszłyśmy, i kończmy.



Narmeen patrzyła na nią przez kilka sekund, a Trinh odpowiedziała jej tym samym. Potem Jericho zaciągnęła się głęboko fajką i postukała kostkami prawej ręki o blat stołu.

– Pewnego dnia, profesorko, może nawet ci powiem, dlaczego ta pyskata żółta cipa – wskazała kciukiem na Sang Hee – przerwała kwarantannę i odrzuciła szansę na to, żeby jeszcze kiedyś zobaczyć Ziemię. Kobiety robią najgłupsze rzeczy, kiedy grozi im więzienie.

– Czego chcecie? – spytałam, patrząc na papiery leżące na stole i nawet nie zastanawiając się, jakim cudem moje dokumenty wpadły w ręce Narmeen Jericho.

– Odbędziesz podróż na Paterę razem z nami, pomożesz nam znaleźć lej, o którym mówiły złomiarki, pomożesz przy ciężkiej robocie, jeśli zajdzie taka potrzeba, a potem będziesz trzymać gębę na kłódkę. To wszystko, profesorko. Co więcej, nawet odpalimy ci procent od tego, co znajdziemy, cokolwiek to będzie.

– A to dostanę? – Spojrzałam na dokumenty.

Narmeen zmarszczyła czoło i skinęła głową.

– Jasne, skoro ich potrzebujesz. Już zrobiliśmy kopie. Zrobisz co trzeba, a my będziemy milczeć, że tu jesteś, następnym razem, kiedy federalni albo jakaś suka z Rady zaczną węszyć. Taka jest propozycja. Prosta i jasna, przyjmij ją albo, kurwa, nie.

Zostało powiedzianych jeszcze parę rzeczy, łącznie z pewnymi sugestiami dotyczącymi moich zeznań następnego dnia, tak że zrobił się świt, kiedy Narmeen i jej paczka w końcu powlekły się do swoich kryjówek i nor. Zabrały ze sobą akta sądowe, a razem z nimi ostatnią dziką nadzieję na ucieczkę przed tym, co wydarzyło się w Herschel. Siedziałam przez jakiś czas na kładce pod drzwiami modułu i patrzyłam na kurz unoszący się w białych promieniach poranka. Słuchałam, jak miasto się budzi, jak serwomechanizmy kopuły warczą i szcękają wysoko nade mną, otwierając i zamykając świetliki, kalibrując na nowo panele słoneczne zgodnie z poleceniami Sang Hee Trinh. Nie wstydzę się powiedzieć, że rozważałam kilka mniej bolesnych, dostępnych dla mnie form samobójstwa. Nie żebym wiele razy nie rozważała ich wcześniej. Patrząc wstecz na to, co się od tamtej pory wydarzyło – horror, który miał nadejść i jego utrzymujące się skutki – żałuję głównie tego, że w przeciwieństwie do Narmeen Jericho zabrakło mi niezbędnej odwagi, żeby zrobić to, co należało.

## 2. Dochodzenie

Po wyjściu Narmeen i jej kompanii nie próbowałam zasnąć. Pewnie starania i tak byłyby bezowocne, a ja obawiałam się, że jeśli uda mi się zdrzemnąć, prawie na pewno zaśpię. Lekcje miały się zacząć o dziewiątej, ale na drzwiach szkoły nakleiłam wiadomość, że uczniowie mogą wziąć sobie dzień wolny. Byłam zbyt wyczerpana, żeby uczyć, a ponieważ przesłuchania wyznaczono na godzinę trzynastą, w najlepszym razie miałabym tylko pół dnia zajęć. Wypiłam mocną czarną kawę i zażyłam parę różowych i zielonych pigułek, które nadal biorę, kiedy koszmary są tak silne, że wolę nie spać. Pierwszy raz zapoznała mnie z nimi pewna farmaceutka z Molesworth, gdzie krótko ukrywałam się po swoim nagłym wyjeździe z Herschel, i od tamtej pory były dla mnie dobrodziejstwem albo protezą, zależnie jak ktoś patrzy na takie rzeczy. Przypominają mi one, że czasami tradycyjne rozwiązania nadal są najlepsze, ponieważ te tabletki bardzo niewiele różnią się składem od przeciwbólowej zikonotyny, którą pierwszy raz wyprodukowano na początku dwudziestego pierwszego wieku z jadu dawno wymarłej grupy morskich ślimaków *Conidae*. Stwierdzono, że po niewielkim oczyszczeniu zikonotyna otrzymana z syntetycznej konotoksyny ma dziwne i dobroczynne działania uboczne, a mianowicie złagodzenie uporczywych koszmarów i skutków traumy.

Jeśli chodzi o to, co dokładnie wydarzyło się podczas dochodzenia, nie będę się tutaj wdawać w szczegóły. Protokół jest publicznie dostępny dla każdego zainteresowanego tym, co dokładnie zostało powiedziane i przez kogo. Byłam jednym z pięciu świadków wezwanych przez koronera okręgowego, starszą lekarkę Livię Morton, która w czasie wojny służyła w piechocie i straciła rękę za swój trud. Tylko kilka tików zdradzało, że lekarka nosi mechaniczną protezę. Oprócz mnie przesłuchiowano dwie poszukiwaczki, a także jedną z dwóch lekarek kopuły i posterunkową, która również była obecna, kiedy umierające złomiarki wniesiono przez północną bramę. Poszukiwaczki powtórzyły swoje zeznania, że natrafiły na pełzacza, który utknął w kraterze, i to, co usłyszały od rannych, zanim te straciły przytomność. Lekarka i ja zaświadczyłyśmy o fizycznym stanie poszkodowanych po ich przywiezieniu do Kayne. Kiedy nas spytano, czy

miałymy powód podejrzewać przestępstwo, obie odpowiedziałyśmy, że nie.

Narmeen, Petarda i Mary Sullivan obserwowały postępowanie z miejsc dla publiczności, choć mogę uczciwie zapewnić, że moich odpowiedzi w żaden sposób nie zmieniła obecność Jericho ani jej sugestie z poprzedniej nocy, żebym pominęła pewne szczegóły, które mogłyby spowodować, że koronerka albo inne urzędniczki przeszkodzą jej w planach ratunkowych. Zrelacjonowałam to, co widziałam, nie zważając na jej groźne miny i spojrzenia w czasie moich zeznań i po nich.

Późnym popołudniem sąd ogłosił werdykt, który okazał się prosty, może trochę zbyt prosty, zważywszy na przedstawione dowody. Ale były tam same kobiety, które przesłuchanie oderwało od codziennego życia, od zbiorów, których musiały doglądać, od maszyn, które reperowały, od żon, dzieci i własnych sekretów. Śmierć złomiarek musiała być wynikiem nagłej, gwałtownej dekompresji i zatrucia dwutlenkiem węgla po rozbiciu ich wehikułu, uszkodzeniu śluz powietrznych i skafandrów. Morgan nie wydawała się ani trochę zainteresowana dającymi do myślenia aspektami sprawy. Na przykład jak tym dwóm udało się przeżyć tak długo, skoro ich śmierć powinna być prawie natychmiastowa. Albo, jeśli o to chodzi, czy było choć trochę prawdy w historii o ziemskim transporterze i ciałach mężczyzn znalezionych w ogromnym leju na Paterze. Wszystkie strony zostały zwolnione z odpowiedzialności ku uldze poszukiwaczek, których dwa dni później oczekiwano w Balder City na naradzie w kwestii praw do minerałów.

Jeśli chodzi o mnie, nie myślałam o niczym innym oprócz łóżka. Uznałam, że Narmeen mogę się zająć później, a przesłuchanie sprawiło, że wizyta z poprzedniej nocy wydawała się nie bardziej rzeczywista niż szczególnie wyraźny zły sen. W świetle popołudnia myśl o tym, że zostałam zmuszona, żeby dołączyć do ekspedycji ratunkowej, wydawała się czymś więcej niż zwykłym absurdem. Była niewyobrażalna. Oprócz kilku wypraw terenowych w czasie studiów nigdy nie zapuszczałam się poza kopułę. Zawsze podróżowałam zeppelinem, nawet w czasie pośpiesznego i nielegalnego wyjazdu z Herschel.

Później powiem Jericho, żeby się pieprzyła, bo nie jest taka głupia, żeby wydać mnie federalnym, skoro mogą minąć lata, zanim kolejna odpowiednia i chętna nauczycielka zjawi się na tym końcu świata. Nie żeby należała do osób, którym tak bardzo zależy na edukacji dzieci z Kayne, ale

gdy rozejdzie się wieść, że to przez nią mnie aresztowano, będzie miała wielkie szczęście, jeśli współobywatelki nie pogonią jej dalej niż do odlewni Ma'adim. Ja wróciłabym do obskurnego modułu, do korozji i bałaganu złomowiska, do swojej klasy, a w następnym tygodniu martwe złomiarki i ich pomyłone opowieści byłyby przestarzałymi i w na pół zapomnianymi nowinami. I to jest kurewsko smutne świadectwo mojej zdolności do samooszukiwania się i niedoceniaania talentu świata do rzucania mi kłód pod nogi, bo kiedy opuściłam sąd, przecięłam centrum i ruszyłam boczną ulicą prowadzącą do domu Narmeen, byłam przekonana, że właśnie tak się potoczy cała sprawa. Co gorsza, myślałam, że kiedy już się z nią uporam, wkrótce poszukam sobie nowego lokum, co tylko wyjdzie mi na dobre.

Skręciłam w wąski, niebrukowany zaułek zaledwie kilka przecznic na zachód od złomowiska i znalazłam się twarzą w twarz z techniczką habitatu Sang Hee Trinh. Nie było jej na przesłuchaniu, co mnie nie zaskoczyło; jak już mówiłam, nie wyglądała mi na taką, która zadaje się z bandą malkontentek i chuliganek Narmeen. Od razu ją poznałam i zauważyłam również, że nie zmieniła ubrania, odkąd opuściła mój moduł dwanaście czy trzynaście godzin temu. Potem zobaczyłam, że trzyma pistolet, i wszystkie szczęśliwe złudzenia mojego życia powracającego ze zgrzytem na zwykłe, żalotne tory, wyparowały między jednym uderzeniem serca a drugim.

– Nie krzycz – wyszeptała Trinh, a ja wiedziałam wystarczająco dużo o broni palnej, by zrozumieć, że błyskające zielone światełko oznacza, że pistolet jest odbezpieczony. – Nie waz się wrzeszczeć, profesorko. Za mało jest myślących kobiet w tym szambie. Bardzo nie chciałabym przyczynić się do tego, że nagle będzie o jedną mniej.

Patrzyłam na lufę pistoletu i starałam się nie zastanawiać, jak długo będę umierać od postrzału w brzuch i jak bardzo będzie bolało.

– Wydaje mi się, że szantaż jest wystarczającą zachętą, żeby podjąć się piratowania z Jericho. Broń palna może być lekką przesadą.

– Nie chodzi o ratowanie – odparła Sang Hee. – Jest coś, co musisz zobaczyć, a sądząc po tym, jakie wrażenie zrobiłaś zeszłej nocy, wydaje się mało prawdopodobne, że przybiegniesz, kiedy się ciebie ładnie poprosi.

– A ty nie sprawiłaś na mnie wrażenia kogoś, kto czai się w zaułkach, wypatrując okazji do popełnienia morderstwa.

– Postarajmy się, żeby do tego nie doszło – powiedziała ona, zrobiła krok w bok i skinęła głową w stronę drugiego końca uliczki. – Po prostu

idź. Nie oglądaj się. Będę tuż za tobą.

Wiele lat później nadal mnie bawi, że tym, co żywo pamiętam z pułapki zastawionej na mnie przez uzbrojoną azjatycką techniczkę habitatu, jest to, że po raz pierwszy od ucieczki z Herschel naprawdę podnieciła mnie inna kobieta. Nie chodziło tylko o to, że była ładna, czysta i najwyraźniej miała wszystkie zęby, choć te rzeczy z pewnością wyróżniały ją spośród populacji Kayne. Widywałam Sang Hee na mieście od pierwszego dnia, kiedy tutaj przybyłam, a w swoim module dobrze się jej przyjrzałam, więc jeśli nieoczekiwane, na wpół zapomniane mrowienie było czysto fizyczne, reakcja wydawała się piekielnie spóźniona. Jestem całkiem pewna, że nie chodziło również o jej pistolet ani perspektywę zranienia, jako że nigdy nie rozpałały mnie takie rzeczy, ani wcześniej, ani później. Wydaje się jednak możliwe, że moja reakcja miała coś wspólnego z zimną determinacją w jej oczach, tak brązowych, że prawie czarnych. Takie zdecydowanie nie było powszechne w Kayne, a ja zawsze podziwiałam pasję.

Szłam uliczką, aż ona kazała mi się zatrzymać. Po mojej lewej stronie była brama, nieregularny prostokąt głębszego cienia obramowanego kruszącą się zaprawą i cegłami wypalanymi na słońcu. Sang Hee wskazała na nią lufą pistoletu.

– W środku jest włącznik – powiedziała. – Przesuń go, a kiedy zapalą się światła, pójdę za tobą. I nie próbuj uciekać, bo ten korytarz jest ślepy. Musisz uwierzyć mi na słowo, profesorko.

– Ta myśl nawet nie przyszła mi do głowy – skłamałam.

Przekroczyłam próg budynku. Powietrze w środku było wilgotne, cuchnęło pleśnią i szczurami. Zrobiłam dokładnie tak, jak poleciła mi Sang Hee, choć musiałam trochę pomacać na oślep, zanim znalazłam włącznik. Rozległo się głośne owadzie brzęczenie, żarówki osadzone w suficie ożyły niechętnie. Zamrugałam i osłoniłam oczy przed nagłym blaskiem. Sang Hee obejrzała się w stronę, z której przyszliśmy.

– Kawałek dalej są drzwi – powiedziała.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam nakładające się na siebie stalowe płyty osadzone nisko w ścianie po prawej, zaledwie kilka metrów od ślepego końca, o którym mówiła Sang Hee. Obok nich była zamontowana klawiatura, ale z chińskimi znakami.

– Podam ci kod – powiedziała Trinh. – Wstukaj go.

– Przepraszam, ale nie czytam pinyin.

– Żartujesz? Jakie gówniane szkoły mają w Herschel?

– Hanyu Pinyin była prestiżowa, a moje matki biedne. Uczyłam się tylko podstaw.

– Więc usuń mi się z drogi, *gweipor* – powiedziała Sang Hee i brutalnie dźgnęła mnie pistoletem w żebra.

Gdy wdusiła siedem klawiszy, usłyszałam zacinającą się serię kliknięć i łupnięć w ścianie, nim zardzewiała migawka irysowa obróciła się powoli, odsłaniając trochę mniej jasno oświetlony korytarz. Zobaczyłam rozklekotaną kładkę, jeszcze gorszą niż ta przed moim modulem, a w dół, zapewne do piwnicy, prowadziła drabinka. Tęczówka zamknęła się za nami automatycznie, od zgrzytu metalu o metal rozboleły mnie zęby. Sang Hee zaskoczyła mnie, schodząc po drabince pierwsza, ale z drugiej strony gdzie, do diabła, miałabym uciec?

Ze swojego punktu widokowego na kładce wyjrzałam za poręcz i w głębokiej piwnicy zobaczyłam labirynt skrzyń, regałów, odsłoniętych rur i kabli elektrycznych, wszelkiego rodzaju maszynerię w różnych stadiach zniszczenia i demontażu. Pośrodku tego bałaganu ujrzałam coś w rodzaju prowizorycznego szpitala, zdominowanego przez lśniąca szarą kapsułę izolacyjną, która w przeciwieństwie do całej reszty wydawała się stosunkowo nowym dodatkiem. Przy ekranie kontrolnym stała kobieta, druga siedziała kawałek dalej na dużej aluminiowej skrzyni i trzymała na kolanach pistolet soniczny. Nigdy wcześniej żadnej z nich nie widziałam.

– Z pewnością ktoś zaraz uzna, że pora okazać mi uprzejmość i wyjaśnić, co się dzieje i co to ma wspólnego ze mną – odezwałam się.

Kobieta siedząca na skrzyni roześmiała się, a potem burknęła coś niegrzecznego po portugalsku, co tylko w połowie zrozumiałam, i wycelowała we mnie broń. Sang Hee Trinh już dotarła na sam dół, schowała pistolet do kabury i kazała mi się pośpieszyć. Drabinka okazała się jeszcze bardziej rozchwierutana niż kładka, a ja pomyślałam, że przy odrobinie szczęścia całe to cholerstwo się urwie, a ja zginę na miejscu.

– Poszukiwaczki nie kłamały – oznajmiła Sang Hee – nawet jeśli nie powiedziały wszystkiego. Złomiarki też nie kłamały.

– To dobrze. – Byłam trochę rozczarowana, że dotarłam do ostatniego szczebla drabiny żywa i poczułam pod stopami twardy grunt. – Ale jeszcze nie zgodziłam się pojechać na tę wycieczkę z Narmeen...

– Nie chodzi o Jericho – przerwała mi kobieta stojąca przy kapsule, nie odrywając wzroku od patchworku odczytów, które przewijały się na ekranie. – Ale za chwilę sama zobaczysz.

– Trinh, czy twoje przyjaciółki mają imiona, czy mogę sobie jakieś wymyślić?

– Dlaczego sądzisz, że nasze imiona są ważne, nauczycielko? – zaburczała kobieta z pistoletem. – Co za pieprzona różnica, jak się nazywamy?

– George, odłóż tę cholerną broń – warknęła do niej Sang Hee, a potem wzięła mnie za rękę i poprowadziła między górą zepsutych cewek a stosem wypaczonych ostrzy kombajnu do miejsca, gdzie nad podłogą wisiała cysterna, jakby nic nie ważyła. – Zajrzyj do środka, profesorko, a wtedy porozmawiamy. Kiedy zobaczysz, jaka jest stawka.

Tak więc zajrzałam do zbiornika, bo wydawało się, że jest to jedyny sposób, żeby wyjść z tej matni. I szczerze mówiąc, chciałam wiedzieć, co tak bardzo te tutaj ukrywały przed resztą kopuły. Nie wiem, czego się spodziewałam i czy w ogóle miałam czas o tym pomyśleć. Tak czy inaczej, nie miało to znaczenia. Z pewnością nie ma znaczenia teraz. W kapsule leżał niczym w kołysce, na sterylnie białym materacu dostosowującym się do kształtu ciała, podłączony do oszałamiającej liczby kroplówek, kabli, EEG, sponiewierany, ale bardzo żywy mężczyzna. Żywy mężczyzna na Marsie.

### 3. Ocalały

Ostatni mężczyzna na Marsie umarł ponad dwadzieścia lat przed moimi narodzinami, zaledwie tygodnie po tym, jak wojny handlowe dobiegły do raczej rozczarowującego końca wraz z uwolnieniem nowego wirusa Klein-Yamada. Ze stacji Phobos wypuszczono parę hybrydów opryskiwaczy i w ciągu kilku dni zaraza została skutecznie rozniesiona po całej powierzchni planety. Metakorporacyjni prawnicy i ministrowie obrony na Ziemi twierdzili później, że wirus miał jedynie spowodować bezpłodność i impotencję u męskich osobników, żeby w ten sposób osłabić morale żołnierzy wroga. Pół wieku później nadal wytaczane są procesy. I oczywiście żadnego XY na Marsie. Ponieważ atmosfera jeszcze nie jest wolna od wirusa i nie wynaleziono skutecznej szczepionki ani leku, wszystkie donoszone męskie niemowlęta umierają kilka miesięcy po narodzinach. Większość matek po prostu usuwa męskie płody.

Nie wiem, jak długo stałam i z otwartymi ustami wpatrywałam się w zbiornik, kompletnie oszołomiona, tak jak byłaby każda inna na moim miejscu. Miasto mojego urodzenia i niedokończonych edukacji mogło dać mi bardziej lub mniej bezużyteczne wyrafinowanie i ogładę, ale z pewnością nie przygotowało mnie na ten widok. Oczywiście widywałam mężczyzn, ale tylko na zdjęciach i filmach. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że spojrzę kiedyś na żywego, oddychającego osobnika z tak bliska, że mogłabym wyciągnąć rękę i położyć ją na jego nagiej piersi, gdyby nie dzieląca nas ochronna warstwa plastiku.

Nie był młody, ale nie był też stary. Miał lekki zarost, choć odniosłam wrażenie, że jest to bardziej rezultat niemożności ogolenia się niż świadoma decyzja. Jego zamknięte oczy drgały przez sen. Włosy były obcięte krótko przy skórze, ale widziałam, że podobnie jak broda są koloru ciemnoblonde. Lekko orli nos, na czole blizna, usta pełne i lekko rozchylone, co potęgowało wrażenie, że on tylko śpi, tylko czeka, żeby się obudzić ze snów, które mają mężczyźni.

– Jezu Chryste, kurwa – wyszeptałam. – Czy ktoś może mi powiedzieć, co tu jest grane?

– Poszukiwaczki nie kłamały – powtórzyła Sang Hee. – Znalezione go przy pełzaczu obok dwóch złomiarek, już zapieczętowanego w tym



zbiorniku.

– Ale ja tam byłam, kiedy przeszły przez służbę... – zaczęłam, a kobieta przy ekranie (nigdy nie poznałam jej imienia) mi przerwała.

– Tak, ale poszukiwaczki skontaktowały się z nami dzień przed swoim przybyciem i spotkałyśmy się z nimi kilka kilometrów od kopuły. Wtedy zbiornik został przeniesiony, a im kazano jechać dalej do Kayne z dwiema umierającymi kobietami. Dość skuteczna dywersja.

– Ten facet został wniesiony przez zachodnie służby – dodała Sang Hee.

– Nie rozumiem. – Zamknęłam oczy i odwróciłam głowę od kapsuły, zmuszając się do tego, żeby przestać patrzeć na jej niezwykłą zawartość. – To znaczy rozumiem potrzebę dyskrecji. Oczywiście.

Otworzyłam oczy. Wszystkie trzy kobiety patrzyły teraz na mnie i wyraźnie czekały na moją reakcję po początkowym szoku. Kobieta z pistoletem sonicznym trzymała palec na spuście. Oczy Sang Hee nadal wyrażały determinację, którą wcześniej dostrzegłam w zaułku. Teraz jednak nieco przytłumioną przez niespokojną nadzieję, że nie popełniła błędu, przyprowadzając mnie tutaj, żebym zobaczyła ich zdobycz.

– Nie możesz powiedzieć ani słowa o tym, co tu zobaczyłaś, profesorko – odezwała się kobieta stojąca przy ekranie, a ja wtedy sobie uświadomiłam, że już ją wcześniej widziałam, że ona pracuje jako chemiczka w szpitalu i aptece. Była wysoka, a jej czarne włosy dopiero niedawno zaczęły siwieć. – Ani słowa. Rada i federalni mają surową politykę eutanazyjną w takich wypadkach.

– Jezu – westchnęłam i rozejrzałam się za jakimś miejscem do siedzenia. Czułam słabość w nogach. – Myślałam, że może wy jesteście z Rady albo od federalnych.

– Mało, kurwa, prawdopodobne – rzuciła kobieta z bronią, a Sang Hee spiorunowała ją wzrokiem.

– Nie martw się. – Oddałam głos swojemu aroganckiemu, przekornemu ja, o którym wcześniej wspomniałam. – Nawet przez chwilę nie brałam cię za kogoś innego niż zakapiora z fikuśną bronią.

Kobieta, którą Sang Hee nazwała George i która nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, zmrużyła twarde zielone oczy i splunęła pod moje stopy.

– To prawda, profesorko – powiedziała Trinh, stając między mną a pistoletem. – Gdybyśmy go oddały, ten mężczyzna już byłby martwy.

– Ten mężczyzna... – Urwałam. – Chyba potrzebuję krzesła.

Techniczka wskazała mi skrzynkę i przeprosiła, że nic lepszego nie może mi zaproponować. Skinęłam głową i usiadłam, nagle bardzo spragniona. Marzyła mi się dobra whisky albo herbata z brandy.

– Możemy na ciebie liczyć? – zapytała Sang Hee. – Możemy zaufać, że z nikim nie będziesz o tym rozmawiać?

Wbiłam wzrok w piwniczne klepisko i chyba się roześmiałam.

– Wydaje się, że to pytanie powinnaś mi zadać, zanim mnie porwałaś i pokazałaś to, co pokazałaś. Nie mówiąc o twojej przyjaciółce z bronią.

– Pamiętaj, że jest tylko jedna właściwa odpowiedź – wtrąciła George.

– Cóż, w takim razie to upraszcza sytuację, prawda?

Sang Hee usiadła na podłodze przede mną, a ja spojrzałam w te zdeterminowane oczy, zastanawiając się, co ją skłoniło do przerwania kwarantanny i imigracji, skoro dobrze wiedziała, że nigdy nie będzie mogła wrócić na Ziemię.

– Nie tak bym postąpiła, gdybyśmy nie były pod taką presją czasu – zapewniła mnie Trinh. – Nie jesteśmy bandytkami, Babette Flanagan, i nie chodzi nam o prawo ratunku. Nie jesteśmy spekulantkami.

Jestem pewna, że wtedy pierwszy raz Sang Hee użyła mojego imienia, od którego się już odzwyczaiłam. Uczniowie nazywali mnie panną Flanagan, a wszyscy inni w kopule przy tych rzadkich okazjach, kiedy mieli powód rozmawiać z tą dziwną cudzoziemką z zachodu, mówili do mnie: profesorko.

– Nigdy nie słyszałam, żeby Rada miała program eutanazyjny...

– Nie ma dla nas znaczenia, co słyszałaś, a czego nie – warknęła George i dodała: – Dla nas liczy się tylko to, żebyś trzymała gębę na kłódkę i robiła, co ci, kurwa, każemy.

– Trinh – bardzo starałam się uśmiechnąć, ale wyszedł mi tylko grymas – z pewnością twoja uzbrojona bandytką wykonuje tylko swoją robotę, za którą albo się jej płaci, albo ona podjęła się jej z przekonania, że wasza sprawa jest słuszna. Ale z całym szacunkiem, powinnaś jej powiedzieć, żeby się, kurwa, zamknęła, bo robiłam już bardzo głupie rzeczy, kiedy byłam do tego zmuszona, nie zważając na własne bezpieczeństwo. A przypuszczam, że chcecie mnie żywą.

– Nie waż się, kurwa, mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było! – krzyknęła George, ale Sang Hee kazała jej się zamknąć i iść na górę sprawdzić, czy nikt nas nie śledził.

Kobieta niechętnie, ale poszła. I wzięła ze sobą strzelbę.

Gdy drzwi się zamknęły, spojrzałam najpierw na Sang Hee, a potem na medyczkę.

– Czas, żeby jedna albo druga w końcu zaczęła mówić, czego ode mnie chcecie. I tak, możecie mi zaufać, że nikomu nie powiem, co widziałam. Ale mam dość zgadywania, jak, do diabła, się w to wszystko wpasowuję.

– Niewiele mogę powiedzieć – odparła Sang Hee. – Obawiam się, że będziesz musiała to zaakceptować, profesorko. Chcemy, żebyś towarzyszyła Narmeen Jericho, tak jak się zgodziłaś. Ja też pojedę. Czytałam akta. Wiem, że masz doświadczenie w geomorfologii i tomografii sejsmicznej, i wiem, że kiedyś odwiedziłaś leje na Arsia Mons.

– To było cholernie dawno temu, ja wtedy studiowałam, a to były tylko ćwiczenia terenowe. Mieliśmy przewodników i nigdy nie zbaczaliśmy z wytyczonych szlaków.

– Żebracy nie mogą wybrzydzać – skwitowała Sang Hee. – Nikogo lepszego nie mamy.

– W Kayne są geolożki – powiedziałam. – Certyfikowane.

– Jedna jest hydrologiem, inna gleboznawcą, jeszcze inna geologiem inżynierem, więc żadna nie ma takiego wykształcenia, jakiego potrzebujemy. Co ważniejsze, nie możemy im ufać.

– A sądzisz, że mnie możecie ufać?

Sang Hee wymieniła niepewne spojrzenia z kobietą przy ekranie zbiornika.

– Tak. A są ludzie, którzy ufają moim osądom. Ty jesteś najlepszym, co mamy.

– Jest zainfekowany? – spytałam, wskazując na lśniąca kapsułę, która wisiała metr ode mnie.

– Nie, jeśli te odczyty są prawidłowe – odpowiedziała chemiczka. – Co prawdopodobnie oznacza, że nigdy nie był narażony na atak wirusa. Pewnie nie opuścił statku.

– Statku z Ziemi – dodałam.

– To najmniej nieprawdopodobny sposób na wyjaśnienie jego obecności tutaj, nie sądzisz? – rzuciła Sang Hee.

Kiedyś, przed moimi nierozważnymi działaniami w Herschel i późniejszymi kłopotami, mogłabym czuć się szczęśliwa, że zostałam wciągnięta w ryzykowną przygodę. Ta dawniejsza ja, której już nie było, z pewnością czułaby się wyróżniona, że może zobaczyć coś tak niezwykłego jak żywy mężczyzna na powierzchni Marsa. Ale lata po

uniwersytecie odcisnęły swoje piętno na entuzjazmie i ciekawości z tamtych czasów, a teraz nie miałam większych ambicji, niż zabunkrować się w swoim module nad złomowiskiem, niewidzialna i anonimowa dla świata zewnętrznego. Nie było więc tak, że po zobaczeniu mężczyzny na własne oczy nadal wątpiłam we wrak transportowca z Ziemi leżący gdzieś na Paterze. Po prostu nie chciałam mieć w tym żadnego udziału.

– Skoro już mowa o wyjaśnieniach, fakt, że tamtym złomiarkom tak długo udało się przeżyć dekompresję, jest co najmniej równie zdumiewający jak Pan-Nie-Wiadomo-Kto – powiedziałam. – Na przesłuchaniu nasza dobra doktor Livia Morton całkiem zignorowała to pytanie.

– Na to jedno znam odpowiedź – odezwała się chemiczka, w końcu odchodząc od ekranu kontrolnego zbiornika. – Za zgodą koronera sama zbadałam próbki tkanek.

– Więc ona też w tym jest?

– Niezupełnie – odparła Sang Hee.

– Domyślałam się – mówiła dalej chemiczka – że zaaplikowano im coś ze statku, możliwe, że jakiś nowy specyfik. W ich krwi znalazłam mnóstwo nieznanego izomeru monohydratu dekstrozy, która sprawiła, że ich mięśnie prawie cały czas były napięte. Możliwe, że podziało to jak opaska uciskowa na całe ciało, minimalizując skutki dekompresji i w ten sposób opóźniając śmierć. Obie miały również bardzo podwyższony poziom adrenaliny i...

– Naprawdę nie ma pani pojęcia – przerwałam jej – co tak długo utrzymało przy życiu te dwie biedaczki?

– To rzeczywiście bardzo zagadkowe – przyznała chemiczka. – Powinny być martwe już w chwili, kiedy ich skafandry zawiodły. Obie to wiemy.

Popatrzyłam na Sang Hee, a ona odwzajemniła spojrzenie, czekając na moją reakcję, może szukając jakiegoś znaku, że uważam to wszystko za kłamstwo. Nie uważałam. Już mnie uprzedzono, że więcej się nie dowiem, dlatego wierzyłam w to, co usłyszałam, nawet jeśli nie miało to sensu. Kiwnęłam głową i przesunęłam czubkiem buta po podłodze, zostawiając płytki, nierówny ślad w twardej glinie.

– Jesteś z nami? – zapytała Sang Hee.

– Powinnam pamiętać, że jest tylko jedna prawidłowa odpowiedź na to pytanie.

– Stawka jest wysoka – przypomniała ona. – Musisz mi wierzyć. Co najmniej życie tego mężczyzny. I mogą tam być inni ocaleni.

Pewnie znowu się roześmiałam. Prawdopodobnie obie dostrzegły sceptycyzm na mojej twarzy.

– Chyba nie oczekujecie na serio, że uwierzę w misję ratunkową, że wy dwie i tamta suka z pistoletem jesteście aniołami miłosierdzia z wyłącznie szlachetnymi intencjami. Wolę, gdy przypisuje mi się więcej inteligencji, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Obie jesteśmy strasznie daleko od domu, ty i ja – powiedziała Sang Hee. – Taka jest prawda, czy mierzy się odległość w kilometrach, w jednostkach astronomicznych, latach, czy doświadczeniach. Obie tu jesteśmy, cudzoziemka i obca, odsiadujemy wyrok na tym zapomnianym przez boga i ludzi pustkowiu, klepiąc biedę i mając nadzieję, że nikt nie będzie się nam za bardzo przyglądał.

– Nie powinnaś zakładać, że wiesz, jakie są moje nadzieje, Trinh.

– Ale ja powinnam siedzieć i słuchać twoich przypuszczeń? Dlaczego, Babette?

Przez dłuższą chwilę żadna z nas się nie odzywała. Czujniki kapsuły zaczęły cicho piszczeć, a chemiczka natychmiast podeszła do ekranu.

– Oto, co myślę. – Sang Hee przysunęła się bliżej do mojej skrzynki. – Chcesz wierzyć, że nie pozostało ci teraz nic innego, że możesz liczyć najwyżej na to, iż spędzisz resztę swoich dni w tym *pena do porco, perdido nisto em nenhuma parte*.

– Co za ironia losu – narysowałam butem kolejną kreskę – że to właśnie ty łatasz Kayne, mając taką marną opinię o tym miejscu.

– Nie większa ironia niż nauczycielka, według której nie zostało nic wartego uczenia się, nic wartego zrozumienia. Chciałaś być naukowcem...

– Tak, chciałam być naukowcem, ale to było całe cholerne życie temu.

– Nie tak dawno, żebyś nie pamiętała, jak to jest pytać, dlaczego i jak, kiedy nikogo innego to nie obchodzi. Nie tak dawno, żeby nie została w tobie choć odrobina ciekawości, co się, kurwa, dzieje na Apollinaris.

Panele kontrolne nagle trzasnęły głośno, zamigotały i przestały zawodzić. Zbiornik przechylił się niepokojąco na jedną stronę, chemiczka zakłęła i gorączkowo postukała w ekran. Powietrze w piwnicy zaczęło pachnieć ozonem, ale kilka sekund później urządzenia zaczęły działać normalnie, a kapsuła się wyprostowała.

– Wiem, jak to wygląda – powiedziała Sang Hee, nie zważając na hałas, zapach i cienkie smużki dymu wiszące w powietrzu. Nachyliła się jeszcze bardziej i mówiła powoli, jakby się bała, że jej nie zrozumie. – Wygląda tak, jakbyś trafiła na wichrzycielki albo jedną z bojówek walczących z Radą. Mam rację?

– Mniej więcej – przyznałam, nadal zerkając na szwankujący zbiornik.

– Więc okaż cierpliwość. Bo zapewniam cię, że nie o to chodzi, a ty dobrze wiesz, że rzeczy często nie są takie, jakie się wydają na pierwszy pieprzony rzut oka.

– Więc ty mi powiesz, Sang Hee, co widzę? Co mi tutaj umyka? Albo czy muszę nauczyć się tajnego uścisku dłoni, zanim będziesz mogła mnie oświecić?

Sang Hee spojrzała na George, a potem na chemiczkę zajęta panelem kontrolnym zbiornika. Wydawało mi się, że widzę niemą wymianę słów między nimi, gorący spór, czy można zaufać cudzoziemce. Chemiczka wzruszyła ramionami i pokręciła głową, a George w końcu odłożyła pistolet. Poczułam chwilową ulgę.

– Nie tylko jego poszukiwaczki znalazły w pełzaczku – powiedziała Sang Hee.

Odwróciła się ode mnie i podeszła do niskiego stołu roboczego pełnego narzędzi, pojemników ze smarem i rozłożonych wnętrzości różnych maszyn. Z całego tego śmietnika wybrała blaszaną puszkę w świątecznych kolorach, jaskrawozielonym i czerwonym, w której kiedyś znajdowały się plastry pemikanu. Otworzyła ją i wyjęła zatłuszczony kłęb szmat.

– Nie zamierzam pytać, czy mi wierzysz. Pytam tylko, czy spróbujesz mieć otwarty umysł i mnie wysłuchasz.

Potem Trinh przywołała mnie skinieniem ręki. Gdyby dano mi wybór, pobiegłabym z powrotem na złomowisko Narmeen i do swojej rudery. Zamiast tego podeszłam do stołu i patrzyłam, jak Sang Hee rozwija szmaty i odsłania z grubsza trójkątny kawałek niebieskoszarej skały, dostatecznie mały, żeby zmieścił się w zagłębieniu jej dłoni. Jeden róg był odłupany, a w ostrym górnym świetle kamień wydawał się lekko opalizujący. Sang Hee podała mi go, a ja od razu poczułam niewytłumaczalną niechęć przed jego dotknięciem.

– Śmiało – powiedziała. – Chcę twojej opinii. Opinii kogoś z wprawnym okiem.

– Nie jestem geologiem – zaprotestowałam (ponownie), ale wzięłam od niej kamień.

Okazał się zaskakująco lekki, a ja przez chwilę myślałam, że może jest z plastiku. Lecz ułamany róg odsłaniał drobnoziarnistą budowę krystaliczną, warstwowaną jak w łupku. Obie strony były lekko wklęsłe, jedna wypolerowana na gładko, druga ozdobiona najróżniejszymi symbolami i literami, które na pierwszy rzut oka przywiodły mi na myśl egipskie albo mezoamerykańskie hieroglify. Ta rzecz istotnie wyglądała jak stela albo kartusz. Największy z symboli w jednym wierzchołku trójkąta przypominał skrzydlatego węża o romboidalnej głowie i wijącym się ciele. Inny skojarzył mi się z ząbą, ale dziwnie antropomorficzną, która zdawała się kłaniać wężowi. Nad jej głową były wyryte trzy kropki ułożone jak diadem.

– Archeologiem też nie jestem – uprzedziłam, patrząc na wzory.

Zapytałam Sang Hee, czy ma szkło powiększające, a ona wyjęła z kieszeni kurtki lupę jubilerską.

– Może być? – spytała, a ja odparłam, że jasne.

Potem Trinh mnie spytała, jak stary według mnie jest ten kamień. Nie odpowiedziałam od razu. Spojrzałam przez lupę na ułamany róg. Badając odsłonięte płaszczyzny łupliwości, rozpoznałam kwarc, muskowitz, piryt, może hematyt. Ale mineralogia nigdy nie była moją ulubioną dziedziną. Dostrzegłam również kawałki skamieniałych muszli i coś, co mogło być częścią małego trylobita.

– Pytasz mnie, jak stary jest kamień czy jak dawno temu wyryto symbole?

– Symbole.

– Obawiam się, że nie potrafię pomóc. – Odłożyłam kamień i lupę na stół obok pudełka po pemikanie. – Kamień pochodzi z Ziemi. Może z kambru albo ordowiku. Może syluru. Dostałaś go od poszukiwaczek?

Sang Hee pokiwała głową i spojrzała na pozostałe kobiety.

– Naprawdę nie potrafisz nam powiedzieć, kiedy został wyrzeźbiony?

– Naprawdę. Miesiąc temu albo tysiąc lat temu. Nie wiem. Wzory nie wyglądają na świeże, ale jest dużo sposobów, żeby postarzyć fałszywy artefakt. W każdym razie, jeśli ta rzecz miała wszystko mi wyjaśnić albo zmienić moje nastawienie do ucieczki z Normeen Jericho, obawiam się, że nadal mam problem.

– Pokaż jej – mruknęła George. – No dalej. Już tak daleko się posunęłaś.

– Tak, jasne – powiedziałam – wszystko jedno. Już tak daleko się posunęłyście. Oczywiście, nie tchórzmy teraz.

I wtedy Sang Hee zdjęła kurtkę, podwinęła rękaw i pokazała mi mały tatuaż na lewym przedramieniu. Był to sobowtór skrzydlatego węża wyrytego na kawałku łupka, który podobno dały jej poszukiwaczki. Po tym, jak linie wyblakły, zlały się ze sobą i zatarły, poznałam, że ma ten rysunek od dawna. Przywiozła go ze sobą, kiedy przyleciała na Marsa. Spojrzałam na jej twarz. Zaczynałam podejrzewać, że ponaglający błysk w jej oczach, napięcie, które pierwszy raz zauważyłam poprzedniej nocy w module, mogło być przejawem szaleństwa. Płonęłam w tym ogniu wystarczająco dużo razy, by go rozpoznać. I wtedy zrozumiałam, że w cokolwiek grała ona i jej towarzyszki, było to coś dużo bardziej obłąkańczego niż samobójczy plan mojej gospodyni, żeby szybko się wzbogacić.

– Pokaż jej – powtórzyła George.

– Wychodzę. – Mówiłam wystraszonym głosem i domyśliłam się, że one też to zauważyły.

Sang Hee odwinęła rękaw z powrotem, zapięła mankiet i prawie szeptem powiedziała:

– Przykro mi, profesorko, ale jeszcze nie. Wkrótce, ale jeszcze nie.

Ujęła mnie pod łokieć, zaprowadziła do zbiornika i pokazała tatuaż na szyi mężczyzny. Wcześniej go nie zauważyłam, bo był na wpół ukryty w szczecinie. Był identyczny jak ten, który miała Sang Hee. A potem słuchałam, podczas gdy ona opowiadała o swoim dzieciństwie w biedzie Phnom Penh, o sekretnej świątyni ukrytej na błotnistych brzegach Mekongu. Opowiedziała mi o kapłanie, który zrobił jej tatuaż, kiedy miała zaledwie dziesięć lat, o rzeczach, których nauczyli ją matka i ojciec (bo jako urodzona na Ziemi miała oboje rodziców), o bogu, który spał na Marsie, czekając na dzień, kiedy trzy gwiazdy z konstelacji Centaura znajdą się w jednej linii, podobnie jak trzy rubiny w złotej koronie przechowywanej na ołtarzu w świątyni nad rzeką. Opowiedziała mi, jak została wybrana spośród wielu tysięcy innych na całym świecie, żeby odbyć pielgrzymkę przez trzysta pięćdziesiąt cztery miliony kilometrów przestrzeni kosmicznej i czekać na chwilę, kiedy bóg w końcu się obudzi. O tym, że dwie złomiarki miały przywilej spojrzeć w twarz tej boskiej istoty i zapłaciły za to życiem i wieczną duszą. Zdradziła mi również, kim jest mężczyzna ze zbiornika i jaka jest jego rola w tym wszystkim, co ma nastąpić. Stałam i milczałam.



Co innego, kurwa, miałam zrobić?

## 4. Ucieczka

Kiedy Sang Hee skończyła, odesłała mnie z powrotem do modułu nad złomowiskiem. Założyłam, że mnie śledziły, pewnie George i jej pistolet. I założyłam również, że od tej pory ktoś będzie mnie obserwował. Nie mogłam jednak uwolnić się od myśli o ucieczce, jakkolwiek mogła się wydawać bezsensowna. Siedziałam na skrzynce, sączyłam herbatę i czekałam na wieści od Narmeen, na instrukcje, wskazówki, cokolwiek. Sang Hee powiedziała, że zostanę poinformowana, gdzie i kiedy się spotkamy, a do tego czasu mam trzymać usta na kłódkę i się nie pokazywać. Ale tego samego wieczoru odlatywał z Kayne na zachód frachtowiec wracający do cywilizacji z kopalń Athabaski, a ja pomyślałam, że może zostało mi na rachunku dość środków na to, żeby ktoś przymknął oko na jedną gapowiczkę. Spakowałam nawet sfatygowaną płócienną torbę, z którą przyjechałam do Kayne. W swoim czasie wypchałam ją papierem i uszczelniłam nią pełen przeciągów kąt, co mocno się na niej odbiło. Kilka szwów się popruło, zamek się zepsuł, w jednym rogu ziała dziura wielkości mojego kciuka. Ale zapakowałam ją do pełna dość przypadkowym zestawem ubrań i przyborów toaletowych, paroma książkami, których nie chciałam zostawiać, kilkoma bezużytecznymi drobiazgami o jedynie sentymentalnej wartości, a na samym dnie ukryłam pistolet, który kupiłam tydzień po przylocie do kopuły, choć nigdy nie nauczyłam się strzelać. Nawet nie wiedziałam, czy to cholerstwo działa, ale schowałam je pod czystymi podkoszulkami, razem z dwoma zapasowymi magazynkami. Przewiązałam torbę ciasno co najmniej metrem sznurka, a potem siedziałam sama na skrzynce, z torbą stojącą na podłodze obok mnie, i czekałam, wyglądając przez zakurzone okno. Trudno powiedzieć, co przeraziło mnie bardziej. Ślepa determinacja Narmeen, żeby znaleźć rozbity statek i zażądać prawa do ratunku, czy szaleńcze oddanie Sang Hee jakiemuś mrocznemu pogańskiemu kultowi.

W miarę jak wieczór się włókł, a nie było wiadomości od żadnej z nich ani od nikogo innego, zaczęłam dopuszczać do siebie nadzieję, że nastąpiła zmiana planów. Może miejscowe władze dowiedziały się o jednym czy drugim spisku albo o obu. Może ktoś się wygadał – najprawdopodobniej dwie poszukiwaczki – i teraz lśniący cylinder i jego niewiarygodny lokator

są w drodze do Herschel albo, co bardziej prawdopodobne, na Stację Phoebe. Może zerwałam się z pieprzonego haczyka. Może nawet żadnej z konspiratorek nie przyszło na myśl, że to moja sprawka, więc żadna z nich nie wygada się, że jestem pasażerką na gapę.

Tuż przed świtem zdrzemnąłam się i śniłam o Ziemi, o miastach pełnych mężczyzn, o chmurach na niebie brzemienne deszczem. Śniłam o morzu chlupoczącym o piaszczysty brzeg, o powietrzu pełnym białych ptaków. Ale potem deszcz zmienił się w parujący czarny olej i wszystkie ptaki leżały martwe na smolistym piasku. Stałam w tej węglowodorowej ulewie, patrząc, jak mija mnie coś gigantycznego, co mogło być ciałem lub metalem, i patrzy w mrok rzędami błyszczących pomarańczowych oczu albo pasami świateł lądowania. To coś huczało, wyło, szczekało i brzęczało, sunąc nad morzem, które zaczęło wrzeć. Nie było miejsca do ukrycia, bo inaczej na pewno bym się schowała, ponieważ wiedziałam, że to coś mnie szuka. I wiedziałam również, co to jest i że nie jest to jedna rzecz. Ten Tytan, wielooki Polifem, był przestępstwem, przed którym uciekałam z Herschel, a także tym, co cała ludzkość zrobiła Ziemi, a potem Marsowi. Wielki Grim i to, co czekało na nas na Paterze. Ponownie narodzony bóg Sang Hee, ostatnia rzecz, jaką złomiarki ujrzały, zanim ich skafandry zostały rozdarte. Może śniłam za nie ich martwe sny.

Deszcz ustał, ale piasek zrobił się kwaśny i smolisty, a wodę pokrył gęsty, opalizujący kożuch, zbiorowy brud dwudziestu miliardów ludzkich istot.

Czasami byłam sama na plaży, czasami towarzyszyły mi inne kobiety. Narmeen Jericho przyszła i odeszła rozczarowana, mamrocząc barwne przekleństwa. Moja matka zastępcza trochę została i mówiła o truskawkach, stłuczonych naczyniach, dziwnym i strasznym cyrku, który kiedyś widziała w mieście Szaronow na Nilokeras Mensae. Zapytałam ją, kiedy tam pojechała, a ona szybko rozwiła się na nagłej atlantyckiej, pacyficznej albo antarktycznej bryzie. Zjawiała się pierwsza dziewczyna, z którą się pieprzyłam, Ingrid Dickens. Patrzyłam, jak zdejmuje buty, podwija spodnie i brodzi w ohydnych falach. Śniąc, zrozumiałam, że wszystkie te osoby mają jedną rzecz wspólną ze sobą i również jedną rzecz wspólną z oceanem. Wszystkie, tak jak on, były martwe.

Kiedy Ingrid skończyła brodzić, wróciła do mnie i zapytała, czy wiem, co się zbliża, co się już stało i co z tego powodu nigdy się nie wydarzy.

– Zawsze byłaś skazana na to miejsce – powiedziała. – Na to albo na jeszcze gorsze.

– To nie ja ciebie zabiłam. – Chciałam nieść ciężar jedynie tych grzechów, które ja popełniłam. Więc ona zostawiła mnie samą, choć jej odejście nie było tak proste ani tak raptowne jak mojej matki.

Daleko na morzu dostrzegłam wielki jak góra kształt, który wcześniej tak bardzo się przybliżył, niewyraźną plamę na tle horyzontu. Jego oczy otwierały się i zamykały, rozbłyskiwały i gasły. To coś przybrało formę wieży o wielu poziomach, a kiedy patrzyłam, zanurzyło się, a potem wynurzyło znacznie bliżej brzegu. Gnijąca skóra marszczyła się i napinała, skorodowany stop rybich łusek, metalu i surowego mięsa ssaka. Pasożytnicze mechanizmy i gąbczaste kolonie makrowirusowych symbiontów przywierały do ścian albo z nich wyrastały. Ta żywa wieża miała głos, a z powodu Sang Hee znała moje imię. Z wielkim wysiłkiem odwróciłam się plecami do tej potworności i do fal, spojrzałam na morze wydm i dalej na rozległe ruiny spalonego miasta.

Ruszyłam w stronę tych ruin i wydawało się, jakbym szła przez wiele dni. Ale nigdy do nich nie dotarłam. Czasami szli ze mną ludzie, niewiele więcej niż cienie, ale zwykle byłam sama.

Kiedy się obudziłam, do modułu przez zamknięte żaluzje sączyło się słabe światło słoneczne. Ramiona i nerki bolały mnie po godzinach spania w pozycji zgarbionej nad skrzynią. Gdzieś na zewnątrz, ale bardzo blisko krzyczeli ludzie. Usiadłam prosto i przetałam oczy. Koszmar nadal był bardziej namacalny niż to, co docierało do mojego umysłu na jawie. Powiedziałam sobie, że to tylko seria przerw w zapłonie, drobne eksplozje w zapchanej piaskiem rurze wydechowej, może przeciekająca pompa paliwa, ale nic niezwykłego w mieście, gdzie niemal każdy mechanizm i urządzenie są prowizoryczną przeróbką.

Siedziałam na krześle, ledwo oddychając, na próżno wyczekując czwartego huk, słuchając bicia własnego serca i pokrzykiwań na złomowisku. Cholernie dobrze wiedziałam, że to nie były żadne kłopoty z pojazdem, tylko strzały z broni palnej. Nagle ktoś zabębnił w moje drzwi, a ja nadal tylko siedziałam, słuchałam i patrzyłam, by się upewnić, że to nie bardziej realistyczny obrót, jaki przybrał sen. Potem usłyszałam Sang Hee wołającą z drugiej strony i w końcu jej głos sprawił, że wróciłam do siebie.

– Wiem, że tam jesteś, profesorko. – W jakiś sposób jednocześnie szeptała i krzyczała. – Musisz otworzyć te pieprzone drzwi.

– Idę – wychrypiałam. – Spałam.

– Więc lepiej się obudź. Nie mamy za dużo czasu.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnęłam, żeby moduł miał tylne wyjście, a było to coś, o czym wcześniej marzyłam wiele razy. Wstałam i przeczesałam włosy palcami, zastanawiając się, czy dokopię się do pistoletu na dnie torby, zanim Sanh Hee wyważy drzwi. Wydawało się to nieprawdopodobne, jako że zawiązałam na sznurku liczne węzły, żeby zamknąć torbę.

– Lepiej teraz niż później – zaburczała Sang Hee.

Chwilę potem odsuwałam zasuwę i przekręcałam gałkę. W porównaniu z mrokiem modułu poranne światło słoneczne wydawało się niemożliwie jasne. Zaklęłam i zmrużyłam oczy, a Sang Hee przepchnęła się obok mnie. Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, było to, że trzyma pistolet soniczny niskiej częstotliwości identyczny jak ten, z którego George łaskawie celowała we mnie dzień wcześniej. Może to była ta sama broń.

– Twoja? – Sang Hee wskazała głową na torbę stojącą na podłodze przy stole.

Odpowiedziałam, że tak, i już miałam spytać, co się, kurwa, dzieje, kiedy ona chwyciła torbę, wcisnęła mi ją w rękę i z kamizelki wyjęła żółtą kulę wielkości śliwki.

– Idź – powiedziała.

– Czy to granat? – Już zaczynałam myśleć, że jednak się nie obudziłam.

– Powiedziałam „idź”.

Mocno ścisnęła kulę, a ta zaświeciła bardziej na zielono niż żółto. Sang Hee rzuciła ją na moje łóżko, a potem się odwróciła i wypchnęła mnie na kładkę, przez cały czas licząc głośno od pięćdziesięciu w dół. Kiedy dotarliśmy na złomowisko, zobaczyłam Narmeen Jericho leżącą twarzą w rdzawym brudzie. Nie było żadnej krwi. Ani kropli, ale nie musiałam widzieć krwi, by wiedzieć, że ona nie żyje.

– Ty to zrobiłaś? – spytałam, ale Sang Hee zignorowała moje pytanie i pchnęła mnie w stronę ulicy, nadal licząc wstecz.

Chyba dotarła do dziesięciu, kiedy granat wybuchł i przez ułamek sekundy świat wydawał się stworzony z ognia.

Nigdy się nie dowiedziałam, co było w żółtej kuli Sang Hee, ale fala uderzeniowa ścięła nas obie z nóg i potoczyła jak szmaciane lalki, roztrzaskała okna w promieniu kilku przecznic. Leżałam ogłuszona i zaczynałam myśleć, że jestem martwa jak Narmeen, podczas gdy

powietrze wokół mnie drgało od żaru i światła. Po wybuchu nie słyhać było żadnego dźwięku oprócz bolesnego, przenikliwego dzwonienia w uszach. Leżałam i czekałam na jakieś potwierdzenie, że jestem martwa, czekałam, aż synapsy i neurony w mojej głowie dostaną wiadomość i się wyłączą. Z pewnością wkrótce będzie tylko czerń. Nie, nawet nie czerń, ale całkowity brak koloru, kiedy nastąpi błogosławiona utrata świadomości i pamięci, koniec wszelkiej percepcji. Powietrze cuchnęło płonącym plastikiem i gorącym metalem. Potem zaczęło padać. Nie oleiste krople wody jak w moim śnie o Ziemi, ale drobny szary proszek, który łąduje się do aluminiowych brzuchów gaśnic. Gaśniczych botów Sang Hee Trinh, przywierających jak tłuste pająki do spodu kopuły, zaprojektowanych tak, żeby wykrywać eksplozje w ciągu dwóch albo trzech milionowych sekundy.

Bromowane opóźniacze palenia zaczęły pokrywać ziemię niczym drobny popiół albo szron, a ja zrozumiałam, że nie zostałam zabita, jeszcze nie. Przetoczyłam się na prawy bok. Torba nadal leżała obok mnie i mimo zepsutego zamka nie otworzyła się, kiedy ją upuściłam. Potem ktoś zaczął ciągnąć mnie za rękę, a kiedy odwróciłam głowę, zobaczyłam, że to Sang Hee. Jej usta się poruszały, ale mogłam tylko domyślać się słów, zagłuszanych przez dzwonienie, które jej bomba zostawiła w mojej czaszce. Nie byłam jednak tak oszołomiona, żeby nie dostrzec naglącego wyrazu jej twarzy, tej determinacji w oczach, którą pierwszy raz dostrzegłam w zaułku dzień wcześniej. Trinh była cała pokryta kurzem, sadzą i szarym proszkiem, a na brodzie miała rozcięcie, które wymagało szycia. Jej usta znowu się poruszyły, wypowiadając nieme słowa, a potem Sang Hee pociągnęła mnie tak mocno, że uklęknęłam, a potem wstałam. Ona nadal trzymała pistolet w ręce. Albo znowu go trzymała.

– Muszę wziąć torbę – powiedziałam, choć nie słyszałam nawet własnego głosu.

Uwolniłam się z jej uścisku i spojrzałam na płonącą ruinę, w którą zmienił się mój moduł. Zobaczyłam, że zgliszczą są dalej, niż się spodziewałam. Uświadomiłam sobie, że wybuch wyrzucił nas poza złomowisko, niemal do ulicy. Nigdzie nie było śladu trupa Narmeen; pochłonęły go rozprzestrzeniający się ogień i zniszczenie.

Spryskiwacze nie robiły dużych postępów w gaszeniu ognia, a ja zastanawiałam się, jak cienka powłoka kopuły poradziła sobie z eksplozją. Może gdzieś wysoko było rozdarcie i teraz cenna atmosfera Kayne

wycieka, podczas gdy rozpadające się roboty pędzą, żeby załatać szybko powiększającą się dziurę. Podniosłam torbę, zaskoczona, że węzły wytrzymały, a Sanh Hee znowu zaczęła mnie popychać w stronę ulicy. Zbierał się tam tłum kobiet – przerażone, zaskoczone, zaciekawione twarze, wyciągnięte palce – osłaniających oczy przed blaskiem ognia, zasłaniających usta i nosy dłońmi, żeby nie wdychać proszku gaśniczego.

Pamiętam, jak pomyślałam, że proszek smakuje jak mydło.

Przy krawężniku czekał na nas zdezelowany zielony ślizgacz z drzwiami otwartymi od strony pasażera, choć nie pamiętam, żeby tam stał, kiedy się podniosłam i pierwszy raz spojrzałam w stronę ulicy. Był pięciomiejscowy, z lukiem bagażowym, a siedziały w nim już cztery osoby. Nachyliłam się do kabiny i potrząsnęłam głową, na próżno starając się pozbyć dzwonienia w uszach. Sang Hee trąciła mnie w żebra, żebym wsiadła do wehikułu czekającego na jałowym biegu, a ja odwróciłam się do niej gwałtownie. Sądząc po wyrazie jej twarzy, mogła to być pierwsza rzecz tego poranka, której się nie spodziewała. Zrobiła krok czy dwa do tyłu, przyciskając pistolet do piersi. Krew kapła jej z brody na chodnik.

– Nie ma czasu – powiedziała bardzo wolno, przesadnie wymawiając sylaby, żebym mogła czytać jej z ust.

Przełknęłam ślinę i poczułam smak miedzi.

– Pieprz się – odpowiedziałam równie wolno i z taką samą absurdalną dykcją, zakładając, że ona też została chwilowo ogłuszona.

Sang Hee zamruwała, potem skinęła głową i się uśmiechnęła. Za nią część rusztowania, które podtrzymywało mój moduł, zawaliła się w kłębach duszącego czarnego chemicznego dymu i wirze rozżarzonych węgli. Ona powiedziała coś, czego nie mogłam zrozumieć, i chwilę później poczułam słabe ukłucie w dole pleców, tuż nad pośladkami. Po chwili nie było już niczego.

## 5. Na zewnątrz (Koniec)

Nie zostało dużo więcej do opowiedzenia. Cokolwiek z tego wyjdzie, kiedy skończę, podejrzewam, że nie będzie to dobrze skonstruowana i przyjemna w czytaniu opowiadka. Kiepski ze mnie Izmaele, a to jest tylko wyznanie tchórze, który nagle doszedł do niechlujnego wniosku. Z drugiej strony kiedyś próbowałam uczyć tępe córki farmerek i mechaników, że literatura to tylko trik, a intryga wcale nie oddaje bałaganiarstwa życia. Mimo to gdybym zaczęła tę historię wcześniej, na długo przed swoją ucieczką z Herschel i skazaniem siebie na powolną śmierć w czyścicu Kayne, kiedy jeszcze w moim życiu były rzeczy, dla których warto żyć, ta krótka narracja stałaby się bardziej satysfakcjonującym rodzajem opowieści z morałem. Wtedy przynajmniej mogłabym się okazać nie taka... Jaka? Pozbawiona sprawczości? Niezdecydowana? Tchórzliwa? Przeglądając te strony, widzę wyraźnie, że nigdy nie byłam kimś więcej niż widzem, w najlepszym razie epizodystką – kompletnie popieprzoną – przypadkowo wmieszaną w różne wydarzenia, których nawet teraz nie rozumiem. Podejrzewam, że to jest mój grzech, rzecz, która prześladowała mnie przez cały nędzny, kręty kurs mojego życia – uparta bierność. Mogłam działać, a wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Los podsuywał mi okazje. Ale ja zawsze się bałam, prawda? Bałam się, że zostanę obnażona przez dokumenty, które Narmeen przyniosła tamtej nocy do mojego modułu. Bałam się więzienia. Bałam się ognia płonącego w oczach Sang Hee. Bałam się śmierci.

Pośpiesz się. Kończ już. Jestem zmęczona słowami.

Nie wiem, co było w igle, ale spałam głęboko i bez snów, zdrowo jak po małych fioletowych i zielonych pigułkach, o których wcześniej wspomniałam. Kiedy się ocknęłam, usłyszałam cichy pomruk silnika pełzacza, pracującego na jałowym biegu. Otworzyłam oczy i spojrzałam na niski sufit znajdujący się zaledwie kilkanaście centymetrów nad moją twarzą, na patchwork niechlujnych, rdzewiejących spoin, śrub i stalowych płyt. Rozglądając się, zobaczyłam, że leżę na górnej pryczy, sama w zagraconym pomieszczeniu dla załogi pojazdu. Dwa rzędy piętrowych łóżek, razem sześć koi, pięć starannie zaścielonych. Wszędzie wałało się mnóstwo śmieci, nierozpakowanych bagaży, ubrań, różnych rzeczy osobistych – świadectwo, że nie jestem sama w pełzaczu. Iluminatory były



zamknięte, ale wewnątrz oświetlały lampki do czytania zamontowane nad pryzkami. Leżałam przez jakiś czas, próbując rozeznąć się w sytuacji, wspominając wybuch i wszystko, co wydarzyło się przed nim, zdezorientowana i jeszcze oszołomiona tym, co mi wstrzyknięto. Przynajmniej dzwonięcie w uszach ustało.

*Gdzie jestem? Gdzie jestem i jak długo byłam nieprzytomna?*

W ustach czułam bolesną suchość, gardło było obolałe. Kiedy wreszcie zdecydowałam się podnieść, zmusiło mnie do tego pragnienie. Bolały mnie wszystkie mięśnie i kości. Nogi miałam słabe, ale mogłam stać. Oparłam się o pryzce, na wypadek gdybym źle oceniła swoje siły. Już się odwracałam w stronę wjazdu, kiedy sobie uświadomiłam, że na rękach i twarzy mam powierzchowne oparzenia po piekło, które wywołała żółta kula Sang Hee. Miejscami moja skóra miała wściekle różowy kolor, tu i tam było kilka pęcherzy. Zignorowałam je i wcisnęłam przełącznik na ścianie; wjazd zazgrzytał, jęknął i otworzył się niechętnie.

Na korytarzu znalazłam pierwsze ciało. To była George. Dostała postrzał w głowę, jej mózg i tył czaszki były rozbryzgane na ścianie. Zabójca albo ktoś, kto zjawił się później, nabazgrał wiadomość, pięć liter narysowanych palcem umoczoną we krwi, jedno słowo, które nic dla mnie nie znaczyło: DAGON.

Nawet teraz z dumą mówię, że zaskoczyłam samą siebie, nie wymiotując. Zostawiłam George i skierowałam się na przód pojazdu, w stronę kokpitu. Po drodze natknęłam się na drugie ciało, kobiety, której nigdy wcześniej nie widziałam. Jej również strzelono w głowę. Brakowało jej pół twarzy, a jedyne oko było szeroko otwarte i wpatrywało się w pustkę.

Do tej pory prawie całkiem zapominałam o pragnieniu i dyskomforcie z powodu oparzeń.

Otworzyłam następny wjazd i weszłam do kokpitu. Żaluzje były opuszczone, wewnątrz rozjaśniała jedynie żółtozielona poświata deski rozdzielczej i szyny wpuszczonej w podłogę. Czekają tam na mnie jeszcze dwa ciała, jedno na siedzeniu pilota, drugie na stanowisku nawigatora. Nigdy wcześniej nie widziałam tych kobiet. W przeciwieństwie do George i drugiej ofiary w korytarzu tych nie zastrzelono. O ile potrafiłam stwierdzić, zostały zatłuczone na śmierć. Gdyby przed tamtym dniem ktoś mówił o zapachu krwi, chyba nie wiedziałabym, co ma na myśli. Ale stojąc w rzeźni, w którą zmienił się pełzacz, czułam odór: mocny, gorący,

metaliczny, i nie zapomnę go, póki będę żyć. Cztery kobiety nie mogły być martwe od dawna; nadal były ciepłe. Cokolwiek się tutaj wydarzyło, po prostu to przegapiłam. Może tylko o minuty. Prawdopodobnie to hałas w końcu obudził mnie z narkotykowego zamroczenia. Znalazłam zegar i stwierdziłam, że spałam prawie trzydzieści godzin.

– Gdzie jestem? – zapytałam na głos, jakby się spodziewała, że któraś z martwych kobiet podniesie się i uprzejmie mi odpowie.

Nie było jednak trudno samej poznać odpowiedź. Nasza pozycja wyświetlała się na kolorowej mapie topograficznej, która wypełniała jeden z wielu ekranów w kokpicie. Nie pokonałyśmy nawet połowy drogi przez krater Gusiewa. Pełnacz stał zaparkowany sto sześćdziesiąt kilometrów od Kayne, nadal dobre dwieście kilosów od krawędzi Apollinaris Patera. Usiadłam w pustym fotelu drugiego pilota i przyjrzałam się kontrolkom, aż znalazłam dźwignię otwierania żaluzji.

Na zewnątrz było trochę po południu i z początku letnie słońce wydawało się oślepiające. Siedziałam, mrużąc oczy i patrząc na niskie żółtobrazowe niebo i czerwone równiny, czekając, aż oczy przyzwyczają się do blasku. Rozległy, ale niczym niewyróżniający się obszar Gusiewa ciągnął się we wszystkie strony, a monotony widok niskich, pofalowanych wydm urozmaicały tu i ówdzie głązy i wychodnie zwierzęcego bazaltu. Myślę, że żaluzje były podniesione przez prawie minutę, zanim dostrzegłam Sang Hee, choć znajdowała się nie więcej jak kilkadziesiąt metrów od dziobu pojazdu. Byłam dostatecznie blisko, żeby widzieć jej twarz wewnątrz przezroczystej bańki hełmu. Techniczka klęczała z głową odrzuconą do tyłu i wpatrywała się w niebo. W lewej dłoni w rękawicy ścisnęła rzeźbiony kawałek łupku, który pokazała mi w piwnicy dwa dni temu, a kiedy na nią patrzyłam, uniosła ramiona, a mnie się zdawało, że ofiarowuje kamień bezchmurnemu niebu.

Nie, nie niebu.

Wcale nie niebu.

Chyba raz głośno wypowiedziałam jej imię, może dwa razy, a potem zaczęłam gorączkowo szukać na desce rozdzielczej przycisku łączności z jej skafandrem. Ale wszystkie instrumenty wyglądały tak samo, oszałamiający zestaw tarcz, przełączników, gałek, cyfrowych odczytów i kontrolki. To cud, że w ogóle udało mi się podnieść żaluzje. W każdym razie zaledwie kilka minut po tym, jak ją zauważyłam, Sang Hee zdjęła hełm. Nie mogłam patrzeć, jak umiera. Choć to trwało krótko. Nieznana

siła, która przedłużyła cierpienie dwóch złomiarek, jej przynajmniej została oszczędzona.

Potem coś usłyszałam, choć nie mogę sobie przypomnieć, co to było. Jedynie ciche stuknięcie albo głuchy odgłos, dźwięk, który zakłócił idealną ciszę. Odwróciłam się i zobaczyłam mężczyznę z Ziemi stojącego we włazie. Wypuściłam powietrze z płuc, zaskoczona jedynie tym, że jego widok mnie nie zaskoczył. Jaki to miało sens, że on tam stoi, że pojawił się dokładnie w tamtej chwili jak na dany znak. Po prostu To Wydarzyło Się Następnie. Mężczyzna patrzył na martwą technicką habitatu, skuloną w pyłe. Jego oczy były zadziwiająco jasnoszare. Nigdy wcześniej nie widziałam nikogo o szarych oczach i od tamtej pory również nie. Zauważyłam, że się ogolił. Miał na sobie czarną koszulę, rozpiętą, i trochę za duże spodnie. Był boso. Dziwne, że tak wyraźnie pamiętam, co miał na sobie, ale tak właśnie jest.

– Szczerze żałuję, że ona panią w to wszystko wciągnęła, Babette Flanagan – przemówił, nie odrywając tych zdumiewających szarych oczu od Sang Hee. – Ale ona nigdy nie była, powiedzmy, zrównowazona. –

Akcent miał niemiecki (rozpoznałam go ze starych filmów), a głos delikatniejszy, niż się spodziewałam. Był wyższy, niż wydawał się w zbiorniku, ale niedużo wyższy ode mnie.

– Zabił je pan? – spytałam, wskazując głową na dwa ciała. – George i tamtą drugą kobietę w korytarzu też?

– Nie – odparł. – Nie zabiłem. Ale pewnie tak jest najlepiej, że zostały wyeliminowane, biorąc wszystko pod uwagę.

Nie spytałam, co miał na myśli, a on sam tego nie wyjaśnił. Spojrzał na mnie, ten mężczyzna z Ziemi, i posłał mi zmęczony półuśmiech.

– Dlaczego pan nie zachorował? – spytałam.

– A, to. Cóż, można powiedzieć, że oszukiwałem. Widzi pani, nie urodziłem się mężczyzną, fizycznie. Dlatego jestem odporny na wirusa.

– Ona wiedziała? – Odwróciłam się w stronę pustyni i Sang Hee Trinh. Kiedy upadła, nadziała się na czubek rzeźbionego kawałka łupka, ale ten na szczęście był ukryty przed moim wzrokiem.

– Tak, wiedziała. Przecież była moją żoną. Poznaliśmy się na uniwersytecie w Heidelbergu wiele lat temu. Ona była wybitną studentką. Zostałaby świetnym inżynierem, przed sobą miała obiecującą karierę, ale...

– Nie dokończył zdania.

Pomyślałam o opuszczeniu żaluzji, już sięgałam do dźwigni. Potem omal nie spytałam mężczyzny, jak się nazywa.

– Zabijesz mnie teraz?

– Dlaczego, Babette Flanagan? Chcesz umrzeć? – Uśmiechnął się znowu. – Też jesteś samobójczynią?

– Nie.

– Tak myślałem. – W końcu oderwał wzrok od Sang Hee, podszedł do stanowiska nawigatora i zaczął sprawdzać mapę topograficzną. Palcem wskazującym narysował ścieżkę od naszej obecnej pozycji na Gusiewie do czerwono-pomarańczowego środka Apollinaris Mons i zapytał: – Co byś odpowiedziała, gdybym dał ci szansę kontynuowania podróży ze mną? – Obejrzał się przez ramię, a jego uśmiech zniknął.

– Nie powinno mnie tu być.

– Owszem. Ale nie tak brzmiało pytanie, prawda?

– Jeśli powiem nie, zabijesz mnie?

On się roześmiał i skierował uwagę z powrotem na mapę.

– Nie zamierzam cię zabić – powiedział. – Ale nie mogę również odwieźć cię z powrotem do Kayne. Nie ma czasu.

– Nie ma czasu na co? – spytałam, ale mężczyzna z Ziemi pokręcił głową.

– Tak czy nie? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Wracając do moich wcześniejszych uwag o sprawczości i szansie, o drogach, jakimi mogłaby się potoczyć ta historia, powinnam się zgodzić. Ostatecznie, do czego, kurwa, musiałam wracać? Do nikogo i do niczego, a jakakolwiek tajemnica czy okropności kryły się pod tą wymarłą kalderą, znak zapytania, który to wszystko wprowadził w ruch, z pewnością była to najlepsza propozycja, jaką kiedykolwiek miałam dostać. To mogła być nawet szansa na odkupienie. Wiedziałam to wtedy i nadal wiem. Mimo to odpowiedziałam nie.

Wydawało się, że mężczyzna z Ziemi poczuł prawdziwą ulgę.

Dał mi skafander z zapasem tlenu i wody na czterdzieści osiem godzin, a do tego lekki namiot z aluminiowych prętów i mylaru. Włączył nadajnik wszyty w jeden z butów, a ja pomogłam mu załadować ciało Sang Hee do pełzacza. Nie spytał mnie, czy jestem pewna, czy nie chcę jeszcze raz rozważyć swojej decyzji. Nie było drugiej szansy. On zabrał swoją żonę i wszystkie martwe kobiety, wziął wygrawerowany kawałek łupka i mnie zostawił. Dopiero po zachodzie słońca straciłam wehikuł z oczu.

Nie poprosił mnie również, żeby nie mówiła o tym, co widziałam i co wiedziałam. A ja nie obiecałam mu, że tego nie zrobię.

Późnym rankiem następnego dnia zabrała mnie karawana druciarzy zmierzających do Kayne, a noc spędziłam skulona w namiocie z całym oszłamiającym sklepieniem nieba obracającym się wokół swojej osi nad moją głową. Przez jakiś czas próbowałam zająć umysł śledzeniem powolnego ruchu znajomych gwiazd i maleńkiego srebrnego Demosa nisko nad wschodnim horyzontem. Ale w miarę upływu czasu poczułam niepokój, jakiego wcześniej nie znałam, lęk przed niebem i nocą, tak że wkrótce wycofałam się do namiotu.

Przed świtem zapadłam w sen i przyśniła mi się historia o duchach, którą opowiedziały mi matki, kiedy byłam dziewczynką, o wraku „Michiko Maru”, frachtowca wracającego z kopalń na biegunie południowym, który zszedł z kursu w czasie letniej burzy piaskowej i próbował podążyć krętą trasą wzdłuż Ma’adim Vallis na północ od względnego bezpieczeństwa krateru Gusiewa. Kapitan miał nadzieję, że tam wyląduje awaryjnie i zaczeka na przybycie ekipy ratunkowej. Ale niemal wszystko, co mogło pójść źle, poszło źle, i choć statkowi udało się dotrzeć do Gusiewa, rozbił się w kraterze i wszyscy obecni na pokładzie zginęli. Ratownicy i złomiarze, którzy przybyli po wrak „Michiko Maru” i po jego cenny ładunek lodu, twierdzili, że w tamtą noc duchy martwej załogi pojawiły się jako piękne niebieskawe smugi tańczące na wydmach za wrakiem. W moim śnie obserwowałam te zjawy płaszące nad piaskiem i bazaltem, słyszałam, jak mi śpiewają, tak jak przez dużą część stulecia śpiewały innym podróżnym. Znały moje imię. W przeciwieństwie do gwiazd i ciemności między nimi duchy mnie nie przeraziły. W zamian za ich towarzystwo opowiedziałam im historię o człowieku, który spadł z nieba, a one były miłe i jej wysłuchały.

*Napisane przy muzyce  
Cliffa Martineza i Clinta Mansella.*

## **Cykl Dandridge**

## Rekompensata za Andromedę (2001)

Tam, gdzie kończy się ląd, a niezasypiający, wszystkożerny Pacyfik wygryzł brzeg kontynentu, w wysokiej trawie stoi samotny dom, czekając na Tarę. Ona parkuje wynajęty samochód na skraju piaszczystej drogi i wysiada. Patrzy w stronę domu i morza, wdychając sól, noc, blask księżycy i winno-jabłkowe rześkie powietrze października. Wiatr chłoszcze trawę, Tara patrzy na dom, a dom na nią. Wzajemna ciekawość albo czujna nieufność, jedno albo drugie lub jedno i drugie. Postanawia zostawić samochód tutaj i przejść resztę drogi.

Dużo bliżej domu jest zaparkowanych kilka samochodów, choć nie tak wiele, jak się spodziewała, ganek płonie w szalonej pożodze halloweenowych lamp, setek oczu, ust i nozdrzy jarzących się od świec, przynajmniej tak to dla niej wygląda. Gdy idzie piaszczystą drogą, która wije się w stronę oceanu i wysokiego domu ze szczytami, wieżyczkami i piorunochronami, właśnie tak to wygląda: dom obleżony przez wszystkie te wydrążone i świecące dynie. Ona się nie śpieszy, idzie wolno, słuchając wiatru i morza rozbijającego się o cypel. Wiatr jest zimniejszy, niż się spodziewała, a ona ma na sobie tylko białą sukienkę, prostą szmizjerkę modną czterdzieści lat temu, którą mogłaby nosić jej matka, kiedy była dziewczyną; białą, z praktycznymi mankietami i kołnierzykiem, a do tego czarne espadryle, równie proste jak sukienka, bo tak mówił Darren. *To nie maskarada, nic w tym rodzaju. Po prostu bądź sobą.* Ale ona żałuje, że zapomniała płaszcza, który leży na siedzeniu pasażera wynajętego samochodu. Tara myśli o tym, żeby po niego pójść, potem jednak uznaje, że wytrzyma trochę chłodu do drzwi frontowych.

Trochę wie o tym domu, ale tylko dlatego, że Darren jej o nim opowiadał; sama nie jest maniaczką architektury, nawet starych domostw

z taką historią. Dom Dandridge'ów, bo człowiek, który go zbudował w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku, nazywał się Dandridge, a w latach sześćdziesiątych było to jedno z tych miejsc, które lubili odwiedzać hippisi i okultyści, dostatecznie odległe, żeby nikt nie widział, jeśli czasami złożyło się w ofierze jakieś zwierzę gospodarskie. Darren opowiadał jej również historie o duchach, bo taki dom musi mieć swoje historie o duchach, ale ona w czasie jazdy z Monterey wzięła dwa xanaxy, tak że teraz wszystkie te opowieści krążyły jej po głowie.

Niedaleko od miejsca, gdzie od piaszczystej drogi odchodzi piaszczysta ścieżka, leży przewrócona, zadrzewiała skrzynka pocztowa, której nikomu nie chciało się postawić prosto. Tara idzie ścieżynką w stronę szerokiego, zastawionego dyniami ganku, który chyba otacza cały dom. Buty ma pełne piasku, piasek między palcami, zatrzymuje się więc i spogląda w stronę samochodu, samotnego na skraju drogi, wydaje się, że bardzo daleko.

Na stopniach ganku siedzi czarnowłosa kobieta, pali papierosa i patrzy na nią, a kiedy Tara się uśmiecha, ona odpowiada tym samym.

– Ty pewnie jesteś Tara – mówi kobieta i wyciąga rękę. – Darren mówił, że przyjedziesz późno. Pomyślałam, że ktoś powinien tu na ciebie poczekać. Przyjazna twarz na pustkowiu, wiesz.

Tara dziękuje i potrząsa dłonią kobiety. Z tak bliska dyniowe lampy wydają się bardzo, bardzo jasne; światło aż kłuje w oczy.

– Nie miałaś kłopotu ze znalezieniem nas? – pyta kobieta.

– Nie. Żadnego kłopotu. Darren udzielił mi dobrych wskazówek.

– Nie żeby tu było coś innego. – Kobieta puszcza dłoń Tary i patrzy w stronę klifów i morza. – Wystarczy iść, aż już nie będzie dokąd iść.

– Kto je wszystkie wydrążył? Musi ich być ze sto. – Tara wskazuje głową na lampy, a kobieta uśmiecha się, zaciąga brązowym papierosem i wydmuchuje dym pachnący goździkami i cynamonem.

– Sto jedenaście. Są jak świeczki urodzinowe. Jedna na każdy rok, odkąd budowano dom. Wycinaliśmy je przez tydzień.

– Aha. – Tara nie wie, co mogłaby jeszcze dodać. – Rozumiem.

– Powinnaś wejść do środka – mówi kobieta. – Na pewno na ciebie czekają. Robi się późno.

Tara mówi, że miło było poznać, porozmawiamy później, jakieś uprzejme i obowiązkowe słowa, a potem omija siedzącą i idzie do drzwi między szczerzącymi się, wykrzywionymi dyniowymi twarzami.



\* \* \*

– Tak, właśnie o niej opowiadałem wam w zeszłym tygodniu – mówi Darren i się śmieje. – Biolożka morska.

Tara ściska dłonie wszystkich tych bladych ludzi w nieskazitelnie czarnych strojach i czuje się jak gołąb wśród kruków. Nie maskarada ani bal kostiumowy, ale mogła przynajmniej mieć tyle rozumu, żeby włożyć coś czarnego. Wysoka, boleśnie chuda dama z wyraźnym francuskim akcentem dotyka dłoni Tary paznokciami pomalowanymi na czerwonobrazowy kolor wodorostów i uśmiecha się łagodnie jak kobieta na ganku.

– Zawsze miło zobaczyć nową twarz – mówi. – Zwłaszcza taką piękną, wspaniałą twarz. – Francuzka całuje jej dłoń.

Darren przedstawia Tarę niskiemu, grubemu mężczyźnie z fularem w kolorze burzowego letniego nieba.

– Ach – mówi tamten i potrząsa jej dłonią tak mocno, że to aż boli. – Naukowiec. Robi wrażenie. Niewielu mieliśmy tu naukowców, wie pani. – Tara nie jest pewna, czy to szkocki, czy irlandzki akcent, ale ciężki jak jego twarz. Obwisłe policzki i szerokie, cienkie wargi sprawiają, że ten człowiek wygląda trochę jak żaba. – Mieliśmy lekarzy, tak, wielu doktorów. Kiedyś nawet neurologa. Ale nie uważałem, żeby lekarz to było to samo. To samo co naukowiec. Lekarz to prawie jak mechanik, prawda?

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób – odpowiada Tara, co nie jest prawdą.

Próbuje uwolnić rękę z niekończącego się miażdżącego uścisku, ale nie chce być niegrzeczna. Zerka na Darrena w nadziei, że on odczyta dyskomfort w jej oczach.

– Proszę nam na chwilę wybaczyć – mówi Darren, więc ona wie, że zobaczył i rozumie. Obejmuje długim ramieniem jej plecy. – Muszę porwać ją tylko na kilka minut.

Wśród obecnych rozlega się cichy, znaczący śmiech.

Darren prowadzi ją z salonu do pokoju, który kiedyś mógł być jadalnią, a Tara zaczyna sobie uświadamiać, jak pusty jest ten dom. Po jego wyglądzie zewnętrznym spodziewała się miejsca pełnego antyków, trochę zaniedbanych, podniszczonych i wytartych, mieszanki niezbyt pasujących do siebie edwardiańskich i wiktoriańskich mebli, tak właśnie to sobie wyobrażała. Te pokoje są niemal puste, nie ma nawet dywanów na

podłogach, zasłon na wysokich oknach. Aksamitna tapeta jest wyblakła i miejscami podarta, wisi pasami tu i tam jak gad zmieniający skórę. I żadnej elektryczności, o ile Tara potrafi to stwierdzić, tylko świece i gazowe kinkiety na ścianach, ciepłe, migoczące światło zamknięte w kwiatach z matowego szkła.

– Z początku mogą trochę onieśmielać, wiem – mówi Darren. – To dość zżyta grupa. Powinienem być cię ostrzec.

Ona kręci głową, uśmiecha się i odpowiada, że nie, wszystko w porządku, to żaden problem.

– Pewnie też zaniepokoił się twoją obecnością tutaj. – Darren zaciera ręce nerwowym gestem, zerka w stronę salonu i tłumu szepczącego między sobą.

*Rozmawiają o mnie? Zadają sobie nawzajem pytania o mnie?*

– Przypuszczam, że nie miałaś kłopotów ze znalezieniem domu? – pyta Darren. – Raz ktoś się zgubił.

– Nie – zapewnia ona. – Znalezienie domu było łatwe. Z tymi wszystkimi lampami jest prawie jak latarnia morska.

Tara myśli, że pewnie właśnie tak wyglądałby dom z pokładu statku przepływającego tędy nocą, dla łodzi rybackich albo tankowców w drodze na północ albo na południe niemrugająca latarnia morska usadowiona wysoko na skalistym brzegu.

– To jedna z naszych tradycji – wyjaśnia Darren, odgarniając długą czarną grzywkę z twarzy. Niezupełnie przystojnej twarzy, bardziej szczerzej niż przystojnej, bardziej skrytej, a powód, dla którego ona uważa go za atrakcyjnego, kryje się w tej sprzeczności.

– Jedna z tradycji? A jest dużo innych?

– Kilka. Mam nadzieję, że to wszystko cię nie przeraża?

– Nie. – Tara odwraca głowę do okna, do blasku księżyca świecącego przez szyby, odbijającego się biało od morza. – Wcale nie. To wszystko jest bardzo dystygowane. Nie jak Halloween w mieście. Wszyscy ci hałaśliwi pijacy i drag queen, krzykliwe parady. Tak jest dużo lepiej. Szkoda tylko, że mnie nie uprzedziłeś, żeby ubrać się na czarno.

On się śmieje.

– Nie sądzę, żeby to było zabawne – mówi Tara, lekko marszcząc brwi. Nadal patrzy na księżyc sunący po falach, a Darren kładzie dłoń na jej ramieniu. – Pasuję tu jak wół do karety.

– Trochę kontrastu nie jest złą rzeczą – stwierdza Darren, a ona odwraca się do niego, jego wysokiego czoła, wydatnych kości policzkowych, długiego orlego nosa i oczu, które nie są ani niebieskie, ani szare.

– Chyba potrzebujesz drinka.

Tara uśmiecha się do niego i kiwa głową.

– Może nawet dwa albo trzy.

– Da się załatwić.

I prowadzi ją z powrotem między kruki. Kilkoro gości odwraca głowę, obserwują ją ciemne oczy, a ona niemal się spodziewa, że tamci rozłożą czarne skrzydła i odlecą.

– Będą zadawać ci pytania. – Teraz Darren prawie szepcze, ciche słowa przeznaczone są tylko dla niej i nikogo innego. – Ale nie czuj się zobowiązana do mówienia im rzeczy, których nie chcesz powiedzieć. Oni nie zamierzają być natrętni. Są po prostu niecierpliwi.

Tara zaczyna pytać, co dokładnie on ma myśli, mówiąc, że są niecierpliwi, ale już znowu są w salonie. Mały, szepczący tłumek rozstępuje się na chwilę, żeby ich wpuścić, a potem skwapliwie się za nimi zamyka.

\* \* \*

Godzinę później po kwartecie smyczkowym, Bachu, Szopenie i jedynym utworze, którego Tara nie rozpoznała, muzycy starannie chowają lśniące instrumenty do pudeł na skrzypce i wiolonczele, pudeł wyłożonych oberżynowym i lawendowym jedwabiem.

– To naprawdę nie fair z pana strony, panie Quince – mówi ktoś, a Tara odwraca się i widzi, że to wytworny gruby mężczyzna w fularze, Irlandczyk albo Szkot. – To, że pan trzyma ją tylko dla siebie. – Patrzy na Darrena z fałszywą skromnością, a potem uśmiecha się i pociera krótką, szpakowatą brodę.

– Przepraszam, nie zdawałem sobie z tego sprawy – usprawiedliwia się Darren.

I patrzy na nią, by się upewnić, że wszystko w porządku, zanim zostawi ją w towarzystwie mężczyzny, który wydaje się dość nieszkodliwy, owszem, ekscentryczny jak reszta, ale niegroźny w tej swojej ekscentryczności. Ma laskę zakończoną srebrnym delfinem, a Tara myśli, że pewnie jest gejem.

– Och, damy sobie radę – mówi, a Darren kiwa głową i znika w tłumie.

– Jestem Peterson – przedstawia się mężczyzna. – Ahmed Petersen.

Całuje jej dłoń tak samo jak wcześniej wysoka Francuzka. Ma w sobie tę samą dziwną staroświecką galanterię jak oni wszyscy, maniery, które powinny razić jako afektowane, ale jakoś nie rażą.

– Quince mówi, że jest pani biologiem morskim. – Petersen puszcza jej dłoń i się prostuje, ale nadal jest kilkanaście centymetrów niższy od niej.

– Właściwie ichtiologiem. Trochę pracuję w akwarium w Monterey i uczę na Cal State. Właśnie tam poznałam Darrena.

– Cudownie. – Petersen się rozpromienia. – Wie pani, moja droga, kiedyś trafiłem na wstęgora królewskiego, wielkie, długie, kolczaste stworzenie wyrzucone na żwirową plażę w Lyme Regis. Człowiek, z którym tam byłem, był pewien, że znaleźliśmy węża morskiego.

– Widziałam wstęgora żywego na wybrzeżu Oregonu jakieś dziesięć lat temu, kiedy byłam jeszcze studentką – mówi Tara, szczęśliwa, że może wymienić się opowieściami o rybach z tłustym człowieczkiem. Zaczyna się odprężyć, czuć mniej jak outsiderka. – Oceniliśmy, że miał prawie sześć metrów.

– Cóż, mój był mniejszy. – W głosie mężczyzny chyba słychać lekkie rozczarowanie.

W tym momencie rozlega się donośny hałas, Tara odwraca się i widzi, że jedna z kobiet trzyma mały mosiężny gong.

– O rany – mówi Petersen. – Naprawdę już tak późno? Straciłem poczucie czasu.

I wtedy obok niej staje Darren.

– Co się dzieje? – pyta Tara.

– Zobaczysz – odpowiada on i wsuwa jej w rękę coś zimnego i metalicznego, monetę albo żeton.

– Co to jest?

– Po prostu ją trzymaj – odpowiada Darren. – I nie zgub. Będiesz jej później potrzebowała.

*A więc to jest gra, myśli ona. Tak, to musi być jakaś gra towarzyska.*

Wszyscy zaczynają opuszczać salon. Tara pozwala Darrenowi się poprowadzić. Idą za resztą wąskim korytarzem na tyły domu do zamkniętych drzwi. Za nimi są schody wijące się w dół, kamienne stopnie, które wyglądają na wyciosane w skale, wilgotne kamienne ściany, kilkoro gości ma świece albo lampy olejowe. Tara w pewnym momencie się ślizga,

a Darren przytrzymuje ją lekko, nachyla się i szepcze jej do ucha; oddech ma lekko kwaśny.

– Uważaj pod nogi. Już niedaleko, ale lepiej, żebyś nie upadła.

Z dołu unoszą się zimne podmuchy słonego powietrza, nie takiego, jakiego spodziewałyby się w piwnicy. Chłodne powietrze na skórze, ale z nutą oleistej, rybiej woni, zapachu odpływu, wodorostów i zdychających rozgwiżdżonych w stojących basenach pływowych.

– Dokąd idziemy, do diabła? – pyta, nie zadając sobie trudu, by szeptać.

Kobieta z konchą wytatuowaną na czole odwraca się i patrzy na nią z lekką dezaprobatą, a potem znowu spogląda przed siebie.

– Zobaczysz – szepcze Darren.

Tara uświadamia sobie, że oprócz słonej ciemności oraz blasku świec i lamp z dołu dociera żółtozielona poświata, która robi cię coraz jaśniejsza z każdym krokiem.

Gdyby teraz Darren ją zapytał, czy się boi, mogłaby odpowiedzieć twierdząco, mogłaby nawet powiedzieć, że naprawdę powinna już iść, że jest późno, a ona musi wracać do miasta. Ocenić referaty albo testy swoich studentów oceanografii. Znaleźć jakiś wiarygodny pretekst, żeby wydostać się z tego domu na ganek zastawiony dyniami i ruszyć ścieżką do wynajętego samochodu. Mieć gwiazdy nad głową zamiast kamienia. Ale Darren nie pyta ponownie, a żółtozielone światło robi się coraz jaśniejsze. Po kilku minutach docierają na sam dół.

– Nikt z początku nie rozumie – mówi Darren.

Jedną ręką trochę zbyt mocno oplata jej nadgarstek, a Tara już ma mu powiedzieć, że to boli, poprosić go, żeby ją puścił, kiedy widzi jezioro i zapomina o wszystkim innym.

W dole schodów jest coś w rodzaju pomostu, krótka ścieżka z wypaczonych desek, poręczy i pali rozmiękczonej przez wiecznie wilgotne powietrze, słońcą mgiełką i wodę morską niestrudzenie omywającą drewno. Dziwne światło wydobywa się z wody, ze sporego jeziora, które całkowicie wypełnia jaskinię u stóp schodów. Blask bije z niego bajkowymi snopami i tańczy na nierównym sklepieniu. Tara nieruchomieje, tak że inni muszą ją obchodzić. Wszystkie te niecierpliwie kruki cichną i zaczynają zajmować miejsca na pomoście. Nie słychać żadnego dźwięku oprócz głuchego stukania butów na deskach, fal pluskających o molo i wapienne ściany morskiej jaskini.

Jakby robili to wcześniej setki razy. Tara patrzy na Darrena, oczekując wyjaśnień, mrugnięcia albo uśmiechu, który powie jej, że to naprawdę tylko jakaś dziwna halloweenowa gra, ale jego niebieskozielone oczy są utkwione w drugim końcu pomostu, tak że nawet nie zauważa jej spojrzenia.

– Zabierz mnie z powrotem – prosi ona. – Nie chcę tego oglądać.

Ale jeśli Darren ją usłyszał, nie widać tego po jego twarzy, długiej, kanciastej twarzy, na której odbija się światło bijące od jeziora. Ma na niej radosny wyraz nabożnego zachwytu jak u hollywoodzkiej Joanny d’Arc albo Bernadetty, jak u kogoś, kto zobaczył Boga, myśli Tara, a potem patrzy na koniec pomostu. Tłum rozstępuje się jak na znak, tak że ona widzi skały sterczące ze środka jeziora, ułożone jedna na drugiej jak patyczki w bierkach. Skały i istotę, która jest do nich przykuta łańcuchem. I Tara wie, że ona również ją widzi.

\* \* \*

– Kiedy miałam pięć lat... – mówi. – Kiedy miałam pięć lat, na plaży przy Santa Cruz znalazłam martwego żółwia morskiego. – Otwiera dłoń i patrzy na monetę, którą na górze dał jej Darren.

– Nie, kochanie – mówi Ahmed Petersen. – To był wstęgór. Nie pamięta pani?

Ona kręci głową, bo wtedy to nie był wstęgór. Wtedy to był żółw, a robaki i mewy wyjadły mu oczy.

– Musi się pani mylić – powtarza grubas.

Moneta lśni w żółtozielonym świetle, błyszczy w jej dłoni najczystszy księżycowym srebrem. Tara nie chce jej oddać, tak jak zrobili już wszyscy inni. Może to jedyna, która została, a ona nie chce wrzucić jej do wody i patrzeć, jak ta spiralą opada w dół donikąd, w stronę jaśniejszej głębi, więc szybko zamyka dłoń. Zaciska pięść, a tłuscioch sapie i mamrocze. Tara podnosi wzrok i patrzy na księżyc zamiast na jezioro.

– Prawdopodobnie nie mieszkałaś zbyt długo pod wodą – mówi Peterson.

– Istotnie, nie mieszkałam – przyznaje Tara.

– I może nigdy nie byłaś przedstawiona Rakowi?

Ona myśli o tym przez chwilę, o brązowych szczypcach ugotowanych na pomarańczowo, o przegubowych odnóżach skorupiaka na porcelanowym talerzu, i chce powiedzieć: „Raz próbowałam”, ale się powstrzymuje, bo jest niemal pewna, że nie powinna tego mówić.

– Nie, nigdy – szepcze.

A morze rozbija się o urwiska pod domem, gniewne morze, oszukane morze, które znowu chce zatopić świat. Darren leży w wysokiej trawie, a Tara słyszy w oddali pociąg toczący się skądś dokądś, jego parowy gwizd, turkot stalowych kół. Palcem wskazującym kreśli w ciemności i zszywa linie od horyzontu po horyzont, od morza do nieba.

– Utrzymuje równowagę – wyjaśnia Darren, a Tara wie, że on mówi o kobiecie na skałach w jaskini pod domem. Ta istota kiedyś była kobietą. – Stoi między światami. Pilnuje wszystkich bram.

– Miała wybór? – pyta Tara, a on ciągnie ją w dół na trawę, morze trawy pod Księżycem Żniwiarzy. Darren pachnie świeżym sianem, mięszem dyni, gałką muszkatołową i cukierkami.

– Czy święci kiedykolwiek mają wybór?

Gdy Tara próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek mieli, Ahmed i kobieta z wytatuowaną konchą nachylają się i szepczą jej do uszu nazwy morskich stworzeń, pośpieszną litanie ryb głębinowych, meduz, przezroczystych larw krewetek i krabów.

*Saccopharynx, Stlephorus, Pelagothuria, Asteronyx.*

– Nie tak szybko – prosi Tara. – Nie tak szybko.

– *Taki taniec, mój ślimaku, ma naprawdę mnóstwo zalet* – śpiewa Ahmed Petersen, a wytatuowana kobieta kończy za niego: – *Aż na środek oceanu, hen!* – *powiedzie nas ten balet* [2].

Łatwiej jej zamknąć oczy i leżeć w ramionach Darrena, w litościwej, falującej trawie.

– Lampy z dyni? – powtarza on, bo Tara go o nie zapytała. – Sama to powiedziałaś. Pamiętasz? Latarnia morska. W jedną noc w roku oni się wynurzają, a my chcemy, by wiedzieli, że my patrzymy.

*Tańczyła ryba z rakiem, żółw ze starą płasą żabą. Rzekła małża do ślimaka:* – *Oni tańczą bardzo słabo.*

– To ją boli – mówi Tara, patrząc na przykutą do skał kobietę, z której spuchniętego brzucha wyrastają kolce, łuski i wijące się macki.

– Rzuć monetę, Taro – szepcze Darren nagłym głosem. – Wrzuć monetę do basenu. To pomoże jej wytrwać.

*Wrzuć monetę, monetę, cukierek do plastikowego dyniowego wyszczerzonego kosza.*

– Powód jest taki – mówi Gryfon, który chwilę wcześniej był kobietą z konchą na czole – żeby poszli w tany z rakami. Żeby zostali wrzuceni do morza. Żeby musieli spadać długo, długo.

*Cukierek albo psikus.*

Niby Żółw, który poprzednio był Ahmedem Petersenem, łypie na Gryfona.

– Nigdy do niego nie poszedłem – oburza się. – On uczył Śmiechu i Smutku, tak mówili.

– Ktoś przepadł – szepcze Darren. – Musieliśmy znaleźć kogoś innego. Liczba powinna się zgadzać.

Czarno-słona bryza wieje niewidoczna przez trawę. Tara już nie słyszy pociągu. Księżyc patrzy na nich pojedynczym, spuchniętym żółtym okiem, przyciągając oceany do skał.

*To wkrótce mnie znajdzie i co wtedy?*

– Wrzuć monetę, Taro. Nie zostało dużo czasu. Już prawie północ. – Kobieta na skałach szarpie się w okowach, w zardzewiałych łańcuchach, które ją tam trzymają. Zimne, skorodowane żelazo wpija się w jej papkowate, białe ciało. Karmazynowe macki wyrastają między jej alabastrowymi udami, pąkle pokrywają nogi, usta poruszają się bezdźwięcznie.

– Powstają, Taro – mówi Darren.

Wydaje się przestraszony, patrzy w dół w świecąca wodę, w otchłań pod pomostem, o wiele głębszą niż oceany, które Tara widziała. W dole jest ruch, bijące płetwy. Kobieta na skałach wydaje głos jak umierający wieloryb.

*Bowiem po tamtej morza stronie jest przecież drugi brzeg.*

– Teraz, do diabła – syczy Darren.

Moneta łatwo wyślizguje się z jej palców.

*Więc chcesz czy nie chcesz, chcesz czy nie chcesz iść w tan...*

Tara patrzy, jak moneta tonie, zabierając ze sobą jej żywą część, tonąc z odrobiną jej duszy. Bo nie tylko kobieta na skale powstrzymuje morze, ale również wszystkie kruki, a teraz i ona, spalona na czarno jak reszta, osmalone pióra spadają ze słońca w chciwy wir.

A księżyc może ją teraz zobaczyć.



– Mówiłem im, że jesteś silna – szepcze dumny z niej Darren i wyciera łzę z jej twarzy.

Kruki tańczą na pomoście, okrążają ich, łup-łup-łup, podczas gdy kobieta na skale zsuwa się cicho w zduszoną przez ukwiały szczelinę swojej wyspy.

*Więc chcesz czy nie chcesz, chcesz czy nie chcesz iść w tan...*

\* \* \*

Tara budzi się drżąca pod rozległym szarym niebem, pluającym na nią zimnymi kroplami deszczu.

Leży w trawie, w uszach ma wiatr i ryk grzywaczy, przez kilka minut próbuje sobie przypomnieć, co się da. Żadnych wspomnień o tym, jak wracała po schodach z morskiej jaskini, z fosforyzującego jeziora pod domem. Żadnych wspomnień o wychodzeniu z domu, ale jest tutaj, patrzy na ołowiane niebo i słabą poświatę w miejscu, gdzie słońce chowa się bezpiecznie za chmurami.

Ktoś zostawił obok jej torebkę, Darren albo inny troskliwy kruk. Ona po nią sięga, siada w mokrej trawie i patrzy w stronę domu. Ściany, okna zasłonięte żaluzjami, iglice i szczyty, nie mniej surowe w posiniaczonym świetle dziennym; może jeszcze bardziej. Gorzka twarz tego, co musi chować w sobie takie sekrety, ukrywać wstyd świata pod podłogami. Dom jest ciemny, wszystkie samochody zniknęły, nie ma śladu po stu jedenastu dyniowych lampach.

Tara wstaje i przez chwilę patrzy na morze, na kilka białych ptaków miotanych przez wichurę, na grzywy fal. *W następnym roku*, myśli. *W następnym roku* przyjedzie tutaj tydzień przed Halloween, żeby pomóc wydrążyć twarze latarni morskich, i będzie wiedziała, żeby ubrać się na czarno. Będzie wiedziała, że musi szybko wrzucić monetę i szybko się odwrócić.

Jedna z mew nurkuje nagle i wyciąga coś ciemnego i wijącego się ze spienionego, sztormowego oceanu. Tara odwraca wzrok, wyciera z oczu deszcz, który mógłby być łzami, strzepuje mokre źdźbła trawy z sukienki i zaczyna spacer, który zaprowadzi ją piaszczystą drogą do samochodu.

## Ani demony na dnie morza (1957)

Późnoletni poranek jak roztrzaskany niebiesko-biały klejnot, płynne złoża fluorytu i topazu rzucone na szorstkie łupki i wapienną kipieli, zmacona kalcytowa piana pod bezchmurnym niebem usianym mewami i krukami. Julia za kierownicą dużego zielonego bel aira pędzi z opuszczonym dachem nadbrzeżną drogą na północ, pacyficzny wiatr z rykiem przeczesuje jej włosy. Słony zapach wypełnia jej głowę, odurzająca, rozkoszna woń, która atakuje zmysły przytępione przez miasto. Anna sama na tylnym siedzeniu znowu ją ignoruje, nie odzywa się, czyta jakiś podręcznik albo monografię z dziedziny malakologii. Prawie nie zamieniła z nią słowa, odkąd opuściły motel w Anchor Bay ponad godzinę temu, przy śniadaniu zresztą również, a jej milczenie zaczyna irytować Julię.

– To był zły sen, nic więcej – powiedziała Anna, kiedy siedziały same w taniej restauracji obok motelu, w boksie z widokiem na zatokę Haven's Anchorage usianą podskakującymi kadłubami łodzi rybackich. – Wiesz, że nie lubię rozmawiać o swoich snach. – Odsunęła na bok niedojedzonego grapefruita i zapaliła papierosa. – Bóg wie, że opowiadałam ci je dość razy.

– Nie musimy jechać do tamtego domu – rzuciła z nadzieją Julia. – Możemy zawsze obejrzeć go innym razem, a do miasta mogłybyśmy wrócić dzisiaj.

Anna tylko wzruszyła ramionami i spojrzała przez okno na wodę. Zaciągnęła się papierosem i wydmuchała dym koloru horyzontu.

– Jeśli boisz się jechać do tego domu, powinnaś to po prostu powiedzieć.

Julia rzuca na nią ukradkowe spojrzenie w lusterku wstecznym, na potarganą przez wiatr dziewczynę o lśniących opalonych policzkach, policzkach jak dojrzewające śliwki, na jej krótkie blond włosy zebrane

w kok i przewiązane apaszką. Z lusterka patrzy na Julię jej odbicie, z naganą, rozpaczą, niemal piętnaście lat starsze od Anny, tak bliskie trzydziestu pięciu, że ją to przeraża; szaro-orzechowe oczy ukryte bezpiecznie za ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi, które przy okazji zasłaniają pierwsze kurze łapki. Wiatr bez przeszkód mierzwi jej włosy, które byłyby mysioszare, gdyby nie używała wody utlenionej. Pierwsze nieśmiałe zmarszczki zaczynają się pojawiać w kącikach ust, a ona zauważa, że szminka jest rozmazana, więc oblizuje palec wskazujący i wyciera cukierkowy róż ze skóry.

– Naprawdę powinnaś zrobić sobie przerwę! – przekrzykuje wiatr, a Anna powoli spogląda znad książki.

Mruży oczy z irytacją, z roztargnionym wyrazem twarzy i marsem na czole.

– Tracisz całą scenerię, kochanie.

Anna siada prosto, wzdycha głośno i patrzy na wąski, opustoszały kawałek plaży przesuwający się za oknem, na ocean.

– Sceneria dla turystów, a ja nie jestem turystką – prychna, znowu garbi się na siedzeniu i wraca do czytania.

– Mogłabyś przynajmniej mi powiedzieć, co takiego zrobiłam. – Julia bardzo się stara nie mówić gniewnie czy ze zniecierpliwieniem, ale tym razem Anna nie odpowiada, udając, że nie słyszy. Albo po prostu postanowiła całkiem ją ignorować.

– No dobrze, porozmawiamy, kiedy będziesz gotowa. – Ale Julia nie to chce powiedzieć.

Chce powiedzieć Annie, że robi się jej niedobrze od tych dąsów uczennicy ze szkoły średniej, ma dość długiego, ponurego milczenia, a jeszcze bardziej swojego poczucia winy, bo nigdy nie wie, co zrobić, żeby wszystko naprawić. Zawsze czuje, że to jej wina. Gdyby nie była tchórzem, przede wszystkim nigdy nie związałyby się z taką dziewczyną jak Anna Foley.

*Ale jesteś tchórzem*, przypomina sobie Julia okrutnym głosem ojca przyczajonym gdzieś za okularami przeciwsłonecznymi, za jej oczami. *Nigdy o tym nie zapominaj, nawet przez sekundę*. Omal nie przegapia skrętu. Gdyby została na głównej drodze, ta zaprowadziłaby je na wschód do Boonville. Na szczęście zjeżdża w porę, posługując się prostą mapą, którą Anna narysowała dla niej na serwetce. Szosa opada i zakręca ostro, oddalając się od wybrzeża, ocean nagle znika za gęstą ścianą sekwoi

i kwitnących rododendronów, poranne słońce zamienia się z leśnymi cieniami. Zaledwie kilkaset metrów od autostrady inna droga – nieutwardzona i bezimienna – prowadzi głębiej między drzewa. Julia zwalnia, chevrolet odbija z asfaltu na pełną kolein i wybojów żwirówkę.

\* \* \*

Jazda wzdłuż wybrzeża od San Francisco do Anchor Bay była pomysłem Anny, choć obie wiedziały, że to kiepski moment na letnie zbieranie muszli. Ale to przynajmniej szansa na wyjście z laboratorium, ucieczkę od miasta, od upału i wszystkich ludzi, a Julia wiedziała, co Anna naprawdę ma na myśli. Szansa, żeby pobyć samej, z dala od podejrzliwych oczu pełnych dezaprobaty, a poza tym z dziesięć lat temu znaleziono w tamtym miejscu interesujący skałoczep, niezwykle dużą muszlę, skatalogowaną i dołączoną do wielkiej kolekcji Berkeley, a potem prawie zapomnianą. Nowy gatunek *Diodora thespesius* został opisany przez jednego z poprzedników Julii Winter na wydziale, drugi okaz z pewnością byłby powodem do dumy.

Tak więc ostatnie dwa dni spędziły, pracowicie przeczesując głazy, skały śliskie od wodorostów i alg, płytkie baseny pływowe, tereny zalewane w czasie przypływu i odsłaniane w czasie odpływu, choć nie było to idealne miejsce na skałoczepy czy cokolwiek innego. Gumowce na grubych podeszwach, aluminiowe wiadra, kapelusze przeciwsłoneczne, rękawice, noże do odrywania mięczaków od skał i żadnej nagrody za ten trud oprócz przegrzebków i omułek. Kilka ładnych jeżowców i dolarów piaskowych, *Strongylocentrotus purpuratus* i *Dendraster excentricus*, a drugiego popołudnia Anna dostrzegła małą ośmiornicę, ale nie zdążyła jej złapać.

– Gdybyśmy miały więcej czasu – powiedziała. – Na pewno byśmy ją znalazły, gdybyśmy miały więcej czasu.

Siedziała na głazie i paliła. Drelichy miała przemoczone do ud, patrzyła na północ i zachód w stronę cypla i ciemnej sylwetki Fish Rocks, sterczących z morza jak pokryte strupami grzbiety bliźniaczych lewiatanów.

– Ale to nie była kompletna porażka, prawda? – zapytała Julia i się uśmiechnęła, wspominając długą noc, Annę w ramionach, Annę szepczącą

rzeczy, przez które ona nie spała prawie do świtu. – To nie była kompletna strata czasu.

Anna Foley odwróciła się i spojrzała na nią ze swojego głazu, dziewczyna o migdałowych oczach i ciemnoszarych tęczęwkach, które więcej ukrywały, niż zdradzały. *Ona się ze mną droczy, pomyślała Julia, wstydząc się tej myśli. To wszystko jest dla niej jakąś grą, niegrzeczną zabawą z doktor Winter. Siedzi tam i patrzy, jak ja się wiję.*

– Chcesz zobaczyć nawiedzony dom? – pyta w końcu Anna

Cokolwiek Julia spodziewała się usłyszeć, to na pewno nie coś takiego.

– Słucham?

– Nawiedzony dom. Prawdziwy nawiedzony dom. – Anna wskazuje na północny wschód, w głąb lądu. – Nie jest daleko stąd. Mogłybyśmy dotrzeć tam jutro rano.

*To jest wyzwanie, pomyślała Julia. Ona próbuje rzucić mi wyzwanie, jakiś nowy zwrot w grze, który ma mnie wytrącić z równowagi.*

– Przepraszam, Anno. To raczej nie moja bajka. – Chciała po prostu wejść na urwisko, wrócić do motelu na porządny prysznic i wczesną kolację.

– Nie, naprawdę, mówię poważnie. W zeszłym miesiącu czytałam o nim w „Argosy”. Został zbudowany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym przez Machena Dandridge’a, który podobno oddawał cześć Posejdonowi i...

– Od kiedy czytasz „Argosy”?

– Czytam wszystko, Julio. Właśnie to robię. – Anna odwróciła głowę, żeby popatrzeć na stado mew, skrzydłami koloru popiołu i węgla niemal muskających powierzchnię wody.

– I w „Argosy” naprawdę napisali, że ten dom jest nawiedzony? – zapytała Julia sceptycznie, też obserwując mewy, które wzbily się wyżej i pomknęły nad Anchorage.

– Tak. Artykuł napisał doktor John Montague, chyba antropolog. Bada nawiedzone domy.

– Antropolodzy zwykle nie zajmują się duchami – stwierdziła Julia z uśmiechem, a Anna spiorunowała ją wzrokiem ze swojej skały, lekko mrużąc oczy o barwie chmur burzowych.

– Ten najwyraźniej tak, kochanie.

Wtedy żadna z nich nie odzywała się przez kilka minut. Nie było innych dźwięków oprócz wiatru, fal i hałaśliwych mew, kojących, samotnych odgłosów oceanu. W końcu niestosowne, mechaniczne dudnienie

ciężarówka na autostradzie przełamało czar, zakłóciło przestrzeń pełną napięcia bez słów.

– Chyba powinniśmy wracać – powiedziała w końcu Julia. – Wkrótce zaczniesz się przypląwać.

– Idź – wyszeptała Anna i przygryzła dolną wargę. – Ja cię dogonię.

Julia się zawahała, spojrzała na zimną słoną wodę, która omywała głązy i niepostrzeżenie wygładzała je każdą załamującą się i cofającą falą. Falą przesuwaną zielono-brązową płataniną wodorostów parę centymetrów do przodu i parę centymetrów do tyłu. *Jak włosy utopionych kobiet*, pomyślała Julia i zaraz odepchnęła tę myśl.

– Zaczekam na ciebie na górze – powiedziała. – Na wypadek gdybyś potrzebowała pomocy.

– Jasne, doktor Winter. Proszę tak zrobić. – Anna odwróciła się i wrzuciła niedopałek do morza.

\* \* \*

Prawie godzina ostrych zakrętów i droga robi się coraz węższa, gruntowa, bez miejsca do zawrócenia, aż w końcu Julia dociera na skraju lasu. Gęstwina paproci i gigantycznych sekwoi wypuszcza ją na falujące, otwarte pola. Wysoka żółto-brązowa trawa pampasowa łagodnie kołysze się na wietrze, powietrze znowu pachnie jak słońce i sól. Julia bierze głęboki oddech. *To ulga oddychać takim powietrzem po duszącej bliskości lasu, wszystkich tych starych drzew o kosmatych konarach, okrywających jak całunem, a czyste błękitne niebo jest lepsze*, myśli Julia.

– Tam – mówi Anna.

Julia patrzy ponad zieloną maską chevroleta na niespokojne trawy. Na zachodnim niebie rysuje się jakaś ciemna sylwetka.

– To jest to. Tak, to musi być to. – Anna mówi jak dziecko w gwiazdkowy poranek, mała dziewczynka w parku rozrywki. Przechodzi nad oparciem siedzenia i siada obok Julii.

*Mogłabym już wracać*, myśli Julia, zaciskając dłonie na kierownicy tak mocno, że jej kostki zrobiły się woskowo białe. *Mogłabym zawrócić i pojechać do autostrady. Mogłybyśmy być w domu za parę godzin. Mogłybyśmy być w domu przed zmrokiem.*

– Na co czekasz? – pyta Anna z niepokojem. Wskazuje na prostokątną budowlę widoczną w oddali. – To jest to. Znalazłyśmy go.

– Zaczynam myśleć, że właśnie tego przez cały czas chciałaś – stwierdza Julia cicho i sama ledwo siebie słyszy przy włączonym silniku. – Anchor Bay, spędzenie czasu razem, to wszystko był tylko podstęp, żebym cię tutaj przywiozła, tak?

Anna niechętnie odrywa wzrok od domu.

– Nie. To nieprawda. Ten dom przypominał mi się później, kiedy byliśmy na plaży.

Julia znowu patrzy w stronę odległej sylwetki. To może być cokolwiek, co stoi w wysokiej trawie i czeka. To może być niemal wszystko.

– To ty zawsze mi mówiłaś, żebym oderwała się od książek. – W głosie Anny pojawia się gniew, pielęgnowane oburzenie otaczające ją jak membrana. Odsuwa się od Julii po winylowym siedzeniu aż do samych drzwi od strony pasażera.

– Nie sądzę, żebym właśnie to miała na myśli.

Anna zaczyna lekko kopać w deskę rozdzielczą czubkiem sportowego buta, wystukując niecierpliwy rytm jak kod Morse’a.

– Jezu, to tylko stary dom – burczy. – Czego, do diabła, tak się boisz?

– Nie mówiłam, że się boję, Anno. Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

– Ale tak się zachowujesz. Jakbyś była śmiertelnie przerażona.

– Cóż, nie zamierzam tu siedzieć i kłócić się z tobą. – Julia mówi sobie, że tym razem nie ma znaczenia, czy brzmi bardziej jak matka Anny niż jej kochanka. – To mój samochód, a my nie powinniśmy przyjeżdżać tu same. Zawróciłabym pół godziny temu, gdyby na drodze było dość miejsca.

Wrzuca wsteczny i cofa się gruntową drogą, płosząc świerszcze. Owady wzbijają się trzepoczącą chmurą, jak szalone bijąc skrzydełkami, kiedy Julia przełącza bieg i ostro skręca kierownicę w stronę drzew.

– Myślałam, że zrozumiałaś – mówi Anna. – Myślałam, że jesteś inna.

Wysiada z samochodu, zanim Julia ma czas zareagować, trzaska drzwiami i szybko odchodzi ścieżką, która biegnie między wysokimi, szepczącymi trawami w stronę domu.

Julia siedzi w chevroletcie i ją obserwuje, patrzy bezsilnie, jak Anna robi się coraz mniejsza z każdym krokiem. Trawa i jasny dzień połykają ją żywcem, otaczają po uda złotymi źdźbłami i zębami promieni słonecznych. Wyobraża sobie, że odjeżdża sama. Po prostu zdejmuje nogę z pedału

hamulca i jedzie krętą, ocienioną przez drzewa drogą gruntową do bezpieczeństwa utwardzonych szos. Jakie to byłoby łatwe, jakie satysfakcjonujące. Julia obserwuje Annę jeszcze przez kilka minut, po czym zawraca samochód w stronę domu i próbuje udawać, że nie miała wyboru.

\* \* \*

Dom jest jak ponury żart nie w porę, jak coś, co lepiej by wyglądało w komiksie Charlesa Adamsa niż na wysokim, surowym urwisku na końcu drogi. Rozpadająca się groteska obita deskami pełnymi drzazg i srebrnoszarymi jak stare muszle ostryg. Wybite okna, krzywe okiennice, strome szczyty, wieżyczki, na których brakuje połowy łupkowych dachówek. Są miejsca, gdzie pod zniszczoną skórą domu widać konstrukcję dachu. Na tle nieba sterczy jeden czarny piorunochron. Wzdłuż okapu rdzewiejąca girlanda z żelaznego kutego filigranu, najwyższa część komina zawaliła się w czerwono-zielony stos cegieł, wygryzionych do miękkiej gliny przez mech i morskie powietrze. Gęste chwasty w miejscu, gdzie kiedyś mogło być podwórze i rabaty kwiatowe. Sposób, w jaki cała budowla zaczęła wyraźnie się przechylać, sprawia niepokojące wrażenie, że dom się kuli albo że właśnie zaczął uwalniać się z ziemi i szykuje do tego, by odpełznąć od oceanu centymetr po centymetrze.

– Anno, zaczekaj.

Ale ona jest już w połowie schodów, a Julia nadal siedzi za kierownicą chevroleta. Zamyka oczy na chwilę. Lepiej słuchać wiatru, fal rozbijających się o klify i cichszego, głuchego odgłosu kroków Anny na ganku, niż pozwolić domowi myśleć, że ona nie może odwrócić od niego wzroku. Jakiś niejasny instynkt mówi jej, że tak to działa, że na widok tego domu człowiek słupieje i staje się bezbronny.

*Mój Boże, myśli Julia. To tylko brzydki, stary dom. Brzydki, stary dom, którego już nikt nie chce.* Potem śmieje się głośno, jakby on mógł ją usłyszeć.

Kiedy ją dogoniła i zmusiła, żeby wsiadła samochodu, obiecując, że zawiezie ją do tego domu, Anna Foley znowu zaczęła mówić o artykule doktora Johna Montagu'a w „Argosy”, mówić w taki sposób, jakby wcale się nie pokłóciły. Napięcie między nimi zostało zapomniane albo utonęło



w powodzi słów, które padały coraz szybciej, w miarę jak one zbliżały się do domu. Pod koniec niemal układały się w stopy.

– Mówiono, że Dandridge zabił córkę w ofierze jakiś czas po tym, jak jego żona zmarła w tysiąc dziewięćset czterem. Ale nigdy nie znaleziono jej ciała. Nie, ona po prostu zniknęła pewnego dnia i nikt więcej jej nie widział. To znaczy córka. Córka zniknęła, nie żona. Jego żona jest pochowana za domem, choć nie jestem pewna...

*Tylko brzydki, stary, zapomniany dom nad morzem.*

– ...Posejdon, a może nawet Dagon, który był mezopotamskim bogiem zboża, pół człowiekiem, pół rybą. Dandridge podróżował po Iraku i Persji, zanim wrócił i osiedlił się w Kalifornii. Był zafascynowany perskimi i hinduskimi starożytnościami.

*Więc otwórz oczy i miej to za sobą.* Otwiera oczy, patrzy na dom i przestaje kurczowo ścisnąć kierownicę. Anna stoi teraz na ganku na palcach i zagląda przez małe rozbite okienko przy drzwiach.

– Anno, zaczekaj na mnie. Idę.

Ona odwraca się i uśmiecha, macha do niej, a potem znowu zagląda do domu przez rozbite okno.

Julia zostawia kluczyki w stacyjce i idzie przez łubin, dzikie białe róże i maki koloru mandarynek. Trzy albo cztery pomarańczowo-czarne danaidy wędrownie skaczą z kwiatu na kwiat, ścieżka ułożona z kamieni niemal ginie wśród chwastów. Kamienie prowadzą prosto do domu, zachwaszczona dróżka jest dużo szersza, niż wydawała się z samochodu.

*Powinnam już tam być,* myśli Julia, oglądając się przez ramię na chevroleta, a potem patrząc na Annę, która stoi przy drzwiach domu Dandridge'ów i mociuje się z klamką. *Nie, jestem taka niespokojna, że tylko mi się zdaje.* Ale pięć, siedem, dziesięć kroków później ganek jest prawie tak daleko jak wtedy, gdy wysiadła z samochodu.

– Zaczekaj na mnie! – krzyczy do Anny.

Ona chyba nie słyszy. Julia zatrzymuje się i wyciera czoło, zanim pot spłynie jej do oczu. Zerka na słońce, które ma teraz bezpośrednio nad sobą i które parzy jej twarz i nagie ramiona. Uświadamia sobie, że wiatr ucichł. Wietrzny dzień raptem stał się zupełnie spokojny i już nie słychać rozbijających się fal. Tylko słabe, dziwnie przytłumione krzyki mew i cykanie świerszczy.

Odwraca się do morza, a z nieba dobiega chrzęszczący odgłos, które nasuwa jej skojarzenie ze skorupką jajka rozbijaną o brzeg porcelanowej

miski. Anna otwiera drzwi. Migotliwa, lepka i wilgotna ciemność, która stamtąd się wydostaje i przepływa przez Annę Foley, wydaje inny dźwięk. Julia zamyka oczy, żeby nie musieć patrzeć, co wydarzy się następnie.

\* \* \*

Po kącie padania aksamitnego światła na zakurzoną podłogę i po miodowej barwie słońca wie, że jest późne popołudnie, że straciła wszystko, co wydarzyło się pomiędzy. Ostatnia chwila na podwórku przed domem bez stanu nieświadomości, który tłumaczyłby tę lukę, wtedy i teraz. Ona rozumie, że to aż takie proste. Głowa ją boli, żołądek się burzy, kiedy Julia próbuje usiąść, żeby przyjrzeć się pokojowi. Dochodzi do wniosku, że może lepiej jeszcze trochę poleżeć nieruchomo. Leży więc i patrzy przez okno na błękitne niebo w obramowaniu poszarpanych szklanych ust. Chwilę wcześniej mógł tam ktoś być, twarz stracha na wróble patrzącego przez rozbite okno, patrzącego i czekającego. A mogło też nie być nic oprócz podzielonych kawałków gasnącego dnia.

Znowu słyszy grzywacze, teraz tylko lekko stłumione przez mury, i wiatr w narożnikach domu. Te dźwięki niosą się przez powietrze wypełnione oleistym odorem gnijących ryb i zaniedbaniami jak w każdym starym, pustym domu. Pusty, cuchnący rybami pokój i ściana z jednym wysokim łukowatym oknem zaledwie metr od niej, wyblakłe od słońca, odchodzące tapety. To musi być zachodnia ściana, o czym świadczy blask słoneczny wpadający przez wybite szyby.

*Chyba że to jest poranne światło, myśli Julia. Chyba że to jest poranne światło, a to jest kolejny dzień i słońce wschodzi, a nie zachodzi.* Zastanawia się, dlaczego zakładała, że jest popołudnie, jak mogła coś takiego zakładać. Potem gdzieś zza niej dochodzi dźwięk, z tego pokoju albo z sąsiedniego: skrzypiący odgłos rozcinania melona, szkarłatny miąższ i czarne łyżki pestek, słodki czerwony sok. Teraz powietrze cuchnie jeszcze bardziej. Ryba psująca się w letnim słońcu, plaże pokryte wzdętymi srebrzystymi ciałami jak okiem sięgnąć, plaże zasłane wszystkim, co może wyrzuciło na brzeg, niewytłumaczalne wymioty otchłani. Julia znowu zamyka oczy.

– Jesteś tu, Anno? – pyta. – Słyszysz mnie?

Coś drży na skraju jej pola widzenia, trzepotliwa ciemność głębsza niż długie cienie zalegające w pokoju. Julia ignoruje ból i mdłości, przewraca się na plecy, żeby widzieć wyraźniej. Ale ta rzecz na suficie też na nią patrzy i porusza się szybko w stronę sanktuarium kąta; orzęsione, drżące skrzela, odnóża pływne, pancerz homara niemal tak jasny jak muchomor, chityna miękka i blada. Czmycha do tyłu na krwawiących ludzkich rękach. Ocieka wodą i zostawia za sobą rozbryzany ślad siebie.

Ona widzi teraz drzwi, absolutną ciemność czekającą w korytarzu. Z tamtej strony dobiega śmiech, kobiecy, wysoki, histeryczny śmiech, ale tak słaby, że nie może dochodzić z domu.

– Anno! – woła znowu.

Śmiech cichnie, stwór na suficie szczeka zębami jak igły.

– Zeszła na dół – szepcze. – Zeszła na sam dół do Matki Hydry i nie usłyszysz cię nawet za sto milionów lat.

I śmiech znowu rozbrzmiewa, sączy się w górę między deskami podłogi, przez szpary w pleśniejących ścianach.

– Widziałem coś na niebie – szepcze z kąta sufitowy pełzacz. – Nie większego od mojej pięści.

Pokój kręci się wokół niej jak w kalejdoskopie, w wirze kotłujących się barwnych odłamków zmieniających świat, i nie jest bez znaczenia, czy ona ma się czego chwycić. I tak by upadła; nie ma sposobu, by nie upaść, kiedy ta pustka pożera nawet poranek albo popołudnie, wszystko jedno, nawet kolory dnia zsuwające się w głąb śliskiego przełyku.

– Nie widzę cię – mówi Anna. Zdecydowanie to głos Anny, ale Julia nigdy wcześniej nie słyszała, żeby tak brzmiał. Wystraszony, mało znaczący. – Nie widzę cię nigdzie.

Julia wyciąga rękę (w górę albo w dół) do wścieklej burzy, która była domem, do brzegów wiru zapadającego się wszechświata. Jej ramię zagłębia się po łokieć. Zagłębia w zimno martwej gwiazdy, zimno sączące się z najgłębszego rowu oceanicznego.

– Otwórz oczy – mówi Anna i teraz płacze. – Proszę, otwórz oczy, Julio.

Ale jej oczy są otwarte, a ona stoi gdzieś głęboko pod domem, przed kobietą na skale, istotą, która kiedyś była kobietą i której część nadal pamięta utracone człowieczeństwo. Ta część patrzy na Julię jednym okiem, jasnozielonym, zrozpaczonym, pełnym nienawiści okiem, które nie zagubiło się w skotłowanej masie pąkli i widłonogów, pokrywających jej twarz. Kobieta na wielkiej skale pośrodku fosforyzującego jeziora. Potem

morze wdziera się wściekle do jaskini, podnosi się i pieni wokół zardzewiałych łańcuchów, łusek i wijących się różowo-białych ukwiałów, które wyrastają z jej ud.

*Sama, sama, zupełnie sama.*

Kobieta na skale unosi ramię pokryte muszlami i wyciąga je w stronę Julii.

*Sama na wielkim, wielkim morzu.*

Długie palce i błona między nimi. Julia nachyla się przez spieniony basen, lodowata woda omywa jej kostki, wlewa się do butów, a ona stara się dosięgnąć ręki kobiety. Próbuje jej dosięgnąć, podczas gdy zazdrosne morze podnosi się i opada, podnosi się i opada, grożąc jej bezdennymi głosami kaszalotów i tajfunów. Ale odległość między czubkami palców staje się dwa razy, trzy razy większa, przestrzeń rozwija się jak origami, wargi kobiety poruszają się bezdźwięcznie, żółte zęby i błagające szczeliny skrzelowe warg, niemych jak ściany jaskini.

*... zamordował swoją córkę, złożył ją w ofierze...*

Z tych ust nie wydostaje się nic oprócz gnieźdzących się w nich małych, spłoszonych istot. Nie słowa, lecz nagły potok zaskoczonych, truchtających nóg, szczypców, drgających czułek i krzyku, który wydostaje się z miejsca głębszego niż gardło przykutej kobiety, głębszego niż ciało, krzyk duszy wylewający się i pęczniejący, żeby wypełnić jaskinię od ściany do ściany. To wycie, które jest każdą chwilą spędzoną na dole, każdą przekłętą, słoną godziną, Julia czuje w swoich kościach, w amalgamatowych wypełnieniach.

*Więc chcesz czy nie chcesz, chcesz czy nie chcesz iść w tan...*

Mała dziewczyna siedzi w fotelu bujanym przy kominku, sama w salonie dużego domu nad morzem, i czyta bajki, podczas gdy ojciec piekli się gdzieś na górze, w niebie albo tylko na piętrze, ale to bez różnicy. Ojciec czarnych szmat i ponurych, groźnych twarzy. Ona stara się nie słyszeć śpiewu ani dźwięku, który znowu wydaje jej matka, stara się nie myśleć o niczym oprócz Niby Żółwia i Alicji, rakowego kadryla przy niepewnym świetle lampy. *Nie patrz w okna*, myśli dziewczynka albo Julia próbuje ją ostrzec. *Nigdy więcej nie patrz w okna.*

*No więc była zimnastyka, były chroboty zręczne – rzekł Niby Żółw, wyliczając przedmioty na płetwach – oraz frasunki z uwzględnieniem falowania kolejnego. („Rysunki z uwzględnieniem malowania olejnego” – pomyślała Alicja).*

Nigdy więcej nie patrz w okna, nawet kiedy palce stracha na wróble, palce z suchej słomy, wystukują stuk-stuk-stuk, swoją pieśń na szybie. Widziała kobietę tańczącą nago pod jesiennym księżycem, tańczącą wśród wysokich snopków oblanych srebrnym blaskiem, bosymi stopami, podczas gdy ojcowska kosa spadała raz po raz, każde pociągnięcie, żeby zabić i wezwać tych, którzy żyją na dnie jeziora głęboko pod domem. Wezwać ich, wyszydzić i odesłać głodnych z powrotem do piekła. Do piekła lub głębokiej, ognistej albo lodowato ciemnej wody, bo na koniec to i tak nie ma znaczenia.

*Więc chcesz czy nie chcesz, chcesz czy nie chcesz iść w tan...*

Julia nadal stoi na wygładzonym przez fale brzegu absyntowego jeziora albo jedynie jest szepczącym, niematerialnym duchem, który boi się okien w salonie, dymnoszarym duchem szepczącym z nigdy, z nigdy-nie-było albo z nigdy-nie-będzie, dziecko odwraca się powoli w stronę jej głosu, kiedy cierpiąca istota przykuta do skały zaczyna się szarpać, próbując sięgnąć przez poszerzającą się przepaść.

– Julio, proszę.

– Będziesz ich królową w miastach na dnie morza – mówi stary mężczyzna. – Kiedy po mnie nie zostanie już nawet wspomnienie, dziecko, ty będziesz trzymać ich w głębinach.

*Tylu ich było, dzielny lud!  
A dziś pomiędzy zmarłymi!  
Żył-li bagiennych płazów rój,  
Ach! i ja żyłem z nimi. <sup>[3]</sup>*

– Otwórz oczy – mówi Anna i tym razem Julia to robi.

Wszystkie obrazy i dźwięki przesuwiają się jak ostatnie klatki filmu, ona leży w ramionach Anny, na zachwaszczonym skrawku ziemi między samochodem a ponurym, złym domem.

– Myślałam, że nie żyjesz – mówi Anna, tuląc ją tak mocno, że Julia nie może oddychać. W jej głosie brzmi ulga, strach i gniew jednocześnie, łzy toczą się po opalonej twarzy, ściekają z brody na policzki Julii.

– Byłaś tak piekielnie zimna. Myślałam, że nie żyjesz. Myślałam, że jestem sama.

*Sama, sama, zupełnie sama...*

– Pachnę kwiatami – mówi Julia. – Pachnę różami.

Bo tak jest, a ona nie potrafi wymyślić niczego innego, co mogłaby powiedzieć, żadne zwykłe słowa nigdy nie sprawią, że zapomni. Patrzy za Annę, na nieskończone niebo o barwie morza, na ciepłe letnie słońce spoglądające na nią w dół jak ślepe, płonące oko niebios.

## Studium „Domu czarownic” (2013)

– Jestem zajęta kobietą – mówi właścicielka galerii na rogu Elizabeth i Broome. – Tu jest certyfikat autentyczności, a ja nie mam całego wieczoru, żeby tu siedzieć i dyskutować o sprawie.

Wie, że to wywieranie nacisku, ale spędziła dwie godziny na dopieszczaniu człowieka, który nadal jest tylko potencjalnym kupcem. Tymczasem ona musi być w innym miejscu, na otwarciu wystawy Hammonsa w L&M. Chrząkanie, szukanie słów i wątpliwości tego mężczyzny działają jej na nerwy. Jednak on przyjechał aż z LA, a ona nie chce stracić prowizji. Właściciele obrazu mogliby zabrać go z galerii, gdyby ten mężczyzna w T-shircie z White Stripes, bananowych luźnych spodniach i żółtej fedorze się wycofał, bo ona przedłożyła przyjemność nad interesy.

Mężczyzna żuje kciuk i zerka na Perraulta.

Nazywa się O'Hara i już ma trzy obrazy tego nieżyjącego malarza. W tym najśłynniejszy z nich: *Fecunda ratis*. A może raczej niesławny. Zanim mężczyzna w żółtej fedorze go kupił, dwaj poprzedni właściciele popełnili samobójstwo. Obaj zabili się w rocznicę ukończenia obrazu. Ale takie bzdury tylko zwiększają wartość dzieła, przydają atmosfery ryzyka posiadaniu „przeklętej” rzeczy. Zła reputacja przyciąga bogatych i chorych jak miód muchy. *Płaczący chłopiec* Giovanniego Bragolina, *Wenus z lustrem* Diego Velázquez, *Hands Resist Him* Billa Stonehama. Podobnie jak zaginione dzieła. Albo takie, których istnienia nikt nie podejrzewał. Obrazy jak ten stojący na sztalugach przed nimi. Osobiście kobieta ma do *Studium „Domu czarownic”* taki sam stosunek jak do reszty malowideł Alberta Perraulta. Obraz jest okropny, choćby i znakomity. Klątwa czy nie, nie chciałaby mieć go w domu za żadne skarby.

– Nie ma o nim żadnej wzmianki – mówi mężczyzna z Los Angeles. – A Perrault był skrupulatny, jeśli chodzi o umieszczanie wszystkiego w swoim dzienniku. Tego obrazu jednak w nim nie ma.

– Brał pan pod uwagę, że mogło tak się stać, ponieważ to jest tylko studium?

Mężczyzna drapie się po skąpej bródce, która nadaje mu odrobinę kozi wygląd. Zważywszy na jego upór, wrażenie nie jest całkiem niewłaściwe, myśli marszandka.

– Ma pan przed sobą raport Freemanart, która potwierdziła autentyczność van Goghów i Picassów. Wszystko jest w porządku. Pociągnięcia pędzla, podpis. Wszystko się zgadza.

– Odciski palców – rzuca O'Hara.

– Tak, odciski palców. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej przekonującego niż ich analiza.

– Mógłbym powiedzieć, że odciski palców są trochę zbyt wygodną rzeczą, wie pani? Są sposoby, żeby nawet je sfalszować. Udowodnienie, że Perrault dotykał obrazu, kiedy ten jeszcze był mokry, niekoniecznie dowodzi, że to on namalował.

Kobieta wyobraża sobie, że wbija szpikulec do lodu w twarz mężczyzny, tak że ostry czubek wychodzi z tyłu jego czaszki. Wyobraża sobie kilka innych metod, które położyłyby kres tym cholernym rozterkom.

– Czy byłaby pani gotowa zasięgnąć drugiej opinii, przeprowadzić inne badanie, żeby porównać je z wynikami pierwszego? – pyta O'Hara. – Dla potwierdzenia.

Właścicielce galerii udaje się nie przewrócić oczami, ale ledwo.

– Jestem całkowicie pewna, że właściciele nie będą chętni za to zapłacić. Może gdyby pan pokrył koszty sam, wtedy to byłoby możliwe.

On marszczy brwi i drapie się po koziej bródce.

– Można by sądzić, że będą rozsądniejsi, zważywszy na cenę wywoławczą. Zgadza się pani ze mną?

– Jestem tylko pośredniczką w tej transakcji – odpowiada ona. – Nie mnie oceniać decyzje klientów.

– Nawet jeśli fałszerstwo byłoby nieszczęściem dla waszej galerii? Nawet jeśli jest możliwe, że zostanie pani uznana za współwinną zmywy przestępczej albo w najlepszym razie współwinną po fakcie?

*Ty pieprzony kutasie, myśli ona. Szpikulec do lodu byłby dla ciebie za łagodny.*



Kobieta wzdycha.

– Obawiam się, że znaleźliśmy się w impasie, panie O’Hara. Nie wiem, co jeszcze mogę...

– Charlie – mówi on.

– Charlie, nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć, żeby pana przekonać, że to jest prawdziwy Perrault.

– Dlaczego nie poszedł na aukcję?

– Nie umiem powiedzieć.

O’Hara odrywa wzrok od obrazu, żeby rzucić jej sceptyczne spojrzenie.

– Tak, ale z pewnością sama zadawała sobie pani to pytanie. Na aukcji mogliby dostać dwa razy więcej. Może właściciele boją się, że wtedy fałszerstwo łatwiej wyszłoby na jaw.

Marszandka omal nie zerka na zegarek. Zamiast tego spuszcza wzrok na iPada, którego trzyma na kolanach, żeby nie musieć patrzeć na O’Harę czy ten przeklęty obraz.

– Nie miałbym takich zastrzeżeń, gdyby wzmianka o nim albo o planach namalowania płótna pod tytułem *Dom czarownic* pojawiła się w jego dziennikach czy w korespondencji. Inaczej to jest oczywiście podejrzan.

– I właśnie dlatego właściciele zapłacili za profesjonalny i dokładny proces potwierdzenia autentyczności – mówi kobieta.

– Mam sporo jego listów – przypomina jej mężczyzna. Już mówił to dwa razy i mniejsza o to, że ona o nich wiedziała, jeszcze zanim się zjawił. – I dziennik z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego. Zważywszy na to, że obraz jest datowany na tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy, ale nie jest w nim wspomniany, musi pani zrozumieć moje obawy.

– Może nie wspomniał o nim, bo nie był zadowolony. Może nigdy nie namalował właściwego obrazu, bo stracił zainteresowanie tematem. – Kobieta nie odrywa wzroku od tabletu.

– Jest pani świadoma, że Perrault dużo opowiadał o tym, co uważał za swoje porażki. Kilka projektów, które zarzucił, dwa albo trzy. – O’Hara nawet nie stara się ukryć protekcjonalności w głosie.

– Zna pan tego człowieka lepiej niż ja, Charlie.

– Jestem uważany za autorytet – potwierdza on. – Niektórzy mówią, że jestem głównym autorytetem, jeśli chodzi o Alberta Perraulta.

– Ktoś musiał nim być – kwituje ona prawie szeptem.

I od razu żałuje, że nie zachowała tej myśli dla siebie. O’Hara odwraca się i piorunuje ją wzrokiem. Chrząka.

– Nie zgadza się pani, że Perrault jest wart mojej uwagi?

Ona się waha, ale nie może się wycofać, nie robiąc z siebie idiotki. Prowizja czy nie, jest zbyt zmęczona tym człowiekiem, żeby dać mu satysfakcję. Decyduje się na kompromis.

– Perrault po prostu nie jest w moim guście, to wszystko. Szczerze mówiąc, jestem zadowolona, że nie został architektem. – Naprawdę tak myśli. Krzywy, walący się dom na obrazie, uczepony skraju wysokiego klifu, jest okropny. Przychodzi jej nawet do głowy, że to rzecz pełna złej woli, jakby nie została zbudowana, tylko wyrosła albo została wydalona z kamienia i wysokiej żółtej trawy.

– On nie wymyślił tego domu – mówi O’Hara. – To prawdziwe miejsce. Stoi w Kalifornii, gdzieś na północ od Anchor Bay. W dwa tysiące trzecim wybuchł tam pożar, tak że niewiele z niego zostało.

Teraz jej kolej, żeby spiorunować go wzrokiem.

– Nie miał pan pojęcia, że ten obraz istnieje, a mimo to wątpi pan w jego autentyczność, choć pan wie, że to jest prawdziwy dom? I nawet pan wie, gdzie on stoi?

– Mogłaby pani pokazać mi obraz domu albo pola w Arles i twierdzić, że to prawdziwy van Gogh – ponieważ wymieniła pani to nazwisko kilka minut temu – a to może być falsyfikat, co jednak nie oznacza, że fałszerz nie miał na myśli prawdziwego domu albo pola.

– Wszystko jasne – szepcze ona.

Te dwa słowa smakują kwaśno w jej ustach, tak jak obraz wydaje się jej kwaśny. Na tyle dobrze zna Perraulta, by wiedzieć, że ten obraz jest typowy dla jego wcześniejszych prac, kiedy artysta miał dwadzieścia parę lat. Styl jest bardziej realistyczny, jakby malarz planował karierę ilustratora. Już odwrócił się plecami do współczesnych szkół malarskich, choć jeszcze nie zajął się tym, co krytycy opisywali później jako retro fuzję symbolizmu z impresjonizmem. Jeszcze nie uległ swojej obsesji bajkami i mitologią, fascynacji, która miała dominować w jego pracach aż do śmierci. Słowa smakują kwaśno w jej ustach, niemal tak kwaśno jak zły stary dom, który zdaje się niemal wić, szczytami i wieżyczkami drapać niebo. Brzydki, kwaśny, zły, niewiele więcej niż surowa sylwetka...

– Kiedy wysłałem pani zdjęcia tej notatki przyklejonej z tyłu...

– Również w tym wypadku potwierdzono autentyczność pisma Perraulta.

– ...zbadalem sprawę.

Notatka – wyblakły atrament na świstku papieru przyklejonego z tyłu płótna – brzmi po prostu: *Stadium «Domu czarownic»*, S. of Pt. Arena, Kal.

– Wyguglowałem „dom czarownic” i „Point Arena, Kalifornia”. I znalazłem to. Dom zbudował w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym niejaki Machen Dandridge, rzekomo ktoś w rodzaju czarodzieja. W latach sześćdziesiątych hippisi i okultyści traktowali dom jako mekkę, a miejscowi mówią o sekcie, która podobno tam się spotykała w każde Halloween do czasu pożaru.

– Sekta – powtarza kobieta. Ma ochotę na papierosa. Próbuje rzucić palenie, ale w torebce zawsze nosi pół paczki zwietrzałych cameli.

– Dostyc dziwna rzecz. Ten Dandridge podobno oddawał część tajemniczym bogom i boginiom oceanu. Posejdonowi i jakiemuś semickiemu bogu ryb i zboża. Paru naprawdę dziwnym bóstwom, Matce Hydrze i Ojcu Krakenowi, którego, jak podejrzewam, wymyślił. Facet był świrem. Zmarł koło tysiąc dziewięćset siedemnastego albo osiemnastego. Popełnił samobójstwo po oskarżeniu, że zamordował swoją rodzinę, złożył ją w ofierze komuś ze swojego panteonu.

O’Hara jest w swoim żywiole, kiedy robi wykład ignorantom, bryluje.

Kobieta odwraca wzrok od okropnego, kwaśnego domu. Patrzy w podłogę.

– Znalazł pan to wszystko online.

– Część – odpowiada mężczyzna, nachylając się do obrazu. Wyjmuje lupę z kieszeni koszuli i znowu sprawdza podpis. – W kwietniowym wydaniu „Argosy” z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego jest artykuł i parę zdjęć, choć te zostały zrobione od strony morza, patrząc na zachód. Podobno był także artykuł w „Fate”, ale jeszcze go nie znalazłem.

Ona nigdy nie słyszała o „Argosy” ani o „Fate”, ale tego nie mówi.

– Wszystko to wygląda mi na miejską legendę – stwierdza.

– O, jestem pewien, że duża część nią jest. Ale Machen Dandridge był prawdziwy. Jeśli to jest Perrault, na pewno pojechał do tamtego domu, gdy usłyszał o jego podejrzanym reputacji. Zauważyła pani to?

Wskazuje na ciemniejszą plamę u podstawy urwiska, gdzie fale biją o kamień. To może być jaskinia. W takich skałach bywają jaskinie, przez stulecia wydrążone przez wodę. Jeśli to jest jaskinia, a nie zwykłe zaciemnienie w miejscu, gdzie Perraultowi nie udało się uchwycić tekstury skały, znajduje się ona bezpośrednio pod domem.

– Proszę posłuchać, Charlie. Mam upoważnienie, żeby zaproponować pięcioprocentową obniżkę.

O'Hara odkłada lupę i pociera capią bródkę.

*Tylko weź to cholerstwo. Już go tutaj nie chcę.*

Marszandka ma kłopot z oderwaniem oczu od być może morskiej jaskini. Myśli, że ona wygląda jak usta.

– Pięć procent? Dlaczego nie powiedziała mi pani tego od razu?

– Tylko tyle mogę zrobić – mówi ona, ignorując jego pytanie.

Głodne usta, usta, które piją fale i wymiotują sekrety świata. *To nie dom Perrault starał się uchwycić. Chodziło mu o jaskinię.*

– Proszę się zdecydować, Charlie.

On wzdycha i kiwa głową, a nedorzeczna fedora podskakuje w górę i w dół.

– Dobrze. Tak. – Wzdycha. – Nie mówię, że jestem całkowicie przekonany, że to jest autentyk. Ale jeśli tak, spędzę resztę życia, kopiąc się za to, że wypuściłem go z rąk.

– Nie pożałuje pan – mówi ona głosem dziwnym i nieobecnym.

– Cóż, sam zapłacę za potwierdzenie autentyczności.

– W ciągu dwudziestu lat nigdy nie sprzedaliśmy falsyfikatu, panie O'Hara.

– Charlie. – On lekko marszczy brwi. – O którym byście wiedzieli. A wszystko ma swój pierwszy raz. A gdybyście wiedzieli, że to falsyfikat, przyznałaby się pani do przestępstwa?

– Pewnie nie – odpowiada ona, całkowicie świadoma, że powinna się obrazić, powinna być wściekła, że on ma czelność rzucać jej w twarz takie insynuacje.

Nie może jednak skupić się na czymkolwiek poza jaskinią, na wpół ukrytą za grzywaczami i mgiełką wodną. Teraz jest pewna, że to jaskinia, tam pod domem. A im dłużej patrzy, tym bardziej jej się wydaje, że w środku widzi coś niezupełnie ludzkiego.

*Jest uwięzione. Jest tam uwięzione i cierpi. Jest w agonii.*

– On powinien być w dziennikach – powtarza O'Hara.

*...po oskarżeniach, że zamordował swoją rodzinę, że złożył ich kolejno w ofierze...*

*Owidiusz był kłamcą, a Perrault to dostrzegł.*

– Proszę mi wierzyć, on wszystko zapisywał. Miał obsesję na tym punkcie.

W następnych tygodniach właścicielka galerii będzie śnić o kwaśnym, złym domu i paszczy tamtej jaskini. Będzie śnić, że steruje małą, miotaną przez sztorm łódką, która nie może znaleźć bezpiecznej przystani, o sekretnym, migoczącym, zielonym jeziorze pod domem czarownic i o wyspie na jego środku, o córce Cefeusza i Kasjopei rozebranej do naga i przykutej do skały na poszarpanym brzegu Etiopii, czekającej na ratunek, który nigdy nie nadejdzie.

## **Andromeda wśród kamieni**

*Nie potrafię bez drżenia myśleć o głębokim morzu...*

H.P. Lovecraft

## Październik 1914

– Czy ona naprawdę, tak naprawdę nie żyje, ojcze? – zapytała dziewczynka.

Machen Dandridge, mężczyzna już pięćdziesięcioletni, podniósł wzrok na niskie niebo koloru maślanki i zamknął czarną książkę, którą ściskał w rękach. Sam wyciosał wysoki nagrobek na miejscu pochówku żony nad bezwzględny Pacyfikiem, czarny łupkowy obelisk z trupią czaszką. Jego córka ostrożnie obeszła świeżą ziemię i dotknęła pomnika.

– Dlaczego nie oddałeś jej morzu? Ona zawsze chciała, żeby na koniec oddać ją morzu. Często mi to mówiła.

– Zamiast tego oddałem ją ziemi – odparł Machen i potarł powieki.

Zimne światło słoneczne przeświecające przez warstwę chmur wystarczało, żeby rozboleła go głowa, głos córki był jak grzmot. Na chwilę zamknął oczy. Trochę ulgi w niemal całkowitej ciemności pod powiekami, pergaminowa skóra zbyt cienka, żeby podziałać jak balsam prawdziwej czerni, pustki, która pasowałaby odcieniem do jego duszy. Machen odmówił szeptem jedną z modlitw z ciężkiej czarnej księgi i znowu spojrzął na grób.

– Właśnie to zawsze mówiła – powtórzyła dziewczynka, przesuwając palcami po grubo ciosanym kamieniu.

– Pod koniec to się zmieniło, dziecko. Morze by jej nie przyjęło. Musiałem oddać ją ziemi.

– Mówiła, że sadzenie ludzi w ziemi jak pszenicę, jak ziarna zboża, to świętokradztwo.

– Tak? – Machen obejrzał się nerwowo przez lewe ramię, na fale wysokiej, żółtobrazowej trawy poruszanej przez wiatr, na wąski szlak prowadzący do ponurego domu, który zbudował dla swojej żony dwadzieścia cztery lata temu, bliżej klifów i miejsca, gdzie morze i niebo zlewały się ze sobą bez widocznego śladu.

– Tak. Mówiła, że tylko barbarzyńcy i poganie wsadzają swoich zmarłych do ziemi jak rzepę.

– Nie miałem wyboru – odparł Machen, zastanawiając się, czy to rzeczywiście prawda, czy on jedynie chce w to wierzyć. – Morze by jej nie przyjęło, a nie potrafiłem zmusić się do tego, żeby ją spalić.

– Tylko poganie palą swoich zmarłych – z dezaprobatą oświadczyła jego córka, zbliżyła się do obelisku i przystawiła ucho do ciemnoszarego łupka.

– Słyszysz coś?

– Nie, ojczu. Oczywiście, że nie. Ona nie żyje. Sam tak powiedziałeś.

– Tak – wyszeptał Machen. – Nie żyje.

Wiatr chłoszczący zbocze wydał głodny, zawodzący dźwięk, który powiedział mu, że pora wracać do domu.

*Tam właśnie stoję, przy dolnej bramie, i trzymam klucz do otchłani...*

– Ale tak jest lepiej – stwierdziła dziewczynka z uchem nadal przyciśniętym do obelisku. – Ona już nie mogła znieść bólu. On rozciął ją od środka.

– Tak ci powiedziała?

– Nie musiała mi mówić. Widziałam to w jej oczach.

*Hebanowy klucz do pierwszego dnia i do ostatniego, klucz do chwili, kiedy gwiazdy zgasną, jedna po drugiej. A morze uniesie swój gnijący brzuch do pustego, obwisłego nieba.*

– Jesteś tylko dzieckiem – powiedział Machen. – Nie powinnaś oglądać takich rzeczy. Jeszcze nie.

– Teraz nic nie można na to poradzić. – Dziewczynka odsunęła się od grobu matki i objęła ucho dłonią, jakby zaczęło ją boleć. – Wiesz o tym, stary człowieku.

– Tak. – Omal nie wymówił jej imienia, Meredith, takiego jak jej matki, ale wiatr był zbyt blisko, nasłuchujący wiatr i słony zapach grzywaczy rozbijających się o klify. – Ale chciałbym, żeby było inaczej.

– Gdyby życzenia były końmi, żebracy by na nich jeździli.

Machen patrzył w milczeniu, jak Meredith Dandridge kłeka w trawie i na świeżo skopanej ziemi kładzie garść więdnących kwiatów polnych. Gdyby była wiosna, a nie jesień, pomyślał Machen, leżałyby tu mniszki i maki. Gdyby była wiosna, a nie jesień, kobieta otulona kołdrą w sosnowej trumnie zabitej gwoździami nadal by oddychała. Gdyby była wiosna, nie zostaliby sami, on i jego córka, na skraju świata. Wiatr szarpnął długim złotym warkoczem dziewczynki, słońce zaśniło w jej ciepłych zielonych oczach.

*Klucz, który przyjąłem w pełni świadomy jego wagi.*

– Pamiętaj o mnie – wyszeptała Meredith do zmarłej matki albo do czegoś innego, a on ją o to nie zapytał.

– Powinniśmy wracać – stwierdził i znowu zerknął przez ramię.



– Tak szybko? Tylko tyle przeczytałeś z książki? To już wszystko?

– Tak, to na razie wszystko.

Choć później, kiedy pomarańczowoczerwony Księżyc Żniwiarzy napęcznieje i zawiśnie pośród rozległej kalifornijskiej nocy, będzie więcej. Kiedy kobiety przyjdą tańczyć, zostaną wypowiedziane inne słowa, żeby zatrzymać jego żonę w ziemi, a bramę zamkniętą przez co najmniej kolejny rok.

*Wagi wszelkiego zbawienia, która powstrzymuje ostatnią, niekończącą się noc.*

– Tak jest lepiej – powtórzyła dziewczynka, wstając i otrzepując ziemię z pończoch, z rąbka czarnej sukienki. – Niewiele z niej zostało.

– Nie mów tutaj w ten sposób – powiedział Machen surowiej, niż zamierzał.

Ale Meredith chyba tego nie zauważyła, a jeśli zauważyła, nie miała nic przeciwko tonowi głosu ojca.

– Będę ją pamiętała taką, jaka była kiedyś, kiedy jeszcze była piękna.

– Tego by chciała. – Machen wziął córkę za rękę. – Ja też będę ją taką pamiętał.

Wiedział jednak, że to kłamstwo, tak fałszywe jak każde inne kłamstwo wymówione przez żywego człowieka. On zawsze będzie widział swoją żonę jako wijącą się, poskręcaną istotę, jaką się stała na koniec, po tym, jak brama omal nie została otwarta, a ona stanęła na progu.

*Zamrożony ciężar morza, płonący ciężar blasku gwiazd i mojego ostatniego oddechu. Trwam na posterunku. Trzymam hebanowy klucz do ostatniego ze wszystkich dni.*

Machen Dandridge odwrócił się od grobu żony i poprowadził córkę zwirową ścieżką z powrotem do domu czekającego na nich jak przekleństwo.

## Listopad 1914

Meredith Dandridge leżała całkiem nieruchomo w dużym łóżku w swoim wielkim pokoju o wysokim suficie, bez żadnych obrazów na ścianach, i słuchała morza niezmiernie rzucającego się na skały. Morza, które miało kiedyś zmieścić świat w ułamku sekundy, które było tutaj pierwsze i będzie jeszcze długo po tym, jak kontynenty w końcu zostaną przemielone na piasek i muł. Ona to wiedziała, bo ojciec przeczytał jej o tym z ciężkiej czarnej księgi, księgi bez tytułu, księgi, której ona nie mogła sama czytać, bo w nocy przyszłyby po nią demony. I ona to wie z innych ksiązek, które dał jej ojciec: *Atlantyda: świat sprzed potopu*, *Świat przed potopem*, *Atlantyda i zaginiona Lemuria*. Wszystko ponad falami, powtarzał wciąż ojciec, czeka w pożyczonym czasie na dzień, kiedy morze znowu się podniesie i zatopi ląd swoim słonym, tłamszącym łonem, a najwyższe góry i najgłębsze doliny staną się placem zabaw dla węży morskich, ośmiornic i ławic śledzi. Lasy staną się sadami Posejdon, mówił jej ojciec, choć ona wiedziała, że Posejdon to nie jest prawdziwe imię boskiej istoty z dna oceanu, tylko imię, które jakiś martwy człowiek nadał mu tysiące lat temu.

– Przeczytać ci dzisiaj bajkę, Merry? – zapytała jej matka, siedząca na krześle obok łóżka.

Pachniała rybami i mułem, choć pochowali ją w suchej ziemi na szczycie wzgórza za domem. Meredith nie spojrzała na nią, bo zbyt długo starała się pamiętać twarz matki taką, jaka była wcześniej, i nie chciała oglądać tej zniszczonej, którą duch nosił jak maskę. Równie okropną jak ta, którą wkładał teraz jej brat, nawet jeszcze gorszą. Meredith wzruszyła ramionami i lekko odgarnęła koce.

– Jeśli nie możesz zasnąć, to ci pomoże – powiedziała matka głosem jak wodorosty kołyszące się w głębokiej wodzie.

– Może. – Meredith wpatrywała się w miejsce na jednej ze ścian, gdzie tapeta zaczęła się odklejać. Żałowała, że w pokoju nie ma świecy ani lampy olejowej, bo wtedy duch zostawiłby ją w spokoju. – A może nie.

– Mogłabym poczytać ci Hansa Christiana Andersena albo braci Grimm. – Matka westchnęła. – *Małą syrenkę* albo *O rybaku i złotej rybce*?

– Mogłabyś mi opowiedzieć, jak jest w piekle – podsunęła dziewczynka.

– Kochanie, nie muszę ci tego mówić – wyszeptała zjawa jej matki głosem nagle pełnym żalu i smutku. – Wiem, że nigdy nie muszę ci tego mówić.

– Mogą być różne piekła – stwierdziła Meredith. – To i tamto, do którego wysłał cię ojciec, i tamto, w którym zgubił się Avery. Nikt nigdy nie mówił, że może być tylko jedno, prawda? Albo jest w nim wiele regionów. Piekło dla martwych pruskich żołnierzy, drugie dla francuskich, piekło dla chrześcijan, drugie dla żydów. I może jeszcze inne dla wszystkich pogan.

– Twój ojciec nigdzie mnie nie wysłał, dziecko. Sama przekroczyłam próg.

– Więc w tym piekle byłabym sama.

Duch zgrzytnął ostrymi zębami, a Meredith usłyszała, że czułki ukwiałów między opalizującymi rybimi oczami szybko cofają się do pustych miejsc w rozkładającej się czaszce matki.

– Mogłabym przeczytać ci wiersz – zaproponowała z nadzieją matka. – Mogłabym zaśpiewać ci piosenkę.

– Tam nie ma ognia i siarki, prawda? Nie w tym rejonie piekła, w którym jesteś? Ono jest czarniejsze od nocy i zimne jak lód, prawda, matko?

– Czy on myślał, że włożenie do ziemi mnie uratuje? Czy ten stary głupiec myśli, że sprowadzi mnie z powrotem jak Persefonę?

Za dużo pytań, jej i matki. Przez chwilę Meredith Dandridge nie odpowiadała, wpatrując się w tapetę, w pasiastą ścianę, pragnąc, żeby słońce już wstało i wlało się przez zasłony ciepłe i złote jak miód.

– Sama przekroczyłam próg – powtórzyła zjawa, jakby sądziła, że Meredith za pierwszym razem jej nie usłyszała. Chyba że matka potrzebowała w to wierzyć, a mogłaby przestać, gdyby przestała to powtarzać. – Ktoś musiał to zrobić.

– To nie musiałaś być ty.

Wiatr zagwizdał dziko i przenikliwie pod okapami domu, niewidzialne usta przyciśnięte do wielkiego, niewidzialnego instrumentu. Meredith zadrżała i podciągnęła kołdrę pod brodę.

– Nie było nikogo innego. Ten, kto włada kluczem, nie może być mężczyzną. Wiesz o tym, Merry. Avery też to wiedział.

– Są inne kobiety. – Meredith mówiła przez zaciśnięte zęby, bo nie chciała się rozpłakać, ale już czuła w oczach gorące łzy. – To nie musiała

być moja matka, tylko ktoś inny.

– A więc matka jakiegoś innego dziecka? – spytał duch. – Córka jakiejś innej matki?

– Wracaj do swojego piekła. – Meredith wypluwała z siebie słowa jak truciznę, nadal patrząc na ścianę. – Wracaj do swojej dziury w ziemi i opowiadaj bajki robakom. Opowiedz im *O rybaku i złotej rybce*.

– Musisz być teraz silna, Merry. Słuchać ojca i być gotowa. Ja nie byłam dostatecznie silna.

W końcu Meredith Dandrige odwróciła twarz do matki, do tego, co z niej zostało, do pierzchających stworzeń, które gnieździły się w jej włosach, do srebrnych łusek i pąkli, do korony z ukwiałów. Nie wzdrygnęła się ani nie uciekła wzrokiem.

– Pewnego dnia zabiorę mu tę przeklętą czarną księgę i wrzucę ją do pieca – oświadczyła. – Zabiorę ją, matko, i wrzucę do pieca, a wtedy oni będą mogli wyjść z morza i zaciągnąć nas tam obie.

Matka krzyknęła i rozlała się jak fala na żwirze, jak woda z blaszanego wiadra, które nadawało jej kształt. Nagle stała się przezroczysta i lśniąca jak szkło, zanim wsiąkła w szpary między deskami podłogi. Dziewczynka wyciągnęła rękę i zanurzyła ją w płytkiej kałuży, która została na siedzeniu wiklinowego krzesła. Woda była zimna i pachniała stęchlizną. Potem Meredith leżała rozbudzona aż do świtu, słuchając oceanu i wszystkich bezmyślnych odgłosów, jakie wydaje dom nad ranem.

## Maj 1914

Avery Dandridge miał oczy ojca, z których wyglądała dusza kogoś innego, a dla swojej siostry był nadzieją, że może istnieć życie poza tym walącym się domem nad morzem. Pięć lat od niej starszy, pojechał do szkoły w San Francisco prawie na rok, bo matka tak sobie życzyła. Ale coś się wydarzyło i Avery został odesłany do domu. Mówiono o tym tylko szeptem i nikt nie raczył niczego wyjaśnić Meredith, lecz ją obchodziło tylko to, że brat wrócił, a ona już przestała być taka samotna.

– Opowiedz mi o trzęsieniu ziemi – poprosiła go pewnego dnia niedługo po jego powrocie, kiedy spacerowali wąską plażą pod klifami, po piasku koloru pyłu węglowego, wśród hałaśliwych mew i drewna wyrzuconego przez fale niczym kości tytanów. – Opowiedz mi o pożarze.

– O trzęsieniu ziemi? Merry, to działo się osiem lat temu, strasznie dawno temu. Byłaś jeszcze małym dzieckiem. – Avery podniósł muszlę i obrócił ją w dłoni, wytarł ciemny piasek, który do niej przywarł miejscami. – Ludzie już nie rozmawiają o trzęsieniu ziemi. W ogóle nie słyszałem, żeby dużo o nim mówili.

– Aha – mruknęła Meredith, niepewna, co powiedzieć, ale nadal dręczyło ją wiele pytań. – Ojciec mówi, że to był znak, znak od...

– Może nie powinnaś wierzyć we wszystko, co on mówi, Merry. To było trzęsienie ziemi.

Poczuła wtedy dreszcz, jakby prąd wzdłuż kręgosłupa i na skórze głowy, że ktokolwiek, a tym bardziej Avery, podaje w wątpliwość słowa ich ojca i radzi jej, żeby robiła to samo.

– Przestałaś wierzyć w znaki? – spytała bez tchu. – Tego się nauczyłeś w szkole?

– W szkole nie nauczyłem się niczego ważnego – odparł brat i pokazał jej muszlę, niewiele większą od pięciocentówki, w środku spiczastą jak kapelusz Chińczyka, z rozchodzącymi się promieniście liniami w kolorze kasztanowego brązu.

– Ładna – powiedziała Meredith, kiedy brat położył muszlę na jej dłoni. – Jak się nazywa?

– Ślimak morski. – Avery wiedział wszystko o muszlach, rybach i skamieniałościach, o rzeczach, których nauczył się z książek ojca, a nie

w szkole. – Skaloczep tarczowy. Ostroboki pacyficzne wysyłają je do bitwy, kiedy walczą z węgorzami.

Meredith się roześmiała i brat też, a potem usiadł na skale na brzegu dużego basenu pływowego. Ona stanęła obok niego, nadal przyglądając się muszli, obracając ją w dłoni. Wklęsła wewnętrzna część była gładsza niż jedwab i biała z lekko opalizującą nutą błękitu.

– To nieprawda – powiedziała. – Wszyscy wiedzą, że ostroboki i węgorze są przyjaciółmi.

– Jasne, że tak. Wszyscy to wiedzą.

Ale brat patrzył na morze i nie odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Po chwili Meredith schowała muszlę do kieszeni swetra i usiadła na skale obok niego.

– Coś tam widzisz? – zapytała.

Avery skinął głową, ale się nie odezwał. Po plaży pędził zimny, wilgotny wiatr, malował zmarszczki na powierzchni basenu. Bryza i fale wydawały się głośniejsze niż zwykle, a Meredith zastanawiała się, czy to znaczy, że nadciąga sztorm.

– Nie sztorm – powiedział Avery, co jej nie zaskoczyło, ponieważ on często wiedział, o czym ona myśli. – Nadciąga wojna, Merry.

– A, tak, ostroboków i węgorzy. – Meredith zaśmiała się i popatrzyła na horyzont, starając się dojrzeć to, co przyciągnęło uwagę jej brata. – Kałamarnic i omułek.

– Nie bądź głupia. Wszyscy wiedzą, że kałamarnice i omułki są wielkimi przyjaciółmi.

Rozśmieszyl ją znowu, ale sam nie parsknął śmiechem. Odwrócił wzrok od morza i spojrzał na zniszczone czubki swoich butów majtających kilka cali nad wodą.

– Jeszcze nigdy nie było takiej wojny jak ta, która nadchodzi – rzekł po chwili. – Wszystkie narody na świecie skoczą sobie do gardeł, Merry, a kiedy już wszyscy się pozabijamy, nie zostanie nikt, kto przeciwstawi się morzu.

Meredith wzięła głęboki oddech, żeby czyste, słone powietrze rozjaśniło jej w głowie. Zaczęła odrywać pąkla od skały.

– Gdyby to była prawda, ojciec by nam powiedział. Pokazałby nam znaki.

– On ich nie widzi – odparł brat. – On nie śni w taki sposób jak ja.

– Mówiłeś mu?

– Próbowałem. Ale on uważa, że w szkole nakładli mi różnych rzeczy do głowy. Uważa, że to jakaś sztuczka, która zmusi go do odwrócenia wzroku.

Merry przestała odrywać pąkla, bo rozboleły ją palce i wkrótce zaczęłyby krwawić. Uznała, że lepiej obserwować te stworzenia uwięzione w basenie pływowym, mała kolonia, o którą wkrótce upomni się morze: pobrzechki, pustelniki noszące ukradzione muszle, rozgwiadzy karmazynowe albo w kolorze i kształcie słoneczników.

– On myśli, że mnie wykorzystują, żeby wziąć go z zaskoczenia, zmusić do spojrzenia w inną stronę – wyszeptał Avery. Jego głos niemal ginął wśród wzmagającego się wiatru. – On sądzi, że jestem nastawiany przeciwko niemu.

– Avery, nie wierzę, żeby ojciec coś takiego o tobie mówił.

– Nie musiał tego mówić. – Ciemne, błyszczące oczy brata znowu przeniosły się na morze i niebo.

– Powinniśmy wkrótce wracać, prawda? Niedługo zaczną się przypływy. – Meredith zauważyła, że fale sięgają dalej niż wtedy, kiedy ostatnio na nie patrzyła. Jeszcze pół godziny i nienasycony ocean zaczną uderzać o szorstkie łupkowe klify za ich plecami.

– „Fala za falą, każda następna potężniejsza od poprzedniej” – wyszeptał Avery, zamykając oczy. Słowa wydobywające się z jego bladych, cienkich warg, brzmiały, jakby wypowiadał je ktoś inny, ktoś stary i zmęczony, kogo Meredith nigdy nie kochała. – „Aż ostania, dziewiąta, zbierająca pół głębiny i pełna głosów, z wolna powstała i runęła z rykiem, a cała była płomieniem...”

– Co to jest? – przerwała mu Meredith, bo już nie chciała tego słuchać. – To z księgi ojca?

– Nie – odparł Avery i znowu brzmiał bardziej jak on, bardziej jak jej brat. Otworzył oczy, a po wychłostanym przez wiatr policzku stoczyła się łza. – Nauczyli mnie tego w szkole.

– Jak fala może stać w płomieniach? To ma być zagadka?

Avery pokręcił głową.

– Nie. – Wytarł twarz. – To nic takiego, tylko głupi wiersz, którego kazali mi nauczyć się na pamięć. Szkoła jest pełna głupich wierszy.

– Dlatego wróciłeś do domu?

– Powinniśmy wracać. – Avery szybko spojrzał przez ramię na wysokie klify, na stromy szlak prowadzący w górę do domu. – Przypływ nie może

nas złapać z opuszczonymi spodniami, prawda?

– Ja nie noszę spodni – zaburczała Merry posepnie, nadal rozmyślając o dziewiątej fali, ogniu i wodzie.

Avery otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie krótko, podczas gdy zbliżające się morze toczyło się tam i z powrotem po kamieniach pokrytych wodorostami.



## Styczeń 1915

Meredith siedziała samotnie na podłodze na końcu wąskiego korytarza łączącego przedpokój z kuchnią i łazienką i prowadzącego na tyły domu do wysokich, zawsze zamkniętych drzwi. Zaśniedziały mosiężny klucz zawsze wisiał na kółku u pasa ojca. Przycisnęła ucho do drewna i próbowała coś usłyszeć. Drewno było wilgotne i bardzo zimne, ze szpary przy podłodze sączył się zapach słonej wody i pleśni. Niegdyś solidna sekwoja dawno temu zaczęła butwieć od ciągłej wilgoci, a zawiasy rdzewieć od żrącego oddechu oceanu, więc drzwi piszczały jak nadeptany kot za każdym razem, kiedy się je otwierało albo zamykało. Meredith bała się ich nawet jako bardzo małe dziecko, nawet w czasach, zanim zaczęła rozumieć, co się kryje głęboko pod domem ojca.

Na zewnątrz wył lodowaty zimowy wiatr. Meredith zadrżała i ciaśniej otuliła się wełnianym szalem, ostatnią rzeczą, którą zrobiła dla niej matka. Choć wiatr był zniechęcony przez Meredith niemal tak samo jak morze, przynajmniej zagłuszał okropne głucho uderzenia i jęki, które dzień i noc dochodziły z pokoju na strychu, gdzie jej ojciec zamknął Avery'ego zesłego czerwca.

– Między światami są wyłomy, Merry – powiedział jej brat kilka dni przed tym, jak otworzył drzwi w holu zaostrozonym końcem haczyka do zapinania guzików i zszedł sam do tego głębokiego miejsca. – Szczeliny, pęknięcia. Jeśli nie można ich zamknąć, trzeba ich strzec przed istotami, które są po drugiej stronie.

– Ojciec mówi, że to portal. – Meredith zamknęła książkę, którą czytała: zakurzony, sfatygowany egzemplarz *Świata pierwotnego* Franza Ungera.

Brat roześmiał się suchym śmiechem bez śladu wesołości i pokręcił głową, nerwowo patrząc przez okna salonu na gasnący dzień.

– Portale są budowane celowo, żeby z nich korzystać. Te rzeczy są w najlepszym razie przypadkowe, to skutki zbiegów okoliczności, rozdarcia w przestrzeni, kiedy jeden świat za bardzo zbliża się do drugiego.

Meredith zmarszczyła brwi, westchnęła i otworzyła książkę. Trafiła na dziwnie melancholijną litografię: „Wapień muszlowy [środkowy trias]”. Surowy pejzaż morski, na pierwszym planie rafa wystająca ponad fale, pełna pokrytego algami drewna, gałęzi, muszli mięczaków i liliowców. Coś

w rodzaju krokodyla, bestii, którą autor nazwał *Nothpsaurus giganteus*, przywieralo do skał, żeby nie dać się zmyć przez sztorm w głębinę. Nocne niebo było masą skłębionych chmur z małym białym księżycem w pełni albo prawie w pełni, oświetlającym pradawną scenę.

– Masz na myśli planety? – zapytała. – Masz na myśli księżyc i gwiazdy?

– Nie. Mam na myśli światy. Czytaj książkę i nie zadawaj tylu pytań.

Meredith wydawało się, że słyszy skrzypienie drewna, ciężkie kroki ojca, suchy szelest tkaniny ocierającej się o tkaninę. Wstała szybko, bo nie chciała, żeby znowu ją przyłapano na podsłuchiwanie pod drzwiami. Wyglądała pogniecioną spódnicę, kiedy uświadomiła sobie, że ojciec stoi w korytarzu tuż za nią. Błędnie sądziła, że wszedł do głębokiego miejsca, podczas gdy on przez cały czas był gdzieś indziej: w bibliotece, na poddaszu z Averym albo na zewnątrz, żeby mimo zimna odwiedzić grób jej matki na wzgórzu.

– Co robisz, dziecko? – zapytał ją gderliwie.

Szarpnął brodę. Pojawiły się w niej nitki siwizny, których nie było jeszcze kilka miesięcy temu, bliźny po nocy, kiedy stracili matkę, żonę, po nocy, kiedy demony próbowały wcisnąć się przez rozdarcie, a Ellen Dandridge starała się im przeszkodzić. Jego twarz postarzała się o lata w ciągu zaledwie tygodni, cienie pod oczami wyglądały jak siniaki, głębokie zmarszczki porały czoło. Ojciec odgarnął córce włosy z oczu.

– Czy byłoby inaczej, gdybyś od początku wierzył Avery’emu?

Ojciec przez chwilę nie odpowiadał, a jego milczenie, twarz nieprzenikniona i twarda jak kamień, sprawiły, że Meredith miała ochotę go uderzyć, kopnięciem otworzyć butwiejące, wilgotne drzwi i zrzucić go wrzeszczącego ze schodów do głębokiego miejsca, które czekało na nich oboje.

– Nie wiem, Meredith. Ale musiałem wierzyć księdze i znakom niebios.

– Byłeś zbyt arogancki, starcze. Prawie oddałeś cały świat, bo nie potrafiłeś przyznać, że możesz się mylić.

– Powinnaś być wdzięczna, że twoja matka cię nie słyszy, młoda damo, kiedy używasz takiego tonu wobec ojca.

Meredith odwróciła się i znowu spojrzała na wysokie, gnijące drzwi, na symbole narysowane na drewnie farbą wapienną i krwią.

– Ona mnie słyszy – powiedziała. – Rozmawia ze mną prawie co noc. Nie odeszła tak daleko, jak myślisz.

– Nadal jestem twoim ojcem, a ty dzieckiem, które nie jest nawet w stanie zrozumieć, jaka jest stawka, co szturmuję z drugiej strony...

– ...bramy? – dokończyła Meredith. Położyła dłoń płasko na drzwiach, na dwóch górnych panelach, i naparła na nie całym swoim ciężarem. – Co się stanie następnym razem? W ogóle wiesz, ojcze? Ile czasu nam zostało czy może konstelacje jeszcze ci tego nie powiedziały?

– Nie drwij ze mnie, Meredith.

– Dlaczego? – Obejrzała się na niego przez ramię, nie zabierając dłoni z drzwi. – Szybciej zostanę przekłętą? Więcej ludzi zginie w okopach? Avery będzie cierpieć bardziej niż teraz?

– Dano mi księgę – zawarczał ojciec, a po jego kamiennej twarzy przemknął wyraz goryczy i gniewu, co przynajmniej sprawiło Meredith odrobinę satysfakcji. – Pokazano mi drogę do tego miejsca. Powierzono mi bramę, dziecko. Bogowie...

– ...muszą być jeszcze większymi głupcami niż ty, starcze. A teraz się zamknij i zostaw mnie w spokoju.

Machen Dandridge uniósł rękę, żeby ją uderzyć, rękę o wydatnych kostkach, rękę jak młot z ciała i kości, młot i kowadło z mięsa i żelaza, żeby Meredith stała się cienka i krucha jak zasłona między bliźniaczymi światami.

– Będziesz mnie potrzebował – powiedziała, nie kuląc się przed ogniem płonącym w jego ciemnych oczach, nie cofając się. – Nie możesz zająć mojego miejsca. Nawet gdybyś nie był tchórzem, nie mógłbyś zająć mojego miejsca.

– Stałaś się samowolnym, złym dzieckiem – stwierdził ojciec, opuszczając rękę, aż zwiśla bezużyteczna u jego boku.

– Tak, ojcze. Stałam się bardzo złym dzieckiem. Lepiej się módl, żebym stała się dostatecznie zła.

On nie odpowiedział, tylko odszedł szybko długim korytarzem w stronę swojej biblioteki. Jego kroki rozbrzmiewały głośno jak wystrzały, głośno jak bicie jej serca. Meredith zabrała rękę z drzwi. Czuła w niej lekkie pieczenie, ból jak po użądleniu osy. Kiedy zamknęła dłoń, było na niej coś nowego, tłuste i lśniące zgrubienie, tak czarne, gładkie i okrągłe jak bezduszne oko rekina.

## Luty 1915

W swoich snach Machen Dandridge stoi na brzegu morza i patrzy na blask ognia odbity od szarych chmur kłębiących się nad Rosją, Austrią i Prusami Wschodnimi, czuje miedziany zapach tureckiej i niemieckiej krwi, życia wyciekającego z dziur po kulach w serbskim arcyksięciu i jego żonie. Odwróciłby wzrok, gdyby wiedział jak, nie patrzyłby na to, co widzi, za późno, żeby coś zmienić. Jeden mały człowiek ciśnięty w fale, a potem wyrzucony na kamienistą plażę kosmosu, przepełniony wiedzą, a jednocześnie nie wiedzący zupełnie nic. Ogień armatni i grzmot, grzywacze rozbijające się o klify i przedśmiertny charkot niezliczonych żołnierzy.

*Tutaj stoję, przy dolnej bramie, i trzymam klucz do otchłani...*

– Wojna światowa, ojczy – mówi Avery. – Coś bez precedensu. Nie potrafię nawet znaleźć słów, żeby opisać rzeczy, które widziałem.

– Wojna światowa bez precedensu? – powtarza sceptycznym tonem Machen, unosząc brew. Potem wraca do czytania map nieba. – Napoleon mógłby się z tobą nie zgodzić, młody człowieku, i Aleksander również.

– Nie, nie rozumiesz, co mówię...

Ogień na niebie staje się jaśniejszy, łączy się w bicz z czerwono-złotych łusek i hebanowych kolców, smoczy ogon do chłostania potępionych. *Każdy z nas jest potępiony*, myśli Machen. *Każdy z nas od samego początku czasu.*

– Mam teksty, egidę siedmiu i stare tradycje. Nie mogę tego wszystkiego odrzucić, bo ty miałeś koszmary, prawda, Avery?

– Znam te rzeczy, ojczy. Znam je tak jak swoje serce, jak liczbę stopni prowadzących na dół do głębokiego miejsca.

– W Warkoczu Bereniki rodzą się kłopoty – szepcze żona Machena, przyciskając oko do okularu dużego teleskopu, który stoi w bibliotece. – Coś jakby cień.

– Ona mówi to później – przypomina Avery. – To się jeszcze nie wydarzyło, lecz się wydarzy. Ale jej też nie będziesz słuchał.

Machen Dandridge odwraca się plecami do morza i smoka, do pól bitewnych i płonących miast, patrzy w stronę domu, który zbudował dwadzieścia cztery lata wcześniej. Powietrze w bibliotece nagle wydaje się

bardzo duszne, za ciepłe, za gęste. Machen poluzowuje kołnierzyk i patrzy na syna siedzącego po drugiej stronie mahoniowego biurka.

– Nie jestem pewien, czy wiem, co masz na myśli, chłopcze – mówi.

Avery wzdycha głośno i przeczesuje palcami brązowe włosy.

– Matki nawet nie ma teraz przy oknie. Dopiero za dwa tygodnie. – I to prawda, że nikt nie stoi przy teleskopie. Machen trze oczy i sięga po okulary. – Do tego czasu będzie już za późno. Już może być za późno.

– Posłuchaj go, ojciec – błaga Meredith głosem swojej matki, a potem kładzie mały, więdnący bukiet jesiennych kwiatów polnych na grobie Ellen Dandridge. Zapach rozkopanej ziemi na szczycie wzgórza nie różni się od zapachu francuskich okopów.

– Słuchałem go, Merry.

– Pozwoliłeś mu mówić. Znasz różnicę.

– Czy mówiłem ci kiedyś o światłach na niebie tamtej nocy, kiedy się urodziłaś?

– Tak, ojciec. Sto razy.

– Nie było żadnych światła przy narodzinach twojego brata.

Za nim morze wydaje głos, jakby gigant przewracał się we śnie. Machen odrywa wzrok od domu, patrzy na falujący czarny Pacyfik. Na wodzie unoszą się martwe ciała wielorybów, lwów morskich, miliardów ryb, wzdęte trupy stworzeń, których nazw on nie zna. Szkarłatnookie nocne ptaki nurkują po padlinę. Woda jest tak gęsta od martwych istot, robaków i krwi, że wkrótce nie będzie żadnej wody.

– Brama wybiera klucz – mówi surowo jego żona, ze smutkiem. Stoi w otwartych drzwiach, które prowadzą na dół do głębokiego miejsca pod domem, do fosforyzującego basenu u stóp krętych, rozchwianych schodów. Krótkiego pomostu i skały wyrastającej z tamtych głębin, do małej wysepki z jaskinią i kajdanami. – Możesz zmienić tę część, nieważne co dało ci siedmiu.

– To nie ja posłałem tam Avery'ego, Ellen.

– To nie było żadne z nas. Ale też żadne z nas go nie słuchało, więc może to zupełnie tak, jakbyśmy go tam posłali.

Morze jest gęste jak maślanka, maślanka i krew pod zgniłym księżycem. Ogon smoka śmiga między gwiazdami.

– Pisanie historii końca świata – mówi Meredith, stojąc przy teleskopie. Patrzy w okular, kręci jedną gałką, potem drugą, żeby wyostrzyć obraz czegoś na nocnym niebie. – W każdym razie on wciąż to powtarzał. „Piszę

historię końca świata. Piszę historię przyszłości”. Ojczy, wiedziałeś, że w Warkoczu Bereniki jest problem.

– To byłaś ty? – pyta on. – Ty to powiedziałaś czy twoja matka?

– A to jakaś różnica? Jeśli tak, skąd wiesz, jaka to różnica?

– Czy to wizje, Merry? Te okropne wizje, że jeszcze mogę coś zrobić?

– Będziesz już zawsze trzymał go zamkniętego w tamtym pokoju? – pyta ona, nie odpowiadając na jego pytania, nie odrywając oczu od teleskopu.

Zanim jego żona opuści korytarz, zanim wejdzie na niepewny podest na szczycie schodów, całuje Meredith w głowę, piorunuje męża oczami jak sąd ostateczny, oczami serafinów i płonących mieczy. Martwe morze uderza o klify, przemieszcza kawałki łupku, mułu zmienionego w kamień, kiedy wielkie gady przemierzały planetę, a bogowie nadal musieli zajmować się niezliczonymi rewolucjami i powstaniem przed początkiem tragedii ludzkości.

– Machenie – mówi jego żona. – Gdybyś słuchał, gdybyś pozwolił mi słuchać, wszystko mogłoby być inaczej. Wojna, to, co zrobiono z Averym, wszystko. Gdybyś tylko słuchał.

Sen toczy się dalej, w dół po schodach do świecącej wody, jego żona sama w małej łodzi wiosłuje przez jezioro do skalnej wysepki głęboko pod domem. Krwawiące morze koloru ropy rzuca się wściekle na ściany jaskini, chce się wdrzeć do środka, a to zawsze była kwestia czasu. Meredith stoi na pomoście za nim, śpiewa modlitwy, których ją nauczył, modlitwy, które mają powstrzymać bramę przed otwarciem, zanim Ellen dotrze na drugi brzeg.

Żółtozielone światło pod wodą migocze, potem stopniowo robi się coraz jaśniejsze.

Ogon smoka uderza w samobójczy świat.

Na swoim strychu Avery krzyczy nowymi ustami, które dała mu brama, zanim go wypluła, zmienionego i obłąkanego, z powrotem do tego miejsca i czasu.

Wiosła zanurzają się w jaśniejącej wodzie, skrzypią zardzewiałe dulki, stare gwoździe poluzowują się w butwiejącym drewnie, snopy światła tańczą na nierównych ścianach jaskini.

Smok otwiera jedno oko pokryte pęcherzami.

Ellen Dandridge wysiada z łodzi na wysepkę. Nie ogląda się na męża i córkę.

– Coś jakby cień – mówi Meredith, odsuwając oko od teleskopu i patrząc przez pokój na brata, który siedzi w fotelu naprzeciwko ojca.

– To nie jest cień – nie mówi Avery i wraca do rzeczy, które musi zapisać w dzienniku, zanim skończy się czas.

Na wysepce otwiera się brama, oko smoka, oko anioła. Twarz obcego tytana śpiącego w bezimiennym, zatopionym mieście wygląda na świat, by zobaczyć, kto to. Wezwany czy intruz. Proszony czy nieproszony gość. Po tym, jak powietrze zaczyna migotać i śpiewać, Machen poznaje, że śpiącemu nie podoba się to, co widzi.

– Stoję u bramy i mam klucz – mówi Ellen. – Znasz moje imię, przyszłam, żeby bronić pozycji. Przyszłam tylko po to, żebyś ty nie mógł przejść.

– Nie patrz, Merry. Zamknij oczy. – Machen przytula córkę, kiedy powietrze przestaje śpiewać, a zaczyna skwierczeć, trzaskać i płonąć.

Fale o brzeg.

Ogon smoka przez niebo.

Pusta łódź zepchnięta na świecący basen.

Coś dostrzeżonego przez teleskop.

Wszystkożerne psy wojny.

Machen obudził się w swoim łóżku, w okna wściekle łomotała burza, błyskawice eksplodowały jak pociski mózdzierzowe, dalekie łup, łup, łup z pokoju utraconego syna. Nie zamknął ponownie oczu, tylko leży nieruchomo, pocąc się i słuchając deszczu i bębnienia, aż słońce wstaje za chmurami, żeby zmienić czernią w niewesołą, ołowianą szarość.

## Sierpień 1889

Po swoich podróżach, po Bagdadzie, ruinach Niniwy i Babilonu, po ukrytym meczecie w Reza'lyah, dziwnych artefaktach, które zebrał na południowym brzegu jeziora Urmia, Machen Dandridge pojechał do Kalifornii. Latem tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku ożenił się z Ellen Douglas–Winslow, czarną owcą ze starej bostońskiej rodziny, i razem pojechali pociągiem, dymiącym żelaznym koniem po stalowych szynach, na których jego własny ojciec zbił majątek, aż do tętniących życiem, brudnych sanktuariów Nob Hill w San Francisco. Przez jakiś czas mieszkali w skromnym domu na Russian Hill, a Machen uczył żonę tego, czego sam nauczył się na Wschodzie: archeologii, astrologii, hebrajskiego, islamskiego mistycyzmu, Talmudu i Koranu, tajemnic strasznej czarnej księgi, którą dostał od ślepego, trędowatego mułły. Ellen w młodym wieku okryła hańbą rodzinę, twierdząc, że jest medium, a potem podpierając swoje twierdzenia ekstrawaganckimi seansami i spektakularnymi ektoplazmicznymi pokazami. Machen znalazł w niej pilną uczennicę.

– Dlaczego dał ci tę księgę? – zapytała sceptycznym tonem Ellen, kiedy mąż wyjął wolumin z pudełka po raz pierwszy w jej obecności. – Jeśli ona jest tym, co mówisz, dlaczego tamten mułła miałby ją komuś oddawać?

– Bo, moja droga, przystawiłem pistolet do jego gnijącej czaszki – odparł Machen, powoli odwijając książkę z warstw jagnięcej skóry. – Z tego powodu i z powodu wiedzy, której on szukał przez całe życie. Wierz mi, to była uczciwa wymiana.

Tak jak książka zaprowadziła go z Azji z powrotem do Ameryki i do Kalifornii, tak kruchy, pergaminowy kompas jej stron pokazał mu drogę na północ wzdłuż wybrzeża do wysokich klifów na północ od Anchor Bay. Podczas tej pierwszej podróży Machen zostawił Ellen w domu, wyruszył jedynie w towarzystwie indiańskiego przewodnika, który twierdził, że wie o „dziurze w świecie”. Ale kiedy wreszcie opuścili schronienie lasu sekwojowego i stanęli na brzegu ogromnego, falującego morza traw ciągnącego się w stronę Pacyfiku, Miwok oświadczył, że dalej nie pójdzie. Żadne pieniądze ani namowy nie mogły go przekonać, żeby zbliżył się do klifów czekających za trawami, więc Machen dalej ruszył sam.



Pod gorącym letnim słońcem niskie, pofałdowane wzgórza wydawały się ciągnąć bez końca. Mewy i dwa myszołowy rdzawosterne wrzeszczały jak harpie, wykrzykiwały groźby i ostrzeżenia z bezkresnego żółtego nieba. Ale Machen w końcu ją znalazł, tę „dziurę w świecie”, tam, gdzie Miwok mówił, jakieś pięćdziesiąt metrów od klifów.

Na podstawie tego, czego nauczył się z dziedziny geologii, Machen Dandridge domyślał się, że jest to zawalone sklepienie jaskini, otwór nie większy niż półtora metra średnicy, dający dostęp do prawie pionowego komina w zerodowanych warstwach wapienia i łupku, prawdopodobnie łączącego się z morzem gdzieś w ciemności na dole. Wrzucił do dziury duży kamień i słuchał, licząc sekundy do chwili, kiedy usłyszał słaby plusk, co utwierdziło go w przekonaniu, że jaskinia musi być połączona z morzem. Z otworu płynął stęchły, słony zapach, niezachęcający, mdlący, i choć Machen miał w plecaku sprzęt do wspinaczki i znał się na linach i węzłach, jako że nieraz schodził zdradliwymi, wałącymi się szybami do starożytnych grobów i studni, teraz tylko stał u wlotu, wrzucał kamienie i słuchał plusków. Zaglądając do dziury, po jakimś czasie dostrzegł słabą, ale wyraźną poświatę, nie blask słoneczny odbijający się od jakiejś szczeliny w zboczu klifu, lecz światło koloru absyntu, jakim otchłanne istoty, które nigdy nie widziały słońca, mogłyby rozjaśniać sobie mrok.

Nie tego się spodziewał po przeczytaniu czarnej księgi: żadnej wysokiej bramy z rogu i kości słoniowej, żadnego łuku ze złota i srebra, strzeżonego przez anioły, demony albo istoty, na które ludzie nigdy nie wymyślili nazw, tylko tej skromnej dziury w ziemi. Machen usiadł w trawie i patrząc na zachód słońca, który zmieniał dzień w noc, zastanawiał się, czy Miwok go opuścił. Czy ta wyprawa od początku była daremnym trudem i czy stracił tyle lat życia i tyle swojego dziedzictwa na poszukiwanie związków i prawd, które istniały tylko dlatego, że on chciał je dostrzegać. W ciemności z dziury wydobywało się światło jakby nieziemskiej pochodni, drażniąc albo uspokajając, lecz go przyzywając. Obiecując, że jest tam coś więcej.

– Jak myślisz, co znajdziesz? – zapytał go stary kapłan, kiedy oddawał mu księgę. – A właściwie co ciebie znajdzie?

Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć wtedy i nie potrafił odpowiedzieć teraz, siedząc z rykiem fal w uszach i niebem usianym gwiazdami nad głową. Pytanie, które Ellen wciąż mu zadawała, a on zawsze znajdował jakiś sposób, żeby odwrócić jej uwagę. Ale znał odpowiedź, ukrytą gdzieś

głęboko w jego duszy, nawet jeśli nie potrafił znaleźć słów. Dowód, że świat nie kończy się na czubku jego nosa, na niepewnych świadectwach jego oczu i uszu, na kłamstwach i półprawdach, które ludzie spisali w książkach naukowych i historycznych. Że wszystko, co widział, jest jedynie podartą kurtyną, która czeka na rozsuniecie, żeby w końcu wpadło przez nią bardziej wiarygodne światło.

– Tego pan szukał, panie Dandridge? – Machen odwrócił się z dudniącym sercem, sięgając do pasa po pistolet, i zobaczył, że przewodnik stoi w odległości metra od niego w wysokiej, falującej trawie. – Czy to koniec pańskiej podróży?

– Myślałem, że boisz się tu przyjść. – Zirytowany Machen znowu usiadł przy dziurze, żeby obserwować żółtozielone światło wylewające się z ziemi.

– Tak – odparł Miwok. – Ale przyszedł do mnie duch dziadka i powiedział, że się mnie wstydzi, bo jestem tchórzem, skoro pozwoliłem panu przyjść samemu do tego złego miejsca. Obiecał chronić mnie przed demonami.

– Duch dziadka? – Machen roześmiał się, kręcąc głową. Wrzucił następny kamień do dziury.

– Tak. On nas teraz obu obserwuje, ale chce, żebyśmy wkrótce stąd odeszli. Mogę panu pokazać drogę powrotną do szlaku.

*Klucz, który przyjąłem w pełni świadomy jego ciężaru.*

– Jesteś odważnym człowiekiem – rzekł Machen. – Albo drugim szaleńcem.

– Wszyscy odważni ludzie są szaleńcami – stwierdził Indianin i zerknął nerwowo na dziurę w ziemi, potem na gwiazdziste niebo koloru indygo, na urwisko i niewidoczny ocean. – Zdrowi na umyśle nie szukają śmierci.

– Czy ją tutaj znalazłem? Swoją śmierć?

Przewodnik milczał przez dłuższą, pełną niepęcia chwilę, przerywaną jedynie przez bezustanny ryk wiatru i fal, po czym odsunął się o krok od dziury pod osłonę traw.

– Nie wiem, co pan znalazł w tym miejscu, panie Dandridge. Mój dziadek mówi, że nie powinienem wymawiać imienia tego czegoś.

– Tak? No cóż. – Machen wstał, pocierając bolące oczy. Strzepnął kurz ze spodni. – Pokaż mi drogę powrotną i zapomnij, że kiedykolwiek mnie tutaj przyprowadziłeś. Powiedz biednemu duchowi twojego dziadka, że nie będę obarczał cię odpowiedzialnością za to, co znajdę na dnie tej jamy.

– Mój dziadek pana słyszy. Mówi, że jest pan odważnym człowiekiem i że powinienem teraz pana zabić, zanim zrobi pan rzeczy, które zamierza pan zrobić. Zanim nastawi pan świat przeciwko niemu samemu.

Machen wyciągnął colta, odbezpieczył go kciukiem i stał, wpatrując się w Indianina.

– Ale ja pana nie zabiję – powiedział przewodnik. – Wybór należy do mnie, a ja postanowiłem nie odbierać panu życia. Ale będę się modlił, żebym później nie żałował tej decyzji. Powinniśmy już iść.

– Ty pierwszy – powiedział Machen z uśmiechem i miał nadzieję, że przewodnik nie usłyszał drżenia w jego głosie.

Serce mu galopowało, z twarzy zaczął ściekać zimny pot mimo nocnego powietrza. Indianin odwrócił się bez słowa i zniknął w ramionach szepczących traw i sierpniowej nocy.

## Lipiec 1914

Kiedy była całkiem pewna, że ojciec zamknął podwójne drzwi biblioteki, a matka śpi, kiedy jedynymi dźwiękami był szum morza, ryk wiatru i zmienne odgłosy wydawane po zmierzchu przez wszystkie domy i myszy w ścianach, Meredith wstała z łóżka i włożyła flanelowy szlafrok. Podłoga była chłodna pod jej nagimi stopami, chłodna, ale nie zimna. Meredith zapaliła świecę, a potem bezszelestnie zamknęła za sobą ciężkie drzwi sypialni i poszła szybko i cicho do ciasnej klatki schodowej prowadzącej z drugiego piętra na poddasze. Na górze usiadła na podeście i wstrzymała oddech, modląc się, żeby nikt jej nie usłyszał, żeby ojciec, matka ani oboje razem nie próbowali jej szukać.

Z drugiej strony drzwi poddasza nie dobiegały żadne dźwięki. Meredith postawiła świecę na podłodze i nachyliła się do nich. Przycisnęła usta do drewna, poczuła jego szorstką fakturę pod warstwą farby.

– Avery? – wyszeptała. – Avery, słyszysz mnie?

Nie było żadnych kroków, nikt nie zawołał jej imienia.

– Avery? Słyszysz mnie? To ja, Meredith.

Tym razem rozległo się łupnięcie i dźwięk, jakby po drugiej stronie drzwi wleczono coś ciężkiego. Ciało czołgające się niezgrabnie, boleśnie po sosnowej podłodze. Meredith zamknęła oczy i czekała. W końcu coś uderzyło w drzwi, a ona otworzyła oczy. Avery próbował rozmawiać, próbować jej odpowiedzieć, ale w jego zniszczonym głosie nie było niczego zrozumiałego ani znajomego.

– Zaczekaj – wyszeptała. – Przyniosłam notatnik. – Z kieszeni szlafroka wyjęła notes i ołówek. – Nie próbuj mówić. Podam ci go pod drzwiami, a ty napiszesz to, co chcesz powiedzieć. Zapukaj, jeśli rozumiesz, co mówię.

Nic przez prawie minutę, a potem pojedyncze stuknięcie, tak gwałtowne, że drzwi zadrżały w zawiasach, tak głośne, że Meredith była pewna, że zaraz przybiegną rodzice, by sprawdzić, co się dzieje.

– Nie tak głośno – wyszeptała. – Usłyszają nas.

Teraz poczuła na podeście odór sączący się z pokoju na strychu. Albo była zbyt zdenerwowana, żeby zauważyć go wcześniej, albo brat przyniósł go ze sobą, kiedy podpełzł do drzwi. Martwe ryby, gotowana kapusta, skwaśniałe mleko i dżem truskawkowy, jak wtedy, gdy trafiła na ciało

małego szarego wieloryba, na wpół zagrzebane w piasku i rozkładające się w słońcu. Przełknęła ślinę, wzięła głęboki oddech i starała się nie myśleć o tym okropnym smrodzie.

– Teraz wsunę pod drzwi ołówek i kartkę z notesu.

Avery wydał mokry odgłos dławienia się, a ona znowu mu powiedziała, żeby nie próbował mówić, tylko napisał, jeśli może, odpowiedzi na jej pytania i wszystko, co chciałby przekazać.

– Boli cię? Mogę jakoś pomóc? – zapytała. Po chwili ołówek zaskrzypiał głośno na papierze. – Nie tak mocno, Avery. Jeśli grafit się złamie, będę musiała poszukać innego ołówka.

Brat wsunął kartkę pod drzwi. Była wilgotna, a na dole rozmazało się coś ciemnego i klejącego. Nie zważając na zapach tak silny, że zachciało się jej wymiotować, Meredith przysunęła papier do oczu, żeby odczytać to, co nabazgrał Avery. Nie było to jego staranne pismo, ścisła, precyzyjna kursywa, którą zawsze podziwiała i starała się naśladować, lecz drukowane litery, zamaszyste i krzywe litery. Na ich widok tak bardzo zachciało się jej płakać, że niemal zapomniała o odorze martwego wieloryba i kapusty.

bolii mery bardziej niż mogenie ma pomocy nie ma ppomocy

Meredith odłożyła kartkę, wyrwała następną z notesu, w którym odrabiała popołudniowe lekcje, ortografię i arytmetykę. Wsunęła ją pod drzwi.

– Avery, wiedziałeś, że nie możesz nosić klucza. Wiedziałeś, że to muszę być ja albo matka, prawda? Że to musi być kobieta?

Znowu skrzypienie i papier wrócił do niej jeszcze bardziej lepki niż poprzednio.

musiałem spróbować żeby matka nie słuchała  
musiałem próbowa

– Och, Avery. Tak mi przykro.

Meredith mówiła tak cicho, że pewnie jej nie usłyszał. W oczach miała łzy, gorące i gorzkie. Gniew i smutek, jakich wcześniej nie знаła, gniew i smutek narastały w jej sercu i stapały się jakby za sprawą jakiejś alchemii duszy, a w wyniku tego połączenia rodziła się czysta, złota nienawiść.

Meredith wyrwała następną kartkę z notatnika i wsunęła ją w szparę pod drzwiami.

– Muszę wiedzieć, co robić, Avery. Czytam gazety, ale nie wszystko rozumiem. Wszyscy chyba myślą, że wkrótce będzie wojna z powodu zabójstwa w Sarajewie, z powodu cesarza, ale ja tego nie rozumiem.

Minęło dużo czasu, zanim kartka do niej wróciła, umazana szlamem i cuchnąca rozkładem. Może pięć minut skrobania po papierze i ciche przerwy między skrzypieniem ołówka. Tym razem liścik był cały pokryty niezdatnym pismem.

za późno żeby zatrzymać wojnę za późno  
wojna nadchodzi nie można jej zatrzymać mery  
wszystko wprowadzone w ruch dziewiąta fala pamiętasz?  
ale mery nie możesz słuchać ojca  
możesz zatrzymać dziewiątą jeszcze czas  
ty albo matka możecie to zatrzymać  
to nie musi być ostatnia wojna

Kiedy skończyła czytać raz, a potem drugi wszystko, co napisał Avery, położyła kartkę na dwóch poprzednich i wytarła oślizłą rękę o podłogę. W żółtobiałym blasku świecy dłoń lśniła, jakby Meredith nosiła w niej wielkie ślimaki bananowe, które żyły w lesie. Szybko wsunęła pod drzwi następną kartkę z notatnika. Tym razem papier został wyrwany z jej palców i od razu dało się słyszeć skrobanie. Kartka wróciła do niej zaledwie kilka sekund później, a wraz z nią ołówek, całkiem wypisany.

nie przychodz więcej merry  
kocham cię zawsze i nie zapomne  
obiecayj że nie wrocisz  
pilnuj braamy pilnuj bramy

– Nie mogę ci tego obiecać, Avery – odpowiedziała Meredith, szlochając i nachylając się do drzwi mimo smrodu tak silnego, że zaczął ją palić w nosie. – Jesteś moim bratem, więc nie mogę ci tego obiecać.

Wtedy rozległo się gwałtowne uderzenie w drzwi, tak mocne, że ojciec z pewnością musiał je usłyszeć, tak nagłe, że ją wystraszyło. Meredith odskoczyła i chwyciła świecę.

– Pamiętam dziewiątą falę. Pamiętam, co mówiłeś o dziewiątej fali, większej niż ostatnia, całej w płomieniach. Pamiętam.

Wydawało się jej, że słyszy kroki na dole, a poza tym nie mogła znieść gwałtownych odgłosów dławienia się, które znowu zaczął wydawać Avery, więc pośpiesznie zabrała z podłogi klejące się zabazgrane kartki z notatnika, zeszła cicho po schodach i wróciła do swojej sypialni. Zasnęła tuż przed świtem i śniła o płomieniach wśród grzywaczy i o piekle rozbijającym się o skały.

## Marzec 1914

– Tutaj wszystko się kończy, Merry – powiedział duch jej matki. – Ale tu również się zaczyna. Musisz to zrozumieć, nawet jeśli nie rozumiesz niczego innego.

Meredith wiedziała, że tym razem nie śni, nieważne, jak bardzo mógł się wydawać snem ten oszałamiający, rozpędzony koszmar na jawie, który zaczął się, kiedy dotarła do stóp rozchwianych schodów prowadzących spiralą w dół do głębokiego miejsca pod domem. Szła za duchem matki, za nikłą poświatą, która miała być jej Wergiliuszem, jej Beatrycze, jej latarnią, aż światło basenu stało się tak jasne, że przyćmiło migotliwy blask Ellen Dandridge. Meredith stanęła na pomoście, trzymając pokrytą pąklami i algami rękę martwej matki. Ze strachem i zdumieniem spojrzała na wyspę pośrodku jeziora.

– Nieskończone linie przyczyn – rzekła zjawą. – To, co cię tutaj sprowadziło, również jest ważne.

– Jestem tutaj, bo mój ojciec to głupiec – odparła Meredith, nie mogąc oderwać wzroku od żółtozielonego blasku, który wydobywał się z głębin pod jej bosymi stropami i tańczył na kamieniu.

– Nie, kochanie. On jest tylko człowiekiem próbującym wykonywać pracę bogów, a to nigdy nie wychodzi na dobre.

Czarne oko osadzone głęboko w dłoni Meredith zaswędziało boleśnie, a potem się wywróciło, pokazując trupio bladą twardówkę. Dziewczynka wiedziała dokładnie, co ono widzi, bo zawsze jej to mówiło. Wiedziała, jak blisko są zasłony, jak niewiele czasu zostało, zanim rozdarcie otworzy się dla wszystkich.

– Postaraj się zapomnieć o ojcu, dziecko. Skup się na czasie i przestrzeni, na eterze, na historii, która cię tu przywiodła. Na wszystkich niciach sieci.

Meredith ścisnęła miękką dłoń ducha, a daty, nazwiska i miejsca wylały się z niej jak morze wylewające się na brzeg, powódź oczywistych i niejasnych związków. A ona na to pozwoliła.

*Drugiego grudnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego roku Bismarck wysłała list do Wilhelma Pruskiego, nalegając, żeby został cesarzem. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym wszystkim*



*jezuitom nakazuje się opuścić Włochy. Ósmego stycznia tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego Szalony Koń zostaje pokonany przez kawalerię Stanów Zjednoczonych w Wolf Mountains w Montanie. W czerwcu tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego Austria podpisuje sekretny traktat z Serbami, ustanawiający gospodarczy i polityczny protektorat, a Milan zostaje koronowanym królem Serbii...*

– To boli – wyszeptała Meredith.

Matka zmarszczyła brwi i pokiwała głową. Światło w basenie zaczęło pulsować i wirować w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, rzucając blaski i cienie na wysokie kamienne ściany.

– To zawsze boli, kochanie. Czeka cię ból ponad wszelkie wyobrażenie. Nie można cię okłamywać. Nie można cię zmusić, żeby niosła ten ciężar w nieświadomości bólu, który przychodzi wraz z kluczem.

Meredith zrobiła następny niepewny krok w stronę końca pomostu, potem następny. Światło nabrzmiało gniewnie i buchnęło wokół niej huraganową furją.

– Nadchodzą, Merry. Mają zęby i pazury ostre jak stal, pożrą cię, jeśli się nie pośpieszysz. Musisz teraz płynąć na wyspę. Wyłom się otwiera.

– Boję się, matko. Przykro mi, ale się boję.

– Więc strach zaprowadzi cię tam, dokąd ja nie mogę. Niech ten strach będzie twoją tarczą. Niech będzie twoją włócznią.

Stojąc na samym końcu pomostu, Meredith nie śmiała spojrzeć w dół na jaśniejący basen. Wpatrywała się w maleńką wyspę znajdującą się zaledwie pięć metrów od niej.

– Zatopili łódź, kiedy się przeprawiałaś – powiedziała do ducha matki. – Jak mam dotrzeć do bramy, skoro zabrali łódkę?

– Jesteś dobrą pływaczką, dziecko. Avery dobrze cię nauczył.

Dźwięk jak błyskawica. *Nie*, pomyślała Meredith, *nie mogę tego zrobić. Mogę zrobić wszystko, tylko nie skoczyć z pomostu do tej wody. Mogę znieść ból, ale...*

– Jeśli znasz inny sposób, Merry, wybierz go. Ale nie zostało dużo czasu. Linie się zbiegają.

Merry wzięła głęboki oddech, wciągając wilgotne, cuchnące powietrze jaskini, szykując się na zimno bez powietrza, na wszystkie rzeczy, których brat nauczył ją o pływaniu w morzu. Razem zapuszczali się poza grzywacze, na głęboką wodę z dala od brzegu, do lasu wodorostów, do falującej podwodnej puszczy, gdzie między gigantycznymi listownicami

śmigają płaszczyki i foki pospolite. A kiedy spoglądała w górę, widziała błądy brzuch ogromnego białego rekina sunącego cicho nad nimi.

– Czas, Merry. Wszystko teraz jest w twoich rękach. Widzisz, jak stoisz samotnie pośrodku tej sieci, a od ciebie odchodzą nici? Widzisz skrzyżowania i sploty?

– Widzę – odpowiedziała Meredith. – Widzę je wszystkie.

I zrobiła krok w lodowatą wodę.

*Trzydziestego października tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku zostaje podpisany traktat austriacko-niemiecki z Rumunią, który gwarantuje jej obronę przed Rosjanami. Siedemnastego listopada tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego roku Serbowie zostają pokonani w bitwie pod Slivnicą, a potem uratowani tylko dzięki interwencji austriackiej. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym zaczyna się wojna mahdystów z Abisynią. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym chłopiec o nazwisku Silas Desvernine płynie w górę rzeki Hudson i pierwszy widzi górę, gdzie w czarnym kamieniu jest uwięziona bezimienna istota z blasku księżycowego i piorunów. W sierpniu tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego jej ojciec zostaje doprowadzony na brzeg Pacyfiku przez przewodnika Miwoka. Dwudziestego siódmego sierpnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku Ententa francusko-rosyjska...*

Nici sieci, tykanie zegara, życie i śmierć gwiazd, każdy krok w stronę Armagedonu odliczany w jej obolałej głowie, woda jest lodowata, a jej grozi zamrożenie na śmierć. Nagle mała wysepka wydaje się odległa o całe kilometry.

*Sierpień tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego, cesarz Wilhelm jedzie do Anglii na złoty jubileusz królowej Wiktorii. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym Charles E. Callwell z armii brytyjskiej publikuje «Małe wojny – ich zasady i praktyka». Czwartego lutego tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, rok, kiedy Aguinaldo prowadzi powstanie filipińskie przeciwko siłom amerykańskim...*

Wszystkie te wydarzenia, wszyscy ci ludzie i ich działania. Kłamstwa, krew i zdrady łączą się w łańcuch prowadzący do tej chwili, do dziewiątej fali, potężniejszej niż ostatnia, całej w płomieniach. Meredith przełknęła haust słonej wody, starając się utrzymać głowę nad powierzchnią.

– Pośpiesz się, dziecko! – krzyknął z pomostu duch matki. – Oni nadchodzą.

Meredith Dandridge zaczęła się modlić, bać się, że zawiedzie, że w następnej chwili się podda i pozwoli, żeby głębina ją wciągnęła. Wyobraziła sobie, jak tonie przez całą wieczność, jak ciśnienie miażdży ją tak, że nie zostaje z niej nic, i wtedy już nikt jej nie skrzywdzi.

Po jej prawej kostce przeciągnęły jakieś pazury, rozcinając skórę, krew zmieszała się z morzem.

I wtedy Meredith trafiła palcami na błoto i kamienie na brzegu wysepki. Wygramoliła się z wody i mułu i spojrzała za siebie. W jeziorcu nie było żadnych demonów, a duch jej matki nie patrzył na nią z pomostu. Ale był tam ojciec Machen Dandridge ze swoją czarną księgą, oczami zwróconymi ku górze i ramionami wyciągniętymi do obojętnego nieba. Meredith przeklęła go po raz ostatni i zignorowała krew sączącą się z brzydkiego rozcięcia na kostce.

– Oto gdzie stoję – powiedziała, wstając i odwracając się w stronę małej jaskini pośrodku wyspy. Nogi miała słabe i niepewne jak u nowo narodzonego źrebięcia. – U stóp bramy i trzymam klucz do otchłani.

Żółtozielone światło było niemal oślepiające, wkrótce basen miał zacząć wrzeć.

– Hebanowy klucz do pierwszego dnia i do ostatniego, klucz do chwili, kiedy gwiazdy zgasną jedna po drugiej, a morze uniesie swój gnijący brzuch do pustego, obwisłego nieba. Płonący klucz, którego nawet anioły boją się trzymać.

Przez chwilę nie było jaskini, basenu, pieczary pod urażonym, złym domem. Tylko ogień wylewający się z jaskini, której już nie było, żeby ją całą pochłonąć, tylko głosy pustki, a Meredith uczyniła swój strach tarczą i włócznią. I wytrzymała na posterunku.

\* \* \*

W dniach i tygodniach, które nastąpiły, Machen Dandridge czasem schodził po schodach na pomost i patrzył na miejsce pośrodku jeziorca, gdzie istota, która kiedyś była jego córką, kuliła się w mroku, w pustce między kamieniami. Każdego dnia morze dawało jej coraz więcej swojej zbroi, złociło jej delikatną ludzką skórę wapiennymi muszlami i parzącymi mackami, które inne istoty doskonaliły przez niezliczone cykle Stworzenia z najsurowszej materii życia, zębami jak igły, łuskami i trującymi kolcami.

Gdzie jego żona i syn zawiedli, córka trwała zwycięsko jak męczennica. Czasami późno w nocy, sam z dzikim rykiem fal uderzających o brzeg kontynentu, Machen myślał o podłożeniu ognia pod dom i spaleniu go razem ze sobą.

Czytał gazety.

Patrzył na gwiazdy, szukając znaków i zwiastunów.

Gdy księżyc świecił jasno, kobiety nadal przychodziły tańczyć nad morzem, ale on zaczął wierzyć, że są tylko złym wspomnieniem z dawniejszych czasów, więc rzadko zwracał na nie uwagę.

Kiedy pogoda była dobra, Machen wspinał się na wzgórza za domem, siadał przy grobie żony i szeptał jej, jaki dumny jest z Meredith, recytował na wpół zapomniane wiersze, mówił Ellen, że świat wkrótce znajdzie się na krawędzi z powodu tego, co on zrobił. Z powodu jego ślepej dumy. Ale na koniec świat przetrwa dzięki temu, co zrobiła ich córka, i będzie istniał jeszcze całe wieki.

W pewne długie deszczowe popołudnie w maju otworzył drzwi na strych i siekierą i starym coltem zabił to, co tam znalazł. Rewolwer zakopał obok żony, ale nie zostawił niczego, żeby oznaczyć grób Avery'ego.

Napisał długie listy do ludzi, których kiedyś znał w Anglii, Nowym Jorku i Rio de Janeiro, ale nie dostał żadnych odpowiedzi.

Czas się toczył, ani zły, ani dobry, osiadał na świecie jak szary czepiec kurzu na pamiątkach, które Machen przywiózł z Indii, Iranu i Sudanu ćwierć wieku wcześniej. Narodziny i śmierć gwiazd, światło docierające do jego starych oczu po miliardzie lat podróży przez pustkę kosmosu. Czasami spędzał dni na zbieraniu skamieniałości na klifach i układaniu ich w precyzyjne geometryczne wzory w wysokiej trawie wokół domu. Zostawiał linie z soli i rysował wymyślne runy, których znaczenia już dawno zapomniał.

Córka odzywała się do niego tylko w snach, jego albo jej, tego nigdy nie było wiadomo, a jej głos stawał się coraz silniejszy i straszniejszy, w miarę jak mijały lata. Na koniec była wirem, który porwał jego zwiędłą duszę, ukołysał do snu po raz ostatni, pokazał mu drogę.

A dom nad morzem, zniszczony, zmęczony i szalony, zachował swoje tajemnice.

## Historia publikacji

„Lovecraft and I”, 2011, *Lovecraft Annual* (sierpień #5), Hippocampus Press (przemówienie inauguracyjne, 15 Doroczny Festiwal Filmowy H.P. Lovecrafta, Portland, Oregon)

„Valentia”, 2000, *Dark Terrors* 5, wyd. Stephen Jones i David Sutton, Victor Gollancz

„So Runs the World Away”, 2001, *The Mammoth Book of Vampire Stories by Women*, wyd. Stephen Jones, Carroll & Graf

„From Cabinet 34, Drawer 6”, 2005, *Weird Shadows Over Innsmouth*, wyd. Stephen Jones, Fedogan & Bremer

„The Drowned Geologist (1898)”, 2003, *Shadows Over Baker Street*, wyd. Michael Reaves i John Pelan, Delrey

„The Dead and the Moonstruck”, 2004, *Gothic! Ten Original Dark Tales*, wyd. Deborah Noyes, Candlework Press

„Houses Under the Sea”, 2007, *Thrillers II*, wyd. Robert Morrish, Cemetery Dance Publications

„Pickman’s Other Model (1929)”, 2008, *Sirenia Digest*, (marzec #28), Goat Girl Press; reprint 2010 *Black Wings; New Tales of Lovecraftian Horror*, wyd. S.T. Joshi, PS Publishing

„The Thousand-and-Third Tale of Scherezade”, 2009, *Sirenia Digest* (styczeń #38), Goat Girl Press; reprint 2012, *Confessions of a Five-Chambered Heart*, Subterranean Press

„The Bone’s Prayer”, 2009, *Sirenia Digest* (luty #39), Goat Girl Press; reprint 2010, *The Year’s Best Dark Fantasy & Horror*, 2010, wyd. Paula Guran, Prime Books

„The Peril of Liberated Objects, or the Voyeur’s Seduction”, 2012, *Confessions of a Five-Chambered Heart*, Subterranean Press

„*At the Gate of Deeper Slumber*”, 2012, *Confessions of a Five-Chambered Heart*, Subterranean Press

„Fish Bride” (1970)”, 2009, *Sirenia Digest*, (maj #42), Goat Girl Press; reprint 2011, *The Weird Fiction Review* (#2), wyd. S.T. Joshi, Centipede Press

„The Alchemist’s Daughter (A Fragment), 2009, *Sirenia Digest*, (czerwiec #43), Goat Girl Press (pierwsze wydanie drukowane)

„Houndwife”, 2010, *Sirenia Digest*, (marzec #52), Goat Girl Press; reprint 2012, *Black Wings II*, wyd. S.T. Joshi, PS Publishing

„Tidal Force”, 2010, *Sirenia Digest*, (czerwiec #55), Goat Girl Press; reprint 2011 *Eclipse Four*, wyd. Jonathan Strahan, Night Shade Books

„John Four”, 2010, *Sirenia Digest*, (październik #58), Goat Girl Press; reprint 2014, *A Mountain Walked*, wyd. S.T. Joshi, Centipede Press

„On the Reef”, 2010, *Sirenia Digest*, (październik #59), Goat Girl Press; reprint 2011 *Halloween*, wyd. Paula Guran, Prime Books

„The Transition of Elizabeth Haskings”, 2012, *Sirenia Digest*, (styczeń #74), Goat Girl Press; reprint 2013 *Weirder Shadows Over Innsmouth*, wyd. Stephen Jones, Fedogan & Bremer

„A Mountain Walked”, 2012, *Sirenia Digest*, (wrzesień #82), Goat Girl Press; reprint 2014, *The Madness of Cthulhu: Volume 1*, wyd. S.T. Joshi, Titan Books

„Love Is Forbidden, We Croak & Howl”, 2012, *Sirenia Digest* (maj #78), Goat Girl Press; reprint 2014, *Lovecraft’s Monsters*, wyd. Ellen Datlow, Tachyon Publications

„Pushing The Sky Away (Death of a Blasphemer)”, 2013, *Sirenia Digest*, (sierpień #91), Goat Girl Press (pierwsze wydanie drukowane)

„Black Ships Seen South of Heaven”, 2015, *Black Wings IV*, wyd. S.T. Joshi, PS Publishing

„Pickman’s Madonna” 2013, *Sirenia Digest* (październik #93), Goat Girl Press; reprint 2015 (częściowo poprawione), *Cherry Bomb: A Siobhan Quinn Novel* (jako Kathleen Tierney), Roc/NAL

„The Peddler’s Tale, or Isobel’s Revenge”, 2013, *Sirenia Digest* (grudzień #95), Goat Girl Press; reprint 2015, *The Mammoth Book of Cthulhu*, wyd. Paula Guran, Prime Books

„The Cats of River Street (1925), 2014 *Sirenia Digest*, (lipiec #102), Goat Girl Press; reprint, 2015 *Innsmouth Nightmares*, wyd. Lois Gresh, PS Publishing

„A Redress for Andromeda”, 2000 *October Dreams: A Celebration of Halloween*, wyd. Richard Chizmar i Robert Morrish, Cemetery Dance Publications

„Nor the Demons Down Under the Sea”, 2002, *The Children of Cthulhu*, wyd. John Pelan i Benjamin Adams, Del Rey

„Study for *The Witch House*”, 2013, *Sirenia Digest* (wrzesień #92), Goat Girl Press

„Andromeda Among the Stones”, 2003, dodatek do *Embrace the Mutation*, wyd. William K. Schafer, Subterranean Press

„M Is for Mars”, (pierwsze wydanie)

Autorka pragnie zwrócić uwagę, że teksty każdego z opowiadań zamieszczonych w tym zbiorze będą się różnić, czasem znacząco, od tekstów pierwotnie wydanych. W niektórych wypadkach opowiadania zostały poprawione przy każdym reprimie (a niektóre były wydawane ponownie wiele razy). Żadne opowiadanie nigdy nie jest skończone. Istnieje tylko chwila, kiedy nakazuję sobie przestać i tymczasowo wystukać „Koniec”.

Początkowo „Paedomorphosis”, napisane w 1997, miało być zawarte w tym tomie, jako że było to moje pierwsze jawne wykorzystanie „mitologii” Lovecrafta. Jednakże ta proza nie zestarzała się dobrze, zatem ostatecznie zapadła decyzja, żeby pominąć ją w tym wydaniu. Każdy chętny może znaleźć „Paedomorphosis” w moim pierwszym zbiorze opowiadań *Tales of Pain and Wonder* (2000, 2008, 2016).

## Podziękowania

Napisanie „Mitologii” zaproponował mi Jerad Walters wiosną 2013, ale udało mi się zebrać wszystkie opowiadania dopiero latem 2015, a dokończyć ich opracowywanie w lutym 2016. Bez zainteresowania i zachęty Jerada ta książka po prostu by nie powstała. Chciałabym również podziękować S.T. Joshiemu, Williamowi K. Schaferowi, Michaelowi Cisco, Vince’owi Locke, Richardowi A. Kirkowi, Piotrowi Jabłońskiemu, Johnowi Kennowi Mortensenowi i Christopherowi Geisslerowi. Specjalne podziękowania dla mojej partnerki, Kathryn A. Pollnac, za pomoc i wsparcie przy tym projekcie, i dla wszystkich moich fanów z Patreona za trwanie przy mnie. Korekta maszynopisu została w całości wykonana w John Hay Library na Uniwersytecie Browna.

Caitlin R. Kiernan

15 lutego 2016  
Providence, Rhode Island



## O autorce

*The New York Times* nazwał Caitlin R. Kiernan „jedną z naszych głównych autorek opowieści niesamowitych”, a S.T. Joshi oświadczył, że „...ona jest teraz głosem weird fiction”. Do jej dzieł należą: „Silk”, „Threshold”, „Low Red Moon”, „Daughter of Hounds”, „Czerwone drzewo” (nominowane do nagród Shirley Jackson i World Fantasy) i „Tonąca dziewczyna” (zdobywczyni nagród Jamesa Tiptree, Jr i Brama Stokera, nominowana do nagród Nebula, World Fantasy, British Fantasy, Mythopoeic, Locus i Shirley Jackson). Do dzisiaj jej opowiadania zostały zebrane w trzynastu tomach: *Tales of Pain and Wonder*; *From Weird and Distant Shores*; *To Charles Fort, With Love*; *Alabaster*; *A is for Alien*; *The Ammonite Violin & Others*; *Confessions of a Five-Chambered Heart*; *Two Worlds and In Between*; *The Best of Caitlin R. Kiernan (Volume One)* i *Beneath an Oil-Dark Sea*; *The Best of Caitlin R. Kiernan (Volume Two)*; *Cambrian Tales*; *Juvenilia*; i nagrodzony World Fantasy *The Ape's Wife and Other Stories*. Caitlin R. Kiernan otrzymała również nagrodę World Fantasy za „The Prayer of Ninety Cats”. W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku napisała *The Dreaming* dla DC Comics' Vertigo, a ostatnio *Alabaster* dla Dark Horse Comic. Pierwszy tom, *Alabaster: Wolves*, otrzymał nagrodę Brama Stokera. Caitlin R. Kiernan mieszka w Providence w stanie Rhode Island ze swoją partnerką Kathryn Pollnac.

Ale zawsze najbardziej chciała być paleontologiem...

1. Przeł. Maciej Płaza. [\[wróć\]](#)
2. Przeł. Antoni Marianowicz. [\[wróć\]](#)
3. Przeł. Jan Kasprowicz. [\[wróć\]](#)